

4262/55
BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

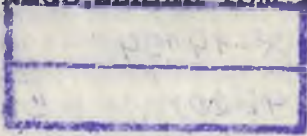
PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1854.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LV.



WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

1854.

4620. 1854.3

II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie, d. 4 (16) Czerwca 1854 r.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU, J. Papłoński.



30,000,-



X-14154	
4620/	II

3.

/1854

S P I Ż.

PRZEZ

Ludwika Lejsznera.

I.

Chociaż Spiż (Comitatus Scepsiensis, Zipser Comitatus, die Zips) nie należy do obszerniejszych hrabstw węgierskich, istnieje jednakże największa różnorodność tak w jego stosunkach przyrodzonych, jako i w ludowych. Wysokie alpejskie góry, potężne grzbiety 2 — 3,000 stóp wysokie, małe pagórki, a miejscami nawet obszerniejsze równiny: spotykamy dziwnie pomieszane w tej ciekawej pod wielką względami krainie. Słowacka ludność głównie przeważa na Spiżu; na znacznej przestrzeni mieszczą Polacy, w kilku wioskach są Rusini, a wreszcie znaczny płać okrywają Niemcy, przybyli do Węgier w XII i XIII wieku. W niektórych okolicach mieszą się ci ostatni ze Słowakami i Rusinami. Każdy lud trzymał się pewnych rzek, i dopiero rozrodiwszy się nad niemi, rozszerzał się coraz bardziej, aż spotkał inny szczep, stawiający mu granicę. Nadzwyczajne nierówności powierzchni ziemi nadały Spiżowi bardzo odmienną fizyonomią, i wywołały uderzające różnice klimatyczne. Nieraz wydaje się, że znajdujemy się w nader odległych stronach, gdy tymczasem tylko kilka mil dzieli te wielkie przeciwieństwa. Jakażto różnica pomiędzy ubogim owsianym krajem przy Jurgowie i Niedzicy, a żyznymi błoniami Nowej-wsi lub Korotnoku; pomiędzy dziką

przyrodą dolin Tatrowych, a miłym krajobrazem Morgescan i Jakłowiec, albo pomiędzy czynną fabryczną ludnością nad Hnilcem, pod Gelnicą lub Prakendorfem, a strasznym ubóstwem na północnym pochyłe Magory, gdzie ludzie ludzi niedawno zjadali z głodu. Pod względem geograficznym należy Spiż do bardzo ciekawych krain: biorą tu bowiem początek rzeki płynące do Bałtyckiego i Czarnego morza; i dziwna rzecz, działły te nie stanowią wysokie Alpy tatrowe, ale niskie, zupełnie niepozorne grzbiety, które znaleźć można tylko na lepszych kartach geograficznych. Spiż dzieli się na cztery naturalne porzecza: Dunajca, Popradu, Hernadu i Hnilca. Jak wiadomo, wschodnia połowa Tatrów wysyła swe wody do Bałtyckiego, zachodnia zaś do morza Czarnego. Na północno-wschodniej pochyłości tego łańcucha rzeki płyną zrazu z południa na północ, i zatrzymują ten charakter prowadząc swe wody ku Wiśle; na południowo-wschodnim pochyłe płyną z początku z północy na południe, a dostawszy się na równinę, zwracają się na wschód, a następnie na północ, i Dunajcem wpadają do Wisły. Tym sposobem mamy na Spiżu dwa oddzielne porzecza: Dunajca i Popradu, należące do Wisły. Właściwie Dunajec w swym przebiegu odgranicza Spiż od Podhala; prawy brzeg należy do Węgier, lewy do Podhala, ale w obydwóch zamieszkuje ludność polska ze szczepu Podhalan, i dlatego nazywam tę część Spiżem polskim.

Równie tak znaczną rzeką na początku jak Dunajec jest Poprad, poczynający się w wysokich Tatrach na zachodniej granicy Spiża; jego porzecze więcej jest na południe wysunione jak Dunajca. Po wypłynieniu z Tatrów, nagle zwraca się Poprad na wschód, przecina wzdłuż to hrabstwo od zachodu na wschód, i prawie na jego granicy zwraca się na północ; dalej płynie przez rozpeknięte Bieskidy i wpada do Dunajca pod Starym Sączem. W tym przebiegu zasilają głównie Poprad rzeki spadające z części bardziej wschodniej Tatrów, i niektóre mniejsze potoki, płynące z przeciwniej strony z grzbietu porfirowego i pasma Igły, wznoszącego się powyżej Kesmarku i Lubicy. W połowie zachodniej porzecza Popradu leżą liczne miasteczka od Niemców zamieszkałe, którzy się odznaczają wzorową uprawą roli; połowa wschodnia te-

goź porzecza mniej gęsto osiedlona, zajęta jest głównie przez Słowaków, pomieszanych w części ze szczepem polskim i ruskim. Porzecze pomiędzy Popradem a Hernadem dzieli nizki grzbiet porfirowy, kończący się przy wiosce Czwartek, i odtąd ledwie dostrzegalne wzniesienia stanowią dalszą część przedziału. Hernad bierze początek w potężnej massie skalnej Królowa-Hola, góry tak nazwanej od węgierskiego króla Macieja Korwina, na którą wstąpił i na niej miał obiadować. Hernad z trzema znacznymi rzekami, tojest: Hnilcem, Hronem i Czarnym Wagiem, w tej górze bierze początek; ale wszystkie te rzeki wprost przeciwne mają kierunki i zmierzają w przeciwne strony świata; dopiero po długich zakrętach schodzą się ostatecznie do Dunaju, czyli do morza Czarnego. I tak Hnilec płynie w południowo-wschodnim kierunku i wpada do Hernadu przy Margecanach, a Hernad do Cisy pod Tokajem, która zmierza do Dunaju. Czarny Wag stanowi jedno z ramion Wagu, i na wielkiej równinie węgierskiej wpada do Dunaju, a tém samym do morza Czarnego. Hron płynie z początku na zachód, potem skręca się na południe i wpada także do Dunaju.

Porzecze wschodnie Hernadu różni się znacznie od zachodniej jego części: naprzód jest wąską doliną, ciągnącą się pomiędzy wysokimi grzbietami, a dno jej składają prawie same łąki; druga część tego porzecza od Czwartku do Włachowa składa się z obszernych, wybornie uprawionych błon, gdzie już cieplejsze wiatry dolatują, a po siołach widać piękne ogrody z zamożnymi dworami. Prawie naprzeciw zakrętu Popradu, zwraca się na południe Hernad pod Włachowem pod kątem prostym, i przedziera bogate w metale pasmo spizkie; tam łączy się z Hnilcem i po nieskończonych zakrętach wypływa w obszerną dolinę pod Koszycami, i odtąd zmierza wprost ku południowi do Cisy pod Tokajem. Ludność słowacka zajmuje porzecze Hernadu. Odmienne stosunki geograficzne od wymienionych, spotykamy w porzeczu Hnilca, gdzie Słowacy miesza się z Niemcami, a w małej ilości z Rusinami. Hnilec płynie długo na południowej granicy Spiza, przedzierając się przez znacznie wyniesione góry, składające się z krystalicznych łupków, w metale nader bogate. W tém porzeczu niema prawie uprawnej roli, albo téż ogranicza się na bardzo małych kawałkach; dolina

tak bowiem jest wążka, że wioski i miasteczka zaledwie znajdują miejsce dla rozłożenia się wygodnego, i tylko przy ujściu do Hernadu rozszerza się nieco, i zład przy Mniszku, Helemanowcach i Jaktowcach widać znaczniejsze osady. Ale rolnictwo nad Hnilcem jest podrzędną rzeczą: głównie trudnią się mieszkańcy jego dobywaniem bogatych rud miedzianych, srebrnych, żelaznych, i przerabianiem z nich metali. Blizko ujścia, w odstępach kilku tysięcy kroków, widać same zakłady hutnicze: to wielki piec, walcownią, fryszerkę, to stępy do mielenia rud ubogich lub młyny dla zboża. Porzecze Dunajca ma całkiem charakter pasterski; Popradu i Hernadu większa część jest rolnicza, w zachodnich ich częściach miesza się żywioł pasterski z rolniczym, gdy tymczasem mieszkańcy Hnilca trudnią się wyłącznie przemysłem.

Aczkolwiek południowe góry spizkie porzecza Hnilca nadzwyczajnie są lesiste, dziko podarte, i na pierwszy rzut oka wydają się głównie przeznaczonemi na mieszkanie dzikich zwierząt; przecież żyje w nich gęsta ludność, zajęta przemysłem i nierównie więcej ma wykształcenia od mieszkańców równin. Siły podziemne wyniosły na wierzch te góry, napełniły ich skały obficie kruszcami i wyrobiły czynną ludność. Nieraz na długich przestrzeniach, na najwyższych grzbietach, spotykamy nieprzeliczone kopce, jeden obok drugiego, jakby na jakim cmentarzu. Uderzyłamnie to przykopalni nazywanéj: „na Bińcie“ (auf der Bindl), w lesie zwanym Żałoba, lub na wyżynie wznoszącej się nad wioską Mały Hnilec. Po między południową a północną pochyłością gór kruszcowych w Tatrach, jest mnóstwo małych miasteczek, nadających właściwą fizyonomią Spiżowi. Mieszkańcy ich zajmują się przemysłem, a jeszcze więcej rolnictwem. Pomimo tego przeważającego wejrzenia rolniczego, mieszkańcy są więcej wykształceni, i posiadają nieco więcej zasobów od zwyczajnego włościanina; nader pracowicie uprawiają swe kawałki roli i służą za przykład zwyczajnym rolnikom; nadto budzą się pomiędzy niemi tu i owdzie pojęcia obchodzące ogół ludzkości, które u wieśniaka rzadko się odzywają.

Spiż rozpada się na cztery naturalnie odgraniczone części; na północny, pagórkowaty, i równinowy południowy: każda z nich ma sobie właściwy charakter. W pół-

nocnej przeważa życie pasterskie, mieszkańcy głównie zajmują się chowem bydła i owiec, i dlatego nazywać ją będą Spiżem pasterskim; w pagórkowatej uprawiają ziemię i hodują bydło; w trzeciej części głównie przeważa rolnictwo, a w południowych górach, tworzących szeroki pas, trudnią się ludzie górnictwem i hutnictwem, i tę część nazywać będą przemysłową. Od wieków zakwitło w tych stronach górnictwo, które pobudza mimowolnie mieszkańców do zastanowienia się nad środkami statwiającymi wydobywanie metali, i szukania nowych uposobów wyciągania zysków z wydobytych kruszców. Tej właśnie przyczynie przypisać należy obudzenie się ducha przedsiębiorczego, zapewniającego Spiżowi moralną wyższość nad innemi hrabstwami węgierskiemi.

Podhale Spizkie. Część Spiża o północno-wschodni stok Tatrow oparta, graniczy od północy i zachodu z naszym Podhalem. Dwie te krainy nie różnią się wcale fizycznie, tylko dzieli je polityczna granica, która coraz bardziej przez obecne wypadki zacięra się; krainy te bowiem mają też samą nieurodzajną ziemię, tenże ostry klimat i wysokie hale, na których wlecie paszą swoje bydło. Mieszkańcy tej części Spiża są polskimi Podhalanami, i podobnie jak w Orawie mówią zastarzałym polskim językiem: zdrowi i silni, wysmukłego wzrostu, mają też samą otwartość charakteru i bystrość umysłu, tak odznaczające mieszkańców naszych alpejskich okolic. Ludność polska na Spiżu, według urzędowego spisu z roku 1850, wynosi 53,000.

Pomiędzy wioskami tej części Spiża, leżą dwa czy trzy miasteczka, nieodróżniające się prawie od większych wiosek: Biała, Frydman są zupełnie podobne do Nowogotargu, i służą za miejsce sprzedaży i kupna produktów rolniczych. Urządzenie stosunków włościańskich odmiennem było na Spiżu przed rokiem 1848, od trwającego od niepamiętnych czasów na Podhalu: włościanie odrabiali na Spiżu oznaczoną pańszczyznę, gdy Podhalanie czynsz płacili. W każdej wiosce był wójt, nazywany Rychtar. Łatwo można było poznać jego mieszkanie po insygniach, przywiązanych do jego urzędu, a stojących przed oknem, po dybach różnego rodzaju i dereszu czyli ławce. Teraz te symbole władzy zmieniły się w napis na tabliczce: Richtar, Ortsrichter. W różnych wioskach pańszczy-

zna była odmienną i stosowała się do rozległości gruntów dworskich, a gdzie tych nie było, włościanie mieli obowiązek pracowania w przyległych lasach Tatrowych.

W miarę posuwania się na południe od granicy, którą stanowi Dunajec, część ta Spiżu staje się coraz bardziej nierówniejszą; wysokie grzbiety, a pomiędzy niemi głębokie doliny, są coraz bardziej wydatniejszymi w miarę zbliżania się do stóp Tatrów, a zaniemi idzie nadzwyczajna dzikość. Wioski rozciągające się po dolinach, jakoto: Jurgów, Czarnahora, Jaworyna, nie różnią się w niczem od podhalańskich Chochołowa, Zakopanego i Bukowiny.

Jaworyna. Pod samemi stopami Tatrów ciągnie się długa wioska, albo raczej zakład hutniczy Jaworyna, przy otworze potężnej doliny jaworyńskiej. Ta dolina rozpoczynająca się przy najwyższych szczytach tatrowych, około sześć godzin długa, jest na wschodzie ostatnią wielką przerwą tego łańcucha, należy w nim do największych, i dlatego jest podobna do doliny Białki, Kościeliskiej i Rohaczów. Wśród dziko poszarpanych grzbietów, gęstych lasów jodłowych i świerkowych, nader ujmuje podróżnego ten zakład; obszerne domostwa, wielki piec, młoty, czysto, nawet z pewnym zbytkiem są utrzymywane. Przeciwnieństwo pomiędzy siłami przyrody a dziełami człowieka, mieści w sobie jakiś niewymowny urok. Zakład ten oddawna założony został dla wytapiania rudy żelaznej, zawartej w poblizkiej górze Swistowej; ale pokład jej leży na znacznym wyniesieniu, a do tego po pewnym przeciągu czasu zaczął stawać się coraz węższym, i zmieszał się tak ściśle z wapieniem, w którym tkwi, że stał się całkiem nieużytecznym. Teraźniejszy dzierżawca p. Heissel przekonał się, że korzystniejszą jest rzeczą sprowadzać z południowego Spiża bogato-procentową rudę (węglan żelaza), o dwa dni drogi odległą, po najgorszych gościńcach, aniżeli spuszczać się na ubogie rudy góry Swistowej. Przekonał się nadto pan Heissel, że nieraz korzystniej jest wykuwać surowe żelazo, a tym sposobem spostrzebowywać gęste lasy, użytkować z wody i zakładów fabrycznych; i dlatego w terażniejszym czasie niebardzo czynnym jest wielki piec, gdy przeciwnie młoty i walcownie, według nowszych popraw urządzonych, przerabiają 15,000 do 18,000 centnarów wiedeńskich surowego żelaza, sprowadzonego po większej

części z wielkiego pieca w Kurczynie, niedaleko Muszyny i Bardyowa, lub z licznych wielkich pieców południowego Spiża.

Produkcya żelaza otwiera mieszkańcom Jaworyny liczne zarobki, i zapewnia im jeżeli nie obfite utrzymanie, to pracownicy mogą żyć w twardych latach drożyzny, pochodzącej z gnicia ziemniaków. W zimie pospolicie ustają w Jaworynie wszelkie roboty, bo nie ma siły: spadające wody z wysokich hal ścinają się w lód, a źródła zasilające strumienie, są zastabe do obracania licznych kół tego zakładu. Wody jaworyńskie nie mogą się mierzyć z obfitością źródeł przy wielkim piecu Zakopanego, gdzie nawet w czasie największych mrozów strumienie płyną jak zwyczajnie, i prace hutnicze nie ustają, albo na krótki czas tylko. Kute żelazo jaworyńskie, podobnie jak Zakopanego, należy do najlepszych: albowiem surowiec wyrabiają z najlepszych rud (z węglanu żelaza), na węglu drzewnym, a następnie przekuwają go podobnymże węglem.

Wspaniały jest widok na dolinę Jaworyny z zakładu, aczkolwiek znajdującego się na wysokości 3011 stóp według Wahlenberga; tém samém Jaworyna leży prawie na takim wyniesieniu, jak wielki piec Zakopanego i kościeliski młot. Jeszcze rozleglejszym staje się ten widok, postąpiwszy około 1000 kroków do doliny: ztamtąd widać długi pas olbrzymów skalnych, na krańcu wschodnim rozpoczyna się potężna masa piramidalna granitu, zwana Rother Thurm, połączona rozciągniętą przełęczą nazwaną Siodło nad białém jeziorem (Sattel ober dem weissen See); dalej rozciągnęte niższe wirchy tworzą jakby zakłęśnienie aż do granitowej piramidy zwanéj Kołowe, sterczącej nad wysoko położoném jeziorem Kołowe, tak nazwaném od koła utkwionego kiedyś w środku jego wód. Bystro wznoszący się wirch Kołowy łączy potężna masa skalna, podobna do skośnej piły, albo przewróconych stopni, nazwana Pośredni wirch, (nazwa zwyczajnie używana od górali dla niższych szczytów, łączących dwa wyższe); za nim wznosi się dopiero bystro piramidalna Lodowata. Niktby nie sądził, że to najwznioślejszy szczyt z całego pasma; inne wydają się również wysokimi, ale nie łatwiejszego, jak mylić się w ocenieniu wysokości gór, kilkaset stóp od siebie wyż-

szych. Nieraz góra niższa wydaje się pozornie wyższą; wpływa na to wiele okoliczności, a mianowicie odległość, w jakiej się obiedwie wznoszą od uważającego, jako i ich oświetlenie. Wielki szwedzki botanik Wahlberg, który tę część gór najdokładniej rozpoznawał, uważa, że Lodowata (Eistaler Spitze) wyższą jest od szczytu Łomnickiego, a tém samém najwyższą w Tatrach. Przewodnicy opowiadali mu, że nie jest dostępną; tymczasem tak nie jest w istocie. Odważny strzelec na dzikie kozy Kasin Jonek z Jaworny opowiadał mi, że nieraz był na szczycie Lodowatej, a nawet, że wstęp od strony północnej nie jest tak trudnym. Na wszelki wypadek życzyłoby należało, aby kto Lodowatą zmierzył dobrym barometrem i rozstrzygnął, który ze szczytów Tatrowych jest w istocie najwyższym. Za Lodowatą sterczą w końcu potężne jaworowe turnie, a dalej zamykają ten widok wirchy wznoszące się nad Morskiem Okiem.

Postąpiwszy kilkaset kroków za wielki piec jaworyński ku wnętrzu doliny, weszliśmy do gęstego lasu. Rzadkiej piękności drzewa znajdzie tutaj malarz krajobrazów; świerki w całej potędze roślinności, a botanik może badać, jakie warunki sprzyjają rozwojowi tej rośliny, właściwej zimniejszej strefie. Nieraz te piramidalne drzewa wieńczą siwą skałę wyskakującą w pośrodku lasu czarnego i spuszcza ją się do strumyka, którego szmaragdowe wody rozbijając się w pianę, przyczyniają się do wdzięku tych spokojnych obrazów. Przeciwnieństwo małych i wielkich widoków przyrody ma właściwy powab. Przebywszy ten las, otworzyła się przed nami rozległa polana, a na niej, jakby z niechcenia rzucone pojedyncze domki. Na polanie właśnie panował bardzo wielki ruch (20 sierpnia 1851r.): przy nieprzeliczonych kopcach siana krzątało się mnóstwo górali i góralek; jedni grabili, drudzy ustawiali stożki, mniej posiadający znosili siano w białych płachtach do szopek na zimowe schowanie. Około polan czyli łąk ogrodzonych nader pilnie chodzą tutejsi górale: starannie wybierają z nich kamienie, układają niemi ogrodzenia, i posypują nawozem, zbieranym w ształasach. Dotąd nie nawodniają ich, bo zdaje się, że tego niema potrzeby, gdyż w Tatrach aż za częste deszcze, i na brak wilgoci nie trzeba się uskarżać.

Różnica pomiędzy uprawną a zapuszczoną polaną uderza na pierwszy rzut oka; pierwsza ma żywą zieloność, druga zaś jakby zwiędłą.

Okolice górskie mają tę wielką wyższość nad równinami, że co kilka tysięcy kroków zmieniają się widoki. Z polany jaworyńskiej wydaje się Lodowata nadzwyczajnie potężną, i przedstawia się w całym ogromie massy wraz z przyległym szczytem Rother Turm; od wschodu skalisty Murań zdaje się jakby się nad polaną zwieszał, a za nim do stogu siana podobny Hawrań i rozciąga Jagnięcia. Ostatnie góry składają się z wapienia, i jak zawsze, urozmaicają one wielkie siwe ściany lub iglice, wyskakujące z ich boków i szczytów.

Od polany jaworyńskiej, postępując dalej ku górom, roślinność jest jakby całkiem przyduszona: smutna przyroda mineralna obejmuje swe panowanie, niezmierne okrąglice granitu okrywają całkiem dolinę, albo tworzą potężne grzbiety, powlekając całe ich boki. Podobne okrąglice leżą w krajach nad brzegami morza Niemieckiego i Bałtyckiego, poczynszy od Holandyi przez Niemcy, Polskę i Rosyą, aż do Uralu, których granicę południową naznaczył pierwszy na karcie geologicznej Rosyji europejskiej, sławny angielski geolog Sir Roderyk Murchison. O ich początku w jaworyńskiej polanie nie ma żadnej wątpliwości: stoczyły się z przyległych olbrzymów granitowych, a może rozsiały je w części po powierzchni dawne lodniki; śladów ich jednakże, jakoto: wygładzonych lub porysowanych ścian, stanowiących boki dolin, nie można wcale dopatrzeć. Granity północnej Europy zdaje się że przybyły na krach pędzonych od bieguna północnego, bo około niego rozpościęrały się lody kiedyś nierównie obszerniej, jak w naszych czasach. Świerki pośród tych okrąglic rzadko wyrosły, albo są pokrzywione; pospolicie siwym mchem powleczone. Nie tak upośledzonemi od ostrości klimatu są limby, tutaj liczne; widać, że znoszą ostrzejsze zimno, bo wcale zdrowe mają wejrzenie. Nie można dosyć uwielbiać przyrody: do wszystkich okoliczności przystosować umiała żyjące jestestwa. Lubo okrąglice tej części doliny jaworyńskiej składają się z twardego granitu, psują się jednak widocznie: życiodawczy kwasoród powietrzni zarazem

i wszystko niszczy. Przez pewien czas utrzymuje on jestestwa żyjące, a gdy przebiegną koło zamierzonego żywota, zapewniwszy trwanie gatunku, przyczynia się głównie tenże pierwiastek do ich zniszczenia. Nie tak szybko działa kwasoród na przyrodę nieożywioną, lecz nieustannie przygotowuje jej rozkład. Ten rozłaczający proces odbywa się nieprzeliczonemi drogami: w granitach rozdziela od siebie naprzód mechanicznie trzy jego składowe minerały, tojest: mikię, feldspat i kwarc, następnie lekko blaszki miki unosi wiatr, a feldspat przechodzi szereg przemian, t. j. zwolna traci pojedyncze pierwiastki, a z niemi swą spójność; także rozrabia ten minerał następnie woda, bo wymywa i zwolna uprowadza to twarde ciało. Okrąglice tak nadpsute mają nader chropowatą powierzchnią dla wystających ziarn kwarcu, ale i te wypadają przy dalszém niszczeniu feldspatu, a z ich rozkładu powstające piaski zwiewają wiatry na małe płaszczczyzny, na których puszcza się rzadko rosnące żdźbła trawy, podobne do wyrąbanego lasu; tylko jaffer buja tutaj (ziele czarnej jagody), gęsto usnutym kobiercem. Borówki właśnie już na nich dojrzały; dochodzą tutaj do niezwyčajnej wielkości i są wybornego smaku. Grupy paproci zwarzyły już przymrozki (24 sierpnia 1851 r.), lecz świecznikowi to zimno nie zaszkodziło: jego kwiaty cudnej szafirowej barwy, tu i owdzie wśród skał rozrzuczone, odejmowały dzikość tej okolicy.

Postępując dalej ku Lodowatej, wzmagał się coraz bardziej obraz zniszczenia: roślinność stawała się jeszcze rzadszą. Mały pagór okrywały zielone krzaki, a pomiędzy nimi wznosiły się pojedyncze sucharze (zeschłe stare świerkowe drzewa bez kory). Okoliczność ta potwierdza mniemanie, że musiał być kiedyś na kuli ziemskiej cieplejszy klimat, gdyż teraz rosnący świerk zaledwie dochodzi w tém miejscu do wysokości krzaka, i bywa z jednej strony okryty śpilkami, naprzeciw dmuchającym zimnym wiatrom. Wstąpiwszy na ten pagór, pokazały się u stóp jego, wśród samych okrąglic, dwa jeziorka: pierwsze zwane Czarny staw jest podłużne, około 400 stóp długie a 50 do 60 stóp szerokie; mniejszy staw nie ma nazwy, jako bardziej podobny do stojącej kałuży. W środku ma on zieloną plamę, a woda jego jest czerwonawa od głązów granitu, w spodzie leżących.

powleczonej porostem tej barwy. Od Czarnego stawu wznosi się stromo Lodowata i tędy wstępuje się na jej szczyt. Zład dolina Jaworyny zwraca się dalej ku południowemu zachodowi, do stóp jaworyńskich turni, i ciągnie się jeszcze 5 do 6 godzin dalej; są tam jeszcze dwa małe jeziora podobne do opisanych: pierwsze leży pod Zieloną Turnią, Żabie jezioro, a pod Małym Kołbahem drugie znów, Czarne jezioro.

W tej dzikiej, kamienistej okolicy, naznaczonej smugami śniegu, gdzie człowiek rzadko przebywa, założyły sobie główną siedzibę na jaworowych turniach dzikie kozy i świstaki. Opowiadał mi jeden z najśmielszych strzelców z Jaworyny, wspomniany Kasin Jonek, także nazwany Łysy Jonek, że tam około sto kozłów położył; a chociaż ten starzec zupełnie łysy, przeszło 70 lat liczy, przecież jeszcze silny i zdrow wychodzi na polowanie, i nieraz przebywa w holach po całych tygodniach. Od niego otrzymałem kilka piosenek, które podaję, aby dać wyobrażenie o lutejszej mowie:

Wtedy mi się wtedy, serce rozweseli,

Kiedy mój Janiczek przy Krywaniu strzeli.

Wtedy mi się wtedy, serce rozweseli,

Kiedy nasz wielkomożny nad Zielonem strzeli.

Służęm sobie służęm, chodzęm po dziedzinie,

Szukam sobie szukam, dobrej gospodynie.

Słyszałem se na turni godzinę bic,

Miałem ja se frajerki, teraz nie mam nic.

Kup mi buty, kup mi pas,

Bo ja idę kozy paść.

Dudki z capa, dudki z kozła,

Poprawże się, boś się zwiezła.

Z turni owce z turni, do zielonej równie,

A ty suchajeczku przybliżaj się ku mnie.

Pod Spady. Prosto wyknięty gościniec prowadzi od zakładu jaworyńskiego przez bujny las świerkowy do kilku domów, pomiędzy którymi odznacza się porządne mieszkanie leśniczego, nazywane Pod-Spady. Drogę tę przecina prawie w środku szumna Jaworynka; odtąd zwraca się na zachód i szeroko płynie pod potężnym grzbietem, okrytym w części lasem, w części polami ornymi, na których widać rozrzucone chałupy. Od Pod-Spadów zwraca się główna droga na wschód, do południowego Spiza; a chociaż tędy całe Podhale jeździć zwykło po zboże węgierskie, droga ta jednak nie należy do najle-

pszych: miejscami nawet trudną jest do przebycia. Te przykrości wynagradza prawdziwie wspaniały widok na Murań i dalsze grzbiety, zniżające się coraz bardziej ku wschodowi. Wjehawszy na grzbiet wzniesiony pomiędzy Pod-Spadami a Żarem, uderza potężny a śmiały Murań, ostatnia wielka massa skalna wschodniej części Tatrów. Skaliste ściany zbiegające się w ostry koniec, nadają temu wzniesieniu coś niewymownie pięknego i niezwyčajnego. Aczkolwiek Murań nie jest bardzo wysokim, wstęp nań jest bardzo trudny: jedna tylko ścieżka prowadzi na szczyt, w wielu miejscach niebezpieczna. Według opowiadania przewodników, jest w tej wapiennej górze obszerna jama, w której czterema końmi można zawrócić. Z wysokości drogi, widok na góry Murania i za nimi ciągnące się grzbiety, kończące ten łańcuch, nazawsze pozostanie w pamięci. Dalsze grzbiety mają odmienny kierunek od Tatrów, i zapewne wzniosły się pierwój od tego pasma.

Wieś Żar. Nazwę tej wioski piszą nadzwyczajnie dziwnie na kartach geograficznych przez Madziarów wydawanych, i w dziełach zlamtąd czerpających. Któżby się dorozumiał, że Zsjar lub Zsdjar ma znaczyć polski Żar. Mieszkańcy tej trudno dostępnej wioski niewiele mają ogłady, i może nie wyrażę się za ostro, są jak-by zdziczali. Właśnie temu ich odosobnieniu winniśmy zachowanie najdawniejszych form językowych, często niezrozumiałych, a mało co rozpoznawanych; poznanie tego odwiecznego narzecza, przyniosłoby niemało objaśnień badaczom naszego języka. Wieś ta ciągnie się wzdłuż doliny prawie na milę, i przypomina żywo równie rozciąglą wieś Zakopane. Jak w całej góral-szczyźnie, tak i Żar nie jesto ciągłą wioską, lecz składa się z wielu gromadek domów; skrajna nazywa się Parowiec, dalej siedzą Majorczykowie, Bryloniaki, Bachledowie, a prawie w środku stoi kościół i plebania, wcale porządna, i większa gromadka domów. Dziwna rzecz, że w Żarze nie zaszczepiła się wstrzeźliwość i nie wzięto wzoru z przyległego Podhala, gdzie tak nadzwyczajnie zbawienne skutki sprawia. Gdy w roku 1844 zaprowadzono w całych Bieskidach i Tatrach tę zasadę tak dobroczynną dla ludzkości, sądzili węgierscy duchowni, że trudno, aby człowiek mógł się zupełnie obejść bez

wszelkich gorących napojów, i duchowni skłaniali swych paralian ślubować na mierność, to jest na mierne używanie napojów. Jakie owoce wydała ta zasada w sobie prawdziwa, czas okazał. Przez kilka miesięcy umiarkowanie używali wódki Żarzanie, jak i mieszkańcy innych wiosek węgierskich; ale po ustaniu tego ślubu. po roku, nierównie więcej pili, jakby dla powetowania tego; co stracili przez pewien czas. Teraz z obrzydzenia widać po karczmach w dni świąteczne ludzi bez zmysłów leżących. Mieszkańcy Żaru zajmują się głównie chowem bydła po obszernych a bujnych holach; nierównie mniej zajmują się uprawą roli, ograniczającą się na owsie, jęczmieniu i ziemniakach.

Od młynów Żaru, nad którymi sterczą ściany konglomeratu rozsypującego się w żwir, zwraca się droga ku południowi, ku holom, i prowadzi przez głęboką dolinę lesistą. Dwie dobre godziny trzeba jechać wśród gąszczów leśnych; niekiedy tylko wśród drzew wystaje siwa skała wapienna, czasem spotka podróżny jucha z stadem owiec, albo karawanę wracających górali z siaciem (zbożem), jako wynagrodzenie w żyznych krajach węgierskich, za robotę wykonaną w czasie żniwa. W końcu rozszerza się znakomicie ta rozpadlinowata dolina. góry odsuwają się na bok, i wreszcie na równinie pokazują się nieco większe zabudowania karczmy Szarpańiec. Zwyczajnie popasują tu podróżni, jadący w przeciwne strony. Pomiedzy gęstymi lasami, ciągle u stóp Tatrów, ciągnie się droga do wód kwaśnych w Szmeksie; ale pospolicie dla niezmiernych błot nie jest do przebycia.

Od dobrze znajomego Szarpańca, postępując drogą ku Kesmarkowi, zmienia się szybko wejrzenie kraju. Bryły granitu okrywające całe równiny podtatrowe stają się coraz radsze: zastępują je zwolna żwiry, piasek, a za nimi zaraz zaczynają się uprawne role; oko spotyka rozrzucone sioła, aż wreszcie kraj uprawny przeważa i zaczyna się żyzny Spiż, zamieszkały przez Niemców, w XIII i XIV wieku tutaj przybyłych, powszechnie Sasami zwanych. W miarę oddalania się od gór, zdaje się, że się podwyższają; już milę za Szarpańcem wydają się olbrzymiami.

Magora. Od końca Tatrów, dalej na wschód od Zaru ciągnie się potężny grzbiet, złożony całkiem z piaskowego kamienia, zwany Magora, podobny do niezmiernego wału. Od tego przedziału nazywają mieszkańców na północnym boku mieszkających Magorzanami, i uważają ich za najbiedniejszych w całym hrabstwie; jeżeli głodny rok następuje, naprzód troszczą się o nich na Spiżu. Magora jest zarazem linią graniczną dla dwóch szczepów: Polaków i Słowaków. Na północnym stoku siedzą pierwsi, na południowym drudzy, a pomiędzy nimi płaczą się niemieckie osady. Wyborna, starannie urządzona droga ciągnie się przez Magorę aż do Czorsztyna. Wioski przy niej leżące są długie i jednakowe mają wejrzenie. Pomiedzy Szaflarami a Białą jest przerwa dobrze pół mili szeroka, którą płynie Biały Dunajec, wychodzący z Tatrów; dopiero pod miasteczkiem wymienionem wznoszą się znowu wapienie w kształcie piramid, nadające tyle malowniczej różności dolinie Dunajca. Widać to szczególnie dobrze, spuszczać się z wysokości Zakliczyna ku Nowemu targowi.

Od Białej aż ku Czorsztynowi i niedzieckiemu zamkowi ciągną się łańcuchem wapienne skałki, coraz wyższe w miarę zbliżania się na wschód; jedne okrywają czarne lasy świerkowe, innych skaliste ściany są dziwnie potargane. Nad samym Dunajcem, na jednej z tych skał stoi ruina zamku niedzieckiego, nazywana także na kartach węgierskich Arx Dunajetz, zamek dunajecki. Zamki niedziecki i czorsztyński wznoszą się na przeciwnych brzegach Dunajca, wśród dziko poszarpanych skał i bujnej roślinności, i nadają niewymowny wdzięk całej okolicy, położonej na granicy dwóch kiedyś znaczniejszych państw. Właściciel zamku niedzieckiego baron Paluczaj, do którego prawie większa część Spiża polskiego należała, kazał przed 30 laty wyporządzić wewnątrz zamek niedziecki, i odwieczny ten gród stał się wcale przyjemną siedzibą, bo obszerne i wesołe pokoje mieści ta pozorna ruina. Baron Paluczaj należał do rzędu tych obywateli węgierskich, którzy wymierają już widocznie. Pełen serdeczności, co miał w myśli, to i na ustach; lubił nadzwyczajnie towarzystwo, przyjmował nader gościnnie odwiedzających, i nieraz ciekawy wędrowiec musiał po kilka dni

zostawać w tym gościnnym zamku, opływając we wszystko: zwodzony most bowiem został zciągnięty, jego stróż miał nakaz nie wypuszczać nikogo bez pozwolenia pańskiego, a oknem i najśmielszy nawet gimnastyk nie śmiałby się spuścić.

Kiedym zwiedzał ten zamek, nie żył już jego właściciel, tylko odźwierny okazywał jego wnętrze i piękne widoki z różnych okien; ze smukiem opowiadał o wesołych niegdyś biesiadach. Aby przekonać się o bogactwach tego zamku, trzeba zstąpić do piwnic: tam pełno pułek ustawionych przy ścianach, uginających się niegdyś pod nieprzeliczonemi rzędami najwyborniejszego soku z Tokaju. Teraz w tylnych zabudowaniach zamku urządzono więzienia, i słychać było chrzęsty łańcucha. Takie to zmienne koleje przechodził ten gród średniowieczny, pełen wspomnień historycznych.

Blisko Niedzicy urządzony jest przewóz na Dunajcu do dawniej komory w Starój-wsi, którą po niemiecku nazywają Altdorf, a nawet piszą O Falu na kartach węgierskich. Na co się to zdadzą takie przemieniania nazw, zapyta się zapewne każdy, kto chce na karcie geograficznej znaleźć ułatwienie, a nie przeprowadzenie jakichś widoków. Niejeden mając kartę dla użytku w podróży, znajduje na niej takie nazwy, jakich żaden z mieszkańców nie zna. Ale zaślepienie nie jest długotrwałe: runie ono samo przez się. Stara-wieś ma być miasteczkiem, więcéj jednakże ma podobieństwo do dobrej wioski: jest w niej kilku rzemieślników, i nieco wygodniejsza karczma żydowska. Od Starój-wsi ciągnie się dobrze utrzymywany gościniec przez rozległe wioski Małaszowce, Hanuszowce, Redów i Hagy; we wszystkich mówią po polsku, jednak ogólne wejrzenie mają niezupéłnie podobne do podhalskich. Domy stawiane z okrąglaków, noszą piétno góralskie. Wielkie stada bydła i owiec i lepszy nieco ubiór, mianowicie u kobiet, świadczą, że mieszkańcy są zamożniejsi od sąsiadów swoich. Tak na północném jak i na południowém pochyłu droga prowadząca przez Magorę do Spiża południowego jest starannie i dowcipnie wykonaną, mianowicie w boku od Hagów składa się z samych gzygzków. Patrząc z wysokości na tę wioskę, przedstawia się obraz zachwycający. Na wierzchu Magory stoi biedna

kraczmą, którą pomawiają, że ma być schronieniem zbójców. Postąpiwszy kilkaset kroków dalej, roztwiera się rozległy widok na Spiż południowy; kraina ta wydaje się jakby rozigrane morze, tylko jego fale ścięły się w kamienne grzbiety, pomiędzyktórymi leżą nieprzeliczone sioła różnej wielkości. Wyższe góry okalają wieńcem południowy Spiż.

Czerwony Klasztor. — Na lewo od Staréj-wsi prowadzi dosyć dobra droga do Czerwonego Klasztoru, prawie ciągle w pobliżu Dunajca aż do małych Pienin, które jeden z najpiękniejszych krajobrazów wydały. Przed tém małym pasemkiem sterczą piramidalne szczyty. Za największą trójkątną piramidą zwaną Macello wa góra, wznosi się mniejsza téjże postaci, Nowa góra zwana, zetknięta ze skalisto-potarganemi Pieninami. W całej piękności wydają się te góry od Czerwonego Klasztoru: przysanym prawie Dunajcu niezwyčajnej wysokości lipy tworzą piękne grupy, osłaniając niezbyt zajmujące gospodarskie budynki, a dalej starożytny gotycki kościółek z klasztorem. Kiedyś przebywali w nim Kartuzi, potem zastąpili ich Kameduli, lecz i ci zostali skasowani: teraz obszerne klasztorne zabudowania zmieniły się na folwark, i wraz z gruntami oddane na dochód grecko-katolickiemu biskupowi. Ztąd zwykli goście szczawniccy na łodziach wyrobionych z okrągłaków, a spojonych po dwie razem, odbywać podróż na szumnym Dunajcu, wijącym się wśród nagich skał aż pod Szczawnicę. Jestto jedna z tych zabaw, której w żadnych innych kąpielach polskich użyć nie można: mało gdzie znajdują się podobne. Kto sobie życzy używać piękności przyrody, niechaj odbędzie ten w swoim rodzaju właściwy spacer. Dzikość i malowniczość naprzemian zajmują duszę; wśród potężnych ścian skalistych, widać błękit niebios, a zupełną ciszę przerywa tylko szum szmaragdowej i jak łaza przezroczystej wody, rozbijającej się w pianę. Dunajec po nieprzeliczonych skrętach, po dobrej godzinie drogi zaczyna swe boki rozszerzać, coraz pochyłość ich zmniejsza się, skały powleka zieloność, widać i drożynę, którą chodzą do lasu bukowego górale. Uwiadomieni przez wystrzały nadbrzeżni mieszkańcy, witają płynących również szczególniejszymi sposobami, przypominającemi zagraniczne wody. Jeden

góral wchodzi do Dunajca aż po szyję, drugi bawi skokami, inny wygrywa na gęśli lub trubiecie (długiej a prostej drewnianej trąbie) góralskie melodye. Używanie piękności przyrody ma w sobie jakiś niewymowny powab; kto odbył podróż na Dunajcu wśród Pienin, zachowa o niej wspomnienie, dopóki w nim nie zgaśnie ostatni wątek życia umysłowego. Pod względem mineralogicznym mieści ciekawy szczegół: Dunajec przy Czerwonym Klasztorze niewiadomo z kąd osadza na piaskach czarny minerał, zwany Magnetytem i Ilmenitem. W całych Tatrach i okolicznych górach nie ma skały te ciałta zawierającej: tém więcéj zasługują więc na uwagę, że im powszechnie towarzyszą w różnych stronach ziemi złoto rodzime i minerały zawierające platynę, którą nowsi mineralogowie nazywają Polixenem. Wśród czarnego piasku, wydobywającego się z Dunajca, trafiają się jeszcze drobne ziarneczka przezroczyste, żywéj czerwonej barwy, podobne do rubinu lub rubinspinelu. Dla zbytnej małości, nie było można dotąd przekonać się, jakito istotnie jest minerał. Ilmenit należy do rzadszych minerałów na powierzchni ziemi, zawiera pierwiastek w sobie zwany tytan, który nie został dotąd w polskich krajach znalezionym. A zatém ta piękna okolica jest i dla mineraloga, i dla chemika ważną i ciekawą.

Śmierdzionka. Za Czerwonym Klasztorem dobre ćwierć mili dalej, na głównym gościńcu, w ciasnej dolinie z niezbyt wysokimi bokami, jest zakład kąpielowy: nazwa jego niebardzo piękna, pochodzi od źródła siarczanego, wielce zachwalonego w téj okolicy. Kiedyśmy zwiedzali te strony, (8 września 1850 r.) już wszyscy goście rozjechali się, a nawet wyprowadził się dzierżawca czy właściciel, i w obszernych domostwach kąpielowych nie było żywéj duszy; nawet do ałacza (tak nazywają w Węgrzech stajnie przy karczmach) trudno się było dostać, tak mocno drzwi były zaparte: zapewne, aby w zimie śniegi nie psuły tego domostwa. Źródło Śmierdzionki ma wodę zupełnie przezroczystą, na dnie powstaje osad pięknej fioletowej barwy; drugie obok wypływające źródło ma zielony spód. Obadwa wydają odor wodorodu siarkowego; tylko drugie jest nierównie słabsze. Temperatura pierwszego wynosi + 9,0—40,6 (8 września 1850 r.). Z jakiej skały dobywa się ta woda,

nie można odgadnąć: nie wskazuje, iżby w głębi leżały pokłady siarki; zdaje się zatem, że powstaje z rozkładu pirytu (połączenie siarki i żelaza), zawartego niekiedy w wapieniach. Żydzi mieszkający w okolicy, głównie w dwóch letnich miesiącach zaludniają te mało co znane kąpiele, otoczone najpiękniejszymi widokami, które może kiedyś staną się sławnymi, gdy urządzenia dla przyjęcia gości będą zastosowane do potrzeb ludzi wykształconych.

Haligówce. Już ze Śmierdzionki widać poszarpaną górę, zwaną skałą Haligowską, a u stóp jej leży długa wioska Haligówce, z którą kończy się ludność polska, a zaczynają się Rusini, noszący białe gunie, choć zresztą ubrani zupełnie podobnie do naszych górali. W skałe haligowskiej jest nieco znaczniejsza jama, dosyć często odwiedzana. Postępując ciągle tą piękną doliną, przebywaliśmy wioski Foliwark i Lipnik; droga nie była najlepszą, mianowicie też od Gmaidów ku Lubowni, małego miasteczka w miłej okolicy położonego, którego ludność jest znów zupełnie polska, pomieszana z licznym żydowstwem. Ci ostatni zajmują się handlem, i w kilku wcale porządnym domach na rynku porządne mają sklepy.

Szczególniej pięknie wydaje się ta miejscina z wysokości zamku lubowieńskiego, często wspomnianego w naszych dziejach. Budynek ten nie jest bardzo obszerny; prawie w jego środku wznosi się okrągła wieżyca, która nadaje zamkowi właściwą fizyonomią. Tak z wysokiego obwodowego muru, jak i z samego zamku oddawna opadł tynk, i kto chce zastanawiać się nad materiałem, jaki służył do budowy w tych okolicach, ma do tego najlepszą sposobność. Najdawniejsza o tym zamku wzmianka sięga początku wieku XIV. W r. 1308 umocnił go do tego stopnia Maciej hrabia z Treneczyna, że król Karol I z największym trudem go zdobył. W roku 1412 widzimy w nim Jagiełłę z cesarzem Zygmuntem królem węgierskim, radzących przez siedm dni o Krzyżakach i Wołochach: pierwszych postanowili wygnać z Prus, a ziemią podzielić się napoły. Król polski obowiązał się rozkazać Wołochom, aby pomagali Zygmunтови przeciw Turkom, a gdyby tego uczynić nie

chcieli, mieli ich obadwaj mocarze wygnać, a ziemią również napoty się podzielić.

W roku 1419 powtórnie odwiedził zamek Jagiełło, bo właśnie przybyli doń posłowie papieżcy, wstawiając się o zawarcie przymierza z Krzyżakami. W roku 1433 zdobyli go Hussyci, a roku 1461 wpadł w ręce okrutnego Giskry, który zamek okropnie zniszczył, złupiwszy go poprzednio. Roku 1553 wybuchł w nim straszny pożar, spaliły się wszystkie dokumenta w archiwum, a rządca jego Balimeneth utracił życie; już odtąd nie wrócił zamek do pierwotnej świetności. Roku 1558 Maksymilian arcyksiążę austriacki, ubiegający się o tron polski, osadził go Węgrami; lecz paktami bendzińskimi zawarowany został zwrot jego. Roku 1669 postanowiono na sejmie utrzymywanie załogi ze stu piechoty dla obrony zamku i strzeżenia jego bezpieczeństwa. W czasie wojny szwedzkiej, schronił się tutaj Jerzy Lubomirski z garstką wojska, uwożąc klejnoty koronne, a na początku stycznia 1656 roku przybył do niego Jan Kazimierz wracający ze Szlązka. Uchwalała sejmowi roku 1658 policzyła zamek ten w rzędzie sześciu twierdz, które nakładem rzeczypospolitej utrzymywane i zaopatrywane być mają, powiększając załogę do 120 i porównawszy ją co do żołdu z kamieniecką. Lustracja z roku 1664 nie daje wielkiego wyobrażenia o uzbrojeniu tego zamku. W roku 1769 zdobyli go konfederaci barscy pod marszałkiem Duszyńskim, ale wkrótce go opuścili. W r. 1772 zajęły go wojska austriackie; odtąd przeszedł zamek pod zarząd cywilny. Dawna ta siedziba starostów spizkich jest teraz własnością prywatną; opuszczony, bardzo spustoszał. Teraźniejszy jego właściciel p. J. Reisz kazał go wewnątrz wyporządzić, i założył w nim wcale miłe mieszkanie: z pokoi najpowabniejszego używać można widoku na miasto Lubownię i ku Tatom. Ten czerstwy i wesoty starzec nie mieszka w nim; opowiadał, iż oddał zamek na mieszkanie swemu synowi z tą uwagą, że młode nogi mogą się po górach lepiej wspinać; sam zaś pod zamkiem woli przebywać w porządnym domku przy zabudowaniach gospodarskich, zetkniętych z wioską. Na murach obwodzących zamek zachowały się jeszcze dawne wspomnienia; na wielkiej tablicy z czerwonego marmuru jest herb książąt Lubomirskich,

a nieco dalej na podobnym marmurze smukły orzeł Jagielloński z literami na piersiach S. A. Zaraz za zamkiem wznoszą się wyższe wzgórza bujnemi lasy okryte; buki, dęby wraz z jodłami naprzemian okrywają pojedyncze wirchy, składające się z czerwonego marmuru, zupełnie podobnego do rogozińskiego, czorsztyńskiego lub Pieńin. Niezmiernie obszerne łomy w górze Morman-kamiień (marmurowy kamień) są w trzech miejscach; na ich spodzie porosło pełno krzaków, a nawet drzewek, tu i owdzie leży w pół ociosana bryła, widać opuszczona oddawna przez robotników. P. Reisz właściciel tych lasów i tego nieużytecznego teraz łomu, opowiadał mi, że już od XIV wieku łamano tutaj marmury na pomniki przeznaczone dla Krakowa. W roku 1770 obstalowano ostatnią potężną bryłę, przeznaczoną na ołtarz, czy nagrobek, i dano na to zadatek; ale zamieszania krajowe nie dozwoliły sprowadzić jęj, i dotąd leży w łomie mchem porosła. Marmur czerwony lubowiński zupełnie jest podobny do składającego pomniki Jagiellonów i niektóre późniejsze w Krakowie, uchodzi jednakże u starożytników krakowskich za marmur szwedzki. Nie ma wątpliwości, że w Szwecyi znajdują się czerwone marmury; czy są zupełnie podobne do składającego pomniki krakowskie, powątpiewam, albowiem szwedzkie mają odmienne na sobie rysunki, a przeciwnie lubowińskie największe mają podobieństwo do czerwonych marmurów północnych Włoszech. Pomniki z czerwonego marmuru w Wenecyi, Padwie, Wiczency i Weronie, nie różnią się wcale od kamienia nagrobku Kazimierza W., Władysława Jagiełły, Zygmunta Starego, Augusta i t. d.; marmury te mogą więc tylko pochodzić albo z Włoch, albo z Karpat. Tak obszerne łomy musiały dostarczać wielkiemu i potężnemu miastu materiału do rzeźby; w Spiżu i jego okolicach nie ma żadnego wielkiego miasta z podobnemi pomnikami, prócz nieznaczących szczytków w Preszowie, Koszycach, Kesmarku, Lewoczy, Nowej-wsi lub Bańskiej Bystricy (Neusohl). Jestto prawie zupełny dowód, że dla Krakowa służyły te dwa łomy na liczne pomniki. Nierównie więcej używano tego czerwonego kamienia w XIV, XV i XVI wieku, aniżeli w późniejszych czasach, bo odtąd czerwone zastąpiły czarne marmury, w Dębniku i Krzeszowicach kopane. Przez ograniczone

używanie tego pięknego materiału, wiadomość o nim poszła w niepamięć i wyległy się jakieś błędne mniemania o szwedzkim pochodzeniu tego marmuru, chociaż nie potwierdzają tego żadne rachunki lub podania. Szukanie wszystkiego w obczyźnie wprowadziło to błędne mniemanie. Możliwy rzecz tę stanowczo rozstrzygnąć przez skamieniałości widoczne na niektórych pomnikach, a mianowicie na grobowcu Kazimierza Wielkiego, lecz ponieważ dostęp do niego nie jest łatwy, trzeba to dogodniejszemu czasowi zostawić.

O małą milkę od miasta Lubowni jest wyborna szczawa lubowieńska (Lublauer Bad po niemiecku). Na prawo od drogi zawraca się do poprzecznej doliny. W gęstym lesie świerkowym odstaniają się nagle rozległe a porządne zabudowania tej licznie od mieszkańców Węgier odwiedzanej kwaśnej wody. Jestto szczawa żelazista, obficie osadzająca przy odpływie pomarańczowy wodan żelaza. Wody jej tryszcza nader obficie, i silnie wynurza się kłębami gaz kwasu węglowego; smak tej szczawy jest bardzo przyjemny, orzeźwiający. Obok głównego źródła, 10 kroków dalej, wypływa druga nie tak smaczna szczawa, dla licznych rozpuszczonych rozwalniających soli. Szczawa lubowieńska zupełnie podobna do pobliskich w Krynicy i Bardyowie, a tém samém do pyrmonckiej. Skład jej nie jest dotąd znany: zawiera głównie żelazo i wapno; widać to przy odpływie w osadzie pomarańczowym i przy gotowaniu na kąpiele: wtedy bowiem ginie jej przezroczysta barwa i staje się mętna jak żur. Lubowieńska szczawa działa nadzwyczaj zbawiennie na zdrowie: wzmacnia i dziwnym sposobem budzi wesołość. Przybywają do niej liczne panie słabych nerwów z pobliskich okolic Węgier, i zupełnie z zadowoleniem wracają. Zwyczajnie towarzystwo tutejsze jest dobrane: zabawy nie są huczne, ale miłe i szlachetne. Szczególniej przykłada się właściciel tej szczawy pan Probstner do wzniesienia tego zakładu; wśród dziczyny urządza ze smakiem spaceru na różnych bokach doliny. Spizki biskup Rewaj wystawił małą, ale wcale piękną kaplicę niedaleko źródła na wzniesieniu. Temperatura dwóch tych szczaw jest zupełnie jednakowa; według moich pomiarów główna ma +7,80, mniejsza = 7,75 C. co zmieniwszy na podziałkę Reaumura,

odpowiada + 6,15 R. Mimo tak niskiej temperatury woda ta przy picciu wcale nie oziębia, a nawet rozgrzewa. Gaz kwasu węglowego długo się trzyma tej wody, i dlatego dobrze zakorkowana, bywa rozwożona daleko po Węgrzech, gdzie dotkliwie czuć brak zdrowej wody do picia. Dalej na wschód ku granicy szaryskiej, kraj nie jest wcale ciekawy: coraz bardziej staje się płaskim, i składa się z nieprzeliczonych pagórków okrytych gliną.

Sulin. Półtóry mili na północ od Lubowni, w okolicy trudno dostępnej dla złych dróg, nad samym Popradem wytryska jedna z najcenniejszych szczaw na Węgrach we wsi Sulin. Szczawa ta odznacza się niezwykłymi własnościami, jest bowiem do najwyższego stopnia nasycona gazem kwasem węglowym, który ją bardzo trudno opuszcza; dlatego szczególniejszą jest do przewozu i długiego zachowania. W obecnym czasie sprzedają wodę sulieńską po wszystkich nieco lepszych oberżach i restauracjach Węgier północnych; a szczególniejszą pożądaną jest w częściach niskich Węgier, gdzie zwyczajnie wody do picia są niesmaczne, a często, mianowicie dla nienawykłych do nich, bardzo niezdrowe. Zwyczaj używania tej szczawy niebardzo jest dawny. Zwrócił na nią uwagę jeden z urzędników barona Paluczaja, do którego Sulin należy, urządził jej rozsyłkę, i w obecnym czasie dochód z tego źródła, o którym przed pół wiekiem wiedzieli tylko okoliczni mieszkańcy, przynosi rocznie 60,000 do 70,000 złp. Gdy ta szczawa nie była jeszcze powszechnie używaną, zalewał ją często wzbierający Poprad; teraz otoczono ją obwodem kamiennym, który wzdętym wodom nie dozwala mieszać się ze szczawą. Nie posiadamy dotąd rozbioru tej ze wszech miar ciekawej szczawy, dobywającej się z piaskowca, nazywanego pospolicie karpatowym. Ponieważ sprawia lekkie rozwolnienie, zawiera w sobie, według wszelkiego prawdopodobieństwa siarkan magnezyi i nieco części żelaznych. W pobliżu Sulina, na przeciwnym brzegu Popradu w Galicyi, znajduje się od niedawna poznana szczawa w Rzegostowie, której wodę rozwożą po Galicyi, a w części wychodzi i do Węgier.

Podoliniec. Półtóry mili na zachód od Lubowni, wśród wyższych pagórków, leży Podoliniec, małe miasteczko, liczone do szesnastu miast, po większej czę-

ści zaludnione Niemcami. Jak powszechnie na Węgrach, tak i to miasteczko nosi kilka nazw: Niemcy mianują je Pudlein (Podolinum), a na madziarskich kartach podobało się pisać Podolinecz. Małą tę miejscinę dobrze zna całe Podhale i okoliczne Bieskidy dla szkół pijarskich. Największa część księży góralskich rozpoczyna tutaj zwykle swe nauki; wiele innych dzieci niezbyt bogatych mieszkańców wyuczyło się w niej początków.

Tę w wyższym rodzaju dobroczynną fundacją, winna ta część kraju górskiego Jerzemu Lubomirskiemu, wojewodzie krakowskiemu, staroście spizkiemu, który w roku 1640 założył i uposażył tutaj klasztor Pijarów. Piękny kościół tych praktycznych zakonników, nadaje charakterystyczny widok temu miastu i zachował się dotąd dobrze. W klasztorze jest dosyć znaczna biblioteka, po większej części składająca się z książek ascetycznych; aby zaś nie raziły różnaitością, i wydawały się porządniej, ktoś kazał pomalować wszystkie grzbiety szarą olejną farbą, i to nadaje im jednostajne wejście, które łatwo może w błąd wprowadzić, że to nie są istotnie książki, tylko ich udanie. O Podolińcu zachowały się starożytne wspomnienia, a mianowicie o jego początku; i tak: Bolesław Wstydlivy w roku 1244 nadał Henrykowi wójtowi wsi Podol, w nagrodę waleczności przeciw Tatarom, przywilej założenia miasta z prawem niemieckim, a przytém różne młyny, browary i połów ryb w promieniu mili. Przyczyniła miastu temu dobrodziejstw Kunegunda w roku 1288, a Wacław król czeski obdarzył je r. 1292 różnemi pomniejszemi dochodami. W r. 1412, Zygmunt król węgierski nadał temu miastu przywilej wolnego miasta, ale nie użytkowało z niego, gdyż w tymże roku z innemi 12^{ma} miastami zostało zastawioném królowi polskiemu (1). Kazimierz Jagiellończyk ustanowił w roku 1455 w tém mieście skład towarów, i zalecał starostom spizkim, aby mieli baczność, by kupcy nie mijali tego miasta (2). Kiedyś obwodził to miasteczko mur; teraz pozostały z niego szczątki, znikające coraz bardziej.

(1) Szepeskazy i Thiede: Merkwürdigkeiten des Königsreichs Ungarn, oder historisch-statistisch-topographische Beschreibung. Kaschau 1825. T. II, str. 163.

(2) M. Baliński i T. Lipiński: Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana. Warszawa, 1844. T. II. str. 260—264.

Ruszbaki. Mila od Podolińca ku północy leżą bardzo ciekawe wody wapienne we wsi Ruszbaki, kiedyś bardzo sławne i odwiedzane, a teraz zupełnie zapomniane i prawie opuszczone. Nazwa ta pochodzi z niemieckiego (Rauschenbach), i dotąd używają jej w całej okolicy; ale mieszkańcy Ruszbaki są Słowakami, tylko nazwa niemiecka pozostała, jako ostatni ślad przemienionej ludności. Równie potężnej a szczególnej szczawy nie znam w całych Karpatach, i niewiele z nią może się równać. Wody te zawierają obficie rozpuszczone części wapienne, a to w skutek obfitego nasycenia gazem kwasem węglowym; wychodząc na powierzchnię ziemi ulatnia się z tej wody gaz kwas węglowy, a następnie wydziela węglan wapna i osadza skałę zwaną martwica, która okrywa w Ruszbakach bardzo znakomite przestrzenie. Przy samym zakładzie kąpielowym, gdzie wygórowanych wygód nie trzeba szukać, kilkunastu gości znajduje w nim pomieszczenie i ludzi, zajmujących się z chęcią przybyłym, i to ze szczerzej dobroci, co bardzo przynęca. Przy samym zakładzie wznosi się kilka potężnych kopców utworzonych z martwicy; zdają zupełnie podobne są do wulkanów, chociaż wydał je wprost przeciwny żywioł. Kopce te powstają przez powolne wydzielanie się z wody wapienia; wody te tworzą pewien rodzaj wzniesionej sadzawki, i nieustannie przelewają się nad obwód, i tym sposobem wnoszą go coraz wyżej. Nieustannie pracujące siły przyrody wydały tak znakomite dzieła, w zadumienie wprawiające człowieka zastanawiającego się. Jeden z tych kopców ma na wierzchu obwód około 50 kroków, i wznosi się przeszło 10 stóp nad powierzchnią. Kopiec ten wewnątrz próżny, jest wypełniony wodą jak iza czystą, tak, że wszystkie przedmioty leżące na dnie około siedm stóp głęboko, można dokładnie rozeznąć. Tu i owdzie na tym doskonałym zwierciadle dobywają się nieustannie bulki, a często silne kłęby gazu kwasu węglowego. Smak tej wody jest wapienny, słabo-kwaskowaty; w jednym miejscu odpływa, i tu wyrobiła sobie kamienną rynienkę, po której płynie. Martwica (Kalktuff, trawertyn), osadzona ze źródła ruszbackiego jest zupełnie biała, czasem i nieco ubarwiona czerwono albo brunatno, przez różne połączenia żelaza z kwasorodem i wodą. Ta w oczach naszych tworząca

się skała, bardzo ma różną spójność; tu jest twarda, jak dawne skały wapienne z morza pierwotnego osadzone; niedaleko przy niej tak miękka, że drobne cząstki węgla-
nu wapna są jakby nastroszone, i za dotknięciem wproch się rozpadają. Martwica tworzy niekiedy jednostajną masę, pospolicie pełną komórek; nieraz są one foremne i do siebie podobne, i przypominają woszczyne. Zwyczajnie różne mają kształty i wielkość; czasem na spodzie komórki leży kulka jak groch wielka, złożona z licznych warstw jakby z łupin spółśrodkowych. Kulki te bardzo podobne do grochowca, minerału osadzonego z cieplicy karlsbadzkiej, również składającego się jak w Ruszbakach z węgla-
nu wapna. W końcu pokład martwicy już przy niższych Ruszbakach zawiera pełno odcisków liści. Włóścianie przynoszą je podróżnemu na sprzedaż, jako wielką osobliwość; lecz nie są one wcale tego godne; bo są o odciski liści leszczyny, niedaleko rosnącej, odcisnięte na stwardłym wapieniu. Geologowie nazywają skamieniałościami szczątki lub odciski jestestw wygasłych, żyjących w różnych okresach przetwarzającej się skorupy ziemskiej, a odmiennych od terażniejszych klimatycznych stosunków. Niedaleko głównego źródła jest kilka kopców; w jednych jest nieco wody na spodzie, inne zupełnie suche. Są to dawne jakby wygasłe źródła; widać, że gdy wody podniosą się do pewnej wysokości, gdy kolumna ich zabardzo naciska, robią sobie nowe podziemne otwory i odpływają; ztąd pozostają te kotłowate ruiny źródeł dawnych. W jednym z takich kopców wydrążonych pozostała się na dnie szczelina, którą woda kiedyś wypływała; teraz wychodzą nią wyziewy gazu kwasu węglowego. Chociaż nie widać dobywania się gazu, jak w głównym źródle, skutki jego przecież są wyraźne. Psy i inne zwierzęta domowe, jakby ostrzeżone, unikają tego miejsca, i nie zbliżają się do niego pod żadnym względem; tylko dzikie ptaki i owady śmierć tutaj znajdują. Sam widziałem martwą ptaszynę zaduszoną wyziewem gazowym i liczne chrabąszcze. Ruszbackie źródło gazu przypomina neapolitańską grootę (Grotta del cane), tylko wymiary ostatniej są większe. Wyziewy gazowe dobywają się najmocniej rano i wieczorem, tak samo jak w szczawach; niekiedy gaz mocniej

wydobywając się, wydaje syczenie. W szacownej rozprawie o źródłach mineralnych starożytnej Polski, podaje doktor Bulikowski rozbiór dwóch źródeł ruszbackich niewiadomego chemika, mało na wiarę zasługujący (1). Cwierć mili od wyższych Ruszbak, z piaszkowca karpato-wego wytryska szczawa, zawierająca wapna bardzo mało, a zupełnie podobna do zwyczajnych używanych do picia.

(1) Opis geologiczny Szczawnicy i Szlachtowej, w Roczniku Wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków, 1840. T. III. str. 132.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE,

PRZEZ

W. D.

I.

Granica Azji od Europy.—Kaukaz chłopski.—Stauropol.

Na połowie prawie drogi od Rostowa nad Donem do Stauropoła, na wzgórkach, wznosi się słup malowany, stanowiący granicę ziemi Kozaków dońskich od kraju kaukaskiego. Nie zapomnę tej epoki pamiętnej, gdyśmy stanęli koło tego słupa. Słońce paliło wzbite prawie nad głowy, pot strumieniami ściekał nam po czole i po twarzach pokrytych kurzem i opalonych, lubo to był dopiero początek lata, a raczej koniec wiosny południowej. Jeszcze krok jeden, a mieliśmy stanąć w innej części świata, i pożegnać Europę z jej całą cywilizacją, z blaskiem oświaty chrześcijańskiej, z przepychem i zbytkiem przemysłu i sztuki. Dziwne uczucie nas opanowało: byliśmy zamyśleni, milczący, lubo jedno i to samo czuliśmy wszyscy w tej uroczystej chwili przestąpienia granicznej linii między Azją i Europą. Poza nami, obejrawszy się, ciągnął się kraj stepowy z piaszczystemi gdzieś kurhanami, ręką ludzką, czy też wiatrem usypanemi; siedziby Kozaków dońskich, stanowiące, że tak rzekę, przedśrodek Azji. Bo tak stannice, czyli wsie kozackie, jako też

charakter i obyczaje, noszą już piętno Wschodu, już się odróżniają od europejskich. Lud zda się spokrewniony z ludem Małorossyi i Ukrainy, któreśmy przebyli, a przecież spójrz na jego fizyonomią śniadawą, na włos kruczy i czarne błyszczące oczy, a zwrócisz się myślą prędzej do palących stron Wschodu i Południa, niż do tych równi słowiańskich, gdzie mieszka lud łagodnej cery, błękitnych oczu i jasno-łnianych włosów.

Ogrom myśli cisnął się do głowy. Jedna chwila jeszcze, a ta Europa świetna, tysiące grodów, świątynie, pałace, muzea, uniwersytety, sale halowe, mody, sztuka, cała wykwintność życia ucywilizowanego; nareszcie ta jej przeszłość dziwna, napiętnowana krwawymi przechodami od jednego stanu jej cywilizacji do drugiego, pracująca w pocie czoła dla swój potomności przez tyle wieków; ta przeszłość, co rozkwitnęła tyłą ludami, ich pracą i przemysłem: to rycerska w pancerzu i hełmie, z herbową tarczą, to zbrojna bagnietem i armatami, wytłaczająca stosy książek i dzienników, to znów unosząca się po oceanach i łądach na skrzydłach pary i węgla; ta przeszłość owej Europy miała za chwilę pozostać za nami i umrzeć z nią dla nas ze swemi licznymi skutkami, na długo, a może na zawsze! Za chwilę mieliśmy stanąć na ziemi starożytniej, w kolebce rodu ludzkiego, z kąd wylewało się tyle pokoleń równo-plemiennych do nas, jeszcze dla Rzymian niosących postrach, a niewolę później dla naszych pradziadów. Tu niegdyś władaty Złota i Kipczacka horda; tu obozował Tamerlan i ztąd uderzał na Europę; ztąd Czyngischan i Baty rozsyłali swe hordy: tu jeszcze dawniej Mitrydates urągał się z oręża Rzymian i śmiał się z ich chciwości i grózb niendolnych. Tu Grecy, ponad temi morzami Azowskiem (Meotyjskiem) i Czarnem (Euxyjskiem) rozsypywali tysiączne kolonie. Tu stare cudowne krążyły legendy o św. Janie, tu zapuszczał się Marko-Poło, Kontaryni i t. d. Ztąd wypływały z ludami liczne podania czarodziejskie, fantastyczne, co nas tak bawiły opowiedane ustami nianiek, co nas straszły cudownościami i potworami. Bo i natura tu cudowna: płody niewidziane u nas lub rzadkie, całe lasy orzecha włoskiego i winne latorośle oplatają olbrzymie dęby i jesiony, lub morwę, a złoty bażant trzepocze ciężkim skrzydłem pomiędzy krzewami.

Heż tu czarów i tajemniczej różnorożności przed nami! Naprzód więc śmiało do tój dziedziiny cudów, do krajów bajecznych! Krok jeden i z Europy wstąpiliśmy do Azji.

Naokoło kraj stepowy, równy, jednostajniejszy niż był dotąd: zieloność czysta bez odmian. Ledwieśmy uczynili kilkanaście kroków, przy najspokojniejszym stanie atmosfery, wicher nagle zakręcił się po drodze przed nami; kręcąc szybko piaskiem i trawą, uformował ostrokrąg przewrócony i postępował poważnie przed nami, jakby robiąc honory nieznanym gościom. Rzeczywiście w tym odludnym stepie zdało się nam, że mamy do czynienia z duchami, władcami tych pustyń; bo skoro jeden uragan uciekał gdzieś w obłoki, drugi wnet występował z nowym świstem na środek gościńca i sunał się przed nami, zasypując nam niekiedy oczy garściami piasku.

Kraj zaczynał się powoli ożywiać; powoli dawały się dostrzegać w głębi stepów zielonych niezmierne stada bydła i owiec, ubielające wielkie przestrzenie. Rola mało gdzie uprawna; ziemia porzucona hez użytku, choć pełna sił żywnych, zieleni się paszą obfitą. Drzew tu nie widać. Las rzadkością w tych stepach, równie jak w całej Małorossyi, niemniej jak dobra woda: bo jeśli jest gdzie studnia, wodę ma słoną i gorzką, a strumienie czasem spotykane sączą wodę nieczystą i błotną. Podobny strumień napotkaliśmy w pierwszej wiosce, która od niego miała swoje nazwisko. Było Woniuczij Jegorłyk, a sączył powoli zielonawą wodę po dnie mszystém.

Dobrze jeszcze przed wieczorem stanęliśmy w Jegorłyku. Włościańskie chaty wybielone z czystymi okienkami, z ogródkami, przyjemne zrobiły na nas wrażenie, przypominając wioski Małorossyi i Ukrainy, i gościnność tamtejszego ludu, do której tak często wdychaliśmy przechodząc Don i stając na kwaterach u niegościnnych Kozaków dońskich. Na spotkanie nasze już wyszedł socki z swoim godłem, długim kijem, i wnet ukazał domy, gdzieśmy mieli stanąć na nocleg. Każdy z nas ciekawy był zapoznać się z swą gospodą, gospodarzem i jego rodziną; więc nie czekając rozeszliśmy się z myślą rychłego zejścia się i ustawienia w miejscu pewnym konia i wózka, jako i dla złożenia rady ogólnej, na jakiej zwykle stanowiliśmy, co mamy sporządzić dla za-

silenia się po całodziennęj podróży. Jedno i drugie wnet zostało załatwionem, jak tylko stanąłem ze swą bryczką i koniem w podwórzcu u swego gospodarza, jak to zaraz opowiem.

Gospodarz mój nad wszelkie spodziewanie spotkał mię z powitaniem, i wzięwszy za lejce konia, odprowadził go w dogodne miejsce, rzuciwszy naprędce siana. Swęj młodocy zaś polecił nakarmić *śłużywego*, tak bowiem zowią tam żołnierzy. Kiedy się zaczęli schodzić trzej inni koledzy na wspólną naradę, ja siedząc już z drewnianą łyżką nad misą wybornego barszczu z botwiną i szczawiem, zaprawnego słoniną i pachnącego koprem, zasilałem się z żarłocznością człowieka, co 25 wiorst odbył dnia tego, pieszo zwykle. Skoro wszedł gospodarz, — »Olona, rzekł do gospodyni, dolęj barszczu i podaj więcej łyżek: może ci błahorodni ludzie nie pogardzą naszym chłopskiem jedzeniem.« Lecz ci ludzie, szlachta, nie dali sobie powtarzać dwa razy zaproszenia: zasiedli do wspólnej misy, a wnet drewniane łyżki aż trzeszczały im w zębach, gdy zaczęli zajadać wyborny barszczyk ze słoninką, który smaczniejszym nam się wydał nad rakowe i cytrynowe zupy, w pierwszych restauracyach warszawskich.

Byłoto wówczas jakieś uroczyste święto; tak u mego gospodarza, jako i wszędzie cały dom był wystrojony: dzieciaczki których kilkoro biegalo po sieni i po izbie, schludnie ubrane; młodocy w koszulach odświeżonych z płótna własnego wyrobu, z wyszywaniem czerwonymi, wykonanemi przez siebie, a parobczaki dorodne i wesole. Jakoś zdało się nam, że oddychamy zupełnie świeższem niż dotąd powietrzem, bardziej orzeźwiającem tak umysł jak i ciało. Gospodarz, jak zwykle, starał się poufną z nami rozpocząć rozmowę, i z zadziwieniem słuchał gdyśmy mu opowiadali, z jak daleka idziemy.

Nad wieczorem cała wieś była w ruchu. Po ulicach snuły się gromady zdrowych parobczaków, rumianych młodocy, rześkich dziewcząt; lecz trudno się było zbliżyć z tą młodą ludnością wsi: jakieś niedowierzanie żołnierzowi, zawsze w nich było widać. Starsi innem już na nas patrzyli okiem. Moi mianowicie gospodarstwo prawdziwie gościnni, wszelkiemi sposobami starali się okazywać mi swą

gościnność. Na noc, najlepszą jaką mieli pościel ustali mi w swój izdebce; ale zdziwili się gdym im oświadczył, że lubię sypiać na otwartém powietrzu, bez żadnych pierzyn, na swój skórzanej poduszce.

— »W takim razie, rzekł gospodarz, najstosowniejsze dla ciebie łoże będzie na sianku, którego trochę jeszcze mi tam zostaje.« Wtedy poprowadził mię do zagrody, ukazał stóg niezmierny siana, a przystawiwszy drabinę, sam naprzód wdzierał się do góry, zapraszając mię za sobą. Natychmiast własną ręką na szczycie stogu ustąpił mi miejsce, przykrywszy białem prześcieradłem, i wciągnąwszy za sobą moją poduszkę i płaszcz. Nie wiem, czy kiedy najgościnniejszy z naszej szlachty tyle siana podesłał dla swych gości, gdy ich układał pokotem w oficynie po hucznej zabawie, ile ja owęj nocy miałem go pod sobą, i nie wiem czy kto przyjemniejszy kiedy miał nocleg. Po dziennym upale, orzeźwiający powiewał wietrzyk. Niebo iskrzyło się gwiazdkami, księżyc już po nowiu dwuznacznie rozlewał światelko nad wioską, a głosy, śpiewy i wrzawa ochoczej młodzieży, późno po północy po całej rozlegały się wiosce. Długo usnąć nie mogłem. Na tej ziemi już ziemienia kaukazkiej, jakieś dziwne czułem uspokojenie: zdało mi się, żem dobiegł już w części do kresu.

Rano słońce dobrze już wzbite mocno dogrzewało, kiedy koledzy zszedłszy się pakowali rzeczy, i z pomocą gospodarza zaprzęgali konika, wołając mię po imieniu i budząc twardo jeszcze śpiącego na wierzchołku stogu. Zerwałem się i stanąłem na równe nogi na stogu, jak koń Trajana na pomniku, zdziwiony, żem się dał wyprzedzić kolegom. A ledwie się umyłem i ubrałem, już gospodyni przyszykowała jaglanej kaszy w mleku dla mnie i dla towarzyszków. Długośmy się spierali, nim gospodarz zezwolił, abyśmy wywdzięczając się, dali dzieciom jakie upominki. A nadto jeszcze na drogę kazał nam zawinąć kawał stoniny i chleba. Nie godziło się odrzucać daru z dobrego serca danego, i przyjęliśmy to jako dowód poezliwości, i spożyli później ten przysmak maoruskich wieśniaków, jak najwykwintniejszą jaką potrawę pańską.

Ranek był cudowny, gdyśmy wyciągnęli z wioski na równe i rozległe pola. Słońce wstało okazale i najpiękniej-

szy zapowiadało dzień południowego lata. Na niebie ani jednej plamki, ani cienia mgły. Przecież błękit jego nie miał tej świeżości jak u nas w tej porze. Nie widziałem tam nigdy tego ciemnego szafiru: sklep niebios zawsze obciążony jakby matem, bez świeżości, której widok u nas zda się orzeźwiać myśl i czucie, blado-błękitny, mdły. Step piękne, z bujną trawą i ziołami; lecz rola w bliskości wsi i osad chyba uprawiana, zresztą leży odłogiem, nie utrudzana pługiem, ani sochą. Lecz inny rodzaj przemysłu ożywia i wzbogaca te strony, mniej wymagający rąk, a odpowiedniejszy miejscowości bogatej w paszę: — chów bydła i trzód owiec. Po kilka tysięcy czasem jeden gospodarz wypędza w pole; po kilka tysięcy tłoczy się krówek i wołów do jednego obszernego podwórza. Nabiał tu prawie bez żadnego użytku i wartości, bo mieszkańcy nie mając nań odbytu, całą masę mleka, nie przerabiając go na sery lub masło, sami spożywają z familiami.

Upał coraz bardziej się zwiększał. Oblani potem posuwaliśmy się powoli. Koń nasz zmęczony ciężko oddychał. Od wsi do wsi na przestrzeni 26 lub 30 wiorst, żadnej karczmy, a co większa, ani śladu studni lub krynicy. Zapas wody jakiśmy mieli w tykwie, zupełnie został wyczerpany. Pragnienie każdego paliło. Wielka była nasza radość, gdy w jednej chwili pośród szmaragdowego stepu, przed nami może na półtóry wiorsty, ukazała się jasna, błękitna powierzchnia jeziora czy stawu, z drżącą i niby od wiatru wzruszoną falą. Podwoiliśmy kroku, każdy przejęty myślą ochłodzenia się i wykąpania podczas południowej spieki, w tych orzeźwiających kryształach. Przypomniały nam się owe marsze francuskiej armii po Egipcie, równie spragnionej i marzącej jak my wtedy o wodzie; ale szczęśliwsi byliśmy od niej, bośmy widzieli rzeczywistą wodę przed sobą. Jakżeśmy tryumfowali nad nią. Jeszcze wiorstę, a na nowo wstąpi w nas siła, której nam już brakło. Lecz zwolna ta radość zaczęła ustępować miejsca zwątpieniu i jakiejś ironicznej myśli o próżności i znikomości wszystkiego, co prawie już w naszym mamy ręku. Owe czarowne jezioro czy staw z błękitną falującą powierzchnią nie sprawdzało się, choć już więcej przeszliśmy, niż potrzeba było, podług naszego przypuszczenia; i jak na szyderstwo jeszcze w dalszej ukazało się przed

nami odległości. I znówu byliśmy pewni, że prawdziwą widzimy przed sobą wodę; a choć i ten *mirage* przed nami znikał i za każdą razą dalej błękitniał: długo nie chcieliśmy się rozstać z wiarą w rzeczywistość, aż podoficer weteran, nasz przewodnik, upewnił nas, że w tych miejscach żadnej naokoło nie ma wody.

Zjawiska podobne często w różnych zdarzają się postaciach, tak tu, jako też na linii kaukaskiej. Jednego razu poza Terekiem, jak mi opowiadano, widziano jadącą pyszną karetę w sześć koni zaprzęzoną. Stangret, foryś i lokaj z tyłu siedzący, wszyscy ubrani w bogatęj liberyi. Z karety widać było kilka dam z dziećmi. Przejeżdżała ona po miejscach, gdzie wcale żadnej nie było dróżki, w stronie niebezpiecznej, gdzie jedynie z silnym konwojem puszczać się podróżni. Zdziwiło więc to mocno wszystkich; posłano natychmiast konną eskortę dla pięknych podróżnych, a razem polecono dowiedzieć się, przez który punkt kordonu przejechały, aby aresztować oficera, który ich przepuścił. Lecz wkrótce wrócił posłany konwój z niczem, gdyż karetą w oczach wszystkich rozplynęła się w powietrzu.

Niedługo kraj zaczął się urozmaicać; to tu, to owdzie przesuwano się piękne pasmo wzgórków, mile wpadających wokoło, znużone ciąglą jednostajnością równi, jakieśmy od Dniepru począwszy wiecznie mieli naokoło. Czasami widać się piękna rzeczka rozległemi zielonemi łąkami, po których pasły się tysiące pięknego bydła. Rola piękna i żyzna, lecz z łona tój roli wydobywała się straszna plaga na te bujne okolice:—byłato szarańcza. Całe łąny usiane były ciemno-żółtą masą tego owadu. Jeszcze nie odrosły jej dostatecznie skrzydła, nie mogła odlecieć od ziemi: skakała lub pełzała, przelaząc jedna przez drugą. Piękny czarnoziem tój okolicy na przestrzeni kilku wiorst kwadratowych, zamienił się w ciemno-gliniasty obszar ruchomy, i szmer jakiś wydawał. Tak nie w jedném tu miejscu wylega się ten straszliwy owad z jaj zostawionych przez przeszłoroczną szarańczę, przechowanych w łonie tój płodnej ziemi, która aniby się domyśliła, gdyby myśleć mogła, co za klęskę wypielegnowała dla własnych płodów, dla swych wypieszczonych dzieci. Za dni kilka tłumy tój szarańczy, wyniszczywszy

zieleniejące zboże, po którym pełzają, wzbijają się chmurą, przelatując z pola na pole, i wyniszczaą dokola wszelką roślinność. Później w dalszej naszej podróży, przez kilka godzin przedzieraliśmy się przez chmury tego owadu, zaciemniającego jasność słońca i szumiącego w powietrzu, które napełniały smrodliwym jakimś wyziewem. Massa owadu czasem na ówieré łokcia pokrywała ziemię, wieszala się po gałązkach drzew, obsiadała strzechy, stogi i wszelką roślinność niszczyla. Zdala osobliwie wprawia w zadziwienie każdego nieświadomego, zbliżanie się szarańczy. Zda się mgła ogromna szaro-żółtego koloru przesuwająca się ponad ziemią, zniżając się ku niej, to znów się podnosząc. W fortecach kaukaskich i stanicach, za pojawieniem się téj plagi, wartownicy dają znak trwogi, jak na widok rzeczywistego nieprzyjaciela. Wybiega wojsko i artylerya, biją alarm w bębny, dają ognia z armat i broni ręcznej, i krzyczą głośno hurra! Przestraszona szarańcza zrywa się i leci dalej. Zbrojna siła ściga ją ciągle, aż póki nie zapędzi tego drobnego, lecz straszniejszego nieprzyjaciela na lasy i góry, lub w jakiś wąwóz niedostępny, będący naturalną warownią górali. Jednego razu dwie godziny ciągnęła chmara tego owadu około fortecy Wozdwiżeńskiej; a cała siła zbrojna téj fortecy stojąc nad Argunem dawała ognia z dział i broni, bijąc to na alarm, to do szturm, aż całą tę chmurę udało się wypędzić do straszniejszego wąwozu Argunskiego, tego wąwozu tajemniczego, na który tylko zdala dotąd patrzyliśmy z powodu jego niedostępności.

Lecz w spokojnych wioskach przed-kaukaskich, gdzie nie ma wojska ani artyleryi, nie masz środków przeciw téj klęsce. Lud wiejski z założonemi rękoma patrzy, jak znika w drobnych ząbkach całoroczna jego praca, i obraca się w brzydki fetor oczekiwana jego nadzieja bujnego żniwa.

Mimo to zamożność wielka tutejszego rolnika. Niczym prawie strata zrządzona przez szarańczę, w porównaniu z tém, co mu pozostaje na niezmiernych polach, których tu każdy uprawia tyle, ile mu się podoba, na tych łąkach niemających żadnych granicznych kopców.

Wioska, do której nareszcie zbliżaliśmy się po całodziennym nużącym marszu, *Peregradnaja*, ciągnęła się to po równi, to ponad strumieniem, na przestrzeni prawie mi-

lowej. Wielka obfitość kamienia piaskowca, z którego tu nawet włościańskie domki budowane, czyste i wesole, naprzód nas uderzyła. Przy domkach gdzieś były ogródki na sposób ukraiński, co zawsze oznacza lepsze zagospodarowanie i jakąś wyższość umysłową. Rozstawiono nas po kwaterach, i gospodarze jak we wsi poprzedniej nie skąpili swego skromnego posiłku, który po długiej drodze zawsze nam doskonale smakował. Lud wszędzie gospodarny, stanowią najczęściej przesiedleni z głębi Rosyi mieszkańcy. Wyrób płótna jest jedynym ich przemysłem; wielką ilość jego widzieliśmy rozсланą dla bielienia nad rzeczką. Cały dzień letni hoże dziewczęta po kolei nurzają półsetki jego w wodzie, a wieczorem zgromadzają się, tańcząc i skacząc z parobczakami po zielonych murawach. Ciekawy byłem przysłuchać się ich pioskom, wszezać pogadankę z parobczakami; lecz niebardzo żołnierzowi zbliżyć się do siebie pozwolą:—gdy oni się bawią, to jemu zasie.

Na drugi dzień mieliśmy tam dniówkę. Powydobywaliśmy z tłumoczków nasze zwykłe zatrudnienia podróżne: książki, ołówki, farby, poprzenosiliśmy się z tém wszystkiem do ogródków poza domami. Rozłożyliśmy się w cieniu wiśni; lecz ku południowi taki zaczął się upał, że każdy powiew wiatru wcale nie ochładzał, lecz owszem zdał się palącym płomieniem, co oddech prawie zabijał i ciało w zupełną wprawiał niemoc. Umysł również jak ciało zupełnie utracił działalność. Nieco później, nad wieczorem, czuliśmy potrzebę jakiegoś pokrzepienia. W drodze herbata jest najposilniejszym napojem: mieliśmy jęj zapas równie jak cukru, lecz u żadnego z gospodarzy samowaru nie było. Poradzono nam udać się do popadi, wdowy, która, jak nas zapewniano, nie odmówi nam swęj przysługi. Ukazano nam jęj mieszkanie; przeto ogarnąwszy się cokolwiek, udaliśmy się do nięj wszyscy czterej. Lecz dom jęj, stojący przy placu, okna dokoła miał pozamykane; drzwi tylko cokolwiek były odchylone. Wstępujemy do sieni, ale nigdzie ani żywęj duszy. Nareszcie w sieniach dał się słyszeć jakiś głos dość mile brzmiący, lecz przytłumiony, jakby z innego świata dolatujący. Rozpatrując się dokoła, postrzegamy, że głos dochodził z ciemnęj piwnicy, czy lochu, zpod wieka przykrywającego jego wejście. Wydawało go jakieś mile stwo-

rzenie z figlarnemi oczkami, błyszczącemi w cieniu. Zbliżamy się do otworu piwnicy, zapytując o gospodynię domu. Piękna twarzyczka znikła; inna znów na jej miejscu wyjrzała, z zadziwieniem przypatrując się nam. Nareszcie kilka odrazu coraz doroślejszych zaświeciło z cienia, uchylając coraz wyżej wieko. Jeden z nas pragnąc jakby z zakłęcia uwolnić te piękności z lochu, chwycił silną dłoń i odwalił wieko ciągle przygniatające te niebożątka. Wtém z samego spodu piwnicy ciemnej, gdzie widać szukała chłodu podczas okropnego upału, wychyliła się naprzód dość poważna matrona, niemłoda już, w zupełnie letniém ubraniu, wydostając się na światło. Za nią jak stado królików wyroiło się pięcioro dziewczątek różnego wieku, począwszy od ledwie rozkwitającego, do zupełnie rozwiniętego kwiatulatak. Wszystkie w bieli, z oczami błękitnymi, z ciemnymi warkoczami włosów. My stojąc nad otworem, kolejno jak która z niego występowała, kłanialiśmy się, uniewinniając się za naszą śmiałość, i wynurzając powody naszego najścia. Uprzejma gospodyni natychmiast starszym z córek wydała polecenie. Otrząśnięto z kurzu samowar, dawno już, jak można było wnosić z zaniedbanej powierzchowności, nieużywany. Wnet zaszumiał, zasyczał. Oddaliśmy do rozporządzenia cukier i herbatę, i rychło całe grono, tak nasze podrózne, jako też domowe, siedziało na ławach, dmuchając w szklanki, i brzękając łyżeczkami, których dwie się przecie w domu znalazło.

Na ścianie nad łózkieniu wisiała gitara; obawiałem się, aby dotąd zajęty swą szklanką nasz współkolega Sz. nie zwrócił tam swego spojrzenia. Miał albowiem wielką pasją do muzyki i śpiewu. Żadnej gitarze, choćby o połowie strun tylko, ani żadnemu fortepianowi najporządniej rozstrojonemu, w ciągu drogi całej nie darował. Znałem namięć wszystkie jego piosnki, a raczej po jednej lub parze zwrotek z każdej, które odrazu, jak nakręcona tabakierka wszystkie wygrywał, a nawet o powtórzenie tego samego nie pozwalał się długo prosić. Moja obawa była nieplonna; ledwie zobaczył gitarę pan Sz. zdejmując ją ze ściany, a zrobiwszy grzeczność najstarszej z córek proźbą o zagranie czegoś, gdy ta zmieszana i zaploniona odmówiła, sam rozpoczyna od najpięrszej zwrotki swojej:

Ponad horoju, ponad zilinoju, tam žynci žnut,
Popid horoju, popid zilinoju kozaki jedut, i t. d.

Lecz na ten raz przydała się muzyka, bo widziałem radość na twarzy gospodyni i córek, gdy usłyszały głos dzwieczny koleżki, i śpiew może im znany, a w tej wiosce odludnej zapomniany oddawna. Uradowały się wszystkie, a ja dziękowałem koledze.

Dotąd nasza podróż w innej części świata nie jeszcze nie przedstawiała kaukazkiego; lecz w następny dzień ledwieśmy wystąpili na otwartzsze pole, rozpatrzyli się po okolicach, uderzyły nas widoki niezwykle, dotąd niespotykane. To tu, to owdzie obszerna równina lub szereg pagórków, albo i gór ze śmiałym zarysem swych szczytów; to znów ciemniejszy laszek lub rzeczka, zaczynały charakteryzować odmienną miejscowość. Nareszcie po gościńcu zaczęli przeciągać z arbami górale Zakubańscy: twarz ogorzała, w kosmatych popachach czyli czapkach, w czarnych burkach, stojący z prętem na przodku arby, i ciągle popędzający zaprzężone woły. Wieźli oni łopaty, niecki, widły, i inne narzędzia drewniane z zakubańskich dębów i buków wyciosane, które w tych stronach ubogich w drzewo wymieniają za miarkę prosa, lub pszenicy. W końcu Elborus wychylił gdzieś w stepach daleko podwójne śnieżne czoło. Otóż witamy Kaukaz, kres tylu miesięcznych trudów, pracy i niewygód. Wzrok nasz cheiwie wpatrywał się w tego białego olbrzyma, co sterczał pod niebo, mieszając się z chmurami. Jakżeśmy byli niekontenci, gdy rychło obłoki, takież białe jak on, zasłoniły go przed naszym wzrokiem. Tak pragnęliśmy oswoić się z tym olbrzymem i ze zjawiskiem kraju, który miał być dziedziną długiego naszego w nim pobytu! Znowu się pole wyrównało, skryły się wyniosłe pagórki; znów tenże step równy, jednostajny, znów tylko upał południowy.

Nazajutrz po przenocowaniu w *Moskowskiej*, wiosce téjże fizyonomii co poprzedzające, po całodziennym przemarszu zbliżaliśmy się do Staupola; pożegnaliśmy ten Kaukaz chłopski, rolniczy, ustronny, ten wstęp do Kaukazu prawdziwego, pełnego dziwów ciekawych i niebezpieczeństw, rozlegającego się szczękiem broni i hukiem armat; kończyliśmy podróż po tej części kaukazkiego kraju, spokojnej, eichéj, jak uciszone powietrze, co zwiastuje blizkie gromy i burze. Ktoby szukał na kuli ziemskiej ustronia zupełnie odludnego, oddzielo-

nego od reszty świata, gdzieby ani słodycze związku społecznego, ani jego dolegliwości nie doświadczał; tuby powinien zamieszkać w cieniu morw i akacyi. Mieszkańcy tu-tejsi, gdyby nie to że niedawno tu przeszli z gubernij wielkoro-syjskich i świeżo mają w pamięci miejsce dawniej zamieszkiwane, żyjąc pośród dostatków darów przyrodzenia, przy zbyt ograniczonych potrzebach, zaledwieby może wyobrażali sobie, że jest jakiś świat ludniejszy, krzątający się, zabiegający, a pomimo tego nieraz cierpiący głód i niedolę. Tu zdają się być zupełnie zadowoleni tem, co im hojna daje ziemia. Zbywające płody, zboże i bydło odsyłają do Stauro-pola za ceny bardzo niskie, aby z czasem było czem opłacić pogłównę, jedyny podatek na nich ciążyący. O resztę nie troszczą się, mając własnego wyrobu płótno i odzież, przy obfitości chleba.

Stauro-pol leży w pięknym i górzystym położeniu, między dwiema rzeczkami Człą i Mutnianką. Różnokolorowe dachy na domach i cerkwiach, piękna zieloność drzew w ogrodach i na bulwarach, robią cudny ze Stauro-pola widok, tem więcej, im mniej spodziewany w tej odludnej ziemi. Miasto leży wzniesione na 179 stóp nad poziom morza, klimat jego przeto nierównie chłodniejszy, niż innych okolic tego kraju, któreśmy przebywali. Powietrze tu zdrowe. Grunt coraz bardziej się podwyższa zwracając się ku Kubani, o 30 wiorst ztąd przepływającej, i formuje rozległą i wyniosłą płaszczyznę, z wierzchu której ochłodzone powietrze spływając na miasto, sprawia ten wiatr ciągle tu panujący. Mimo jednak górzystości miejsca, nie ma w bliskości źródeł, a woda studzienna gorzka i do picia niezdatna. Musieli więc mieszkańcy wodę dla siebie sprowadzić za pomocą rur od źródła zwanego zdrojem *Karabin*, dającego początek Mutniance. Płynąca rurami świeża woda do miasta, zbiera się w dwóch rezerwoarach, w najdogodniejszych punktach urządzonych: jeden zbudowany kosztem kupca Tamamszewa, z fontanną w samym środku miasta; drugi dopiero w 1850 r. kosztem kupca Jakunczykowa urządzony, zaopatruje w wodę plac nazwany *jarmarcznym*.

Miasto dzieli się na górne, gdzie najpiękniejsze wznoszą się gmachy rządu gubernialnego, teatru i t. d., i na dolne, na którego głównej ulicy skupia się cały ruch handlowy.

Tu stoją sklepy gościnnego dworu, tu magazyny, hotele i cukiernie, a przed nimi ciągnie się piękny i długi bulwar z lip i akacyi. Nad miastem dolnem wznosi się na górze wspaniały sobór z kamienną dokoła balustradą, nad całą panującą okolicą swemi olbrzymimi kopułami. Dzisiaj Stauropol ma kamienne trotoary, przynajmniej na główniejszych ulicach; lecz gdy pierwszy raz wszedł do tego miasta przed kilką laty, stawiał się jak wszystkie miasta południowej Rosyi ogromnemi swemi błotami. Prócz bulwaru dla przechadzek mieszkańcom służącego, środek miasta ocienia piękny stary gaj, Babinowym zwany, którego niegdyś był własnością. Przedtém zaniedbany, obecnie ogrodzony i starannie utrzymywany. Co święto grzmi tu muzyka wojskowa do późnej nocy, a latarnie i lampy oświetlają grupy przechadzających się. Obok tegoż gaju, za staraniem księcia Woroncowa założono wzorowy ogród, zaopatrywany w najlepsze gatunki drzew owocowych, sprowadzanych z sławnych jego ogrodów krymskich. Ztądto szczepy i nasiona rozsyłane bywają w najodleglejsze zakątki Kaukazu. Godzien także uwagi założony w ostatnich czasach ogród morwowy za rzeką Człą, i urządzona szkoła dla kształcenia dzieci klass niższych w tej gałęzi przemysłu, tak odpowiedniej łagodności klimatu. Przemysł i handel niewiele jednak tu się rozwinęły dla braku komunikacyj wodnych. Kupey stauropolscy ograniczają się zaopatrywaniem w płody i wyroby rossyjskie miejsc i fortec linii kaukazkiej, choć i pod tym względem ważniejszym punktem jest Georgiewsk, położony nieco bliżej ku góróm, o którego jarmarkach wspomniemy później. Stauropol bowiem nie jest ani środkiem gubernii, ani punktem zjednoczenia pokoleń kaukazkich: z powodu tylko zdrowszego klimatu, Georgiewsk musiał mu ustąpić pierwszeństwa. W roku 1850 miał Stauropol do 12,000 mieszkańców, z tych 7,000 mężczyzn, a 5,000 kobiet; 14 cerkwi grecko-wschodnich, 1 ormiańsko-gregoryańską i 1 rzymsko-katolicki kościółek. Piękne gmachy i szerokie ulice nadają wspaniały widok Stauropolowi, który razem z przedmieściami rozrzuconemi daleko naokoło, ogromną zajmując przestrzeń, przedstawia się wielkiem bardzo miastem. Prócz stannicy kozaczój, łączącój się z dolną częścią Stauropola, ciągnie się od zachodu po rozdolach

przedmieście Worobjewka, od południa Sółdacka-słobódka, od północy Podgórne, wśród ogrodów i gajów drzew morwo-
wych, lip i akacyi. Dalej poza przedmieściami widać roz-
rzucone futory, piękne domki i wille z ocieniającemi je
ogródkami.

Gdyśmy stanęli w tém ogromnym z pozoru mieście
kaukazkiem, wcale jednak europejską mającém fizyonomią,
po zwykłych przedstawieniach się i zameldowaniach właści-
wym naczelnikom, zaprowadzono nas na Worobjewkę, gdzie
tydzień cały mieliśmy stać na kwaterach. Lecz na wstępie
zaraz do przedmieścia, uderzył nas domek o jasnych oknach,
odróżniający się od innych ogródkiem z kwiatami i szcze-
pami, który go okolał. Postanowiliśmy tu stanąć za opłatą,
zrzekając się dobrowolnie kwater bezpłatnych, które po
miastach zawsze miewaliśmy niezupełnie dogodnie.

Jakież było nasze zadziwienie, gdy wstępując w progi,
sposzregliśmy obraz Matki Najświętszej Ostrobramskiej,
i dzieci biegnące do matki, a wołające po polsku: „Mamciu,
jacyś panowie idą.“

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus— wyrze-
kłem za ukazaniem się z alkierzyka gospodyni domu.

— Na wieki wieków— odrzekła, skłoniwszy się z ja-
kimś nieprzymuszonym wdziękiem, i odrazu nas tak ujęła, że
bardzoby nam przykro było oddalić się ztąd bez skutku. Lecz
zaledwieśmy zaczęli wyjawiać jój nasze żądanie, dziewczynki
wybiegły do sieni ujrawszy wracającego ojca, wołając:

— Tatku, tatku! jacyś panowie do nas przyszli i chcą
mieszkać przez tydzień, a mówią po polsku!

Wszedł gospodarz, i skłoniwszy się rzekł:—»Jeśli nie
wzgardzicie moją szczupłą chatką i ubogim barszczem żoł-
nierskim, chętnie panom ustąpię kącika; sam się w alkie-
rzyku, a nawet w sionce z dziećmi pomieszczę. Widzę, że
zdaleka musicie dążyć. Gdzież tłumoczki państwa? Sam
wszystko tu poznoszę, a wy odpocznijcie i posilcie się czém
jesteśmy bogaci.«

Uścisnęliśmy koleją gospodarza, szeregowca 1go linio-
wego batalionu staupolskiego, urodzonego Podlasiuka,
który tu już od 15 lat zamieszkawszy, zagospodarował się,
kupiwszy ten domek z ogródkiem, a pracą i oszczędnością
potrafił sobie ile można w tych miejscach byt żołnierski

upiększać i jakąś barwę rodzinności tej swojej małej posiadłości nadawać. Nazywał się on Orł.... i mimo tak długiego tu pobytu, nietylko że nie zapomniał języka, ale nawet właściwy podlaski akcent zachował.

Tymczasem pani Orł. przyrządziła posiłek skromny, lecz ten dawno odwykłym od swojskich potraw naszych wydał się nam wspaniałą ucztą. Składał się ze smacznego barszczu ze schabem i ze śmietaną, ze zrazów z kaszą, i pirożków z serem. W przygotowaniu potraw polskich i przysmaków, Orł. posiadała tajemnicę; a ten artykuł ma w sobie coś bardzo ujmującego, mianowicie po długim przechodzie.

W Stauropolu nasze grono miało się rozłączyć. W ciągu tych kilku dni naszego wspólnego pożycia, trzeba nam było ostatni zrobić obrachunek wspólnych naszych wydatków. Wszystko to dużo nam czasu nie zajęło, a przytém cokolwiek mieliśmy, było to nam dane do wspólnego użytku przez osoby, które nas żegnały przed półrokiem blisko, błogostawiając do długiej podróży. Tu nam trzeba było rozstać się z naszym konikiem i bryczką, na której zwykle składaliśmy nasze bagaże podróżne, trochę bielizny, po parze butów dla przemiany, płaszcze żołnierskie, kilka książek i różne pamiątki i pamiąteczki poukładane w mantelzakach, jak święte relikwie. Konikiem tym, jeszcze przed wybraniem się do tej ciekawej podróży, zaopatrzyli nas zacni krewni: byłoto ucziwe stworzenie, może jedyne w swoim rodzaju. Może instynktowie wywdzięczyć się nam pragnął za to, że nam towarzysząc, powracał do swój ojczyzny; był on bowiem nabyty od zwoszczyków przybyłych z głębi Rosyi do Warszawy. Tak był nawykły do długich podróży, że przy skromném utrzymaniu, jakie od nas otrzymywał, zawsze wesoły, niezmordowany, postępował przed nami krokiem jednostajnym, wioząc naszą ruchomość i koleją jednego z nas, który siedząc na wypakowanej powoźce, zwykle powoził. Lecz konik nasz nie potrzebował powoźnika, bo znał lepiej od ludzi drogi stepowe. Podczas zimowych zawiei śniegowych w stepach Małorossyi, krocząc przeciw wiatru, niosącemu nam mroźny śnieg prosto w oczy, gdzie prócz równój śniegiem pokrytój płaszczyny,

bez śladów drogi lub znaków przydrożnych, i nieba powleczonego jednostajną barwą śniegowych obłoków; gdzie ni knął wszelki ślad istnienia człowieczego: nie łatwiejszego jak zboczyć z gościńca i zbłąkać się w bezdennym stepie. Przy wioskach i karczmach są wprawdzie na wyniosłych słupach dzwonki zaopatrzone wiatraczkami, ażeby w czasie *miatelicy*, czyli zawieci, dzwoniąc dawały znak dla podróżnych, dokąd się mają kierować; lecz w dalekim stepie przy szumie i gwizdzie wiatru, sygnały te były bez użytku. Dźwięk ich głuchnął zupełnie. Konik nasz tylko instynktem kierowany, najlepszym był dla nas przewodnikiem, nigdy prawie nie błędząc. Jednego razu, podczas podróży naszej, umieszczeni byliśmy w starym, drewnianym jakimś budynku; na nocleg ukazano nam izbę zupełnie pustą, bez najmniejszego śladu przemysłu stolarskiego. Choć jeszcze o całą prawie ćwierć łuku ziemskiego byliśmy wtedy od Azji, lecz po wschodniemu, usiadłszy na ziemi, pożywaliśmy co nam dostarczyła nasza bryczka z żywności; konia zaś odprowadziliśmy do obszerniej izby, która miała kiedyś być salą zabaw szlachty wołyńskiej. Do owego czasu pozostawały w niej ślady festonów malowanych po ścianach i amorków z łukami, a u góry ciągnęła się galerya, gdzie mieściła się zapewne kapela i widzowie. Nie posiadało się z radości i dumy nasze zwierzę wstępując do miejsca, zaszczytanego niegdyś przez świetną arystokracją wołyńską; lecz skorośmy go przywiązali do jakiegoś filaru i rozsypali przed nim owsa, zaczął parskać, strzydz uszami, rzyć nieprzyjemnie, nareszcie zerwał się z uździenicy i wybiegł przed dom. To powtórzył i drugi raz, gdyśmy go znowu wprowadzili i mocniej przywiązali. Upór jego był nieprzewyciężony: musieliśmy go pozostawić zewnątrz domu na mrozie i śniegu, które przekładał nad miejsce tyle zaszczytne. Lecz nazajutrz ledwieśmy jedną zrobili stacyą i przybyli do miasta Ostroga, dano nam znać, że ów gmach cały runął; szczęściem, że żadnej wówczas nie było w nim żywej duszy.

Tegoto wiernego i poczciwego towarzysza podróży musieliśmy tu sprzedać, gdyż tu kończyła się nasza wspólność, a wartością jego równie jak wszystkiemi się podzielić.

Pomieszkankie nasze u p. Orł. po długiej nużającej podróży, wśród stepowego, rzadko gościnnego kraju, było praw-

dziwą oazą dla wypoczynku i wzmocnienia się. Tu pamiętam oddałem się zupełnej swobodzie umysłu, rzuciwszy wszystkie troski o ziemię, według słów Kochanowskiego. Nie zapomnę miłych, długich godzin spędzanych w tém ustroniu. Przed domkiem naszego gospodarza leżał szeroki wąż, nastrzępiony odłamami skał i gładów, to sterczących w niekształtnych massach, to kryjących się wśród chwastów, dzikiego zielska i krzewów. Spodem tego wężu sączył się mały strumyczek, spadający opodal z kamiennej, wyniosłej ściany, roznosząc szmer przyjemny dokoła. Całe godziny ranne i wieczorne przesiadywałem na sękatą morwie, pochyloną nad urwiskiem wężu, puszczać wodze myślom, z ołówkiem i kawałkiem papieru, kreśląc w nieporządku wyrazy i szykując je w rymy, lub szkicując załamany skał, strumyka i dalekie widoki, kończące się wznoszącymi się równinami stepowymi, poza krańcem których białął dwugłowy Etborus, czasami z chmur się pokazując, lub błyszcząc w jasnych blaskach zachodu.

Wkrótce Stauropol nabrał większego dla nas interesu. Zrobione znajomości wyciągać nas poczęły do miasta. Szereg ich rozpoczął się od księdza kapelana, do którego z obowiązku niejako religijności naprzód udaliśmy się. Tu odkryłem współtowarzysza uniwersytetu profes. R., tu także poznałem oficera art. J. Od nich powzięliśmy pierwsze prawdziwsze wiadomości o Kaukazie.

Jakoż rozpatrzywszy się powoli po Stauropolu, powzięliśmy wyobrażenie o ruchu umysłowym, o najnowszych wypadkach nie tylko u nas w kraju, ale i w Europie. Dla Stauropola to wszystko nie było obce i obojętne. Zdało nam się, że kawał ładu oderwanego od Europy z całym jej charakterem i życiem, jakaś burza niedawno rzuciła w odległy kraj świata, za stepy i pustynie, gdzie jeszcze tak świeże w pamięci tutejszych mieszkańców i tak żywo ich obchodzi wszystko, co się dzieje na Zachodzie; że tętni to samo życie europejskie i ta sama krew płynie w tym odłamie społeczności chrześcijańskiej.

Stauropol posiada niezły teatr. Sztuczki lekkie, krotofilne w języku małorossyjskim najczęściej gra truppa Zielińskiego. Ma nadto Stauropol swój klub, czyli salę redutową. Podczas karnawału bawi się tu towarzystwo stauro-

polskie, z wojskowych po większej części i z urzędników składające się; podczas zaś innych pór roku, klub zamienia się w nienajgorszą restauracyą, gdzie o każdej porze, za cenę niezbyt umiarkowaną, można dostać bifsztetu i kotletów porządnie opieprzonych i przydymionych.

Zresztą miasto leży na drodze wiodącej do Gruzji i na Kaukaz, przeto każdy z jadących i idących tam lub napowrót, musi zawadzić o Stauropol, musi się zapoznać z jego mieszkańcami. My może najpierwsi z przybywających na Kaukaz, wejrzeliśmy w życie wewnętrzne Stauropola; po nas idący poszli naszym śladem. Zwiedzali więc Stauropol, w najdrobniejszych i najciekawszych szczegółach zapoznawali się z jego towarzystwem, począwszy od ks. kapelana i szeregowca Orł. aż do najpierwszych urzędników. Niektórzy po kilka tygodni, a nawet miesiące zatrzymywali się w Stauropolu, przemieszkując zwykle u p. Orł. Gdyby Orł... spisywał pamiętnik wydarzeń odwiedzających go podróżnych ziomków, z rozmaitych zakątków kraju tam przybywających w skutek najrozmaitszych okoliczności, wieleby ciekawych rzeczy miał do opowiedzenia. Bo p. Orł. od naszych najpierwszych odwiedzin stał się punktem zbornym wszystkich po nas przybywających. A każdy z takich uszczęśliwiony, że po długich przechodach stepowych znalazł zakątek wiejski, cichy, stół ze smacznymi potrawami swojskimi, z kawą prawdziwie po polsku przygotowaną; dzielił się chętnie z gospodarzem małego domku tym groszem, jaki od wyjścia z domu jeszcze zachowywał na niefortunne wydarzenia tak odległej podróży. P. Orł. w przedkim czasie zrobił sobie fortunkę. Niedługo też otrzymawszy uwolnienie od służby wojskowej, spieniężywszy domek z ogródkiem i sprzętami gospodarskimi, z żoną i dziećmi zabrawszy się na wózek, odjechał do kraju. Lecz w owym czasie nigdy o tém nie pomyślał; osiadł tam jakby w zamiarze zaaklimatyzowania się w tym kraju i zostania z czasem obywatelem kaukazkim. Ze smutkiem nas wtedy odprowadzał, gdyśmy występowali ze Stauropola do dalszej podróży. Nasze grono rozdzielało się. Dwaj już poprzednio otrzymawszy rozkaz, pożegnali nas, udając się na lewe skrzydło Kaukazu. Jeden Pł. jeszcze ze mną bawił; lecz i my nareszcie otrzymaliśmy swoje naznaczenie. Pł. poszedł na

zachód do forteczki nad Kubanią, ja zaś za tamtymi dwoma na wschód do Groźnej. Smutno mi było rozłączyć się z Pł.; jeszcze w szkołach szczebrzeskich razemeśmy się wychowywali, razem wzrosli, jednych słuchali wykładów tamtejszych profesorów. Później jego urzędowanie, a mnie zamiar dalszego kształcenia się rozłączyły na lat kilka. Aż znów szczególnym zbiegiem wypadków, powtórne los między nami zawarł koleżeństwo, ściślejsze, nierozzerwane, bo wśród wydarzeń szczególnych i w ciągu przygód, które ów węzeł przyjaźni zaciskają tak dalece, że chyba śmierć go przeciąć zdoła.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rząd francuzki przedłożył ciału prawodawczemu nowy projekt do prawa o wychowaniu. Projekt mówi, że prawo to nie osłabiając zgoła rękojmi, jaką wolność nau czania znajdowała w dawniej ustawie (z 15 marca 1850r.), chce jedynie porobić w urzędzeniu i budżecie szkół rządowych zmiany, które nie są ani żadnym środkiem politycznym, ani też czasowem postanowieniem. Chodzi o to, żeby pilnując zasad fundamentalnych na jakich gruntują się potrzeby wychowania publicznego, ustalić organizacją, któraby w każdej stronie kraju najdogodniejszą była.

Tutaj następują pytania: co zamierzono dokonać we Francyi tworząc okręgi (circonscriptions) wychowania publicznego, które nazwano akademiami? Jakie znaczenie przywiązywać do tego wyrazu? Jaką doniosłość przyznać tej instytucji?

Prawo z 15 marca 1850 r. ustanowiło 86 akademij, po jednej na departament. W chwili ogłoszenia prawa liczono ich 19. Za cesarstwa było akademij 27, jedna w każdym zakresie sądu appellacyjnego. Nowy projekt podaje tylko 16. Czy w każdej z tych kolei prawodawstwa wyraz akademii jednako był rozumiany? Instytucja miałaż takie same znaczenie i cel? Obaczymy.

Kiedy Napoleon I określił ostatecznie wychowanie publiczne, pierwszą jego myślą było uświęcić i wzmo cnić tę jedność, którą zgromadzenie 1789 r. siliło się wnieść do prawodawstwa, zwyczajów, administracji, do sposobu nawet myślenia w całej Francyi; jedność, którą

od onego czasu Talleyrand w swoim słynnym raporcie ukazywał jako najwyższy cel wychowania publicznego. Z licznych uniwersytetów, które przechowały życie umysłowe w tylu prowincjach, Napoleon złożył jeden uniwersytet cesarski; ale stanowiąc tę jedność, zamierzył także powiązać w silne i trwałe węzły zakłady naukowe, które rozsiewał na powierzchni kraju. Pod nazwą więc akademii chciała odbudować dawne uniwersytety prowincjonalne, strzegąc je przecież od odosobnienia i udzielnój władzy, mogącej grozić jednocie administracyi.

Cesarz chciał w każdym zakresie sądu appellacyjnego ustanowić nie rektora, ale urzędnika bez władzy, którego zwyczajnie mieniał tylko korrespondentem ministra; chciał przedewszystkiēm ująć w system urzędzenia, któreby poczynając od fakultetów i liceów, aż do szkółek najmniejszych, stanowiły hierarchią, i rozlewały wszędy to życie płodne, które niegdyś kwitło w łonie uniwersytetów. Napoleon w każdej stolicy sądu appellacyjnego przyłączył do liceum jeżeli nie fakultet teologiczny, to fakultet prawny, albo medyczny: zawsze fakultet umiejętności i nauk wyzwolonych (des lettres). Było to wyraźne dawnych ciał uniwersyteckich naśladowanie.

Konwencya hojniejsza jeszcze w swój niemocy, ustanowiła była po miastach departamentowych szkoły centralne, których najuczeńsze katedry daremnie czekały na słuchaczy, których albo nie było, albo też niezdolni korzystać z wykładów. Próżne więc okazało się usiłowanie, żeby do jednoty departamentowój, wymyślonej przez prawodawców rewolucyjnych, sprowadzić wszystkie inne części krajowój administracyi. Rozprasząc tak nauczanie, audytorya wszędy nieomal puste były i daremne.

Cesarstwo porzuciwszy te marzenia, podniosło blask nauczania, ścieśniając jego ogniska. W miejscu jedności departamentowój, niezdolnej ogarnąć wielkich wymagań myśli, Napoleon założył zrozumialszą i wyższą jedność. Potrzeba było spotęgować dawną jedność, jeżeli ją chciało postawić na równi z postępem cywilizacyi: bo inaczej nie odpowiedziałaby stosunkom tak licznym i szybkim, które się za dni naszych zawiązały między dalekiemi

niegdyś stronami. Ustaliwszy więc wyższe ogniska intelektualnych kraju stosunków, starano się uposażyć je w instytucye, które miały dać impuls wszystkim innym, i za regulatora im służyć.

W samej rzeczy: cóż jest duszą tych nowych uniwersytetów solidarnych i zależnych, akademiami zwanych, jeżeli nie fakulteta, które miarkują, kierują i ożywają wszelkie inne nauczanie? Anglicy, Włosi i Niemcy słusznie je jądrem uniwersytetów nazwali. We Francyi jeżeli nie akademią całą, mają być przynajmniej jęj częścią żywotną; chodzi o to, żeby w niczem nie ustępowały uniwersytetom w Oxford, Edyburgu, Pizie, Padwie, Heidelbergu, Tybindze, Monachium i Berlinie. Jeżeli chcą dopełnić tych warunków fakultety francuzkie, winny rzec się przedewszystkiem tych amfiteatrów świetnych, dokąd dowcipne improwizacye wabią dziś tłumy, raczej rozrywki niż nauki cheiwe; tłumy, które odptywając unoszą z sobą tylko przelotne wspomnienie, nie zaś korzyści pożytecznej lekcyi. Dziś we Francyi na wzór Anglii i Niemiec, w przybytkach nauk i umiejętności uczniowie mają być w ciągłej z professorami styczności; mają na codziennych konferencyach powtarzać i przerabiać naukę z katedry daną. Rząd obiecuje sobie, że przy emulacyi, którą baczna zawsze krytyka podnieci, młodzież zrozumie lepiej piękne powołanie ucznia, poważne i wesołe zarazem, kiedyś tak długie i pamiętne, dziś tak krótkie i bezbarwne!

Ale te wyższe zakłady wychowania publicznego muszą być w zgodzie z istotnymi potrzebami kraju. Anglia i Niemcy nieinaczęj poczynaty w składzie swoich uniwersytetów. W Anglii jest ich 8; jeden na 3,560,200 mieszkańców. Niemcy złożone z wielu państw udzielnych, mają ich znacznie więcej, bo 31, to jest jeden na 2,016,000 mieszkańców.

We Francyi obecnie 13 miast ma mniej więcej kompletne fakultety. Reszty dawnych uniwersytetów, naturalne nowych akademij nasiona: Paryż, Strasburg, Dijon, Besançon, Lyon, Grenoble, Aix, Montpellier, Tuluza, Bordeaux, Poitiers, Rennes i Caen, mają tu i owdzie kilka połączonych fakultetów. Gdyby w tych 13 akademiach skoncentrować wyższe nauczanie, ludność Francyi była-

by uposażona lepiej od angielskiej, ale gorzej od niemieckiej: miałyby jeden uniwersytet na 2,769,000 mieszkańców.

Projekt do prawa chce, żeby ich było 16: to ostateczna jego zdaniem granica; przyczem objawia zaufanie w duchu narodowym, że dając Francji jeden uniwersytet na 2,250,000 mieszkańców, pewien jest, iż żadnemu z tych ognisk intelektualnych nie braknie na licznej i usposobionej młodzieży. Zapełniwszy zatem trzy luki: w Douai dla północnej, w Nancy dla wschodniej, w Clermont dla środkowej Francji, będzie to wszystko, czego sobie życzyć można. W istocie zaniedbać tych trzech nowych kreacyj byłoby może wykroczyć przeciwko równości, jaka winna przewodniczyć w rozdziale urzędzeń publicznych w całym kraju; przestąpić tę granicę byłoby może zbyt dużym rozproszeniem ludności po szkołach, narażać na szwank ich powodzenie, ich być nawet.

Nowe prawo powiada: że tam tylko, gdzie jest fakultet i miejsce na akademię, tam jeno znajdzie się reguła co zwiąże, i impuls, co poruszy inne naukowe zakłady. Oto jedyna zasada do grupowania hierarchii: wszelka inna miara dowolna jest i błaha, każdy inny związek krótkotrwały i bezsilny. Boć nie od rektora zależy być zakładów naukowych: przewodzi on im, znosi się z rządem, podtrzymuje i wyobraża ich system, ale ich nie stwarza.

Cuvier i Royer Collard powołani przez rząd, za pierwszej restauracyi, do ułożenia z kardynałem Baurset, hr. Pastoret, pp. Bonatd, Delambre i Quatremère de Quincy, nowej ustawy dla wychowania publicznego, podzielili administracją całą na 17 okręgów, którymby przewodniczyli rektorowie. Wróciła dawna nazwa uniwersytetów; ponad nimi stać miała wielka rada wychowania. Mimo to, pomówiono projekt, jakoby kładł tamę rozrośnięciu się jednej z najpiękniejszych instytucji cesarstwa. Powrót z wyspy Elby zostawił myśl całą na papierze.

Dziś w nowym projekcie chodzi rządowi nadewszystko o jedność w administracyi, w myśli i w usiłowaniach, co, jak mówi, stanowi potrzebę i zarazem chwałę Francji; chce powrócić szkołom różnych stopni karność, go-

dność i życie. Budżet nic na tém nie ucierpi; rząd myśli, że podwajając nieco opłaty wymagane od uczniów, fakultety wystarczą sobie same; nadto tuszy, że te dochody dozwolą mu podnieść fakultety i wykłady do takiej wysokości, na jakiej stoją dzisiaj stare zagraniczne uniwersytety.

Na czele każdej akademii stać będzie jak dawniej rektor, głowa korporacji szkolnej. Fakultety od niego bezpośrednio zależeć mają; on dozierać będzie wykładów, przestrzegać ścisłej bezstronności w przyznawaniu patentów; on nakoniec nada ruch szkołom niższym, przy pomocy inspektorów i rady akademickiej.

Co do szkół elementarnych, jako zbyt oddalony rektor, nie mógłby ogarniać wszystkich szczegółów tak skomplikowanej administracji. Ponieważ więc wychowanie elementarne po gminach wiąże się z administracją municypalną i departamentową: rząd oddaje je prefektowi, dodając mu inspektora akademii, mającego bronić interesów licznego grona nauczycieli, za jego staraniem wybranych i jemu pod nadzór poruczonych. Jednocześnie inspektor ma czuwać nad metodą nauczania, za którą odpowiada przed rektorem, swoim zwierzchnikiem, i przed radą akademicką.

Wedle nowego prawa, radzie departamentowej, w której zasiadają biskupi i duchowni różnych wyznań, znakomici urzędnicy i t. d. zostawiono rozpoznawanie interesów dotyczących wychowania elementarnego w departamencie, oraz sprawy dyscyplinarne i sporne między prywatnymi zakładami niższego wychowania. Wolność nauczania, mówi projekt, znajduje tu jak dawniej hamulec i opiekę razem, system rękojmi i administracji pozostaje nietknięty; rząd tylko chce przydać wychowaniu publicznemu trochę energii: dlatego 16 projektowanych akademij wiążą się z sobą ustawą korporacji nauczycielskiej, jednoczą się w ogólnej inspekcji, która je przenika jednym i tym samym duchem. Pod wpływem rady cesarskiej wychowania, która przepisuje dlań tryb i program uczenia, pod naciskiem władzy centralnej, której głowa zasiada w radzie państwa, zyskują akademie tę jedność potężną, w której administracja francuzka główną siłę czerpie.

8 maja odbyła się w Orleanie odprawiana corocznie uroczystość na cześć Joanny d'Arc. Jak zwykle, tłumy Paryżanów i okolicznych mieszkańców zbiegły się dnia tego do Orleanu uczcić pamięć dziewicy.

Każde prawie znaczniejsze miasto we Francyi wydało jakiegoś wielkiego męża lub niewiastę poświęceniem sławną, których imieniem się chlubi, które służy za typ miejscowym artystom, za ideał poetom, a dla akademii jest przedmiotem specjalnych badań, i coraz to nowych poszukiwań. Tak Rouen święci pamięć Corneilla; Nancy sławi imię króla Stanisława Leszczyńskiego; Avignon opiewa Petrarke i Laurę jego, a Tuluza Klementynę Izaurę. Orlean nie tylko obchodzi co rok 8 maja święto Joanny, ale wszelkimi formy: rzeźbą, poezją, historią, uświęca pamięć swój nieśmiertelnej bohaterki.

Bo też ze wszystkich figur historycznych, imię dziewicy Orleańskiej najpopularniejsze jest we Francyi; znane w każdym jej zakątku i wszędzie sławione, jaśnieje w aureoli poświęcenia i męczeństwa. Każde miasto naznaczone jakim jej czynem, chce ją w poczet swych bohaterów policzyć. Domremy chlubi się jej kolebką; Rouen wzniosło jej pomnik prześlągalny; Vaucouleurs, Chinon, Poitiers, Rheims, Compiègne imię jej w złotą księgę swych archiwów wpisały: ale rzeczywiście Orlean, który dziewica za swą ojczyznę duchową wybrała, i nazwanie zeń wzięła, jest ogniskiem z kąd rozchodzą się na resztę ojczyzny promienie jej jasnego wspomnienia. Orlean czci Joannę d'Arc jak włoskie miasta Madonnę: tam kościoły, muzea, biblioteki, ratusz i place publiczne napełnione są jej pamiątkami.

Pomijam stare pomniki wzniesione dla Orleańskiej dziewicy, gdyż w wykonaniu ich widocznie chęć za uczynek staje; jedyny godzien wspomnienia pomiędzy niemi jest ten, który Orleanki na cześć Joannie wzniosły. Przedstawiał on zdjęcie z krzyża: Joanna d'Arc i Karol VII klęczeli przy umęczonym Zbawicielu. Lafontaine oglądając ten pomnik w 1663 r. mówi w te słowa: „Widziałem pomnik dziewicy, ale wyznaję, że na mnie żadnego nie sprawił wrażenia: Joanna ani z wyrazu, ani z postawy do heroiny niepodobna.”

W roku 1792 zgruchotano ów pomnik; wtedy Orleńczycy z potłuczonego bronzu ulali działo i ochrzcili je

imieniem bohaterki, bo rozstać się z jej wspomnieniem niepodobna im było.

W r. 1804 Bonaparte, wówczas pierwszy konsul, zatrzymał się przed statua Joanny d'Arc, wystawioną na wystawie paryzkiej, i głośno począł chwalić myśl i wykonanie posągu; skutkiem czego twórca onegoż rzeźbiarz Gois, otrzymał pierwszą nagrodę, a Orleanczycy nabyli dzieło jego, które następnego maja z wielką uroczystością na placu Martroi w Orleanie postawione zostało, i tamże dodziśdnia stoi.

Nie uchybiając sądowi pierwszego konsula, nadmienić muszę, że dzieło pana Gois nie jest wcale areydzieniem. Brak gustu, jakim nacechowana ówczesna epoka, mocno razi w tym posągu, a brak natchnienia w rysach dziewicy, odejmuje jej wszelkie prawdo-podobieństwo. Zdaje się, iż rzeźbiarz czerpał natchnienie w rowolucyjnych bohaterkach. Pasterkę z Domremy przedstawił jakby jaką nieustraszoną amazonkę, z głową dumnie w tył przechyloną, w birecie z piórami: w jednej ręce miecz trzyma, w drugiej rozwiniętą chorągwią potrząsa. Kibić mocno przegięta w pasie, i cała postawa Herkulesowych kształtów, raczej do Bahantki niż dziewicy podobna. Otóż statua ta, której rozmiary w niczem już z dzisiejszemi prawidłami sztuki niezgodne, raziły niesmakiem wszystkich ciekawie doń wędrujących podróżników, ustąpi miejsca prześlicznemu posagowi, który pan Foyatier, twórca Spartakusa, właśnie ukończył.

Nowe to dzieło znakomitego mistrza będzie niezadługo wystawione na widok publiczny w Paryżu, i pozostanie tu aż do inauguracyi, która w maju przyszłego roku nastąpi. Posąg Joanny w niczem nie ustępuje Greckiemu niewolnikowi, któremu tak słusznie przyznano pierwszeństwo pomiędzy wszystkiemi rzeźbami francuzkiego dłuta; a jest ich niemało, i wiele (mianowicie nowych) znakomicie pięknych, jak naprzykład Joanna Hachette w ogrodzie luxemburskim. Prostota i niebieskie natchnienie, precudnie w twarzy Orleańskiej dziewicy przebija. Ofiarując dłuto swoje Orleanczynom, pan Foyatier zaczyna temi słowy: „Jak Joanna d'Arc, byłem pasterzem za lat dziecinnych: pozwólcie mi stworzyć pomnik dla pasterki z Domremy.”

Rzeźbiarz przedstawił Joannę w chwili, kiedy szala zwycięstwa na jej stronę się przechyla: dziewica wstrzymuje rumaka, podnosi oczy ku niebu w dziękczynnym zachwycie, a miecz ku ziemi zniża na znak pokory. Rozmiary tej statuy są kolosalne. Pomnik będzie miał przeszło 15 łokci wysokości bez podstawy.

Na podstawie bronzowe płaskorzeźby przedstawiać będą oswobodzenie Orleanu, namaszczenie Karola VIIgo w Reims, i rozmaite ustępy z życia wojennego Joanny d'Arc. Koszta pomnika pokryte zostały ze składek; nadto, rząd upoważnił miasto Orlean do urządzenia loteryi, z której sprzedanych biletów 300.000 fr. poświęcone będą na losy wygrywające, a reszta na koszta piedestału i odkrycia pomnika.

Na tenże dzień zostanie ukończone odnowienie ratusza w Orleanie, które umiejętnie i z prawdziwą miłością starożytniej architektury dokonywa się pod przywództwem francuzkiego architekta Wojciecha Delton. Z ruin starego ratusza pan Delton wzniosł prześliczny gmach w guście de la renaissance; jak Cuvier, z kilku odkopanych kości potrafił złożyć przedpotopowego Mastodonta.

Ratusz w Orleanie stanie się prawdziwą skarbnicą pamiątek po Joannie d'Arc: wszystkie o niej legendy zebrane razem, ciągnąć się będą al fresco po długich ścianach gmachu, który stanie się tém dla epopei francuzkiej z XVgo wieku, czém była galerya Didony w Kartaginie dla wojny trojańskiej. W wielkiej sali obrad, na olbrzymim frontonie średniowiecznego komina, jeden ze znakomitych snycerzy francuzkich, p. Jouffroy, żłobi obecnie trzy płaskorzeźby, przedstawiające trzy najważniejsze ustępy z życia dziewicy Orleańskiej: wizyą, szturm do Tournelles i koronacyą w Reims.

Każdy niemal malarz francuzki po wielekroć malował Joannę. Fragonard, Revoil, Scheffer, Ingres, Paweł Delaroche, stawiali ją na pierwszym planie swych historycznych obrazów; żaden jednak nie oddał w zupełności dziewicy Orleańskiej, dlatego, że każdy chce ją idealizować, a właśnie należy ona do rzędu tych istot, co światła sztucznych nie potrzebują, bo same są światłością, i promieniają jak dyament przeczystym życiem i śmiercią męczeńską.

Dlatego zapewne poeci francuzcy wyżsi tą razą od malarzy, że nie dotykają już teraz rymami legendy o natchnionej bohaterce; dlatego, choć to przedmiot tak dramatyczny, niema ani jednej opery na ten temat, bo prosta Joanny nie przystaje do poetycznych wykrzykników, ani ekstrawagancj muzycznych nie znosi. Geniuszom nawet nie udało się oddać jak należy cudownych dziejów pasterki, bo tu najbogatsza fantazyja nie sprostą rzeczywistości. Shakspeare i Schiller skrzywili ją na scenie, nadając uczucia i namiętności sprzeczne z historyczną prawdą. Davrigny i Soumet naginali charakter swój heroiny wedle wymagań dramatycznych; pisząc historią dziewicy, Chapelain naraził nabytą sławę, Voltaire nie ją, ale siebie zbeczczył.

W tém miejscu, jakkolwiek niechętnie zatrzymuję myśl na Wolterowskiem arcydziele, które zarazem czystość i szlachetne obraża uczucie; nadmienić wypada, co natchnęło Voltaira do napisania satyry na Orleańską dziewicę. Pan Dupuis, wice-prezes w Orleanie, jeden z tych urzędników, którzy nudy biurowe wynagradzają sobie na starość literackim zawodem, wyjaśnił niedawno ten nieznaný dotąd, a dosyć ważny punkt w historii literatury francuzkiej.

P. Dupuis wynalazł w szpargałach stariej biblioteki manuskrypt z datą 1753, który zawiera co następuje:

„Dunois był przyjacielem jednego z moich przodków, i powierzał mu najskrytsze swoje myśli. Znalaziono w r. 1688 w starych rejestrach familijnych kopie kilku listów, w których Dunois utyskuje na niewdzięczność Joanny d'Arc, dając do zrozumienia, jakoby ściśle łączyły go z nią stosunki. Dziad mój, który był adwokatem, i posiadał wielkie zaufanie Voltaira, pokazał mu te listy; ten porwał je skwapliwie, i na nich osnował poemat o Orleańskiej dziewicy. Listów tych dziadowi oddać w żaden sposób nie chciał, i z tego powodu wytoczyliśmy proces spadkobiercom Voltaira, domagając się zwrotu tych dokumentów.“

Współczesny prawie Voltaira, Robert Southey, napisał poemat, który jest protestacją Wolterowskiej satyry. Southey gorąco i z miłością broni pokrzywdzonej dziewicy: jestto może najświetniejszy hołd oddany piórem Joannie d'Arc. Anglik oświadcza na wstępie, że broni

sprawy nietylko sprawiedliwój, ale świętój; i rzeczywiście broni jój szlachetnie. Nadto, obrazowość i bogactwo stylu, które tam do najwyższego stopnia rozwinął, przyczyniły się niemało do postawienia go w szereg pierwszych poetów swojego kraju.

W ogóle jednak, jak widzimy, niewdzięcznyto przedmiot dla poetów. W całej massie epei, sonetów i tragedyi, nie wyłączając ody Malherba, ani elegii Delavigna, wybór bardzo trudny: wszystko się nie udało! Dowiedziono, że rozumem uczyć pasterki niepodobna; zamiast więc wysmażonych napisów, które uczeni na grobowiec jój układają, właściwszy byłby może czterowiersz Franciszka I, który (jak mówią) wyrył na grobie Laury Petrarcki:

„O gentille ame, tant estimée,
Qui te pourra louer qu'en se taisant ?
Car la mémoire est toujours réprimée
Quand le sujet surmonte le disant.”

Pomiędzy nowemi dziełami o Joannie d'Arc, mianowicie zasługuje na uwagę żywy jój portret przez Micheleta. Zmęczony pracą, odpoczywając pod włoskiem niebem, ułożył Michelet prześliczną książkę, pod tytułem: „Les Femmes de la Revolution.“ Występują w tym obrazku: Charlotte Corday, pani Roland, Łucya Desmoulin, a mianowicie téż Joanna d'Arc z zachwycającą prawdą odmalowana.

Pan Quicherat bardzo obszernie, bo w sześciu tomach opowiedział dzieje Joanny: jestto rzeczywiście najszczegółowsze o niej dzieło. Nie przestając na tém, pan Quicherat chciał streszczeniem rozpowszechnić obszerny swój traktat, stwierdzony tysiącami dowodów o niepokalanój czystości i natchnieniu dziewicy Orleańskiej. Otóż teraz z dzieła tego wyjął obłężenie Orleanu, i wydał temi dniami w Bibliothéque des chemins de fer, pewny, że tym sposobem w każdym zakątku Francyi czytany będzie.

Pan Sainte-Beuve w swych pogadankach poniedziałkowych, jakkolwiek chwali pomysł Quicherata, domaga się od niego dzieła pośredniego pomiędzy szczęścią, a jednym tomikiem, dla pośredniczącej między erudytami a klasą robotniczą, ludności. Obłężenie bowiem Orleanu zdaje się, że autor wyłącznie dla francuzkiego ludu przeznaczył.

Pan Lafontaine sędzia appellacyjny w Orleanie, wydał świeżo Historyą Joanny d'Arc, która rozmiarami i duchem dosyć odpowiada słusznemu żądaniu p. Sainte-Beuve. P. Lafontaine podaje fakta sumiennie i pedantycznie, jak prawdziwy sędzia przysięgły. Sam mówi, że strzegł się przedewszystkiemi przesady, którą zowie kłamstwem pocziwych ludzi. Jakoż wierny swemu zadaniu odkrywa często cienie obrazu, tojest zwątpienia i słabości bohaterki.

Niezawodnie bezstronność jest zasługą historyka, a ciągłe panowanie nad sobą w opisie prawie cudownych wypadków, dowodzi wielkiej trzeźwości umysłu; jednakowoż w tém miejscu ma ona swoje ale. Prawda naga, oparta na dowodach, uporczywe tłumaczenie cudów rozumem, łatwo przestraszyć mogą wierzących, którzy często bezstronności od sceptyzmu rozróżnić nie umieją. Odkrywając przed czytelnikiem, wytykając palcem najdrobniejsze słabostki Joanny d'Arc, p. Lafontaine bardzo podobnym się staje do owych pseudo przyjaciół, którzy za chrześcijański obowiązek sobie poczytują otwierać nam oczy na błędy osób ukochanych.

Pogodzić historyą z legendą można; wszakże Libelt w swém znakomitým dziele, z cudownej szaty nie odziera Joanny, choć prawdy historycznej wszędzie ściśle przestrzega.

Autor Jocelina od lat kilku zdala od ludzi i świata żyjący, wydał teraz zbiór najpiękniejszych ustępów z dzieł swoich. Zbiór ten w podręcznym formacie zebrany, nazwał: „Lectures pour tous.“ Zaprawdę, dyamentowato książeczka, mówię wam! Autor taką do niej napisał przedmowę:

„Cel mój leży w tytule tej książki: „Lectures pour tous.

„Ażeby książka mogła być czytana przez wszystkich, potrzeba jęj trzech rzeczy:

„Najprzód musi być niewielka i przystępna dla tych, którzy w niej nauki, jak tych, co w niej rozrywki szukają.

„Powtóre, zamiast traktować o tém, co dzieli ludzi, tojest o polityce, lub różnych systematach ludzkiego wymysłu, winna przeciwnie dążyć ku temu, co ich wiąże, tojest: mówić wyłącznie o duszy, uczuciu, sumieniu,

o szlachetnych instynktach wrodzonych ludzkości, o wszystkim co Stwórca wlał wyraźnego, powszechnego i nierozwiązalnego w serce ludzkie, co wyrzył językiem powszechnym, to jest uczuciem.

„Potrzebie nakoniec potrzeba, żeby książce tej nie zarzucić nie można było. Przeznaczona tak dobrze dla starych jak dla młodych, dla dzieci nawet płci obojg, winna być oczyszczona przez autora nietylko z myśli i obrazów, ale z każdego wyrazu nawet mogącego skazić kryształową czystość duszy, którą zowią niewinnością, zanim na miano cnoty sobie zasłuży. Jeżeli jedna karta w tém dziele znajdzie się niepotrzebna lub zbyt czarna: cel książki chybiony—zamknij ją czytelniku.

„Staranie to o spokój rodziny, sam podjąłem z największą skrupulatnością. Bezstronnie, bez słabości ojcowskiej dla mych najstynniejszych utworów, wybrałem z sześćdziesięciu tomów dzieł moich najczystsze i najpoprawniejsze karty; i z tych nawet, jeżeli przypadkiem strofa jaka, okres, obraz, wiersz, wyraz nawet wydał mi się drażliwy dla macierzyńskiego ucha, poświęciłem go bez namysłu. Wykreśliłem strofę, uniewinniłem obraz, poprawiłem słowo. Poświęcenie to nic mnie nie kosztowało, gdyż przedewszystkiem pragnąłem, aby w tej książce nietylko przedmiot był zawsze zdrowy, ale i styl jej zawsze przystojny.

„Pisarz, który się tak sam upokarza za życia, mniej ma zasługi niżby się napozór zdawało. Streszczeniem w jedną książeczkę ogromnych dzieł swoich, wpaja on się głębiej w serca czytelników, i dłużej tam przez to żyć będzie. Szkoda, że inni pisarze nie uznali tej prawdy. Któryż człowiek, co jak ja czuł, mówił, pisał i działał wiele w swém życiu, nie zyskałby na takim wymiarze samemu sobie sprawiedliwości, zanim potomność nie skarże go na wieki zapomnieniem lub wymówką?

„Im płodniejszy jest pisarz, tém więcej mętów w dziełach jego osiada. Myśl człowieka, czyto poety, czy mówcy, czy moralisty, czy historyka, zawsze jest ziemską: bo płynie z istoty omylniej i ograniczonej. Nie tryska ona przez czystym strumieniem, któryby bez obawy zepsucia zlać można w urny, i poić nim ludzkość przez wieki. Nie, myśl najdoskonalszego człowieka jest to potok z większej lub mniejszej wysokości spadający; potok, który sobie

w pamięci bliźnich głębsze lub płytsze wyrabia łożysko; ale nurt jego zawsze mętny, niesie z sobą piasek, kamienie i dzikie zielska, które od wody niebieskiej odłączyć starannie należy. Myśl podobna jest do owych rzek amerykańskich, które toczą gdzieniegdzie bryłkę złota w błotnistych nurtach. Na jesieni, skoro woda opadnie, szukający złota robotnik idzie korytem, i zbiera co się tam na dnie świeci, a ziemię na wiatr odrzuca: i z tej powodzi, co niejedną tamę zerwała, zbierze zaledwie kilkadziesiąt ziarenek ku zbogaceniu skarbcia ludzkości.

„Toż samo uczyniłem z dziełami mojami: streściłem je w małą książeczkę, która jeszcze wydaje mi się za-gruba. Czyńcie jak ja: dajcie przepłynąć powodzi, a skoro się piasek ustoi, zachowajcie w pamięci jedynie tę trochę czystego złota, które zowią szczytną myślą, to jest: łąką, którą za niebem tęsknota wyciska, litością dla złych, świętym rozmyślaniem cudów natury, czcią dla jej Stwórcy, poddaniem się Jego woli, wiarą w Opatrzność i nieśmiertelność.

„Oto jest cel tej książki. Jeżeli przeczytawszy ją uczujecie się lepsi, nie życzcie innej zapłaty poecie: bo chwala jego w duszach waszych, nie w cześć sławie spoczywa.“

Proces Dumasa z wdową Balzaka z domu Rzewuską, bardzo zajmował w tych czasach paryzką publiczność. Chodziło o postawienie nagrobka sławnemu romanso-pisarzowi, na co Dumas ogłosił składki, nie zniósłszy się poprzednio z panią Balzak, która ze swjej strony zajmowała się sama postawieniem pomnika mężowi, nie potrzebując składek do tego dzieła. A że żyje samotnie, i Mousquetaira nie czyta, nie wiedziała długo co się święci; bo ani różnokolorowych afiszów porozwieszanych po murach miasta, ani mnogich listów, które czynny Dumas w tym przedmiocie rozpisuje i odbiera, wszystkie drukując w swym dzienniku, nie czytała.

Aż wreszcie przyniósł jej ktoś numer Mousquetaira, w których codziennie, jakby kupiecki anons, drukowano imię Balzaka na czele jakiegoś zawiadomienia o balu lub koncercie, dawany na zakupienie owego grobowca.

Zraniło serce wdowy takie wdzieranie się obcych w jej prawa, oburzyło ją wrzaskliwe zbieganie się nie-

proszonęj gawiedzi na świeżym jeszcze grobie męża, wreszcie i dumę wdowy mocno dotknęła owa nieproszona żebranina i śmiałość, z jaką obcy świętych praw ją pozbawia. Kazała więc prosić Dumasa, żeby zaprzestał kwestować, bo nagrobek męża wedle jej rozporządzenia już rozpoczęty. Nadto kazała architektowi trudniącemu się nagrobkiem ogłosić po dziennikach następujący list:

Szanowny redaktorze!

„Z zadziwieniem dowiaduję się, jakoby zbierano składki na pomnik Balzaka, gdyż od roku pani Balzak poruciła mi tę pracę, oraz dała potrzebne na to fundusze, i pomnik już jest na ukończeniu.

„Proszę cię szanowny redaktorze o zamieszczenie niniejszego listu w swym dzienniku: wypada bowiem zawiadomić publiczność, że wdowa Balzaka nie chce z nikim kosztów pomnika podzielać, gdyż tego nie potrzebuje. Zapewniam oraz tych, których pamięć sławnego pisarza obchodzi, że pomnik jego będzie godny autora Ludzkiej Komedyi.“

Budowniczy Lapret.

Mimo to, składki nie ustawały. Pani Balzak choć ze wstrętem, musiała się uciec do sądu. W zaskarżeniu dziwi się, zkąd naraz przyszła ochota Dumasowi wdziierać się tak upoczywie w jej prawa, stawiać pomniki jej mężowi, z którym nietylko się nie przyjaźnił za życia, ale poróżnił zupełnie. Daléj woła oburzona zwracając mowę do Dumasa: „Szanuj mnie, bo byłam jego żoną, a dziś sukcesorką złych czy świetnych jego powodzeń; szanuj mnie, bo jestem legatorką przywiązania człowieka, którego imię noszę, legatorką jego ostatniej myśli i ostatniej jego woli.“

Na to oburzony Mousquetaire w wymownych artykułach wykrzyknął: „Jakto? jeszcze się pani skarżysz? Jesteś niewdzięczna, niesprawiedliwa; jesteś egoistka, oschłe masz serce, krótko widzisz! Nie pojmujeszże, iż tu o sławę męża twego idzie, na co nie twego, ale składkowego potrzeba pomnika.“

Gdyby chodziło o wzniesienie statuy Balzakowi na placu publicznym, lub w jego mieście rodzinném, Mousquetaire miałby zupełną słuszość; ale rzecz inna, jeżeli idzie o nagrobek, do którego wdowa ma niezawodnie

pierwsze prawo, bo grób męża jest świętą jej własnością. Teatra, koncerta, bale, na których postrojone kobiety tańcząc, zbierały na grobowiec składkę ze śmiechem i wrzawą, musiały koniecznie zranić do głębi każdą tkliwszą duszę, a cóż dopiero serce kochającej i opłakującej stratę męża kobiety.

Zrozumiał to, choć trochę późno Dumas; a mianowicie też począł się obawiać, że przegra sprawę: pomiarokowawszy więc, że nie w swoje wdał się rzeczy, w te słowa pisze do pani Balzak, chcąc zagodzić sprawę bez sądu:

Pani!

„Zapewniają mnie, (ponieważ sama nie raczyłaś mi tego powiedzieć), że zadrasnęła twe wdowie serce publiczna składka, przeznaczona na wzniesienie pomnika sławnemu pisarzowi, którego wielbiliśmy za życia, a płaczymy po śmierci, coraz go więcej ceniąc; bo Balzak należy do rzędu tych ludzi, których sława przyrasta z czasem.

„Mówisz pani, że sama nagrobek mężowi wystawisz. Pozwalam sobie zwrócić jej uwagę, że każdy człowiek mający ma prawo do nagrobka,—pomnik zaś tylko sławny mieć może.

„Ale uspokój się pani: nie nagrobek, ale pomnik chcemy stawiać Balzakowi. Francya cała, wszyscy artyści przez mój organ, nie czego innego się domagają. Rząd, albo ty pani, naznaczysz miejsce, gdzie pomnik ten ma być wystawiony.

„Prawa twoje uznajemy całkowicie. Słusznie mówisz, że grób należy do rodziny; ale słuszna jest także, żeby potomność zajęła się pomnikiem.

„Szczęśliwi, którzy prawo do potomności znaleźli we trzy lata po skonie!“

Alexander Dumas.

Ta spóźniona delikatność nie wstrzymała procesu.

Adwokaci stron obu wymownie bronili swych klientów. Adwokat Dumasa pan de Villeneuve, na usprawiedliwienie jego pomysłu, przytacza dawniej ogłoszony artykuł jednego z poważnych dzienników, w którym, po recenzyi nowiej sztuki nieudolnie przerobionej ze sławnego

romansu Balzaka: „Le Lys dans la vallée,“ krytyk mówi w te słowa:

„Podczas kiedy tak niemiłosiernie porzą, krają, i zesztywiają wedle kaprysu dzieło jego, wiecie co się stało ze zwłokami autora? Wczoraj, wywołując drogie cienie przyjaciół, których Bóg do siebie powołał, błądziłem po labiryncie martwego miasta: Père Lachaise. Obok dwóch pięknych nagrobków w których Kazimierz Delavigne i Karol Nodier spoczywają, znalazłem kamień zarosły trawą, a na nim wyryte te słowa: „Honorusz de Balzac, urodzony w Tours w maju 1799, zmarły w Paryżu w czerwcu 1850.“

„Żaden przechodzień nie zatrzymał się przed tym grobem, bo któż odgadnie, że tam popioły genialnego męża schowane? Trawa zarosła imię jego!

„Lada komu wznoszą złote pomniki, a o tym myślicielu, o tym archeologu inwentarza socyalnego, o tym sekretarzu towarzystwa francuzkiego (jak sam siebie nazywał), zapomnieli tak prędko Francuzi?!

„Nie, to być nie może, żeby grób człowieka, który tak do głębi przewiercił serce ludzkie; który, że tak powiem spisał inwentarz cnot i zbrodni naszych: żeby mówię grób jego miał niknąć pod zielskiem! Miejsce na którym pochowany wybornie jest wybrane. Po jednej stronie cała ogromna panorama Paryża rozciąga się bez końca, z drugiej ciągną się długie cyprysowe ulice, a w nich cisza wieczysta i groby. Trzeba koniecznie w miejscu tego kamienia postawić za składowe pieniądze pyszne, brązowe mauzoleum; niechaj je wzniosą ręce tylu artystów niegdyś przyjaciół zmarłego, a na bronzie niech wyryją: „autor Ludzkiej Komedyi.“ Wtedy sprawiedliwość będzie wymierzona.“

Koniec końców, po długich debatach sąd wydał wyrok, którym, po wielu zważywszy, przysądza Ewie-Konstancyi-Wiktoryi Rzewuskiej, wdowie Balzac, prawo stawiania nagrobku dla męża, a Dumasowi prawo wzniesienia mu pomnika za składowe pieniądze; koszta zaś procesu rozdzielił pomiędzy obie strony zarówno.

Wedle świeżego raportu ministra oświecenia, w 86ciu departamentach Francyi jest 1,081 wyższych zakładów

naukowych prywatnych; w ręku osób świeckich 825, a w ręku duchownych 256.

Pod bezpośrednim nadzorem biskupów jest szkół 67. Do niektórych przyczyniły się gminy, niechęć ponosić daremnych nieraz ofiar, i woląc mieć zamiast kollegium gminnego (communal), szkołę prywatną pod opieką zwierzchności dyecezyjalnej.

Daliej 156 zakładów są w ręku duchowieństwa świeckiego: 149 katolickich, 7 innych wyznań.

Wreszcie dziewięć kongregacyj, z których jedni tylko Lazaryści prawem uznani, mają szkół 33, Jezuici 11, Maryanie 13, a Bazylianie i sześć innych, resztę.

W powyższej liczbie 256, nie objęte są jeszcze małe seminaria, których jest 123: razem 379 szkół pod kierunkiem duchowieństwa.

Na mocy prawa z dnia 15 marca 1850, każdy Francuz mający lat 25, który skończył liceum przed pięcią laty, mocen jest otworzyć szkołę. To też od czasu ogłoszenia nowego prawa, liczba szkół z 914, skoczyła na 1081; w samym departamencie Sekwany jest ich 174, ale zato Korsyka nie ma ani jednej.

Biskupi w swoich sześćdziesięciu siedmiu szkołach liczą 8,051 uczniów, a w téj liczbie 5,030 pensyonarzy. Szkoły te są w ogóle, wedle świadectwa ministra, w stanie pożądanym.

Wszystkie prawie kongregacye otworzyły szkoły swoje po ogłoszeniu nowego prawa, mianowicie téż Jezuici. Rozkład uczniów w tych szkołach jest następujący: Jezuici na 11 zakładów liczą 2818 uczniów; Maryanie w 13, uczniów 1449; Bazylianie w 2, 246 uczniów; sześć innych kongregacyj w 7 zakładach 772 uczniów: razem na 33 zakłady 5285 uczniów, a w téj liczbie 3150 pensyonarzy. Szkoły jezuickie są stosunkowo najliczniejsze, mają bowiem 2818 uczniów, między nimi 1711 pensyonarzy, kiedy Maryanie na 13 zakładów, mają tylko 1449 uczni, a pensyonarzy 763.

Szkoły w ręku księży świeckich różnych wyznań, liczą 7,859 uczniów (3,724 pensyonarzy), a przecież jest ich 156. Ogółem w 256 szkołach pod kierunkiem duchowieństwa jest 21,195 uczniów; w 825 zakładach pod dozorem świeckich, 42,462. Ogólna liczba uczniów w szkołach nierządowych, 63,657.

Jak widzimy, szkoły utrzymywane przez świeckich choć cztery razy liczniejsze, tylko dwa razy więcej mają uczniów. Nadto, wyjąwszy zakłady po wielkich miastach i w Paryżu, szkoły te prywatne z trudnością się utrzymują.

Godna uwagi, że od czasu wprowadzenia w wykonanie nowego prawa, to jest od 1 października 1850 r. kiedy liczba szkół z 914 urosła do 1081, liczba uczniów z 99,623 podniosła się ledwie do 108,333. Zobaczmy, jak się rozkładają te cyfry.

1 października 1850 r.

57 liceów	uczni 19,269	}	50,969
305 kolegiij komunalnych	— 31,700		
914 zakładów prywatnych	— 52,906		
Z téj liczby 4,252 chodziło na wykład do liceów i kolegiij, więc 48,654 tylko uczyło się w samym zakładzie.			48,654
			<hr/>
			99,623.

1 marca 1854 r.

61 liceów	uczni 21,076	}	48,981
253 kolegiij komunalnych	— 27,905		
1081 zakładów prywatnych	— 68,657		
W téj liczbie 4,305 chodzi na wykład do liceów i kolegiij; zostaje 59,352 uczących się w samym zakładzie.			59,352
			<hr/>
			108,333.

Rząd ma dziś o cztery licea więcej, ale o 52 kolegiij mniej jak w 1850 r. Jednak szkoły rządowe straciły nie więcej nad 1,988 uczniów. Tyczy się to wyłącznie kolegiij, bo licea zyskały 1,807 uczniów. Liczba zakładów prywatnych pomniejszyła się o 167, liczba uczniów tylko o 10,683; rozszerzył się ich obszar, ale na głębokości nie zyskały wiele.

Rząd ze swéj strony obiecuje mieć pilne staranie o szkołach, które od niego zawisły, i naturalnie przyrzeka skuteczne z prywatnemi współubieganie się.

Wyszedł tom IIIci podróży po Chinach Juliusza Itier, pod tytułem: Journal d'un Voyage en Chine, en

1843, 1844, 1845 et 1846. Z rozmaitych dzieł o Chinach, których bardzo wiele napisano od czasu jak parowce angielskie zbliżyły do Europy Niebieskie cesarstwo, a Anglicy przechodzą się z cygarem w ustach po ulicach Kantonu, Hong-Kong, Singapoor i Kalkucie; ze wszystkich mówię podróży po Chinach, żadna nie zawierała szczegółów tak pożywnych, tak oryginalnych obrazów, a mianowicie téż pisaną nie była z tak praktycznego stanowiska, jak dziennik pana Itier. Obyczaje, historią naturalną, rolnictwo, handel, objął zarówno w swém dziele, i obrobił z zadziwiającą specjalnością. Dlatego polityk, uczony, kupiec czy rolnik, czytać go będą z równem zajęciem.

Pan Itier był członkiem ambassady francuzkiej wysłanej do Chin w 1843 r. Dwa pierwsze tomy dzieła swego wydał w 1848 r.; trzeci z nich niezawodnie najlepszy. Znać, że autor wiele przez ten czas badał i zastanawiał się głęboko nad tym szczególnym narodem. Niezmiernie on ceni lud chiński; mówi, że jest powolny, cierpliwy i wytrwały, mianowicie téż słodczy charakteru ma wielką.

Na urzędników tylko bardzo powstaje; powiada, że są podli; okrutni, chciwi i fałszywi do najwyższego stopnia; że wszystkie te przywary tak głęboko w duszy ich są wkorzenione, iż im się na twarzy wybiły. Dalej opowiada bardzo zabawnie, jak sam z kilką majtkami rozpedził kijami całą batalion milicyi chińskiej, uzbrojonej od stóp do głów, która im przejście do marmurowych skał tamowała.

Przytoczę tutaj jedną scenę z życia domowego Chińczyków, opowiadaną panu Itier przez amerykańską damę. Maluje ona wybornie chińskie kobiety, prawie dotąd nieznanne w Europie.

„Pani H. z dwiema przyjaciółkami udała się w odwiedzin do jednej z dam chińskich. Ta, ponieważ oddawna pragnęła poznać Amerykanki, przyjęła je z wszelkimi oznakami najwyższego zadowolenia.

Płec męzką starannie na czas odwiedzin usunęła z domu gospodyni, wedle zwyczaju narodowego, który surowo przestrzega schodzenia się płci obojga w towarzystwie. Kobiety widują się tylko same między sobą, i mężczyźni także.

Towarzystwo więc składało się z 15 kobiet, to jest: trzech Amerykanek, gospodyni domu prawej żony mandaryna, drugiej i trzeciej jego małżonki, córek i siostrzenic. Wszystkie te chińskie niewiasty zdawały się żyć społem w najlepszej harmonii. Sam to już nieraz zauważałem, że w Chinach kobiety wcale nie są tak zazdrosne jak nasze. Żona prawa, jeżeli tylko jest panią u siebie, ma wygódki i należny szacunek, i nie dba wcale co robi mąż nietylko poza domem, ale nawet w domu.

Niezadługo podano obiad, składający się chińskim obyczajem z mnóstwa maleńkich półmisków, nałożonych mięsną siekaniną, z ciastek i zupy z gniazd jaskółczych. Po zupie damy chińskie zaczęły gęsto wychylać kubki napełnione tak zwanym Sam-chon; jestto poprostu gorąca wódka z herbatą, której nasze panie przełknąć nie mogły. Tak niesłychanie mocnym i palącym był ten trunek, że zaledwie go do ust przytknęły, poczęły się krztusić: co dało powód do żartów i wesołości damom chińskim, które już dobrze podchmielone gorącym napojem, śmiały się z nich do rozpuku.

W końcu obiadu wesołość przebrała miarę, a cybuchy przez wodę ciągnione, które podano w środku obiadu, upoiły je do reszty. Damy chińskie zaciągnawszy się dwa lub trzy razy tytuniowym dymem, oddawały fajki postugaczkom, żeby je na nowo nakładały, i tak paliły bez końca.

Wkrótce wesołość i gestykulacya doszły do najwyższego stopnia; pytania zadawane Amerykankom stawały się coraz niedyskretniejsze. Twarze kobiet naszych przezroczyściej białości, mocno zaciekały Chiniki, które przypuścić nie mogły, żeby to była ich naturalna cera. Tarły więc co siły ręce ich i policzki zmaczaną w wodzie chustką, ażeby się przekonać, iż żadnych na skórze nie miały malowideł. Jak wiadomo, kobiety chińskie farbują sobie policzki karminem, usta ponsem, brwi i rzęsy tuszem, czoło zaś i szyję białą pociągają farbą. Podziw już nie miał granic, skoro jedna z Amerykanek zdjęła rękawiczki, które im wydawały się jój własną skórą: wrywały sobie owe rękawiczki, zowiąc je trzewikami na ręce, i podawały jedna drugiej; narreszcie z zapałem poczęły całować nasze kobiety, chwając, że takie piękne i tak się sztucznie ubierają. Nie

wiadomo na czémby się skończyły te wybuchy czułości, gdyby Amerykanki zaraz po obiedzie nie pożegnały zbyt uprzejmój mandarynowej, z wielkim jój i całej rodziny żalem."

Niematą zasługą pan Itier jest bezstronność, z jaką mówi o Anglii. Wszędzie jest sprawiedliwy i nie zazdrośny, chwali gdzie tylko należy. Niczém niezatarta rywalizacya Francyi z Anglią, która wszędzie i zawsze przebija, choć ją teraz systematycznie skrywają, zdaje się że wcale nie zaślepiła autora chińskich podróży; owszem chwali otwarcie system rządu angielskiego i przyznaje, że szczodrze oświatę po swych osadach rozsiewa. Powiada między innymi, że na wyspie Cejlan w każdej wiosce jest szkoła, której głównem jest zadaniem nauka angielskiego języka.

Jak powiedziałem, pełno w tej książce wiadomości handlowych, naukowych i przemysłowych. Pan Itier nie tylko ogrody i szklarnie ojczyste z bogacił, przesyłając wiele nieznanych i pożytecznych roślin, ale nadto i księgozbiory francuzkie ciekawém udarował dziełem.

Teatr włoski zakończył świetnie swoje reprezentacye. Frezzolini pełna rzewnego czucia śpiewaczka, o której w poprzednich sprawozdaniach obszerniej wspominałem, w roli Beatrice di Tenda wzbudziła entuzjazm, przypominający dawne tryumfy pani Malibran, Sontag lub Grizi, za najświetniejszego powodzenia włoskiej sceny, kiedyto Rossini miał jeszcze cały urok nowości, a praca dyrektora teatru ograniczała się na rachowaniu wpłynionych do kassy pieniędzy. Błogieto były lata!

Wtedy po 60,000 fr. płacono w Paryżu prymadonny i tenorów; Kalifornia, Australia i zamorskie Krezusy nie popsuły jeszcze bajecznemi cyframi artystów europejskich, którzy dziś szlachetny kruszec, jak podłą miedź korcem mierzą.

Mimo tak ciężkich czasów dla dyrektorów teatralnych, pan Ragani zgromadził znakomitą trupe, zmusił niejako publiczność, żeby na opuszczony od rewolucyi lutego teatr powróciła. a co najdziwniejsza — nie zbankrutował. Mario, Gardoni, Tamburini, Rossi, Frezzolini,

Parodi i Ernesta Grizi, cudu tego dokonali. Zręczny dobór oper uwydatniał naprzemiany talenta artystów. Mario i Alboni w Cyruliku, Frezzolini w Lukrecyi Borgia i Beatricze, oklaski i wieńce zbierali.

Piérwsza dopiéro Frezzolini oddała wszystkie piękności opery Belliniego Beatrice di Tenda, która dotąd tylko we Włoszech lubioną była.

Posępny przedmiot téj sztuki szkodził miękkiej muzyce Belliniego. Zdawało się, że zdrajców, katów, tortury i ścinania, tylko gwałtowne i dzikie akordy Meyerbeera oddać potrafią; miłosne zaś, słowicze tony autora Normy opiewać zbrodni niezdolne. Jednakowoż, znać tylko wyrazu do tłumaczenia brakło; bo rola w operze jest jak dekoracya: cały jój efekt zależy od oświecenia. Jeżeli światło padnie nań właściwie, perspektywa rysuje się jak należy, piérwszy plan mocniej wystaje, oddal we mgle się roztopia: wszystko co było szare i niewyraźne, uwydatnia, rusza się, żyje. Doskonałém wykonaniem Frezzolini dała nowy, nieznaný blask Beatriczy, której smutna monotonia razita dotąd słuchaczy; śpiew jój wytłumaczył ogromne powodzenie téj opery we Włoszech.

Czternaście reprezentacyj ulubionego Cyrulika, które, mówiąc nawiasem, przyniosły dyrekcji 116,000 fr., opóźniły nowsze sztuki zapowiedziane w programie. Po nim Don Juan, Lukrecya Borgia, Łucya, Lunatyczka, Napój miłosny, Kopciuszek, Włoszka w Algierze, Sroka złodziej, Otello, wielkie wywołały poklaski. Mniej pochwał zyskał Hernani, Donna del Lago i Nina Pazza (muzyka Coppoli); piérwszy dlatego, że muzyki Verdego nie lubią w ogóle Francuzi; w drugiej role źle były rozdane, w trzeciej zaś razita niestosowność: Alboni bowiem bardzo otyła, jak wiadomo, wcale do niknącej z miłości dziewczyny niepodobna.

Za cztery miesiące teatr włoski otworzy się na nowo, i przez 18 miesięcy nie zamknie, z powodu wystawy zapowiedzianej na rok przyszły, dla której obszerny gmach na polach Elizejskich buduje się.

Będzieto pora ogromnych zysków, ale i ogromnych wydatków dla opery włoskiej; mówią, że natenczas teatr zapomogę od rządu otrzyma, bo дума narodowa wymaga, żeby cudzoziemców uderzyć niewidzianą dotąd na

żadnej scenie harmonią i całością. Paryż, który Francuzi może słusznie nowoczesnymi Atenami nazwali, może, ich zdaniem, mieć rywali w przemyśle, ale nie w sztukach pięknych!

Rzeczywiście, włoskiej muzyki dziś nie we Włoszech, ale w Paryżu szukać należy. Włoch kocha sztukę, ale go pieniądź przyciąga magnetycznie: wszystko więc, co za Alpami zabłyśnie, ku Paryżowi dąży. Dlatego teatr włoski w Paryżu jest prawdziwą szkołą śpiewu, w której więcej się nauczyć można, niż od najlepszego profesora. Opera Wielka zeń czerpie dla siebie artystów: Moreli, Alboni, Viardot-Garcia, Rossi, Cruvelli, tam wykształcili się na pierwszych dzisiaj śpiewaków.

Ale utrzymaniu tak zbytkownego teatru z pierwszych złożonego artystów, nawet bogaty Paryż nie podoła; kwestya więc zapomogi mocno teraz tutejszych dyletantów zajmuje, a dyrekcyja tém potrzebę jęj usprawiedliwia, że śpiewaków na wagę złota kupować musi i t. d.

Sławny aktor Fryderyk Lemaitre grał rolę parfumiarza Fauveau, i odkrył nową stronę swego talentu. Nikt sobie nie wyobrażał, żeby Lemaitre, któregośmy podziwiali w roli szulera, Robert-Macaira, Ruy Blasa, Don Cezara de Bazan, mógł oddać z niemniejszym talentem spokojną rolę narodowego gwardzisty, ojca rodziny, poczciwca sprzedającego mydło i pomadę. Nowy to tryumf godnego następcy Talmy.

Historyą drukarstwa napisał Paweł Dupont. W przedmowie powiada, że uważa dzieło swoje raczej za materyał do historii drukarstwa, niż za jego historiją; że dzieło niniejsze napisał jedynie czyniąc zadość ostatniej woli ojca, który był przez lat 74 drukarzem.

Mimo skromności autora przyznać należy, że zebrał i ułożył starannie wszystkie fakta dotyczące sztuki drukarskiej, zarówno tym sposobem i myślicielom i rzemieślnikom czyniąc przysługę. Pytającemu: jaki jest stosunek sztuki myślenia do sztuki drukarskiej, łatwo odpowiedzieć, że myśl jest duszą, druk ciałem, a razem jedną składają istotę. Drukarnstwo jest niezaprzeczenie naj-

wyższe z rzemioł, i jest rzeczywiście jedynem sukcesyjnym dziś rzemiołem. We Francyi można naliczyć niemało drukarskich dynastyj, które od niepamiętnych czasów żadnej nie uległy zmianie; o którejże innej dynastyi w tym kraju można toż samo powiedzieć?

Paweł Dupont członek ciała prawodawczego i drukarz z professyi, szczęśliwą powziął myśl zgromadzenia i związania w jeden snopek rozrzuconych, a mających rzeczywistą wartość historyczną dokumentów. Że autor zna swój przedmiot, rozumie się samo przez się; rozumie się także, że tylko specjalny człowiek może recenzją jego dzieła napisać.

Doktor Guépin wydał Filozofią XIX wieku. Jest to długa i nauczająca wycieczka po gęstym lesie przeróżnych systematów, w które wiek XIX obfituje, skutkiem zapewne, jak mówi nasz poeta-satyryk, „że po deszczu krwawym, reformatorowie rodzą się jak grzyby.”

Pan Guépin wędruje po tych bezdrożach, mając zawsze oczy ku bezwzględnej prawdzie zwrócone, i dlatego wędruje szczęśliwie: bez tej stałej gwiazdy, pewnieby z labiryntu nie wybrnął. Książka ta czyta się ciekawie; nie jest zadługa, choć z 900 kartek złożona; nie jest zakrótka, chociaż traktuje o całej niemal wiedzy ludzkiej: z czego wypada, że ma wartość.

Felix Mornand napisał był zeszłego roku bardzo wziętą książeczkę pod tytułem: *Vie des Eaux*. Rzekłbyś, że wszystkie źródlane Rusatki natchnienie mu przysłały, tak lekkie ma pióro, a kwiecistość obrazowania. Otóż teraz pan Mornand wydał: *La Belgique*, niemniej miłą i dowcipną książeczkę, która zapewne niemniejsze niż poprzednia znajdzie w świecie powodzenie. Prócz dowcipu, jest w niej także dosyć poważnych wiadomości o handlu i przemyśle belgickim. Wyszła w tak zwaną Bibliotecę kolej żelaznych, w której znajdują się teraz imiona najpierwszych autorów: bo biédaczka literatura, nachodząc się dosyć o kiju, a nieraz i z dzia-dowską torbą po manowcach, jeździć teraz będzie koleją żelazną.

DWA DWORY.

POWIEŚĆ.

I.

Chrzcziny.

ostatnim blaskiem spływając z góry,
Kąpie się słońce w zwierciadle Bzury,
I coraz wdzięczniej barwy różowe
Na niedaleką sieje dąbrowę.

Tuż poza rzeką stoi na wzgórzu
Dworek modrzewi; a na podwórze
Liściasty jawor, w bujne konary
Dach wpół ocienia zmszony i stary.

A w cichym dworku, o białe ściany
Gwar się rozlega szczęścia nieznany.
Zkąd wszystkim radość taka u czoła?
Oto Bóg zesłał z niebios anioła:—
Drobną dziewczeczkę; z nią razem g'woli
Strzechę ozłocił promieniem doli.

W małej komnacie, w koło zebrana
Rodzina czeka księdza plebana:
Sędzia z małżonką, cni przyjaciele,
Przybyli wspólne dzielić wesele;
Bo uproszeni sąsiedzi m li,
By dziecię do chrztu podać raczyli.

Major (tak wszyscy zwą gospodarza),
Wielec sąsiada swego poważa;
Bo nie dla kształtu sędziego głowa,
A serce droższy skarb jeszcze chowa:—
Starą poczciwość, prostotę świętą,
I cnotę ojców rdzą niedotkniętą.

A i ich żony umieją szczerze,
 W nieskazitelną dochować wierze
 Związki przyjaźni, co w imię Boże
 Zawarły jeszcze wzajem w klasztorze,
 Siedząc trzy lata na jednej ławie
 U Sakramentek niegdyś w Warszawie.
 Wróciwszy do dom, znać palec Boski
 Przywiódł obiedwie w sąsiednie wioski:
 Jedną z nad Warty, drugą z nad Wisły.
 Czas związek jeszcze ustalił ścisły;
 To téż obiedwie szczerze tuszyły
 Wytrwać w przyjaźni aż do mogiły.

Sędzia z majorem gawędzą społem,
 A dwie niewiasty z pochylém czołem
 Patrzą w kołyskę, gdzie drobne dziecko
 Spi, nic nie wiedząc o Bożym świecie.

Już doświadczeńsza nieco sędzina,
 (Pięcioletniego ma bowiem syna),
 Udziela rady miłej Maryni,
 Pomyślne wróżby rada jój czyni:
 Już wyprowadza niemylnie wnioski,
 Jakie dziewczeczka mieć będzie włoski,
 Jakie oczęta, jaką urodę,
 Gdy z pączka wdzięki wykwitną młode.
 A matka milczy, patrzy i słucha,
 Pochlebny słowom nachyla ucha;
 Serce jój dziwną nadzieją wzbiera,
 A w jasnym oku lśni radość szczerą.

Od strony wioski, żwawo za płotem
 Toczy się bryczka z głośnym turkotem;
 A stary Zabój sroży się, zżyma,
 Błyszcząc srogimi w złości oczyma.

Major i sędzia, starym zwyczajem,
 Przed progiem gościa czekają wzajem.
 Bryczka pomału w opłotki składa,
 Stawa: sędziwy pleban wysiada,
 A za nim dziadek, wraz z organistą,
 Niosą poważnie i uroczysto
 Stulę i komżę, i kropielnicę,
 I dwie olbrzymie jarzące świece.

Po powitaniu, wnet pleban stary
 Poczyna święty obrządek wiary.
 Z poduszką dziecię trzyma sędzina;
 A to niebawem kwilić zaczyna,
 Z pociechą matki: co wróży skrycie
 Z lez niemowlęcia, zdrowie i życie.

Kapłan modlitwą czci naprzód Pana,
 Potém zaklina słowem szatana,
 Niechaj się nigdy zbliżyć nie waży
 Tam, gdzie znak krzyża stoi na straży.
 I krzyżem dziecku nakreśla czoło,
 Świętym olejem znaczy wokoło,
 Haliną drobne dziewczątka zowie,
 I szepcze *Credo*. Za nim kumowie
 Pobożnie mówią wyznanie wiary,
 Jak przykazuje obyczaj stary.

Sędzina składa na matki łono
 Z błogosławieństwem córkę ochrzczoną;
 A wszyscy życzą, by dziecię małe
 Rosło Wielkiemu Bogu na chwałę,
 I na pożytek dla ludzi braci.
 Niech się czém może światu wypłaci,
 Byleby tylko z obrazą nieba
 Nie pożywało w próżniactwie chleba.

A wtém się zbliża dziadek ubogi,
 Obejmie młodą matkę za nogi:
 — „Toż mi nie bronście, państwo łaskawe —
 Rzecz — dziecinę złożyć pod ławę,
 Jako przed laty czynili starzy (1).
 Bóg zawdy łaską pokornych darzy:
 Im bardziej człowiek wolen od pychy,
 Tém pewniej doli skosztuje cichój.”

Matka dziecinę oddaje rada;
 Dziad ją pod ławę dębową składa,
 Klęka, i Bogu, nad śpiącą szczerze,
 Pobożném sercem mówi pacierze.

A wtém z gąsiorem wnoszą miód stary.
 Ojciec nalewa pełne puhary,
 A sędzia wznosi dziecię do góry:
 — „Bóg daj wam — rzecz — pociechę z córy!
 Niech jako one matrony dzielne,
 Zachowa serce nieskazitelne;
 Niech Bóg w niem strzeże skarb szczéro-złoty
 Świętej miłości, wiary, prostoty!

Tyle ja jeno życzę dziecinie,
 A dola sama z góry jej spłynie;
 Bo zawdy strumień jasny a czysty,
 Odbija z niebios promień złocisty.”

(1) Zwyczaj ten przechowuje się dotąd na Mazowszu.

Matka łzę cichą otarła z lica,
 A oko ojca dziwnie przyświeca:
 Jakby przez mroczne czasu przestrzenie
 Bóg mu przyszłości zesłał widzenie.
 — „Biedny ty — rzecze — pączku mój młody!
 Tobieby trzeba słońca, pogody,
 Aby zajaśnieć wdzięczną koroną,
 I tchnąć ku niebu woń nieskażoną.
 A jak Bóg ześle burzę i słotę,
 Co cię uchroni biedną sierotę?
 O! wtedy skrzydła stróża anioła
 Okrążą ciebie, dziecię, dokoła;
 On białą dłonią wskaże ci w cieniu
 Dwie czyste gwiazdy, w których promieniu
 Jedyna z ziemi do niebios droga,
 Przed tron cię jasny powiedzie Boga!
 Jedna z nich — miłość; druga — cierpienie!
 W nich ci duch Boży ześle natchnienie;
 One-ć wypalą piętno na duszy,
 Którego siła złęgo nie skruszy;
 Z nich żywéj wody strumienie spłyną
 Na głowę twoję, biedna dziecińco!
 Wtedy u źródła łaski ochrzczona,
 Z wiarą obejmiesz krzyża ramiona,
 Pomna, że tylko szczęśliwy w tłumie
 Kto wiele kochał — kto cierpieć umie!”

I umilkł ojciec, a rękę drżącą
 Wzniósł ku niebiosom z modłą gorącą,
 I znów nad głowę dziecińcy zniża,
 I kreśli na niej święty znak krzyża.

I cicho — głucho — jakby w komnacie
 Anioł milczenia w śnieżystej szacie
 Przewiał, unosząc lotnemi pióry
 Myśli obecnych z ziemi do góry.
 Tylko opodal z Bożego świata
 Wieczorna wrzawa szmerem dolata.
 A nad kołyską dziecińcy hożej,
 Ostatni promień gasnącej zorzy
 Błysnął przez okno, a drobne dziecko
 Śpi, nieświadome o Bożym świecie!

II.

Poranne lata.

Płynie a płynie Bzura doliną,
 A z nią godziny, dnie, lata płyną;

A dziecię wzrasta w siłę i zdrowie,
I jak ptaszyna rankiem w dąbrowie
Szczebiocze zcicha niewinne pieśnie,
Które stróż anioł szepcze jej we śnie.

O! jasność świeci dla niej świat Boży!
To też dziecina co dnia się korzy,
Dziękując Bogu, że wkrąg po ziemi
Rozesłał kwiaty z barwy cudnemi;
Że je co ranek pokrzepia rosa,
Że tak gwiazdami świecą niebiosa,
Że tyle muszek brzęczy nad wodą,
Że z taką ptastwo nuci swobodą,
Kiedy Bóg słońcem świat rozweseli;
Że tak godowo ziemia się bieli,
Gdy śnieg ją czysty przyprószy w zimie;
Że tak ognisko tli na kominie,
Gdy je obsiądą prądkami wieczorem,
Podczas gdy wichur nad blizkim borem
Z śnieżną zamiecią głucho szeleści,
A one cudne prawią powieści:
O żywych zdrojach zaklętej wody,
I o księżniczce złotej urody;
O złotogrzywym biegunie, który
Lotne na niebie prześciga chmury;
O skarbach skrytych w łonie otchłani,
Którym stróżują wiecznie szatani;
I o pałacu srebrnym, gdzie skrycie
Księżyc się do snu chroni o świecie,
Zanim go orły znów górnotłone,
Z wozem poniosą we mgły wilgotne,
Zkąd, wśród milczenia i tajemnicy,
Zabłyśnie zorzy swęj cudnolicęj.

O! lubi słuchać powiastek dziecię!

A myśl jej krąży w zaklętym świecie,
Kędy nieznane na ziemi cuda
W czarowne barwy złoci ułuda.

O! lubi dziecię z prądkami społem,
Gdy przy kądzieli zasiądą kołem,
Nucić piosenki piękne a łzawe:

Jak koń mogilną grzebie murawę,
Kędy wojownik spoczywa młody;
Jak kruki nad nim sprawiają gody;
Jak stary sokół, siedząc na skale,
Za zbiegłym czasem rozwodzi żale;

Jako kukułki, ptaki żaloby,
Z pomrokiem drogie zwiedzają groby,
I drobne główki tuląc w kalinie,
Gwarzą umarłym wieść o rodzinie!

I młode dziewczę, by kwiat kaliny,
 Wśród rodzinnej wzrasta doliny,
 Ogrzane słońca blaski złotemi,
 I rosą własnej skrzepione ziemi;
 Ukolysane szumem dąbrowy,
 Niby tajemni zakłète słowy,
 I jak kalina wysmukła rośnie,
 I na świat Boży patrzy radośnie:
 A świat nawzajem ku niej się śmieje,
 Sny jej malując w cudną nadzieję.

A kiedy w wolne od nauk chwile,
 Z Halką po łące goni motyle
 Stasio, sędziego chłopak jedyny;
 Oj! chyżo wtedy biegną godziny!
 Bo téżto Stasio dziarskie pachole!
 I do nauki piérwszy on w szkole,
 I do niewinnej skory pustoty;
 Ale się chroni szkodliwej psoty.
 Chociaż o każdym gniazdku wie w sadzie,
 To on nie stoi pastwu na zdradzie;
 Nawet tajemnie sypie im zboże,
 Aby posilić śpiewaki Boże.
 A nawet rzesza wróbli, choć marna,
 Często z rąk jego znachodzi ziarna;
 Bo jużto Stasia taka przyroda:
 Ze zawdy rękę słabemu poda.
 Kiedy się pastwią psy nad żebrakiem,
 On mu na pomoc przylata ptakiem,
 Pogromi kundle, dziada obroni,
 A od podzięki żwawo się chroni.
 Z chłopcami we wsi rad stacza boje:
 Stroi ich w dzidy, hełmy i zbroje,
 W drewniane szable, i het szeregiem
 Hufce nad Bzury rozstawia brzegiem.
 A huk doboszy i hasła brzmiące,
 Z rosą wieczorną płyną po łące;
 Czasem dobieżą Halce do ucha.
 A małe dziewczę stawa i słucha,
 I zwraca oko, kędy w mgłę siniej
 Szarzeje wioska w wianku olszyny.

Bo dwie wsi, niby siostry rodzone,
 Korytem Bzury tylko dzielone,
 Wzajemna siebie patrzą z oddali,
 Owiane w błękit powietrznej fali.
 W obudwóch dwory jednakie prawie,
 Równe przed nimi sterczą zórawie:

Tutaj na gruszy, tam na topoli
Siedzą przy bramie zwiastuny doli,
Białe bociany. Znać, wioski obie
W jednej nieomal stawiane dobie.
Obory, stajnie, toć słowo w słowo
Nacechowane jedną budową.

Jak mówią ludzie, te wsi przed laty
Dzierzył starosta jeden bogaty;
Syna osiedlił na Ukrainie,
A owe małe wioski w dolinie
Pobudowawszy, w jednakim stanie,
Dwom młodemu córkom przekazał w wianie.

Znać, że jednego miewały pana,
Bo i w ich nazwie mała odmiana:
Ta się zwie Wólka — a tamta Wola;
Równe w nich lasy, jednakie pola.
Lecz dziedzic Woli, przed kilką laty,
Po stryju spadek dostał bogaty;
Toż to przyjaźni wcale nie wadzi,
I sędzia z żoną serdecznie radzi,
Cieszą się miłych sąsiadów dołą,
Która im oka nie gryzie sołą.

I major, choć ma dostatkiem złota,
Nie dmie sąsiadom; bo mu prostota
Miła nad wszystko: jeno jak dzieci
Hoduje swoich kochanych kmieci.
Zakłada zwolna szkółki, szpitale,
A o pałacu nie myśli wcale.

W tym domku żyli ojcowie starzy;
Toż on się ręką dotknąć nie waży
Onych podwalin, póki lat brzemień
Samo ich w świętą nie strąci ziemię.

Wśród niezmaconej dwie włości zgody,
Patrzą na siebie z obu stron wody
Przyjaznym okiem; a los łaskawy
Wiecznie je chroni granicznej sprawy,
Ni w skibę roli kmieć się nie worze,
Gdy wartkie Bzury dzieli je łoże.
Most je łączya bity na pale;
Lecz nie na rękę sąsiadom wcale,
Ze trzeba dobrą jechać godzinę,
Wkoło skrajając całą dolinę,
Kiedy przez rzekę, z pola na pole,
Jabłko przerzuci drobne pachole.

A Halka patrzy, jak dumnie z góry
Bocian pogląda na łoże Bzury,

Lub drobna rybka, pluszcząc się w wodzie,
Z brzegu do brzegu buja w swobodzie.

I duma Halka, i żal jój szczerze,
Czemu jój Pan Bóg nie odział w pierze,
Czemu jój nie dał, jak rybce, skrzeli:
Toby przy Stasiu było weselój!

Za to jak zima w lód zetnie wody,
Dopieroż istne dla dziatwy gody!
Wonczas, niepomni o mroźnym chłodzie,
Stawiają w śniegu zamki na lodzie.

I nieraz matki skłaniają głowę,
Słyszac przelotną dzieci rozmowę.
A te, nie pomnac czyli kto słucha,
Wiecznie coś sobie prawią do ucha.

— „Patrz — mówi Halka — jak mi nad głową
Anioł zapalił gwiazdkę różową;
Tamta jaśniejsza świeci dla ciebie.
Ale zkąd tyle gwiazdek na niebie?”

— „Wszystko to, Halko, ogromne światy;
Na każdym rosna drzewa i kwiaty,
Wszędzie się ludzie roją by mrowie.”
Dumny z nauki, Stasio odpowie.

— „Kto tam wybada skrytości Boże —
Odpowie zcicha dziewczątka hoże. —
Może to dusze tych, co w mogile
Zasnęli w Bogu; w wieczorną chwilę
Patrzą zwysoka, co się na ziemi
Z ich sierotami dzieje biednemi.
Może to owe łyzy, co anieli
Ronią nad ludźmi, gdy nieweseli
Ciężko na życia żalą się troski,
Niechcąc zaufać opiece Boskiej!”

— „A ty czy ufasz?” — pyta chłopczyzna.

— „Wszakżeto, Stasiu, Bóg napomina
Człeka, by ufał jak owo ptaszę,
Co zawsze w polu znachodzi paszę,
Choć ani sieje, ani nie orze,
I jeno ufa w cichój pokorze.”

— „O! i ja ufam — rzecze pachole —
Ale o gwiazdach inaczej w szkole
Nasz nauczyciel mówi nam przecie.”

— „Patrzaj, Stasiu! — zawoła dziecię —
Leci tu, leci gwiazdeczka mała!
O! jaka szkoda, żem nie złapała.

A widzisz, że cię źle nauczyli;
 Niechby to świat był: w tójby nas chwili
 Przysięgnął jak muchy. To łza anioła
 Spadła na ziemię, by skrzepić zioła;
 Zobaczysz jutro, jaki w dolinie,
 Tam gdzie spłynęła, kwiat się rozwinie."

A Stasio milezy, i myślą bada,
 I wszystko sobie w głowie układa;
 Lecz rozum chłopca, choć silny w dumie,
 Nie wszystko jednak rozwiązać umie.

Matki, w milczeniu obie głębokiem,
 Miłe dziecięcki ścigają okiem,
 I myślą krążą po lat przestrzeni.
 Radość im lica wdzięcznie rumieni,
 I każda chętnie do duszy chowa
 Owe prorocze a ciche słowa,
 Które im obu szepcze z kolei
 Duch tajemniczy błogiej nadziei.

III.

Sieroctwo.

Głucho na dworze: wicher szeleści,
 Jakby na skrzydłach straszne niósł wieści.
 Grubym tumanem nad ziemią chmury
 Wkrąg roztoczyły całun ponury.
 Żadna na niebie gwiazda nie świeci,
 Tylko szum słychać śnieżnej zamieci.
 Czasem złowrogo z krukami, wrony
 Zakraczą społem dzikimi tony;
 Czasem plusk wody słychać w oddali,
 Gdy wiatr z korzeniem olchę powali,
 A ona, jęcząc, toczy się z góry
 I grób znachodzi w korycie Bzury.

W Woli, we dworze, ogień migota,
 A przy ognisku siedzi sierota
 Błada i łzawa, w żalobnej szacie.
 Wiatr przez szczeliny dmie po komnacie,
 I głucho wstrząsa dwór modrzewiowy,
 I jęk puszczyków niesie z dąbrowy.

W statecznych latach, obca matrona,
 Młodą Halinę tuli do łona;

Ale choć obca, przecież jój z oka
 Miłość ku dziecku świeci głęboka.
 Nie czas porał zwiędłe jój lice,
 Lecz życia burze i nawałnice.
 Na błędem czole, znać, palec Boski
 Świeżo wypalił tajemne zgłoski;
 A silne barki, przed czasem w ziemię,
 Znać pochyliło krzyżowe brzemie.

Lecz choć wydatnie troski i bole
 Cień na matrony osnuły czole;
 Przecież oblicze nadobnie złoci
 Odblask niebiański dziwnej dobroci.
 O! bo niekiedy słaba niewiasta
 Olbrzymia duchem, ku niebu wzrasta,
 Gdy w samolubstwa grobowiec ciasny
 Nie zagrzebała boleści własnej;
 Jeśli na gruzach zburzonej doli,
 W piersi rozthliła iskrę powoli,
 I nie żądając nic już dla siebie,
 Umiała odżyć myślą o niebie;
 Jeśli jój serca chłód nie ostudzi,
 Wiejąc zawody wiecznie od ludzi;
 Gdy nieudolność poznawszy braci,
 Łzą pobłażania gorycz im płaci;
 Jeśli w pustkowiu swego żywota,
 Umie snuć jeszcze tkankę ze złota,
 I z niej życzliwie na bliźnich głowy
 Splatać ów wdzięczny wieniec godowy,
 Co go nie znała w życia kolei;
 Jeśli miłości, wiary, nadziei
 W zbolalój duszy chowa skarb święty,
 Zgubną zwątpienia rdzą niedotknięty:—
 Wówczas duch Boży zstępuje g'woli,
 I niby ziarno na bujnej roli,
 Sieje pociechę w łzawém jój łonie;
 A kłos wyrasta i złotem płonie,
 I plony z niego anioły białe
 W niebo unoszą Bogu na chwałę.

Tuż przy ognisku miękki len przęda
 Dwie młode przadki. Czasem gawęda
 Przerwą na chwilę ciszę grobową;
 A gdy zaszumi wicher dąbrową,
 Tułają się trwożne, i do ogniska
 Wrzucają drzew parę. Wnet jaśniej błyska
 W kominie ogień, święty dar Boga;
 I zwolna z serca ucieka trwoga.



Lecz nie ucieka z czoła sieroty
 Pomrok ponury bladęj tęsknoty.
 O! bo w jęj sercu świeża tkwi rana!
 Tylko co poszła matka kochana
 W ślady za ojcem w cmentarne wrota,
 I owa gwiazda zagasła złota,
 Co tak nad głową lśniła dziecięciu,
 Gdy spoczywało w matki objęciu!...

Corazto prządki popatrzą obie
 Na smutne dziecię, co przy żalobie
 Świeci na licu jako lilija;
 Na włos, co w pierścien jasny się zwija,
 Jak u aniołka — i zcicha płaczą.

A kiedy w Halki oku zobaczą
 Łzę, co jak czystęj rosy kropelka
 Lśni na jagodzie: to taka wielka
 Żalność w ich sercu powstaje młodem,
 Że im się niby krew ścina lodem.

— „Nie płacz mi, nie płacz, panienko złota —
 Rzecz Marysia — zawdy sierota
 Miłą jest Bogu! Nim ogień zgaśnie,
 To ja cudowną opowiem baśnię
 O młodęj wdowie, co choć uboga,
 Znalazła wielką łaskę u Boga.”

Ogniem Halinie zabłyśły oczy,
 Łza się po licu zastygła toczy;
 Ale już nowa z oka nie płynie!
 I bystro patrzy, a ku dziewczynie
 Nakłania ucha, i myślą pięści
 Naprzód osnowę dziwnęj powieści.

— „Owóz przed laty (tak prawi dziewczę),
 Gdy czary były na świecie jeszcze,
 Stara niewiasta, wdowa nieboga,
 Raz zaniemogła; a dziwna trwoga
 Zdjęła jęj synów (a trzech ich było).
 By poratować matulę miłą,
 Biegną do wróżki, co dziwnie sprawna
 W boru mieszkała od dawien-dawna.

— „O moje chłopcy — rzecz babina —
 Zła na was przyszła owo godzina!
 Już wam matula zamarła pono!
 Trudno zaradzić, gdy tak sądzono.”

„Niby kukulki płaczą synowie,
 A wróżka sobie uklada w głowie;

Wreszcie zagadnie:—„Słuchajcie dziatki!
 Wiemci ja radę dla waszój matki:
 Jeszcze z śmiertelnój wstanie pościeli,
 Skoro się który przynieść ośmieli
 Choć kropli wody z krynicy żywój,
 Co jój smok wiecznie strzeże straszliwy.“

„Wadzą się społem trzej syny wdowy,
 Każdy po wodę bieżyć gotowy;
 A jeden z synów był wojak śmiały,
 Miał on szabelkę i ostre strzały;
 A drugi służył Bogu w kościele,
 I na organach grywał w niedziele;
 A trzeci chłopak głupiec nieboże,
 Boga za piecem chwalił w pokorze,
 I doma służył macierzy g'woli,
 I pługiem co dnia orał na roli.

„Idzie więc naprzód wojaczek młody
 Po żywą kroplę krynicznej wody;
 Ale minęło trzy dni z okładem,
 Jego ni oko. Za brata śladem
 Idzie brat drugi: toć ani słychu.
 W trzy doby, szepcząc paciérz pocichu,
 Wybieży w drogę pacholę młode,
 Dla zmarłej matki po żywą wodę.
 Wstępuje naprzód do wróżki owój,
 Co wpośród ciemnej mieszka dąbrowy.

— „O miła wróżko—chłopię zagadnie
 Co który pójdzie, to het przepadnie,
 Jakoby kamień utopił w wodzie!“
 A wróżka na to:—„Bo w człeczym rodzie
 Zawdy ciekawość zawadza pono;
 Człowiek rad czyni, co mu wzbroniono.
 Jam przestrzegała, żeby za siebie
 Żaden nie spojrział; bo wnet zagrzebie
 Ziemia śmiałego, co z drogi zbieży.
 Brat twój i jeden i drugi, leży
 Kamieniem w ziemię wrosły na wieki!“

„Idzie pacholę za lasy, rzeki:
 Im dalej idzie, tém cięższa droga.
 Dziwna go w duchu zdejmuje trwoga,
 A wokół, ostre ciernia i głogi
 Do krwi biédnemu kaleczą nogi.

A kiedy zaszedł pod stromą górę,
 W ślad za nim gonią wilczyśka bure;

Zachodzą drogę: ślępie im błyska,
 On śmiało srogie mija wilczyńska,
 I coraz bieży dalej a dalej.
 A bór się przd nim szeroko pali,
 Płomień do góry z dymem wybucha:
 Pachole idzie. Już wskrós mu ducha
 Przejmuje trwoga, włos mu się jeży;
 Brnąc przez zarzewie, bieży a bieży.

Spotyka wreszcie obcego człeka,
 Co mu wskazuje ścieżkę zdaleka,
 Gładko zaslaną śliczną murawą,
 Byleby zboczył trochę na prawo;
 Ale on pewny słów wróżki starój,
 Zwodnym pokusom nie daje wiary,
 Jeno się dźwiga w górę wysoko.

Wtém smok straszliwy wpada mu w oko,
 Z siedmioma łbami, nad brzegiem jamy
 Spiący: połyska ostremi kłami;
 Dym z siedmiu paszczek siarczysty bucha.
 Pachole stawa, patrzy i słucha;
 A choć do kości przejęty strachem,
 Zmiata łby jednym kosy zamachem.
 Posoka tryska gorącą strugą,
 A chłopię zchodzi w jamę, i długo
 Idzie omackiem prosto przed siebie.

Wtém złoty promyk błysnął na niebie.
 Wychodzi z jamy, wita świat Boży,
 Klęka i zcicha Bogu się korzy.
 A pod jaworem na wierzchu skały
 Wytryska wody potok wspaniały:
 Pije pachole— i owoż dziwy!
 Pokrzepion wodą z krynicy żywój,
 Nie czuje znowu bolu, ani trwogi,
 Ni ran, co obie krwawią mu nogi.
 I widzi pola, lasy, i grody,
 I kwietne łąki, i bystre wody,
 W złocistą niby owiane zorze,
 A srebrne liście drżą na jaworze:
 I kiedy niemi wiatr zaszeleści,
 Zakłęte niby śpiewają pieśni.

A na wspaniałem drzewie u góry,
 Sokół złotemi chwieje się pióry,
 I na ramieniu siada sięroty,
 I trzyma w dziobie dzban szczerozłoty.
 A cudny jawor śpiewa i śpiewa:
 „Zerwij pachole gałązkę z drzewa,
 I w złoty dzbanek zaczerpnij wody,
 I do matczynej wracaj zagrody,

I znurzaj w wodzie liść jaworowy,
I skrapiaj wkoło pola, dąbrowy!“

„Młode pacholę bieży co ducha,
I bacznie dawnych napomnień słucha:
I drze się znowu przez gęstwie boru,
I skrapia ziemię liściem jaworu.

A kędy woda na stos kamieni
Padnie; wnet kamień w człeka się zamieni,
I ku serdecznej chłopca uciesze,
Wślad za nim idą ogromne rzesze:
Niewiasty, starcy, młodzież i dziatki,
I brat rodzony, ów wojak gładki,
I sługa Boży, i wszyscy ludzie,
Co od lat wielu w znoju i trudzie
Nie mogąc wytrwać, z drogi zstąpili,
I z woli Boskiej w głąz się zmienili.

„I po dwóch dobach mozolnej drogi,
Zachodzą bracia w domowe progi:
Skrapiają wodą lica macierzy,
Co na śmiertelnej pościeli leży.
I z łoża wdowa powstaje stara,
Bo śmierć przemogła prostaczka wiara.
Toż nieraz łaskę Bożą ów kupi,
Co według ludzkich rozumów głupi.

„Gody wyprawia szczęśliwa matka,
Płasają syny, płasza czeladka;
Po stole płyną piwa i miody,
Pije pospołu stary i młody.
I my-ta razem byli z drugimi,
Wszystko widzielim oczy własnymi,
Jedlim i pilim jako przystało,
Jeno nam w gębie nic nie pozostało.“

Na one słowa, Halina cicha
Drobnemi usty wpół się uśmiecha,
Lubo łą jeszcze powieka świeci,
Co ją zroniła, słysząc, jak dzieci
Po żywą wodę radzi bieżeli,
By na śmiertelnej matce pościeli,
Cudowną kroplą powrócić życie.

I długo дума nadobne dziecie,
A coraz tkliwiej zacna matrona
Małą Halinę tuli do łona;
Ale nie cieszy marnemi słowy,
Bo to pociechy sposób jałowy:

Jeno tajemną współczucia siłą
Skrzepia na duchu dziewczeczkę miłą.

A wicher straszniej szumi nad lasem,
I drzew konary łamie z hałasem,
I pluska wodą spienioną Bzury.
Na niebie nowe kłębią się chmury.
Wiatr przez szczeliny w izbę się wciska
I gasi błady płomień ogniska:
Obie go prądki wzniecają społem.
A widząc znowu nad dziecka czołem
Ponury smutek; Kasia pierzchliwa,
Gdy znów migocze płomień łuczywa,
Na ukojenie łzawej sieroty
Nuci piosenkę o doli złotój.

A zrazu wicher wyjąc boleśnie
Głuszy dziewoi nadobną pieśnię;
Ale powoli milknie wzburzony,
Jakby go wieszczce zakłęły tony.
I coraz ciszej szumią olszyny,
I słychać tylko piosnkę dziewczyny:

„Dolo moja, dolo złota,
Gdzie się kryjesz przecie?
Czyż dogoni cię sierota
Na szerokim świecie!

Gdy rozwinie słońko kwiaty
Na pszenicznej roli,
Wybiegnę ją rankiem z chaty,
Szukać mojej doli.

I na szczerę wyjdę pole
Gdzie falują kłosa,
Może Bóg mi złotą dolę
Spuści w kropłach rosy.

Będę gonić wciąż zdaleka
Moją dolę miłą,
Choćby ją zabrała rzeka,
Lub słońko spaliło.

I usiadę pod potokiem
Przy białej kalinie,
Będę ścigać wodę okiem,
A doła przyplynie.

Choć nie spłynie z biegiem wody,
Ja o to nie stoję:
Bóg mi jako ptaszce młodej
Da skrzydełek dwoje.

A jak błysnie zorza dzionkiem,
To odziana pióry,
Oj! polecę za skowronkiem
Wysoko do góry.

I dobiegnę aż do zorzy,
I promień różowy,
Przenieś ja przez świat Boży,
Nad próg mój domowy.

O! i będę ja sierota
Chwalić Boga w niebie,
Że mi moja złota dola
Zaświeci w potrzebie.“

I piosnka Kasi w wieczorną ciszę
Zwolna sierotę do snu kołysze;
I na ramieniu wsparta matrony,
W płomień utkwiła wzrok w półomglony.
Wreszcie powieki mruży powoli
Słuchając pieśni o złotej doli.

I coraz wdzięczniej kwitną jej lica:
Czy je pochodnią anioł rozświeca?
Czyli on w krasne barwy korala,
Drobne jej usta cudnie zapala
I do uśmiechu skłania choć we śnie?
I z gania owe mgły, co przedwcześnie
Osnuły blade czoło sieroty?
Czy on jej szepcze o doli złotej,
Co zpoza chmury dla ziemskich dzieci,
W pasmie żywota czasem zaświeci?!

IV.

Wieczór sobótkowy.

(Na dziedzińcu pod Jaworem siedzi pani Adamowa z pończoszką w ręku. Halina czyta)

„Gdy na górze świta dzionek,
„A w dolinie srebrzy rosa;
„I ja śpiewam jak skowronek,
„I ja lecę pod niebiosą.
„Lecę, gonię złudzeń marę,
„Z kwiatów życia wieniec plotę;
„Piękność—miłość—cnotę—wiarę,
„Na ogniwo spajam złote“ (*).

(Kładzie książkę i patrzy w dolinę. Chwila milczenia; pani Adamowa patrzy na nią z uczuciem).

HALINA (po chwili)

Przebac mi matko, ale te słowa,
Niby złocistej przędzy osnowa,
Myśl tak oploty: że mimowiedzy,
Jak on skrzydlaty skowronek z miedzy
Chyżo ubiegła przez mgły i chmury,
Z dźwiękiem piosenki prosto do góry.

PANI ADAMOWA.

Daj myśli bujać swobodnie, dziecko,
W wieniec majowe zaplataj kwiecie:

(*) J. B. Zaleski.

Tyleż ich w cichej rośnie dolinie!
 O! nawet w szarej życia godzinie,
 Owe porankiem zerwane kwiaty,
 Kto ich dochował zasób bogaty:
 Myśl zwiędłą jeszcze skrzepią nadzieją,
 I mrok nad błędem czołem rozwieją.

HALINA.

Dziwnażto, dziwna pieśni potęga!
 Po jej promieniu duch tam dosięga,
 Gdzie pełne zwodnej a marniej dumy
 Wciąż się wikłają ludzkie rozумы.

Dzięki ci matko składam stokrotne,
 Żeś mi sieroctwa chwile samotne
 Osnuła w pieśni wąż zakłęty,
 I w duszy płomień zatlila święty,
 Przed którym pierzcha boleść i trwoga,
 Gdy myśl ulata z ziemi do Boga!

PANI ADAMOWA.

Nie jam zatlila iskrą w twém łonie,
 Co z wyższej woli tak czysto płonie:
 Bóg ją zapalał, dziecię, powoli,
 By cię podźwignąć w sierocéj doli.
 On ci ją w rosie zsyłał z obłoku,
 W szumie olszyny, w gwarze potoku,
 W wieczornej pieśni stróża anioła,
 Gdy błogosławi uspięne siola;
 W odgłosie dzwonów, co w późnej dobie,
 Wzywa do modłów na drogim grobie;
 W pieśni skowronka, kiedy o wiośnie,
 Rodzinne pola wita radośnie.

Baczyły na nią stare bociany,
 Odwieczne stróże domowej ściany;
 Oneto strzegły, by obce wpływy,
 Nie zamąciły krynicy żywej,
 Zkąd człek po Bogu, w strzechy swęj cieniu,
 Błogą pociechę czerpie w milczeniu.

HALINA.

Tyś mię od obcych wpływów bronila,
 Twojem to dziełem ta mężka siła,
 Zjaką przemogłam sieroctwo moje,
 Której nie zmogą żywota znaje.
 Ty tarczę świętą dałaś mi wiary:
 Toż mnie piołunne nie trwożą czary,
 Ni mnie krzyżowe brzemię nie złamie,
 Boś zhartowała młode me ramie!

(*Patrzy na dolinę*)

Czy widzisz matko, ot niedaleko,
Tuman się kurzu wznosi za rzeką;
Zda się, że jeździec na siwym koniu,
Prosto ku Woli pędzi po błoniu.

PANI ADAMOWA.

O! to zapewne Stanisław młody.
Wrócił podobno do swęj zagrody,
Jak mi nasz pleban powiadał wczora.
Już mu nie żartem nadeszła pora,
By się jał pracy. Człek w młode lata
Niewiele zyska w odmęcie świata;
Lepiej mu zawsze w domowym progu,
Kędy ojcowie żyli po Bogu.

HALINA.

O tak! po Bogu zaprawdę żyli!
Pomnę ja jeszcze do owęj chwili
Zacną sędzinę, mą matkę chrzestną;
Lecz Bóg nawiedził śmiercią przedwczesną
Cichą ich strzechę; pod jednym głazem,
Po trudach życia spoczęli razem,
Tknięci zarazą, co ofiar tyle
Społem zagrzebła w chłodnej mogile.

(Wskazując ręką na prawo)

Ale patrz matko, w prawo przy młynie,
Jeździec uwiązał konia w gęstwinie;
Odczepia łódkę, znać rękę młode,
Bo żwawo wiosłem porusza wodę.

Ha! to Stanisław! Poznam go przecie;
Pamiętam dobrze wesołe dziecię.
Złote miał włosy, a ciemne oczy,
A do zabawy jaki ochoczy!
Zda się, że jeszcze chłopczynę widzę,
Gdyśmy do lasu biegli na rydze,
Albo zbierali razem jagody;
Zawsze mnie Stasio prześcignął młody.

O! co to było wrzawy, uciechy,
Gdyśmy w leszczynie rwali orzechy,
A obie matki patrzyły z boku
Na płasy nasze, z radością w oku.
Lecz rychło dzieciom ubiegł wiek złoty:
Dziś my oboje—biedne sieroty!...

Ale ot łódka ustaje w biegu:
Już do naszego dobija brzegu.
O! jakżem go téż zobaczyć rada!
Dziwnie światowa zmienia ogłada!

A on rok drugi jak skończył szkoły,
I odtąd bujał sobie wesoly,
Jak mi mówiono po wielkim świecie;
Aż chwała Bogu, zatęsknił przecie
Do domowego dzisiaj spokoju!

(Stary Zabój wybiega z budy, i biegnie ku bramie, w której ukazuje się Stanisław.)

Ot wchodzi w bramę,
— Cicho Zaboju!

STANISŁAW *(wchodząc wyświeżony i wyperfumowany)*

Przebaczą panie, że się sam stawię,
Choć blizki sąsiad, nieznany prawie.

HALINA.

Nie mów pan tego; w mojej pamięci
Wiek mój dziecinnie błogo się święci!
Rodzice pana chrzestni mi byli.
Choć od sieroctwa naszego chwili,
Co spadła razem z wyroków Boga,
Pan się z własnego wydalil proga;
Toż mi lat młodych wdzięczne obrazy,
We mgle przeszłości świecą bez skazy!

STANISŁAW.

Dzięki ci pani!

HALINA *(wskazując panią Adamową)*:

To matka druga,
Którą, zapewne pierwszój zasługa
Wymodliła mi u Boga w niebie.

PANI ADAMOWA.

Mnie to, Halino, Bóg zesłał ciebie,
By mi rozjaśnić podeszłe lata.

STANISŁAW.

Czemu tak panie zdala od świata
Życie w samotnej pędzą ustroni?

PANI ADAMOWA.

Kwiat, co się wichru i słońca chroni,
Barwy podobno dochowa dłużej;
Rodzinny powiew lepiej mu służy!

STANISŁAW.

Wiosną i latem, jeszcze potrosze,
Pojmuję ciche wiejskie rozkosze,
Miłe przechadzki w cieniu dąbrowy,
Choć minął zdawna wiek sielankowy!

Lecz jak jesienne nadciągną chłody,
Co wtedy z wiejskiej przyjdzie swobody?
W mieście tymczasem teatru, bale,
Tak zapełniają czas doskonale,
Że się nie pomni jak życie płynie!

HALINA.

Tak, ale człeku w każdej godzinie
Przed sobą samym sprawę zdać trzeba,
Czy nie nadużył dobrodziejstw nieba;
Czy z dość poważnej pojmował strony
Dar życia święty, nieocieniony!
On, póki starość sił nie pokona,
Wiecznie, jak pająk, snuć winien z łona
Przędzę na korzyść ludzi swych braci.

STANISŁAW (*nieco zmieszany*)

Świat dobre chęci niezawsze płaci!

HALINA (*z wrastającym zapalem*)

Lecz kto pracuje szczerze dla świata,
Czyliż mu marną owa zapłata
Którą znachodzi w duszy swój głębi?
O! chłodny powiew tego nie zziębi,
Stóp mu nie zrani żywota ciernie,
Kto służy prawdzie stale a wiernie!

STANISŁAW (*rumieniąc się, drżącym głosem*)

I komuż przecie prawda niedroga?
Ta czysta gwiazda dana od Boga,
Aby nam lśniła wiecznie nad głową!
Ale choć człowiek chęć ma gotową,
Niezawsze jednak służyć jój może!

HALINA (*coraz żywićj*)

Każdemu pono wyroki Boże
Wytknęły zagon na świętej ziemi,
By go uprawiał dłońmi znojnemi,
I ziarno na nim zasiewał z wiarą.
O! życie nie jest uludną czarą,
By człek nią piersi krzepił bez celu
Jak ptak, co w wiecznym nuci weselu,
A strawę z łaski znachodzi Bożej!
Człowiek nim głowę w grobie położy
Winien pracować ile sił stanie!
Toż kiedy ujrzy, jako na lanie

Falują kłosa błyskając złotem,
 Które on z czoła zasiewał potem,
 Choć z nich spożywać nie będzie chleba;
 Jednak on uczei wyroki nieba,
 I rad w mogile zaśnie jak dziecko,
 Gdy nie żył darmo na Bożym świecie!

STANISŁAW (*biorąc Haliny rękę*)

O pani! jesteś cichym aniołem,
 Co mrok obłędu zgania nad czołem.
 Znać, że nie dotknął powiew skażony
 Cudnego kwiatka białej korony,
 W którą cię ręka ubrała Boga!

PANI ADAMOWA (*wskazując na bór*)

Widzisz pod lasem, Halino droga,
 Jaki słup ognia bucha w oddali!

HALINA (*wesoło*)

To lud zapewne sobótkę pali:
 Wszak to noc słynna świętego Jana,
 W której zakwita paproć nieznaną.

STANISŁAW.

Jakżeto paproć zakwita przecie?
 Tyś pani, cichéj doliny dziecko,
 To ci wiadome pewno podanie.
 Jam go zapomniał.

PANI ADAMOWA.

— Szkoda, mój panie!

HALINA.

O! trzeba ducha uzbroić mocą,
 By zdobyć kwiat on, co dzisiaj nocą
 Cudnie wykwita w dąbrowie staréj!
 Naprzód potrzeba głębokiej wiary:
 Tylko wierzącym Bóg cuda zsyła!
 Góry, prostaczków dłoń przenosiła,
 Gdy uwierzyli! I trudu trzeba,
 Bo w znoju łaska splywa nam z nieba!
 Kto się nie strwoży groźnej wichury,
 Kto stawi czoło, gdy z czarnej chmury,
 Ognistym wężem grom tuż za gromem
 Druzgocze dęby, a ich ogromem
 Zawala ziemię, co je zrodziła:
 Czyjaż się czarom ostoi siła?!
 O! temu paproć cudna zapłonie!

A skoro czyje dotkną jój dłonie,
 Kędy myśl lotna jeno dosięga,
 Wszystko tajemna kwiatu potęga
 Ukaże człeku śmiałemu g'woli.
 Gwiazda mu złotój zabłyśnie doli,
 I niby sokół szeleszcząc pióry,
 Promienną prawdą lśniącą u góry,
 Wskaże zbłąkanym, i mroczną dobą;
 W ślad ich ku światłu powiedzie z sobą.

STANISŁAW.

Pani zapewne kwiat ten zdobyła?

HALINA.

Nie! lecz ojcowie mieli go siła,
 Zanim ponieśli głowę do grobu;
 Ja tylko strzegę tego zasobu:
 Bo snadniej dawną zachować pono,
 Niż powetować raz utraconą.

STANISŁAW.

O! strzeż jak dotąd świecić ogniska!

PANI ADAMOWA.

Corazto jaśniej płomień połyska;
 Ludzie gromadą ciągną do lasu,
 Wśród różnych płasów, śmiechu, hałasu.
 Już i skrzypaków słyhać w oddali,
 Kędy sobótkka łuną się pali.
(Słychać śpiew dziewcząt)

„Dalej, dalej, wieczór krótki,
 Idźmy społem na sobótki;
 Opasane wkrąg bylicą,
 Bieźmy kędy ognie świecą.

Zanim ranne wzejdą zorze,
 My płasajmy dziewczki hoże.
 Niechaj skrzypek tnie od ucha,
 I piosenką skrzepi ducha.

Patrzcie—ogień już połyska;
 Lećmy społem do ogniska,
 Przeskakujmy w nocne cienie,
 Ręka w rękę przez płomienie.

Chłopcy bieźcie w las przed nami,
 Walic dęby siekierami:
 Białe brzozy, stare sosny.
 Bijcie żywo w bęben głośny.

Krzeszcie ognia podkówkami,
 My dziewczeczki w ślad za wami.
 Idźmy żywo, wieczór krótki,
 Dalej! dalej, do sobótkki!“

HALINA (do Stanisława)

O! i my chodźmy pospołu z niemi.
To stary zwyczaj na naszej ziemi:
Czcic go należy!

STANISŁAW.

Niech się uświęci
Złotemi głoski w naszej pamięci!
Idźmy: nim północ zwiśnie nad światem,
W las za paproci pogonię kwiatem.
Kto wie: przeczucie mówi mi coś wieszczę,
Że zatracony, zdobędę jeszcze!...

(Dokończenie nastąpi).

HISTORIA

FILOZOFIA NAUK ŚCISŁYCH:

- 1) Whewel: History of the inductive sciences, vol. 3.
- 2) Philosophy of the inductive sciences, vol. 2.

„Niepodobna jest nawet dla człowieka najbardziej uważnego zrozumieć naszą epokę, tak w jej formie materialnej, jako też w jej stanie umysłowym, jeżeli nie pozna związków tajemnych, które łączą odkrycia ducha ludzkiego. Znajomość ta potrzebna jest dla człowieka wykształconego, ponieważ obejmuje ona pierwszy i najgłówniejszy warunek rozwoju i postępu jego życia umysłowego. Co za wielką korzyść osiągnie, skoro potrafi zdać sobie rachunek z przyczyn lub sił, które sprowadziły wypadki tak luźne i płodne! Jedynie przez obznajmienie się z faktami już nabytymi, może on wyjaśnić sobie terażniejszość i czytać z pewnością w przyszłości; jedynie przez ich poznanie może brać udział w ruchu swjej epoki, wytłumaczyć sobie to wszystko, co w jej objawach wydawać się mu będzie tajemnicą lub skutkiem przypadku: wówczas dopiero zrozumie on ów związek naturalny i konieczny, jaki istnieje w dążnościach nowych w postępie ducha ludzkiego. Przyswajając sobie bogactwa umysłowe swjej epoki, zysze także na tém, iż będzie je mógł obrócić na swą korzyść, stosownie do swjej woli i swych potrzeb, przyłożyć się do wzrostu czynów dobroczynnych, do ich rozpowszechnienia i zastosowania.“

W tych słowach wymownych, najznakomitszy chemik czasu naszego, Liebig, w przedmowie do swych Listów o chemii, wypowiada ważność odkryć i pomysłów zdobiących rozum ludzki, zaleca ich poznanie jedynie zdolne doprowadzić do gruntownego zrozumienia dążności czasowych, i określić w słabych przynajmniej zarysach tajemnice przeszłości.

Bezwątpienia jeżeli znajomość ruchu umysłowego epoki pewnej, konieczną jest do jęj zrozumienia i ocenienia: to równie historia pochodu rozumu ludzkiego w wiekowej pracy i niezmordowanych usiłowaniach, niemniej jest ważną i nauczającą. W niej prawdziwie poznać możemy istotę umysłu naszego, z niej wyczytać prawdę jego rozwoju i postępu.

Wśród prac umysłowych ducha ludzkiego, nauki ściśle zajmują poważne miejsce, dotykając najważniejszych przedmiotów, jakie tylko człowieka obchodzi mogą; najpewniejszém, a kto wie, czy nawet nienajwymowniejszém są świadectwem jego siły moralnej, potęgi jego twórczości i rozległości wiedzy.

Rozmaitość i bogactwo niezmiernych różnorodnych kształtów i przemian w naturze, z piérwszém postawieniem stopy ludzkiej na ziemi wywołać musiało w piersiach człowieka podziw i obawę, strach i uwielbienie. Pod wpływem rozmaitych wrażeń, jakie przedmioty zewnętrzne na niego wywierały, robił sobie o nich wyobrażenia; nie mogąc poznać ich istoty i własności, chciał je przeczuć i odgadnąć. Pozbawiony doświadczeń i spostrzeżeń, które tylko wieki późniejsze po długich mokołach, pracy i kłęskach dostarczyć mogły, z prostotą serca i naiwną dziecka fantazyą tłumaczył sobie tajemnice świata, swój początek i przyszłość. Początek niemal wszystkich dzisiejszych nauk ginie w odległej przeszłości, sięga piérwotnej cywilizacji ludów, której nie można ani oznaczyć, ani nakreślić jęj pewnego trwania i granic. Dlatego Bailly (1) nie bez pewnej słuszności mówi, iż piérwszy pasterz, który wzniosł swe oczy ku niebu i zapragnął poznać liczbę i ruch ciał niebieskich, piérwszym był wynalazcą astronomii; lecz jakież przedziął pomiędzy tym rzutem oka, który zaledwo dotknął się powierzchni nieba, a owym Newtona, przenikającym jęgo naturę!

(1) Histoire de l'Astronomie ancienne. Tom I.

Jeżeli w porównaniu do nieprzeliczonych i nieskończonych światów zaludniających niezmierną przestrzeń, człowiek jest małym i nieznacznym punkcikiem; to jednak w części przynajmniej dosięgając ich myślą, tłumacząc tajemnice ich ruchów, licząc ich odległość, objętość, zdobywa sobie wysokie i piękne stanowisko, które go podnosi i uszlachetnia!

Natura różnaitością swych tworów, nieskończoną swą działalnością i twórczością, przedstawia niezmiernie pole dla badań ludzkich, niewyczerpane tajemnice, których liczba miasto z czasem zmniejszać się, owszem coraz bardziej zwiększa się. Dla ciekawości ludzkiej nie można postawić żadnych granic, bo nieskończoność natury nie daje jej pokoju, ciągle ją podsyca do nowej pracy i badań. Kto wie, czy właśnie ta wrodzona ciekawość człowiekowi nie jest największym darem, jaki otrzymał z rąk Stworzyciela; kto wie, czy jego zadaniem nie jest wieczne szukanie, niemające końca i ostatecznego celu? W każdym razie zbierając skrzętnie i bezustannie coraz nowe prawdy i idee, buduje z nich najwznioślejszą świątynię umiejętności, zaszczycającą jego pracę i powołanie.

Wspaniałość i wielkość natury niedopiero w nowszych czasach zwróciła na siebie tak wielką i wszechstronną uwagę: z początkiem ludzkości służyła ona jej za przewodniczkę i nauczycielkę. O tyle, o ile podstępował człowiek naturę, o tyle tworzył sobie pewne wyobrażenia, oblekał je w różnorodne postacie, które uwielbiał i był im posłusznym. Z tej przyczyny nauki przyrodzone od najdawniejszych czasów miały wielkie znaczenie: w nich prawodawcy religijni i cywilni czerpali wiedzę, według nich stanowili prawa i zasady. Jakkolwiek w wieku naszym nauki przyrodzone przeważne zajmują stanowisko i niemal pierwszeństwo piastują w dziedzinie dążności umysłowych; to jednak ich dzisiejsze znaczenie nie może iść w porównanie z tém, jaki miały w czasach początkowych historii.

Znajomości astronomiczne służyły za podstawę prawie wszystkim teogoniom: w nich czerpały one swą różnaitość, i na fałszywych pojęciach nieba uzasadniały swe przesady i śmieszności. W Chaldei i starożytnym Egipcie, astronomia znajdowała przybytek w świątyniach,

była zatrudnieniem księży, którzy ciągnęli z niej użytek i słabe swe wiadomości stosowali względnie do ich potrzeb i uprzedzeń. Historia bajeczna bohaterów i bogów, którą podawali wierze prostodusznych i nieświadomych, była prawie allegoryą objawów niebieskich i czynności natury; naśladownictwo, jeden z przymiotów właściwych człowiekowi, długo przekształcało ją i utrzymywało. Do wzmocnienia swej władzy, korzystając z żądz ludzkiej odgadnięcia przyszłości, pielęgnowali i wykształcali astrologią. Pod wpływem złudzeń zmysłowych, uważając człowiek mieszkanie swe czasowe za środek świata, a siebie za najwyższy i najdoskonalszy twór w stworzeniu: łatwo dał się przekonać, że gwiazdy wpływają na jego przeznaczenie, i że można go przewidzieć za pomocą obserwacyj ich ruchów i postaci. Ten błąd pochlebny jego miłości własnej, potrzebny do zaspokojenia jego ciekawości niespokojnej, długo się utrzymywał, nim go wiedza prawdziwego systemu świata zniszczyć potrafiła.

Prawda, dzisiaj nauki przyrodzone nie szukają dla siebie przytułku w świątyniach, nie roszczą sobie pretensyi do wytlumaczenia ostatecznych przyczyn stworzenia: idą tylko w ślad za naturą, spisują jej objawy, wyciągają z nich prawa, naznaczają im siły i elementa, na jakie doświadczenie i zgoda faktów je naprowadza.

Dawniej słabe i fałszywe pojęcia o naturze, wcielały się w systema religijne; posiadacze ich tajemnic byli w poszanowaniu i u władzy; lecz te poważne figury wyczytujące przyszłość z gwiazd i lotu ptaków, nie znały w wielu względach tych wiadomości, które my dzisiaj nazywamy elementarnymi.

Trudno, aby wiedza o naturze nie wpływała na religią i z nią się nie łączyła, kiedy w niej ukryte są najciekawsze tajemnice, najbardziej obchodzące skarby człowieka. Życie ludzkie jest tylko małą częścią w obec powszechnego żywota świata, czyny ludzkie są mało znaczące w porównaniu tych wielkich dzieł, które Bóg w łonie natury co dzień przed naszymi oczyma przesuwa; dlatego zagłębianie się i rozmiłowywanie w naturze, cechuje od najdawniejszych czasów umysł ludzki. Wieki odległe w historii, w których człowiek będąc bliższym natury, czuł ją i odgadywał bogactwem poezyi i fantazyi,

zaświadczają o jego czci i poważaniu dla niej. W tych zaś czasach, w których natura wykreśloną została z przedmiotów godnych uwagi ludzkiej, ciemnota i przesąd szeroko roztoczyły swe panowanie; strojąc się w pychę i subtelne formułki, chciały zniszczyć prostotę i rozumność, poniżyć wiedzę wytryskującą z źródła nieprzebranego natury.

O ile nauki przyrodzone straciły na tym pozornym blasku i sztucznej powadze, które dawniej robiły je narzędziem przesądu: o tyle zyskały na samoistności i rzeczywistej wartości. Ograniczając się na swém wielkiem i wspaniałém zadaniu, zostały prawdziwą mądrością człowieka; one przeważnie wpłynęły na nowszą cywilizacyą, i po większej części największy stanowią jój skarb i ozdobę. Pierwsze niemal hasło do nowszych czasów dali naturaliści; naprzeciw zbutwiałych ksiązek przepętnionych tkaninami subtelnej spekulacyi, słowa biorąc za idee, marzenia za czyny, formalność i czczy szematyzm za prawa: postawili jedyną nieomylną i odwieczną księgę — naturę, w której Bóg wielkimi głoskami pisze wyroki swój mądrości i wszechmocności. Kopernik, Galileusz, Kepler, Newton, geniuszem swego ducha spojrzeli na naturę do tego czasu opuszczoną, zaniedbaną i sponiewieraną; odkryli w jój łonie złożone tajemnice, które świat wprowadziły w podziwienie i zapał, wskazując ziemi i planetom właściwe przeznaczenie, i przewrócili do szczytu dotychczasowe fałszywe pojęcia. Z uznaniem ruchu ziemi podniósł się i duch ludzki, poszedł nowem tory szukać nieskończonych i odwiecznych prawd, zaczerpnąć nowych sił z czystej krynicy życia natury.

Późniejsi filozofowie idąc za popędem naturalistów, o tyle zasłużyli się ludzkości, o ile ich odkrycia, chociaż często przystrojone w szaty ubarwione, w kolory jaskrawe jednostronnej wyobraźni, umieli jednakże zrobić przystępnymi dla ogółu czytelników.

Oś dążności nowszej cywilizacyi opiera się na dwóch biegunach: przy jednym stoją naturaliści, którzy wskazując na świat fizyczny, pokazują rozmaitość jego praw, sił i czynności; przy drugim Shakspear, który zwróciwszy się do natury ludzkiej, wydobył z niej nieprzebrane bogactwo uczuć, namiętności i charakterów, udawadniając swemi arcydziełami, ile w niej zasobów

znaleźć można, byle moc geniuszu je poruszyła i owładnęła. Natura fizyczna i ludzka w połączeniu, wskazały nową drogę ludzkości, zubożyci ją wiedzą, dziełami sztuki i wynalazkami, przewyższającemi wszystkie dotychczasowe. Podobnie jak systema scholastyczne ogołoczone z samodzielności, pozbawione ducha twórczości i téj iskry geniuszu, co umie poruszać i wywoływać na jaw piękne i żywe postacie, nie mogą iść w porównanie z olbrzymiami i dobroczynnemi odkryciami nauk przyrodzonych: tak równie allegoryczne poezye Dantego, Miltona, Klopsztoka, pomimo swéj wzniosłości ustąpić muszą pierwszeństwa nieskończonemu światu Shakspeara, w którym czuć życie i energią, w którym widać czyny i charaktery.

Pod wpływem tego kierunku natury fizycznej i ludzkiej w nowszych czasach, nic dziwnego, że znajdujemy zarazem wielkiego poetę Goethego naturalistą; umiał on miłować prostotę przyrody, i w jéj różnaitości czerpać natchnienie i jéj znajomość.

Ten sam fakt mógłby już służyć za usprawiedliwienie nauk przyrodzonych z zarzutu materyalizmu, jaki im czynią zwykle ludzie ukrywający pod powłoką nibyto literackiego wykształcenia, największą nieświadomość i ograniczenie. Czyliż Tasso szukając w lekcyach matematyki utrzymania, nie był zarazem wielkim poetą? Czyliż Leonardo da Vinci przy głębokich znajomościach matematycznych, posuwając naprzód naukę mechaniki, nie był zarazem wielkim artystą? Czyliż Keplerowi, Newtonowi, brakowało na fantazyi i uczuciu religijném? Czyliż Priestleja szukanie gazów wstrzymało od napisania 80 traktatów religijnych? Bezwątpienia wieleby podobnych jeszcze przykładów przytoczyć można: historia starożytna i nowsza, mnóstwo ich dostarczyć mogła, ale i powyższe dostatecznemi są dowodami i zbiciem fałszywych i niedorzecznych zarzutów.

Niektórzy pisarze nie chcieli poprzestać na wielkości celu i przedmiotu, jakimi się nauki przyrodzone zajmują: starali się dawnością ich pochodzenia zwiększyć ich ważność i znaczenie. Według Baillego (1), ludy obecne

(1) *Lettres sur l'Atlantide de Platon et sur l'ancienne histoire de l'Asie.* 1779.

Azyi są tylko spadkobiercami dawniejszego narodu, który posiadał astronomią w wysokim stopniu wykształconą i wydoskonaloną.

Chińczycy więc i Indyanie tak wynoszeni z swój wiedzy, przechowywali jedynie pozostawioną i przekazaną sobie spuściznę od ludów zatraczonych i znanych nam tylko przez tradycją. Podobnych ludów Bailly wylicza aż pięć, kładąc na pierwszém miejscu Atlantów.

Arystoteles mówiąc o tym kraju, uważał go za fikcyą Platona, który ją stworzył i zniszczył na podobieństwo tych murów, które Homer zbudował i obalił zarazem nad brzegami Troi. Bailly nie podziela podobnego sceptycyzmu; według niego, Platon rzeczywiście mówił Ateńczykom o ludzie uczonym, ucywilizowanym, lecz zniszczonym i zapomnianym. Borrychius, Tubalkaina, ósmego człowieka po Adamie, uważa za pierwszego i wielkiego chemika (1).

Nauki przyrodzone, ważności swój i stanowiska w dziedzinie umiejętności i czynności ludzkich nie potrzebują zdobywać sztucznemi i śmiesznemi wywodami historycznego ich początku i pochodzenia, gdyż tyle mają poza sobą faktów i pomników, iż samo powołanie się na nie dostatecznie wypowiada ich wielkość i zasługę. Najprościejsze i najoderwańsze pojęcie, jak czas i przestrzeń, czerpał człowiek z natury. Widząc następstwo dnia po nocy, rozmaite pory roku, dla zorientowania się w swój pracy, musiał przyjąć pewną jedność, któraby mu służyła za miarę i wskazywała mu zarazem pewne cechy, po którychby mógł poznać przemiany czasu i następstwo pór roku. W samym więc początku znaglonym był człowiek obserwować, doświadczać; tą tylko drogą posuwał się naprzód i posuwa, i każdy krok jego postępu okupuje krwawą pracą i wielkiem poświęceniem.

Do utrzymania swego potrzebował on różnych pokarmów: zajmować się przeto musiał poznaniem ich własności, odróżnieniem szkodliwych sobie od użytecznych. Ciała niebieskie blaskiem swym, wielkością, zmianą i grą kolorów, przemawiały do jego fantazyi, pobudzając ją do różnych wyobrażeń; różnaitość temperatury wpływając tak na niego samego, jakoteż na rośliny i zwierzęta słu-

(1) Dumas: Leçons sur la Philosophie chimique, 1836.

żące mu za pokarm, wskazywała mu zawistość jego od jakichś wyższych tajemnych wpływów i sił, które on w właściwy sobie sposób starał się wytłumaczyć.

Jakkolwiek spostrzeżenia pojedyncze nad naturą, niekiedy nawet genialne i godne podziwienia znajdujemy u wszystkich prawie ludów; jednak nie mogą one zasługiwać na nazwę umiejętności, nie mogą być wpisane w jej historią: gdyż niedosyć jest coś zauważyć, potrzeba nadto fakta porównać z sobą, powiązać je, wykazać przyczynę ich pojawów i naznaczyć im właściwe prawa.

Z tej przyczyny z pewną słuszością powtórzyć możemy zdanie Delambra (1): „Cóż nam przynieśli Platon i Eudox z swych podróży po Egipcie? czegoż mogli się dowiedzieć od tych księży, których Thales dopiero nauczył mierzenia wysokości piramid za pomocą długości ich cienia.“ Początki astronomii w Chinach, Indyach, Persyi, Chaldei i Egipcie, sięgają bardzo odległych czasów; pomimo tego trudno jednak u tych narodów znaleźć prawdziwą naukę, odpowiednią dzisiejszemu jej rozumieniu. Spostrzeżenia ich po większej części dotyczyły się tylko wschodu i zachodu niektórych główniejszych gwiazd i zaćmień; posiadali zaledwo słabe wiadomości potrzebne do ich praktycznego życia, a w miejsce prawdziwej teoryi, budowali fantastyczne przypuszczenia, mające symboliczne lub religijne znaczenie. Początkowe więc te obserwacye, jak mówi Laplace (2), były tylko faktami pojedynczemi bez związku i jedności, niezdolne zaspokoić umysłu pragnącego wznieść się do poznania przyczyn, których odkrycie późniejszym wiekom pozostawioném zostało. Mädler (3) zaś utrzymuje, iż skoro się zauważy z bezstronnością to wszystko, co starożytne ludy według pewnych lub prawdopodobnych podań wiedziały o niebie, to pokaże się, iż umiały one z mniejszą lub większą dokładnością oznaczać cykle, do których poznania niepotrzeba było ani żadnej teoryi, ani sztucznych narzędzi, lecz tylko wytrwałości i cierpliwości w uważaniu niektórych fenomenów niebieskich. Nigdzie jednak w starożytności nie natrafimy na ślad jakiego Kopernika, Keplera, Newtona; nigdzie nie widać usiłowania części-

(1) Histoire de l'Astronomie ancienne. Tom I. 1817.

(2) Précis de l'histoire de l'Astronomie. Paris 1821.

(3) Popul. Astronomie. Berlin, 1849.

wo przynajmniej uwiecznionego odkryciem ukrytych się w objawach; nigdzie poczucia tych przedmiotów, które każdy, skoro tylko teleskop skieruje ku niebu, dopatrzeć musi. Trudno u narodów starożytnych szukać tych prawd i spostrzeżeń, które tylko czas i długie doświadczenie dostarczyć mogą. Zapatrywały się one na świat z młodością swego ducha, fantazyą kołysały w różności tworów i zjawisk natury, wydobywając z niej piękne, a po części potworne i olbrzymie kształty. Podobnie jak znakomity naturalista angielski Lindley, przebiegając przedpotopowe rośliny, z podziwieniem i uniesieniem mówi: „jakżeż ta wegetacja potężna musiała być różną od tej, która obecnie rozmaitemi swemi kolorami pokrywa powierzchnią ziemi naszej! Wielkość, siła i czynność wzrostu odznaczała je i znamionowała; najdrobniejsze rośliny naszej epoki były naówczas wyobrażane w formach olbrzymich; lecz jakaż pojedynczość organizacyi, jakaż jednostajność wpośród tej potężnej wegetacyi!”—tak równie zastanawiając się nad początkową historią ludzkości, widzimy w niej wielkość i fantastyczne kształty, które nas zajmują swym ogromem; podziwiamy nieraz ich olbrzymie formy, natrafiamy na silną i bogatą wegetacją ducha ludzkiego, lecz przytém znajdujemy ubóstwo myśli i prawdy. Było świat chaosu, stworzony chwilowo wyobraźnią bez spójni i karności, przeznaczony na dolne warstwy dla nowego życia i istot.

Nie jest przedmiotem naszym kreślić historii nauk, ale jedynie wykazać niektóre ważne epoki dzisiejszych umiejętności, przypatrzeć się pewnym geniuszom i zapytać się ich o tajemnice, jakie wyciągnęli z natury, przekonać się o właściwości sposobów i dróg prowadzących do prawdy i pewności.

Dzieło na które zamyślamy zwrócić uwagę czytelnika, nie obejmuje w sobie historii wszystkich nauk; autor przedsięwziął wykazać rozwój i odkrycia najgłówniejszych prawd w naukach fizycznych. Jedynym jego celem było pokazać nowe pomysły i pojęcia, przez jakie koleje przechodziły, i o ile wpłynęły na postęp nauk.

Dzieło to uważać można za historią praw i idei, jakie rozum ludzki w ciągu swych dziejów nabył o naturze; przedstawia nam w najwymowniejszy sposób jego wielkość i zasługę, gdyż faktami i płodami jego twór-

czości, wzywa nas do jego szacunku i uznania. W naukach ścisłych oryginalność nie polega na nowości pojęć niesprawdzonych, na blasku pomysłów uwodzących niekiedy swą genialnością; ale na skrupulatném uważaniu faktów i wyciąganiu z nich praw i przyczyn. Dlatego w nich pojęcia i idee nie są połyсками poetycznej fantazyi, która bawiąc się z sobą, igra w czarodziejskiem kole marzeń; ale są rzeczywistemi siłami natury, odsłaniają jój tajemnice i niemi władają. Ta tylko nowość w naukach ścisłych ma znaczenie, która więcej faktów tłumaczy i ogólniejsze im prawa nakreśla; która generalizując szczegóły, wydobywa z nich powszechne zasady. Jakkolwiek trudne są warunki dla oryginalności prawdziwej na polu nauk fizycznych, ale zato jakie owoce słodkie i płodne dla tych, którym się uda zerwać je i zakosztować! Naturalista wpatrując się w naturę, jój symboliczny język przemienia w ludzki, głosem swym powtarza jój myśli i uczucia: podaje on niejako grammatykę, według której czytać można w naturze i ją rozumieć. Najwznoślejsza i najpiękniejsza jest ta inicjacya, albowiem otwiera ona nam przybytki odwiecznej mądrości, i podaje zarazem sposoby sprawdzenia swych zasad i nieomyłności. Nigdzie niema większej harmonii pomiędzy człowiekiem a naturą, jak w naukach fizycznych: w nich za bogactwo jój płodów i dzieł, wymienia człowiek myśli i pojęcia o niej, jój życiu odpowiada żywotnością prawd, jój faktom odkrytymi przez siebie siłami i żywiołami: jedném słowem, w nich widzimy naturę ucztowieczoną, ale zawsze naturę.

Przedstawić historią najważniejszych pojęć i prawd w naukach fizycznych, w dzisiejszym ich zwłaszcza stanie, gdzie prawie codziennie nowe odkrycia zwiększają ilość już nabytych; gdzie już nie pojedyncze nauki, ale drobne nawet ich części stanowią wyłączne gałęzie wiedzy: jest bardzo trudném, wymaga rozległych znajomości, które w pewnej mierze prawie przechodzą siły ludzkie. Dalej tak rozległy przedmiot potrzebuje obszernej i wielkiej pracy, która w piśmie czasowém miejsca mieć nie może. Obok tych przeszkód leżących w przedmiocie samym, jakżeż trudno jeszcze nauki te przystępnie i popularnie przedstawić, z których każda ma właściwy sobie język, odpowiedni sobie tok mowy! Zaledwo talent

znakomity p. Arago, mógłby wystarczyć w tej mierze. Z tych przyczyn pozostawiam innym znakomitym znawcom i pisarzom głębsze i wszechstronniejsze traktowanie tych przedmiotów; przebiegając pokrótce i zbyt szkicowo historią pewnej tylko gałęzi nauk fizycznych, chcę pokazać ich ważność i obudzić w czytelniku chęć do czerpania gdzieindziej obszerniejszej i dokładniejszej znajomości.

Zpomiedzy wszystkich narodów starożytnych, jeden zwłaszcza uderza nas gienialnością swych pomysłów, bogactwem nedorównanem swych arcydzieł, pięknnością swęj duszy i myśli. Pod niebem dopiero greckim duch ludzki z młodzieńczą wiarą wypowiedział swą samodzielność, poczuł niepohamowaną żądzę zbadania i pojęcia wszystkiego. Wpatrując się w pomniki umysłowe tego jedynego narodu w historii, który odgrywał w niej rolę młodzianą pełnego nadziei i wiary w przyszłość swą: podziwiać musimy ten wielki popęd do wiedzy, to wysokie powołanie, jakie jęj naznaczono, tę ufność w siły i w prace rozumu ludzkiego. We wszystkich dziełach naród ten odbił piętno swego ducha nieśmiertelnego: w sztuce doszedł do niezrównanej doskonałości, mądrość postawił tak wysoko, iż prawie niepodobieństwem jest, aby jęj kiedykolwiek osiągnąć był mógł.

Jakkolwiek filozofowie greccy nie byli szczęśliwi w stawianiu prawd i w odkryciu praw istotnych natury; to jednak Platon i Arystoteles uważając mądrość za umiejętność przyczyn pierwszych, wskazali jęj wielką i nieskończoną drogę. Jeżeli w ich dziełach w miejsce przyczyn fizycznych znajdujemy podstawione idee i myśli, nie nam nie tłumaczące: to jednak ich usiłowania były wzniosłe i użyteczne. Zdaje się, iż pod tém niebem cudownem i czarownem, człowiek mógł tylko marzyć o pięknem, harmonii i doskonałości; dlatego umiejętność uważał za ideał wszechwiedzy, za najwyższe dobro, do jakiego duch ludzki wnieść się może. Dzisiaj patrząc na przeszłość umiejętności i widząc jak powolnie, z ilu mozołami i trudami najmniejsza prawda zdobyta została; jak szczupły dopiero zakres natury rozum ludzki odgadł i zrozumiał; jak wiele jeszcze pozostaje mu do odkrycia i zbadania: śmiało powiedzieć można, że jest przy początku zaledwo swęj pielgrzymki naukowej, a nauczeni

doświadczeniem, staliśmy się skromniejszymi i pokornymi. Lecz kto wie, czy bez téj wielkiej wiary w własne siły, chociaż może często zbyt przesadzonej, bez téj potęgi samoistnej ducha greckiego, chcącego wszystko z siebie wyprowadzić i stworzyć, ludzkość później mogłaby krok naprzód posunąć się, dalszą rozpocząć pracę? Duch grecki pozostał ciepłym ożywcem dla późniejszych narodów: jego promienie ogrzewając je, sprzyjały późniejszemu wzrostowi myśli i rozwinięciu nauk.

Bezwątpienia niektórzy pisarze przypatrując się smutnym następstwom, jakie ślepe postuszeństwo powadze Platona i Arystotelesa wywarło na późniejszy stan umysłu i nauk: nie bez pewnej słuszności z goryczą wystąpili przeciwko nim, lecz niekiedy nie umieli utrzymać granicy w sądzie zbyt ostrym a sprawiedliwością.

Niezawodnie nie tyle był szkodliwym bezpośredni wpływ nauk i prac greckich, z powodu niedostateczności i jednostronności na późniejsze rozwinięcie się nauk i postępu ludzkiego, ile ten smutny stan, iż ludzie, którzy naśladowali filozofią grecką, nie mieli wielkiego ducha ich twórców, i téj wiary we własne siły, która jedynie doprowadza do wielkich czynów i do nieśmiertelności ducha.

To wielkie poczucie swéj samodzielności, ta prawie nieskończona ufność w siebie, spowodowała, iż naród grecki nietylko był największym poetą i artystą, ale oraz u niego pierwsze początki mądrości prawdziwej się pojawiły. Słusznie więc mówi Delambre (1): „U Greków, i u nich jedynie, szukać należy początku i pomników umiejętności, którą stworzyli, i mieli środki do jéj stworzenia.“

Grecy zaczęli się zajmować astronomią daleko później od Egipcyan i Chaldeczyków, których byli uczniami. Bardzo jest trudnym wpośród bajek i wieści, które zapełniają początkowe wieki ich historii, poznać ich rzeczywiste w téj mierze znajomości. Ich liczne szkoły filozoficzne nie wydały zdolnych obserwatorów; traktowali oni astronomią jako umiejętność czysto-spekulacyjną i bawili się w fantastyczne i śmieszne przypuszczenia. Na widok tego mnóstwa systemów, nawzajem zbijających

(1) Hist. de l'Astronomie ancienne.

się i walczących z sobą, pomimowolnie budzi się przekonanie, iż jedynym sposobem do poznania natury jest doświadczenie i obserwacya ścisła: bez nich największy nawet gieniusz nie dokazać i odkryć nie podoła.

Nie jest w myśli naszej przebiegać te rozliczne systema, wykazywać ich fałszywe i niedorzeczności; dla dania jednak jakiegoś lekkiego przynajmniej wyobrażenia o stanie początkowym wiedzy w naukach fizycznych u Greków, przytoczymy pokrótce kilka opinii niektórych filozofów; z czego łatwo się czytelnik przekona, że do tego czasu ludzkość napróżno istniała, bo prawdy, które dzisiaj w elementarnych książkach są złożone więcej są filozoficzne, aniżeli pojęcia Platona i Arystotelesa.

Pomiędzy rozmaitemi marzeniami filozofów o świecie i jego stworzeniu. najznakomitsze były następujące: Thales przyznawał początek wszystkich rzeczy wodzie; Anaximenes powietrzu, Heraklit ogniewi. Anaximander, według Diogenesa Laercyusza, ziemię kulistą uważał za środek świata; według Eudemusa nie miała ona być opartą na niczem, ale obracała się około siebie; Plutarch zaś podaje przeciwnie jak on: naznaczał ziemi figurę kolumny i uważał ją za równą słońcu. Anaxagoras sądził, że słońce było żelazem czerwonym lub kamieniem rozpalonym do białości, i tak wielkim, jak Peloponez; niebo zaś miało być sklepieniem kamiennym, utrzymującym się li przez prędkość swego ruchu kołowego.

Niekiedy jednak w liczbie tych marzeń filozofów greckich zajaśnieje czysta prawda; niekiedy można natrafić pomiędzy niemi na zdrowe pojęcie. Thales uznawał kulistość ziemi, i miał znać prawdziwe przyczyny zaćmienia słońca i księżyca; mówią nawet, że je miał przepowiadać, bezwzględnie używając metod lub peryodów, które księża egipscy wskazali. Wszystkie prawdy astronomiczne szkoły Jońskiej z większym i dokładniejszym rozwinięciem nauczane były przez Pythagorasa, lecz zwłaszcza to mu przynosi wielką sławę, iż pierwszy przypisywał ziemi dwa ruchy: jeden około siebie, a drugi około słońca. Długo teorią tę utrzymywał w tajemnicy, lecz została ona ogłoszona przez jego ucznia Philolausa. Według szkoły Pitagorejskiej, komety nawet podobnie jak planety obracają się około słońca; nie

są one meteorami przejściowemi powstałemi w naszej atmosferze, lecz wiecznemi dziełami natury. Te wyobrażenia zupełnie prawdziwe o systemie świata, pochwycone były i przedstawione przez Senekę z wielkim entuzjazmem, jaki idea o jednym z najrozleglejszych przedmiotów wiedzy ludzkiej wywołać musiała w duszy filozofa. „Nie dziwny się, mówi on, że do tego czasu nie są znane jeszcze prawa ruchu komet, które spostrzegamy tak rzadko, nie znamy ani początku i końca ich biegu, które przybywają do nas z tak odległych miejsc. Zaledwo jest 1,500 lat jak Grecya policzyła gwiazdy i dała im nazwiska. Przyjdzie nareszcie czas, w którym po upływie kilku wieków ciągłej i pilnej nauki, rzeczy obecnie ukryte staną się jasnymi, a potomność dziwić się będzie, że prawdy tak oczywiste mogły nam być nieznane.“

W istocie przyszły czasy, w których się słowa i przeczenia Seneki ziściły; lecz nowe tajemnice występują ciągle, których naturalisci nie mogąc jeszcze wytłumaczyć pocieszają się nadzieją rzymskiego filozofa, podając ich rozwiązanie potomności.

Prawdy, jakie niektórzy filozofowie greccy wyrzekli, byłyto przypuszczenia tylko, nie mające za sobą żadnych dowodów i spostrzeżeń: bezwiednie je wypowiadali, nie umiając z nich należnego zdać sobie rachunku.

Ze wszystkich filozofów greckich Arystoteles wszechstronnością wiedzy, głębokością niektórych spostrzeżeń, talentem wysokim w systematyzowaniu najdrobniejszych i najdelikatniejszych pojęć zyskał sobie przeważny wpływ, który przechodząc przez średnie wieki, sięga aż nowszych czasów. Szczególny wypadek w dziejach umysłu ludzkiego, iż wielki ten filozof w dwóch epokach znacznie odległych od siebie, dziełami swemi przyczynił się do wyrobienia i wykształcenia scholastycyzmu, którego w wiekach średnich i czasach najnowszych, po dwa kroć nauki przyrodzone podkopały powagę i znaczenie.

Wielkim ludziom należy się zawsze szacunek; pomimo swych błędów i jednostronności byli oni pierwszemi robotnikami w najkosztowniejszej winnicy dla nas, bo nam otworzyli tajemnice i zasoby ducha naszego: dlatego pobieżnie i kilką słowami nie można ich zbić, a tém bardziej wykreślić z księgi dziejów umysłu ludzkiego. Nie do nas w tej chwili należy rozbierać lub sądzić syste-

ma filozoficzne: zdając sprawozdanie ppkrótce z ruchu jednej z nauk fizycznych, kilkoma zdaniami chcemy pokazać pojęcia Arystotelesa w tej mierze, i sposób jego rozumowania.

W ogóle filozofowie greccy zapatrując się na świat fizyczny, w pojęciach językiem objętych szukali sposobów do zrozumienia jego tajemnic i ich wytłumaczenia. Filozofii podobnej pomimo uporządkowania, podziału i uanalizowania pojęć pewnych, zbywać będzie zawsze na podstawie umiejętniej, gdyż początek jej wyjścia jest fałszywy i niewłaściwy. Ta dążność opierania się na wyrażeniach językowych i pojęciach niemi oznaczonych, pokazuje się w najpierwszych czasach. Podobnego rozumowania mamy przykład w Thalesie, twórcy filozofii greckiej, który gdy był zapytany: „jaka jest największa rzecz? odpowiedział—miejsce; gdyż rzeczy są w świecie, a on w niem“. W Arystotelesie podobny sposób widzenia podniesiony został do wysokości spekulacyjnego systemu filozoficznego. Jeżeli rozbiera on i w pewnej mierze to pytanie: czy istnieje próżnia w świecie? zastanawia się wprzód nad rozmaitemi znaczeniami w jakich się mówi, że jedna rzecz jest w drugiej. Wylicza wiele podobnych przykładów, jakoto: że część jest w całości, palec w ręku, gatunek w rodzaju, człowiek w zwierzęciu; po przebieżeniu owych wyrażen rozmaitych, skłania się nareszcie określić próżnię jako miejsce bez materii. Mówiąc o czasie, w podobny równie sposób dowodzi: gdyby wszystkie rzeczy były w spoczynku, pierwszy ruch musiałby nastąpić przez jakąś zmianą pomiędzy niektórymi z nich, a zatem powstałaby zmiana przed pierwszą zmianą. Czyliż moglibyśmy mówić wprzód i potem, gdyby czasu nie było? czyliż mógłby być czas bez ruchu? Dodaje więc, że skoro czas jest obliczaniem ruchu, i skoro jest wiecznym, równie ruch takim być musi. Następnie zastanawia się nad tem, co stanowi lepszość lub gorszość ruchu, i uznając ruch kołowy za najdoskonalszy, przypisuje go ciałom niebieskim. Nauka o czterech elementach długo pokutująca w głowach ludzkich, była bez wątpienia jednym z najpierwszych dogmatów filozoficznych, opartych na przeciwstawieniu tych przymiotników: ciepły, zimny, mokry i suchy. Arystoteles ją tylko rozwinął i usystematyzował. Po wyliczeniu dość znacznem

tekę, założoną przez Demetriusza z Falery z wielkimi kosztami i mozołami. Posiadając więc narzędzia i książki potrzebne, poświęcili się z wielką pilnością i zapałem pracom naukowym, do których zagrzewała ich jeszcze obecność panującego, lubiącego przesławać i rozmawiać z nimi. Ruch, jaki ta szkoła nadała naukom, i wielcy ludzie, których wydała lub którzy byli jej współczesni, naznaczają epoce Ptolomeusza jedno z najznakomitszych miejsc w historii rozwoju rozumu ludzkiego.

Arystill i Timocharys byli pierwszymi obserwatorami szkoły alexandryjskiej: ich obserwacje położenia główniejszych gwiazd zodyaku posłużyły później Hipparkowi do odkrycia ruchu wstecznego punktów równonocnych, i wpłynęły na teorię Ptolomeusza. Po nich wystąpił Arystark z Samos: najdelikatniejsze zadania astronomii zdaje się iż zajmowały jego umysł, lecz na nieszczęście spostrzeżenia jego nie doszły do nas. Jedyne dzieło, które pozostało po nim, traktuje o wielkości i odległości słońca i księżyca, w którym wykłada genialny swój sposób przez jaki próbował oznaczyć stosunek ich odległości. Podniósł on na nowo opinię szkoły Pytagorejskiej o obrocie ziemi, lecz nie wiadomo o ile ona posłużyła mu do wytłumaczenia fenomenów niebieskich. To pewno tylko, że rozsądny ten astronom uważając, że ruch ziemi niewiele wpływa na położenie pozorne gwiazd, naznaczył im bez porównania większą odległość aniżeli słońcu, i pierwszy w starożytności ogłosił właściwsze i prawdziwsze pojęcie o wielkości świata. Następca jego Eratosthenes głównie swą sławę zawdzięcza wymierzeniu ziemi; pierwsze to jest uświadczenie, jakie nam historia astronomii podaje i przedstawia.

Najznakomitszym ze wszystkich astronomów był Hippark, którego imię było powtarzane przez wielu ludzi uczonych z największą czcią i uznaniem. Pliniusz mówiąc o nim i Talesie, nagle wpada w wielki zapał, i uwielbienie jego w następnych wyznaje słowach: „Wielki męzu! wyniesiony nad poziom ludzkiej natury odkryciem praw przewodzących ruchom niebieskim i uwolnieniem słabego umysłu człowieka ze strachów, jakie mu zaćmienia sprawiały. Cześć wam i waszym gieniuszom, tłumacze nieba, godni piastunowie praw świata, twórcy

zasad, które obchodzą bogi i ludzi!" Nowsi pisarze jeżeli nie z tą deklamacją i uniesieniem, to równie z wielkiem poszanowaniem cenią jego zasługi i stanowisko naukowe. Delambre, który zwykle w swych sądach jest surowy i cierpki, widzi w nim najznakomitszego człowieka starożytności, który w umiejętności umiał połączyć obserwacją z geometryą; Laplace ze wszystkich astronomów przyznaje mu największe zasługi, jakie położył dla nauki przez ilość i dokładność obserwacyj i następstwa ważne, które z ich porównania wyciągnął i otrzymał.

Jakkolwiek idea epicyklów podnoszoną była za czasów Platona, i nastęrczała się niektórym umysłom do rozwiązania pewnych zadań astronomicznych; jednakże według tego zdania, „iż ten tylko odkrywa, który dowodzi”, Hipparka należy uważać za jej twórcę: on ją sobie przyswoił, obrócił w system i użył do tłumaczenia pewnych zjawisk nieba.

Aby uzasadnić teorią epicyklów, potrzeba było oznaczyć wielkość, odległość i położenie kół lub sfer, po których ciała niebieskie obiegają, i tym sposobem wytłumaczyć ich pozornie niejednostajne ruchy. Obecnie bardzo dobrze rozumiemy, jak należy rozwiązać to zadanie, ponieważ znamy prawdziwe ruchy ciał niebieskich. Rzeczywisty ruch ziemi około słońca, jak oraz pozornie roczny ruch tegoż, nie odbywa się po kole, którego ziemia jest środkiem, lecz po elipsie lub owalu; ziemia znajdując się u jednego z jego wierzchołków, ruch więc jej będzie prędszym, skoro słońce jest przy wierzchołku tegoż owalu. Lecz w miejsce owalu przypuścmy, iż słońce obraca się jednostajnie po kole: w tym razie ziemia nie będzie w środku, lecz bliżej jednej jego strony, a ruch słońca wydawać się będzie prędszym, skoro przypadnie bliżej ziemi, czyli bliżej swego perigeum. Linia podobnego obiegu nazywa się kołem mimośrodkowym, a odległość ziemi od jego środka, mimośrodem. Geometrycznie łatwo można wykazać, że nierówność pozornego ruchu w ten sposób odbywającego się, jest ta sama w swych szczegółach, co nierówność wynikająca z przypuszczenia małej epicykli, obracającej się jednostajnie około swjej osi, mającej słońce na swym obwodzie, i skoro jej środek obiega jednostajnie po kole, któ-

rego ziemia jest środkiem. Ta tożsamość wypadków wynikająca z hipotezy koła mimośrodkowego i epicyklu, dowiedziona została przez Ptolomeusza w trzeciej księdze jego *Almagestu*.

Pierwszém zaś staraniem Hipparka było oznaczenie dokładne czasu trwania obiegu słońca; w tym celu obserwował on przez kilka lat z największą skrupulatnością powroty tej gwiazdy do punktów równonocnych i przesilenia dnia z nocą. Przekonawszy się jednakże, że te spostrzeżenia nie były wystarczające do osiągnięcia i ustalenia pewnych i dokładnych wypadków: przedsięwziął je porównać z najdawniejszemi jakie naówczas były, i w tej mierze obrał obserwacye wykonane 150 lat wprzód przez Arystarka z Samos.

Gdyby ruch słońca był zupełnie równym i jednostajnym, możnaby wnosić, że obiega po kole, którego środkiem jest ziemia; lecz ruchy ciał niebieskich nie odbywają się z podobną jednostajnością; słońce nawet, ten regulator czasu, podlega zmianom i niejednostajności. Niedokładne obserwacye stały na przeszkodzie starożytnym do ich poznania i ścisłego oznaczenia, lecz narreszcie przekonali się oni o tém w sposób następujący: spostrzegli wielką różnicę jaka istnieje między peryodami porównania i przesilenia dnia z nocą, które powinny być równe sobie, gdyby ruchy słońca były jednostajne; chodziło zaś wytlumaczyć tę pozorną nieregularność, i naznaczyć jej powody. Hippark to uczynił, przypuściwszy, iż słońce obiega po kole mimośrodkowém, to jest, którego środkiem nie jest ziemia; lecz niedosyć postawić zadanie, aby je rozwiązać, potrzeba było obrać chować obieg słońca, oznaczyć wielkość mimośrodu i położenie tej linii, która na niebie stanowi granicę największego i najmniejszego oddalenia. Dopełnił on to, kombinując między sobą nierówne peryody pomiędzy porównaniem i przesileniem dnia z nocą, i na hipotezie koła mimośrodkowego ułożył tablice słoneczne, które później przyjęte zostały przez wszystkich astronomów.

Do wytłumaczenia tych nierówności, przypuszczono jeszcze inną hipotezę, znaną pod nazwiskiem epicykłów, która, jakśmy już wyżej powiedzieli, nie różni się od tej o kole mimośrodkowém.

Hippark położył równie pierwsze początki do teoryi księżyca, odkrył i wytłumaczył niektóre zawile i skomplikowane jej elementa. Nie uszło jego uwagi, że jednym z najważniejszych zadań astronomii jest oznaczyć odległość ciał niebieskich i wielkość świata; poświęcił się zatem temuż przedmiotowi ze zwykłą sobie gorliwością, i jeżeli nie udało mu się odkryć prawdy, to jednak znacznie rozszerzył granice znanego świata. Nie mając dostatecznych obserwacyj Hippark, jak słusznie Ptolomeusz nazywa go astronomem wielkiego talentu, rzadkiej mądrości, i szczerym przyjacielem prawdy: poprzestał na teoryi słońca i księżyca, zostawiając późniejszym wiekom odkrycie i wykształcenie pojęć o innych planetach.

Nowa gwiazda, która pokazała się za jego czasów, naprowadziła go na myśl wielką i użyteczną. Aby potomność lepiej sądzić mogła o zmianach zachodzących na niebie, zabrał się do ułożenia katalogu gwiazd, czując zarazem ważność jego w obserwacjach księżyca i planet. W tym celu poszedł on za metodą używaną już przez Arystylla i Tymocharesa; długa i trudna ta praca uwieczoną została ważnym bardzo odkryciem ruchu wstecznego punktów równonocnych.

Przychodzi nam teraz mówić o stanie astronomii od czasów Hipparka aż do Ptolomeusza: drugie wielkie imię, jakie historia tej umiejętności wskazuje, chociaż właściwie może on być tylko policzonym pomiędzy tych, którzy sprawdzali, rozwijali i rozszerzali teoryę Hipparka. Astronomowie, którzy żyli w tym przeciągu czasu, w tym nawet względzie niewiele przedsiębrali i zrobili. Boska szkoła alexandryjska, jak ją nazywa Synesius, w czwartym stuleciu wydała bardzo mało osób zdolnych posuwać naukę, a nawet sprawdzić pracę znakomitego ich nauczyciela. Matematycy tej szkoły pisali wiele, ale mało obserwowali, i prace ich nie mają wielkiej wartości; dzieła ich zajmowały się wyłożeniem teoryi i jej geometrycznych następstw, bez względu na fakta i obserwacje. W przeciągu prawie trzech wieków od Hipparka aż do Ptolomeusza, prócz dzieł Geminusa i Cleomeda które nas doszły, i kilku obserwatorów, jak: Agryppa, Menelaus i Theon ze Smyrny, historia nie może wskazać żadnej nowej idei i rzeczywistego postępu.

Ptolomeusz urodzony w Ptolemaidzie w Egipcie, żył w Alexandryi około roku 130. Jestto jedyny pisarz od czasu Hipparka, którego prace przyczyniły się do dalszego postępu nauki, i zjednały mu pierwszeństwo nawet przed jego gienialnym poprzednikiem i nauczycielem. Dzieła jego obejmują w sobie prawie kompletny stan astronomii greckiej; jakkolwiek nie stworzył on żadnej nowej teorii, wpływał jednakże znacznie na sprawdzenie, udoskonalenie i rozwinięcie systemu który przyjął. Dzieło jego jest nam znane pod nazwiskiem przypominającym, iż pierwsze nasze wiadomości astronomiczne czerpaliśmy z pisarzy arabskich. Megiste Syntaxis, nazywaném było od nich Al Magisti lub Almagest; pod tym więc tytułem dzieło Ptolomeusza najczęściej bywa wspomniane. Dla matematycznego wykładu teorii epicyklów i kół mimośrodkowych, dla obserwacyj i obliczeń używanych w zastosowaniu jej do słońca, księżyca i planet, jest ono świadectwem wielkiej pracy, pilności i talentu jego autora. Obok innych zalecających zasług podaje ono nam nadto dokładne wyobrażenie o sposobie, przez jaki Hippark pojął i rozwinął swą teorię; ułatwia przeto poznanie prac tego pierwszego i gienialnego zarazem astronoma.

Nie jest celem naszym rozbieranie szczegółowe dzieła Ptolomeusza: ograniczymy się na wspomnieniu jego li oryginalnych spostrzeżeń i pojęć. Pomiedzy temi zasługują zwłaszcza na uwagę te, które się dotyczą zmian księżyca i obiegu planet.

Ponieważ słońce ma bardzo mały mimośród, i ruch jego czyli raczej ziemi, który według spostrzeżeń i obliczeń najnowszych, nie ulega wielkim zmianom z powodu wpływów fizycznych; hipoteza więc kół mimośrodkowych byłaby dostateczną do jego oznaczenia i wytłumaczenia. Astronomia w krótkim czasie mogłaby być zająć ściśle i doskonałe stanowisko umiejętne, gdyby ruchy innych planet były o tyle proste i mało skomplikowane, jak tej gwiazdy. Lecz na nieszczęście tak nie jest: inne ciała niebieskie podlegają wielkim nieregularnościom; księżyc zwłaszcza, ten najbliższy sąsiad naszego planety, najwięcej zawsze nabawiał kłopotów astronomów. W nowszych zaledwo czasach głęboki i mozolny rachunek, potrafił pokonać wszystkie trudności, i rozwiązał zawile

pytania. Piérwsza i najwidoczniejsza jego nieregularność podobnej jest natury co i słońca; powstaje ona w skutek różności jego oddalenia od ziemi, w dwóch punktach sobie przeciwnych jego linii obiegu; druga zaś zawisła od jego odległości od słońca, do której wykrycia potrzeba było wielkiej pracy, wytrwałości i zdolności obserwacyjnej. Ptolomeusz przewyciężywszy wszystkie trudności obecnego zadania, odkryciem tej drugiej nierówności księżyca, nazwanej później przez Bullialdusa ewekcją, zasłużył się bardzo nauce, i sprawiedliwie zajmuje w niej ważne miejsce.

Odkrycie to, jak równie zastosowanie do jego wytłumaczenia teoryi epicyklów, z różnych bardzo względów ważny stanowi postęp w nauce astronomicznej: raz pokazując, iż ciała niebieskie ulegają w swych obiegach pewnym anomalom, obudziło nieufność do wszystkich tych teoryj, które przepisują prawa dla natury z ogólnego i idealnego poglądu, pomijając badanie jej zjawisk i faktów; drugi raz zauważany chociaż częścikowo tylko wpływ słońca na ruchy księżyca, dał popęd do jego dalszych obserwacyj, i z czasem przyczynił się do pojęcia i wykształcenia ogólnych praw ciężkości.

Należałoby nam teraz przystąpić do poznania sposobów, przez jakie Ptolomeusz starał się oznaczyć linie obiegu planet. Jakkolwiek przedmiot ten ciekawym jest i ważnym, nie przedstawia nic nowego nad to, cośmy powyżej powiedzieli: dlatego w kilku słowach o nim wspominaemy. Za pomocą kombinacyj kół mimośrodkowych i epicyklów, porównywając obok tego dwie własne obserwacye z dawniejszemi, potrafił on oznaczyć rozciągłości i położenia linii obieganych przez planety.

Ze śmiercią tego wielkiego astronoma, ustał wszelki rzeczywisty postęp w nauce; znikło zamiłowanie prawdy i doświadczeń. Smiało więc powiedzieć można, że od czasów Ptolomeusza aż do Kopernika, a zatem w przeciągu 1356 lat, astronomia nie posunęła się naprzód. Arabcy, którzy odziedziczyli tę naukę po Grekach, wiernie ją przechowywali; lecz nic nie dodali do niej, i nie umieli jej poprawić i rozwinąć. Trudno, abyśmy w szkiecowej naszej pracy zatrzymywać się mogli nad drobnymi spostrzeżeniami, które nie zrobiły żadnego większego wpływu: przytoczenie w tej mierze opinii ludzi powagi, zaspo-

koić musi czytelnika. Whewell twierdzi: „Bardzo mało znajduje się w literaturze arabskiej, co by uważać można za postęp astronomii, a to co jest, jest tylko następstwem greckiej umiejętności.“ Według Laplasa czynność astronomów arabskich ograniczała się na obserwacjach; nie zwrócili oni uwagi na nowe nierówności, i w téj mierze nic nie dodali do hipotez Ptolomeusza.

Z upadkiem ducha greckiego, znikła rzeczywista oświata. Rzymianie zajęci wojną i sprawami publicznymi, w naukach powtarzali Greków, i po części z ich dzieł czerpali słabe swe wyobrażenie o świecie fizycznym, pomijając żywą księgę naturę i jej zjawiska. Dlatego wszędzie gdzie ich pisaże odstępują od Greków, poprzestają na deklamacyi i niepotrzebném gadulstwie. Arabom nauka i ludzkość wiele ma do zawdzięczenia: za ich pośrednictwem światło greckie rozchodziło się po świecie. Jeżeli sami w żadnej prawie gałęzi nauk nie zrobili żadnego postępu, to przynajmniej przechowali najdroższą spuściznę, jaką wówczas ludzkość mieć mogła, starannie i czysto. Od nich przeszły do Europy za-
 bytki wiadomości greckich, lecz przez długi czas były to ziarna rzucone na rolę jałową, która rodziła kłakol i głóg. W wiekach małej samoistności umysłowej i moralnej, przeważa zwykle duch naśladownictwa: słowa i formalizm największą odgrywają rolę, ślepe postuszeństwo pewnym powagom uznanym odprowadza od wszelkich samodzielnych usiłowań, komentowanie systemów i dzieł stanowi przeważne zatrudnienie ludzi uczonych i wyłączną naukę.

(Dokończenie nastąpi).

DWOREK I PAŁAC.

POWIEŚĆ

PRZEZ

H. Wt. Pijcickiego.

„Pojrzyj, jeśli co w świecie będzie tak trwałego,
Co by się nie spadało z awdy czasu sucent!
A jako się to liczenie na nim wszystko mieni,
Nie ujrzyz tego lecie, coś widział w jesieni.“

M. Rej z Nagłowic. (Zwyercyadło. 1368).

I.

Wpuszczy nad Narwią, co się rozciągała bez przerwy od Serocka do wybrzeżów ponadwiślańskich Modlina, w jednym ostępie gęstym buchał płomień jasny, który rozświecał knięję daleko. Szałasów kilka z desek zbitych mieściły w sobie gromadkę ludzi, złożoną z traczy, węglarzy i smolarzy, którzy tu od wiosny osiedli. Najobszerniejszy szałas stojący ponad bystrą strugą, ocieniony lipami, jaworami, klonami, kilką modrzewami i bujnemi sosnami, zajmował pan Maciej Zaręba, z czeladzią i domownikami swojemi. Był to pan i dziedzic dwudziestu włók tej puszczy, i właśnie zaczął tę część karczować czyli dobywać pod płużycę pola do zasiewu oziminy. Już przeszło dwie włóki w pień wycięto: teraz zaczęto właściwy karczunek, to jest wykopywanie pni smolnych sosnowych i jedliny, z których smolarze dobywali smołę i dziegieć, a z gałęzi grubych i kłoców tupanych, węglarze wypalali węgle dla kuźni kowalskich.

Pan Maciej Zaręba liczył już czwarty krzyżyk, bo skończył rok trzydziesty piąty. Jedynek zamożnego niegdys szlachezca, dziś w kawale puszczy musiał urządzać dla siebie siedzibę na przyszłość.

Ojciec jego, pan Bartłomiej Zaręba, w młodych latach służywał pod chorągwią przeciw Szwedom; później już osiadał należał do konfederacji Barskiej, przyzwany przez swego imiennika, ba! i krewniaka, regimentarza Zarębę. Ale wojaczka nie poprawiła ani jego, ani kraju doli. Szwedzi w pierwszej służbie spalili mu dwór i wieś zniszczyli; później nowi jego przeciwnicy, kiedy się odbudował i zagospodarował na nowo, przypomnieli starcowi pożogę szwedzką. Pochylny laty, styranym wiekiem, obruszony postępowaniem swego krewniaka pana regimentarza Zaręby, gdy ten zaczął wchodzić w traktaty z panem stolnikiem w Warszawie: jeszcze z młodym synem pobiegł do Częstochowy i stanął w obronie świętego grodu pod dowództwem p. Kazimierza Pułaskiego. Zaraz zyskał jego względy, i raz doń po skończonej wycieczce gdy wrócili, a byli w gorącym rosale, rzekł p. Kazimierz:

— Gdybym miał takich 1000 szabel jak Waścina, panie Bartłomieju, i waszego syna, tobym nie wątpił nigdy o sprawie konfederacji.

Łzy radości skropiły siwe wąsy starego wojaka; a gdy wrócili na kwaterę, pan Bartłomiej zawołał z boćczą alkowij jedynaka swego:

— Chodźnota Waszeć, panie Macieju.

Gdy syn z pokorną miną stanął przed groźnym zawsze rodzicem, pan Bartłomiej wlepił weń oczy, popatrzał długo, co tem więcej zmieszało młodzieńca, i po długim milczeniu wyrzekł:

— Nie masz Waść matki, a mojej kochanej Małgosi. Waść sierota i ja sierota po niej (tu staremu głos zdrzął), ale ona nas nie opuszcza. Kiedyśma wczoraj wychodzili na nocną wycieczkę z klasztoru, modliłem się długo, westchnąłem serdecznie do Boga i prosiłem, aby moja Małgosia, która musi być w niebie, uprosiła Waści patrona, iżby cię zachował od szwanku, ba, od śmierci i kalectwa. Śnadź wysłuchaną była moja gorąca modlitwa, bo jakeśmy wracali z wyprawy, a wiesz Waszeć, że tam byty nie przelewki, ponad bramą klasztorną ujrzałem

w bieli Małgosię, jak nas żegnała krzyżykiem. — Tu westchnął głęboko i opuścił smutnie głowę na piersi (1). — Waść słyszałeś, co nasz hetman powiedział do mnie, jak pochwalił Waszeci. Takie słowa, to skarbnica na całe życie. Teraz nie wątpię, żeś syn mój nieodrodny, żeś krew, krwi mojej... Chodź! chodź mój Maciejku, niech cię uściskam i pobłogosławię.

Rozrzewniony i zdumiony dobrocią ojca niezwyyczajną, padł mu do nóg, a ojciec uściskał go serdecznie.

— No! teraz Waszeć dalej do roboty: otrzeć oczy, to nie po rycersku; nie wiemy czy za godzinę znów nie przyjdzie gorąca przeprawa.

Maciej pokorny wrócił do alkowy. Starzec odpiąwszy swój ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, ustawił na stole, ukląkł i zaczął odmawiać codzienne godzinki (2).

Ktoś zlekka zapukał; otwarty się drzwi i wszedł cicho pan hetman.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na wieki, Amen — odrzekł zdziwiony starzec i porwał się na nogi.

— Przepraszam Waści, panie Bartłomieju, że przerywam modlitwę; ale musim pomówić z sobą.

Zaręba porwał co rychlej ryngraf, przypasał karebelę, i z czapką pod pachą wyszedł za swym wodzem. Długo chodzili po murach fortecznych, długo zeicha gwarzyli; młodzieniec tylko dostrzegł, a księżyc widno zaświecił zpoza chmury, jak przy baszcie Zaręba upadł na kolana, jak go pan hetman przyciskał do piersi i całował, i jak odchodząc szybko, ocierał oczy łzą rzewną zroszone!

Wrócił starzec nadzwyczaj poruszony; Maciej siedział struchlały w alkwie, i patrzył zpod oka przez drzwi nawpół uchylone, na każde poruszenie ojca.

(1) Czytając pamiętniki nasze, uderza szczególniej, jak starzy ojcowie nasi z czystą wiarą wierzyli i miewali *widzenia*, tak zmarłych krewnych, jak i ukochanych osób. Odsyłamy w tym względzie naszych czytelników do pamiętników Fr. Karpińskiego, życiorysu Czackiego i w. i. oraz zapisanych podań w dyaryuszach i Sylva rerum po rodzinach polskich.

(2) Ryngrafy takie ze srebrnej pozłacanej, lub szczero-złotej blachy jeszcze się przechowały u nas. Niejeden z dawnych wojowników i konfederatów winien był takiemu ryngrowi życie, gdy kula na nim się spała. Służył on nieraz w obozowym życiu za obraz i ołtarzyk do modlitwy.

Zareba rzucił czapkę na ziemię, rzucił i szablę, usiadł na ławie dębowej ukrywając twarz w obie ręce: z początku łkał z cicha, a później w głos rzewnie zapłakał.

Macieja zimny pot oblał, bo nigdy nie widział tak rozczulonego ojca: nawet przy trumnie matki odważnie znosił cios tak wielki, a wiedział jak kochał zmarłą. Nie mógł pojąć co zająć mogło, z kąd taka boleść wielka szarpie sercem wojaka. Uszanowanie wstrzymywało go długo w alkowie, ale w ostatku niemogąc znieść widoku tak długo płaczącego starca, roztworzył drzwi nagle i stanął przed ojcem.

Ten otarł łzy połą kontusza, chciał powstać, ale nie mógł: syn mu dopomógł. Długo robił pierś jakby z wielkiego zmęczenia, nareszcie wyrzekł z cicha:

— Obejrzyj, czy nie ma nikogo: drzwi zarygluj i wracaj zaraz.

Maciej skoczył żwawo, obiegł wokoło, zamknął drzwi na dwa spusty i stanął przed ojcem pełen zdumienia i przestachu.

Zareba siedząc na ławie oparł głowę na rękę, i smutnie powolnym odezwał się głosem:

— Słuchaj Wasze panie Macieju (bo tego wyrażenia używał od czasu pochwały hetmana), cały dzień spocznię, a o północy nowa wyprawa. Tak kazał, wiész ten, com z nim chodził po murach. A potem....ale co mam obwijać w bawełnę, wszakże Wasz synem moim— wyrzekłszy te słowa, porwał Macieja za rękę, przyciągnął do siebie i ciszej dodał:

— Sprawa nasza już upadła! Mój imiennik i krewniak poddał się!.... Gdy my uderzymy w nocy, nasz hetman pójdzie cula wycierać kąty, a jak słonko błysnie, my daleko już zład będziemy.

— Jakto mój ojciec?— zdziwiony przemówił Maciej.

— Częstochowa poddać się musi, a my napowrót do pługa i cepu. Teraz Wasze spocznię trochę, a rano pojedziemy na mszę świętą i klęcząc ją wysłuchamy, aby nas święta nasza patronka poratowała w tym ucisku i boleści.

Maciej ucałował rękę starca, poszedł do swój alkowy, rzucił się na tapczan słomą podestany, ale nade dniem dopiero zasnął. Stary Zareba niezmrużywszy oka, całą noc na modlitwie strawił.

Rano, jak zwykle dzwonek kościelny dał hasło do nabożeństwa. Obaj Zarębowie już stali w kaplicy, gdy nadszedł i pan hetman, a z nim jego towarzysz nieodstępny Maciej Rogowski i wielu oficerów. Hetman powitał uprzejmie ojca i syna, a po mszy świętej zaprosił do swojej kwatery na śniadanie. Tak zaś miał oblicze spokojne i pogodne, iż nikt nie mógł mniemać, aby to był dzień ostatni dla tego bohatera, który przepędza na ojczystej ziemi. A jednak tak było w istocie: przy zmroku nocy, gdy Zaręba z synem na czele sześćdziesiąt szabel wypadli wschodnią furtą na wycieczkę ruszył pan Pułaski w towarzystwie Macieja Rogowskiego i kilku towarzyszy na dobrowolne wygnanie.

W kilka godzin Zarębowie bez szwanku wrócili do Częstochowy, i przy pierwszym poświcie jutrzeńki, wyładowawszy wózek, przebrani jak podróżna szlachta, ukrywszy szable, ruszyli, żegnając gród święty na długo, może na zawsze. Dwóch pachotków siedziało na kozle; stary Zaręba przygotował tylko pod rękę szturmak siekańcami nabity, a pistolety ukrył pod żupanem: toż zrobili syn i pachotcy; ale na bocznych drogach nie potrzebowali ich dobywać, i w dni kilka stanęli szczęśliwie na domowej grzędzie. Zastali dwór i gumna spalone; nie było gdzie głowy schronić: u chłopka więc na wsi pomieścili się w jednej komorze i tam zimę przebyli.

Stary wojak nagle zestarzał, pochylił się, schudł. Oprócz spraw krajowych które go gryzły, przyszły kłopoty domowe: pokazały się dłużki zaciągnięte na wojaczkę, a nie było czem zapłacić. Zaręba prawy i uczciwy człowiek, po krótkiej naradzie z synem sprzedał wieś własną Osiny, spłacił dłużki, a synowi w puszczy nad Narwią przeznaczył dwadzieścia włók lasu, które dawniej kupił.

— Zrób tak Waszeć, panie Macieju, jak mój rodzic świętej pamięci nieboszczyk Wojski: pobieđuj trochę, a wykarczuj w lesie pole; będziesz miał chleba dla siebie i dziatwy. Jać tam nie doczekam tej pociechy abym wnuki kołysał, bo to i dziewiąty krzyżyk na grzbiecie gniecie i już dla karabeli nie ma co robić. Waść z wiosną hajda do puszczy, a na zimę we własnym dworze napalita na kominie: ojcu cztery deski i trochę ziemi na oczy.

Łzy stanęły w oczach przywiązanego syna, a przecież stary przeczuł śmierć blizką.

Zima była tęga, w początkach marca jeszcze wyborna sanna dotrzymywała. W wigilią św. Kazimierza, przywołał syna do łoża, z którego od dni kilku nie powstawał.

— Jutro imieniny naszego hetmana, bo to czwartego marca: on Bóg wie gdzie się błąka. Przygotuj mi Waszcę i sam się oblecz w te szaty, cośmy mieli w Częstochowie: pojedziem do kościoła, ale bez szabel, i pomodlim się na jego intencją: kto wie czy drugich doczekam!

Rano powstał krzepki, wdział na siebie żupan sukienny czarny, na niego kontusz granatowy z amarantowym kołnierzem, czapkę barwy jak żupan, okoloną czarnym barankiem, i ucałowawszy swój ryngraf, wsiadł z synem do sani i na ranną mszą wysiadł w parafialnym kościele. Tu się spowiadał ze skruchą, odebrał komunią św. i około jedenastej z porania wrócił do chaty. Rad i wesół usiadł do stołu, kazał podać starego miodu, wychylił małą czarękę za pomyślność solenizanta, i kazawszy się rozebrać legł na łożu. Nad wieczorem przywołał syna i rzekł mu:

— Moje dziecię, chcę się z tobą pożegnać: nie przeżyję tej nocy.... Ale dziękuję Bogu za to, że prędkiej się połączę z moją Małgosią: ona mi wyprosi zbawienie, bo to była zawsze święta kobieta. Ty mój Macieju zrób jakem radził. Nie pożałuj ręki do topora, to kawał będzie ziemi i dobrej, a nim kości moje w proch się rozsypią, w puszczy pozłoci się pszeniczka i żytko powieje, a kto ma żytko, ma wszystko. Wszystko zabierzesz po mnie: zachowaj to moje dziecię. W kufierku cyprysowym masz tam trochę bitych talarów: zdadzą się Waszeci. Mnie tylko pochowaj przy méj Małgosi z pierścionkiem ślubnym, i w tych szatach, w których mnie uściskał pan Pułaski. Teraz poślij co rychłej po księdza proboszcza, bo mi coraz ciemniej w oczach (1).

(1) Przeczuć blizkiej śmierci nie jest rzadkim u nas objawem. Sam znałem osoby, które przepowiedziały sobie chwilę zgonu. Pomiedzy wiarusami naszymi znałem kilku starych wásaczów, którzy przed zaczęciem każdej bitwy przepowiedzieli śmierć sobie, lub ranę, albo niewolę, i rzeczywiście ta wróżba się sprawdziła.

Nie zapomnę jednego zdarzenia.

Bateria nieprzyjacielska grać zaczęła, gdy siwawy wiarus wstawszy od ogniska, nadzwyczaj osmutniał i zbladł na twarzy. Zawsze odważny, na pierwszy huk dział zadrzał, i z trwogą się wokoło oglądał.

Maciej przejęty rzewnym bolem wysłał natychmiast sanki po proboszcza, podał ojcu jak żądał gromnicę, i z pachołkiem atowarzyszem broni ukląkłszy przy łożu, zaczął modlitwy odmawiać.

Wkrótce nadjechał proboszcz, dawny przyjaciel domu Zarębów: chrzcił on jeszcze pana Macieja. Starzec z uśmiechem rzewnym uścisnął rękę sędziwego kapłana, ale wkrótce osłabł, i przyjąwszy ostatnie namaszczenie, zasnął w Bogu snem spokojnym.

Przywiązany syn, wedle życzenia ojca, pochował obok matki zwłoki jego, a sam skoro tylko słońce roztajało śniegi, i pierwsza się trawka ukazała, przeniósł się do puszczy wraz z dwoma pachołkami, czeladzią i domownikami, którzy z ochotą garnęli się do młodego dziedzica na nową w puszczy siedzibę.

Zbudowano na tymczasowe schronienie obszerny szałas. Już poprzednio, jeszcze w marcu, w pień wycięto do pięciu włók lasu: została tylko praca uprzętnąć zwalone drzewo i wykarczować, aby zasiać o ile można na zasób zimowy.

Smolarze i węglarze dobrze zapłacili za drzewo, które do swych wyrobów zakupili, a tracze rznęli bale i tarcice. We dwa miesiące niespełna stanął na pięknym wzgórzu, ponad strugą i pod cieniem drzew dwór obszerny, drewniany, i zabudowania gospodarskie. Pan Maciej gorliwie i energicznie zabrawszy się do pracy, która mu w smutku jedyną była rozrywką, zebrał już trochę owsa, gryki, prosa i jęczmienia z karczunku, a na zimę dwadzieścia korcy żyta wysiał w miejscu wyciętego boru (1).

II.

Staropolskim obyczajem dwór ten składał się z obszernego ganku przed wchodem, i z dużej sieni; na

- Co ci to? spytałem.
- Patrzę gdzie padnę, i gdzie mnie zakopią.
- Głupstwo!—odrzekłem—chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.
- Właśnie przyniesie do mnie—przemówił ze łzami prawie, i w tej chwili padł zabity od kuli armatniej.

(1) Takie karczunki po puszczech i ogromnych lasach od lat 40 na wielką dokonane skale, zaludniły w krótkim czasie niedostępne niedawno ustronia leśne. Dziś już wśród tych osad nie ma nawet znaku okolicy lesistej, tak wytopiono wszelkie ślady ogromnych dębów, sosen, jodeł, lip i innego starodrzewu.

prawo trzy wielkie izby i alkowa były pomieszkaniem pana, naprzeciw dwie izby zajmowała czeladź i dworscy, a dalej spiżarnia i piwniczka pod nią, składały całe domostwo, które wygodnie pomieścić mogło najliczniejszą rodzinę szlachecką.

W stajni sześć koni stało przy żłobie, w oborze dziesięć dojek, pięćdziesiąt owiec, trzody chlewniej i drobiu nie zabrakło. Gospodyni, stara Wawrzyńcowa, kucharka jeszcze nieboszki matki, zarządzała wszystkim. Z dwóch pachotków jeden pełnił obowiązki gajowego i strzelca, a drugi ekonoma.

Resztkami jakie wierni domownicy unieśli ze spalonego dworu w Osinach, przystroił pan Maciej swoje mieszkanie. Stary kredens gdański, kilka stołów i kufrów, kilka obrazów świętych, a co najważniejsza, kszesło ś. p. matki, w którym zawsze siadywała, i jej książkę do nabożeństwa, oraz ampułkę mosiężną do wody święconej: to wszystko jak relikwie w sypialni swojej zachował. Kredens zdobił pierwszą izbę.

Nad dębowym łożem zawiesił ojcowski ryngraf, wyłaczany, z obliczem Matki Boskiej Częstochowskiej, szablę jego i swoją, ładownice, pistolety, a przy nich strzelby myśliwskie, szturmak co go używał na wyprawach w Częstochowie, sfory gończe i kolczugę z czepcem, której ojciec używał służąc pod chorągwią Szmi-gielskiego.

Makatami i dywanami obit ściany pierwszej izby, a gdy na św. Bartłomieja, jako w dzień imienin ś. p. ojca, zaprosił księdza proboszcza, który zrab domu tego przed miesiącem poświęcał: sędziwy kapłan nie mógł wyjść z podziwienia, że tak prędko stanął dwór obszerny i wygodny.

— Cobyto była za radość dla nieboszczyka rotmistrza a rodzica Waszeci — mówił — gdyby to mógł widzieć, jak pan Maciej dobrodziej umie się wziąć do pracy. Znać, znać, że Waszec jesteś, jak to mówią, i do rady i do zwady; aleć co mówię do zwady — ot tak dla ry-mu. Niechże Waszeci Pan Bóg błogostawi w tych nowych osiedlinach, a radbym jeszcze, aby tu zajrzała młoda gosposia, toby zaraz i dom rozweseliła i przecież ochoczej byłoby wszystkim.

— A jać to nieraz mówiłem naszemu paniczowi (rzekł stary pacholek ojca, Andrzej Socha), że to już czas, abyśmy mieli panią....

— Tak, tak, wszyscy radzą, — odrzekł smutno pan Maciej, — ależto żałoba, a potem jeszcze swego chleba niema....

— Przy Bożej pomocy będzie i chléb, mój panie Macieju; ale i poczekać trochę nie zawadzi, boć i gospodarza nie urządzona zupełnie, a potem trzeba się będzie rozpatrzeć między sąsiadami, a tu Wasze, panie Macieju, nie mieliście nawet czasu w tym swoim smutku a pracy.

Po skromnym obiedzie obejrzał proboszcz wszystkie zabudowania, poświęcił stodołę, stajenkę i oborę, i wczas wyruszył do domu. Pan Maciej, że to w dniu imienin ś. p. rodzica, a domownicy spoczywali, zarzucił strzelbę na ramię i swoim zwyczajem ruszył do puszczy.

Zaledwie wydobywszy się ścieżką na gościniec kniejowy, uszedł parę staj, usłyszał w pobliżu kilka głosów zmieszanych razem. Postąpił bliżej i ujrzał przy gościńcu stojącą brykę brocką, we trzy tegie siwki zaprzężoną, a wkoło niej ludzi krzątających się, ażeby pochyloną podźwignąć. Oś pękła, i sam podróżny i dwóch ludzi jego męczyli się unieść brykę i drąg przywiązać, aby dalej jechać można choć noga za nogą. Pospieszył pan Maciej, a pozdrowiwszy podróżnych, ujął krzepką dłońią, i przy jego pomocy podźwigniono i podłożono drąg pod brykę.

— Ale jakto państwo pojedziecie dalej? — wyrzekł oddychając całą pierśią zmęczony pan Maciej.

— At, przy Boskiej pomocy będziem się wlekli jak żydy. Gdybyto było za puszcza, toby łatwiej było; aleć to do mojej Polanówki jeszcze cztery mile krakowskie.

— Jeżeli pan dobrodziej nie pogardzi ubogą chatą, to prosilibym do siebie. Da się oś nowa, a po wygodnym noclegu, to jutro i na obiad w domu.

— Z kimże mam honor mówić? — zapytał się podróżny, ujęty grzecznością myśliwca.

— Jestem Maciej Zaręba, i w tej puszczy mam swój folwarczek.

— Co? co? Zaręba; a czy nie syn mego dobrodziejja pana rotmistrza Bartłomieja?

— Nieinaczéj, syn, który teraz w żałobie po śmierci najlepszego ojca.

— O mój mocny Boże! — wykrzyknął ze współczuciem podróźny — toć to chyba niedawno?

— Na początku marca....

— O niechajże cię uścisnę, mój pocziwy panie Macieju. Ja jestem Jacek Dzierzanowski. — Ewusia, Kachna, a chodźta, a to Bóg nam zsyła w samą porę taką pomoc przyjacielską.

Pani Dzierzanowska, matrona już w poważnym wieku, z ubocza gdzie stała zbliżyła się, a za nią dziewczę cudnej urody w ośmnastym roku. Już to dziewczę oddawna patrzyło z upodobaniem na młodego myśliwca; postać jego składna, wzrost smukły, twarz opalona ale szlachetnych rysów, którą upięknił wąs sumiasty i głęboki smutek, oczy czarne, poruszenia wdzięczne: zwróciły oczy panny dziedziczki Polanówki.

Pan Maciej zmieszał się widokiem kobiet, ukłonił się jednak z uszanowaniem i ruszył naprzód jako przewodnik.

Orszak podróźnych zwolna za nim postępował. skrecono na lewo z gościńca, i wkrótce rozwinął się przed niemi obraz pięknej osady pana Macieja.

Tłem jego była w półkole gęsta puszcza, środkiem osady płynął bystry potok, co się przewijał kręto jak wstęga niebieska. Na wyniesioném wzgórkun stał dwór z zabudowaniem gospodarskiém, ocieniony lipami, klonem i jaworem; wśród nich cieniło się kilka świerków i dwie ogromne sosny z barciami pszczoł leśnych. Dwie studnie żorawkowe zdawały się stać na straży przy dworze; po prawej stronie wśród łąk zielonych, wznosił się prosty krzyż drewniany, który pan Maciej pamięci rodziców swoich poświęcił; po lewej rozciągały się pola w połowie żółciejące rzyskiem po zebranéj jarzynie.

Słońce już chyliło się ku zachodowi weześniej, jak zwykle bywa w górach i wielkich puszczech, krowy i owce z łąk i pastwiska wracały w zapłotki, biała mgła wełnić poczęła; gdy nasi podróźni stanęli na szerokiej drodze, wprost dworu pana Macieja.

— Jakże tu ślicznie — zawołała Kasia klaszcząc w ręce z radości — któżby się spodział, żeby w téj okropnej puszczy znaleźć można tak cudowną wioskę.

Pan Dzierzanowski zwrócił się do córki i odrzekł:

— Widzisz moje dziecię, co może praca i wytrwałość; ja tu w zimie, dwa lata temu, polowałem na grubego zwierza.

— A któż to zbudował tak prędko i z lasu pole wyrobił? — zapytała jego żona.

— Spójrzj dziewczeczko na tego, co nas wiezie, spojrzj wokoło: widzisz liczne szałas, to jego robotnicy, którzy jeszcze nie mają domostwa.

Na widok pana idącego z gośćmi, wybiegli rzeźwo domownicy i czeladź przed ganek. Stara Wawrzyńcowa obliczywszy gęby przybyłe (jak mówiła) cicho i spokojnie, zabrała się do sporządzenia sutój wieczerzy. Nastawiła kaszy jęczmiennój, mleko, i nadziała na rożen comber sarniny.

Pan Maciej z uprzejmém obliczem wprowadził w progi swoje gości. Ekonomowi dał polecenie, aby zajęto się zaraz sporządzeniem nowój osi i okuciem; aby umieszczono wygodnie konie i o ludziach nie zapomniano. Sam zwrócił się do czeladnój izby, aby zarządzić wieczerzą, ale zastał już wszystko przy ogniu i Wawrzyńcowa z dumną miną odpowiadającą:

— Niech się tam panicz do mojej kuchni nie wdaje! Ja wiem, że trzeba wystąpić: za godzinę będzie wszystko gotowe.

Pan Maciej kiwnął głową z uśmiechem i wrócił do pierwszój izby, gdzie już rzeczy podróżnych zniesiono.

Pan Dzierzanowski odzyskał swój humor wesoły, a matka z córką nie umiały dosyć nachwalić piękności tego ustronia.

— Wielce szczęśliwy jestem z tego, że panie oddają takie pochwały mojej biédnej zagrodzie (odrzekł p. Maciej), a dziękuję paniom tém więcéj, bo odkrywając mi w niej nowe powaby, przywiązujecie bardziój do téj samotni. Tu nie żałowałem ręki do topora, aby zbudować chatę dla siebie, bo tu żyć będę i umrę.

— Ho! ho! a to z kąd panie Macieju—zawołał pan Dzierzanowski głośno się śmiejąc—takie myśli o śmierci. Toćto Waszeci dopiéro na świat, nie zaglądnęliście jeszcze pewnie ni razu śmierci w ślępie.

— Widziałem ją blizką i nieraz.

— A gdzieżto? jeśli wolno spytać.

— I w chorągwi mego krewniaka i imiennika, a najwięcej w obronie Częstochowy pod panem Kazimierzem.

— Jakto? Waszec był towarzyszem i broniłeś świętego grodu?—zapytał pełen podziwu pan Dzierzanowski.

Pan Maciej wtedy otworzył drzwi i wskazał szable i broń zawieszoną nad łóżem swoim.

— To szabla mego ojca, to moja; tę rękę uściśnął pan hetman, że dobrze pracowała w ucziwój sprawie, a tam były nieprzelewki....

Pan Dzierzanowski zdjął obie szable, wydobyl każdą z pochwy, pocałował z rzewnem uczuciem w klingę, poprobował w zamachu i cięciu, a powiesiwszy na miejscu, wrócił do pierwszej izby i usiadłszy dumal chwilę, a w zadumie mówił smutno:

— Byłci człowiek i w tej sprawie niepróżnym świadkiem: i jam służywał to pod regimentarstwem Waszeci imiennika, to pod samym panem Kazimierzem. Byłóć się wtedy jak to mówią i na koniu i pod koniem: nie jedną szramę człek wynióst z goracój potrzeby, a teraz... a teraz.

I zamilkł, ale wkrótce powstał, a podając rękę gospodarzowi:

— E! co tam! rzućmy troski o ziemię: niech pod tym dachem towarzysze jednej chorągwi nie czują smutku. Weselny się jak możemy.

I zaczął rozpytywać się o szczegółach gospodarskich, jak się rychło karczunek prowadził, i zkad się ludzie sypnęli do puszczy taką gromadą.

— W terażniejszych czasach po wielkiej w kraju burzy (odrzekł pan Maciej), każdy pragnie odpoczynku i ustroni. Człowiek jak ptak, co spłoszony jastrzębiem: dopadłszy gąszcza przysiada cicho, dopóki nie ochłonie z przestachu, dopóki nie nabierze sił do nowego lotu. Tu w puszczy rzadko obcy człowiek zajrzy, a ci co mieszkają, znają się dobrze i kochają jak krewni. U nas tu i inny kalendarz, bo słońce później wschodzi a rychlój zachodzi: to też zwijać się więcej musimy niż na równinie w polu. Nie uwierzy pan chorąży (bo tak się w potocznej mowie sam tytułował pan Dzierzanowski), jak człek nawyka do tego cienia drzew, do tego chłodu, który ma na zawołanie wśród letniej spiekoty; to też mieszkańcowi puszczy tęskno i smutno w gołych polach:

nie ma tam gdzie oko spocząć, nie ma cienia, a w dzień skwary musi się zlewać potem. W puszczy jeno jutrzienka poświtywać zacznie, wszystko się budzi: zaraz muzyka ptastwa zaczyna swój hejnał poranny, a choć wichura śmieci w polach kurzawą, tu tylko o niej wiemy z szumu wierzchołków drzew naszych, i poświstu ponad niemi. Prawda, że trzód naszych pilniej strzedz musimy niż w równych polach, bo tu i wilk łacniej się podsunie i lis podkradnie; ale za to czujniejszych mamy stróżów i psy wprawne potemu. Niedawno osiadłem w puszczy, ale szczerze mówię panu chorążemu, niełatwo wyniosłbym się w czyste pola, tak nawyknałem, tak pokochałem naszą puszcę (1).

— Wierzę Waszeci, panie Macieju, wierzę: własne gniazdko najmilsze ptakowi, a bocian choć odleci daleko, to na wiosnę ciągnie tam wysiadywać pisklęta, gdzie się sam narodził.

Wśród tej rozmowy, pani Dzierzanowska usiadłszy w kąciuku odmawiała modlitwy, a Kasia ujrzawszy kronikę starą Bielskiego, przeglądała niby karty i drzeworyty, ale coraz strzelała modremi oczkami na dorodnego gospodarza.

Wniesiono stół z nakryciem, usługiwali obaj pacholcy, a pani Wawrzyńcowa oblókłszy świąteczne szaty, wносиła sutą wieczerzę.

Znalazł się i gąsiorek starego miodu, resztki z piwnicy zamożnej niegdyś zmarłego rotmistrza.

Pan Dzierzanowski ujrzawszy tak hojnie stół cały zastawiony, zawołał kiwając głową:

— Ho! ho! ho! a to nas pan Maciej po ksiąźcu przyjmuje: przecież my nie magnaci, a szlachta sobie na zagrodzie.

(1) Jak góral, zszedłszy na doliny, tęskni za swemi górami, tak mieszkaniac puszczy tęskni wśród pól i niw obszernych. I zaprawdę, kto zamieszkał czas jakiś w puszczy, a dusza jego nawykła do tego szumu olbrzymów leśnych, do tego chłodu i cieniu wśród skwaru letniego, do owej woni szczególnej drzew i ziół, i do tej cudownej muzyki, co nią tak rzewnie ptakowie leśni wszystkie przepełniają ostępy: temu dziwno na równi nagiej pól naszych, gdzie miasto gęstych ściau drzewa, falują kłosa zbożowe, gdzie ochrony nie znajdzie chłodnej i cienistej przed promieniem słońca, gdzie piersi jego czują ciężar letniego skwaru. I długiego potrzebuje czasu, aby przywykł do pól, a zapomniał cichej ustroni leśnej, w której myślistwo było głównem zajęciem i rozkoszą jego życia.

— Czém chata bogata, tém i rada, panie chorąży,— odrzekł gospodarz i z uszanowaniem pocałował rękę pani Dzierzanowskiej, powiódł ją do stołu. Sam nie usiadł, dopóki goście nie zajęli miejsc swoich.

Podróż i przygoda w drodze zaostrzyły apetyt.

Chorąży zmiótszy spory talerz kaszy, zostawiając mléko dla niewiast, zabrał się do sarniny ochoczo.

— Trafieś mi wybornie do smaku tym combrem, kochany panie Macieju, bo u mnie nie masz po naszym miodzie jak dobry węgier, co to ma odorem, colorem et saporem, a nad wszystką zwierzynę przenoszę sarninę.— No! moja Ewusiu, czyż nam się też choć śniło, że tak miły spoczynek tu w puszczy znajdziemy i takiego zacnego gospodarza, a syna mego serdecznego przyjaciela. O! bo trzeba Waszeci wiedzieć, żeśmy nawet do jednej konkurowali, i o tę białogłową skrzesałiśmy ognia szabelkami; ale chciałem oberwać po uchu, a ś. p. kochany rotmistrz dostał po łapie, uściskaliśmy się później serdecznie jak starzy przyjaciele, a porzucili płochą niewiastę, co i mnie mydliła oczy, i panu Bartłomiejowi robiła nadzieję. Wyszło też jój niena dobre i ten spór nasz, i krew przyjacielska na szabli: została starą panną, siała rutkę i umarła dawno, świeć jój tam Panie nad grzeszną duszą. Rotmistrz nieboszczyk był starszy daleko odemnie, a wcześniéj się ożenił; byłem na jego weselu, to temu już trzydzieści sześć lat, za szczęśliwego panowania króla Augusta III, kiedy jeszcze ani słychu nie było o stolniku litewskim.

— No! wypijmy panie Macieju na pamiątkę dawnych czasów.

Pan Maciej z ochotą spełnił toast i zaraz napełnił dwie czarki, a podając pachotkom swoim:

— Pozwoli pan chorąży, że i ci wypiją ten toast, bo to także nasi towarzysze: to pan Jan Zaklika mój pachotek, a to poczciwy Andrzej Socha ś. p. mojego ojca. I oni byli w każdej gorącej przeprawie z nami.

Chorąży pochyłonych do swoich kolan pocałował każdego w głowę, i tak był wzruszony i rozczulony, że zapomniał zwyczajnego śmiechu i osowiał do końca wieczery.

Pan Maciej wyniósł się na nocleg do stodoły, ustępując swego łoża gościowi. Panie na woniącym sianie,

po modliwie i odśpiewanej w głos pieśni razem z chorążym „Kto się w opiekę odda Panu swemu“ zasnęły wkrótce. Przygaszono ogniska i cisza osiadła całą osadę, przerywana czasem szczekaniem psów, poczuwających wilka, szumem wyniosłych drzew, co okalały wieńcem i dwór i pola.

Przy drugim pianiu kogutów, zerwała się Wawrzyńcowa, nanieciła w czeladnej izbie suty ogień na kominie i zajęła się przygotowaniem dla pań kawy, dla chorążego grzanego piwa, a dla jego ludzi zawieszatego bigosu. Przyrząd ten zajął pracowitej niewieście kilka godzin; wszystko też było na poranek wczesny gotowe. Bryka z nową osiã zajechała przed dwór, konie nakarmione dobrze, ochoczo parskwały, ludzie chorążego posileni wybornym bigosem, z wesołym obliczem uwijali się radzi, sam chorąży po śnie smacznym już siedział na ganku i kończył śniadanie ulubione; gdy od puszczy ukazała się fura: siedział na zabitym tęgim rogaczu pan Maciej i trąbką ogłaszał swój powrót. Pani Dzierzanowska z Kasią wybiegły przed się zwabione jój odgłosem, który daleko płynął po rosie i niejednym powtarzał się echem.

— Nie miałem czém uczcić szczęśliwy pobyt chorążstwa dobrodziejstwa, ale jako stary łowiec, myśliwski prezent składam. Raczcie nie pogardzić tym ubogim darem.

Chorążyna dygnęła uprzejmie, Kasia splenęła rumieńcem, a chorąży uściskawszy serdecznie Zarębę i dziękując za dar tak drogi, wyrzekł w końcu:

— Uciekajmy co żywo Ewusiu od pana Macieja, bo byśmy objedli go z kretesem i wybiłyby wszystkie sarny w tej kniei. Czémże ci teraz mój drogi sąsiedzie wypłacę, za przyjęcie staropolskie i z takim pocziwem ofiarowane sercem. Ot wiesz, musisz dać nam verbum nobile, że nas odwiedzisz, ale na cały tydzień; nietylko ja proszę, ale i moja Ewusia i Kachna.

Chorążyna z zapłonią córką powtórzyły prośbę, a pan Maciej przyrzekł, że po świętach Bożego Narodzenia przybyć nie omieszka.

Wkrótce po wyborniej kawie, której się wychwalić nie mogły panie, chorąży zbliżył się do Wawrzyńcowej i wsunął dukata: równy dar otrzymali obaj pachotkowie.

Pan Maciej gdy już opuszczali dwór jego, dosiadł konia i odprowadził nad graniczny kopiec. Znikła w lesie bryka chorążego; pan Maciej wracał, ale jakoś posmutniał, stępo jechał i nie spostrzegł nawet, że koń stanął przed gankiem dworu.

III.

Nazajutrz dłużej zasnął pan Maciej niż zwykle: całą noc marzyły mu się owe cudne niebieskie oczy panny Katarzyny, jakby Narwi fale. Już nie szedł jak dawniej do puszczy, ale od rana do południa przesiedział na ganku, z kądem widok miał na pola i łąki wokół.

Socha, który kręcił się więcej we dworze, kiwał głową i ciągle badał Wawrzyńcową o powód smutku panicza; gospodyni coś zcicha pomrukiwała, ale nic z jej słów przerywanych zrozumieć nie mógł troskliwy pacholek.

— To tak czasem przyjdzie — mówiła — ot często coś nawiedzi. Oj myśleńki, myśleńkito stroskają głowę!

Powoli jednak orzeźwił pan Maciej i czwartego dnia wyszedł na łowy; ale z próżną torbą wrócił, bo jak przyszedł na miejsce, gdzie ujrzał brykę chorążego, tak stanął, a potem przysiadł się, i tak siedział do zmroku prawie, nic nawet niejadłszy. Po kilku dniach następnych zajął się pracą na nowo, tém bardziej, że tylko krótka zostawała jesień, aby pierwszą zimę przyjąć w nowym dworze i gospodarstwie swoim. Kazał więc opatrzyć lepiej oborę i stajnie, nawieść drzewa aby wyschło wcześniej, z dalszych łąk niekarczowanych jeszcze zwieziono siano i wiszary przesuszane na podściółkę zimową: słowem, jako pilny gospodarz ściągał wszystko w opłotki i gumna.

Pani Wawrzyńcowa zwijała się jeszcze raźniej od młodego panicza: od świtu do nocy na nogach, napełniała i spiżarnię, i piwnicę, i domową apteczkę w różne przysmaki, kordyały i lekarstwa domowe. Trąbka myśliwska grzmiała codziennie w kniei. Socha i Zaklika obaj z panem, przy pomocy dobrych strzelców z pod szafasów węglarzy i smolarzy, niepróżno nosili strzelby, i wystrzałami napełniali puszcze. Dwa niedźwiedzie, trzy łosie, po kilka jeleni, sarn, wiele zajęcy i mnóstwo

większego ptastwa zapełniło ściany śpichlerzyka i piwnicy. Kiedy w sobotę ulewa wstrzymała naszych łowców w domu, wcześniej z rana zajęchała fura, we trzy znajome siwki zaprzężona. Wąsacz Maciek zsiadł z niej i z za czapki oddawszy list panu Maciejowi, począł przy pomocy domowników znosić pakunek.

Drżącą ręką odpieczętował list pan Maciej i wyczytał następujące słowa, ręką chorążego skreślone:

Kochany panie Macieju!

„Chociaż to stara przypowieść: co z oczu, to z serca; u nas przecie inaczej. Choć cię nie widzimy, przecie pamiętamy. Zanim przeto raczy pan Maciej starego przyjaciela nawiedzić, teraz zechce przyjąć na zasiłek gospodarski, co moja dziewczeczka wraz z Kachną przesyła. Ja dołączam doskonałą rusznicę, z którą możesz śmiało pójść na niedźwiedzia i dzika.“

W dopisku dodano:

„Moja Kasieńka posyła cztery pary gołąbków, i pewna jest, że pan Maciej wystawi dla nich wygodne domostwo.“

Kilka razy list ten odczytał z najżywszą radością, i kiedy oglądał śliczną dubeltówkę przystaną w darze, z wesołym obliczem wpadła Wawrzyńcowa, i poczęła na palcach wyliczać osobliwości nadesłane. Pierwsze były kartofle do sadzenia na wiosnę, dalej różne nasiona ogrodowe, kaszki w kilku gatunkach, konfitury prześliczne, baryłka powideł z węgierek, dwie beczki do zatopienia w studni kwaszonych ogórków, cała klatka drobiu różnego domowego ptastwa: słowem, trzeci raz na palcach zaczęła przeliczać, kiedy pan Maciej przerwał jej zapał, poleceniem, aby dano wygodę Maćkowi i koniom.

Do późnej nocy przesiedział nad konceptem listu w odpisie chorążemu; jakoż udał mu się, bo myśl szczerą wyraził okrągłemi słowy. Przy końcu podziękował panie Katarzynie za przystane gołąbki, dodając: że natychmiast zbuduje dla nich domostwo wygodne i o ile zdoła okazałe, aby świadczyło dar i pamięć dla siebie najdroższą. Maciek ufetowany i niezupełnie trzeźwy dosiadł fury z dwoma bitemi talarami, które mu p. Maciej wsunął na odjezdnie. Stary wąsacz ze łzami

dziękował, a ciągle prawił, że tu na puszczy to raj i niebo. Powiózł on chorążemu w darze furę całą grubego zwierza i ptastwa; do czego dołączył pan Maciej skórę niedźwiedzia i łapy, zawołany w owe czasy specał smakoszków.

Pomimo chmur zbatwanionych i zmroku wczesnego, pan Maciej rozweselał jakoś, chodził, nucił piosenki, poświstywał, a ujrawszy Sochę, przemówił do niego z uśmiechem dawno niewidzianym:

— Andrus, w poniedziału wybierzta mi z kłoców dębowych najlepszy, bo postawię gołębnik.

— A gdzie on stanie?—zapytał uradowany pachotęk.

— Gdzież ma stać?—tu zaraz przed gankiem dworu. A gołębie Wawrzyńcowa niech mi dobrze napasie, bo to w drodze przegłodniały, a trzeba żeby do nowego miejsca przywykły. Jutro rano zaprzadz bryczkę, pojedziemy na wotywę wszyscy; trzeba przecię nie zapominać, co się Bogu należy.

Socha powtórzył rozkazy pana gospodyni i czeladzi, a sam zaraz poszedł przepatrywać najwyższej kłody dębowej na stęp dla gołębnika.

Nad wieczorem niebo się wyjaśniło, miesiąc w pełni rozjaśnił całą polanę na puszczy. Pan Maciej wyszedł z ganku i długo klęczał, i długo się modlił pod krzyżem wzniesionym ku pamięci rodzicom. O późnej porze wrócił, ale jakby odrodzony; przy wieczerzy z Sochą, z Zakliką i Wawrzyńcową był nadzwyczaj rozmowny. Na zegarze kukutka odkukała jedenastą nocną godzinę, kiedy zabierał się do spoczynku. Sen twardy zaraz mu skleił powieki. Od wyjazdu chorążego nie spał jeszcze tak smaczno.

U proboszcza nazajutrz w niedzielę, po wotywie, zabawił do południa; w poniedziałek raniutko zabrał się z ludźmi do postawienia gołębnika, i w kilka dni go wykończył. Na wierzchołku umieścił blaszanego koguta, który jak chorągiewka zwiastował kierunek wiatru. Osadził w nim dar panny Katarzyny, i z rozradowaném obliczem rzucał groch i ziarna pośladu, wabiąc gołąbki przed ganek dworu.

IV.

W przeddzień wyjazdu obejrzał wszystko należycie, zostawił obszerne instrukcye staremu Andrzejowi i Wawrzyńcowej, i nazajutrz równo ze świtem zerwał się, z postania. Ale nie zastał śpiochów: pan Stefan rozdmuchiwał ogień z żaru tłącego się noc całą na kominie; Zaklika stał w ubraniu podróżném, a Socha krzątał się koło śniadania, które już od godziny przygotowała Wawrzyńcowa. Smutny powstał, ale orzeźwiał wkrótce Zaręba i w godzinę później wyruszył z dworu błogostawiony krzyżykami przez Wawrzyńcową i starego Sochę. Lubo dobrego szty kłusa konie, ciągle powtarzał do Zakliki, który siedział obok fornala na kozle: „wyciągaj lepij, wyciągaj!“ aż pachotek zniecierpliwiony wyrzekł:

— Wyciągają się dobrze, chyba galopa pójdziem.

Szybko mijali puszcę, białą, śnieżną, pustą i milczącą. Śnieg tylko skrzypiał pod saniami, parskały różno stępaki, a Zaklika powtarzał za każdym parsknięciem: zdrowo! zdrowo!

Wkrótce przeredzać się zaczęła puszcza, wyjechali na szeroki gościniec i dobrze utarty, a jasność na polach równych, zaśnanych śniegiem, zmieniła im obraz ponurj puszczy w wesołe widoki. Jak spojrzysz tylko równina nieprzejrzana okiem, którą wdali zamykał las, co jakby ciemna chmura łukiem okalał. Na tym obszarze jasno wśród śnieżnego kobierca odbijały wsie i dwory, znaczne zdala dymami, co w prostych i ciemnych słupach tumańczyły się w górę. Ogrody dworskie służyły za tło ciemne, na którym odbijały się owe skromne dworki z białemi ścianami, a każdy z gankiem i strzechą słomianą. Lubo cisza wokoło, ale ze wsi dochodził cię gwar życia, szczekanie psów, poryk bydła pojonego w studniach żórawiowych. Trzy wsie przejechał Zaręba a nie wyrzekł ani słowa, wyglądając niecierpliwie, ażali nie ujrzy upragnionego dworu chorążego. W czwartj wiosce poza drzewami pokazała się zdala wieś do której zdązał.

Za opłotkami, już się Polanówka chorążego ukazywała, ale dworu nie widno, bo z tēj strony zaśnaniały go stodoły i gęsty szpaler lip odwiecznych. Pan Maciej siedział jak na szydle, utopił wzrok przed siebie i nastu-

chiwał, jak Zaklika, ukazując szczegółowo budynki dworskie i wiejskie, rozpowiadał o nich fernalowi, staremu Grzeli:

— Ot widzita już i dwór się zpoza stodół wychyla; a patrzta to obszerne domostwo.— Ho! ho! jaki pyszny ganek, i gołębnik jaki duży: to pewnie ztąd i nasze gofąbki. Ho! ho! jaki wielki ogród.—Widziszno szpalery i modrzewie, a to ślicznie, i dostatnie, i gospodarnie.

Zaręba ujrzał już w całości dwór chorążego okazały, bo wjechał w aleę lipową, wiodącą wprost przed ganek. Na obszernym dziedzińcu ruch był wielki, i zaprzęgano do licznych sań: snać fernalki wyprawiano po drzewo do lasu. Kilku strzelców z rusznicami na ramionach przechadzało się zwolna, żywą prowadząc rozmowę: jeden z nich wprędce ujrzał sanie Zaręby i pobiegł do dworu. Po chwili chorąży stał już pod wystawką w gotowości na przyjęcie gościa; ale widać jeszcze nie poznał Zaręby, choć zwyczajem swoim wołał karbowego, ażeby wcześniej obrok dla podróżnych koni przygotował.

Stary Grzela za poradą Zakliki świsnął na konie i dzielnie zaczął potrząskiwac z biczem. Zarębie z wruszenia i z radości mało serce nie wyskoczyło: galopem wpadł na podwórze i jak mur dorazu stanął przed ganekiem. Wszyscy podziwiali dzielne bieguny i zręcznego fernala. Wyskoczył żwawo z sani, a chorąży ściskając swego gościa zaczął wołać:

— Pan Maciej kochany! A chodźcież moje niewiasty! A witaj! A toś nam miłą niespodziankę zrobił. A zajechałeś jak księżę! Niechże cię uściskam! Konie do stajni. Stary Kuba prędziej wina króla Popiela! Pani żono! Kasiu! a to święto od wielkiego dzwonu. A uściskajmyż się jeszcze. Wal tam kłodę na komin, bo to pan z puszczy. Chodźże, chodźże kochany panie Macieju!

Zaręba do też rozrzewniony tak serdecznym przyjęciem, nie wiedział jak dziękować. Przecież się uhamował nieco w swojej radości zacny chorąży, i wprowadził do pierwszej izby swego gościa, gdzie już stały i pani chorążyna, i pokraśniała żywym rumieńcem panna Katarzyna. Pocziwa matrona przyjęła z taką szczerością Zarębę, jakby syna, i pocałowała go w głowę, gdy się pochylił dla ucałowania jej ręki.

— No! Kasiu!—zawołał chorąży—nie stój jak trusia, przecie dygnij panu Maciejowi! To takie niby niemrawe, ale ci uręczam panie Macieju, że i ona bardzo rada, żeś nas przecie nawiedził.

Zaręba spojrzawszy w oczka swój bohdanki, wiedział o tém pierwój i dokładniej. Nie potrzebował wyrzec słowa, bo wypowiedział jój jedném spojrzeniem całą radość, szczęście, całe uczucie miłości.

Gospodarz w uniesieniu radosném dobył srebrnego starego puharu z herbem rodzinnym, nalał go wybor-
nym tokajem, a ściskając serdecznie za rękę Zarębę, wyrzekł:

— Panie Macieju! tym puharem piję tylko w wielkie święta, od wielkiego dzwonu: piłem na swoim ślubie zdrowie mojej dzieweczki, piłem gdy nam się Kachna urodziła i zakwiliła jak ptaszę witając przybycie na świat, piłem zdrowie i pomyślność naszego hetmana pana Kazimierza, piję dziś za szczęśliwe twoje przybycie, kochany Maciejku....—Reszty nie domówił, bo łza szczera uczucia i radości, głos mu zatamowała.

Zaręba nie mógł słów dobrać na podziękowanie; rozrzewniony do głębi duszy, przykląkł na kolano, a ujmując drżącą dłoń starca, przemówił.

— O panie chorąży! tak nie mów do mnie, tak mnie nie przyjmuj, bo mógłbym się zapomnieć.

— Co Wasze Maciejku gadasz? — zawołał pan Dzierzanowski weselszym głosem.

— O tak! jabym może zażądał... (i zciszył mowę).

— Co? Co?

— Jabym może zażądał zostać na zawsze waszym synem.

I zasłonił oczy ręką, jakby się wstydził słów swoich. Kasia uciekła, matka się uśmiechnęła, a chorąży krzyknął:

— Heż ha! w gorącej Wasze Maciejku wodzie kąpany. Albo to tak w szlacheckim domu przyjmują się oświadczyny! A gdzie swat? Nie ma. No, zdrowie Waszeczki! Waszeczki zacznij mi zaloty, ale wara bez swata, bo się wyrąbiem.

I po tych słowach wychylił puhar i uściskał serdecznie w objęciach gościa.

Zaręba od wzruszenia drżący, z radością usłyszał, że chorąży przyjmie go ochotnie za zięcia; zbliżył się więc z pokorą do pani Dzierżanowskiej i nieśmiało wyrzekł:

— A pani, czybyś uznała mnie za syna i zastąpiła mi matkę?

Chorążyna pochylonego pocałowała w głowę, przegnała, i zcichła przemówiła:

— Jeżeli to z Kasi będzie szczęściem, najchętniej, mój panie Macieju!

W tej chwili chorąży dojrzał, że konie z sankami stoją przed gankiem na mrozie.

— A do stu bisurmanów — krzyknął — czy poszaleli, trzymać ludzkie i konie na takim zimnie. Hej Jacku! do stajni, a podsyp dobrze owsa, ludziom grzanego piwa, a tu wal kłode na komin. No rozgość się Wasze Macieju, oto waścina komnata. Tu każ przynieść swoje toboły, a wesoło i ochoczo baw się, bo jutro na łowy równo z brzaskiem. No! no! nie marszcz Wasze oblicza, wrócimy na śniadanie nim nasze niewiastki dobrze się po śnie wyczmychają.

Kiedy chorąży kładł lisią czapkę, aby odwołać przygotowane łowy, Zaklika już wnosił tłumoki i urządzał dla pana komnatę. Na ogromnym kominie buchnęły sutym płomieniem kłody smolne sosnowe i jodłowe, i rozjaśniły przyciemną nieco alkowę, bo tylko jednem oświetloną oknem, które osłaniał szpaler drzew gęsty.

Szczupła to była komnata, ale w przystroju swoim miała szczególny charakter. Ścianę okrywała makata dobrze zużyta, w żywych jeszcze barwach; na niej wisił łuk, kusza i kołczan ze strzałami, poniżej garłacz albo szturmak z wyskakującym długim nożem, kilka kordelasów myśliwskich, ryngraf z Matką Boską Częstochowską, misiurka z kótek żelaznych i koszula z takichże kótek szmelcowanych gdzieniegdzie złotem; na przeciwniej ścianie wisało kilka strzelb pojedynek, dwie dubeltówki, pancierz z żelaza wykuty z literami A. R. (Augustus Rex) z czasów króla Sasa: trzy karabele w jaszczur oprawne i dwie pary pistoletów. Pod temi myśliwskie borsucze torby, trąbki, smycze, rogi ogromne do prochu i długi wór skórzany pełen kul i loftek.

Wprost okna wisiał mały obrazek, przedstawiający młodego jeszcze wojownika w węgierskiej czamarze. Czoło wysokie, wydatne, oczy czarne pełne ognia, wąs krótki: w całej postawie widne życie i niemal ruch rycerski. Obrazek ten bywał zakrywany czarną krepą, ale dziś przypadkiem odstoniony, nagle odbił słaby promień słońca, co się przedarł przez okienko. Pod nim wisiał błyszczący topór, siekiera i staroświecki czekan, z napisem 1569 roku, oraz z herbem Stary Koń. Proste łóżko lipowe, dwa stoliki, sofa mała, cztery krzeselka i ława dębowa przy kominie, składały sprzęt cały. Wszystko nadawało charakter tej komnacie, że tu przemieszkiwał rolnik, myśliwiec a zarazem i wojak.

Zaręba usiadł na ławie przy kominie i zamyślony zwrócił oczy na jasny płomień, na nic niezważając, ani niewyrzekłszy słowa do uradowanego Zakliki, który się krzątał ochoczo przy rozpakowywaniu rzeczy i porządkowaniu w izdebce.

Pachołek widząc pana zadumkę, wkrótce na palcach wyszedł i zcicha drzwi przyknął. Zaręba dopiero postrzegł, że sam pozostał. Odetchnął całą piersią swobodnie, powstał, przeszedł się kilka razy i nagle stanął przed małym obrazkiem.

W tej chwili zcicha drzwi się komnaty roztwały i na progu stanął chorąży. Widząc wzruszenie Zaręby, w milczeniu opuścił głowę na piersi i smutnie westchnął; ale kiedy gość jego długo stał niewzruszony, pan Dzierżanowski odezwał się wtedy:

— Cóż Wasze, panie Macieju, poznałeś czyj to jest portret?

— O! tak! tak!—zawołał z rzewnym uczuciem Zaręba — poznałem go dorazu i patrzę, patrzę, a napatrzyć się nie mogę.

— No! przyjrzyj się mu potem lepiej, a teraz chodź Waszecz Maciejku na dar Boży, bo już u nas obiadowa pora, a i tak spóźniona, z powodu Waścinego przybycia. Od jutra wszystko wraca do dawnego porządku, a jak dzwonek na ganku uderzy dwunastą w południe, to już wszyscy siedzą za stołem.

W komnacie jadalnej przy stole zasiadło ośm osób, bo oprócz państwa Dzierżanowskich i córki, poznał

Zaręba panią Piotrową wdowę a gospodynią we dworze chorążstwa, pannę Brygidę, już pełnoletnią, pokrewną chorążego, pana Kacpra rezydenta i Malchera nadleśnego a razem zawołanego myśliwca, codziennych stołowników i domowników.

Z początku rozmowa szła wolno i z przerwami: chorąży był głodny, mało mówił, a domownicy milczeli. Zaręba spoglądał ukradkiem, nieśmiało, w modre oczęta chorążanki, która razporaz kraśniała świeżym rumieńcem, gdy się spotkały ich spojrzenia. Zarębie przyszło na myśl owo zdanie Górnickiego w Dworzaninie, bo je niedawno czytał, że „oczy są to wierni od serca postowie.“

Po jednym i drugim kieliszku wytrawnego węgryna, ożywiony chorąży zaczął rozmowę. Pan Kacper czekał tylko hasła, i jak zaczął prawić dykteryjki pełne dowcipu i humoru, całe grono serdecznym odpowiadało śmiechem. Kobiety z końcem obiadu powstały, chorąży kazał gąsior opleśniały postawić na stole i przyłożyć drzewa na kominie.

Zaręba przyjrzał się wtedy lepiej godownikom.

Pan Kacper pierwszy zwrócił jego uwagę. Wysokiego wzrostu pochylał się niekiedy w chodzie, ale prędko się prostował, i wtedy w całej okazałości odbijała wybujała jego postać. Twarz pociągła, nos orli, ocieniony potężnym wąsem siwawym trochę, oczy ciemne małe, ale pełne życia, czupryna staropolskim zwyczajem podgolona; wyraz oblicza ujmujący, wesoły, a gdy wpadł w zapał, ożywiony szlachetniał, a oczy jaśniały gwiazdzisto. Na czole dwie szramy głębokie świadczyły o dobrych cięciach szabli, jakie kiedyś odebrał; na prawym policzku ślad rany od kuli wydatniał. Szczupły, zwiędły, szerokimi ramiony i żyłastemi rękoma zdawał się zapowiadać siłę: jakoż zaprawdę trudno byłoby znaleźć podobnego krzepaka. Słynął on z olbrzymiej siły i cuda opowiadano o nim z czasów jego służby pod chorągwiami konfederatów. Chorąży z wielkim był szacunkiem dla pana Kacpra; na Nowy Rok zawsze kontusz, żupan, czapka, pas i resztę ubioru posyłał mu do oficyny, w której zajmował dwie izdebki. Pan Kacper ubierał się w dar przystany, i wtedy dopiero stawał we dworze zło-

żyć chorążemu życzenia i podziękowania; ale gdy ten go dojrzał idącego, wybiegał do sieni, ścisnął go serdecznie i nieznacznie wsuwał do kieszeni sakiewkę roboty Kasi z dwudziestą dukatami. Pan Kacper za powrotem do oficyny, po przeliczeniu daru, dukat jeden owijał w papierek i odnosił go do poblizkiego kościoła parafialnego na wotywę, którą słuchał klęczący, na intencją i za pomyślność chorążego i jego rodziny. P. Dzierżanowski znał zacny i szlachetny charakter pana Kacpra, zwykle więc aby mu wynagrodzić za dukat dany kościołowi, wyzywał go do marysza, a przy kieliszku wina tak grał kierował, że poczciwy Kacper, nie miarkując podstępnie chorążego, zawsze wygrywał i zgarniał pułki, do których wsuwał nieznacznie złotówki gospodarz, a jak się obliczył, to dwa i trzy dukaty znalazł wygranych. Zaczyna chorążyna wiedziała o podstępie męża: to też wraz z Kasią dopomagały mu w tym ochotnie. Tajemnica przecie była tak dochowana, że poczciwy Kacper żadnego nigdy podejrzenia mieć nie mógł.

Trzeba było widzieć, jak chorąży przegrywając udany gniew pokazywał, jak unikając nieszczęśliwej belki w pułapie, przenosili się gracze po całym pokoju: wtedy to chorążyna zagadywała Kacpra, a Kasia zręcznie przesuwiała mu od ojca kupki złotówek lub dokładała do pułki, którą zawsze wygrywał. Śmiał się stary wójak z szalonego szczęścia, przeproszał chorążego i pełen radości z dobrze wyładowaną kieszenią wracał do oficyny, gdzie przeliczał wygraną i chował troskliwie.

Pan Melchior w zupełnym był przeciwieństwie z panem Kacprem. Średniego wzrostu, chudy, zawiędły, oblicze pomarszczone, faworyty gęste, wąsy siwawe i włosy krótko przystrzyżone, nadawały obliczu jego wyraz ostry i ponury. Mało mówił, słuchał uważnie, rzadko kiedy się uśmiechnął. Szedł zawsze zamyślony z głową pochyloną. Od dwudziestu lat z górą zarządzał obszernymi lasami chorążego, znał jak dłoń własną całą knieję, słynął też jako jeden z najdoskonalszych myśliwych. Chorąży zapalony łowiec wielce go cenił i poważał, a przedstawiając pana Malchera Zarebie, wyrzekł:

—Teraz Waści Maciejku zapoznam z naszym hetmanem wszystkich myśliwych: to pan Malcher Gajewski,

król, brylant czystej wody łowców. Dosyć aści powiedzieć, że ja jestem przy nim jak żak przy księdzu Jezui-cie profesorze.

Pan Malcher uśmiechnął się; widać było radość w całym obliczu, skłonił się pokornie i nie odrzekłszy słowa, pocałował w ramię chorążego.

Ale innyto był człowiek, kiedy dosiadł konia i lasy przejeżdżał, kiedy rozporządzał obławą, lub stał na stanowisku. Widzieć było gdy trąbką myśliwską dawał hasło łowcom znajome, gdy na skaro-gniadym pędził z kopyta, aby przebiec i stanąć na przesmyku, gdy psy poruszyły sarnę, jelenia, dzika, lub łosia: wtedy zapał promienił mu oblicze. olbrzymił jego postać, był to wódz doświadczony, co jednem skinieniem poruszała szeregami myśliwców. Wszyscy byli mu posłuszni, sam chorąży patrzył nań wtedy jak w tęczę, a znając znaki, tłumaczył je i pilnował wykonania. Pan Malcher zcicha w kniei mówił, ale kiedy huknął całą piersią, to w okolicznym lesie echa ten odzew potężny powtarzały długo. Strzał jego był niechybny: nigdy mu ręka nie zadrżała, choć nieraz przyszła potrzeba użyć kordelasa. Od czasu jak pan Kacper widział mistrzowskie dzika pchnięcie przez pana Malchera, odtąd z wielkiem o nim mówił poszanowaniem, i dodawał w końcu:

— Chociaż nie bywał w potrzebie i prochu armatniego nie wachał, zaprawdę dobryby to był dowódca niejednej chorągwi. Nie zadrży mu ręka w żadnym ciosie, a jaka to krew zimna gdy rozrządza łowami, jaki zapał, kiedy zagrzmia wystrzały! Oj! słuchałbym go ochotnie i służył pod jego buławą.

Dowiedziawszy się o tém pan Malcher, że łąz w oku uściskał starego wojaka i nie mógł mu dość nadziękować za tę estymę, jak wyraził, dla jego osoby. Odtąd często pana Kacpra zapraszał do siebie, a wiedząc, że ma siostrę rodzoną, którą szczerze kochał, mieszkającą o mil kilka za puszcza: zawsze na jej imieniny składał wcześniej prezent myśliwski, aby jej posłał. Prezent ten składał się z sarny, z kilku zajęcy i wiele dzikiego ptactwa. Pan Kacper zasiadał, pisał list i furą chorążego posyłał dary siostrze swojej, która nie umiała słów dobrać na podziękowanie bratu.

Tak wzajemnym szacunkiem i kilkunastoletniem mieszkaniem pod jednym dachem przyjaźń się ich wzajemna ustaliła. Wieczory zimowe po kolacyi we dworze przepędzali zwykle z sobą na cichej gawędce. Pan Malcher wyuczył starego wojaka robienia sieci na ryby, rozjazdy na ptastwo i płoty do kniei; to też przy ogniu kominkowym siadali razem, wspólnie pracowali nad niemi, zeicha gwarząc. Objazd lasów razem odbywali konno. Pan Kacper trzymał rachunki Malchera, bo ten zaledwie podpisać się umiał. Przy rąbaniu sążni wyręczał go nieraz, i tyle codziennie niemal oddawał mu usług, że myśliwiec tęsknił zawsze, jeżeli choć przez dzień starego nie ujrzał wojaka.

* * *

Wpóśród żywej i wesołej rozmowy tęsknił Zareba niewidząc swojej bohdarki, ale nie śmiał opuścić towarzystwa chorążego, który często zwracał mowę do niego, opowiadając przygody swoje myśliwskie, albo z wojaczki. Choć nie był głodny, z wielką radością ujrzał przygotowanie do wieczerzy, bo miał nadzieję zobaczenia chorążanki. Jakoż z uderzeniem siódmej wieczornej, którą kukutka zegarowa głośno wykukała, ukazało się grono znanych nam niewiast z gospodynią domu.

Zakraśniało oblicze Zareby ujrzawszy swoją bogdankę, która z spuszczonei oczyma weszła do jadalnej komnaty. Chorąży w wyborzym humorze wraz z panem Kacprem sadzili się na dowcipne dykteryjki, które nawet poważną chorążynę do serdecznego śmiechu pobudzały; i Kasia utaić go nie mogła, a to była chwila oczekiwana przez Zarebę, kiedy mógł zachwycić jej spojrzenie zwrócone na siebie.

— Moje panienki — zawołał chorąży przy końcu wieczerzy — już was nie puścimy od siebie. Nasz gość choć w naszym towarzystwie i przy kieliszku czystego madziara, jakoś stęsknił i osowił, ale za którą z was? nie wiem: pociągnijta supelki, excypując moję Ewusię, bo ta prawem przedawnienia do mnie wyłącznie należy. Waszeć Maciejku baw damy, a my tu z panem Kacprem i Malcherem do puli zagramy maryasza.

Chorażyna zasiadła na kanapie, pani Piotrowa odeszła do czeladnej izby pilnować przątek; przysiadła się więc panna Brygida, zwróciwszy całą uwagę na robotę komży, którą do kościoła parafialnego, jako wspólną pracę z Kasią, przeznaczyły.

A Kasia, widać miała wiele do opowiadania gościowi od czasu widzenia się w puszczy, bo rozmowa między niemi była ciągła, niedostłyszana przez nikogo, bo gwar grających w maryasza górował w komnacie.

O 10tej wszyscy udali się na spoczynek. Zaręba długo w noc przesiedział w swojej izdebce przed ogniem komina: widać marzył o szczęściu, o błogiej przyszłości, bo uśmiech radosny często zaigrał na poważnym obliczu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚĆ

O PTAKACH I NIEDOPERZACH

ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W DOLINIE OJCOWSKIEJ.

PRZEZ

W. Czaczanowskiego.

I.

Podróżni zwiedzający okolice Ojcowa, wspominali często o niedoperzach żyjących po tamtejszych grotach. Niektórzy postrzegali tam nawet podkowce; nikt jednak dokładnych wiadomości w tej mierze nie podał i nie wyrzekł z pewnością, jakie się tam gatunki znajdują. Udałem się umyślnie do Ojcowa, ażeby na miejscu dojść rzeczywistości, a zebrane postrzeżenia dla użytku naturalistów naszych postanowiłem w krótkości ogłosić.

Przybywszy do Ojcowa w pierwszych dniach września 1853 roku, dowiedziałem się od przewodników, że niedoperze znajdują się o pół mili od Ojcowa w grocie jerzmanowskiej, w grotach zaś doliny Ojcowskiej zupełnie ich nie ma.

Grota jerzmanowska stanowi wewnątrz jednej ze skał położonych wśród pola, lecz przy lesistej dolinie bentkowskiej. Skała w znacznej części zarośnięta jest krzakami, a wejście do niej tak zastłonięte, że go na zewnątrz nie widać. Jestto wązki otwór około pięciu stóp wysokości; po kilkunastu krokach wydrążenie to dzieli

się na dwa korytarze, bardzo niskie, któremi jednak, przechyliwszy się, wygodnie iść można. Oba te przejścia prowadzą do obszernej, prawie okrągłej sali, około 15 stóp wysokości; spód jej zawalony wielkimi odłamami skały i skalaktytami, wśród których jest czarne i grzęzkie błoto, utrudzające chodzenie. Z sali tej przechodzi się do innych długich, krętych lochów; dostępy wszędzie są dosyć wygodne, i tylko kilka miejsc z trudnością się przebywa. Przebywszy rozmaite zakątki, dochodzi się do bardzo niskich przejść, któremi czołgając się tylko, do ostatnich wysokich korytarzy i małych grot dostać się można.

Zwiedza się to miejsce z kagańcami i znacznym zapasem łuczywa. Potrzeba starannie utrzymywać światło, gdyż zapuściwszy się w kręte i ciasne przejścia, trudno byłoby wśród ciemności odszukać drogi; ci nawet, co znają dobrze grocie, długoby błędzić musieli. Przeworniejsi biorą z sobą gałązki i znaczą nimi drogę, ażeby na wypadek zgaśnięcia ognia, mogli się za ich pomocą kierować.

Gdyśmy zaopatrzeni we dwa kagańce, zbliżali się do pierwszej najobszerniejszej groty, słysząc było pisk niedoperzy; wkrótce ujrzelśmy na sklepieniu z pół kopy tych zwierzątek gęsto w szczelinie nagromadzonych, a kilka oprócz tego odzywało się ukrytych po szparach. Niepokojone światłem i dymem, zaczęły się ruszać, i po jednym zlatywać; nie zbliżały się do ognia, ale kręciły się w górze i uchodziły na wszystkie strony. W innych ciasnych korytarzach zastaliśmy także po kilka, którym zastępując w przechodach, niejednego straciliśmy gałęziami na ziemię. Tym sposobem dostałem siedm egzemplarzy; inne tak się pokryły, że ich niepodobna było wynaleźć.

Sąto niedoperze myszate (*Vespertilio murinus*): żadnego innego nie było; latał tam wprawdzie jeden mały, którego żadnym sposobem ułowić nie mogłem; byłto zapewne młody, gdyż wiadomo że gatunki tego rodzaju zawsze tylko pojedynczo mieszkają.

Wszystkich w ogóle, które napotkałem w grocie, nie było więcej jak kilkadziesiąt; przewodnicy dziwili się nad tak małą ich ilością, powiadali mi bowiem, że tej jeszcze wiosny, kilka tysięcy niedoperzy miało się znaj-

dować. Poruszone strzałem zerwały się wszystkie naraz i wprost do ognia leciały, trzepały skrzydłami po twarzach, że trudno się było opędzić; wtenczas to znaczną ilość gałęziami ubito. Przed szczęściem laty hr. Wodzicki odwiedzając tę miejscowość, znalazł niezliczone massy niedoperzów przyczepionych do sklepień. Dla przekonania się jak dalece trudne są do spędzenia, trzy razy w jednym kierunku strzelał: wszakże tyle tylko miejsca opróżnionego zostawało, ile nabój zajął, w innych zwierzęta nieporuszone siedziały. Po tej próbie dwa koszyki napełniono zabitemi niedoperzami. Oprócz tych świadectw stopy ich gnoju świadczą o ilości dawnych mieszkańców tej groty i o bardzo dawnym przebywaniu ich w tym miejscu. Co się z nimi stało, trudno powiedzieć; zdaje się, że często odwiedzane, niepokojone i bez potrzeby prześladowane i zabijane, przeniosły się do niedostępnych kryjówek, albo w innem miejscu obrały siedlisko.

Stopy ich gnoju tworzą kopce tak duże i tego kształtu, jak największe mrowiska; w głównej grocie znajduje się do pięciu łokci wysoki i znacznie szeroki w podstawie. Kopce te okazują, że niedoperze mają upodobane miejsca w których przesiadują, chociaż w sklepieniu znalazłoby się wiele innych dogodnych im siedzib.

Mówiąc o nawozie, z przesadą opowiadano, jakoby tam znakomite zapasy i skarby bez użytku były nagromadzone, tymczasem wszystkie te zbiory razem wzięte, nie uczynią więcej jak 50 wozów; gdyby to więc i najlepszy był nawóz, nie mógłby więcej jak parę morgów użyźnić. Wydobycie go ztamtąd byłoby trudne i kosztowne: trzeba by go albowiem wywozić taczkami przy starannem i kosztownem oświetleniu, co zaiste nie opłaciłoby ani kosztów, ani zachodu; dla przekonania się jednak o ile nawóz tego rodzaju mógłby być skutecznym, wartoby było zrobić próbę przynajmniej na mały rozmiar.

Kończąc wiadomość o tej grocie odezwą do zwiedzających ją podróżnych, ażeby tych niewinnych zwierzątek bez potrzeby nie wytępiali; jest to bowiem rzadki w kraju naszym gatunek, którego gdzieindziej dotąd nie znalazłem, i żaden z krajowych naturalistów nigdzie go nie widział; wygubienie więc tego zwierzątka przyniosłoby wielką szkodę niezbyt obfitej faunie krajowej.

OPISANIE TEGO NIEDOPERZA ZDJĘTE Z NATURY. Pysk długi, gruby, rzadkimi włosami całkowicie posiany, uszy cokolwiek dłuższe od głowy, szulflowate, szerokie przy nasadzie, w końcu cokolwiek zwężone i zaokrąglone, oddalone, pochylone ku przodowi, w półprzezrocyste, wielkie, rzadkimi włosami porośnięte; wstawy pałasikowate, przy nasadzie szersze, w końcu zwężone i zaokrąglone, naprzód także podane. Błony szerokie, zupełnie nagie, od spodu tylko przy kości ramieniowej cokolwiek włosiste. Ogon linię tylko za błony wystaje. Oczy wielkości łepka śpilki zwyczajnej.

Uszy szare; błony brunatnawo-szare, pysk tegoż samego koloru, przy kątach warg żółtawo-zafarbowany; gruczoły wonne cytrynowo-żółte. Odzież niezbyt gęsta, miękka, u wierzchu słabo połyskująca, od spodu cokolwiek włosista, na wierzchu myszato-śniada, ze spodu popielato-biaława, nasady włosów spodnich ciemno-szare; pazury białawe.

Roczniki mają sierć w ogólności rzadszą, na karku niską lub żadną, na wierzchu są ciemniejsze, ze spodu więcej wełniste, jaśniejsze.

Największy ze wszystkich europejskich gatunków: dorosłe indywiduum pięć cali przechodzi, z czego ogon przeszło dwa cale zajmuje.

Podkowce znajdują się w lesie Czajowskim po szczelinach skał. Nie mogę dotąd z pewnością powiedzieć, czy zwierzątko te należą do którego ze trzech europejskich gatunków w dziełach mastozoologicznych opisanych. Zgadza się on po większej części z podkowcem jednoliściennym (*Rhinolophus unhastatus*), różni się jednak od niego tęp, że samice są zupełnie do samców podobne, w czém znowuż zgadzałyby się z podkowcem nierównym (*Rhinolophus clivosus*), gdyby nie to że ma błony międzyudowe zupełnie nagie. Po kilka tych małych zwierzątek wisi obok siebie, przyczepionych tylnymi łapkami z głową na dół zwieszoną do sklepienia szczeliny; poruszone usuwają się żwawo na dwóch tylnych łapkach z głową zawsze ku dołowi obróconą, niechętnie zrywają się i lotem uciekają. W świetle dziennym są niedołęźniejsze od niedoperzy.

OPISANIE: Uszy ma szerokie, końce ich nagle zaostrome, cokolwiek są ku środkowi zagięte, klapą odgiętą

z przodu do połowy zastłonięte; liść na nosie włocznio-
waty, cokolwiek kosmaty; w środku podkowiastłej narodził
słupki niski, rozszerzony. Sierć na całym ciele bardzo
długa, delikatna, jedwabisto-połyskująca. Błony nagie,
przezroczyste, czarniawe; uszy cokolwiek jaśniejsze;
sierć z wierzchu ciała jasno-popielata, przy nasadzie
biaława; spód ciała białawy, mocniej niż wierzch poły-
skujący. Długość całkowita 3", ogon 1" 2".

Ekursya którą tą razą odbyłem, była bardzo krótka,
nie mogłem zatem zająć się dokładnym śledzeniem
wszystkich skał i szczelin, gdzie rozmaite gatunki niedo-
perzy ukrywać się mogą; lasy także górzyste, w jodły
i buki obfitujące, wielce sprzyjają drobnym ssącym zwie-
rzątkom, których tam zapewne żyje znakomita ilość.
Wartoby, ażeby który z krajowych naturalistów zajął się
zbadaniem tej ze wszech miar zajmującej okolicy. .

II.

Dolina Ojcowska we wszystkich gałęziach historyi
naturalnej nader jest ciekawą; ornitologia ma tu także
swoich reprezentantów w górskich gatunkach, które
w innych okolicach królestwa polskiego są albo niezna-
ne, albo bardzo rzadkie. Wprawdzie w opisie hr. Wodzie-
ckiego wymienione już są gatunki około Ojcowa żyjące,
lecz że wiadomości o nich są zbyt ogółowe i odnoszą się
do ptaków całej ziemi krakowskiej, nie od rzeczy będzie
wspomnieć w krótkości o ptakach, jakie wyłącznie w tej
okolicy widziałem, lub też o nich z pewnych źródeł do-
wiedziałem się.

Drozd skalny (*Turdus saxatilis*), gnieździ się co-
rocznie po skałach tamtejszych, chociaż w dość ograni-
czonej ilości. Zdaje się że wcześniej odlatuje, gdyż go
już nigdzie nie widziałem. Dołąd nigdzie więcej nie po-
strzegany.

Pokrzówka kopciuszka (*Sylvia thitis*), ptaszek
bardzo pospolity nie tylko w dolinie, ale w całej okolicy,
gdzie się same skały i mury znajdują; z pewnością można
powiedzieć, że jest najpospolitszym ze wszystkich współ-
rodzajowych ptasząt. Zastałem ich jeszcze znaczną ilość
po wszystkich skałach i murach. Młode przed odlotem

odbywają tam całkowite pierzenie. Stare samce, pomimo to że się piérzyły, śpiewały jak na wiosnę. Znają je tam pod nazwiskami: skalnika, kowalika lub mlaskacza. Gatunek ten znajduje się także w okolicach Kiele i Chęcin.

Opocznik czarnołbisty (*Saxicola rubicola*), więcéj nierównie rozprzestrzeniony od kopciuszki, w całej okolicy dość pospolity. Spotkałem ich rodzinę pod Nowem-Miastem nad Wisłą; kto wie czy nie zostanie wykryty w górzystych okolicach gubernii lubelskiej. W czasie méj bytności, już ich znaczna ilość odleciała. Młode na miejscu piérzą się zupełnie. Stare samce do czasu odlotu śpiewają.

Pluszcz wodny (*Cinclus aquaticus*), nad Prądnikiem jest ptakiem miejscowym; rzadszy jednak i skrytszy od zimorodka. W innych stronach bardzo rzadki i przypadkowy; postrzegano je w Lubelskiem, pod Warszawą i zdaje się że wszędzie bywa, gdzie tylko są płytkie kamieniste rzeczki i strumienie. Mieszkańcy doliny Ojcowskiej nazywają go wodną kokoszką.

Pliszka wolarka (*Motacilla boarula*), znajduje się nad Prądnikiem wzdłuż całej doliny, i tam się gnieździ; spotykałem je w stadkach familijnych nad strumieniem. Pliszka ta ku jesieni jest dość ostrożna, zrywa się zdaleka przed ludźmi i czepia po skałach. W inne okolice przypadkowo tylko zalatuje, posuwa się nawet w lubelskie; młode odbywają pierzenie na miejscu, stare wczesniej od nich odlatują. Pospólstwo tamtejsze daje im bardzo charakterystyczne nazwisko pluskwy, od ciągłego pluskania się po wodzie. Pliszki żółtej wcale nie widziałem i nie mogłem z pewnością dowiedzieć się, czy bywa na wiosnę.

W całej dolinie znalazłem znaczną ilość kulczyków (*Fringillaserinus*), które dotąd przez nikogo jeszcze nie były wymienione. Ptaszek ten żyje tam i gnieździ się w znacznej ilości; w końcu sierpnia stada ich zlatują się na góry, skały i ogrody, gdzie piołun i inne górskie rośliny, obfitego im dostarczają żeru. Wielkie podobieństwo z piérza i głosu do czyżów, było zapewne powodem, że nie zwracano na nie uwagi. Niektóre młode były już zupełnie przepiérzone, inne w piérzeniu; były nawet i takie, którym jeszcze ogony nie zupełnie wyrosły. Gdzieindziej

dotąd niepostrzegane. Pospólstwo miejscowe nie oddziela ich od czyżów.

Pod względem ptastwa drapieżnego, okolica ta jest bardzo ubogą; gnieźdzące się jednak z rodzaju sokołów pustułki (*Falco tinnunculus*) i myszołowy (*Falco buteo*), w tych stronach tak są pospolite jak wszędzie, a drzemliki (*Falco aesalon*), obficie na zimę zlatują. Kania (*Falco milvus*), jastrząb (*Falco palumbarius*), krogulec (*Falco nisus*) i kobuz (*Falco subbuteo*) dość rzadkie. Sokoł wędrowny (*Falco peregrinus*) bardzo rzadko się zdarza. Błotniaki i kanie czarne (*Falco ater*) wcale tu nie bywają. Z rodzaju sów puszczyk (*Strix aluco*) bardzo pospolity; inne rzadkie albo wcale nie bywają.

Ptastwo błotne i wodne prawie nieznanne: bekas i kaczka nie miałyby gdzie usiąść. Chróściele tylko (*Rallus crex*) i wodniki (*Rallus aquaticus*) po łożach nad strumieniami bywają. Dzieciołów po lasach okolicznych bardzo mało. Białogrzbietny (*Picus leuconotus*) wcale nie bywa, a czarny (*Picus martius*) rzadko zalatuje.

W całej dolinie wróbla domowego nie widziałem; powiadano mi, że bywają przez lato i w zimie, ale widać że na ten czas wyniosły się w miejsca otwarte. Mazurki były ale rzadkie.

III.

Dodatki i sprostowania do spisu ptaków gubernii lubelskiej, zamieszczonego w tomie pierwszym Biblioteki Warszawskiej z roku 1851.

Trzy następujące gatunki pomnażają liczbę ptaków téj gubernii, które dopiero po tegorocznej ekkursyi zamieścić mogę, a przez piaskowca przybywa jeden rodzaj do fauny krajowej.

256. Piaskowiec zmienny Tyz. *Calidris arenaria* Illig. *Tringa arenaria* Bonap. Spotykałem je po piaskach i wysepkach wiślanych od 11 października aż do pierwszych dni listopada, w stadkach po kilka lub kilkanaście sztuk lub też pojedynczo, między stadkami biegusów zmiennych (*Tringa variabilis*).

257. Czapla modronos Jar. *Ardea comata* Pall. *Ardea ralloides* Scopoli. Przypadkowa, bardzo rzadka. Ubito w tym roku starego samca w okolicach Lublina.

258. Mewa najmniejsza Tyz. *Larus minutus* Pall. przypadkowa dość rzadka. Tak jak inne gatunki tego rodzaju, zalatuje ponad Wisłą i aż do Krakowa się posuwa.

W opisie rzeczonym zamieściłem siewnicę (*Vanelus melanogaster*) jako ptaka rzadkiego; rzeczywiście rzadkim jest w środku gubernii gdzie czasami między stadami siewek (*Charadrius pluvialis*) na pola zalatuje, nad wodami jeszcze rzadszym, nad Wisłą zaś na ciągu jesiennym do najpospolitszych ptaków należy; przez cały wrzesień i październik liczne stada tych ptaków po wyspach i brzegach piaszczystych ciągle przebywają. Przy końcu października najwięcej ich spotykałem.

OMYŁKI DRUKU.

<i>Str. wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj.</i>
336 24	w tym samym czasie pospolity	w tym samym czasie zalatuje.
338 2	dość pospolity, w przelotach	dość pospolity w przelotach,
340 1	Sowa płomyczkowata	Sowa płomykowata.
341 8	Wilga czerwono-żółta	Wilga czarno-żółta
343 26	Gajówka pliszka	Gajówka pleszka.
343 27	Rudochwast	Rudochwost.
344 18	później odlatuje	późno odlatuje.
339 33	Sowa Tengmalmi	Sowa Tengmalma
344 4	Królik śmieszek	Krolik żniczek
353 28	eristatus	cristatus.
356 16	Kaczka wdówka	Kaczka lodówka



KRONIKA LITERACKA.

Skarbniczka naszej archeologii, obejmująca średnio-wiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszej przeszłości i t. p., przez Ambrożego Grabowskiego Krakowianina. Z 39 wizerunkami baszt i bram krakowskich. Lipsk. 1854.

W pomysle i wykonaniu niczém się Skarbniczka p. Grabowskiego od Dawnych zabytków i Starożytnych wiadomości jego nie różni: jest to tylko trzeci tom archeologicznego dzieła, które zadaniem sobie wzięło wyczerpać wszystkie pamiątki starożytnego Krakowa, a które w istocie bogatym zapasem wiadomości może się pochwalić przed czytelnikiem. I w Skarbniczce więc jak w dwóch poprzednich dziełach, są wypisy z akt miejskich krakowskich, wypisy z ksiąg starych, z różnych kazań, wierszy nawet. Nadto znajdujemy tutaj ciekawe wypisy z ksiąg kilku wiejskich parafij. Noweto i nieznanne źródło otwiera się dla naszej historii. Dawni plebani i proboszczowie, nieraz sobie po aktach parafialnych i po metrykach spisywali dla pamięci pewne zdarzenia, których byli świadkami. Jużśmy mieli kilka dowodów na to, że czasem znajdują się ciekawe tam rzeczy: bośmy sami mając sposobność w kilku miejscach przeglądać te akta miejscowe, do których nikt teraz nie zagląda, przekonali się o tem. Dalej ks. Gacki w monografiach swoich dotknął tego widać bogatego dosyć źródła; z tém większą zatem radością znaleźliśmy i w Skarbniczce podobne notaty z ksiąg parafialnych. Autor z nich wypisywał to, czego mu potrzeba było, ale ostrzega: że krom tego co zanotował, czytał w księgach tych fakta „do ogólnej historii kraju.“ Te owszem źródła parafialne, które w Skarbniczce swojej pan Grabowski cytuje, bogatsze są od tych, które poznaliśmy: bo już same w sobie tworzą odrębne całości. Wy-

padki potoczne w nich zapisywane nie są to już wtręty, nie są to nieurzędowe już notaty po urzędowych metrycznych księgach, jakie widzieliśmy sami; ale zupełnie osobne kroniki, jakich wcale nieznaliśmy dotąd. Wzięte same w sobie są to również, te źródła p. Gr., skarbniczką archeologii niekrakowskiej wprawdzie, ale zawsze skarbniczką archeologii. Tak ks. Bernard Bocheński pleban w Krzeszowicach pod Krakowem, pisał w roku 1623 księgę praw, powinności i funduszów swego kościoła (str. 51). Tak ks. Kazimierz Dziuliński pleban w Słaboszowie także pod Krakowem, zaczął spisywać dziennik parafialny w roku 1693; a kiedy umarł 1701 r. znowu po nim ks. Jan Maruchowicz proboszcz Wielkiego i Małego Książa, ciągnął dalej ten dziennik aż po rok 1723, to jest po rok swojej śmierci. Pan Grabowski mówi o kronice Maruchowicza: „pocziwa to praca, ze wszech miar naśladowania godna“ (str. 76); zapewne, wydałby ją tylko warto.

Póki autor Skarbniczki wypisuje z akt i rękopisów, praca jego ma wielkie podobieństwo do naszych w Warszawie Wejner-towskich wypisów, tudzież do wypisów z akt skarbowych, z których pan Przeddziecki układa życie domowe Władysława Jagiełły i Jadwigi, wreszcie do wypisów Lisowskiego z akt miejskich o malarzach warszawskich. Ale panu Grabowskiemu o coś więcej idzie, jak o te wypisy z akt: chce być dokładnym i przygotować ile możności najbogatszy materiał dla przyszłych historyków, czy tylko wyłącznie Krakowa, czy też wogóle sztuki w Polsce, i dlatego jeszcze z tłumaczenia dzieł Arystotelesa przez Sebastjana Petrycego, wypisuje rozmaite fakta, niby jako dopełnienie do wyciągów z akt. Nie są i to również rzeczy bez interesu, bo Petrycy rzadki, a w przypiskach swoich i objaśnieniach do Arystotelesa, nieraz potrafił to o sztukę polską to, o zwyczaj swojego czasu: takim sposobem stał się także oddzielną skarbnicą archeologii. W innym miejscu cytuje autor Addytament do kroniki zakonu świętego Franciszka księdza Koralewicza, która w roku 1722 wyszła w Warszawie. Znamy dalszy ciąg i tego jeszcze addytamentu spisany przez księdza Onufrego Mysłkowskiego, który przeżył ostatnie czasy Rplitej i doczekał się Księstwa Warszawskiego, piastując najwyższe dostojności w swoim zakonie. Mysłkowskiego dalszy ciąg przydatku, spoczywa tylko po bibliotekach klasztornych, i nigdy nie był w handlu; a zawiera wiele różnorodnych wiadomości, które się zapewne każdemu archeologowi, w jakiejkolwiek pracował gałęzi, przydadzą. To nowe źródło prawie nietknięte dla naszych starożytności, bo nie ulega wątpliwości, że wszystkie zakony mają takie domowe swoje kroniki, jeżeli nie drukowane, to pisane. Archeologowie staracby się powinni, żeby im i te skarbnice stały otworem. Dzieło Koralewicza nie jest tak bardzo rzadkie, i dlatego dostępne wszystkim, bo było w handlu na pułkach u księgarzy. Inne za to kroniki są rzadkie i nieznanne.

Skarbniczkę swoją autor podzielił na pięć części, a w każdej z nich o czem inném rozprawia.

W piérwszej części pan Grabowski opisuje bramy, mury i fortyfikacye Krakowa (które daje w rysunku); dałéj mieści opisy zbrojowni (interesującą być może rewizya zapasów oręża w roku 1427 dokonana): wreszcie dopełniają téj części szczegóły o Kazimierzu, który ongi oddzielném był miastem od Krakowa, miał swój magistrat, swoje cechy, swoje osobne księgi dochodów i wydatków i swoje nawet zbrojownie.

Druga część zawiera wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce. Jestto niwa archeologii, która w naszych jeszcze oczach naga zupełnie i bez jednej rośliny, nagle pięknym rozzieleniła się krzewiem i kwieciem. Odkrycia się mnożą co chwila i zawsze coś nowego uwagę uderzy. Malarstwo najwięcej na tych poszukiwaniach zyskało. Jużemy się zdobyli na trzytomowy słownik; pan Grabowski więc w Skarbnicze, jak każdy inny kto o tym przedmiocie będzie kiedyś w przyszłości pisał, dopełniać musi dzieła Rastawieckiego. Autor zbiera zatem z akt krakowskich wszystkich piktorów, których tam znalazł; i słusznie: bo chociaż o ich pracach nie ma jeszcze żadnych wiadomości, mogą się znaleźć, a wtenczas najmniejsza skazówka może się łatwo przydać dla wykrycia nazwiska autora. Zawsze z massy tych imion i nazwisk, których dostarczyły akta miejskie warszawskie dawniej, a teraz krakowskie, płynie przekonanie, że w dawnych czasach sztuka miała u nas wielu swoich czcicieli. Przed XVI wiekiem nazwisk interesujących sztukę w Polsce najwięcej niemieckich: bardzo naturalnie, bo malarstwem mieszczańskie trudnili; ale od tego czasu coraz gęściej w aktach zdarzy się nazwiska polskie. Znalazły się i tutaj wypisy z książek np. z Pruszcza. Zdaje się więc, że i w księgach jeszcze materiał nieprzebrany spoczywa dla dziejów i sztuki. Pan Rastawiecki spuścił zupełnie tę okoliczność ze swojej uwagi. Że sztuka kwitnęła u nas, widać i z tego, że królowie bardzo się nią opiekowali. Pan Grabowski przytacza ślady zamiłowania w malarstwie Zygmunów i Wazów. Jan III wiemy, że założył nawet szkołę dla sztuk w Wilanowie. Bywały téż i u nas galerye obrazów; autor o dwóch daje nam wiadomość: o galeryi Jana Pavioli, i o drugiej, która była własnością Priamiego. Piavioli i Priami byli to mieszczańscy krakowscy, miłośnicy sztuki. Piavioli miał wiele obrazów, które dzisiaj byłyby dla nas malowidłami historycznymi; posiadał np. portrety osób współczesnych, a że żył za Jana Kazimierza, więc się tutaj znalazły portrety Zygmunta III, Władysława IV, królowej Cecylii, hetmana Koniecpolskiego i t. d. że nie tkniem obrazów przedstawiających obce znakomitości. Były tam jeszcze malowidła mitologiczne, obrazy z historyi świętej i religijne, obrazy rodzajowe. I jedną i drugą galeryą, starsi cechu malarskiego jako przysięgli oszacowali szczegółowo;

snaż po śmierci właścicieli na sprzedaż wystawione były. Mamy więc i współczesne malowidła ceny, które nam się wydają niezmiernie niskie w porównaniu do dzisiejszych. Autor zrobił słuszną uwagę, że po kościołach i korytarzach klasztornych znajduje się wiele malowideł, któreby warto przeglądać, bo tam pod nędzną powłoką, pewnie się niejedna perła kryje, pewnoby niejedno nazwisko ztamtąd na wierzch wypłynęło dla dziejów sztuki. Fakta stwierdzają domysł, bo nie szukając długo, postać np. Leczyckiego jest zupełnie nową zdobyczą w dziejach naszej sztuki. Dlatego pan Grabowski daje z siebie przykład i wlicza obrazy stare, jakie są jeszcze za dni naszych w klasztorze Misyonarzy krakowskich. Następnie w osobnym artykule z oderwanych szczegółów składa pan Grabowski słownik malarzy znanych z imienia i nazwiska, których nie ma w Rastawieckim, albo o których błędne są w Słowniku podania. Dowiadujemy się z tego, że Benedykt Pawłowski, który w Kodniu nad Bugiem (w czerwcu 1764) malował Zbawiciela po ubiczowaniu, liczyć się może do najcenniejszych artystów w Polsce i koryfeuszów tworzącej się szkoły narodowej malarstwa, lubo ten jeden tylko znajomy po sobie obraz pozostawił: innych śladów o nim i wiadomości trzeba szukać na Litwie.

Zaiste sporyto zasób znowu do dziejów sztuki polskiej znajdujemy w Skarbnicze. A jeżeli zwrócim uwagę na to: że wiadomości pana Grabowskiego obejmują li tylko Kraków: cóż z tego za wniosek zrobić będzie można o całym kraju? Nie ma wątpliwości, że zabytków swojskiej sztuki w Polsce znajdowało się wiele, niezmiernie wiele. Kto zna już to, co dzisiaj tylko odkryto, godzi mu się tak przynajmniej wnosić z wszelką pewnością. Malarstwem religijnem np. opiekowała się niezawodnie u nas myśl pobożna i świątobliwa narodu. Kto wie jak chętnie panowie nasi stawiali kościoły, jak tracili na ten cel ogromne kapitały, że nawet pojąć tego dzisiaj nie można, jak im włości dziedziczne na to starczyły: ten łatwo wyobrazi sobie, że silić się także musieli na przystroj wewnątrzny kościołów. A było co przystrajać, bo zapewne w żadnym państwie europejskiem nie było tyle świątyń co u nas. Pole to jednak leży w nauce odłogiem. Mamy już szperaczów archeologii kościelnej w naszych stronach; ale na Rusi kijowskiej, Białej, na Litwie i koronnych ziemiach wschodniego obrządku nie widać ich, a szkoda. Ztamtąd dzieje sztuki polskiej doczekają się też pewnie wielkiego kiedyś zasiłku.

W ogóle jednak zdaje się, że bogaci mieszczenie, jak np. krakowscy, lwowscy i t. d., więcej miłowali sztukę jako sztukę, aniżeli panowie. Panowie kościoły ozdabiali i płacili artystom, nietroszcząc się o artyzm; mieszczenie, jak widzimy, tworzyli sobie galerie. Żeby mieć smak w utworach sztuki, potrzeba pewnego ukształcenia smaku, a gdzie go mieli nasi panowie? czyż nie w ciągłych bojach z Tatarami? Zresztą od miłości sztuki

ki odrażał ich przesąd szlachecki: malarz był zawsze w ich oczach rzemieślnikiem i pracował na kawałek chleba pędzlem, więc nie po rycersku, nie szablą. To też w szeregu naszych dawnych malarzy kogoż widzimy?—samiych mieszczan; rzadko tam, bardzo rzadko gdzieś przebija szlacheckie nazwisko. Kilka wyjątków pomiędzy panami nie stanowi reguły; owszem widać, że to wyjątek. Królowie nasi lubili sztukę; Zygmunt III np. był sam artystą, więc nie dziwnego, że ją lubił; Sobieski miał artystyczne wykształcenie, ale któż go rozumiał? Wiadomość o jego szkole wilanowskiej zachował nam w dziełku swoim o ekonomii Haur, nie szlachcic, choć był Polak zabity. Malarz króla ulubiony, Siemiginowski, szlachcic, kryć się musi pod nazwiskiem Eleutera, żeby zgorzsenia w stanie rycerskim nie wywołał. To też kiedy don Livio Odescalchi starał się o koronę polską po śmierci Jana III, a pomiędzy innemi warunkami obiecywał Polakom, że im arcydzieła malarstwa z Włoch sprowadzi; ojcowie nasi głowami na to kiwali, bo co im były, co dla nich miały za wartość, te kuglarskie zamorców sztuki? W Bizardierze, z którego mamy ten szczegół, jest i druga wiadomość: że Mateczyński wojewoda ruski, przyjaciel Jana III, który umarł w bezkrólewiu, posiadał kilka allegorycznych obrazów, przedstawiających ostatnie sceny życia króla, które się potem w spadku razem z całym majątkiem Mateczyńskiego, królewiczom Sobieskim dostały (*).

(*) Dla z bogacenia dziejów malarstwa polskiego, dodamy tutaj od siebie kilka faktów, które nam przy pracy historycznej, ku innym skierowanej celom, przypadkiem się nasnęły. Nie będą to zapewne fakta ważne, objaśniające wiele, rzucające pewne światło na przedmiot; ale jako dopełnienie przydadzą się do kalejdoskopu, w którym każda isierka ma swoje znaczenie i przeznaczenie. I tak.

1) *Mikolaja* malarza królewskiego wspomina Łętowski pod rokiem 1403, w swoim katalogu biskupów krakowskich tom I stron. 321. Może ten sam, co w Rastawieckim tom 2 str. 42.

2) W notach Marcina Matuszewicza (który umarł 1784 r. kasztelanem brzeskim) znaleźliśmy też wiadomość o malarzu *Niemierowskim*; nie wiemy tylko, czy to nazwisko osoby czy miejsca z którego był wzięty; prędzej pierwsze jak ostatnie. O tym malarzu czytamy w cytatach, że pułkownik, młodszy a rodzony brat Marcina, Józef po imieniu, dziedzic Motykał pod Brześciem, sciągnął do siebie Jundziłła podkomorzego grodzieńskiego na sprawę graniczną tychże Motykał od Terebunia, wioski dziedzicznej Szujskiego starosty niżńskiego; za to nasnęczył mu Niemierowskiego, który dotąd pracował u jego brata Marcina Matuszewicza w Rasny i kawał czasu już tam siedział. Dobrze kopiował, malował też i oryginalnie, ale co robił, tego Matuszewicz nie pisze. Ujmując Jundziłła dla siebie pułkownik, artystę nakłonił, żeby jechał z tym panem do dóbr jego, co markotno było bardzo Marciniowi, który chciał artystę jeszcze długo zatrzymać w Rasny, „gdyż tak dobrego malarza i tak tanio malującego” „pisze Matuszewicz, trudno wyszukać.” Było to jakoś pod koniec panowania Augusta III.

3) Malarz *Józef Majer* jest wprawdzie w Rastawieckim z Sierpińskiego, ale nie ma tego, że był malarzem nadwornym króla. Dalej jest, że ozdobił wewnątrz malowidłami ściennymi kościół chełmski Pijarów, ale nie ma, że to było w czerwcu 1758 r., i że kosztem Ma... Wolskiego podsejda chełmskiego.

O innych działach sztuki plastycznej mniej w Skarbniczce jak o malarstwie. Między snycierzami jednak musiał pan Grabowski jeszcze raz zawadzić o Stwosza. To jego ulubiony artysta, jego idée fixe, jak Adryana Krzyżanowskiego Kopernik. Autor nawet stronnym jest dla Stwosza, bo przez cześć dla jego pamięci, nie dotąd nie wzmiankował o jego procesie w Norymberdze, o którym jednak wiedział, i dopiero teraz zmuszony okolicznościami, jak to sam przyznaje, z boleścią serca dotknąć musiał tego

4) O *Siemiginowskim* ma pan Rastawiecki niedostateczne wiadomości; to też niezawodnie było przyczyną, że niepotrzebnie rozbił go na dwie osoby: raz go zwie *Jerzym Eleuterem*, drugi raz a błędnie *Semiginowskim*. Tymczasem wszystkie te trzy nazwiska należały do jednej osoby. Ojciec artysty zapewne za jakieś zabójstwo w dorywczej sąsiedzkiej walce, utracił klejnot szlachecki, bo się naraził na banicję, a rodzina zabitego zajęła mu wieś dziedziczną Siemiginów. Rodzina Siemiginowskich herbu Sas gnieździła się oddawna w województwie ruskiem. Wdowa po banicie, małoletniego syna swojego Janowi III oddała; syn ten wyrósł na artystę i przezwał się Eleuterem. Szczegółów kilka o jego pracach i życiu doczytać się można w dopełnieniach Niesieckiego w tomie X, stronnica 398, a są to wiadomości nieulegające zaprzeczeniu, bo wynotowane z dokumentów familijnych. Rodzina Eleutera dodziśdnia żyje w Galicyi; wyraz „Siemiginowski” nie było zatem żaden przydomek, jak twierdzi pan Rastawiecki, ale nazwisko szlacheckie malarza. Nie od rzeczy będzie może dodać i to, że tegoż samego nazwiska (zapewne i teje samej familii) był Maksymilian Siemiginowski, znany w dziejach bibliografii polskiej. Urodził się roku 1760 na Wołyniu koło Ostroga, a umarł 25 czerwca 1822 na suchoty w Petersburgu. O nim czytać w gazecie literackiej warszawskiej nr. 83 z roku 1822 artykuł Anastasiewicza, a ztąd Lindego w *Historii literatury rossyjskiej* Grecza stronnica 299.

5) *Gennady Konstantynowicz* mnich ruski w Dubnie wymalował obraz *Matki Boskiej*, który potem zastąpił cudami, a który dzisiaj znajduje się w Czerniechowie. (*Dziennik ministerstwa oświecenia narodowego* 1852, sierpień, V str. 72 w Petersburgu. Cudy tego obrazu opisał Dymitr Rostowski w dziele swoim. „Runo oroszennoje”).

6) *Rejtan* był urzędnikiem miejskim w Sandomierzu w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta i później za czasów austriackich. Że był malarzem, pisze F. S. w swoich pamiętnikach drukowanych przed kilką laty. Autor tych pamiętników syn urzędnika mieszkającego podówczas w Sandomierzu, pisał o tem co sam widział. W *Słowniku* pana Rastawieckiego nie ma tego Rejtana.

7) Niezmiernie są ważne listy Ksawerego Branickiego, Niemcewicza starosty rewiatyckiego, które Kraszewski drukiem ogłosił. Otóż są tam szczegóły biograficzne do życiorysu malarza *Bessona* (Athenaem 1851 r. tom 4, stronnica 28, 29, i t. d.) Dobrzeby było wynotować je dla dopełnień, które w tomie III *Słownika* znajdują miejsce.

8) Czytaliśmy także o ojcu *Wenantym* zakonniku malarzu w testamencie marszałka W. K. Wolskiego (umieszczony w P. L. piśmie wychodzącem w Lesznie 1842 roku). Wolski prosi tam Jana z Tęczyna wojewodę krakowskiego, aby ojca Wenantego przywrócił kościołowi Bielunskiemu „dłużej nie zabawiając”. Tęczyński trzymał ojca Wenautego u siebie także dla pobożnej fundacyi i malowideł.

9) W dodatkach do Niesieckiego znajdujemy także Krystyna Gorajskiego herbu Korczak wymienionego, jako opiekuna sztuki malarzkiej za Władysława IV.

10) O *Józefie Prechtlu* czyli *Prestlu* braciszku Trynitarzy w Łucku, umiściliśmy wzmiankę w *Dzienniku Warszawskim* r. 1854, nr. 152.

przedmiotu. Dzięki zabiegom i pracom autora Skarbniczki, dzisiaj już Niemcy nie wątpią, że Stwosz do naszej sztuki należy.

Czy Oktawian Wolcner był Polakiem, na to powiada pan Grabowski „nie ma żadnego dowodu, krom przyznania Niemców.“ Szkoda, że o tém sąsiedzi nasi nie wiedzieli; byliby nam pewno tego człowieka wydarli; dziś pobijem ich własną ich bronią. Pierwszym budowniczym polskim, z polskiem nazwiskiem, był Waclaw z Tęczyna, doradca w budownictwie Kazimierza W. Nie znaczy to, żeby przed Waclawem nie było naszych architektów, ale on pierwszy jest osobą historyczną.

Część trzecią Skarbniczki zajmują artykuły o różnych kunsztach i rzemiosłach w Krakowie. Tutaj mowa o rytownikach, złotnikach, giserach i t. d.

Część czwartą, która musi być przy każdym dziele p. Grabowskiego, zajmują „Wspomnienia z ubiegłych czasów: różne szczegóły odnoszące się do naszej przeszłości.“ Szczegóły tutaj mogą być ciekawe o tém, jak Władysław Jagiełło i panowie zaciągali długi u mieszczan krakowskich, jak odbywali wjazdy do stolicy, jak miasto zawsze ich witało i zdobywało się na podarunki. Autor wypisuje z akt wszystko, co się odnosi do wydatków miasta, podejmowanych na takie uroczystości; tak jak Wejnert wypisał z akt warszawskich wydatki miasta na wesele królewicza Jakóba Sobieskiego i t. d. Mamy tutaj szereg witań urzędowych na cześć Walezego, Batorego, Zygmunta III. Kilka razy witał też Kraków to królownę, to już królowę Annę Jagiellonkę. Szczegóły te domowe, gospodarskie, miłe będą dla dziejów wewnętrznych uczuciowych narodu. Krakowianie tam nie sadzili się na bramy tryumfalne, (lubo wystawili łuk w roku 1592 na wesele Zygmunta z Rakuszanką, a poprzednio przed kilką laty na wjazd pożądanego króla i bramę), i zawsze z małym kosztem robiły serdeczne przyjęcia. Kiedy np. Anna Jagiellonka ostatni raz do Krakowa przyjechała (w lipcu 1595), Kraków na całą paradę skupował wprawdzie kapłony i kurczęta, ale tylko 2 indyki, ale tylko jedną kopę pomarańcz, ale tylko 7 funtów lodowatych cukrów i t. d.

Czy pamięć królowej Anny Jagiellonki miłuje tak bardzo autor, czy też w poszukiwaniach mozolnych, zupełnie przypadkiem nastrecza się mu tyle razy pod pióro ta piękna postać ostatniej z królowych, które miały szczególniejszą miłość narodu: wie to sam pan Grabowski; to jednakże pewna, że wiele szczegółów w życiu Anny autor Skarbniczki odsłonił, i że w każdej jego książce zawsze się coś znajdzie o Annie jak i o Stwoszu. Krom witań, czytamy tutaj jęj dwa listy z roku 1573 i 1580: jeden do Hozyusza w sprawie summ neapolitańskich, drugi do rajców krakowskich, ujmujący się za kupcami warszawskimi.

Dla historyi Krakowa ważne będą artykuły o śladach dwukrotnego na miasto napadu Szwedów. Pan Grabowski przedstawia nam osobno ruinę przedmieść Krakowa po rok 1655, a osobno re-

lacye z dziennika posiedzeń rajców z roku 1702 i następnych, z których widać: „Kraków w utrapieniu.“ Kraje się serce, kiedy się wspomni na los biednych miast polskich. Wiecznie się komus opłacać musiały: w czasie pokoju starostom i wysokim dygnitarzom rzeczypospolitej, a w czasach zaburzeń i wojen, swoim i obcym. Kraków choć stolica kraju, chociaż mieszczanie jego rachowali się za szlachtę, był w gorszym od innych miast położeniu, dla tego, że był kiedyś przed latami stolicą Jagiellonów. Zawsze ktoś do niego przyjechał, zawsze powitać kogoś było potrzeba z niepróżnemi rękami, kasztelana, wojewodę lub starostę, hetmana lub marszałka i t. d. Czasem panowie sami się przymawiali o podarunek, np. zapraszali miasto w kumy: wtenczas na srebrne i złote naczynia, na drogie kolebki, na bogate upominki sadziło się biedne miasto. Podarunki te weszły w modę od bardzo dawnych czasów, ale kiedyś były skromniejsze i trąciły jakąś familijnością, serdecznością. Składały się z win i z piwa swidnickiego, które musiało być wyborne, kiedy do takich rzeczy służyło. Ale wszystko to nic w porównaniu z czasem wojennym. Nierząd w kraju do szczytu wygasił wstyd publiczny: działy się wtenczas rzeczy, którym wierzyć niepodobna było. Rozdział pomiędzy mieszczaninem a szlachcicem zrobił się większy, szlachta z coraz większą pogardą na staropolskie grody spoglądała. W rzeczypospolitej były więc dwa narody, a jedni drugich uciskali. Nikt z panów i dowódców pojedynczych chorągwi nie przypuszczał, że i mieszczanie są Polakami. Każdy kto chciał nakładał podatki i kontrybucye na miasto, podnosił je albo zniżał według swój woli, a wychodząc z niego, płacić sobie jeszcze kazał, za dobre obchodzenie się z obywatelami. Czasem odegrywały się komedye. Regimentarz jaki, (a iluż ich za czasów drugiej wojny szwedzkiej nie było), udawał że chce zająć miasto; wtenczas Kraków słał do niego w prośby i kończyło się zwykle na układach: regimentarzowi płacono odstępnę, miasto cieszyło się znowu niejakis czas wolnością. Układy odbywały się za pośrednictwem trzeciej osoby: nawet biskupi tutaj rękę maczali. Co większa, sami hetmanowie odgrywali takie komedye; udając niby spólczenie dla miasta, chcieli je zaopatrywać załogą: biedny Kraków wolał zawsze zapłacić za tę przyjaźń, jak posiadać nieproszonych obrońców. Pod tym względem najgorszym był dla Krakowa ostatni z Sieniawskich, hetman. Duże on pieniądze z mieszczan wydusił przez czas swojego piastowania buławy. Oprócz niego i inni. Pan Grabowski w naszej Skarbnicze i w drugich dziełach swoich, wiele szczegółów o tych zdzierstwach przytoczył. W Skarbnicze mianowicie źle z tego względu przedstawiają się przed historykiem Ludwik Pocięj podskarbi, potem hetman litewski, dalej Jakób Zygmunt Rybiński wojewoda chełmiński i pisarz polny wojewoda wołyński Michał Potocki. Potockiego imię pozorem patriotyzmu błyszczało w oddali czasów, a tutaj na jaw brzydkie sceny wychodzą. Toż samo pokutu-

je teraz, choć późno za grzechy swoje, pan Szmigielski, starosta gnieźnieński. Spotykając coraz gęściej podobnie fakta o ludziach, o których sercu miało się dotąd więcej szlachetne wyobrażenie, aż żal się robi; ale do tego wszystkiego zaraz przychodzi uwaga, że w czasie nierządu, takie lupieztwa nieuchodziły już wcale za zdzierstwa: był to już poprostu zwyczaj kraju, zwyczaj szlachty. Nikt się tego zdzierstwa nie rumienił. I jak nie miały miasta polskie zalegać ruinami, kiedy je niszczyli swoi i obcy, a serce ani razu ich nie zabolalo? W krótkim przeciągu czasu, od sierpnia do grudnia 1702, np. Kraków był cztery razy zdarty różnemi kontrybucjami: raz przez Szwedów, drugi raz przez różne partje polskie. Dla włóczących się po kraju partyj, był nawet pewien honor w nakładaniu kontrybucyi na miasta: bo kiedy jeden wziął, czemuż i drugi brać nie miał, alboż on w czém gorszy był od tamtego? Tak np. pisarz polny, w r. 1702 żądał okupnego od Krakowa 1,000 czerwonych złotych, potem spuścił na 500 dukatów, a wreszcie przestał na pięciuset tyrfach. Co mogło dla pana znaczyć owe 500 tyrfów? A upominał się o nie jednak z groźbą. Jak zaś dowcipni bywali czasem regimentarze w sposobach wydurzenia pieniędzy, niech za dowód posłuży następny wyjątek ze Skarbniczki o staroście Grudzińskim (stronnica 138).

„Dnia 19 kwietnia 1709, pisze p. Grabowski, na posiedzeniu rady miasta, pan Andrzej Szafalkowicz rajca, taką zdał relacyą: Bywszy wysłany z panem Kielarowiczem pisarzem miejskim do JW. Grudzińskiego starosty rawskiego, regimentarza wojsk rzeczypospolitej, który był z partyi Stanisława Leszczyńskiego, w Wieliczce powitawszy Imci, upraszaliśmy, aby miasto raczył mieć w protekcyi, nędzny stan jego terazniejszy opowiedziawszy. Deklarował się JW. regimentarz his formalibus: rad będę służył miastu; potem rzekł: co mam potem powiedzieć, zaraz czynię, *okryć trzeba rajtaryą hetmańską*, Lwów okrył królewską... i kazał myśleć o tém. Zrana chodziliśmy do Ichmość jako JP. Chwaliboga, prosząc o interpozycyą. Byliśmy i u pana Benoe pisarza wojskowego, który pieczęć trzyma, i blankiety ma hetmańskie JW. wojewody kijowskiego, hetmana wielkiego koronnego. I z tym była konferencya, na której deklarował: „Musicie przykryć 400 rajtaryi i 200 dragoniej, od kapelusza do ostrogi rachując, czego jest indispensabilis necessitas;“ potem i sam JW. regimentarz to potwierdził, mówiąc: „jeżeli to nie będzie, ja sam tam będę.“ Gdym namienił o powietrzu, że podczas téj zarazy 20,000 ludzi wymarło i o dezolacyi miasta, odpowiedział: „i we Lwowie było powietrze.“ Mówilem potem, że passy do Śląska zamknięte, nie puszczają ludzi polskich, zkądby kapeluszków, pendentów i t. d. dostać? Nazajutrz jeszcze mówiąc: pojedziemy do magistratu to opowiedzieć. Więc tu ma być JP. Benoe pisarz.

„Nie pomogły żadne przedstawienia, nawet podarkiem dwóch antałów wina JP. Grudzińskiemu poparte, przyczém oraz i inni

panowie zapominanemi nie byli. Delegowała i kapituła krakowska z grona swego JX. kanonika Czerwińskiego z przyczynną prośbą za miastem, atoli było vox clamantis in deserto. Przybył jeszcze i sam JW. regimentarz do Krakowa i był przez rajców powitany antałem wina... a przecież już oni dnia 22 kwietnia roku tego uchwalili rozkład potrzebnej na ten ubior wojska kwoty zł. polskich 20,150, tak na miasto, jako i na przedmieścia, wyznaczając do tego z pomiędzy siebie, tudzież ławników oraz kupców i rękodzielników, mężów zaufania, którzyby rozdziałem i zebraniem tych pieniędzy zajęli się.“

Wielka szkoda, że pan Grabowski jest skąpy w udzielaniu takich smutnych a charakterystycznych szczegółów. Więcej one zapewne światła rzucą na losy kraju i upadek Rzeczypospolitej, jak opisy bitew i pochodów Karola XII. Autor mówi: „gruba urosłały księga, gdyby przyszło przywozić wszystkie udręczenia, i wyliczać imiona tych, którzy nieszczęśliwie to miasto nieustannie nekali i obdzierali.“ Dla dobra nauki prosimy o te imiona i fakta pana Grab., z których złożyć się może druga i bardzo ciekawa Skarbniczka.

W dalszych artykułach tej części, czytamy sprawę o kradzież garderoby króla Stefana w Niepołomicach z roku 1581; sprawę o takąż kradzież dokonaną u Anny Jagiellonki; listę burmistrzów krakowskich z lat od 1395 do 1405, (rzecz niezmiernie pożądana, godna naśladowania przez innych), wreszcie przyczynek do historyi familii Wierzyńków, która także wiele winna panu Grabowskiemu, (znajdujemy ich tutaj kilku pomiędzy nazwiskami burmistrzów krakowskich, pomiędzy szlachtą i urzędnikami ziemskimi). Następne urywki o medykach i drukarzach przydadzą się dla doktora Gąsiorowskiego i dla historyka drukarni polskich. Doktorowie jak i drukarze, i jak uważaliśmy już malarze, musieli być u nas koniecznie z klasy niższej i nie mieli zachowania u szlachty, bo pracowali sami na siebie. Byli to w oczach stanu rycerskiego zawsze rzemieślnicy. Ten przesąd narodowy znówu widzimy jak się wyraził w Stanisławie Zawadzkim, którego przodkowie będąc szlachcicami, (takie słowa znalazł p. Grabowski w aktach), stanem swoim pogardzili, „wołąc chleba miejskiego zażywać, niż polewki dworskiej chłystać.“ (Stronnica 151). Dalej w Skarbniczce są wzmianki o kościele Najświętszej Panny archiprezbiterjalnym i o drugim Bożego Ciała; mamy podane ceny rękopismów i ksiąg w dawnych wiekach; urywki o kurku i o zamku królewskim, którego lustracyą z roku 1710 w wyciągach daje nasz autor, i znów następują malarze, i znów mistrzowie kapeli królewskiej.

W piątej części, która także być musi w każdym dziele pana Grabowskiego, mieszczą się „pomniejsze wiadomości w porządku alfabety“, rodzaj małej encyklopedyi, notaty liczne, które miejsca gdzieindziej znaleźć nie mogły. Są tutaj ciekawe kawałki.

Jest np. testament Barbary z Malickich Cezarowej, wdowy po drukarzu Franciszku z roku 1665, godny między innymi tém uwagi: że język polski w nim czysty, chociaż w literaturze skażony już był podówczas. To zaś, co mówi pan Grabowski o Goworku wojewodzie sandomierskim, nam się nie zdaje. Wyczytał autor na jednym przywileju Cystersów z Mogiły z roku 1225 te wyrazy: „agazone filio Govorischii“ a jużci zaraz z tego wniosek: że ten agazo (koniuszy), był synem owego znanego w dziejach przyjaciela Leszkowego. Goworek nie jestto nazwisko, jakby się komu zdawało, tylko imię; zatem idzie, że mogło być w Polsce w roku 1225 wielu Goworków, nie sam jeden wojewoda sandomierski. Jeżeli innych śladów pochodzenia tego agazona od wojewody nie ma, nie było się o co wcale troskać. Jeszcze dziwniej wygląda to, że pan Grabowski plemienników tej historycznej rodziny, upatruje w Krakowie w lat 200 prawie potem, tojest w r. 1395. Zapis pod tym rokiem, że rajcy krakowscy „solverunt Govorconi“ 400 groszy, nie świadczy wcale, żeby ten Goworek był także potomkiem duwnego wojewody; tu znowu imię pan Grabowski bierze za nazwisko. Nazwisk rodowych jeszcze wtedy szlachta nie miała: mamy dowody tego po dyplomatach; piszą się wszyscy tam wojewodowie, kasztelanowie komesami, ale żaden z nich nie dodaje nazwiska wsi dziedzicznej, jak wchodziło już w modę za pierwszych Jagiełłów, np. do imienia Joannes, dodatek de Czarnków, de Tarnów, de Tęczyn, Przeginia i t. d. Tutaj nawiasem wspomnieć należy, że zasłużony archeologii polskiej, Wincenty Hippolit Gawarecki wydał broszurę, w której genealogią spisał swojej rodziny, i że tam rodowód swój prowadził także od tego wojewody Goworka, także bez najmniejszej zasady. Gawareccy idą od Gawarca, jak Tęczynscy od Tęczyna. Nazwisko jest tylko dowodem, że z tej a nie innej pochodzą wsi, że byli jej kiedyś dziedzicami; ale to bynajmniej nie dowód, że mają co wspólnego z Goworkiem. Zresztą co innego Goworek a Gawarzec; Goworek był Sandomierzaninem, a Gawarzec na Mazurach leży. Dzisiaj to nie osobliwość, żeby pan jaki z sandomierskich okolic, miał dobra nietylko w Mazowszu, ale nawet i w Inflantach, bo dziś co innego: wieki dziejów wyrobiły rozległe stosunki, ale wtenczas jeszcze składowe późniejszej części naszej ziemi były oddzielnymi całością. Dynastia jedna tu i tam panowała, ale tu swoi, a tam znowu swoi byli komesami, i związków rodzinnych tak bliskich między rodzinami dwóch prawie oddzielnych państw wtenczas jeszcze być nie mogło, a co wyjątkowe pewnie było, to nie stanowi i nie może stanowić reguły. Dlatego fizyczne niepodobieństwo staje na przeszkodzie, żeby Gawareccy od Goworka Leszkowego pochodzili. Nadto wojewoda był herbu Rawicz, a Gawareccy pieczętują się Nałęczem. Ale zawsze do takich błędnych wniosków prowadzą domysły, li tylko na podobieństwie nazwisk oparte.

W tych drobiazgach mamy jeszcze dowód, że mylnie nasz prawoznawca Jan Kirsztejn nazywany jest Cerazynem: z testamentu to jego widać. Pisze on, że spółczniowie nadali mu tylko z niejakięj okazji nazwisko Cerazyna i żąda: „po synaczkach swoich,“ żeby zwali się Kirszteinami po dziadowsku. Następuje kilka nowych wypisów na dowód, że rodzina Koperników mieszkała w Krakowie za Jagielly i Warneńczyka. Poznajemy tutaj mnicha Cystersa Kopernika i rodzinne jego stosunki. Wypisy te z akt odnoszą się do roku 1424, 1434 i 1438. Nowe to a bardzo ważne dowody dla rodowitości polskiej Kopernika. Ciekawy też jest szczegół o uwięzieniu rajców krakowskich przez króla w roku 1403, za to, że go nie witali przed bramami miasta. Takich urywków pod alfabetem jest w Skarbnicze 48, a każdy z nich ma swoją niezaprzeczoną wartość.

Czy to już naprawdę ostatnie dzieło szanownego weterana archeologii?—nie sądzim. W przedmowie do Skarbniczki on sam pisze o sobie: „W poprzedniem dziele mojem zrobiłem pożegnanie się z piórem; przecież nawykniecie do miłej pracy wzięło górę nad postanowieniem, i zebrawszy siły jeszcze wątłego wzroku, przejrzałem znaczną liczbę ksiąg archiwum krakowskiego.“ Nawykniecie to do miłej pracy jeszcze raz się pewnie w szanownym starcu odezwie, i odezwać się musi, powinno, dla naszej nauki i dla uwieńczenia nową zasługą, zasług tak pocziwego żywota.

26marca, 1854.

Julian Bartoszewicz.

Prace Kommissyi Najwyżej zatwierdzonej przy uniwersytecie ś. Włodzimierza, dla opisania gubernij kijowskiego Naukowego Okręgu. Kijów. 2 tomy, 4ka. 1853 r.

Rok trzeci już upływa od zatwierdzenia przy uniwersytecie św. Włodzimierza kommissyi, złożonej z professorów i innych wielu uczonych, dla opisania rozległych pięciu prowincyj składających okręg naukowy kijowski.

Mniemam, że choć pobieżny przegląd prac tych i celów jakie sobie kommissya ta założyła, a które w planach i programatach przez siebie ułożonych i wydanych rozjaśniła, będzie ciekawym i interesującym dla całej publiczności, a uczonym naszym niejednę wieść z dziedziny nauk przyniesie. Przed laty trzydziestu uniwersytet wileński myślał o podobnych pracach. Jundziłł i Eichwald z Wilna, a Besser i Andrzejowski z Kamieńca, niejednę exkursyą odbyli po Litwie, Wołyniu, Podolu i Bessarabii; prace też tych uczonych naturalistów są i dziś węgielnym kamieniem dalszych poszukiwań: bo choć dzisiejsi badacze wiele nowych rzeczy odkryli, a da-

wniejsze prace w niektórych miejscach poobjaśniali i podopelniali, wszakże zawsze są z wielkiem poważaniem dla tych dopiero wymienionych mężów. Lecz myśl opisywania kraju pod każdym względem, to jest naturalnym, historycznym i statystycznym, w owych czasach dojrzyć nie mogła, i nikt prawie nie pomyślał o tem. Podole miało jednakże księzda Wawrzyńca Marczyńskiego, który napisał statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie gubernii podolskiej, tomów 3, Wilno u Józefa Zawadzkiego, 1822 r. Jestto książka, która w niczem prawie nie odpowiada swemu tytułowi, a jednak mieści notatki ciekawe, na dziś już rzadkie, i opisujący miejscowość musi ją przejrzeć, już choćby dla samych nazwisk. Inne prowincye wydziału wileńskiego nie miały nawet takiego księzda. Lecz wracam do rzeczy.

Celem kommissyi o której mowa, jest opisanie pięciu prowincyj: wołyńskiej, podolskiej, kijowskiej, czernichowskiej i połtawskiej. Ogromna ta przestrzeń kraju zwróciła na się myśl uczonych, a rząd wsparł to piękne i ważne przedsięwzięcie. Wykonane i już drukiem ogłoszone prace, świadczą z jaką gorliwością i zamiłowaniem nauki, uczeni kijowscy rzucili się na to nowe dla nich pole.

Przedewszystkiem zaczniemy od słów pana Bunge, uczonego sekretarza i sprawozdawcy z działań i prac kommissyi. „Przedstawiając niniejsze sprawozdanie, mówi pan Bunge, o działaniach i pracach kommissyi w ciągu dwuletniego jej trwania; koniecznie wypada wspomnieć o celach tej instytucyi dlatego, że sprawozdanie to wykazać powinno stopień współczucia z jakim przyjęta była myśl, która natchnęła to postanowienie, jak niemniej i osiągnięte już rezultaty.

„W pierwszym paragrafie ustawy, nadanej wolą Najwyższą, kommissyi przy uniwersytecie św. Włodzimierza utworzonej, powiedziano: że celem jej jest opisanie kraju składającego okręg naukowy kijowski pod względem statystycznym, przemysłowym, rolniczym i naturalnym: to więc wyjaśnia znaczenie i odrębność tej uczonnej instytucyi. Założona przy uniwersytecie, stanowi jego własność i mieści razem w sobie dwa główne warunki, które są koniecznymi w dopięciu podobnych celów i zamiarów naukowych. Pierwszym jest dobrowolne współpracownictwo uczonych; drugim czynna pomoc tych mieszkańców kraju, którzy są w stanie ocenić postępek nauk i umiejętności. Lecz instytucya ta ma jeszcze inne znaczenie dla uniwersytetu: służy bowiem za wyraz obudzonej dążliwości ku dokładnemu poznaniu własnego kraju, nadto do uzupełnienia i zatwierdzenia wszelkich badań i poszukiwań. Uczony bowiem dzisiejszej chwili, nie przestaje na rezultatach nauki podanych przez kogoś, lecz szuka i sprawdza wszelkie prawdy otaczającej go rzeczywistości, i nie poprzestając na korzyściach, jakie mu nastęrczają zebrane i wiadome już skarby wiedzy, stara się wzbogacać naukę nowemi odkryciami i złączyć jej cele z celami życia bieżącego.

„Lecz aby działalność badacza odpowiadać mogła temu nowo rodzącemu się u nas ruchowi w naukach, koniecznie potrzeba, aby

pole dla dokładnych poszukiwań było przystępne i zupełnie swobodne: aby własności i cele tych prac uczonych mogły rozkryć i na jaw okazać znaczenie swoje, a t \acute{e} m sam \acute{e} m obudzić ku sobie sympaty \acute{a} i czynn \acute{a} pomoc o \acute{s} wieconych mieszka \acute{n} c \acute{o} w.

Ustanowienie kommissyi do opisan \acute{a} kraju rozwi \acute{a} zało to zadanie wzgl \acute{e} dem uniwersytetu: zostaj \acute{a} c bowiem pod wiedz \acute{a} i opiek \acute{a} kuratora, który razem jest rz \acute{a} dc \acute{a} trzech gubernii, u \acute{l} atwia uniwersytetowi tylostronne badanie kraju, w s \acute{r} odku kt \acute{o} rego znajduje si \acute{e} sam uniwersytet. Pracuj \acute{a} c nad statystyk \acute{a} maj \acute{a} otwarte skarby, od tylu lat nagromadzone, czekaj \acute{a} c \acute{e} ce oddawna uczonego pi \acute{o} ra, kt \acute{o} re tyle obiecuj \acute{a} nauce i poznaniu kraju.

„Nakoniec kommissya przyjmuj \acute{a} c na cz \acute{l} onk \acute{o} w osoby niena- leż \acute{a} c \acute{e} do uniwersytetu w charakterze wsp \acute{o} łpracownik \acute{o} w, podała sposobno \acute{s} c \acute{e} pracuj \acute{a} cym naukowo, poznania zbliżka i w rzeczy, \acute{t} e wszystkie przedmioty, kt \acute{o} re s \acute{a} najw \acute{a} żniejszymi w opisywan \acute{e} j miejscowości.

„Jakiekolwiek s \acute{a} rezultata dzi \acute{s} już osi \acute{a} gnięte przez komis- sy \acute{a} w ci \acute{a} gu dwuletniego jej trwania, potrzeba przyznać, że była objawem prawdziwych potrzeb dzisiejszych, a wyrażonym tak w uczonych pracach, jako i w dzia \acute{l} alności ludzi o \acute{s} wieconych.“

Z tych kilku s \acute{l} ów uczonego sekretarza i profesora p. Bunge, można sobie wyobrazić, na jak \acute{a} skal \acute{e} kommissya opisa \acute{w} a swój plan osnuła; i rzeczywi \acute{s} cie, nie było dot \acute{a} d jeszcze instytucji, kt \acute{o} rab \acute{y} szerzej i specyjalniej przedsi \acute{e} brane opisy kraj \acute{o} w i poszukiwania wykonać zamierz \acute{y} ła. Plan ten i ułożone programata, uderzaj \acute{a} swoją jasno \acute{s} c \acute{i} ą i ogromem. Professorowie wypracowawszy og \acute{o} l- ny plan, najstaranniej ułożyli programata; z tych niekt \acute{o} re już zostaly obrobione i kilkanaście wielkich study \acute{o} w drukiem og \acute{l} oszone, kt \acute{o} re niżej wymienimy i wiadomo \acute{s} c \acute{e} o nich podamy. Lecz ze statystyki, etnografii, geografii i historii nie si \acute{e} jeszcze nie ukazało, tylko pan Bunge upewnia, że wiele materyałów i prac już gotowych czekaj \acute{a} ostatecznego przygotowania i og \acute{l} oszenia; prace bowiem wszystkie przez cz \acute{l} onk \acute{o} w podawane, wchodz \acute{a} do w \acute{l} asciwego komitetu redaktorskiego, wyznaczanego z profesor \acute{o} w cz \acute{l} onk \acute{o} w kommissyi, i po rozpatrzeniu należyt \acute{e} m id \acute{a} do druku.

Historya utworzenia i zatwierdzenia t \acute{e} j kommissyi jest nast \acute{e} puj \acute{a} c \acute{a} :

Dwaj professorowie Kesler i Rogowicz ż \acute{a} dali uwolnienia kil- komiesięcznego, w celu udania si \acute{e} na Kaukaz dla poszukiwa \acute{n} nau- ukowych. Uniwersytet to ich ż \acute{a} danie przedstawił \acute{o} wczesnemu kuratorowi generałowi-adjutantowi Bibik \acute{o} w, kt \acute{o} ry przyjął to ż \acute{a} - danie wzgl \acute{e} dnie, lecz zapytał, czy nie byłoby lepiej, iżby professo- rowie uniwersytetu zajęli si \acute{e} op \acute{i} saniem gubernij skł \acute{a} daj \acute{a} cych okr \acute{e} g naukowy kijowski, a razem zaż \acute{a} dał, iżby uniwersytet wygotował sprawozdanie obja \acute{s} niaj \acute{a} c \acute{e} , w jakim s \acute{a} stanie prace opisowe tego kraju. Uniwersytet zaś przedstawił nast \acute{e} puj \acute{a} c \acute{y} raport:

„Natura gubernii kijowskiego okr \acute{e} gu niejednakowo jest zbadan \acute{a} . Najczę \acute{s} ciej bowiem były zwiedzane i opisywane pod

względem historyi naturalnej, trzy prowincye leżące po prawej stronie Dniepru, to jest: wołyńska, podolska i kijowska, a to dla tego, że kraje te oddawna mieściły w sobie wyższe naukowe zakłady.

Gubernie kijowskiego Okręgu pod względem mineralogicznym i geologicznym dość są zbadane; pozostają tylko niektóre szczegóły potrzebujące specjalnych objaśnień. Większe lub mniejsze geologiczne badania znaleźć można w następujących dziełach: Rys botaniczny przez Antoniego Andrzejewskiego; Wilno 1822 r. *Naturgeschichte von Lithauen, Wolhynien und Podolien* von Eduard Eichwald, Wilno 1830 r. *Conchiliologie fossile du plateau de Wolhynie et Podolie* par M. Dubois de Montpereux, Beżin 1831 r. *Polens Paleontologie* von Georg Gottlieb Pusch. Stuttgart 1837 r. *Neues Jahrbuch v. Leonhard*, (artykuł Blide). *The geologie of Russia in Europa and the Ural Mountains* by R. J. Murchison, London. 1845 r. i inne zoologiczne notatki dotyczące się tych prowincyi, umieszczone są w pracach Eichwalda: *Zoologia specialis i Naturhistorische Skizze*. Andrzejewskiego kilka artykułów w *Buletynach Moskiewskiego towarzystwa badaczy natury*, Keslera *Ornitologia rossyjska* (1).

Ten krótki przegląd wykazał, jak daleko posunięte były prace opisowe rzeczonych prowincyj, a razem udowodnił, że nie tylko dawniejsi profesorowie uniwersytetu, a przedtém jeszcze byłego Liceum wołyńskiego, Besser, Zienowicz, i adjunkt Andrzejewski, lecz i dzisiejsi członkowie zgromadzenia uniwersyteckiego, profesorowie Trautfetter, Kessler, Teofilaktów, Rogowicz i ogrodnik Hochhut odbyli wycieczki po kraju niejednokrotne w celach naukowych. W czasie tych wycieczek zebrane zostały piękne i bogate kolekcye z trzech królestw natury, i wiele bardzo ważnych spostrzeżeń dla samej nauki. Gdy uniwersytet przyznał, że opisowe prace otaczających go krajów, pod względem historyi naturalnej i geologii, ciągle są wedle możności gorliwie naprzód posuwane; natenczas ówczesny kurator żądał, iżby i nadal profesorowie wyłącznie się poświęcili uzupełnieniu opisów tych pięciu prowincyj, a bardziej tych, które dotąd bardzo mało jeszcze badano, to jest gubernii za-Dnieprskich, i aby ułożywszy plan stosowny, natychmiast rozpoczęli prace. Professorowie uniwersytetu bez odwołki plan ułożyli.

Ogólny ten plan, w trzech wielkich oddziałach, mineralogii i geologii, botaniki i zoologii, jest pięknie pomyślany i odpowiadający

(1) Pod względem botanicznym, prowincye składające dzisiejszy okręg kijowski, równie posiadały znakomite już prace. Jundziłła *Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu, i Ukrainie dziko rosnących jako i oswojonych*, Wilno 1830 r.; Bessera *Enumeratio plantarum hucusque in Volhynia, Podol. Kijoviens. Bessarabia et circa Odessam collectarum*. Wilno 1822, i *Aperçu de la géographie physique de Volhynie et de Podolie*; Eichwalda: *Naturhistorische Skizze* 1830 Wilna; *Gildenstetter Reisen durch Russland* i bezimiennego autora: *Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicji, w Królestwie Polskiem, na Wołyniu i Podolu*. Lwów 1845.

wymaganiom nauki w całym rozwoju. Każdy bowiem dział wielki rozłącza się na cztery lub pięć wielkich zadań, a te znowu rozpadają się na inne liczne studia, które dopiero całość złożyć będą mogły. Każdy oddział nauk w planie ma: wstęp, systematykę, stosowanie; w mineralogii zaś jeszcze paleontologią, w botanice oddział geograficzny i rysunkowy. Zoologia zaś zawrze pięć oddziałów, to jest: wstęp, systematykę, anatomia, żyćioopisowość, geografiją, w której będąc ze wszystkimi szczegółami wypisane ogólne rozpostarcie się i miejscowy porządek siedzib zwierząt jednej gromady, z wyłożeniem fundamentalnych przyczyn, zależących od klimatu, wegetacy i zewnętrznego ukształtowania się okolicy.

Taki plan, jakkolwiek dobrze obmyślony, będąc wszakże jednostronnym, nie uzupełniał myśli ówczesnego kuratora; w opinii więc swojej oświadczył on, że chociaż opis kraju wedle przedstawionego planu byłby pięknym, wszakże żąda, iżby była statystyka, geografija i historia. Tym sposobem powiększając ramy przedsięwziętych prac, powiększono plan i wydano nowe dopełniające programata. Trzech profesorów: Wernacki, Pawłow, i Stawrowski przedstawili dwa oddziały dodatkowego planu: I. opisania geograficznego i statystycznego, II. historycznego.

W pierwszym oddziale zamknęli sześć głównych kategorii, i program siedmdziesięciu zadań, mających dopiero złożyć całość. Sześć tych głównych kategorii są: topografia, a w niej topografia ziemi, astronomiczne oznaczenie miejscowości, wzniesienie nad poziom morza, stosunki i miara nachylania się ziemi ku słońcu, wymiar powierzchni, to jest obliczenie wszelkich wysokości i wklęsłości, geologiczne oznaczenie pokładów, skład ziemi czyli gruntów i ich rozległość, topografia wodna i klimat.

Oddział historyczny niemniej ciekawy: I. Zbiór wiadomości. a) Zebranie wiadomości o czysto przedmiotowych pomnikach architektury, malarstwa, snycerstwa i rzeźbiarstwa. b) Badania zabytków obyczajowych. II. Historyczne badania wewnętrznego życia ludu: a) ze strony prawnej, w stosunku do prawa cywilnego, karnego i ustaw państwa, nakoniec pod każdym względem prawnym, a tych autor wylicza jeszcze kilka; zresztą jeszcze wiele innych zadań trudnych, z których nie wiem jak się wywiążą ci, którym przyjdzie je opracowywać; w każdym razie jeśli zechcą opierać się na pisanych źródłach, będą musieli przewertować wiele ksiąg polskich: co im ułatwi pyszna biblioteka podręka i archiwa. Następują dalej plany z gospodarstwa i techniki. Po tych wszystkich przygotowawczych pracach, kommissya złożyła się i Najwyżej zatwierdzoną została. Po takowem zatwierdzeniu przystąpiwszy do czynności, co do członków składających komitet następnie się organizowała; prezesem wyznaczony wice-kurator, rzeczywisty Radca Stanu Józefowicz, wice-prezesem rektor uniwersytetu uczony Trautfeter. Sekretarzem odznaczający się pracami statystycznymi Żurawski. Pierwszém zajęciem się kommissyi po uorganizowaniu się był układ i rozdział badań i przedmiotów, które się rozdzieliły na

stępnie: I. Oddział geograficzny: w tym geografia matematyczna i fizyczna. II. Oddział nauk przyrodzonych: mineralogia, geologia, botanika, zoologia. III. Przemysł, gospodarstwo, technika. IV. Statystyka.

W pierwszym roku towarzystwo to liczyło czynnych członków 39, honorowych 60, współpracowników 13; lecz w roku 1853 liczba członków czynnych doszła do 67, honorowych 71, współpracowników 22.

W 1853 roku zaszły niektóre zmiany w składzie komisyy; między innymi sekretarz Żurawski, z powodu zdrowia usunął się, a miejsce jego zajął uczoney Bunge, razem i redaktor wydziału statystycznego.

W długim spisie członków tej uczonéj komisyy, czytamy nazwiska: M. Grabowskiego, Zienowicza, hr. Komorowskiego, hr. Jerzego Mniszcha, hr. Rzewuskiego, Rulikowskiego. Między współpracownikami umieszczeni są: pp. Belke, Manikowski, Regulscy i t. d.

W tym krótkim przeglądzie nie podajemy wszystkich ciekawych szczegółów, umieszczonych tak w sprawozdaniu p. Bunge, jako i w dwóch tomach wydanych prac; zwracamy tylko uwagę na najważniejsze rzeczy, aby nie wdając się w szerokie opowiadania, można było przecież wykazać cel i dążenie tej instytucyi: dlatego zwrócimy się do dania niektórych objaśnień co do wykonanych już przez komisyy prac i wykonać się jeszcze mających, i już do ogłoszenia drukiem gotowych. W sprawozdaniu p. Bunge wymienione są wszystkie wycieczki po kraju dokonane przez uczonych profesorów i naturalistów: Trautfefera, Keslera, Rogowicza i Teofilaktowa, a oraz obserwatora astronomicznego przy uniwersytecie Połuchtowicza i dwóch studentów, dla oznaczenia geograficznego miejsc rozmaitych, dotąd dobrze nie oznaczonych.

Z ciekawości zoologicznych, które zebrał pan Kesler, podajemy następujące.

Bobaki (*Arctomys bobac*. Pall.) nie znajdują się w takiej liczbie w pięciu opisywanych prowincjach, jak to inni badacze opowiadają. Pan Kesler robi uwagę, że zwierzątka te ustąpiły dla dwóch przyczyn: już dobrowolnie, już dla ciągle wzrastającej ludności; przynajmniej wedle jego poszukiwań, bobaków nie ma ani w południowej części Podola, ani w kijowskiej i czernihowskiej guberniach; w połtawskiej w jednym tylko powiecie istnieją i tam innóstwo widział tych zwierzątek p. Kesler.

Susłów znalazł dwa gatunki, a nie jeden: to jest susła centkowatego (*Spermophilus guttatus*) i susła grajka (*Sperm. Menetr.*); ten ostatni zupełnie szary. Oba te gatunki w niektórych miejscach mieszkają bardzo gromadnie, nawet ze szkodą pól i ogrodów, z tą tylko różnicą, że gdzie mieszka pierwszy gatunek, drugiego wcale nie ma, i wzajemnie.

Susłowi grajkowi chociaż przeznaczają za ojczyznę Kaukaz i brzegi Donu koło Rostowa, przecież on zajmuje całą południową okolicę półtawskiej gubernii.

W półtawskiej gubernii w dwóch powiatach: chorolskim i konstantynogradzkim, znalazł tak zwane zajączki ziemne, w dwóch gatunkach: *Dipus jaculus* i *Dipus vexillarius*. Ostatni okaz znaleziony był tylko na stepach między morzami Kaspijskim i Aralskim, a akademik Brandt twierdzi, że *Dipus vexillarius* jest tylko odmianą pierwszego.

W czernihowskiej gubernii znalazł p. Kessler małą mysz, *Mus betulinus*, Pall. którą dotąd tylko w Syberji znajdowano; a jedyny okaz tego zwierzątka, ile mu wiadomo, znajduje się tylko w muzeum akademii nauk w Petersburgu.

W Humaniu, w podziemnym kanale Cesarskiego ogrodu (niegdys Zofiówki), znalazł kilka okazów nietoperza, należących do gatunku *Vespertilio daubentoni*, Leisl. Gatunek ten kiedyś był znaleziony przez Nordmana nad Dunajem, a raczej przy ujściu.

Na Podolu, w powiecie bałtским, znalazł p. Kessler niektóre ptaki, należące do najrzadszych i to południowych tylko gatunków europejskich, jakoto: *Vultur fulvus*, sęp szary; *Falco cenchris*, Naum., sokoł czerwony; i *Aquila pennata*, orzeł karlik. Pierwsze dwa gatunki mieszczą się na skałach dnistrzańskich, a ostatni w ślicznych dębowych zaroślach w okolicach Bałty. Dotąd więc nikt nie odszukał tych białych orłów, które się, wedle świadectw wszystkich mieszkańców nad-dnistrzańskich, na tych skałach gnieźdzą.

W lasach przyległych kijowskiej i półtawskiej gubernii, gnieździ się dość rozmnożona piękna mucholówka, *Muscicapa parva*; dotąd piękny ten ptaszek znany był w niektórych okolicach Węgier i południowych Niemiec, a znajduje się także w botanicznym ogrodzie odeskim.

P. Kessler zrobił wiele dziwnie ciekawych spostrzeżeń, przypatrując się obyczajom, życiu i organizacyi tarantuli tutejszej, *Lycosa sangarensis*; powiada więc, że pajak ten znajduje się jeszcze pod $51\frac{1}{2}^{\circ}$ szerokości północnej; że zarówno jak tarantula hiszpańska, jest ściganą od wielkiego owadu z rodzaju *Calicurgus*, który ukąszeniem odrętwia tarantulę, a złożywszy swe jaja pod jej skórę, zakopuje w ziemię; i że tarantula buduje bardzo sztuczne schody czyli rodzaj wzniesienia nad swą norą, iżby w czasie powodzi ocalić się mogła. Zresztą przygotował całą monografią o tym pajaku, tak w naszych prowincjach licznie rozrodzonym.

Znalazł także na Podolu jadowitą skolopendrę wielką (*Scolopendra cingulata*), która, będąc mieszkanką najcieplejszych okolic, zwykle ze skorpionem wycieczki odhywa, i jest jego nierozłączną towarzyszką.

Professor Rogowicz w ekursjach swoich zebrał z wielką starannością i umiejętnością mnóstwo najrzadszych roślin, i prace swoje już drukiem ogłosił.

Professor Teofilaktow zbadał wszystkie krystaliczne pokłady i formacje kijowskiej gubernii od prawego brzegu Dniepru, oznaczwszy ich stosunek do pokładów i formacji osadowych. Mówi więc, że gubernią kijowską pod względem geologicznym na dwa okręgi rozdzielić można: jeden, większy, składa się z formacji krystalicznych; a drugi, mniejszy, z osadowych rozmaitej dawności. Jeden i drugi przykryte są bardzo wielkim gliniasto-piaszczystym zanosem, i dlatego skryta jest granica tych dwóch różnych od siebie okręgów. Nakoniec, dalsze postrzeżenia okazują, że granicą tych okręgów uznać można linię idącą przez Penzewicze, Bogusław, Korsuń, Horodyszcze i Kamionkę. Dlatego, mówi dalej, na mappie Murchisona, wschodnią granicę krystalicznych formacji trzeba posunąć daleko wyżej na wschód. Okręg krystaliczny ku północy, zachodowi i południu, łączy się z podobnemi okręgami gubernii mińskiej, wołyńskiej, podolskiej i chersońskiej. Okręg zaś osadowy przylega do Dniepru.

W drugim znowu miejscu, spotykamy tegoż samego profesora bardzo zajmujące studia geologiczne nad Dniestrem. Wyjechawszy czółnem ze Żwańca koło Kamieńca, przejechał czterysta wiorst aż do Kamionki. Mówi więc: „Dolina dniestrzańska, na przestrzemi od Żwańca do Kamionki, ma kształt zlanego osadu, który zalega rozmaicie od 1—3 wiorst. Ściany téj doliny najeżone są skałami, jużto nago i urwisto wiszącymi, już rozłożonemi i porośłemi. Wysokość szczytów, któremi jest dolina otoczona, stosunkowo prawie wszędzie jednaka. Stosunek skalisto-górzystego brzegu z łąkowym, stanowi uderzające zjawisko, a zależy na tém, że górzysty kolejno jest przepleciony łąkowym, a przechód z jednego w drugi formuje się stopniowo ukazywaniem się przy skałach wąskiego zielonego paska, który się rozszerza, potem znowu zwęża, i chowa się pod olbrzymie skały, co nowy skalny brzeg rozpoczynają, a to tak: że wysokość dwóch następných brzegów kamienných, łączy się mniej lub więcej oddalonymi od Dniestru, i łukiem ciągnących się wierzchołków, a górzyste brzegi w samej ścianie doliny, formują jakby kąty ostre. Podobny układ charakteryzuje obie strony doliny, i bezustannie się powtarza, z tą różnicą, że górzyste brzegi jednej ściany odpowiadają brzegom łąkowym drugiej, i wzajemnie, i tylko bardzo rzadko obie ściany są skaliste, stromo lub zlekka rozłożone i mehem porośłe. Dniestr płynąc ciągle kręto, oplókuje stopy skał, kolejno prawej lub lewej strony.

Ściany doliny dniestrzańskiej przedstawiają dwa tarasy, z których niższy wydatnie się odróżnia, i znajduje się nad pokładami formacji przechodowej, a wyższy nad pokładami krédowemi czyli niższymi członkami trzeciorzędnej formacji. Pokłady przechodowe formują urwiste bardzo ściany, innych zaś dwóch formacji są mniej więcej rozłożyste.

Z lewej strony dniestrzańskiej doliny widać mnóstwo bocznych dolin i jarów; w niektórych płyną dość znaczne strumienie i rzeczółki. Zbadawszy kształt dolin i jarów, p. Teofilaktow przy-

pisuje im jednaki sposób formowania się: wynikły z ciągłego powiększania się, które się rozpoczęło od ścian samych, i stopniowo szło aż ku dzisiejszym wierzchowinom. Wielkość, a równie i początek każdego jaru dniestrowego, pochodzi jedynie od różnorodnej grubości pokładów rozmaitej formacyi, przepłatających się z sobą. Gdy się ściany rozwarły, to rozwarcie powiększając się na przestrzeni rozmaitej, odkrywa mnóstwo źródeł, a zład wyrasta rzeczka; dlatego ostatni punkt jaru i doliny, znajdujący się w samej ścianie Dniestru, jest samym początkiem i jaru i rzeczki, czyli, jest koniecznym punktem nastąpnego sformowania się tych obu. Ze zniszczeniem lub wznowieniem koniecznych warunków do dalszego powiększania się doliny lub jaru potrzebnych, niszczy się lub wznawia następnie wsteczny ruch obydwóch. Stosując to twierdzenie do samej rzeki płynącej doliną, znajdziemy, że dzisiejszy jej początek jest ostatnim punktem jej powiększania się, a samo ujście jest właściwie początkiem rozwinięcia się rzeki. Następnie ruch rzeki, przy jej powiększaniu się, był wstecznym; powiększanie się zaś było skutkiem ciągłego odkrywania się źródeł.

Opierając się na tych twierdzeniach, znika konieczność przypuszczania rozmaitych wysokości przy początkowym biegu rzek, skutkiem których rzeka płynie szybko lub zwolna. Różnica bowiem ta może tylko mieć miejsce w pewnych okolicach, lecz nie jest warunkiem koniecznym, gdyż warunki pochyłości, sprzyjające biegowi wód, stosują się do formy łożyska, a nie do początku rzeki.

Wszakże p. Teofilaktow dalekim jest twierdzenie wyżej wyłożone stosować do wszystkich w ogólności łożysk rzecznych; mówi tylko o łożyskach dniestrowych bocznych. Do tych zaś twierdzeń doszedł p. Teofilaktow badaniami nad uformowaniem się łożysk i jarów bocznych Dniepru i Rosi.

W dolinie dniestrzańskiej są granity nagie koło Ożewa, Mohilewa i Jampola; a zatem granity zjawiają się na linii równoległej naszego granitowego skraju, w tym więc kierunku płynie i Dniestr, zaczawszy od Ożewa.—Dalej prowadzi rzecz o formacyi dniestrowych ścian doliny, i szczegółowo objaśnia, a zład twierdzi, że dżwińska formacya powstała tu w jednym czasie.

Z tych wszystkich prac, trudów, ekskursyj i studyów, ułożono dotąd dwa wielkie in 4-to tomy, które na świat wyszły. Tom pierwszy zawiera następujące rozprawy i prace:

Z botaniki: O roślinno-geograficznych okręgach czyli prowincjach europejskiej Rosyi, z mapą; przez rektora uniwersytetu i wice-prezesa kommissy, Trautfettera.

O juraicznych i kredowych pokładach kijowskiej gubernii, przez Teofilaktowa.

O formacyach krystalicznych gubernij: kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej; przez tegoż.

Zwierzęta ssące gubernij okręgu kijowskiego; przez Kesslera.

Ptaki drapieżne, kurowate i wróblowate w trzech rozprawach, przez Kesslera.

Plan statystycznego opisania gubernij kijowskiego okręgu, przez Żurawskiego.

Tom drugi.

Przegląd naturalnych familij wchodzących w skład flory kijowskiego okręgu; przez Trautlettera.

Ptaki brodzące i wodne; przez Kesslera.

Zwierzęta ziemnowodne; tegoż.

O dziko rosnących lekarskich roślinach w poltawskiej gubernii; przez Augustynowicza.

O podziale familij w Małorossyi; przez Tarnowskiego.

Opisanie starożytnych rossyjskich monet w muzeum uniwersyteckiem, które znaleziono w wykopalisku w Nieżynie w r. 1852; przez Wołoszynskiego.

Sprawozdanie przez p. Bunge.

Takie są prace kommissyi ogłoszone drukiem. P. Bunge, sekretarz i sprawozdawca, oświadcza, że wiele innych rozpraw i badań w każdej gałęzi, podług planu wypracowanych, już są gotowe i do druku podane; będziemy więc mieli wkrótce nową seryą, równie ważną, równie piękną i pełną zasług w nauce. Lecz radzibyśmy oglądać przedzej studia statystyczne, przemysłowe i historyczne, gdyż dotąd tylko same plany, programata i zadania wspomniane są. Nie wątpimy wszakże, że się ukażą i wywołają wspomnienia zaszczytne.

Kraj więc nasz zyskał środki ku poznaniu siebie zewnątrz i wewnątrz; zyskał wiele, bo na tej podstawie rozwinąć się może wszystko, i przyspieszyć kroku w oświacie i dążeniu ku zamiłowaniu prac i trudów, ścisły związek z nauką mających. Chodzi tylko o to, abysmy, miasąc współzucie i pomoc tej instytucyi, wspierali ją współpracownictwem i krytyką. Tak poważne i uczone zgromadzenie, tém bardziej nie odrzuci krytycznych wszelkich uwag i spostrzeżeń, ponieważ z natury samej rzeczy powołuje się na światło i doświadczenie mieszkańców tych prowincyj, o które rzecz idzie.

Dnia 4 lutego 1854 r.

J. W.

Roczniki Orzelskiego.—Policja St. Orzechowskiego.

Staraniem i nakładem Tytusa hr. Działyńskiego wyszło znowu kilka bardzo szacownych dzieł w Poznaniu. Pierwszém z nich są Roczniki rodziny Orzelskich, przez Jana Orzelskiego kasztelana rogozeńskiego, starostę kosteńskiego, w r. 1611 spisane w języku łacińskim. Wydawca, posiadając w kurnickiej bibliotece swojej

autograf tych roczników, wydał je ozdobnie i bardzo starannie w wielkiej 4-ce u Ludwika Merzbacha w Poznaniu, 1854 r. Ważniejszą jeszcze publikacją jest: „Stanisława Orzechowskiego policya królestwa polskiego, nakształt Arystotelesowych polityk wypisana, i na świat, dla dobra pospolitego, trzemi księgami wydana.” Znającmy choć cokolwiek literaturę polską, dobrze jest wiadomo, jakie miejsce zabiiera w niej pisarz XVI wieku, Stanisław Oksza Orzechowski. Z licznych dzieł jego, które, z bardzo małym wyjątkiem, wszystkie niemal pisane są w języku łacińskim; Policya niniejsza, piękną i prawdziwie wzorową polszczyzną napisana, ukrywała się aż dotąd w rękopismach. Miał ją w bibliotece swojej wydawca, i o inne tego dzieła rękopisma postarawszy się, i takowe ze swojemi porównawszy, wydał z różnicami tekstu i potrzebnymi objaśnieniami w wielkiej 8-ce. W całym tekście zachowana jest stara, XVI wieku pisownia, dość konsekwentnie przeprowadzona. Między dołączonemi rycinami widzimy na czele litografowany wizerunek Zygmunta Augusta, z podobizną podpisu. Temuto królowi Orzechowski dzieło swe poświęciwszy, mówi do niego między innymi tak:

„Pisałem Najjaśniejszy a miłościwy królu Policyą królestwa Polskiego nakształt sławnych onych i ode wszystkiego świata uwielbionych Arystotelesowych polityk, na troje ksiąg rozdzieloną. W pierwszych księgach pokazuje się we wszystkich członkach swych stan i ciało królestwa polskiego, tak, jako ono od Chrobrego Bolesława króla polskiego, przez wszystkie króle polskie do chwalebnych rąk Waszjej Królewskiej Mości przyszło. We wtórych księgach pokazuje się przyczyna odmiany ciała tego polskiego, za którą przyczyną królestwo polskie ku skończeniu swemu już idzie. Ale do połowicy przyszedłszy ksiąg tych, w których mając wszystko pogotowiu, stanącem musiał, ani dalej postąpić bez rozkazania Waszjej Królewskiej Mości, które gdy będę miał, i w tych wtórych księgach, za pomocą Boską pokaże się jaśnie téj odmiany królestwa polskiego przyczyna. I trzecie téż księgi téjże Policyej, za rozkazaniem Waszjej Królewskiej Mości, koniecznie się wyprawia.”

Pierwsza księga obejmuje rozdziałów 31. W drugiej księdze, jak ją dziś mamy, jest tylko 11 rozdziałów, a w końcu ostatniego następuje „ku bojaźliwemu czytelnikowi” domówienie autora:

„Nie wątpię, czytelniku miły, iż po przeczytaniu części pierwszej téj Policyej, żadościw czekasz odemnie ostatka, w którym znacznie się pokazuje zaćmienie słońca onego, które nam przedtém w Polsce świeciło; które, iż się wszystko zaćmiło, w okrutnych a prawie w egipcyjskich ciemnościach, my Polacy dziś żywiemy, i w nich zginiemy, jeśliże Pan Bóg nad nami się nie zlituje. Ale iż prawda ludziom u nas w Polsce przykra jest, a kacerska nieprawda silno się u nas wzmocniła: ustąpić na ten czas muszę czasom enocie nieprzyjaźliwym, czekając rozkazania urzędu wyższego. Za którym, nic nie mieszkając, wydam ku czytaniu tobie to, com przy sobie doma zadzierzał. A wszakoż, jeśliże ostatka tobie téj

Policyej, czasom folgując, nie wydaj; wiedz o tém, iż to po śmierci mojej doma u mnie, w Żurowicach, w przemyskiej ziemi znajdziesz, i to czytać będziesz, czegoć teraz, za żywota swego, grzbiętowi swemu folgując, nie posyłam. A z tém bądź na mnie łaskaw, a to wdzięcznie odemnie przymi, coć na ten czas ku twemu dobremu dodam.—Dań z Żurowic, w ojczystej wiosce mojej, 15 die aprilis, lata Bożego 1566."

Dzieło to, zalecające się w wysokiń stopniu powagą przedmiotu swego i pięknym, potoczystym, a jasnym wykładem, który poniekąd za wzór dzisiejszym naszym filozofom służyć może; co do swoich dążności błędne jest i nijakie. Orzechowski, który niedawno od duchowieństwa polskiego postraszony, do królewskiej Zygmunta Augusta władzy uciekał się, dowodzi teraz temuż Zygmunutowi w swojej Policyi, iż on, jako król, nie jest w Polsce najstarszym, ale starszy od niego jest arcybiskup gnieźnieński, a jeszcze starszy jest papież. Czytając tę książkę, nie można odmówić trafności zdaniu jednego z bardzo światłych i zasłużonych naszych rodaków, który powiedział: „Teorya Orzechowskiego podobna do japońskiej: pokazuje mimo woli autora, do jakiego absurdu może doprowadzić teokratyczna dążność nibyto pokutujących grzeszników."

Takąto teoryą w książce swój, Zygmunutowi Augustowi poświęconej, wyłożywszy, gdy przyszło do jej zastosowania (które w księdze drugiej i trzeciej następowało, i gdzie, jak to już w początku drugiej widać, z całą zaciętością na różnowierców po wstawał); wstrzymał się Orzechowski z publikacją tej części, i chciał, aby go pierwój sam król upoważnił do jej publikowania swoim rozkazem: czego, jak widzimy, rozsądny i wyższe pojęcie o celach społeczności mający Zygmunt, uczynić nie chciał. Urywa się więc w owych rękopismach na jedenastym rozdziale księgi drugiej to dzieło, a czy dalsze półtorzej księgi Policyi, niegdyś w Żurowicach u autora przechowywane, znajduje się gdzie jeszcze? — nie wiemy.

ROZMAITOSCI.

Myśli i wrażenia z wystawy Cesarskiej Akademii sztuk pięknych w Petersburgu.

„Poczucie piękna, tylko wzniosłych dusz jest udziałem

(Zukowski).

Nieraz zadawałem sobie pytanie, na które trudno mi było znaleźć zadowalniającej odpowiedzi: dlaczego u nas tak niewiele dotąd piszą o sztuce i artystach? Powiadają że piszą niewiele; lecz wyrażenie to zbyt jest nawet pochlebne: gdyż możnaby rzec śmiało, że prawie nic nie piszą. Czyż posiadamy naprzykład życiorysy celniejszych naszych artystów, jak Ugriumowa i Jegorowa, założycieli szkoły naszego historycznego malarstwa, lub ich utalentowanych uczniów, Kiprienskiego, Briulowa? Czy opisano i rozpowszechniono wiadomości o ich utworach? Cóż dotąd wiemy o Martosie, Galbercie lub Orłowskim (1)? Czyż kto ocenił gmachy, wystawione przez Kokorinę, Woronichina, Stasowa i tylu innych? Czy nawet znamy z nazwiska ludzi, z których nam prawdziwa urasta chluba? Zapytajcie mieszkańców Petersburga: kto stawiał sobory kazański, troicki, włodzimierski? Czyjego są pędzla mistrzowskie tych świątyni obrazy? Kto wystawił gmach akademii sztuk pięknych, giełdy, admiralicyi? Dziewięć dziesiątych towarzystwa mającego pretensyą do wyższego kształcenia, odpowie ci, nie rumieniąc się, że tego nie wie. Lecz za to doskonale pamiętają opery Mozarta, Belliniego, Rossiniego, Donizetiego, Betnovena; wiedzą kto robił plany na Louvre i Tuilleries. I czémże się to tak dzieje? Czy to nie obojętność ku rodzinnym talentom, i, co z przykrością przychodzi wyznać, ku ojczystemu postępowi? Odpycham tę myśl od siebie, zbyt bowiem obraża godność narodową. Myślę raczej, że... Ale dajmy pokój, niechaj na to każdy co chce powie. Bądź co bądź, zamilczanie o współczesnym postępie w dziedzinie sztuki, zdaje się bardzo niestosowném. Dla tejtó i dla wielu innych

(1) W pismach polskich znaleźć można obszerniejszą o nim wiadomość. Drukujący się obecnie zeszyt „Pamiętnika sztuk pięknych,” zawiera kilka ważnych w tym względzie materyałów. (Przyp. tłum.).

przyczyn, znów biorę pióro w rękę, aby się z czytelnikami podzielić wrażeniami, jakie z wystawy akademickiej wyniosłem.

Nie jestem znawcą, ani też artystą; nie śmiem i nie mogę sądzić obrazu z pierwszego rzutu oka, a tém bardziej ocenić dwieście z górą artystycznych utworów: i dlatego czekałem dość długo, ażali mnie kto, bardziej w tej mierze kompetentny, nie wyreczy. Lecz czekałem napróżno; przeto zechcicie darować i opóźnieniu się mojemu i niedoskonałości sądu. Może się znajdzie niejedyn, co sobie w duchu przynajmniej powie: „A co nam do twoich myśli i do twoich wrażeń? Lepiejbyś uczynił, opisując bez wyjątku wszystko, coś widział na tej wystawie.” I słusznémby może było poniekąd podobne żądanie; ale wiercie mi, proszę, że stokroć łatwiej chcieć, aniżeli spełnić. Podobny szczegółowy opis, utworzyłby dość sporą książkę; a gdybym jeszcze to wszystko suchym, urzędowym opisał stylem: znużyłbym tylko czytelnika, nie dawszy mu poznać prawdziwych sztuki utworów. Potrzebaby nadto do tego sił, śmiałości i czasu podostatkiem: czyli mówiąc krótko i węzłowato, każdy to czyni, co może, a nie to, co się innym przywidzi. Co do mnie, starałem się głównie zwrócić uwagę powszechną na prace uczniów akademii, będące najlepszym dowodem naszego postępu w sztuce. Pierwsze miejsce i główna wdzięczność należy się tu od miłośników sztuki professorowi Markow: albowiem obrazy jego uczniów, tak pod względem liczby, jakotéż i wykonania, stanowiły jedną z piękniejszych ozdób wystawy. Przemilczając o dziełach tych, którzy tu już w charakterze mistrzów i akademików występują, zwrócimy jedynie uwagę na obecnych jego uczniów, których liczba tak wielka, iż w jednej sali możesz napotkać po kilka ich obrazów. Tak naprzykład w drugiej sali starożytnéj, gdzie zwykle bywają wywieszane obrazy historyczne, na zadany temat malowane, z jedénastu przypada ośm na uczniów p. Markowa. Bardzo słusnie, iż się przy tej sposobności spytacie o rodzaj ich wykonania; ale fakt sam będzie tym razem wymowniejszym od wyrazów: akademia uwieńczyła większą ich część złotemi medalami i akademickimi stopniami, odwiedzający zaś licznie wystawę, głosnemi pochwałami i silném współczuciem obdarzyli.

Idziemy porządkiem; oto obraz pierwszy: Śmierć Hektora, wykonany na zadany temat przez p. Ilińskiego, który w roku zeszłym dał nam się poznać z pięknej etudy z natury, oraz dwóch kobięcych portretów, odznaczających się wielką poprawnością rysunku. Jeżeli spoglądać będziemy bezwzględnie na rzeczony obraz, nie uważając, kto go, kiedy i w jakim celu malował: to bezwątpienia znajdziemy w nim wiele wad i niedokładności. Nie rozumiem naprzykład, dlaczego dano mu nazwę: Śmierć Hektora? Nie-równie właściwiej byłoby go nazwać Opłakiwaniem Hektora, albo téż Płaczem Andromaki za Hektorem. Drugą wadą mocno bijącą w oczy jest brak pełności w obrazie: zabyty Hektor leży na śmiertelném łożu, a przy nim Andromaka tylko, więcéj nikt a nikt: jak gdyby nie miał ani krewnych, ani przyjaciół,

krom żony, ten filar ojezyny, najmilszy syn licznej rodziny, zapomniany i porzucony od wszystkich. Dlaczegoż stary Pryam unizył się przed zabójcą ukochanego syna? To nie tak było: Hektora wszyscy płakali. Dalej: Andromaka blondyna, bardziej na Angielkę zakrawa, jak na córę nadobną Małej Azji. Wyobrażenie Hektora, zgodnie z wymaganiami pseudo-klassycznej szkoły, która w sztuce nie dozwalała czynić obrażeń rażących zmysły, byłoby dobrém; sprzeciwia się jednak dzisiejszemu zwyczajowi, grzeszy bowiem pod względem prawdy historycznej. Czyny i śmierć Hektora znane nam są z Iliady; Iliada zaś opiewa, że zabity przez zapamiętałego Achillesa, i do jego wozu przywiązany Hektor, był wleczony po rozległym polu bitwy, i w ten sposób został przyciągniony do namiotu swego szybkonogiego zabójcy: tém samém więc ciało jego nie mogło pozostać bez uszkodzeń, tak jak je właśnie odmalował p. Iliński. Następnie, w Iliadzie powiedziano, że Achilles zadał mu w szyję ciężką ranę włócznią, że wielu Greków, dziwiąc się olbrzymiej budowie ciała Hektora, powalonego o ziemię, zmarłego już, dzidami swemi kluli; że dziki mściciel śmierci Patrokla, przez lądki jego rzemienie przeciągnął, aby niemi martwe ciało do wozu przywiązać; że piasek z kurzawą zapadłszy na krew, spiękły się na ranach! Artysta, nie obrażając piękności ciała ulubieńca Feba i Afrodyty, winien był oddać to wszystko w swym obrazie; a bynajmniej nie rażąc przez to zmysłów, byłby mu więcej prawdy przydał. Możliwy tu jeszcze i tę uczynić uwagę, że twarz Hektora poległego w tak dalece zapalczywój bitwie, że aż się nią mieszkańcy górnego obruszyli Olimpu: nie mogła zachować spokojności, która się na obrazie maluje; powinny się na niej wyipiętnować wszystkie gwałtowne uczucia, niewątpliwie miotające bohaterem w chwili śmierci. Jeśli znów patrząc będziemy na ten obraz jako na utwór ucznia, mającego jeszcze przed sobą całe lata pracy: odmienny o nim sąd wydamy. Znać tu, że Hektor już martwy, a ciało jego niepomierną musiało być obdarzone siłą. Śmierć przebija tu we wszystkiém: tak w kolorze skóry, jako i w zdrewniałych członkach; lzy Andromaki tak są szczére, ona sama na duchu tak upadła, tak bez nadziei strapiona, iż na jój widok żal cię za serce chwyta—zapłakać nawet gotów jesteś.

Na podobny temat wykonany obraz przez pana Pleszanowa (ucznia profesora Bruni), daleko znów pełniejszy od poprzedzającego; oprócz Andromaki, przedstawieni są: stary Pryam, Hekuba i Astyanax. Postawa Pryama i wyraz jego twarzy, wyborne; ta figura udała się najlepiej z całego obrazu. Starzec stoi oparty o wezgłowie łoża, wyteżywszy wzrok tęskny na martwe ciało syna; nie jestto jednak owa płomienna bolesć, wyrażona na twarzy młodej i nieszczęśliwej wdowy: to raczej myśl smętna, co się do głowy tłoczy, na wspomnienie, że ta śmierć nieszczęść całego królestwa jest zwiastunką. Andromakę mogliśmy posądzić o niestosowność ubioru: w tak okropnej chwili zbyt nam się staranném zdaje jój odzienie. Naprzykład wcale tu nie na swoim miejscu dyadem

i inne ozdoby z drogich kamieni. Najgorszym jednak jest sam Hektor; wygląda jakoś bardzo niepozornie: cienia tu nawet niema jego wielkiego wzrostu i dzielnej postawy, a zresztą mało na nim znać śmiertelności.

Ucieczka Przenajświętszej Rodziny do Egiptu, służy nam za dowód, że p. Wejdemann z korzyścią ukończył ubiegły rok akademicki. Jakże ogromna zachodzi różnica między tym obrazem, a znajdującym się na zeszlorocznej wystawie ś. Janem, opowiadającym słowo Boże na pustyni. Trudno wymagać od młodzieńca, aby malowane przezeń twarze Zbawiciela lub Matki Boskiej były bez zarzutu; jest to trudność, o którą się i talent doświadczonych nawet rozbijał artystów; całkiem atoli zganić málowidło p. Wejdemanna trudno. Postawa Matki Zbawiciela ma w sobie dość godności i świętości, ale brak w niej owęj siły, cechującej ważność Jój posłannictwa: tu ona tylko Matką Boga-człowieka. W twarzyczce Boskiego niemowlęcia znać jakąś zwykłą ludzką tylko przenikliwość, ale nie owę nadprzyrodzoną potęgę, przed którą pierzchałi dzicy synowie pustyni, nawykli do łupieztwa. Zbyt trudnóm było dla młodego jeszcze artysty wywiązać się w zupełności z tego pięknego zadania. Doskonale on uwydatnił jednę jego stronę: strach, przerażenie i ucieczkę ludzi, którym przedtém strach był obcy, gdyż oni sami są straszniemi. Patrząc na grupę uciekających rozbójników, poznajesz, że tak ogarnieni są strachem, iż się nawet poza siebie obejrzyć nie śmieją; ale gdy się bardziej wpatrzysz w szczegóły obrazu, musisz dopiero odgadywać przyczynę tego przerażenia; a to dlatego, że w twarzy młodego Zbawiciela nie ma nic strasznego: nawet blask bijący od głowy, pozbawiony jest świetności i przenikającej potęgi. Dla widza niedość, że się tak lub owak dzieje; obchodzi go także przyczyna wypadków. Święty Józef patrzy się na to wszystko oziębło jakoś i niewymownie, bo nie jest napiętnowany żadnym wyższém uczuciem, któreby go winno było przenikać na widok takiego cudu.

P. Sołdatkin, także uczeń profesora Markowa, pojawia się piérwszy raz na wystawie z obrazem historycznym. Dotąd pisał się tylko z swemi studyami z natury; a choć były dobre, zawsze jednak były jedynie studyami. Obecnie wykonał obraz historyczny: Fidyasza, pokazującego Peryklesowi posąg Minerwy. Przedmiot to, jak widzimy, wymagający zastanowienia się i wysokiego stopnia znajomości dziejów. Oprócz przejęcia się stroną techniczną sztuki, artysta powinien dobrze rozumieć epokę tego wypadku. Kiedy w Atenach upadła prawie cześć innych bogów, jedna Pallada nie utraciła ich wiary; artysta winien był pojąć i ocenić stanowisko Peryklesa w rzeczypospolitej, jego stosunek do ateńskich stronnictw i do Fidyasza. To, co w chrześcijańsko-religijnych obrazach ma miejsce pod wpływem uczucia i chrześcijańskiego namaszczenia, co dzieje się za popędem serca, które nieraz lepiej kieruje pędzlem artysty, aniżeli rozum: tu wymaga gruntowniej znajomości faktów, nie dorywczej, ani pochwyconej w chwili

zaciągania płótna na ramę, ale tak dalece przetrawionej, iżby się w niej malarz mógł zagłębiać, jak kiedy zwykle z siebie myśli wysnuwa. Pod tym względem, obraz p. Solałtkina nie może zadowolić surowej krytyki; lecz i ta ostatnia niema jeszcze powodu być dla niego surową. Toć on uczniem dopięro; a zresztą, znać po jego obrazie, że jeśli autor niezupełnie pojął daną epokę, to przynajmniej odgadł charakter myśli i osób. W profilu, posąg Minerwy ma wejście surowe; Fidyasz śmiało oczekuje bezstronnego sądu słynnego znawcy sztuk pięknych. Perykles zadziwiony tak pięknem wykończeniem znakomitego ideału, z zachwytem gieniuszu spoziéra na genialny utwór; tylko, mniemam, owe teatralne podniesienie rąk w górę, wcale nie na swoim miejscu. Gdyby to w świątyni Perykles stał przed Palladą, byłaby rzecz inna: w zapale modlitwy mógł być podobne uczynić poruszenie; lecz tu nie staje on w charakterze Greka przed bóstwem mądrości, lecz jako znawca i sędzia przed dziełem sztuki. Twarz Aspazyi dobra, ale reszta figury przedstawia jakąś suchotnicę, wcale nienadobnej postawy. Taka kobiéta nie mogłaby zachwycać estetycznego Peryklesa, nie zdolalaby pociągnąć ku sobie miłością Ateńczyków, hołdujących plastycznej piękności. Za Aspazją stoi Sokrates, udatny i bardzo na swoim miejscu: patrząc na figurę, czyni nad nią uwagi i objaśnienia jednemu z swych uczniów, zdaje się Alcybiadesowi; twarz młodzieńca wyraża nateżenie myśli i chęć pojęcia wykładu filozofa. Między Fidyaszem i Peryklosem umieszczona jedna jeszcze osoba: to poseł ze stronnictwa przeciwnego Peryklesowi. Zapal czyni mu trudnem zbliżenie się do rozmawiających, dlatego podejrzliwe rzuca spojrzenia na Sokratesa i Aspazją, tych przyjaciół Peryklesa, spokojnie przyglądających się Minerwie; w duszy jego dojrzewa już zamiar oskarżenia. Ta postać tak jest charakterystyczną, iż żadnego nie wymaga objaśnienia. Nie zawadzi wyrzec słówko i o słudze Fidyasza: piękność podziwianego utworu czyni go, zdaje się, bardziej nawet dumnym, aniżeli samego mistrza.

Uważam zbyt cieżkiem mówić o drugim podobnym obrazie. P. Wołkow całkiem nie pojął zadania: Perykles wygląda na przestraszonego leniweca, który co się zowie opuścił ręce. Za nim kobiéta jakaś: czyżbyto miała być historycznego sprytu i piękności Aspazya, której wdzięki na samego nawet oddziaływały Sokratesa? Wątpię, bo takie straszdyło nie dostąpiłoby téj chwały. Przyznać trzeba, że zeszlóroczny obraz p. Wołkow, Powszechny potop, bez porównania był lepszy od terażniejszego.

P. Marenschild, uczeń Markowa, wymalował Anioła, zwiastującego pasterzom narodzenie Zbawiciela świata. Obraz ten wiele posiada zalet; najbardziej jednak przekonywającą cechą talentu i znajomości sztuki młodego artysty jest odmiennosc uczuć, piętnująca się na twarzach prostych ludzi, którym najprzód było przeznaczonem dowiedzieć się o ziemskiem posłannictwie Syna Bożego, i usłyszeć tę dobrą nowinę z ust aniołów świętych. W grupie pasterzy wyborna plastycznosc form; zdaje się, iż na

żywych patrzymy ludzi. Na ich twarzach jakiś pobożny strach, który ich nie szpeci, ale owszem większej dodaje im siły, obudzonej objawieniem się różnorodnych uczuć: i wielkie zadziwienie, i ogromną radość, i wszystkie te uczucia ceniują się odmiennością wzrostu, fizyonomii i stopniem zrozumienia, a raczej niezrozumienia tego, co się wokół nich dzieje. Szkoda tylko, że młody malarz nie nadał twarzom historyczno-miejscowego typu: ci ludzie wyglądają jak gdyby się zesłi z przeróżnych stron świata, a Rossyan pomiędzy nimi najwięcej. Mało potrzeba, aby tej wady uniknąć: trochę znajomości rzeczy łączoby temu zaradziło. Oglądając ten obraz, słyszałem jedno jeszcze zdanie, tyczące się anioła. Podług krytyki, anioł powinien wskazywać na gwiazdę, którą tu p. Marenschild umieścił w równi z jego plecami, i do tego z tyłu. Zdaje się mylnem to zdanie: malarz bowiem obrał właśnie tę chwilę, kiedy tylko-co głosem anioła przebudzeni pasterze, napoły jeszcze leżący, usłyszeli pieśń niebiańską: „Chwała bądź Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom...” Wskazanie gwiazdy byłoby już chwilą następną, kiedy pasterze, powstawszy, przypatrywaliby się gwiazdzie, którą trudnoby im było nie spostrzedz, żyjąc prawie ciągle pod gołem niebem. P. Marenschild dał nam jeszcze, prócz tego obrazu, cztery portrety, odznaczające się niezwykłą wypukłością form, ale niemile w kolorach.

Temat: Estera przed Artaxerxesem, bardziej może niż inne, według mego zdania, jest odpowiednim dla uczniów. Estera, kochająca swój naród i bolejąca nad jego nieszczęściami, widząc grożącą mu zagładę i idąc za namową swojego wuja i opiekuna, odważyła się ująć krzywdy ludu Izraela, i stanąć przed obliczem surowego króla i małżonka. Wiedziała, że każdy, kto by wszedł doń bez jego wiedzy, podpadał karze śmierci; królowa wchodzi jednak do komnat władcy, i nagle spotyka dwa złowieszcze spojrzania: surową twarz króla i złośliwą postać Amana, wroga Hebrajczyków i Estery. Wrodzona słabość niewiasty ulega pod wielkością posłannictwa: przedstawczyni ciemżonego narodu omdlewa, a służebne ją podtrzymują. Ale nad nią czuwa miłosierdzie Boże: jej piękność i przestach zmiękcza surowego monarchę, który w dowód łaski dotyka jej się berłem: wtedy już nie było niebezpieczeństwa, i Estera mogła śmiało mówić. Oto chwila przedstawiona na obrazie. Tak nam ten fakt opisują dzieje; zobaczymy zaś, co nam powiedzą obrazy pp. Martynowa i Weniga, uczniów professorów Markowa i Bruni.

Na obrazie pierwszego, Estera cudnie jest piękna: na jej formnym, delikatnym i typowo-hebrajskim licu maluje się dobroć, czułość, miłość, pokora, śmiertelną przyobleczone błądzą. Upada prawie, ale ją ręce czterech wiernych służebnic podtrzymują: purpura zsuwa się jej z ramion; przesliczne jej osłabione ręce są obnażone; przezroczyta i lekka szata dozwala przejrzyć rozkoszne i nadobne kontury ciała:—jest prawdziwie czarującą. Nie dziwimy się wcale, że groźny Artaxerxes spieszy ją uspokoić, i zstę-

puje z tronu, aby jej się końcem berła swego dotknąć; w oczach jego przebija płomień rozkoszy i miłości. Jedna z służebnic przykłęka, aby królowę ująć za ręce, jeśliby się nie była w stanie na nogach utrzymać, i aby jej nie dopuścić upaść na ziemię: twarzy jej nie widać; druga pochwycawszy rękami padającą, z trwogą, przestraczem i nadzieją na króla ogląda. Ileż dziecięcego przywiązania i duchowej czystości w tém wejrzeniu! Ta twarz jest nadzwyczaj miła. Ale jest tu jeszcze jedna postać, nieodbicie potrzebna dla dopełnienia całości obrazu: każdy pozna w niej Amaną. Na jego twarzy, malarz połączył szczęśliwie dwa wprost przeciwne sobie uczucia: skoro Aman dostrzegł gniew królewski, przybrał tak tryumfujący wyraz twarzy, że go nawet nie zmienił w chwili dostrzeżenia łagodniejszego uczucia w swym władcy. Choć to się niezawsze i doświadczonym udaje artystom, p. Martynow nader trafnie uwydatnił owę walkę popędów serca i duszy. Niektórzy gania w tym obrazie zbyt lekkie Estery ubranie, mieniąc je nieprzyzwoitem i niezgodnem z obyczajami hebrajskimi. Gdyby nawet i tak było, to nie należy zapominać, że często najznakomitsi artyści poświęcają historyczną prawdę dlatego jedynie, aby mieć sposobność znęcić oko pięknosciami kształtów ciała; a co więcej, wbrew wszelkiej historycznej prawdzie, nieraz nawet całkiem obnażają figury. Rzecz naturalna, iż podobna maniera nie jest naśladowania godną. Ale nie o to chodzi; panowie krytycy zapominają, że Estera była przyodziana w purpurę, która opadła w chwili jej omdlenia; a pod purpurowym płaszczem lekkie ubranie nie tylko nic nie szkodzi, ale jest nawet koniecznem, z uwagi na klimat. Nie mówię już o tém, że w charakterze królowej perskiej, Estera winna była mniej lub więcej iść za obyczajami tej okolicy.

Z przykrością, nie możemy nic podobnego wyrzec na pochwałę obrazu p. Weniga. Jego Artaxerxes suchy jakiś i chłodny; napróżno szukalibyśmy w nim uczucia, które zmięczyły surowość prawa, mocą którego samowolnie do króla wchodzący, śmiercią byli karani. Esterę otaczają trzy służebne; ale, rzecz dziwna, wszystkie cztery niewieście twarze tak jednakie mają wejrzenie, tak jedna do drugiej podobne, że je można uważać za siostry rodzone. Przypuśćmy, że tak było co do służebnic, ależ przecie należało Esterę od reszty uwydatnić. Aman jest tu jedną z lepszych figur.

Młody Achilles uczący się strzelać od Centaura, obraz p. Kabanowa, ucznia prof. Markowa, odznacza się poprawnością rysunku i prawdą kolorytu. Te dwa przymioty wiele mówią na korzyść młodego ucznia-artysty; nie posiada jednak sztuki nadawania przedmiotom odpowiednich światel i cieni, i dlatego w tym obrazie brak perspektywy. Ta sztuka tak łatwo i odrazu nie przychodzi; ale wielką pracą wszystkiego dokazać można.

Przystępuję teraz do opisanja obrazu czysto-chrześcijańskiego, i śmiem twierdzić, że z liczby prac uczniów, najtrudniejszego w zadaniu, a najlepszego wykonaniem. Jestto obraz Matki Bo-

skiej Poczieszenia. Chociaż go osobno dwóch uczni profesora Markowa malowało, Bronnikow i Sorokin, ze względu jednak na wszechstronne zalety, zamierzam jedynie opisywać obraz pierwszego. Myśl w dziele sztuki, to niby duch w człowieku; przyobleczona w pewną materyalną formę, i ulegająca swemu przeznaczeniu, bez szwanku wyjść z jego sfery nie może. Cała działalność, potęga i siła, albo też słabość i nicestwo człowieczego ducha, przelewają się w rodzaj formy, po której rozmiarach sądzimy właśnie o ważności i przeznaczeniu ludzkiego ducha; a im jego objawy bliższe są niebiańskiej sily, tém są wyższe i doskonalsze. Bywało nieraz, duch silny, zasklepiony w wążtém, niekształtném i słabém cieie, spożywa się zapomniany lub od innych porzucony. Tak i utwór artystyczny jest życiem cząstki ducha człowieczego: więc jako plód ducha, winien w sobie objawiać wyższość, nastrój i tchnienie jego, jako cząstki myśli Bożej; i aby te wszystkie przymioty boskiego ducha, i wszystkie warunki sztuki pięknej, jasne były i zrozumiałe: forma utworu sztuki ma w całej pełni uwydatniać myśl jego. Zdaje mi się, nie zachodzi już potrzeba rozprawiać o stosunku formy do uczuć, jako przewodników wrażeń i narzędzi myślącego umu i twórczego ducha. Ale mówiąc o pełności myśli objawionej w utworze, odróżnić potrzeba rzeczywistą pełność wrażeń od urojonej. I tak artysta, biorąc naprzykład jaki przedmiot ze świata rzeczywistego, niema potrzeby, a nieraz nawet i nie powinien troszczyć się o dokładność wszystkich drobiazgowych szczegółów. Celem sztuk jest podnieść duszę, oczarować zmysły i rozkołysać wyobraźnię: dochodzi się zaś do tego za pomocą wrażeń z rzeczywistego wyniesionych świata; drobiazgowość zaś i dokładność, obudzają jedynie ciekawość, i czynią jęj zadość, jako prozaiczne skutki rozumu i pamięci. Ideały ożywiają świat sztuki: bez nich byłby on tworem czysto-materyalnym, pożytecznym może, ale nigdy wzniosłym. Weźmy za przykład daguerotypy: ich dokładność zadziwia człowieka, ale obudzić zachwyt lub zapal niezdołna. W obecnym razie, zadanie artysty zależy na wystawieniu ludzkości w połązeniu z bóstwem. Przeznaczoném jest cierpieć człowiekowi w czasie jego ziemskiej pielgrzymki, i nosić cierpliwie krzyż swój; tak téż i Bóg-człowiek stapał tą drogą cierpień, i zostawił człowiekowi modlitwę, jako osłodę w smutku. Podobne brzemieństwo zносиła również i święta jego matka, od chwili narodzenia Boskiego dziecięcia, i stała się przez to orędowniczką wszystkich tych, co cierpią i uciekają się pod jęj obronę z modlitwą i gorącą wiarą. I tego różnorodne cierpienia ludzkie, pokorną do niebieskiego dworu Pani modlitwą kojone, winien był przedstawić, i rzeczywiście przedstawił artysta w swoim obrazie. Święta obronicielka spoczywa w wzniesieniu na gęstym obłoku, trzymając na ręku Boskie niemowlę; poniżej widać dwanaście figur rozmaitego wieku, stanu, płci i położenia; modlitwa jednoczy wszystkich między sobą, i nadaje całemu obrazowi jednolity charakter. Czyż jeszcze trzeba co mówić o trudności przedstawienia świętych figur? O tém już tak

wiele mówiono i pisano. Lecz mówić można w ogóle o całym rodzaju przedmiotów, lub o każdym z nich poszczególne; w dziedzinie bowiem sztuki zachodzi podobna różnica. Wiemy, jak potężną jest różnica, kiedy się wyobraża Matkę Boską w chwilach jej ziemskiego żywota, a kiedy w Jej niebiańskiej chwale; ale trzeba pamiętać, że we wszystkich szczegółowych wypadkach, w Jej obrazach malują się odrębne myśli, do których trzeba zastosować nastroj świętego oblicza. Tak na przykład, obraz Matki Boskiej Pocieszenia winien wyrażać, krom świętej wielkości, cechujących Maryą i Najświętszego jej Syna, wystawionych w chwale majestatu, niebiańska słodycz ku ludziom, i gorącą do Boga modlitwę. Tak świetne połączenie tylu myśli, jeśli ma zgodnie a silnie oddziaływać na duszę patrzącego, stanowi dla artysty niełatwe do zwałczenia zadanie. Potrzebny ku temu śmiały, płomienny polot, wielka siła twórcza, połączona z żywą wyobraźnią, szczerem sercem, wrażliwym i ukształtowanym umysłem, oraz całą nieograniczoną wiarą; gdyż w świecie rzeczywistym takiego obrazu widzieć nie możemy, i ten tylko mocen jest go sobie wystawić, pojąć i oznaczyć wymiar i zgodę potrzebnych ku temu warunków, kto zdolny wznieść się duchem aż przed tron Boży.

Trudno wymagać, aby p. Bronnikow zwalczył wszystkie trudności, na jakie w tego rodzaju malowidle natrafił. Zupełnie zwyciężkie wywiązanie się z podobnego zadania, wymaga licznych prób, długich studyj i usilnej wieloletniej pracy. Nie biorąc na siebie odpowiedzialności za wrażenia wszystkich, którzy odwiedzali wystawę akademii, opierając się tylko na własnem przekonaniu i na zdaniu znawców, mniemam, że jeśli wolni od artystycznych napaści i uprzedzeń, bez poprzednio narzuconych wymagań, tylko z wiarą w treść i myśl obrazu rozważnie się weń wpatrzmy: to nas niewątpliwie napelni słodyczą i spokojem, pobudzając do szczerzej, rzewnej modlitwy. Wystawia bowiem ludzi prawdziwie cierpiących, którzy się w złych przygodach pod obronę świętej Bożej Rodzicielki uciekają, w twarzy zaś Przczystej Dziewicy jaśnieje, jeśli niezupełnie niebiański wyraz, to przynajmniej czuła dobroć, dodająca otuchy i nadziei tym, którzy do Niej modły zanoszą. Z oczu małego Zbawiciela bije promień silnego ducha bożego i nadziemskiego spokoju. Zpomiędzy cierpiących, odznaczają się głównie trzy grupy: zgrzybiały starzec z młodym synem, i podeszłego wieku niewiasta z umierającym dziecięciem: kłęczy biędaczka z oczami wzniesionemi ku niebu, a chłopczyk leży przed nią na ziemi. Steżały już wszystkie jego członki, tylko w oczetach, z wiarą i modlitwą na królową neba zwróconych, widać wstępujące napowrót życie; wiara matki i syna tak wielka, że po niej gotowe tam jeszcze spłynąć życie. Po prawej stronie obrazu, w cieniu, modli się brat z siostrą, dwoje małych sierot; ich czysta, cicha i krótka modlitwa, owiała już nadzieją ich twarze. Wszystko tu przesłiczne, lekkie, naturalne: kontury śmiałe i rozmaite, w kolorycie utrzymany jednostajnie ton ciepły. Surowa sprawiedliwość każe nam tu zwró-

cić uwagę młodego artysty, na brak perspektywicznego oddalenia w obrazie, tak dalece, że modlący się wydają się zanadto pomiędzy sobą ścieśnieni. Można to było łatwo samemu dopatrzeć przy wykończeniu obrazu. Nic tyle nie szkodzi utworom młodych ludzi, jak pośpiech. Dziwną jest także sztuczność w ugrupowaniu obrazu: prawie wszystkie osoby ustawione są na nim parami. Te i tyni podobne usterki z czasem znikną, skoro się artysta przyuczy wnikać w wymagania rzeczywistości, oraz prawdy w sztuce.

P. Sorokin trzyma się szczególniejszego zwyczaju, i nie wykończa swoich obrazów; przytém także zbyt wiele rachuje na efekt. Obraz jego, wykonany na powyższy temat, jest, mówiąc w ogóle, dobry. Nieprzyjemnie tylko uderza twarz dziewczynki wspaniale przybranej...

Wisi jeszcze w salach akademii wiele innych obrazów, wykonanych przez uczeni p. Markowa, za które poprzyznawano rozmaite nagrody; wstrzymać się jednak muszę od ich opisu, nie chcąc w tej mierze być zanadto rozwlekłym.

Z uczni zasłużonego profesora Worobiewa, na szczególniejszą uwagę zasługują między innemi: Dawidow, Bogoliubow i Horowski. Pierwszy obdarzył nas na tegorocznej wystawie widokiem wyspy Walaam, najlepszym z widzianych w tym roku utworów tego rodzaju. Trzy są główne warunki każdemu pejzażystcie nieodbitcie potrzebne: zachowanie perspektywy, dobór kolorów i umiejętność nadawania kształtów przedmiotom takim naprzykład, jak woda i powietrze. P. Dawidow zręcznie władać temi potrafi. Jego obrazek śmiało może stanąć w rzędzie pejzaży najcelniejszych artystów. Niektórzy ze zwolenników malarstwa mają to dziwne uprzedzenie, jakoby przy malowaniu krajobrazów, niepotrzeba było mieć twórczości; że miara oka i pewność ręki, wystarczają dla godnego odpowiedzenia zadaniu. Dla nich dość tylko wpatrzeć się w przyrodę, i wiernie z niej wszystko przenosić na płótno, przy ścisłym zachowaniu wymiarów przedmiotów, które wyobrazie zamierzają. Na zbicie tego zdania można powiedzieć: że gdzie nie ma twórczości, tam też i nie ma poezyi; a gdzie brak poezyi, tam też i nadobnej sztuki dopatrzeć się trudno: wierne bowiem odwzorowanie przedmiotów rzeczywistych nie jest sztuką, ale prozaičnym rzemiosłem. Dalej, wymierność pewnych części w świecie rzeczywistym i w dziedzinie sztuki, wielkie nieraz przedstawia różnice. Trafia się często, że najwierniejszy przerys z natury wydaje nam się niedokładnym lub przesadzonym. Pewien francuzki podróżnik opowiada następującą anegdotę: Kilku turystów zachwycano się malowniczym położeniem gór alpejskich; szczególniej zaś zwróciło na siebie ich uwagę odległe urwisko góry, otoczone lasem, z piętrzącą się na szczycie lepianką, otoczoną krzewami. W gronie ich znajdował się także dobry rysownik, a chcąc zrobić towarzyszącej przyjemność, zamierzył zdjąć ten widoczek. Pochwaliwszy jego zamiar, zostawiono go samego, aby mu nie przerywać natchnienia. Ale jakże się srodze zdumiał, a nawet zasmucił artysta, skoro

po ukończeniu rysunku, dostrzegł na twarzach obecnych wyraz niezadowolenia; poczęli go bowiem obwiniać o brak uwagi i staranności w robocie, wyrzucając mu, iż górę zanadto zmniejszył, a natomiast chatkę i krzaki zbyt uwydatnił. Malarz jął się sprzeczać i przekonywać, ale napróżno. Zamierzył wreszcie sprawdzić miejscowość trygonometrycznie. Okazało się z tego, że o ile można było, najproporcjonalniej przedstawił wszystkie części rzeczonoego krajobrazu. Przyszło mu jednak na myśl narysować drugi pejzaż, w którymby zadość uczynił wszystkim wymaganiom towarzyszy; jakoż nowy rysunek przyjęło z zadowoleniem. I cóż ztąd wynika? Oto, że artysta nie może malować przedmioty w ich drobiazgowej rzeczywistości i nienaruszalnej całości, ale uwydatniać wrażenia miotające jego duszą, dające jej smutny lub wesoły, nastrój, unoszące go daleko od otaczającej rzeczywistości; ztąd też się rodzi i twórczość w poezji, jako polegająca na rozumnym, śmiałym i nadobno-udatnym połączeniu obrazów, malujących się w wyobraźni poety albo w natchnieniu artysty. Obraz p. Dawidowa technie cały poezją, a uobecniona w nim przyroda, jest jak najlepiej w formę sztuki przyobleczona. Szkoda tylko, że p. Dawidow wybrał obrazek tak niewielkiej objętości.

Obrazy p. Bogoliubowa ścigały na siebie powszechne pochwały; i rzeczywiście jest w nich wiele dobrego, bo jakżeby inaczej przyznano mu pierwszy złoty medal? Śmiem jednak mniemać, że brak w nich nieco smaku. Nie pochwalam także chęci naśladowania manieri Ajwazowskiego; wszelki przymus niemiło oddziaływa w sztuce: mieszanie własnych pomysłów z cudzemi, sprzeczności tylko wyradza, a zresztą wielkie talenta posiadają niektóre cechy, tak sobie tylko właściwe, że aby nie wpaść w śmieszność, drugorzędnym zdala się od nich trzymać należy.

O pejzażu p. Horowskiego: Widok jeziora Rucejskiego, pod miastem Toropcami, w gub. pskowskiej, to tylko można powiedzieć, że okazuje silny i śmiały talent tego ucznia szkoły malarstwa. Po tym obrazie widzimy, iż możemy się wiele od niego na przyszłość spodziewać; dlatego też śmiem radzić pełnemu talentu młodzieńcowi, aby sił swoich spróbował w malarstwie historycznym. Nie powoduje mną w tej chwili moje szczególniejsze zamiłowanie do historycznego malarstwa, ale z jednej strony to, iż ono jest wyższem nad inne rodzaje, i niepomalu posługuje do rozwinięcia własnych sił; z drugiej zaś strony, za najlepszy dowód służy mi tegoroczna wystawa. Chcę tu mówić o „portrecie rzymsko-katolickiego biskupa dyecezyi mińskiej, ks. Wojtkiewicza,” przez p. Horowskiego wykonanym. Na utwór ten można tylko patrzeć z zapalem; każdy tu dopatry śmiałość, łatwość i wprawę pędzla. Na twarzy biskupa wyryta myśl głęboka, z oczu tryska rozum, znajomość ludzi, i śmiałe, przewidujące spojrzenie w przyszłość. Takie portrety niewielu się artystom udają.

Mocno żałuję, że mi okoliczności nie pozwalają dać szczegółowego sprawozdania o pracach uczniów pełnego zasług profesora

Worobiewa, i pana Wilwaldie. Boję się naprzykrzyć czytelnikom zbyt przewlekłym artykułem, i wrażeniami, których może dzielać nie zechcą; z tego też powodu muszę być treściwym. Nie wezmą mi jednak za złe, gdy pomówię słówko z artystami, którzy do prac swych biorą wzory z życia rossyjskiego ludu. Niewielu artystów, a nawet pisarzy, może powiedzieć, iż znają go dokładnie. Przedstawiają nam ten lud, jego ubiory i mieszkania w formach niebywałych, albo branych bez względu na kraj i okolice rozległej Rosyi. Stawiamy za przykład obraz p. akademika Gorbunowa: Powrót kmiotków z pola wieczorem, w gub. riazańskiej. Może p. Gorbunow zna tę gubernię, ale możemy go upewnić, że jeżeli widział dwa lub trzy domy podobne do tych, jakie odmalował, to stanowiły wyjątek, nie zaś typ tamecznego budownictwa; stroje zaś padał chłopom z okolic meszczerskich, to jest, po lewej stronie rzeki Oki noszonych, a kobietom ubiory mieszkańców prawej strony tej rzeki, i t. p. P. Rizzoni znów odmalował wewnątrz karczmy. Chociaż trudno przeciwko wodzie płynąć, w imię jednak świętej sztuki i wiecznej prawdy, bez której nic pięknego być nie może, śmiem nie zgodzić się na wrzawę, jaką ten obraz wywołał, chociażby mnie nawet kto i upartym nazwał. Według mego zdania, oprócz niektórych pojedynczych zalet, obraz ten nic nie wart w samej osnowie swojej. Obszerne wewnątrz szynkowni, napelnione ciżbą pijanego i rozpuście oddanego ludu. Zostawiamy to do woli artysty, przedstawiać lub nie przedstawiać podobne sceny; powinnyby go jednak zawsze obowiązywać ogólne prawidło: że wszystko, co jest zbyt prostackie, bydlęce, i niemoralne, w sztuce tylko niechęć, oburzenie lub chłostę znajdować powinno; a obok tego, samo nawet przedstawienie złego, w karby rzeczywistości ujęte być winno: ani się pytaj o to w karczmie p. Rizzoni. Czy może być, naprzykład, prawdopodobnym i z prawami natury zgodnym, żeby kobieta, która sama sobą w karczmie frymarczy, tak dalece upadła, iż pozwala robić z sobą wszelkie bezceństwa, i aby jeszcze na jej twarzy malował się świeży rumieniec czerstwości i zdrowia? A na tym obrazku wszystkie kobiety są takie, obok innych niestosowności, wręcz zasądom nadobnej sztuki i prawidłom przyzwoitości przeciwnych. Sama znowu zgraja narodu tak jest różnorodną, iż trudno poznać, z której świata strony każde z nich tu przyszło. Dla tycho właśnie kilku powodów, bo o wielu jeszcze przemilczam, nie mogę się zgodzić na pochwały, jakimi obyspano obraz p. Rizzoni.

Z rozkładu wystawy tak zawsze jakoś bywa, że sala Briułowa jest ostatnią; znaleźć też w niej zwykle można coś takiego, co myśl widza długo na siebie zwraca, i miłe czyni wrażenie. Tym razem najwięcej nas zajmowały portrety: generała-adjutanta Rostowcowa i sekretarza stanu Taniejewa, malowane przez p. Zariankę; niemniej obrazy pp. Szamszina i Zawiałowa, malowane dla otrzymania stopnia profesora.

Zmartwychwstanie Pańskie, obraz p. Szamszina, wielu osobom się nie podobał; ganiono w nim postawę strażników grobu Chrystusa. Na pierwszy rzut oka, ruchy ich w samej rzeczy dziwnymi się wydają; dlaczego, na przykład, jeden z żołnierzy wsunawszy sandały pod pachę, daje z całej siły drapaką, a inny znów, z rozpostartemi rękoma powalił się jak długi o ziemię. Zwykły przestrach nie mógłby spowodować takiej sytuacji. Ale musimy niewinnie artystę: może się p. Szamszin omylił nieco w przedstawieniu, lecz miał niewątpliwie na myśli oddanie strachu niezwykłego, którym przejęci byli ludzie strzegący grobu świętego, widząc zmartwychpowstającego człowieka, owianego jasnością, której oczy znieść nie mogły. Dalej artysta chciał wyobrazić Chrystusa Pana z obliczem spokoju; może przez to zrobił Go zanadto chłodnym, lepiej to jednak, aniżeli malować Zbawiciela w jakimś rozrzuconiu, tak jak to nieraz czynią najlepsi artyści. P. Zawiałow odmalował w celu otrzymania stopnia professora, Zdjęcie z krzyża: jestto, śmiało rzec można, prawdziwie mistrzowski obraz. Patrząc nań, zda ci się, że słyszysz tklivy śpiew: „Błogosławiony Józef zdjął z drzewa przeczyste ciało Twoje,” i pomimowoli pomyślisz: tak się zakończył ziemski żywot tego, który przyszedł na świat, aby zgładzić jego grzechy, będąc sam bez zmyły! Gdzież owe tysiące ludzi, co chciwie słuchali słowa zbawienia? Przerażeni okropnością nieprawego sądu, straszną męką i śmiercią Zbawiciela, pochowali się i w różne rozbiegły strony: niewielu się przy nim zostało; a tę garstkę artysta wystawił w takim natchnieniu, że każdy, obok właściwego sobie charakteru, przejęty jest duchem bożym, który jeszcze w dawnym uczuciowym świecie i plastycznych sztukach nie występował; znać tu już zarodek przyszłego chrześcijańskiego żywota. Błogosławieni Józef i Nikodem, taką czcią i niezwykłą troskliwością otaczają przedmiot starań swoich, to jest ciało Chrystusa, które po przystawionej do krzyża drabiny zdejmują, że bez świątobliwego natchnienia, niepodobniestwem było ich odmalować; te dwie figury są prześliczne. Każdy pozna po nich w p. Zawiałowie ucznia sławnego professora i rysownika, ś. p. Jęgorowa. Młody professor, zdaje mi się, nie powstydy się takiego mistrza; do jego bowiem zalet, przyłączył nadto umiejętne farbami władanie, co się niezawsze Jęgorowowi udawało, a z czém się sam nawet nie ukrywał, wymawiając się, „że sam Pan Bóg moSPANIE rysuje.” Dobrze się znał na kształtach istot przyrodzonych. A tak, obraz p. Zawiałowa piękną i pewną stawia porękę, że szkoła Jęgorowa nie przepadnie, że jej jeszcze jedna dzielna przybyła podpora, która się postara daleko sławę tej szkoły rozgłosić. Daj nam Boże więcej takich artystów, których sztuka czerpie w obfitym i świętym źródle dziejów chrześcijańskiego kościoła. Nie jesteśmy wielkimi zwolennikami galeryj obrazów, ale miłą nam jest cześć domu Bożego.

(Moskwitianin z r. 1854, Nr. 7).

W. Plaksin.

BALTAZAR OPEĆ.

(Wiadomostka o nim, podana przez *Ambr. Grabowskiego*).

Dotąd zaledwo uczonym znane jest to miano: lecz kto był ten, co je nosił?—przeszłość to w swoim łonie zataiła.

Żywot Pana Jezusa Chrystusa, przez ś. Bonawenturę po łacinie napisany, a przez Baltazara Opecia na język polski przełożony, według dotąd znanych źródeł jest drugą książką polską, którą poprzedziło dziełko: Rozmowy króla Salomona z grubym Marchońtem, i t. d.; a Żywot ten wyszedł z druku w Krakowie, za staraniem Hieronima Wietora, r. 1522, in folio, i jest niezmierną rzadkością w tym wydaniu. O mężu tym małą wprawdzie co do treści dam wiadomość, którą może dalsze innych badania w dłuższe pasmo rozwiną; ale według niej poznamy, jakiego był pochodzenia, i przybędzie do początku zasłużonych mężów imię, które w dopiero-co zawiązującym się piśmiennictwie naszym w początku wieku XVI, chlubne zająć powinno miejsce.

Księga A, 8, akt radzieckich krakowskich, pod r. 1531 zawiera pismo urzędowe przed temiż aktami zeznane, z którego okazuje się, iż B. Opeć rodem był Krakowianin (1). Treść jego jest następująca: Anna, garbarka, córka piekarza, zeznaje kwit, którym oświadcza, iż Honorabilis Dnus Balthasar Opetcz Praepositus in Sziennio (w województwie krakow.), brat jej po matce, spłacił jej część spadkową, na nią przypadłą ze sprzedaży jatkki piekarskiej, którą Waclawowi sprzedał. Niżej znowu w tejże księdze zapisane jest, że Dnus Balthasar Praepositus in Siennio, plac pusty po spalenisku domu, aream combustam in Grunda sitam, sprzedaje cechowi piekarzy krakowskich. (Grunda, jest dawne nazwisko tej części miasta, czyli ulicy poprzecznej, która leży pomiędzy ulicą Mikołajską i ulicą Sienną; a pożar, o którym wzmianka, był roku 1528, który prawie połowę miasta zniszczył, jak o tem Starożytnicze wiadomości o Krakowie, str. 77).

Dziwnie też piękną jest mowa w tym Żywocie Pana Jezusa, służąc za dowód, jak już na początku XVI wieku język polski był wykształcony. Dzieło to czyta się z niewymowną przyjemnością.

Przedmowę w pierwszym wydaniu, Hieronim Wietor zalecając to dzieło jego nakładem wyszłe, tak zakończy: „Niemniejbych też podarował starego i młodego (Żywotem Pana Jezusa), jedno że się pisania teskliwego wstydam. Dałbych iście staremu kościeniek (laskę) ku podpieraniu jego, którymby się podpierał w padole tego świata; bowiem kto się podpira laską żywota milego

(1) Opeciowie byli rodziną miejską krajową. W dokumencie z wieku XV, dla miasteczka Chęciny wydanym, w liczbie rajców jego zasiada także Opeć.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dwie powieści J. K. Gregorowicza „Proszaki, i Tomek bez nogi,“ wyszły z drukarni Gazety Codziennej w trzech tomikach. Tylko Proszaki były drukowane w r. z. w tejsze Gazecie.

— P. Seweryna z Zochowskich Pruszkowa przygotowywa do druku „Obraz literatury polskiej“ dla kobiet. Dzieło to w obszerniejszych ramach, obejmie trzy spore tomy, albowiem przedstawi obraz piśmiennictwa naszego od najdawniejszych czasów aż do obecnej chwili.

— W miesiącu czerwcu, w kościele XX. Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu odkryto piękny pomnik dla ś. p. Józefa Kalasantego Szaniawskiego. Rysunek do tego pomnika dał p. Bolesław Podczaszyński, wykonał go zaś rzeźbiarz Kaufman. Ponad tablicą pomnikową umieszczono wizerunek olejny zmarłego, pędzla Xawerego Kaniewskiego.

— Nakładem G. Leona Glücksberga drukuje się powieść Alexandra Niewiarowskiego p. n. „Rotmistrz bez roty“ w 3ch tomach.

— P. Ludwik Kondratowicz ukończył tom 2gi „Wędrówek po moich niegdyś okolicach,“ w którym obszerny ustęp poświęcił kronice miasta Mińska. — St. Moniuszko do „Rybaczki“ przekładu z Goethego tegoż p. Kondratowicza, dorobił muzykę. — Apollo Nałęcz Korzeniowski napisał dramat p. n. „Komedia,“ który w następnych zeszytach Biblioteki będzie umieszczonym. — Drukarnia J. Zawadzkiego drukuje obecnie 3ci i ostatni tom „Rodzinnego Zagonu,“ Adama Pługa.

Kraków. „U p. Alexandra Ziębrowskiego oglądaliśmy kilkanaście medalionów dobrego odlewu i ładnego cyzelstwa; między temi są medaliony: Józefa Muczkowskiego, Wincentego Pola i Jana hr. Potockiego. Próby te co do wykonania powiodły się bardzo pomyślnie: szczególniej podziwialiśmy zręczność i dokładność cyzelską p. Ziębrowskiego.“

— Pismo wiedeńskie: „Der Salon-Wochenschrift,“ pod redakcją Jana Nordman wychodzące, w zeszycie 14m na r. b. umieściło przegląd: „Wzorów sztuki średniowiecznej przez Alex. Przeddziekiego i E. Rastawieckiego wydawanych, a napisany przez K. Wurzbach'a, autora dzieła „O kościołach krakowskich.“ W przeglądzie tym pisze: „że powyższe dzieło zasługuje na uwagę nie tylko badaczy starożytności, ale każdego prawdziwego nauk przyjaciela. Wydanie przepyszne, ryciny nieustępujące w niczém najpiękniejszym w tym rodzaju zagranicznym. Odbicie wybornie dokonane; odznacza się sumienną wiernością i rzadką artystowską w narysowaniu biegłością i smakiem dobrym. Dzieło tak bogate pod względem wydania, a zajmujące co do przedmiotu i treści, polecamy nie tylko bibliotekom, ale wszystkim przyjaciółom starożytności,

badaczom gruntownym nauk, i zbieraczom dzieł pięknych i ciekawych, jako obfite źródło wiadomości.“

— J. I. Kraszewski nadesłał tom trzeci i ostatni powieści „Chata za wsią“, którą w następnych zeszytach ogłosimy. Wykończył i już przygotował do druku dzieło „O sztuce i starożytnościach słowiańskich“ z 200 rycinami. Oprócz tego ma już gotowych także do druku 6 tomów drobnych powieści, rozpraw, sprawozdań i fantazyj p. n. „Zbiórana drużyna.“ Jestto zbiór już znanych i rozrzuconych różnych pism tegoż autora po rozmaitych pismach, lub też świeżo napisanych.

— P. Gerson znany artysta, pracuje nad akwarellami formatu ćwiartkowego, przeznaczonemi na wzory do litografii, zamówione przez p. Dazziaro w Petersburgu, do dziełka w przedmiocie „ubiorów prowincyj polskich.“

— Ze Lwowa otrzymujemy wiadomość o rozpoczęciu druku w drugim wydaniu „Słownika języka polskiego S. B. Lindego.“

— Zapowiedziane dzieło K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą“, wkrótce w zupełności ukończone zostanie. Ryciny grobowców i nagrobków p. Matuszkiewicza, odbijane będą w zakładzie litograficznym M. Fajansa. Format dzieła z powodu rycin będzie w 4ce. Oprócz historii cmentarzy naszych, składają to dzieło obszerne życiorysy, czerpane po większej części z nieznanych dotąd źródeł.

— Karol Drzewiecki, autor dramatu p. n. „Kontrakty“, napisał prozą komedią w 2ch aktach p. n. „Pantofel.“ Gazeta Warszawska zamieściła ją w całości w odcinku swoim, a obecnie ma wyjść oddzielnie.

† W pierwszej połowie maja r. b. umarł w młodym wieku we wsi Diwo czkach, niedaleko Żytomierza, Seweryn Gołębiowski. Prace jego historyczne umieszczała nasza Biblioteka i inne pisma peryodyczne. Znanym jest jako autor dzieła: „Czasy Zygmunta Augusta“, wydanego w Wilnie w 2ch tomach. W rękopiśmie został wykończony „Żywot hetmana Żółkiewskiego“, z materiałów zupełnie dotąd nieznanych, i żywot „Jana Zamojskiego“, nad którym do zgonu pracował i wykończył. J. I. Kraszewski donosząc o śmierci tego sumiennego badacza tak wczesnie zgasłego, temi słowy zakończył swoje wspomnienie o nim: „Pokój ci, uznojonny towarzyszu broni, a cześć poczciwej pamięci twojej, która za przykład służyć nam może! Wielu cię prześcignęło na polu, bo im Bóg dał sił więcej i szczęśliwsze okoliczności, wśród których obracali się swobodnie; ale gdyby sprawiedliwie przyszło mierzyć zasługi poświęcenia miarą: wielu z nas a wielu przeszedłbyś i zagasił. Inni dają chwilę, tyś dał — całe życie.“

Redukcja Biblioteki Warszawskiej.



Wszystkie doświadczenia w tym roku były w zupełności wykonane. W tym celu użyto w tym roku 1000...

Dzień	Termometr					Barometr					Wzrost wody w studni
	I	II	III	IV	V	I	II	III	IV	V	
1	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
2	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
3	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
4	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
5	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
6	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
7	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
8	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
9	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
10	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
11	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
12	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
13	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
14	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
15	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
16	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
17	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
18	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
19	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
20	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
21	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
22	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
23	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
24	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
25	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
26	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
27	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
28	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
29	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
30	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
31	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
32	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
33	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
34	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
35	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
36	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
37	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
38	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
39	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
40	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
41	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
42	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
43	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
44	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
45	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
46	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
47	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
48	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
49	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
50	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
51	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
52	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
53	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
54	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
55	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
56	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
57	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
58	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
59	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0
60	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	750.0	750.0	750.0	750.0	750.0	0.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoriumy Astronomicznym

WARSZAWSKIEM.

Maj, 1854.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.735	27	7.467
Najwyżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 r.	754.31	27	10.382
Najniżej — — — d. 5 o g. 4 w.	738.83	27	3.520
Średnia zmiana dzienna barometru	2.558		1.134
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 4 w.	9.08		4.025
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	1.540		0.683
Średnia temperatura Maja wynosi i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 15 ^o .28 1.77	C. + ,,	12 ^o .22 1.41
Największe ciepło było d. 15 o g. 4 w.	+ 13.51	,, +	10.81
Najniższa temperatura była d. 1 o g. 6 r.	+ 27.4	,, +	21.92
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 3.6	,, +	2.88
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 4 w.	2.959	,,	2.367
Termometrograf wskazał:	13.5	,,	10.80

Maximum: + 22^o.9 R. d. 16 po połud.

Minimum: + 1^o.2 „ d. 1 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 69.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.09 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.01 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 93.4 mil czyli 41.40 lin. par.; ilość ta wody jest o 14.99 lin. par. większa od tej jaka zwykle w maju spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 13.

— deszczu 18 (d. 1, 2, 6, 7, 14, 16, 17, 21, 22, 23, 24, 26, 27, 28, 29, 30, 31).

— mgły 1 (d. 12).

— gradu 1 (d. 24).

— grzmotów 7 (d. 6, 13, 17, 18, 19, 24, 30).

— błyskawic bez grzmotów 9 (d. 6, 9, 13, 14, 16, 18, 24, 28, 30).

Wichrów było 2 (2 Pd.).

Wiatrów mocnych 1 (1Pd.).

Wiatr panujący Północny, częste były Północno-Zachodnie.

Maj r. b. w pierwszej połowie był pogodny, suchy i ciepły; w drugiej, niepogodny i słotny, w ogóle blisko o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 15, 16, 28, 29, 30; najchłodniejsze d. 1, 7, 20, 21, 22. Trzy dni 11, 12, 13, ŚS. Mamerta, Pankracego i Serwacego, które zwykle bywają u nas chłodne, w tym roku były ciepłe. Pod względem pogody maj r. b. zbliżał się do stanu normalnego. Trzy dni 6, 24, 30 odznaczały się grzmotami, piorunami i deszczami ulewnymi. Wody spadło z deszczu co do wysokości 3 cale 4, 4 lin. par. o 15 lin. par. więcej niż zwykle. D. 14, 27 i 28 widziano tęcze świetne. Oprócz jednej małej plamki widzianej w d. 3 na słońcu, przez cały miesiąc nie pokazywały się plamy na tarczy słonecznej.

S P I Ż.

PRZEZ

Ludwika Lejznera.

II.

Spiz̄ niemiecki. W części północno-zachodniej Spiz̄a, o południowy pochył Tatrów oparci, siedzą Niemcy przybyli w XII i XIII wieku do Węgier dla zaludnienia pustych krain; teraz znacznie rozrodziwszy się, stanowią gęstą ludność i odznaczają się staranną uprawą roli i przemysłem. Ze wszech stron otoczeni ludami słowiańskimi, tojest: Słowakami, Rusinami i Polakami, przyjęli po większej części ich zwyczaje. Oddaleni od Niemiec, nie postępują z nimi razem: pozostali jakby skryształizowani w myślach, i są odbiciem czasu, w którym wywędrowali—średnich wieków. Wielkie tylko historyczne wypadki ich dotknęły. Reformacya owładnąwszy w XVI wieku całą ucywilizowaną Europę, zajęła także Niemców, żyjących w mało znanych dolinach Karpackich, i wtedy przyjęli zasady Lutera. Dotąd rozwój literatury jest jedynym węzłem łączącym część bardziej oświeconą Spiz̄a z rodzinnym krajem; ale są to w istocie słabe wpływy, i zaledwie w ostatnich odgłosach odbijają się o skaliste ściany Tatrów. Niemcy spiz̄cy zajmują się głównie uprawą roli i górnictwem; mniej, chociaż stosunkowo jak na Węgrach dość znacznie rzemiosłami, a wyjątkowo umysłowemi zatrudnieniami. Do polepszonej uprawy roli przyczyniły się głównie instytucye, nadające tym

przybyszm znakomite swobody, prawem niemieckim zapewnione. Uprawiając nadane sobie obszerne role, pozakładali miasteczka, stanowiące teraz tak nazwane szesnaście miast spizkich. Pod tak sprzyjającymi warunkami rosła znakomicie ludność; trzeba się było rozpościerać, i ztąd kolonie ich dały początek wioskom, pozakładanym na gruntach odleglejszych od miasteczek, i wyrobiły pewien stopień cywilizacyi, która odznacza Spiż od innych hrabstw węgierskich. W skutku tych przywilejów stali się niemieccy Spiżacy majątniejszymi, powstało kilka porządnych miasteczek blisko siebie leżących, i wzmogły się w ludność; niektóre z nich wcale są piękne, mają porządne i wygodne domy, jakoto: Kesmark, Iglo, Lewocza i Podhrad. Większy dostatek nadaje Niemcom wyższość nad słowacką ludnością, skazaną bardziej na mechaniczną, mniejsze korzyści zapewniającą pracę. Uboższa ludność zajmuje w miasteczkach niemieckich na granicy słowiańskiej leżących, przedmieścia, gdy w pięknych domkach siedzą potomkowie Sasów. Pomimo tego ludność słowacka dziwny na nich wpływ wywiera: wszyscy prawie Niemcy Spiżacy przyjmują ich język i z wolna zmieniają się w Słowaków. Wejrzenie miasteczek spizkich prawie jest jednakowe. z tą różnicą, że uboższe mało co się zmieniły; i wcale prawdopodobną jest rzeczą, że zachowały taką samą fizyonomią, jaką miały przed wiekami. W możniejszych miasteczkach widać pewne wpływy nowożytnego smaku i postępu. Prawie wszystkie składają się z jednej szerokiej a długiej ulicy, stanowiącej główną część miasta: do niej zbiegają się jedna lub kilka poprzecznych. Ulica główna bywa tak szeroka, że na środku stoją wygodnie wielkie gmachy, pospolicie dwa kościoły: katolicki i luterski, i niektóre inne większe domostwa; niekiedy przyczepiają się do nich inne domy, i jakby niechcący ze szerokiej ulicy powstają jeszcze dwie niezbyt wąskie, ciągnące się klinem w środku miasta. Tym sposobem przemieniła się główna ulica w dwie węższe równoległe, jak w Lewoczy, Iglie, i w niektórych innych. Domy w spizkich miastach stawiają zupełnie na podobieństwo wiosek, z których oczywiście powstały; nie wychodzi na ulicę dom długością, tylko szerokością, i dlatego pospolicie mają po trzy okna.

Z nad bramy wystaje na kilka sążni długa drewniana rynna. Dzięki szerokości ulic, podczas deszczu można po takich ulicach jeździć i nie zostać wykąpanym pod temi kaskadami, spadającemi w pewnych odstępach wzdłuż całej ulicy. Uboższe miasteczka na Spiżu są całkiem z drzewa stawiane; bogatsze przybrały kroje domów terażniejszych niemieckich miast. Wszystkie izby są sklepione, a schody i długie ganki wyrobione z kamienia ciosowego; w najnowszych czasach, po spaleniu się części Lewoczy i Igła, dachówki zastąpiły gonty. Nie mogę dosyć polecić sklepień wykonywanych na Spiżu i w niektórych przyległych miasteczkach, nader pożytecznych a ozdobnych; składają się z jednego tuku lekko zagiętego na dwóch ścianach, stanowiących długość pokoju. Budowa ta ze wszech miar pochwały godna, warta jest rozpowszechnienia.

Mieszkańcy bliżsi Tatrow zajmują się głównie rolnictwem; nie widać u nich tyle dobrego bytu, ile w miasteczkach południowego Spiżu, dotykających się gór kruszcowych, gdzie często spotykamy w dostatki obfitujących właścicieli kopalń. Pomiedzy podtatrowemi miasteczkami odznacza się przedewszystkiemi Kesmark nad Popradem, miasteczko bardzo malowniczo położone w ich stronie południowo-wschodniej; nader wspaniale sterczą najwyższe ich szczyty, godne widzenia ztąd w czasie pogodnym. Do wzniesienia i obudzenia znacniejszego ruchu handlowego w Kesmarku, przyczynia się głównie jego położenie geograficzne. Kesmark głównie zaopatruje w rozmaite potrzeby Podhale, i przyległe północne górskie okolice. Odbywają się w nim wielkie targi na zboże i inne produkta węgierskie, posiada wielkie składy win węgierskich i rozmaitych innych wyrobów. Kilkanaście sklepów kupieckich dobrze zaopatrzonych, świadczą, że można tutaj zaspokoić wytworniejsze potrzeby. Pomimo że tu istnieje oddawna wyższa szkoła ewangelicka, w której bardzo dobre postępy czyni młodzież, nie ma wszakże księgarza; zastępuje go introligator, u którego jest kilka pułek z książkami na sprzedaż dla szkolnej młodzieży. Majętniejsi mieszkańcy Kesmarku są Niemcami; przedmieścia zajmują Słowaki, lecz prawie wszyscy mieszkańcy mówią po słowacku.

Nazwa tego miasteczka pochodzi prawdopodobnie z niemieckiego od séra, w dawnych bowiem nadaniach, według Szepezhazego, nazywano je Forum Caseorum czyli Kaesemark (targ serów), a przez skrócenie Kesmark; nasi górale znają je jako Kesmarek. Zapewne pasterze pasający bydło na przyległych tatrowych holach, sprzedawali tu swe sery; dotąd jeszcze wyborna bryndza węgierska wychodzi ztąd w odległe kraje. Widywałem w jesieni kupców, nabijających w beczki ten wyborny sér, dla rozsyłania go w świat.

Kesmark składa się właściwie z dwóch wielkich ulic; do głównej wpada również szeroka, chociaż nie tak długa. Przy skrzyżowaniu się ich stoi ratusz z wysoką wieżą, przy którym w dni targowe rozciągają się tłumy sprzedających i kupujących; nieco dalej stoją wozy ze zbożem, kukurydzą, winogronami i z wielą innemi przedmiotami południowych Węgier. Miasto to starożytne, już król Bela IV obdarzył przywilejami w roku 1269. Król Ludwik panujący razem w Polsce w roku 1380 nadał mu przywileje wolnego miasta królewskiego, i odtąd zajmowało pierwsze miejsce pomiędzy temiż miastami. Królowie polscy i węgierscy często zjeżdżali się do Kesmarku dla odbycia narad; i tak w roku 1423 Zygmunt węgierski i Władysław Jagiełło zawarli między sobą przymierze; w roku 1436 przybyli do Kesmarku panowie polscy i węgierscy dla wykupienia od Polski trzynastu zastawionych miast; ale po bezskutecznych naradach, nie przyszło do zgody. W XV wieku po dwakroć zdobywali to miasto Hussyci: pierwszy raz w roku 1433, drugi raz w roku 1464, i wtedy spłonęły archiwa z starożytnemi nadaniami. W tak smutném położeniu zostając mieszczenie, otrzymali wiele dobrodziejstw od Zygmunta i Macieja Korwina królów węgierskich: pierwszy uwolnił ich od ceł, i obdarował w pobliżu leżącą wioską Rakusy (po niemiecku Rox), drugi darował wioskę Klein-Schlagendorf i nadał miastu prawo miecza i odbywania jarmarków w pewnych czasach.

Po nieszczęśliwej klęsce pod Mohaczem, dostał się Kesmark w ręce Jana Zapolya, który się ogłosił królem węgierskim. Potém rządził nim Hieronim Łaski, a wreszcie Sebastyan Tékel. Pod temi władcami nadzwyczajnie ucierpiało miasto, a mianowicie pod despo-

tycznemi rządami następców Tékelego, które trwały do roku 1655, czyli do wrócenia miasta pod władzę królewską cesarza Ferdynanda III, który napowrót włączył je do wolnych miast królewskich. W czasach niespokojnych musieli mieszkańcy ustawicznie mieć się na ostrożności; ztądto pochodzą wieże, liczne baszty i mur obwodzący miasto. Mury te po większej części porozpadały się i teraz tylko szczątki z nich pozostały: wieże pozoszono, bo ścieśniały dostęp i widok na pyszne szczyty Tatrów. Jedna z baszt nad Popradem była bardzo umocowana; w spodzie było głębokie więzienie, w którym wielu ludzi śmierć znalazło. Teraz zmieniła się postać rzeczy: na zewnętrznej stronie murów pozakładano same ogrody owocowe; prawie w każdym jest altanka, niejedna wcale ozdobna. Pomimo ostrości klimatu, udają się tutaj dosyć dobre owoce; pochodzi to od staranności i zamiłowania mieszkańców w ogrodnictwie, zamieniającego się tutaj nieraz w prawdziwą namiętność. Przy bramie głównej pobudowała sobie zamożna okoliczna szlachta okazałe domy, w których zwykła spędzać zimę. Miasto oddycha teraz pokojem: mury okryły się zielonością winogrodu i brzoskwiń, kiedy dawniej zastaniały mieszkańców od napadu nieprzyjacielskiego. Tak za zmianą towarzyskich stosunków, gdy posiadanie zostało zapewnionem, dawne środki obrony zastaniają dzieła pokoju od ostrości klimatu.

Do najcelniejszych budynków Kesmarku należy zamek, położony w końcu północnym miasta. Opowiadają, że stoi na miejscu klasztoru zakonnicy, który według kroniki spizkiej wystawiono w roku 1190. Kto i kiedy stawiał ten zamek?—nie ma żadnego śladu: wiadomo tylko, że za Tékelich przyszedł do największej świetności, a mianowicie za Stefana Tékelego; lecz zniszczył, gdy jeden z następców, Emmerik Tékel, w roku 1702 musiał uchościć z kraju: wtedy sprzedany został i miasto nabyło go i po większej części zniszczyło umyślnie, zachowując tylko kaplicę i obszerne piwnice. Jeszcze teraz świadczą ruiny o wytworności smaku tego zamku.

Historia miast średniowiecznych węgierskich żywo przypomina nam rzeczypospolite włoskie: odbywały się między niemi spory, które się wyrażały w bitki i wojenki. Najzacieciej kłócił się Kesmark z pobliską Le-

woczą, spierając się nieustannie o pierwszeństwo: głównie szło im o składy towarów zagranicznych. Lewoczanie utrzymywali, że posiadają wyłączny przywilej ich odpieczętowania; to samo utrzymywali Kesmarczanie. Podczas wojen między Ferdynandem I a Janem Zapolyą, Kesmarczanie otrzymawszy od Hieronima Łaskiego wojewody sieradzkiego pomoc 400 ludzi, zaczęli wojnę prowadzić, która dopiero ustała, gdy Ferdynand I sam nad Węgrami objął panowanie. Za wstawieniem się Łaskiego zyskali Kesmarczanie, że przyznane zostały obydwom miastom składy towarów zagranicznych.

Aby mieć wyobrażenie o sposobie prowadzenia tych sporów, przytaczam ustęp z pamiętników miasta Kesmarku, (*Memorabilibus urbis Kesmark*), zachowanych w archiwach tego miasta:

Roku 1530, dnia 31 maja po święcie Bożego Ciała. stoczyli bitwę Kesmarczanie z Lewoczanami pod miastem Nowa-wieś czyli Igłó, i spędzili nieprzyjaciół z pola bitwy. Wielu poległo; Kesmarczanie 114 Lewoczan wzięli do niewoli, przywiedli do miasta swego, i w kajdanach pracować zmusili. Nowa wyprawa nastąpiła tegoż samego roku 8 października po święcie św. Franciszka: wypadłszy Lewoczanie zajęli stada koni i krów należące do mieszkańców wiosek Landok, Prybus i Rakusy, i uprowadzili je. Gdy przybyli do wioski Klein-Szlagendorf, dopadli ich Kesmarczanie, porazili, i w tej potyczce legło znów wielu Lewoczan. Nad Klein-Szlagendorf wznosi się kopiec, w którym pochowano w jednym dole 49 Lewoczan, a 19 niewolników odprowadzono do Kesmarku, z których ośmiu ścięto, ponieważ raz już byli do niewoli wzięci, i uszli z niej potajemnie.

O miasteczkach na zachód od Kesmarku pod Tatrami położonemi, niewiele co da się powiedzieć; mniej więcej są do siebie podobne, i wszystkie charakteryzuje przewaga elementu rolniczego nad przemysłowym. Aczkolwiek widać w każdym jedną i drugą gałąź bardzo rozwiniętą, najznakomiciej przeważają w nich farbiarze płócien i garbarze. W samym Kesmarku farbują corocznie 2 do 30,000 łokci ciemno-niebieskiego płótna, i sprzedają w Debreczynie i Peszcie; mniej wyrabiają inne miasta. Powszechnie w tych miasteczkach

jest kilka porządniejszych domów, należących do lekarza lub majątniejszego pobliskiego obywatela wiejskiego. Prawie wszystkie te miasteczka były zastawione Polsce; nazwy bliższych Kesmarku są: Lubica albo Leibitz, Bela, Georgenberg albo Mons-Georgii i Spizka Sobota, Telka albo Welka, Poprad także Deutschendorf; Werchowa nazywa się po niemiecku Menesdorf, Menishard, Villa Menhardi albo Michelsdorf, po łacinie Michaeli villa, Tworozna, po niemiecku Durlsdorf lub Durand, Kuskinowce albo Reindorf, villa Quirini. Odleglejsze miasta od stóp tatrowych są: Wallendorf z licznemi nazwy, po słowacku Włachy, Olasinum, Villa latina, Podhrad albo Kirchdorf, Kirchdrauf, Sepesz Vorallya, Nowa wieś albo Neudorf, tudzież Iglo (1).

Wszystkie te miasteczka posiadają bardzo rozległe pola; ich mieszkańcy uprawiają je wzorowo, i pomimo ostrości klimatu mają zwyczajnie bardzo piękne urodzaje. Wogólności nie jestto kraina zbóżowa; nierównie lepiej udają się owsy i jęczmiona od żyta; mianowicie len udaje się wybornie, i rzadko gdzie można widzieć większy i dorodniejszy. Podział gruntów, jest tutaj bardzo szczególny: mieszkańcy jednej wioski aby się podzielić w równi dobremi i miernemi polami, pokrajali wszystkie grunta na pasy, ówierć, a niekiedy i pół mili długie, i na 10, a czasem i 5. zagonów szerokie. Od stóp Tatrów ciągną się wstęgi obsiane różnobarwném zbożem. Jestto podział wprost przeciwny jak w Ameryce północnej, gdzie właściciel siedzi w środku swój roli, aby do niej z łatwością chodził i bronił od szkód, których trudno, aby według spizkiej metody był w stanie zawsze ustrzedz. Każde miasteczko i wieś ma wspólne pastwiska; na nich widać nader liczne stada koni i wo-

(1) W Starożytnej Polsce Lipińskiego i Balińskiego mnóstwo jest przemienionych nazw tych miasteczek. Widać, że się zawsze działo podobnie jak teraz; każdy sądzi, chociaż ledwie poznał imiona miast i gór pewnego kraju, że ma upoważnienie według siebie przemieniać geograficzne nazwy, których na miejscu nikt nie zna i z trudnością dorozumiewa się ich znaczenia. Madziarscy geografowie wszystkie te nazwy znów według siebie zmienili, i po kartach popisali, np. na pięknej karcie Schedeusa po dwa kroć wydanej. Nieraz się wydarza, mając w ręku podobną kartę, że nie można się dopytać mieszkańców o dobrze im znane miejsca. Ten obłęd widać nie ustaje i ma zawsze swoich czcicieli. Coś podobnego jest u nas i w umiejętnościach przyrodzonych; powierzchowni ich uprawiacze ciągle przemieniają nazwy, sądząc, że potomność o nich nie zapomni. Szczęśliwi!

łów; dla owiec mają zwyczajne swe hole w Tatrach, i od nich pochodzą niemieckie nazwy dolin albo szczytów.

Rox. Do najwspanialszych krajobrazów należy widok z Kesmarku na Tatry, i téj właśnie okoliczności przypisać należy owę chęć tutejszych mieszkańców wykrycia w tych górach drogich metali; bo ludzie ci marzący, sądzą, że jeżeli te szczyty odznaczają się olbrzymością, również zawierać muszą to, do czego człowiek przywiązuje najwięcej wartości. Zdanie to przekazują sobie od niepamiętnych czasów Kesmarczanie od jednego do drugiego pokolenia, a do tego usposobienia przyczyniła się także alchemia, i do reszty zabałamuciła umysły, niezbyt usposobione do zdrowego rozumowania, wolnego od przesądu. Niektóre familie potrafiły dobytek dla wykrycia złota, srebra i dyamentów; a chociaż przykłady liczne okazały przeciwne skutki, nie powstrzymały się one od szukania: nie zraża to wcale młodsze pokolenie, i ciągle odbywają wyprawy na drogie metale. Naprzeciw Kesmarku wznoszą się najwyższe szczyty tych gór; w nich pokazywały się ślady kruszcu miedzianego, i to podsyca wiarę tę szkodliwą. Doliny do Kesmarku przynależące leżą na końcu wschodnich Tatrów; odznaczają się nadzwyczajną dzikością, a przyroda ich obrana prawie ze wszystkiego życia. Droga do nich prowadzi przez miasteczko Rox, które Słowacy nazywają Rakusy: znane nieco więcej dla słabego źródła siarczanego, i kąpeli odwiedzanych przez mieszkańców okolicznych. Nad Rakusami wznosi się mała piramidalna góra Stösschen, gęstym lamem siarkowym okryta. Z górą tą zaczynają się wschodnie Tatry. Stösschen nie składa się z granitu, lecz z czerwonego piaskowca okrywającego granit. Wahlenberg oznaczył jej wyniesienie nad morze 4871 stóp; gdyby ta góra była odosobniona, uchodziłaby za bardzo wysoką; jednakże przy dwa razy prawie wyższych szczytach, mało zwraca na siebie uwagi. Zstąpiwszy z téj góry, weszliśmy do nieco dłuższej doliny, prowadzącej do znanéj Jaworyńskiej, przez grzbiet zwany Koperszady. Głęboka ta dolina ciągnie się na granicy pomiędzy wapieniami a granitem; na pierwszych skałach widać bujną roślinność, na drugich same prawie kamienie rozrzucone. Góry wapienne Jagnięcia, także Lämmersberg i Jatki, okrywają się

zwyczajnie bujnym kobiercem kwiatów. Grzbiet Koperszady ma nazwę od zarzuconej kopalni miedzianej rudy, i oczywiście pochodzi z niemieckiego Kupferschachte. Teraz nie ma najmniejszego śladu szybu lub kopalni, a w skałach wapiennych nie odkryto w łatrach rud miedzianych, i dlatego sądzę, że może były dalej w granitach, a tu stały tylko mieszkania górników lub były składy kruszców.

Z Koperszadów zstąpiliśmy do kolistej doliny, w której jezioro Weisse-See się rozciąga. Ramiona tej doliny opierają się o najwyższe szczyty łatrów, o Łomnicki i Lodową. Rozrzucone siwe kamienie, sterzące skały, kupki skartowaciatłej kosodrzewiny, tu i owdzie mały trawnik, smugi śniegu w gruzelki zamienionego, zwierciadło wody jeziora, i sklepienie niebios: to są przedmioty, na których spoczywa oko w tych wysokich stronach, gdzie zima siedzi, i chłody daleko na południe i północ, aż poza Wisłę wysyła. Sama nazwa tej doliny wskazuje, że tu się znajduje jezioro (Weisse-See, Białe jezioro), rozciągające się pod szczytami Weisse-See-Spitze 6,700 stóp, i góry Durlberg 5586 stóp wysokości, według pomiarów szwedzkiego często wspomnianego botanika. Jezioro to podłużne ma około 1,500 kroków obwodu, i leży na wyniesieniu 4,918 stóp. Wody jego w środku mają jasno-zieloną barwę, a na obwodzie czarniawo-zieloną od bagnistego spodu. Właśnie zmierzchało się, kiedyśmy przybyli do szałasów nad tym jeziorem stojącego, do szałasów kesmarskiego, należącego do tego miasta. Jak zwyczajnie, przyjęli nas juhasy z gościnnością, częstowali słodkiem i kwaśnym mlekiem, świeżym owczym serem. Aby wieczór skrócić, dał się słyszeć jeden z juhasów na kozie; nie można zaprzeczyć, że ten instrument w górach nie mały ma powab. Pasterze ci są tutaj z Podhala najęci z pobliskich wiosek. Nie mogę zbyt chwalić noclegu w szałasie na ławie; ta chociaż jest celnym miejscem, niebardzo jest wygodną: jednakże zmęczenie dziwnie czyni ją lepszą niżeli się wydaje.

Gdy pierwsze promienie zajaśniały na otaczających szczytach, postępowaliśmy nad kosodrzewinę na wyższy próg tej doliny, gdzie leży jezioro Schwarze-See, znacznie mniejsze od poprzedniego; głębokość jego ma

dochodzić do ośmiu sążni. Niedaleko ztąd jest żyła w granicie, zawierająca miedź: kiedyś była to kopalnia, ale dla małej wydajności, jak pospolicie w tym pasmie, zarzuconą została, i teraz na ścianie zwaną Kupferwand widać smugę zieloną od rozkładającej się rudy miedzianej.

Niedaleko ztąd uważałem w roku 1839 istotny lodnik (glacier); była to podłużna masa lodu na pochyłości boku, 150 długa, a 30 kroków szeroka. W środku miała podłużne wydrążenie, tworzące pewien rodzaj sklepienia; na spodzie płynęła struga, podsycana wodą z topniejącego śniegu. Właśnie bardzo ciepły dzień czynił przyjemny pobyt pod tém sklepieniem lodu; ostrzegał nas przewodnik, że nie jest bardzo bezpiecznie zapuszczać się w głąb, gdyż nieraz zawałają się lody i zagrażają życiu.

Dolina Weisse-See dzieli się w końcu na dwa ramiona: prawe prowadzi do doliny Czerwonego jeziora (Rother-See-Thal) z wodami na dnie czerwonymi od porostu téj barwy, powlekającego kamienie jego dna. Według Wahlenberga jest 5,472 stóp wyniesione, a nad niem wznosi się piramida granitowa Rother Thurm (czerwona turnia) 7,200 stóp wysoka, i Karfunkelthurm (dyamentowa turnia), zakończona szczytem jakby cylindrowym; z téj przyczyny nikt nań nie wstąpił. Pomiedzy ludem krąży powieść, że na szczycie ostatniej był niezmiernéj wielkości dyament, lecz spadł do jeziora i tylko podczas nocy roznieca tajemnicze i pełne uroku światło, odbijające się od gwiazd i księżyca.

W ramieniu lewém leży jezioro Grüne-See, znacznie niżej jak poprzednie, 4,695 stóp wysokie, a nad niem sterczy turnia Grüne-See-Spitze 7,700 stóp wysoka. Małe to jeziorko ma obwodu około 300 kroków. Charakter dolin wymienionych jest prawie jednakowy; wielkość wymiarów nadaje im uroczyście wejrzenie. Ostrość klimatu przyćmiła życie organiczne i nie dozwala się rozwijać drzewom i krzakom; tylko po ziemi widać trawy gdzieś niedzie rozrzucone, a na nich pasące się najszybciejsze zwierzęta, dzikie kozy, dla których wraz z świstakiem jest właśnie pożądany stopień ciepła.

Schmecks. Dobra mila na zachód od góry Stösschen czyli od końca wschodniego Tatrów widać zdala

z niemieckiego Spiża w pasie leśnym, ciągnącym się na boku tych gór, a mianowicie na pochyłości góry Schlagentendorfer Spitze kilka nieznaczących domków: jestto Schmek, kąpiele, teraz należące do najwięcej uczęszczanych w Węgrzech północnych. Trudność zachodzi w oznaczeniu, jakie słabości leczy ta szczawa: dlatego łatwo się domyśleć, że więcej zdrowych aniżeli słabych do Schmeku zwykło przybywać. Mało jest kąpeli otoczonych przyrodą bardziej powabną; olbrzymie szczyty z bujną roślinnością zimnej strefy, i znakomite ich wyniesienie (3,064 stóp) jest przyczyną lekkiego powietrza, które sprawia to wewnętrzne zadowolenie, jakie zwykli doznawać goście tutaj przebywający. Kto zna niemieckie, francuzkie lub angielskie kąpiele, nie znajdzie w Schmeku tych wspaniałych gmachów lub wytwornych wygódek, odznaczających się zamożnością i wystawą; lecz znajdzie skromne kąpiele, gdzie przybywającego przyjmują jakby w własnym domu, z uprzejmością, cechującą narody bliższe swego początku; gdzie serce przeważa nad wyrachowanie rozsądku. Dwa długie drewniane pawilony od siebie równoległe, zostały na początku tego wieku wystawione i stanowią główny zakład; w samym końcu, pomiędzy nimi, stoją łazienki, oparte o wznoszący się bok góry. Główny pawilon wznosi się nad samą szczawą: w nim jest mieszkanie gospodarza i sala, a zewnętrzna część przyozdobiona na sposób szwajcarski. Z obwodzącego ganku jest widok na nieprzeliczone sioła i miasteczka Spiża niemieckiego, i wznoszące się niższe pasma, które zamykają widokrąg. Za drugim pawilonem stoi kilka mniejszych domków i stajnie. W pobliżu łazienek, około 100 kroków dalej wznosi się długi budynek o piętrze, przed kilką laty wystawiony na wzniesieniu, z wcale wygodnymi i miłymi pokojami, a z których Spiż przedstawia się w całej świetności.

Panuje tutaj patryarchalne życie: goście zdają się składać jedną wielką rodzinę; razem w jadalnej sali obiadują. Po skończonej wieczerzy, powszechnie wynosi służba długie ławki, stoły zsuwają, podłogę zamiatają, i daje się słyszeć wyborna muzyka cygańska. Ludzie ci aczkolwiek niepozorni, obdarzeni są niepospolitym talentem: wygrywają tańce z taką doskonałością, że tru-

dno gdziekolwiek słyszeć doskonałej i z większym czuciem wykonanych mazurków, walców, a szczególnie narodowego tańca węgierskiego, pełnego melancholizności czardasa. Nie jest to taniec podobny do naszych, w których wszyscy razem tańczą; jedna lub dwie pary występują i popisują się nie tylko tańcem, ale zmieniającymi się ciągle figurami. Gdyby nie czardasz, nie można by domyśleć się, że się na Węgrzech znajdujemy; zupełnie bawią się podobnie jak na europejskich wieczorach. Czasem wysunie się do walca niezbyt smukła gospodyni z jakim znajomym tancerzem; słyhać szmer ogólnego zadowolenia i wszyscy poklaskują tańczącym.

Najliczniej goście przybywają do Schmeksu w lipcu i sierpniu; na końcu września nie masz już nikogo, bo klimat tutaj jest zbyt ostrym. Sławę swoją winny te kąpiele dawniejszemu dzierżawcy a teraźniejszemu ich właścicielowi p. Rainer, który czystą chęcią wzniesienia tych wód i nieugiętą wytrwałością uczynił pobyt tamże bardzo przyjemnym i tanim; od pewnego czasu liczba gości powiększa się rok rocznie, gdy w innych bardziej wziętych kąpielach, jakoto: w Bardyowie, Trenoczynie coraz bardziej upada. Schmeksu szczawa nie posiada wprawdzie żadnych szczególnie leczących właściwości, należy do rzędu kwaśnych wód żelazistych i wytryskuje z granitu, zawiera gaz kwas węglowy obficie, i jest smaczną i orzeźwiającą; w picciu można ję z winem używać. Kwas węglowy tęj szczawy rozłożył zupełnie granit z którego wytryska; zmianę tę widać na znacznej przestrzeni, i z najtwardszej powstała krucha i ziemista skała, otrzymawszy brunatną albo pomarańczową barwę. Feldspat do składu jego wchodzący, zmienił się na masę do iłu podobną lub rozpada się w piasek, gdy nań działa powietrze. W pierwotnych czasach kuli ziemskiej, dobywanie się tego gazu musiało być nierównie potężniejszym, albowiem nie tylko przy źródle, ale na przestrzeni 4 do 5,000 stóp długiej, granit uległ tęj zmianie. U stóp Tatrów, ćwierć mili niżej od Schmeksu osadziły się potężne pokłady pewnego rodzaju ziemi porcelanowej, z której przy kopalni Johannisstollen na Spizu wyrabiają fajans średniej wartości. Nie można dokładnie przekonać się o grubości pokładów tęj białowo-szaręj glinki, bo ją zatapia woda deszczowa.

Prócz szczawy, nieprzeliczone źródła słodkiej wody tryszcą przy Schmeksie. P. Rainer umiał z nich wybornie korzystać: urządził zakład na wzór Pryschnitza, tusze różnego rodzaju i inne do tego potrzebne przyrządy, i przez kilka lat był lekarzem wodnym. Niemało przyczyniło się to do wzniesienia Schmeksu. Zakład ten rozpoczął się właśnie w czasie (1840), kiedy na Węgrach używanie zimnej wody stało się rzeczą mody u ludzi lepszego towarzystwa. Wino oddano wtedy zupełnie gminowi, i wśród wodnistego sażu, mianoby sobie za ujmę używać wybornego soku, nawet z jagody tokajskiej. Jeszcze większa liczba gości zjeżdżała się odtąd, aby używać jednej z najlepszych wód górskich. Picie wody a wzgarda wina trwało przez kilka lat; lecz nie chcący wyszło to zupełnie z zwyczaju, hydropata lekarz nie był bardzo pilnym, wreszcie nie przybywał, i teraz wodne kuracje odbywa każdy sam według swego przepisu. Widać jeszcze niejednego jak biega pod wodospad, założony na większe wymiary.

Hydropatyi winien Schmeks założenie bardzo dalekich chodników do doliny Gross Kohlbach, i uczyniły te kąpiele miejscem najdogodniejszym dla zwiedzenia szczytu Łomnickiego. Wykonał to p. Rainer, gdy nawet nadziei nie mógł mieć, że kiedyś stanie się posiadaczem tych ponętnych kąpieli.

Kto zamierza zwiedzać doliny i szczyty Tatrowe na stoku południowym Tatrów, znajdzie tu wszystko co mu jest potrzebnem do tego: przewodników obznajmionych z ścieszkami, prowadzącymi na najwyższe szczyty, konie umiejące się wspinać na szczyty, i pożywienie. Trzeba tylko dniem pierwój zapowiedzieć gospodarzowi, a ze wschodzącem słońcem zastaje się wszystko i czekających przewodników. Wyborny gospodarz Schmeksu z największą przezornością stara się wyprawiać podróznego na wysokie góry, i trudno iżby lepié można być z własnego domu opatrzonym. Ta ujmująca prostota obyczajów, ta dobroćliwość z jaką bywają podejmowani goście, ma w sobie coś nader przyciągającego. Życzymy tylko, aby ten stan rzeczy potrwał jak najdłużej.

Nie ma nic wspanialszego a zarazem okropniejszego jak burza w Schmeksie. Deszcze zwyczajnie padają tutaj w nierównie większych kroplach, aniżeli pospoli-

cie w równiach: uderzania zaś piorunu tak są mocne, że się skały rozsypują. Nic straszniejszego nad to, gdy się szybko powtarzają uderzenia; wtedy każdy grzmot odbija się po nieprzeliczonych dolinach, a gdy jeszcze się nie ukończył, już daje się słyszeć drugi, trzeci i następny: wtedy nie ma między nimi przestanku, i trzaski zmieniają się w jeden ryk olbrzymi. Było to śród nocy, gdym doświadczył takiej burzy: błyski piorunu oświecały na chwilę okolicę, aby ją okryć tém większą ciemnością.

W wysokich Alpach wszystko ma olbrzymie wymiary, i to się odbija w ludziach na nich przebywających.

Schlagendorfer Spitze nad Schmeksem. Dobra mila na zachód za górą Stösschen, właśnie poza bruzdą przedzierającą całe pasmo, czyli raczej dolinę Grosse Kohlbach, nad którą sterczy szczyt Łomnicki, wznosi się nad samym Schmeksem, bardziej od innych wysunięta piramida z granitu, Schlagendorfer Spitze. Pod jęj szczytem wystaje z boku skała; upatrują w nięj podobieństwo do nosa, i ztąd powszechnie jest nazywana Koenigsnase. Wstąpiwszy na tę górę, okazuje się ten pozornie mały wysokok jako potężna skała, oddzielona rozległą doliną od samego szczytu, według Wahlenberga około 7,200 stóp wysokiego. Potężna ta massa granitowa dzieli jakby klinem dwie wielkie doliny: Grosse Kohlbach i Fölkerthalu.

Dolina Grosse Kohlbach, i szczyt Łomnicki. Dolinę tę najcelniejszą na południowym stoku Tatrów, podobano się Staszicowi nazwać: wielki Kolibah. Sami tu Niemcy mieszkają, wszystkie strumyki, góry, skały, nazywają swym językiem, i dlatego tej doliny nazwa jest czysto niemiecka. Podobne przemienianie sprowadza zamieszanie. Dolina Kohlbach, albo jak inni chcą Kahlbach, zdaje się że stanowi część parku należącego do kwaśnej wody. P. Rainer rozwinął dla wzniesienia tego zakładu niezwyčajne starania, w czasie nawet, gdy nadziei nie mógł mieć, że kiedyś na jego własność przejdzie zakład kwaśnej wody Schmeksu. Istniała bowiem w Węgrzech ustawa, mocą której własność nieruchoma należała wyłącznie do szlachty, i nikomu nie mogła być sprzedawaną, bo ziemia nie była jako własność przywią-

zana do osób, lecz do familii, a gdy ta wygasła, przypadała do korony. Były to majoraty, które otrzymywali w spadku synowie właściciela, i niemi dzielili się w nieskończoność. Grunta Schmeksu i lasy aż do grzbietu tatrowego, należały do hrabiów Czakich, których przodek w X wieku przybył z Arpadem do Węgier, i otrzymał w lenność obszerną część Spiża wraz z zarządem tej krainy. W pamiętnym roku 1848 zaszła zmiana w odwiecznych stosunkach posiadania. Sejm węgierski zniósł lenne posiadanie nieruchomości, a młody p. Rainer nabył od hrabiego Czaki kąpiele Schmeksu, i odtąd rozwijają się jeszcze znakomiciej. Co rok zaprowadza nowe polepszenia, powstają nowe gmachy, raz wraz zaprowadza nowe ulepszenia. Kto wie, czy z wygodami i wytwornością nie zatrą się owe serdeczne, pełne prostoty zwyczaje. Drożki, jak wspomniałem, od Schmeksu wychodzące do doliny Grosse Kohlbach, są bardzo długie: najcelniejsza prowadzi do wodospadu. Przypatrywać mu się wygodnie można ze skały zwanój Kämmchen. Wody strumienia Kohlbach spadają z trzech potężnych granitowych progów; z skały 200 stóp wznoszącej się nad strumyk, widać zarazem cały obszar doliny, i niezmierną masę skalną, z której wznosi się smukła piramida Łomnicka, w całych Tatrach najwyższa (1).

Na wszelki przypadek szczyt nad doliną Kohlbach należy do najwyższych w tém pasmie; według pomiaru Wahlenberga, wysoki na 7,942 stóp paryzkich (2). Na za-

(1) P. Grainer utrzymuje, że szczyt Bатыszowski jest wyższym od Łomnickiego, i twierdzenie swoje miał poprzeć dowodami; a że od kilku lat tego nie uczynił, zachodzi wątpliwość, czyli to twierdzenie jest rzeczywistem.

(2) Wielu autorów większe podaje wyniesienie tego szczytu, niepodając wszakże sposobu, jakim doszli do tego wypadku. Nic łatwiejszego, jak popełnić błędy w pomiarach za pomocą barometru, mianowicie bez dostatecznej wprawy, a nadto, jak się często wydarza, bez ściśle zrobionego barometru i odpowiednich obserwacji, na stałe oznaczonóm miejscu. Ztąd pochodzi ta rozmaitość podanej wysokości różnych pisarzy dla szczytu Łomnickiego; i tak: Townsend oznacza jego wyniesienie nad poziom morza 8100 stóp, Lisganik 8311 stóp paryzkich, Csaplowicz w obrazie węgier (Gemaelde von Ungarn T. I. s. 96) podniósł je do 9180 stóp, Szepezbazy i Thiele (Merkwürdigkeiten des Königreichs Ungarn t. I. str. 90) zniżyli do 8200 stóp. Jakiś błąd musiał popełnić Beudant, gdy trygonometrycznie oznaczył wysokość Łomnickiego szczytu 7470 stóp paryzkich (Voyage en Hongrie t. II str. 113). I średni wypadek przez Sydowa obliczony 8194 stóp, nie ma również znaczenia, bo się opiera na samych niepewnych danych, wyjąwszy pomiaru Wahlenberga.

chodnim boku widać potężne ściany uwieńczone piramidami: jedna z nich ma jakieś podobieństwo do domku szwajcarskiego, i goście Schmeksu nazywają tę skałę domkiem szwajcarskim, Sch weitzer Haüsschen. Naprzeciw zaś wyskakującą skałę zrówniny kamieniem zbójckim, Räuberstein, dla przesiadywania na nim zbójców. Życzyłoby należało, aby pomiar téj najwyższej góry w Tatrach, a nawet we wschodniej części został powtórzony. Postępując od kamienia K ä m m e h e n i wodospadu w głąb doliny, zdaje się że się ściany rozszczepią dźwigając piramidę Łomnicką. Potężny wirch Mittlerer Grad, rozdziela ją na dwa ramiona (nasi górale nazywają taki sposób występowania góry pośredni wirch, stoi bowiem w pośrodku między dwiema dolinami): prawe czyli wschodnie zatrzymuje nazwę Grosse Kohlbach, lewe czyli zachodnie ramię nazywają Kleine Kohlbach. Na końcu pierwszej tych widujących się dolin leży potężna piramida Lodowata, z południowej strony, znana pod nazwą Eistalerspitzte. Wirch ten uważa Wahlenberg za najwyższą górę w Tatrach; u jej stóp leżą cztery jeziorka. Przyroda martwa rozwija się w zupełności w dwóch tych dolinach: na bokach i spodzie ich rozsiane bryły granitu, na wielu miejscach wyskakuje z boku skała, a pod nią zwykle widać kupkę zielonej skartowaciatéj kosodrzewiny, albo kępę trawy, lub zawadzimy o kwiatek mroźnej strefy. Pod samą Lodowatą liczne są pasy i płyty śniegu, które zasycają strumienie na dół pędzące, i nieraz rozbijają swe szmaragdowe wody w białą pianę. Na samym końcu doliny są cztery małe stawy, blisko od siebie. Jeszcze dzikszą jest dolina Kleine Kohlbach, bardzo wązka i nader kamienista. Na drodze ku Łomnickiemu szczytowi odkryli wieśniacy z wioski Alt Waldorf żyłę w granicie, zawierającą rudę miedzianą: ale jak zwyczajnie w tém pasmie nie była zbyt obfitą, i po wielkiem wysileniu musieli ją opuścić. Wstęp na szczyt Łomnicki aż pod piramidę nie jest trudny: można nawet jechać konno, ale odtąd trzeba iść pieszo, bo około sto kroków jest bardzo trudnych do przebycia, a nadto trzeba mieć dobre nogi i nie cierpieć zawrotu głowy. Widok ze szczytu Łomnickiego jest wielki i wspaniały. Na znacznych wysokościach doznajemy niezwykajnych wrażeń: lekkie i świeże powietrze jest nieporównane. Wszystkie

nierówności urodzajnego Spiza, poorane tyłoma dolinami, zdają się spływać w jedną płaszczyznę; samo pasmo bardzo jest najeżone, tylko głębokie doliny rozdzielające masę granitu, przedstawiają się jakby szczeliny wązkie, a niejeden potężny szczyt wydaje się jakby nieznaczny kopczyk. Nadzwyczajny brak roślin powiększa nierównie silniej samotność. Wstęp na Łomnicki szczyt nie jest tak trudny: corocznie wielu gości Schmeksu zwykło nań wstępować a nawet i damy. Właśnie kiedyś byłem w tych ponętnych kąpielach, pokazywano mi młodą pannę z pobliskiej wioski, pełną powabów, która na sam szczyt wstąpiła, a wróciwszy przybyła do sali na wieczór i do północy tańczyła. Wspominam o tym szczególnym wypadku, nie tak łatwo powtarzającym się.

Dolina Völkertal. Trzecia wielka dolina od wschodu ma nazwę od miasteczka Volka albo Wielka; powszechnie jest znana na Węgrach od gości bawiących w Schmeksie, bo liczne zład towarzystwa zwykły udawać się do niej. Nietylko odznacza się malownemi widokami, ale i pod względem geologicznym: nie przerywa bowiem samego granitu. Wyjątkowo w tem pasmie pokazują się potężne pokłady gnejzu, z dosyć obfitemi granatami w jednym z boków zwanym Granatenwand. Gnejz jak najściślej łączy się z granitem, a tém samém jednocześnie powstały dwie te skały; pierwsza różni się tylko większą ilością miki, wchodzącej do jej składu, sprawiając oddziały warstw. Granaty te nie są piękne, bez żywej barwy, zaledwie nieco przepuszczają światło i nie mogą służyć do ozdób. Wielu rozmyślało podczas pobytu w Schmeksie, czyby ten kamień nie dał się naprawić: daremneto kuszenie się, nie prowadzące do żadnego celu. Granatów podobnych nierównie więcej jest na świecie, aniżeli sobie wystawiamy; doskonale do ozdób zdadne ograniczają się do niewielu miejsc, a jeszcze niezbyt są cenione.

Dolina, którą właśnie zamierzam kilkoma rysami skreślić, w porównaniu z doliną Kohlbachu jest bardzo wązka, i można ją uważać za szparę pomiędzy potężnemi piramidami granitowemi czyli wirchem Gerlachowskim, o którym utrzymują, że jest wyższym od Łomnickiego i Szlagendorfer-Spitze. Idąc od Volka w górę,

dolina z początku jest bardzo wązka i lesista; nie ma w niej drogi wozowej, tylko trzeba ją na koniu albo pieszo zwiedzać. Wśród bujnych świerków i jodeł otwierają się nieprzeliczone widoki, jeden od drugiego piękniejszy. Strumień spada w nieprzeliczonych wodospadach z okrąglic granitowych, a niczem niewstrzymany zmierza do celu nieustannie: raz wznosi się aby spadać, to znów omija w drodze leżące okrąglice, i zmienia swój szmaragdowy płyn w białą jak śnieg pianę. Wyższa część doliny zaczyna się z kresem lasów; odtąd są trzy potężne progi, a na każdym jezioro otoczone niezmiernymi kupami szarego granitu. Na najwyższym progu rozciąga się jezioro zwane Volker-See. Wahlenberg oznaczył 4,997 stóp paryzkich jego wyniesienia nad poziom morza; ma postać podłużną: 400 do 500 kroków długie, a 100 do 150 kroków szerokie, leży przy skale wznoszącej się od wirchu Gerlachowskiego. Chociaż ma piękne zielone wody, niebardzo przecież jest głębokie. Bok wschodni wznoszący się nad tém jeziorem, zawiera granaty, i od nich otrzymał nazwę ściany granatów, Graniten-Wand. Wstęp na drugi próg, aczkolwiek jest dosyć przykry, bo trzeba wstępować prawie na prostopadłą ścianę śród brył granitowych, pomiędzy którymi rzadko trawkę albo kwiatek widać, nie jest wszakże bez uroku. Z boku sterczy potężny szczyt Gerlachowy kocioł, tak nazwany dla wielkiego zagłębienia ze strony południowej, z przeciwnej zaś ciągnie się rząd jakby potężnych wieżyc ku północy schylonych. Na znacznej równinie 5,459 stóp wysokości, według często wzmiankowanego szwedzkiego botanika, rozpościera się także wyższe podłużne jezioro, wysyłające swoje wody zpośródka wieńca kosodrzewiny w potężnym wodospadzie do niższego, właśnie co opisanego stawu. Fizjonomia otaczającego krajobrazu jeszcze smętniejsza: skały siwe, kosodrzewina w kupki zebrana i nadzwyczajna cisza, wywierają na umyśle jakieś dziwne usposobienie, którego trzeba doświadczać, aby je dostatecznie ocenić. Wirchy przy piérwszém jeziorze wznoszące śmiało czoło pod niebiosa tu widocznie zmały: nie poznajemy ich prawie, iżby to były też same olbrzymy.

Nie tak trudny jest wstęp na trzeci próg jak na drugi, gdzie leży najwyższe jezioro, również podłużne;

ciągnie się ono wzdłuż doliny, wymiary jego nieco mniejsze od pierwszego, bo jest 300 do 400 kroków długie, a 80 do 100 kroków szerokie; leży na wyniesieniu 5817 stóp, i należy do najwyższych w Tatrach. Już i koso-drzewina go opuszcza, tylko przy nióm skały i rzadkie trawki. Wśród samych kamieni, godzinę trwa droga na grzbiecie najwyższym, dzielącym dolinę Volkerthal od doliny Paduplaski, należącej do Spiza polskiego. Kiedyśmy dnia 25 sierpnia 1851 roku spoglądali z tego grzbiecia nazywanego ze strony spizkiej polskim (polnischer Gral), według Wahlenberga około 6500 stóp wysokiego, widać było ze strony północnej jezioro jeszcze nieodtąjane zupełnie, mające w środku jakby czarne oczko wody. Dziwna to rzecz, dlaczego w tak smutnej i obumarłej przyrodzie, zwiedzający doznaje niewymownego zadowolenia i jakiejś lubości, a przecież nic nie uderza niezwykłą postacią lub bogactwem roślinności. Nie ma wątpliwości, że takie usposobienie głównie sprawia mniejsze ciśnienie warstwy powietrza, i nieustanna zmiana widoków, utrzymująca ciągle umysł w pewnym rodzaju napięciu. Wchodząc na wysokie miejsca, potrzeba zwyciężać przeciwności, a ztąd obudza się dzielność ciała, o której sami nie wiedzieliśmy.



DWOREK I PAŁAC.

POWIEŚĆ

PRZEZ

H. St. Wojcickiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Nazajutrz chorąży raniutko zerwał się wraz z domownikami na łąwy, i chciał budzić gościa, aby im towarzyszył; ale dowiedziawszy się od Zakliki, jak późno zasnął, cichaczem dwór opuścił nie budząc nikogo.

Zaręba snem twardym spoczywał, a dziwne obrazy snuły mu się w marzeniach nocnych. Snił, że słyszy ulubiony, cichy szmer swój puszczy, gdy słońce pogodnie w poraniu przyświeca, a rosa kroplista perli zboże, łąki i zioła; że słyszy gruchanie owych w darze przystanych gołębi i karmi je rzucając groch z ganku dworku; że czuje opartą o ramię bogdanę swoję, którą mu wolno nazywać słodkiem imieniem żony. Zdala, jak we mgle, przesuwały mu przed oczyma i sędziwa postać ojca, i rodziców Kasi, i pana Kacpra z dobytą szablą, i Malchera nawołującego strzelców do zboru myśliwską trąbką. Nagle ujrzał całe domostwo w pożarze: rzucił się z krzykiem, znikła postać Katarzyny, a obłany potem zbudził się i zerwał z łoża. Słońce zimowe uderzyło w okno, zegar wybił ósmą: porwał się co prędzej, ubrał i wy-

szedł do jadalni, gdzie zastał już przygotowane dla siebie śniadanie i stojącego przy kominie Zaklikę.

— A gdzie pan chorąży?—zapytał z pochmurném obliczem Zaręba swego pachotka.

— Ho! ho! pan chorąży jeno świt ruszył do kniei, i niedługo wróci zapewne. Tyło co myśliwych nie widać.

— A panie?

— I panie dawno wstały, Wielmożna panna chorążanka sama przygotowała własną ręką dla pana śniadanie....

Na to wspomnienie uśmiech radości przebiegł na obliczu Zaręby, zapomniał o przykrém widzeniu we śnie, i rzeźwo zasiadł do spożycia śniadania.

— Czy my tu długo zabawimy, proszę pana?—zapytał po chwili Zaklika.

— Albo co?

— A bo proszę pana, pan chorąży kazał chomonta i całą uprząż nam schować; nawet biczysko staremu Grzeli zabrano, to téż chodzi osowiały, jakbyto kto inny w jassyrze bez szabli.

— O! prawda mój bracie, jestem tu w prawdziwym jassyrze.

I wymówiwszy te słowa Zaręba westchnął, oparł głowę na rękę i utonął w zadumaniu. Ale wkrótce rozbudził go z marzenia odgłos kilku trąbek myśliwskich, wygrywających piosnkę powitania, i grzmiący głos chorążego:

— A co, czy wstali spiochy we dworze? A wyrzyjże do nas Waszeć Maciejku choć przez okno; patrz i podziwiał, że my tu choć puszczy nie mamy, ale grubego zwierza nie braknie.

Zaręba wybiegł co rychléj i ujrzał na saniach tegiego odyńca, starego rogacza i kilka zajęcy. Wybiegły na ten rozgłos i niewiasty, a chorąży ściskając i całując żonę, ze śmiechem serdecznym zawołał:

— A wiesz Wasze Maciejku, dlaczego tak nam szczęśliwie łowy poszły?—bo na szczęście pocałowałem Ewusi kolanko, pan Kacper dostał zapewne tego szczęścia od panny Brygidy, a nasz hetman myśliwski od pani Piotrowej.

— Co téż jegomość nie wygaduje—zawołały razem wszystkie kobiety i uciekły do pokoju.

— Nie chciałem cię obudzić, Wasze Maciejku, boś chrapał jak dzik, kiedy go dobrze osadzą w kniei żwawe a chwytne kundle—mówił chorąży do Zaręby wchodząc do izby.—No, i bez Waści Maciejku na ten raz się obeszło, ale drugi raz nie zasypiaj gruszek w popiele.

Gdy Zaręba podaną dłoń chorążego uścisnął i pocałował go z uszanowaniem w ramię; stary spojrział nań z uczuciem, chrząknął, pokręcił wąsa i wesoło wykrzyknął:

— Hej! hej! Ewusiu! a dajże myśliwcom przegryzkę, a wołajcie pana Kacpra i Malchera, niechże przyjdą na śniadanie. Jużto pewnie przed gwiazdką ostatnie łowy, bo i słońce za mgłą, i wrony a kawki wrzeszczą jak najęte i zbijają się w gromady, i te bestye wilki wyją tak żałośliwie, jakby przeczuwali, że głodu namrą. Snadź, śnieżyca z zamiecią będzie wiać długo. No! ale my tu pod dachem i przy ciepłym kominie spokojnie sobie będziemy gawędzić, ba! i tęgiego ciąć maryasza.

Wkrótce przybyli Kacper i Malcher, a nim stół nakryto i przyrządzono sute śniadanie, weszła chorążyna z Kasią.

Około południa, wedle przepowiedni gospodarza domu, nadpłynęły czarne chmury, zaciemniły cały horyzont, wichura poświstywać zaczęła i śnieżyca powiewać. W kilka godzin śnieg płatami syjąc usłał niedługo ziemię, zrównał się z opłotkami, tak, że z dworu do oficyn, stajni i gumien przekopywać się trzeba było.

Odtąd po całych dniach wszyscy przesiadywali w jadalnej komnacie, którą od porania do późnej nocy oświecał i ogrzewał płomień wielkiego komina. Zaręba swobodny miał czas do rozmowy ze swoją bogdanką, gdy chorąży grał z rezydentem i nadleśnym w ulubionego maryasza; i począł przemyślać, kogoby wybrać na swaty dla prędszego skończenia zalotów, i spełnienia swych złotych marzeń o szczęśliwej przyszłości pod słomianym dachem dworku w puszczy, obok ukochanej Kasi.

Zbliżały się święta i dzień imienin pani chorążyny. Zaręba posmutniał, a pan Dzierżanowski zdziwiony jego tęsknotą, polecił tajemnie panu Kacprowi Płazie, zbadać zdaleka młodego gościa o powody troski.

Pan Kacper zręcznie się uwinął, i nazajutrz rano, kiedy wstawał Zareba i odmawiał pacierz, usłyszał zdziwiony pozdrowienie starego wojaka:—Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

— Na wieki wieków Amen! A to gość pożądany—zawołał Zareba—a siadajże kochany panie Kacprze. Bóg zapłać za odwiedzinę.

Pan Kacper pokręcił węża, usiadł na ławie dębowej przy kominie, podumał chwilę, i wyrzekł:

— Panie Macieju! nie umiem kłamanych słówek obwijać w bawełnę, bo nie nauczyłem się tego ani pod moją chorągwią, ani w obozach: owoż zaraz przystępuję ad rem. Ale poselstwo moje musi być tajemnym, i musisz mi Waszmość podać rękę i dać verbum nobile, że co tu mówić będę, to za próg nie wyniesiesz.

Zareba z podziwieniem podał rękę.

— No, tak dobrze, spadł mi kamień z serca! Pan chorąży uważał, żeś już od kilku dni osowiał, i chce wiedzieć powód i przyczynę, bo Waśc kocha, panie Macieju jak syna, a i my kochamy — dodał zcicha starzec.

Zareba rzucił się w objęcia wojaka, pełen wzruszenia westchnął boleśnie i rzekł po chwili:

— Dziękuję Waszmość panu za otwartość szczerą, a z równą odpowiem. Pan chorąży zna mój afekt dla swiej córki, ale klina mi w głowę zabił, bo żąda, abym przez godnego swata moje uniżone prośby złożył u nóg rodziców. Gdyby był z nami ten (i wskazał na zawieszony na ścianie obrazek męża w węgierskiej czamarce) byłby mi swatem; ale teraz jestem sam, bez ojca, bez matki, bez przyjaciół, sierota!

I pełne łez oczy wzniosł w górę, jakby się chciał Bogu skarżyć na swe sieroctwo.

Pan Kacper powstał, pochwyił go za rękę, i drżącym od wzruszenia głosem przemówił:

— Nie bluźnij Waszeć panie Macieju, bo Bóg widocznie czuwa nad tobą, gdy skłonił ku tobie afekt serca chorążanki; a gdy masz przyjaciela w panu chorążym, we mnie i w panu Malcherze, masz cztery serca oddane sobie, a trzy szable na obronę i postugę! Obetrzyj oczy Waszeć panie Macieju; to babska rzecz płacze, a o swata Waśc się nie turbuj.

— Ale zkąd wziąć go, zkąd wziąć—wołał Zaręba załamując ręce.

— Za trzy dni imieniny chorążyny, a z gości nikt się do nas nie przekopie na taką zamieć straszliwą: rano ja przyjdę do Waszeci, i jako swat oświadczę jego afekt Wielmożnemu chorążtwu.

Zaręba zaczął starca całować i ścisnąć; coby ducha skończył ubranie, i gdy pan Kacper cicho wymknął się z komnaty, a ujrzał Zaklikę na progu, porwał go za rękę, wciągnął do sypialni, i pełen radości szepnął mu na ucho:

— Janku! ja się żenię. Kamień mi spadł z serca! Masz Waszeć dukata, ale ani słówka o tym nikomu; po oświadczeniach będzie można.

— A któż będzie swatem Wielmożnemu panu?

— Głupis Waszeć, to moja w tym głowa—i wyszedł rozweselony do komnaty, w której się już rozlegał radosny śmiech chorążego. Stał przy nim pan Kacper, i zci-cha widać zdawał sprawę ze swego poselstwa.

— Grackość się Wasze panie Kacper sprawił. Bóg zapłać! Nowy kontusz i żupan będzie jutro Waści w oficynie, a dziś przyjmiesz pas stłucki niebieski w gwiazdki srebrne, boć się Waści dawniej podobał.

Pan Kacper skłonił się głęboko, gdy wszedł Zaręba.

— No! no! teraz dobrze mi Waszeć Maciejku wyglądasz, nie tak jak wczora osowiały, zasepiony. Ale cóż będziemy robili, kiedy nosa wychylić na dwór nie można. Ot pogwarzym przy kominie, a potem dalej do maryasza. A gdzie Malcherek?

W tej chwili właśnie stanął na progu wołany myśliwiec, ale ze strzelbą na ramieniu.

— A gdzieżto w czas taki?—zapytał chorąży.

— To już wracam z wyprawy. Sześciu wilków majączyło pod oborą i owczarnią: jeden już leży, i kazałem ściągnąć z niego skórę, a ścierwo powiesić na postrach tym zbójcom leśnym.

— No dzięki Bogu, kiedy się bez szkody obeszło. Siadajże Waszeć, bo już nie puścim z pod dachu—przemówił chorąży.—Po admoniczy takięj nie zajrzą burasy tu przędko do nas.

Pan Kacper po obiedzie dał znak Zarębie, i obaj przekopaną w śniegu ścieżką udali się do oficyny. Tu

gdy w izdebce starego wojaka stanęli, pan Kacper biorąc go za rękę wyrzekł:

— Potrzeba się przygotować panie Macieju do oświadczyn: staropolskim obyczajem złożymy wieniec, a ja przemówię po dawnemu. O wieniec już się postarałem przy pomocy pana Malchera: Wasć czy masz pierścień na zrękowiny?

— Nie mam go z sobą, ale jutro rano przywieźć każę.

— No, to zawiń się Waszeć, bo pojutrze punktem jak wykuka kukułka jedenastą, u pana chorążego stawimy się solennie.

Uściskał starca Zaręba, wybiegł co rychlej, przywołał Zakliki, i błagał go na wszystkie świętości, aby co rychlej z puszczy pierścień i inne klejnoty, zachowane w szkatule, od której mu klucz wręczył, przywiózł, wraz z rzeczami wedle spisu; ale zarazem polecił, aby się z dworu tak wymknął, iżby nikt jego odjazdu nie spostrzegł.

Zaklika ruszył w tej chwili, gdy we dworze siadał chorąży z panem Kacprem i Malcherem do maryasza.

Z bijącym sercem oczekiwał Zaręba powrotu pachotka; ufał jego odwadze i przywiązaniu, a jednak całą noc marzył o różnych przygodach, jakie go w ciągu sześćo-milowej podróży w czas taki spotkać mogły. Jakże się zdziwił, gdy nazajutrz w czas przed południem Zaklika stanął, i doręczył żądany pierścionek z pomyslną wiadomością z puszczy, że wszyscy zdrowi, ale tęsknią, że Wawrzyńcowa z Sochą dali już na wotywę za szczęśliwą przyszłość pana, a nadto przysyła dla młodej pani szkaplerzyk z relikwią, ocierany o obraz Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej: dar wielkiej ceny, bo otrzymany jeszcze od matki pana Macieja.

Pobiegł co żywo do oficyny z tak dobrą nowiną, i znalazł pana Kacpra głośno deklamującego. Pełen podziwu stanął na progu.

— Ha! ha!—zawołał starzec—widzisz Wasze dawno swatem nie byłem, więc przypominam sobie mowę, aby ją gładko i okrągłemi wypalić słowami. Wszystko pójdzie dobrze i składnie. Waszeć nie trać fantazyi, ja Waszeci zaraz wymuszuję, abyś przecie umiał się obracać jak staniemy przed Wielmożnym chorążtstwem. Waszeć, panie

Macieju staniesz po prawicy, a pachotek Waści strojny trzymać będzie pudełko z pierścieniem i klejnoty. Po przemowie mojej Waś upadniesz na jedno kolano, ale z godnością, bo trzeba Waszeci wiedzieć, że my tylko Bogu a rodzicom i siwym włosom taką jedynie czołobitność oddajemy. Pan chorąży odpowie; ja znów pełną replikę, potem puhar i..... skończyło się!

Zaręba słuchał uważnie, gdy nadbiegł Zaklika dając znać, że pan chorąży prosi na obiad. Z upromienionemi obliczami od radości zasiedli pan Kacper i Zaręba: pierwszy, że mu się wybornie udała przemowa; drugi, że zbliżał się czas ziszczenia najdroższych serca i myśli życzeń.

Pan Kacper sadził się na dykteryjki, a chorąży w złotym humorze krzyczał ciągle o nowe gąsiorki wina.

— Hej! Hej! będzieto lat niemało, kiedy w wigilią imienin mojej Ewusi, z bijącym sercem zajechałem ze swatem, panem wojewodą, i przyjęto nas honeste. Co to za złotousty był pan wojewoda! Jak zaczął prawić, to wszyscy z otwartemi gębami słuchali, a w końcu rozplakali się jak bobry. Po sutym obiedzie, w stodole obciąłem kasztelanica, który mi przymówił i chciał odpalić od Ewusi; ale tak obciąłem, że go wynieśli z klepiska i lizać się musiał u cyrulika w Warszawie pół roku. Ja na podziękowanie panu wojewodzie, wieczorem na jego instancją przetańczyłem poloneza świeczkowego i szablowego.

— Cóżto za taniec, mój ojczy?—zapytała ciekawie Kasia.

— Ho! ho! zapytaj się pani matki: ona drżała wtedy jak listek, a nikt go tak dobrze nie umiał tańczyć jak ja. A wiesz jak? Staje kilku pachotków, lub nawet i białychgłów śmielszych kołem, każde trzyma jarzącą świecę w ręku: wchodzę w pośrodek, muzyka grzmi, kłaniam się składnie, gładzę wąsy, dobywam szabli i zamachem pewnym ucinam knot tak nisko, że zapalić się już nie da, aż trzeba świecę obciąć lub obtopić. To raz: potem przyklękają, wnoszą świecę na głowach: tnij znowu, muzyka brzmi, a puhar krąży niepróżny.

— A nie trzymali w zębach?—zapytał pan Kacper.

— Cóż znowu Waszeci w głowie, to już nie przelewki—odrzekł chorąży—możnaby po zębach poorać.

— A ja jakem sodalis marianus gasił i obcinał knoty dwunastu świecom i to krótkim, co je w zębach dwunastu zacnych trzymało towarzyszy husarskich.

I to wyrzekłszy pan Kacper, powstał, wyprostował ramiona, a nucąc zeicha poloneza, ręką zaczął machać, jakby w szablę uzbrojoną. Chorąży dał znak: wszyscy ucichli i usunęli się nieco na bok. Pan Kacper posuwisto szedł żwawym krokiem i coraz głośniej dobywał tonu; nagle zabrzmiał śpiew silnym i czystym głosem, a w nim rozpoznał chorąży i Zaręba ulubiony marsz z pod Żórawna Jana III.

Stary wojak za każdym przejściem i po prześpiewaniu zwrotki nabierał nowego zapału: oczy jaśniały, policzki zrumienione, a oblicze jakby w zachwyceniu. Zdawało się, że nikogo nie widzi: postać cała jak topola wyprostowana dodawała mu wzrostu; lewą rękę włożył za pas, prawą dawał takt sobie lub machał jakby trzymał szablę. Chorąży z zachwyceniem wpatrywał się w swego rezydenta, i mimowolnie zaczął mu wtorować. Zaręba dotąd patrzący w swoją bogdankę, na silniejszy śpiew starców odwrócił się, a znając dobrze marsz polonezowy, połączył swój głos melodyjny ze starymi wojakami. Zagrzmiała wtedy silnie pieśń rycerska; chorąży za przewodem pana Kacpra w odstępnie posuwistym szedł w takt bijąc rękoma, a Zaręba w zapomnieniu puścił się za chorążym.

Kasia z iskrzącem okiem i bijącym sercem słuchając rzewnej pieśni, którą znała z dzieciństwa, bo ją wyuczył ojciec nucąc od kolebki; panna Brygida dotąd milcząca i sama nawet chorążyna, porwane melodyą śpiewu połączyły swoje głosy.

Pan Kacper wpadał w coraz większy zapał: pochylając głowę co kilka kroków, prostował się bardziej i grzmiał pieśnią; wtorowali mu chorąży, Zaręba i kobiety. Stał tylko Malcher na uboczu, ale i ten zeicha dośpiewywał.

— Szabli dajcie, szabli, a ostrój i hartownój!—wołał w zapale pan Kacper.—Zapalcie świece woskowe: mężowie w zęby, niewiasty na głowę.

Chorąży poskoczył do alkowy, gdzie przemieszkował Zaręba, i wyniósł dwie szable w jaszczur oprawne: jedną podał Kacprowi, drugą sam dobył z pochwy.

— Ewusiu! — krzyknął — świec jarzących i puhara, a wina króla Popiela z myszką! z myszką! Przypominam sobie, gdym oświadczał się o ciebie i gdym tego pudła francuzkiego, galanta kasztelanica ociosał....

Pan Kacper pochwywszy szablę zadrzał, jakby kochankę miał w młodych leciech w uścisku: dobył z pochwy, spojrział, a ujrawszy na niej napis: „Jezus, Marya, Józef” skłonił głowę, przeżegnał się i pocałował klingę.

Wniesiono świece, butel wina i puhar. Zaręba kiwnął na Zaklikę, który patrzył przez drzwi bokówki i dał mu znak. Ten zapalił świece, wznosił nad głowę i przykląkł. Pan Kacper śpiewając ciągle przeszedł, machnął szablą i obciął knot jak brzytwą.

Chorąży obejrawszy starannie świecę, stanął na drodze staremu wojakowi, a wznosząc pełny puhar, przyklęknął i zawołał:

— Pije zdrowie mego zacnego przyjaciela pana Kacpra Płazy, pierwszego rębacza na kuli ziemskiej naszej Rzeczypospolitej: niech żyje w setne Matuzalowe lata. (1)

P. Kacper ujrawszy klęczącego chorążego z puharem, opuścił szablę; zgasł na obliczu ów wyraz zachwytu, przerwał śpiew, a klękając przed chorążym, ze łzawemi oczami zawołał:

— Wiész panie chorąży, że jakem cię zastaniał w chorągwi, tak i teraz ani krwi, ani życia nie poskąpię dla ciebie i dla twojej rodziny, dla Wielmożnej chorążyny i naszej kochanej Kasieńki. Modłę się tylko Bogu, aby podał mi sposobność pokazania tego na oko.

Po tych słowach uścisnąwszy chorążego, przyjął podany puhar, a wznosiłszy w górę: „za pomyślność Wielmożnych chorążtwa i ich familii, w ręce kochanego pana Malchera, króla myśliwców!”

Nadleśny poruszył się w miejscu, ujął puhar, ale wznosił oczy w górę jakby się chwilę modlił i spełnił do dna.

(1) *Świeczkowy polonez*, albo *karabelowy*, odbywał się tak jak go opisałiśmy. Szczegóły tego *rycerskiego tańca*, jak go zwano, powziąłem od starych konfederatów barskich, którzy synów swoich towarzyszów do chrztu św. na szablach podawali księdzu. Ten polonez świeczkowy widział głośny *Kuzma*, na dworze zamożnego szlachcica na Mazurach tańczony, i opisywał go w obecności mojej rodzicom moim.

Dziesiąta wieczorna uderzyła na zegarze, niewiasty po życzeniu dobrej nocy odeszły. Chorąży zaklął wszystkich, żeby jeszcze gąsiorek opleśniały wypróżnili.

Nie wzdragał się ani pan Kacper, ani Malcher, a przy wesołej gawędzie do dwunastej zeszło.

Wtedy pan Kacper powstał od stołu:

— A gdzieżto Waszeć się zrywa, kiedy siedziema wieńcem przy dobrym madziarze?—zapytał chorąży.

— Trzeba się wywczasować, bo jutro stawię się uroczyste w innej pozyturze i w innym charakterze; a myślę, że szanowne gospodarstwo tego domu przyjmie nas równie ochoczo jak dzisiaj.

Chorąży, dorozumiał się rzeczy, popił reszty z puhara, i podając rękę na dobranoc, odrzekł:

— Wióż Waszeć, panie Kacprze, rogi djabelskie i ogon przypraw sobie, to cię przyjmę zawsze z chlebem i solą, ze szczerem sercem a dobrą wolą.

V.

Nazajutrz chorążyna za pierwszym ocknieniem ujrzała otoczone łoże swoje kwiatami, i klęczącą Kasię, która jej łzami powinszowanie składała. Wszedł i sam chorąży, i z rozrzewnieniem uściskał zasną żonę, i błogosławił razem z matką ukochane dziecię swoje.

— Trzydzieści się lat dziś kończy, jakeśmy się moja Ewusiu pobrali z sobą; ośmnaście się kończy, jak w ten sam dzień Bóg nam dał Kasieczkę. Żyliśmy szczęśliwie: jest za co Panu Bogu dziękować. Ale wkrótce wypadnie nam się rozdzielić: Kasia opuści dom rodzicielski, przejdzie winne progi, a my Ewusiu pozostaniemy sami jak dawniej, tylko starsi, wiekiem złamani, a siwizną pobieleni.

I spadła mu łza na wąs biały.

— O! ja was nigdy nie opuszczę—zawołało dziewczę z głośnym płaczem,—wolę nigdy nie iść za mąż.

— Baj baju, będziesz w raj, — pomruknął z uśmiechem chorąży.—No, ja idę przygotować wszystko, bo ksiądz proboszcz przybędzie i we dworskiej kaplicy odprawi mszę świętą na Ewusi intencją, a potem tyle mam na głowie.... Kasia niech się schludnie ogarnie, bo to dzień dla nas uroczysty: i imieniny matki, i—ale nie skończył, machnął ręką, pokręcił węża i wyszedł.

Od samego świtu pan Malcher pracował nad utorowaniem w śniegach ścieszki, aby proboszcz miejscowy mógł przyjechać z plebanii. Dużo miał pracy, ale dokonał co zamierzył, i sędziwy kapłan saneczkami o jednym koniu przemknął się szczęśliwie wraz z organistą. Pan Malcher konno go poprzedzał ze czterema fernalami.

Czekano już proboszcza we dworze, i odśloniono ołtarz kaplicy z wizerunkiem Chrystusa Pana na krzyżu. Punkt o dziewiątej zaczęła się msza, do której służył pan Kacper okazale przybrany, wraz z Zarębą.

Pierwszy miał na sobie żupan perlisty z materyi jedwabnej, pas lity słucki, na tym granatowy jasny kontusz i szablę w jaszczur oprawną. Zaręba na karmazynowym żupanie, spiętym bogatą brylantową pod szyję spinką, wdział z czarnego sukna kontusz, którego wyloty były białym podszyte atłasem; na piersiach jaśniał ze złotej blachy ryngraf z wiernym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, który w boju nigdy ojca jego nie opuszczał. Na długim rzemyku wysadzonym koralami drobnymi wisiała szabla krzywa; pochwa jej srebrna rubinami sadzona, równie jak rękojeść cała, zwracały uwagę na bogaty rysz tunek rycerski. Pas złotolity na tle karmazynowym ściskając mu składnie biodra, kończył się gustownym węzłem i sutą frędzlą. W całej okazałości dorodnego młodziana stał Zaręba u stopni ołtarza, bacząc pilnie na każde skinienie kapłana. Kasia lubo szczerze się modliła, kilka razy rzuciła nań okiem.

Po mszy świętej i odejściu domowników i czeladzi dworskiej, z kaplicy otwarto drzwi do wielkiej sali. Pan Kacper dał znak Zarębie, i obaj wymknęli się niezauważnie do jego alkowy.

— No, panie Macieju, nadeszła chwila stanowcza! Przywołaj Zaklikę, przeżegnajmy się i dalej marsz na przód.

Stawił się pacholek na rozkaz, przybrał się jak dawniej kiedy stawał do boju. Buty długie czarne juchtowe przystroił w stalowe ostrogi, kurta granatowa z ponsowym kołnierzem i mosiężnymi guzami, na których był herb Mazowsza. Dwie poły kurty z przodu były podwiniete i na guzy zapięte, tak, że podszewkę ponsową okazywały. Pas rzemienny z białej glansowanej skóry przez

ramię przewieszony, utrzymywał na lewém biodrze szablę długą, krzywą, z rękojeścią potrójną dobrze osłaniającą rękę. Czapka rogatywka amarantowa z czapłem piórem kończyła ubiór Zakliki.

Uradowany pan Kacper poklepał pachotka po ramieniu i rozkazał mu, aby poszedł do sali i prosił chorążtwa, czy pozwolą wnijsć rotmistrzowi Kacprowi Płazie i jegomości panu Maciejowi Zarębie towarzyszowi chorągwi pancernych i dziedzicowi folwarku.

— A jakże u djaska Waści osada się zowie?

— Dotąd nazwy jeszcze nie ma; zwą ją Ustronek puszczywy, inni Zarębinem (1).

— No! zwijmy ją Zarębinem to lepij: więc—prawił dalej pan Kacper przywdziewając rękawice długie łosiowe—i jegomość pan Maciej Zaręba dziedzic folwarku Zarębina cum attinentis, gdyż chcą złożyć swoją czołobitność.

Zaklika po chwili wrócił z oświadczeniem, że wszyscy czekają.

Posunął się pan Kacper naprzód, za nim Zaręba, a w końcu Zaklika niosąc pudełko misternej roboty z hebanu i kości słoniowej.

W sali stał na środku chorąży, na krześle obok siedziała jego małżonka, przy niej stała drżąca i blada Kasia, a za nią panna Brygida i pani Piotrowa. Z drugiej strony stał sędziwy proboszcz z panem Malcherem, przybranym w sutą czamarę, na zielonym papuzim żupanie; pas rzemienny z klamrą mosiężną, na której herb jego rodzinny ze srebra jaśniał.

Z uroczystą powagą wszedł na próg pan Kacper i oddał pokłon, ale w tym ukłonie było tyle powagi i szlachetności, że wymownie zdał się mówić: schyleniem w waszym domu witając, przychodzę jak przyjaciel z szczęsną dla was nowiną: przyjmijcież mnie radzi i z otwartém sercem.

Chorążyna na powtórzony ukłon powstała ze wzruszeniem widoczném, chorąży oddał pokłon.

(1) Wiele osad w puszczech i borach naszych długo bywały bez nazwy; oznaczano je nazwą starą: ustroni w puszczy, następnie to imieniem, to nazwiskiem, lub od herbu dziedzica. Bardzo często od przeważnego gatunku drzewa, albo od smolarzy, węglarzy, grubego zwierza, albo gatunku ptastwa, które się tam legło ochotniej.

P. Kacper posuwisto się zbliżył, pocałował w rękę sędziwą matronę, pokłonił chorążemu głową, i stanął wyprostowany mając po prawej ręce Zarębę i stojącego o parę kroków Zaklikę.

Wtenczas podniósł głowę i silnym przemówił głosem:

— „Z szczęściem w zapasy chodzić zamyśla, kto omylnego niepewnym będąc, przecie jak na pewne zmierza. Światowa to własność, tam kazać najostrzejszym się stawić razem, gdzie najśmielszym fortuna naciera impetem, aby animusz ludzki panem szczęścia, a oraz onegoż być się pokazał hołdowncą. Alternatą to w dzień u świata chodzi, dziś szczęście z sobą wodzić, jutro od szczęścia być wodzonym; dziś przez sprzyjającą fortunę nabyć przyjaźni, nazajutrz onę przez opaczne jój utracić udanie. JM. pan Maciej Zaręba, nie szczęściu, gdyż płocha w niem nadzieja, nie światowi, gdyż najpewniejsza w nim przegrana, ale samej szczerzej Waszmości JM. panny polegając przyjaźni, w tém sobie nieomylnie tuszy, że te szczęśliwe jegomości w dom W. Mci panny ściągnięte zamysły, na ten kres swoją zakierujesz chęcią, dokąd powolne zmierzają jegomości usługi, których kwitnącą gdy oddawa na skinienie powolności W. Mci panny obrotę, to sobie za pewne sądzi, iż mile usług onych przyjąwszy ofertę, szczerzej u Waszmości panny (o którą cale starać się powinien) nabędzie przyjaźni.”

Snadź do serca przypadła chorążemu mowa starego wojaka, bo uścisnął mówcy rękę, matka ze łzą w oku skłoniła głowę, Kasia zapłonila się rumieńcem, pan Malcher z uśmiechem potakiwał głową, i zręcznie podał na matęj tacy, wyłożonej złotogłowiem, wieniec spleatany z róż, mirtu i zielonych liści. Pan Kacper z powagą spojrział po wszystkich, postąpił krok naprzód, a skłaniając nisko głowę przed chorążanką, wzrokiem zdawał się pytać rodziców, czy może ten dar ponieść ich córce. Chorąży na znak przyzwolenia zwrócił się ku dziewczęciu, matka ujęła za rękę, i posunęła ją przed siebie nieco; stary swat trzymając wieniec, z uroczystą zawsze powagą przemówił:

— „Nie patrza ten na kalendarz, ani zwarzonemu mrozem folguje czasowi, komu przyjaźń miasto wiosny,

swoje wije na głowę wieńce, Mościwa panno. Umie niebo swym usługować kochankom, których wrodzona wstrzemięźliwość niebu poświęca róże. Blednieją gwiazdy, kiedy księżyc na wschodzie; zwiędłe wędnieją gałązki, kiedy szczep usycha. Nie niebu po zwiędłych równiankach, jeśli ich panieńska swemi postępkami nie okraszi niwa: zblednieją i same serca życzliwości, jeśli błady księżyc na jasne, swym rzuci promieniem afekty. Nie zwiędła uważając! Mość pan Zaręba przyjaźń Waszmość MM. panny, dziś ją w tym symbolizuje wieńcu, wiedząc, iż nie insze ta wiosna (wysoka mówię WM. ludzkość) podczas tęgięj zimy miała rodzić kwiecica, tylko takie, z którychby sama rosnęła przyjaźń. Dobrym zaiste jegomość ugadza fortelem, kiedy ten WM. pannie składa wieńec, który z samych wity życzliwości, tém miliej przyjęty będzie, im chętne i łaskawe przyjęcie do zobopólnego odbierze przeplatania (1).

Po tych słowach podał chorążance wieńec, ale ta ręki nie podjęła wzruszona i zapłoniona; wyręczyła ją matka, zdjęła go z złotogłowa i włożyła córce na głowę. Zaręba wtedy upadł na kolana, pan Kacper stał pochyłony, jakby czekając odpowiedzi, kiedy chorąży, nie mogąc już wzruszenia i radości swęj utaić, zaczął po swojemu głośno wołać:

— A niech was Pan Bóg błogostawi! Dobrze! Dobrze! ale wina! Malcherku, każ popiela dobyć, a spleśniały gąsior. No księżu proboszczu, ty pobłogostawisz nam dzieci. A chodźże, niech cię uściskam Maciejku. A panie Kacprze, i nieboszczyk Cycero w Rzymie, choćto był tęgi mówca, lepiejby rzeczy nie ogadał. Uściskajże mnie! A jak to okrągłemi słowy, gładko i składno od zimy do wieńca przejechał. Nie wiedziałem, że z Waści taki tęgi głowacz.

Pan Kacper z Zarębą po oświadczynach składali powinszowania chorążynie. Stary swat miał mieć mowę jeszcze przy złożeniu pierścienia i złotego łańcucha pannie chorążance, ale niecierpliwość gospodarza przerwała dalszą uroczystość, i Zaręba od siebie ofiarował na-

(1) Mowy rotmistrza są wyjęte z rękopismu współczesnego naszej opowieści, kiedy przeplatanie łaciny przestało być modą, ale styl nadęty, panegiryczny, był główną takich mów ozdobą.

rzeczonej dary, które Zaklika wyprostowany jak żołnierz na czacie, trzymał w ozdobnej szkatułce.

Choraży zaraz przeniósł się ze swemi gośćmi do jadalnej komnaty, bo tam go nęcił suty płomień komina i stół wygodny, i ulubione krzesło z poręczami.

— Tu mi jakoś raźniej—mówił zasiadłszy zwyczajnie miejsce—tu jakoś i lepiej się popija i weselej gwarzy.

Swobodnie i ochoczo zbliżyła się godzina obiadowa: na środku stołu stanął tort wysoki, na wierzchu którego cukrowy bocian, owe godło szczęścia rolnika na naszej ziemi, trzymał cyfrę chorażyny w dziobie, dwie litery: E. D.

Długo się przeciągnęła uczta, bo zciemniało dobrze i wniesiono świeczniki, a jeszcze nie spożyto wszystkich potraw.

— Nadzwyczaj ucztujem dzisiaj: aleć to dzień uroczysty, boćto imieniny mojej najukochańszej Ewulki, urodziny mojej Kachny i oświadczyzny Maciejka syna mego przyjaciela. Pijmyż więc wszystkich zdrowie po kolei: niech im Bóg szczęści, jak to z serca życzym.

Zareba lubo musiał każdy wzniesiony puhar spełnić, swobodnie jednak rozmawiał z narzeczoną, siedząc przy niej ciągle.

Po skończonym obiedzie błagał na klęczkach chorażynę, o oznaczenie jak najrychlej dnia ślubu; a pokrywając własną niecierpliwosć, dawał ważne do pośpiechu powody gospodarcze: jak prace w puszczy jeszcze urządzić musi, jak nie może opuszczać często domu bez wielkiej straty, i że właśnie zimowa pora najlepsza do przeprowadzenia młodej żony pod dach nowego dworu.

Chorażyna potwierdziła jego powody, ale, z ostatniem słowem odwołała się do męża. Zareba był więc pewnym, że w pośpiechu żądanym pomoc w nim znajdzie; jakoż nazajutrz ułożono dzień ślubu w ostatnich dniach zapust, w ciągu ośmiu niedziel.

Zareba po świętach Bożego Narodzenia miał wyjechać do puszczy, ale w ciągu najdalej tygodnia wrócić, i aż do wesela pozostać u chorażtwa.

Pan Kacper przyrzekł, że razem pojedzie do puszczy, i że na czas oznaczony dostawi Maciejka.

Otóż dzień wigilii, ów dzień uroczysty na całym obszarze ziemi naszej.

Ścisłejszy dnia tego post zachowywano we dworze chorążstwa wedle staropolskiego obyczaju, albowiem nie gotowanego nie dano do samej wieszery: każdy otrzymał tylko lampkę miodu i grzanki oliwne. Jadalną komnatę od południa już przybrano w snopy zboża: w każdym kącie naprzemian stały pęki żyta, kłosistej pszenicy, owsa i wąsatego jęczmienia. Stół cały wystano sianem, na pamiątkę, iż narodzony Chrystus w żłobie był złożony. Biały obrus pokrywał woniejące nakrycie: pod stołem złożono żelazo płużne, owe godło rolniczego żywota ojców naszych, i dwór cały w cichości oczekiwał zabłyśnięcia pierwszej gwiazdki na niebie, hasła do wieszery.

Pan Kacper z Malcherem tajemne dając sobie znaki, ciągle przestawiali talerze na stole, a uśmiechali się wesoło.

Pierwszy chorąży zawołał radośnie:

— Gwiazdka! gwiazdka na niebie! Dawajcież wigilią: opłatki na stół i wódki.

Na to hasło weszła pani chorążyna z kobietami, ksiądz proboszcz, a reszta domowników i czeladź dworska stanęła w bocznej izbie.

Pan chorąży z małżonką i córką podawali opłatki obecnym, a łamiąc się z niemi, życzyli dosiego roku. Wesoło spożyto wystawną wigilią; nie brakło ryb, klusek z makiem, orzechów i bakaliów: słowem, wszystkich potraw przywiązanych do dnia tego. Przy powstaniu pan Kacper szepnął na ucho chorążemu, a ten zawołał:

— Hola! hola! niech każdy spojrzy pod talerz, co mu też gwiazdka przyniosła: panny niech zaczną pierwsze.

Sięgnęła chorążanka, i zpod siana dobyła serce i domek woskowy: skraśniała uśmiechem. Panna Brygida ukazała kołyskę i małą laleczkę, i z krzykiem uciekła; chorążyna chleb i sól z groszem, a pani Piotrowa różek z tabaką!

— No proszę—wyrzekł chorąży popijając węgrzyna, —jak to gwiazdka rozumnie rozdzieliła dary.

I ścisnął za rękę pana Kacpra i Malchera, gdyż ich w tém było staranie i pomysł.

Ochoczo i wesoło przeminęły święta. Na Nowy Rok już utworowano drogę i liczni przybyli sąsiedzi: sanna wyborna zachęcała do kuligów.

Chorażyna zajęta była przeglądaniem oddawna przygotowanej wyprawy: mało co brakowało do uzupełnienia. W końcu stycznia panna Brygida wyjechała do Warszawy w tym celu, i w kilka dni wróciła. Zaręba z panem Kacprem ruszyli do puszczy, gdzie ich przybycie na dni kilka uprzedził i zapowiedział Zaklika.

Wawrzyńcowa z Sochą od świtu już się oboje krzatali na przyjęcie panicza i jego sędziwego swata, znając wszystkie szczegóły oświadczyn o pannę chorażankę, opowiedziane przez Zaklikę. Wygrzane były pokoje, podłogi wysypane drobną pachnącą jedliną, na kominie suty gorzał ogień, i obiad w kuchni stał na pogotowiu. W sieni na kołkach wisiał potężny rogacz, kilku zajęcy i ogromna wilczyca: byłyto trofea myśliwskie starego Sochy, któremi chciał się pochwalić paniczowi.

Zaręba z panem Kacprem szybko po wybornej sannie przebyli drogę, i w samo południe zadzwoniły sanki na drodze, która się łała w puszczy.

— Panicz! panicz jedzie!—krzyknął Socha i wybiegł na ganek, a za nim zdyszana nadbiegła Wawrzyńcowa i Zaklika.

— A przecieć panicz przypomniał sobie o nas—przemówiła poczciwa kobieta—a nam tu tęskno i smutno było. Pan Jędrzej nie zagrzał miejsca w domu, tylko polował....

Chciała jeszcze więcej rozwodzić swe żale, kiedy Zaręba przerwał:

— Panie rotmistrzu! patrzno co tu zwierzyni! Widać, że pan Jędrzej darmo nie strzelał. A teraz moja gosposiu daj nam obiad, bośmy głodni.

— Już wszystko gotowe—odrzekła—tylko zasiąść i spożyć co Bóg dał.

Pan Kacper nie mógł się nachwalić piękności tego ustronia.

— Wiész Waszeć, panie Macieju, że ochoczobym tu zamieszkał na stare lata: tu tak cicho i spokojnie, jakoby wianki wił, że człowiek dzień Boży może się modlić swobodnie, a nikt mu i nic nie przerwie rozmyślań ani modlitwy.

Stół już był nakryty: Zaklika i Socha posługiwali. Pani Wawrzyńcowa chciała wystąpić i podziw gościa a stołownika chorażego obudzić. Dała więc barszcz

i grochówkę, po nich szczupaka po żydowsku, a węgorka po tatarsku; potrawę z kaczek, zająca z burakami, a w końcu pierogi ruskie z powidłami.

— A to Waszeć panie Macieju chyba z dworu króla Jegomości masz kucharza—zawołał pan Kacper.—To jakim sodalis marianus nie znać, że mieszkasz w puszczy, bo stół książęcy. Ja takiego obiadu od czasu świąt i Waszeci oświadczyn nie jadłem.

Wawrzyńcowa aż rośła z radości.

— Nie mam królewskiego kucharza, tylko naszą pocziwą Wawrzyńcową, gospodynię mojej nieboszczki matki.

Pan Kacper powstał, zbliżył się do niej, a gdy ta pokłoniła mu się do kolan, pocałował w głowę, a ująwszy za rękę przemówił:

— Wiesz Wasze, panie Macieju, przy takiej gosposi, to wasza przyszła pani nie będzie miała kłopotu w domu: może żyć tu jak w raju. Proszę pani Wawrzyńcówę kochać naszą chorążankę, bo to anioł w ludzkiem ciecie. To moja chrzestna, a jak się poznacie, to i pokochacie. Waszeć starsza wiekiem i doświadczeniem, wspieraj radą młodą panią, bo to pieszczoszek; już ja sławę pani Wawrzyńcówę podam światu! A teraz panie Macieju w ręce Waści: pomyślność waszej przyszłości i szczerze zdrowie pani Wawrzyńcówę.

Gospodyni z radości i wzruszenia zapłakała, i ocierając oczy fartuchem wybiegła do kuchni.

We trzy dni załatwił się w domu Zaręba, a choć Socha zachęcał do łowów, nie pomyślał o nich nawet. W sobotę po rannem śniadaniu wyruszyli z powrotem do dworu chorążego, gdzie na nich oczekiwano z tęsknotą.

Pan Dzierżanowski stał na ganku, bo znać dano, że jadą.

— A no, to przecie jak widzę Waszeć Maciejku, i pan Kacper, tośta prawdziwe karmazyny: *verbum nobile debet esse stabile*. I ja się zatęskniłem, i Kasieńka już popłakiwała, ale to pod sekretem: było to w kąciuku, pocichu, ale ja widziałem. Ewusiu! masz naszych zbiegów. Kachno! patrzno jacy goście przyjechali.

Ale Zaręba zanim się obejrzał chorąży, już się witał z narzeczoną, a pan Kacper zaczął zdawać sprawę z podróży i przyjęcia. Z radością chorążyna słu-

chała pochwał z przyjęcia i dostatku przyszłego zięcia. Na wychwalania Wawrzyńcowej odrzekła:

— Wiemci ja, a wie i nasz jegomość, co to za brylant ta Wawrzyńcowa: jedliśmy jej ręką przyprawione potrawy, i zgadzam się z Waszecią, że kucharza zakasuje. A co jeszcze do pochwały, że robi wszystko prędko a cicho. Przygotowałam też dla niej prezent: myślę, że będzie rada temu.

VI.

Mijały dnie zapust wesoło: na dwóch kuligach wytańczyła się ochoczo chorążanka. Zbliżyła się wreszcie chwila ślubu. Przystrojono kościół parafialny, i rano w towarzystwie tylko domowników, odbyto obrząd.

Na obiad sproszone sąsiadów i pokrewnych, a stary dwór chorążego brzmiał nieznanym oddawna gwarem i napełnił się rojem licznych gości.

W dzień popielcowy opuścili nowożeńcy dwór rodzicielski; nazajutrz mieli przybyć: chorążtwa, pan Kacper i Malcher.

Młoda pani przyjęta uroczyście przez Wawrzyńcową chlebem i solą na progu ganku tego dworu, w którym nazawsze miała zamieszkać: uprzejmością i wdziękiem anielskim umiała sobie serca zjednać wszystkich. Na oznaczoną godzinę przybyli rodzice, a z nimi rezydent i nadleśny.

Gościnne i otwarte przyjęcie rozweseliło wszystkich. Chorąży zaraz na drugi dzień zapowiedział łowy, i przeznaczył do nich pana Kacpra, Malchera, Zaklikę i Sochę, a zięciowi kazał żony i domu pilnować. Dobrań z osady celnych strzelców, i knieja cicha i spokojna grzmiała odgłosem trąbek myśliwskich i graniem gończych. — Czas był wyborny potemu: słońce błysnęło już nie tak mdławym światłem, i zdawało się zapowiadać blizką a wczesną wiosnę.

Trzy tygodnie dzień po dniu orszak myśliwych hulał radośnie, i pod dachem chyba w święto spoczął. Chorąży zawzięty łowiec chciał wynagrodzić sobie długie legowisko (jak wyrażał) zimowe, kiedy musiał siedzieć cicho i ssać łapę jak niedźwiedź. Dotrzymywali mu pola

stary rotmistrz i Malcher, który przewodził tym łowom. Nie strudził się niemi, ale orzeźwiał stary Socha, a Zaklika popisывał się grą na trąbce myśliwskiej, z czego w całej słynął okolicy i podziw obudzał samego pana Malchera.

Zaręba czasem wybiegł tej drużynie ochoczych łowców w pomoc, ale krótko bawił i wracał zateśkniony do domu.

Nie postrzeżono, jakie zmiany podczas pobytu i zabawy, w trzech tygodniach nastąpiły wokoło.

Po długiej i tegiej zimie umiała się z wiosną puszcza. Śniegi roztajały w wodę, a ta pod promieniem ciepłego słońca parowała mgłą codzien. Zazieleniły się drzewa, trawa i zioła wyjrzały, a cisza zimowa z początku cichym gwarem pomrukiwała wiosnę, aż wkrótce sama, wrzawą leśnego ptastwa zwiastowała puszczy odrodzenie swego życia.

Jakby anioł szczęścia i radości powiał wszędzie, tak rozweseliły się oblicza mieszkańców leśnych. Już nie słyszał ponurego łomotu i trzasku łamanych gałęzi, druzgotanych drzew pod lawiną śnieżną: szum tylko w górze zwiastował czasem wicherę, co tak zimą hulata swobodnie.

Życie puszczy dniem i nocą echa leśne budziło. Za ledwie zorza prześwitywać poczęła, pokrzyk żórawi, tyśięczny kwak dzikich kaczek, świst kosów, hukanie bąków w błotach, mieszał się z kukaniem kukułki, granie głuśców i szumem potrząsanych gałęzi pod ich ciężkim skrzydłem, albo w podrywie jarząbków. Nie ustawało to życie przyrody i przez noc całą: tysiące słowików w wygodnym cieniu puszczy głośliło ów śpiew uroczy, który tłumil i przygłuszał ponure i złowrogie kwilenie sów, i śmiech głośny licznych puchaczy.

Na karczunku świeżym, gdzie powiewała bujna pszenica i zieloną ścianą gęste żyto, gromada nowych śpiewaków zamieszkała świeże miedze; a z pierwszym promieniem słońca szare skowronki wzbite nad pola, nuciły swój hymn radosny, co tak rozwesela ziemię naszą i tak przemawia do serca rolnika. Nadleciały czarne jaskółki i pod nowemi strzechami ulepiaty gniazda; i bocian, tułacz dotąd po błotach puszczy, przyjął po stodołach i na wysokich dębach przygotowane siedliska, aby

w nich, jako wróżbita szczęścia i pokoju, wychował młode plemię.

Wszystko sadowiło się przy nowój osadzie, tuliło się pod strzechę, rozgościło w niwach niedawno dobytých. Gromady wróbli zajmowały okólniki przed wierzejami stodół, oczekując ziarna; i zwiastunka żniwa, owa cudna przepiórka, godło w pieśniach ludu wiejskiego pięknej dziewoi, milcząca z początku wiosny, niedługo zaczęła nawoływać na niwy, które przebiegała: pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!

Odsunął się tylko w puszcze głębiej żartoczny wilk, a chytry lis ostrożniej i z bacznością szczególną podsuwał się bojaźliwie pod opłotki nowój osady.

A we dworku Żaręby brzmi radość i wesele: myśliwi już spoczywają, bo czas zarzucić łowy i wziąć się do pracy rolnej. Chorąży z małżonką wyjeżdżają nazajutrz wraz z gośćmi. Kasia smutna ze łzami żalu żegna rodziców i starych od kolebki przyjaciół. Osowiął patrząc na młodą żonę Żaręba, popłakiwała matka, tylko chorąży śmiał się a pocieszał, i wraz z panem Kacprem sypali jak z wora dykteryjkami, że nieraz wywołali serdeczny uśmiech na zasępienie oblicza matki i córki.

— No! no! Kasienieczku moja, schowaj swoje łezki na cięższe przygody życia—mówił całując i pocieszając córkę.—Toćto niedaleka Ukraina, a przecie nas Maciejko kocha, to jak zażadasz, a pozwoli gospodarstwo, na obiadek wpadniecie, a my nawzajem do was. Nam boleśniejszy zawsze rozdział z tobą, dziecię moje, bo my z matką już starzy, nie ma kto nas pocieszyć, tylko Bóg jeden, a ty masz męża i gospodarstwo. Podnieś w górę oczki i obetrzyj łzy, boć ja na rozjezdny płakać nie myślę. Na niedzielę czekamy was z obiadem; koniki rozstawię, to lotem gołębi przybędziecie do nas.

I to wyrzekłszy, usadowił w bryce brodzkiej żonę nasamprzód, na koźle pana Malchera, a na przodzie rotmistrza, ucałował córkę i zięcia, i krzyknął na Maćka:

— Ruszaj, a żwawo!

Wkrótce zniknęli w puszczy, dworek opustoszał nagle, Kasia chowała się w komnatce, ukrywając łzy swoje. Żaręba usiadł na ganku, i smutny a zamyślny sypał groch gołębiom, i wabił je z wysokiego gołębnika.

VII.

Kiedy młodzi małżonkowie układali wyjazd do rodziców, Zaklika, który z listami wystany był naprzód, powrócił w ciemny wieczór blady i pomieszany. Snadź spędził bułanka, bo cały był spieniony i potężnie bokami robił. Zeskoczył z konia przed samym gankiem i wywoławszysy pana, zcicha wyrzekł:

— Nietrzeba, żeby pani nas słyszała.

Zaręba przerażony zbiegł ze schodków ganku i obaj ukryli się za węglem dworu.

— Cóż się stało na Boga! — zawołał.

— Dwór w Polanowie w płomieniach... chorążyna uciekła... słyhać strzały. Banda jakaś napada dwory: już trzy wsie puściła z dymem. Wokoło bucha płomień i tylko jęk i płacz słyhać. Zaledwim z puszczy wyjechał i wysforował się w pole, spotkałem ludzi uciekających i prawiących dziwy niestychane. Przeżegnawszy się ruszyłem dalej naprzód, chcąc dostać języka: nikogom ze znajomych nie spotkał, tylko ze wzgórza ujrzałem w dymie dwór w Polanowie pana chorążego. Wracam co koń wyskoczy, bo trzeba radzić, a pomoc nieś najrychlej.

Zaręba pomyślał chwilę i odrzekł:

— Zbierz z osady co umie na koniu robić szablą. Pójdiesz ty i Socha, mnie wierzchowca okulbaczyć, pistolety i szturmaki nabić, szable wyostrzyć, a cichaczem pod figurę na skręt drogi wynieść. A sza! cicho! żeby pani nie wiedziała. Zawołasz sołtysa, żeby tu czuwał, rozdasz im broń, proch i kule. Jak świsnę, wszystko na strzemiona i dalej w puszcze.

Sam wszedł do izby ze spokojnym obliczem, gdzie młoda małżonka zajęta drezlowaniem siedziała, i zcicha wyrzekł:

— Kasiu! ja muszę jechać. Zaklika wrócił, ale mówił, że w stronie Polanówki gore. Tylko się nie lękaj, bo wypatrzył dobrze, że dwór cały i gumna, tylko we wsi pożar.

Katarzyna zbladła, ale powstała zaraz, i rzucając się w objęcia męża, zawołała ze łzami:

— Jedź kochany Macieju, a wracaj rychło, bo od wczoraj taki ciężar mam na sercu, że oddychać zaledwie mogę.

Zaręba pocałował ją w czoło, przycisnął do serca, wybiegł na ganek, a dawszy hasło gwiznięciem, skoczył na siwka i z kopyta ruszył.

Pod figurą w zakręcie puszczy policzył swoich jeźdźców: było ich 20, a każdy z szablą, z pistoletem za pasem i strzelbą na ramieniu. Przeżegnał się, westchnął i ruszył z gromadą zbrojnych dobrego kłusa.

Cóż się działo w Polanówce, we dworze chorążego?

* * *

We trzy dni po powrocie z puszczy, pan Malcher jakiś niespokojny wrócił z objazdu leśnego; słońce było na zachodzie, gdy zlekka zapukał w okno oficyny, do mieszkania pana Kacpra.

Stary wojak roztworzył drzwi od swojej sypialni, i z wielkiem podziwieniem ujrzał blade i wystraszone oblicze swego przyjaciela.

— Kulbacz Waszmość co rychléj konia, uzbrój się, zabierz co możesz unieść z sobą, bo już nocy téj nie prześpiemy pod dachem. Ja idę do pana chorążego.

Pan Dzierżanowski zbladł i zadrzał nieco, dowiedziawszy się, że banda zbrojnego żołdactwa już dwa dwory złupiła i krwią zalała! Co prędzój kazał przestraszonej żonie pakować co można na brykę i fury, aby jak najrychléj opuścić dwór zagrożony.

Kiedy drżąca i zalana łzami, zcicha się modląc siodała pani chorążyna wraz z panną Brygidą i starą Piotrową na bryczkę, wystawszy już dwa wozy fornalskie naprzód: siedział uzbrojony na koniu pan Kacper z szczęścią dworskimi dobrze zbrojnemi, a z nim niedługo połączył się chorąży i Malcher.

Noc już była, ciemność otaczała wokoło, kiedy naraż dwór poblizkiego sąsiada zajaśniał słupem ognistego płomienia, a wiatr przyniósł krzyk rozpaczony i wrzask rozbójniczej gromady.

— W konie! — krzyknął pan Malcher. — Jegomość niech łakami prowadzi brykę, a my tu z panem Kacprem będziemy wstrzymywać. Daléj w konie! Aby Bóg nam dozwolił dostać się na krawędź puszczy, będziemy ocaleni.

Chorąży dał znak i opłótkami ruszyła bryka; samjechał za nią wyciągniętego kłusa, oglądając się na szczupły zastęp jeźdźców pod dowództwem Malchera i milczącego dotąd pana Kacpra.

Dał wiatr coraz silniejszy, płomień widziany potężniał z każdą chwilą: wreszcie ucichł krzyk rozpaczny, i słyhać tylko było gwar cichy.

— To łaźnia gorąca u pana Jordana skończona— wyrzekł pan Kacper — teraz na Polanówkę idzie biada. Malcherku, szepnij chorążemu niech rusza galopa, a my w zaroślach przy roztajnych drogach musimy ich nieco powstrzymać, bo inaczej państwo nie uciekną. Będziem tu mieli i ciepło i widno, bo patrz Waszeć, już są na naszym podwórzu i ot dwór już zapalili.

Malcher spełnił polecenie i w tej chwili zadudniała ziemia pod galopem rozpedzonych koni. Znikły wozy i bryka w zaroślach, tylko postać chorążego migąta jeszcze na rośnym biegunie.

Sprawdziły się słowa starego wojownika: dwór w Polanowie stanął cały w płomieniach, a za nim oficyny, stajnie i stodoły.

Pożar rozjaśnił ciemność nocy. W małej dąbrowie szczupły nasz zastęp ukryty przed oczyma najeźdźców mógł ich policzyć: było to gromada liczna i należycie zbrojna.

— Ki to djabeł?—zapytał zeicha Malcher, patrzącego pilnie pana Kacpra.

— A wie Waszeć, to pewno jaka banda rabusiów. Patrzta mają i dwie śmigownice. Cofajmy się wolno a równo: czoła im stawić nie można. Już ślad nasz zgubili. Widzita zsiadają z koni: będą nocować, albo tylko spoczną wśród zgliszcza Polanówki. Spojrzyjno za się, czy nie widać już bryki chorążtwa?

Malcher podsunął się na koniec zarośli, obejrzał uważnie i wrócił z doniesieniem, że już jój ani widno, ani słychu.

Dzięki Bogu!— przemówił starzec, przeżegnał się, zeicha odmówił krótką modlitwę, a odwiódłszy nieco na stronę nadleśnego, przemówił wolnym głosem:

— Mam jakieś smutne przeczucie, Malcherku, że nie przeżyję tej kłeski; czy się sprawdzi, czy nie, posłuchaj co ci powiem. Jeżeli padnę nim się dostaniem do puszczy,

to zdejmiesz mi trzos; jest tam dwieście i coś czątych: a ciało jak będziesz mógł pochować uczciwie i dasz na mszę świętą. Sto czątych oddasz Kasieczce, pięćdziesiąt sobie weźmiesz, a resztę na pogrzeb i nabożeństwo. Słyszysz Malcherku, rozsyłają patrole, już nas zwietrzyli: teraz zażyjmy ich z mańki. Waszeć weź trzech i co koń skoczy ruszaj na Wilcze-doły, a ja drożyną bliższą w te pędy: tam się połączym, a zyskamy dużo czasu.

Patrol silny ze trzydziestu jeźdźców zbliżał się właśnie gościńcem w zarośla. Dowodzący nim oficer usłyszał galop uciekających, rzucił się więc w zarośla, ale wkrótce kazał stanąć, bo droga rozstajna rozbiegała się na zakręcie i nikogo widać nie było, a ucichł nawet i tętent koni.

W ostępie wśród błot i zarośli, zwanym Wilcze-doły, pierwszy ze swemi stanął pan Kacper, a po chwili dopiero dobiegł pan Malcher.

— Stój! równaj się—zawołał starzec rozweselony, że mu podstęp tak zręcznie się udał.—No, teraz obejrzyć strzelby, podsypać świeżym prochem. Spoczniemy nieco. Wieleż mamy jeszcze do puszczy?

Malcher przyjrzał się okolicy i odrzekł:

— Jak ruszymy smugami, nie masz i mili, ale gościńcem do dwóch się naliczy.

— Nie możemy cofać się smugami, bo nie o nas tu chodzi, ale o chorąstwo: wszakże bryką po smugach jechać nie można?

Malcher kiwnął głową potwierdzając jego zapytanie.

— A więc widzi Wasze, musimy gościńca pilnować. Ale cyt! słyszę tętent, gonią nas ostro. Na konie teraz: dobrze wziąć na cel, a na komendę—ognia, żeby mi każdy zszadził swego, bo mu łeb rozwałę.

I wymówiwszy te słowa, dobył z olstra pistoletu i stanął na czele. Malcher milczący trzymał w pogotowiu ulubioną dubeltówkę.

Nieprzyjaciel powolnym ale równym nadciągał kłusem. Za zbliżeniem się na czterdzieści kroków pan Kacper krzyknął ognia, i ośm strzałów powaliło tyleż jeźdźców. Cały patrol zatrzymał się przerażony, gdy nasz zastęp galopem uskoczył kawał drogi, nie ścigany wcale.

— Teraz Malcherku co koń wyskoczy drzyjmy z kopyta, bo nie możemy sławiać czoła ani brać ich na szable!

Miesiąc w tój chwili wyrzał z za obłoku, rozświecił drogę, i blade swoje światło zmieszał z krwawą łuną pożaru wokoło. Podjeżdżali pod wioskę; we dworze stojącym nieco na uboczu grzmiąca huczna kapela: snadź obchodzą imieniny czy wesele czyjeś.

— Malcherku!—zawołał starzec—skierujmy tu konie, trzeba ich przestredz, bo w kilka pacierzy te psy robójnicze tu dojadą i pohulają jak u nas.

I wjechali na podwórze przez wrota otwarte.

— Hej panowie bracia! bierzta się od tańca do szabli i strzelby, a jeżeli was mało, to zabierajta żony i dzieci, a w nogi!

— A zkądże wy?—zapytał głos jakiś,—że nam przyrywacie zabawę: dawajcie lepiej kielicha.

— Spójrzyj tam!—zawołał gniewny stary wojak—to wytrzeźwiejesz zaraz. Widzisz czerwoną łunę: to z naszych wsi i dworów. Tam już więcej krwi popłynęło niż u was węgryzna.

Wybiegło na ganek kilku szlachty, a siwy gospodarz zawołał:

— Na Boga! jeżeli mnie oczy nie mylą, to pan rotmistrz.

— Tak, rotmistrz—odrzekł starzec—co nigdy w życiu nie bał się ani kuli, ani żelaza, a teraz na was woła: uciekajta do puszczy, bo oporu nie dacie! Dalój za nami, my uchodzim gościńcem.

VIII.

We dworze Brzechwy ucichła kapela, trwoga chwilowa opanowała wszystkich; piérwszy gospodarz zawołał:

— Zaprzęgać co żywo: na wozy i bryczki niewiasty i diatwa, a my na koń. Poza ogrodami mamy zarosła, ścieszkę my tylko znamy. Dalój co żywo! Piotrze!—zawołał na wyrostka syna swego,—weź parę pistoletów i szablę, siądź na arabczyka a djabeł cię na nim nie zgoni. Jak ujrzysz tylko tych łupiezców, daj ognia dwa razy, to będzie hasło, że już idą, a sam leć gościńcem, to dościgniesz rotmistrza, któremu za przestroję podziękuj od nas.

W kilka chwil później opustoszał dworzec. Bryki, wozy i konna szlachta już w bezpieczną ustron ujeżdżała, gdy dwa strzały huknęły pod samą bramą dworu, i pomknął młody jeździec jak wichura na wronym arabczyku.

Gromada jeźdźców ostrożnie wjechała na podwórze, a widząc dwór otwarty, weszło kilku z odwiedzionymi pistoletami. Żywěj duszy nie było, ale nie brakło wina i miodu, stały kosze pełne i dzbany niepróżne. Po obejrzeniu wokoło, ufni i bezpieczni, zaczęli powoli gromadzić się do obszernej jadalnej izby. Dowódzca wezwał do wypoczynku, i wskazał na kosze, sam wypróżniając ohołnie zapleśniałą butelkę. Nie lękał się napadu, ufny, że nadchodzi cała chorągiew jazdy, bo po strzałach w Wilczym-dole, gdzie ośmiu towarzyszy stracił, wezwał pozostały zastęp w Polanówce, grzejący się i koczujący przy pożarze dworu i zabudowań gospodarskich. Ale spotkał we dworze Brzechwy gorszego jak rotmistrz i pan Malcher nieprzyjaciela, bo w koszach starego węgrzyna, a w dzbanach miód stuletni.

Nie załowała sobie czereda łupieżców, ale też wkrótce legła wszystka snem twardym, nie do zbudzenia.

Zaszeleściło pod oknem dworu, i ukazało się oblicze wąsate w jednej szybie. Po chwili rozległo się kwilenie jakby sowy, i we wszystkich oknach coraz wyraźniejsze malowały się wąsate postaci. Zarżał arabczyk na podwórzu, a w otwartych drzwiach od ogrodu stanął nagle Brzechwa z dobytą karabelą, i okrzykiem „morduj najeźdźców”, rzucił się do komnaty jadalnej. Za nim w ślady poskoczyła szlachta zbrojna, niedawno tegoż wieczora godująca ochoczo.

Ale Brzechwa stanął ośłupiały, patrząc na całą czeredę opitych i ujętych snem letargicznym, gdy syn jego Piotrek, co dał hasło dwoma strzałami, wbiegł co żywo przez ganek.

— Panie ojcie!—rzekł zcicha—spieszcie co rychlój, bo idzie ich nienaliczona chmara i armaty prowadzą. Już konie sprzątnęliśmy z podwórza, i uprowadzili w ługi, ale cóż z nimi zrobimy?

— Panowie bracia, zabierzcie resztę miodu i wina, to się nam przyda w naszych błotach, i dalej do naszej ustroni: ja tu tylko chwilę zabawię.

Szlachta wkrótce znikła, starzec wpadł na górę i zapalił słomę na strychu; zbiegł szybko z komnaty, z nad łoża swego porwał wizerunek na blasze Matki Boskiej Częstochowskiej, i zniknął już w cieniu drzew ogrodowych, gdy płomień ogarnął cały dach dworu. Kiedy się obejrzał, cały zastęp jazdy drogą od Polanówki wjeżdżał kłusem na podwórze, i zatętniała ziemia pod ciężarem dwóch armat i jaszczyków z amunicją.

Rotmistrz już dojeżdżał krańca puszczy, gdy łuna rozświeciła nagle drogę.

— Patrz Waszeć Malcherku, to nowy pożar. Nie posłuchali biedacy zdrowej rady, niech Bóg zbawi ich dusze.

— Kto jedzie? — krzyknął głos jakiś z gąszcza, a później poznając dodał: — to wielmożny rotmistrz — i Zaklika stanął przed uradowanym starcem.

— A nie widziałeś gdzie chorążtwa? — zapytał.

— Już muszą być z naszym panem u nas w puszczy. Ja tu czekałem na pana rotmistrza i pana nadleśnego.

— A wielu masz z sobą?

— Jest nas dwudziestu jeźdźców dobrze uzbrojonych na koniach, a i strzelców z puszczy nadciągnęło do trzydziestu, Socha niemi dowodzi.

Rotmistrz dosłyszał, że pędzi jakiś jeździec co koń wyskoczy. Stanął więc na drodze.

— Stój! zkąd przybywasz? — zawołał.

Jeździec osadził dzielnego bieguna w miejscu, a rotmistrz w nim poznał młodego Piotra Brzechwę. Ten w krótkich słowach opowiedział wypadki we dworze ojca, i doniósł, że czterdziestu szlachty, wraz z Brzechwą, zaraz się połączą z rotmistrzem, którego oddają się rozkazom, bo zabezpieczyli już niewiasty i działwę, tak, że i lis ich nie zwietrzy; że w tym celu wysłał go ojciec, i że kiedy wydostał się na gościniec, widział jak w ściśnionych szeregach kłusem jazda ciągnęła gościncem ku puszczy, więc wkrótce tych gości spozdiewać się tu można.

Stary rotmistrz rozweselał, orzeźwiał temi nowinami: policzywszy co mógł mieć razem, nabrał otuchy, że będzie można stawić czoło i wziąć na szable, do czego gorąco wzdychał. Niebawem z oczeretów ukazał się zastęp Brzechwy, a z puszczy zastęp jeźdźców Zakliki:

było więc do stu koni razem. Piechota Sochy stała opodal, wśród stuletnich dębów.

Rotmistrz, jako wódz doświadczony, nakazał milczenie, sam zsiadł z konia, ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

— Nie słyhać nic, mamy więc godzinę najmniej czasu—pomruknął jakby do siebie; poczem dosiadłszy konia, szepnął kilka słów Brzechwie, Zaklice i panu Malcherowi, i zaraz w porządnym szyku ruszono prostym gościńcem w gęstwinę puszczy.

Pan Malcher objął dowództwo nad pieszemi strzelcami, szedł więc równym a szybkim krokiem za jazdą, która w zakrętach leśnych wkrótce z przed oczu zniknęła.

IX.

O pół mili, już w posadzie samej puszczy, rozliczne strugi zbiegały tu razem, a nabrzmiąte jak zwyczajnie w czas wiosny, wylały i tworzyły głęboki parów, na którym most dyłowy ułatwiał przejazd. Tu zatrzymał się rotmistrz, kazał zsiść z koni, wypocząć i czekać na piechotę Malchera; sam zaś zebrawszy w wieniec szlachtę, przemówił:

— Panowie bracia! tu musimy stawić opór i nie dozwolic kroku do jedynéj naszej ustroni w puszczy. Jak tylko nasi strzelcy nadejdą, zdejmie bala z mostu, osadzim strzelcami, i żeby ich było jeszcze dwa razy więcej, to sprawim im tu gorącą łaźnię. Mości cześniku—rzekł zwracając się do starego Brzechwy—Waszeć jeźdźców naszych weź pod swój ordynans, bo ja Zaklikę muszę mieć przy sobie. Jazdę swoją cofnij w las nieco, w bezpieczną ustron, aby kule jej nie raziły, a tymczasem przepatrz powyżej brodu, by za danym znakiem myśliwską. To grajek dzielny — dodał i uderzył z uśmiechem w ramię Zaklikę.

Pan Malcher już nadciągnął, a kiedy zabierano się do zdejmowania balów z mostu, usłyszano gęste strzały; dalekie wprawdzie, ale wyraźnie spływały po rosie i odbiły się w puszczy.

— Stać w miejscu—krzyknął rotmistrz.—Mości cześniku, wysłój Waszmość ze 20 koni, ażeby dostały języka. Zaklika powiedzie ich naprzód, a ostrożnie, a chyżo. Tam muszą być nasi, bo to strzały ręcznej broni, i broni myśliwskiej.

Zaklika galopem most przeleciał z oddziałem swoim. Zaledwie zniknął w zakręcie drogi, zagrzmiały znowu strzały i powtórzono kilkakroć umilkły. Powiała ciśsza nocy: wszyscy w milczeniu nasłuchiwali uważnie.

Wpół godziny później nadjechał Piotr Brzechwa z oddziału Zakliki, donosząc, że spotkali oddział Augustyna Zawadzkiego z brańszczykowej puszczy, złożony ze 120 Kurpików i około 100 jazdy, który rozbił patrole, ale przed silną kolumną z działami cofa się do puszczy.

— Mości cześniku!—zawołał uradowany rotmistrz—com wyrzekł, to się sprawdzi: sprawimy im gorącą łaznię. Panie Piotrze, ruszaj Waszeć do pana Augustyna z pokłonem od nas, niech przyspiesza kroku, czekamy go radzi. A Waszeć Mości Socha na konia i do Zarębina: uspokój chorążego, poczciwego Maciejka i nasze niewiasty.

Socha dosiadł gniadosza i wkrótce stanął przed dworem Zarębina, gdzie na ganku stał zasmucony chorąży, a obok zięć jego.

— Cóż słychać, cóż słychać?—spytał niespokojnie Zaręba.

Socha opowiedział wszystkie szczegóły. Chorąży słuchając uważnie, rozjaśnił oblicze i wyrzekł:

— No! teraz Maciejku dobra nasza, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże: każ Waszeć mieć bryki w pogotowiu i konie podpasione: teraz już będziemy spokojniejsi, kiedy i Socha przy nas.

Weszli do izby. Chorążyna z córką sptakane, w gorącej modlitwie zatopione były. Nagle zagrzmiął huk straszliwy w puszczy, jakby uderzenie piorunu; huk ten raz po raz odbijał się.

— Co to jest?—krzyknęły przerażone niewiasty.

Chorąży targnął węża, Zaręba zbliżył się do żony i spokojnie odrzekł:

— To nic Kasieńku, to wystrzały jakieś! Przyszędłem cię pożegnać: muszę jechać.

Gdzie? gdzie? — zapytała drżąca Katarzyna.

— Tam, gdzie grzmią wystrzały i gdzie się nasi biją — odrzekł z zapałem.

— Ja cię nie puszcę — krzyknęła młoda kobieta i pochwyciła go za ręce.

Zaręba przycisnął ją do serca, pocałował i z rzewnym uśmiechem odrzekł:

— Módl się moja dziewczeczko, Bóg będzie czuwał nad nami.

Przyklął przed chorążyną, która nie wyrzekłszy słowa, pocałowała go w głowę i przeżegnała. Zaręba wybiegł na ganek i dosiadł konia. Za nim wyszedł i kazał sobie podać wierzchowca chorąży, a gdy żona i córka wybiegły na przedzień, zawołał:

— No, bywajcie zdrowe, a módlcie się gorąco. Zostawiamy was pod strażą pocziwego Sochy.

I w towarzystwie jednego pacholika ruszyli na kraniec puszczy, gdzie ciągle grzmiąły działa i ogień ręcznej broni, zwiastując, że walka bez przerwy się toczy.

Po odjeździe Sochy wrócił z oddziałem swoim Zaklika, a za nim piechota i jazda Zawadzkiego. Natychmiast rotmistrz kazał zdjąć z mostu bale i rozstawił celnych strzelców, wzmocnionych nowym a silnym zastępem. Brzechwa na prawo stanął z oddziałem, Zawadzki dołączył jazdę swoją i objął główną komendę nad całą kawaleryą; zasilono nadesłaną żywnością od Zaręby strudzonych, i w głębokim milczeniu oczekiwano nieprzyjaciela.

Księżyc wychylił się z za chmury, i widnie rozświetlił okoliczne pola i gościniec, po którym gęste zastępy jazdy ciągnącej zwolna i ostrożnie, jak na dłoni się pokazały.

Silny patrol zbliżył się do mostu, ale zaraz zwrócił, dając znać dowódcy, że most popsuty i że nikogo nie postrzegł. Jazda bowiem cała była cofnięta w gęsty parów puszczy, a strzelcy rotmistrza za krzakami czatowali.

Natychmiast kilkudziesiąt zsiadło z koni, a dostrzegłszy po przeciwniej stronie, umyślnie jakby na wabia porządnie ułożone bale mostowe, rzuciło się po belkach, chcąc most przebyć. Kiedy już byli na połowie mostu, zagrała pojezdnego myśliwska trąbka, po niej zagrzmiąły wystrzały, i ani jeden już nie stał na moście.

Rozruch wielki powstał w kolumnie nieprzyjacielskiej, zadudniała ziemia pod ciężarem armat, i te wyceLOWANE sypnęły po moście gradem kartaczy. Ale puszcza milczała, odbijając daleko grzmot działowy. Ogień armatni nie ustawał, kiedy rotmistrz podczołgał się na brzuchu do kupki leżących swoich strzelców, i zciCHA wyrzekł:

— Miesiąc ślicznie świeci, widno jak na dłoni: teraz bierzta na cel kanonierów. Ja tu przyślę pomoc, a nie dajta już strzelać.

Po chwili ani jeden kanonier nie ustał przy działach. Daremnie jazda rzucała się chcąc je obsłużyć, ale ogień ręcznej broni szedł nieustanny, i po daremnych wysiłkach, działa choć nabite, stały nieczynne.

W tę właśnie dobę przypadli w rozpedzonym galopie stary chorąży i Zaręba.

— Słyszysz Maciejku!—przemówił do zięcia — zły to znak: umilkły działa, czyż naszych rozbito.

— Zobaczymy, może zdobyto armaty.

Brzechwa nie próżnował w tym czasie: wynalazł bród płytki, przeprowadził swój oddział, a za nim Zawadzki poszedł z jazdą. Zaklika ostatni się przebierał, gdy doń nadbiegli chorąży z Zarębą.

W największej ciszy uszykowano się na drugiej stronie rzeczulki: Brzechwa objechał nieprzyjacielską jazdę i miał z tyłu uderzyć, Zawadzki czołem, a Zaręba objawszy dowództwo nad oddziałem Zakliki, stał w odwodzie z rezerwą.

Ale i nieprzyjaciel ochłonał z przestachu: jeźdźcy uzbrojeni w karabinki, korzystając z wzgórków i małych zarośli, zasłonieni niemi, rozpoczęli ręczny ogień i celny i żwawy. Mieli czas choć krótkiej przewagi i wtedy z dział dali kilka razy ognia. Za drugim razem okrzyk jakby trwogi rozległ się w puszczy, gdy naraz zabrzmiała wrzawa z tyłu nieprzyjacioł, i silny oddział Brzechwy uderzył; równocześnie Zawadzki z lewego natarł skrzydła. Napad ten niespodziany zmieszał całą kolumnę, i gdy liczba i szykiem opór jeszcze silny nieprzyjaciel stawiał, za uderzeniem oddziału Zaręby poszedł cały w rozsypkę.

Zwycięstwo było zupełne: naprawiono most co rychlej, przeprowadzono zdobyte działa, i chorąży pierwszy po nim powrócił na granicę puszczy.

Rozpalono ogniska. Jakiżto widok smutny uderzył! Na rozciągnionej burce leżał rotmistrz krwią zlany, ranny w rękę karabinową kulą, a oprócz tego otrzymał cios śmiertelny w biodro od kartacza. Klęczał przy nim Malcher, tamował krew, obwijał rany i trzeźwił mdlejącego. Chorąży zeskoczył z konia i przypadł do starca:

— Panie rotmistrzu! Kacprze kochany, mój przyjacielu! spojrzij na mnie! Zwycięztwo!

Na to słowo roztworzył oczy, uśmiechnął się rzewnie i wyciągnął doń rękę. Chorąży przyklęknawszy obok pocałował dłoń pomarszczoną, zimną, i zwilżył tłą serdeczną.

— A gdzie Maciej?—zapytał słabym głosem.

— Jest! jest! Dokończył zwycięztwo w tym świętym boju, którego cała sława powinna spłynąć na ciebie i Augustyna z Brańszczyka, co nas wsparł tak dzielnie (1).

Uwiadomiony Zaręba nadbiegł do ogniska. Ranny starzec przyciągnął go do siebie, i gdy pochylonego pocałował w czoło, szepnął na ucho:

— Każ mnie zanieść coprędzej do twego dworku; tam pod dębem lżej mi będzie konać, a chcę zobaczyć i twoją Kasię i panią chorążynę.

Sporządzono co rychłej nosze, utamowano krew i poniesiono starca pod czujnym okiem chorążego i Malchera.

Zaręba zatrzymał się nieco dla narady z Zawadzki i Brzechwą.

— Ja—przemówił Zawadzki—idę dalej, wam radzę rozjechać się do domów, dopóki nie usłyszycie, że coś ważniejszego zaszło w kraju. Oddział, któryśmy rozbili, już łupić nie będzie i więcej ich w tej okolicy nie ma. Działa i niewolników zabieram z sobą, trupów każcie pogrzebać.

I pożegnawszy się z nimi ruszył napowrót gościńcem przez pola wiodącym. Brzechwa i Zaklika za oddziałami na resztę nocy zostali. Zaręba pognął do domu.

Już zorza poranna prześwitać poczęła, gdy równocześnie z niesionym rotmistrzem wracał w zagrodę

(1) Szczegóły oparte na podaniu rodzinném.

swoję Zareba. Na ganku oczekiwały jego powrotu chorążyna i córka.

Pod dębem niedaleko dworu usłano wonnego siana, okryto skórą niedźwiedzi i złożono rotmistrza tak, jak pragnął. Rozpalono ognisko, a starzec podniósł głowę i wyciągnął rękę, chcąc pozdrowić zanoszące się od płaczu chorążynę i córkę.

Podano mu wina starego w małym kubku: wypił kilka kropli, snąć go orzeźwiło, bo trzymając głowę wspartą na kolanach Malchera, który z wlepionem okiem w oblicze przyjaciela nie widział więcej wokoło, przemówił wyraźnym głosem:

— Widzę nad sobą łaskawą a opatrną boską rękę, kiedy mi tu wśród was dozwala umierać. Pamiętajcie o mnie i módlcie się za zbawienie duszy mojej.

Dał znak, podano kubek, wychylił go do dna; przez chwilę zamrużył oczy, ale zaraz jakby silniejszy przemówił:

— Szkoda! że nie ma księdza proboszcza: co się też z nim stało! Ale Bóg mi przebaczy, bo lubom grzeszny śmiertelnik, szanowałem jego święty zakon i śmiało mogę stanąć na on popis generalny tam! wysoko! kiedy się wszyscy spotkamy.

Na oblicze starca wybił słaby rumieniec, oczy nabrały nowego życia; przywołał bliżej chorążego, ujął za rękę i mówił prędko:

— A cóż, czy chcesz się probować w świeczkowym polonezie? Znasz tę nutę, zaśpiewam ci, panie nam zatorują i pan Maciej razem; ba! Malcherek dopomoże.

I zaczął nucić pieśń tę samą jak we dworze chorążego, ale nagle uciął, bladeść śmiertelna okryła oblicze, zwisła głowa, a Malcher drżącym i bolesnym głosem zawołał: skonał.

— Tak! już skończył—przemówił chorąży.

A płacz rzewny rozległ się wokoło.

X.

Zareba wiernie spełniając wolą zmarłego rotmistrza, pochował go pod tym samym dębem, i krzyż drewniany przy mogile postawił. Tam co wieczór wiosenną, letnią

i jesienną porą przychodził na modlitwę; tam w rocznicę śmierci starego wojaka kapłan święcił mogiłę, odprawił modlitwę za umarłych, a Katarzyna wienczyła ją kwiatami.

Chorążstwo zamieszkało we dworze zięcia, bo nie mieli gdzie schronić głowy: przebyli i zimę w puszczy. Jakkolwiek odbudowali sobie dwór i gospodarskie gumna, ale dla zamieszki w kraju nie mogli opuszczać schronienia, tém więcej, gdy Katarzyna powiła syna. Wpóśród powszechnego smutku w dworku Zareby radość niezwykła, a obudziło ją kwilenie małej dzieciny. Jakie uczucie w duszy pana Macieja powstało, jakie szczęście zorzą jasną opromieniło cichą zagrodę puszczy, to tylko pieśnią poety wypowiedzieć możemy:

„Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche;
Jedno dziecię! a weszło z niem takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele,
I napelnia go wrzawą, uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną,
I tak się rozkochają w tém braterskiem gnieździe,
Ze starcy jak pisklęta, kwilą przy rozjeździe.

Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: „Pokój z twoim domem.”
I zaledwie głos przebrzmiał, to nizka ta chata
Swą strzechę, jak ramiona dziękczynne, rozplata,
I podniosłszy je w górę, swą małość przyczynia,
Aż się stała modlitwą wielką jak świątynia.
I zaraz w niej przybrało wszystko pozór święty:
Radosném przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachy dębowe powały.
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi, co wieczór weselsze.

I od kiedy w niej mieszka niewiniątko Boże,
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
Słodką muzyka pszczołek ciągle gra na lipie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe.
A ja chodzę jak senny, wielbię Pańską sprawę,
I upajam się kwieciami i gołębiami,
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,

I t \acute{e} m \acute{s} wiat \acute{e} l \acute{m} em \acute{s} cian moich i wonno \acute{s} ci \acute{a} powa \acute{l} ...
O! jak ty Panie ducha mego rozradowa \acute{l} (1)!”

Chora \acute{z} y w uniesieniu weso \acute{l} o \acute{s} ci odp \acute{e} dza \acute{l} od kolebki kobiety i sam ko \acute{t} ysa \acute{l} i przys \acute{p} iewywa \acute{l} wnukowi; ale zrazi \acute{l} si \acute{e} t \acute{a} zabawk \acute{a} od czasu, kiedy zaczą \acute{l} \acute{s} piewa \acute{c} poloneza z pod \acute{Z} o \acute{r} awna i przypomni \acute{a} l sobie starego rotmistrza, jak go ta \acute{n} czy \acute{l} w Polanowskim dworze, jak go zanuci \acute{l} konaj \acute{a} cemi usty.

Zerwa \acute{l} si \acute{e} , otar \acute{l} t \acute{z} e $\acute{r$ zewn \acute{a} i wyszed \acute{l} na ganek; ale z ganku widno d \acute{a} b roz \acute{t} o \acute{z} ysty i mogi \acute{t} e \acute{w} wo \acute{j} aka. Poszed \acute{l} wi \acute{e} c do ni \acute{e} j, a ukl \acute{a} kszy pod krzy \acute{z} em, d \acute{u} go i gor \acute{a} co si \acute{e} modli \acute{l} .

Nast \acute{e} pnego roku z pocz \acute{a} tkiem wiosny 1795 roku, przeni \acute{o} s \acute{l} si \acute{e} z \acute{z} o \acute{n} \acute{a} do nowo zbudowanego dworu w Polan \acute{o} wce, a w oficynie zamieszka \acute{l} ju \acute{z} teraz samotny pan Malcher. Dor \acute{e} czy \acute{l} on sto dukat \acute{o} w w z \acute{l} ocie Katarzynie, jak mu zmar \acute{l} y przyjaciel poleci \acute{l} , pi \acute{e} cdziesi \acute{a} t odda \acute{l} na ko \acute{s} ci \acute{o} l i nabo \acute{z} e \acute{n} stwo za jego dusz \acute{e} , a pozosta \acute{l} e pi \acute{e} cdziesi \acute{a} t czerwonych z \acute{l} oty \acute{c} h przeznaczone sobie, obr \acute{o} ci \acute{l} na wystawienie mu z kamienia ciosowego nagrobka, do kt $\acute{o$ rego chora \acute{z} y napis u \acute{o} czy \acute{l} .

Osamotni \acute{a} l dw \acute{o} r w Polan \acute{o} wce, u s \acute{a} siad \acute{o} w smutek i biada, bo wielu nie mia \acute{l} o za co odbudowa \acute{c} si \acute{e} z pogorzeli: nikt nie my \acute{s} la \acute{l} o rozrywce i zabawie. Ko \acute{s} ci \acute{o} l tylko nape $\acute{l$ nia \acute{l} si \acute{e} w \acute{s} wi \acute{e} to, a do dwor \acute{o} w drogi zaros \acute{l} y muraw \acute{a} .

Zar \acute{e} ba odda \acute{l} si \acute{e} teraz ca \acute{l} y gospodarstwu i karczunkowi: potrzeba wskazywa \acute{l} a powi \acute{e} kszy \acute{c} pola pod zasiew, wali \acute{l} wi \acute{e} c przez zim \acute{e} toporem sosny, jod \acute{l} y i d \acute{e} by wiekowe. Tak id \acute{a} c przebojem, ca \acute{l} \acute{a} po \acute{t} ac puszczy dotykaj \acute{a} c \acute{e} j do Narwi zwa \acute{l} il, i tylko pas w \acute{a} zki za \acute{s} tania \acute{l} brzegi przeci $\acute{w$ ne rzeki.

W jesieni chc \acute{a} c \acute{z} onie mi \acute{t} \acute{a} zrobi \acute{c} niespodziank \acute{e} , w czasie kiedy chora \acute{z} two zjechali w odwiedzin \acute{y} , kaza \acute{l} wyci \acute{a} ci \acute{e} i pozosta \acute{l} y pas drzewa.

Upad \acute{l} y ostatnie stra \acute{z} niczce nadbrze $\acute{z$ ne, a cudny widok uderzy \acute{l} oczy siedz \acute{a} cych na ganku. Katarzyna z zachwyceniem patrzy \acute{l} a w obraz nowy, niby czarami ze zwierciad \acute{l} a wody, na pot \acute{e} żne zak \acute{l} ecie, doby \acute{l} y.

(1) Ca \acute{l} y przywiedziony tu ust \acute{e} p jest sielank \acute{a} Kornela Ujejskiego.

Jak niebieska szeroka wstęga, wpośród zielonej murawy, spływała Narew, rybitwy po ustępach uderzały białym skrzydłem z pokrzykiem, a na przeciwnym brzegu ukazał się pałacyk wśród angielskiego ogrodu, ocieniony lipami. W przymroce wieczornej duże okna jaśniały mocnym światłem: przed wspaniałymi podwojami liczna służba strojnie przybrana napełniała ogród.

Lekki wiatr powiał i z powiewem swoim przyniósł i woń kwiatów nieznanych, i bzów krzewistych i odgłos słaby melodyjnej muzyki.

Katarzyna wsparta na ramieniu męża nie mogła oderwać spojrzenia: stary chorąży smutnie westchnął, odwrócił oczy na mogiłę starego rotmistrza pod rozłożystym dębem, Zareba opuścił głowę na piersi w głębokim zamyśleniu, chorążyna odmawiała wieczorne godzinki. Zdawało się, że jakieś przecucie wszystkich opanowało, że ten pałac tak nagle pojawiony w gąszczu puszczy, wpłynie przeważnie na przyszłość skromnego dworku, i tych, co dotąd w nim cicho i szczęśliwie żyli.

PAN DWÓCHSET WYSP.

WALTER - SKOTTA.

PIEŚŃ II.

I.

Niech złote herby błyszczą po sztandarach,
Niech się pod srebrem uginają stoły,
Niech wino w drogich pieni się puharach
A trefniś w żartach przesadza wesoly;
Niech harfy dźwięczą, niech przyjemną zgodą,
Dowcip z godnością łączą się w przymierze;
Niech się weselą dostojni rycerze,
Dziewice błyszczą strojem i urodą:
Tylko ciekawość tajemnic niesyta
Niech się minstrela poufnie nie pyta,
Czy ta wesolość szczerą i prawdziwą?
Czy te oblicza jasne i pogodne
Z serca skrytymi uczuciami zgodne?
Czy śmiech tajonych cierpień nie ukrywa?
Wszak rozkosz ziemi, to kwiat tajemniczy,
Który nie tylko wonię w sobie kryje,
A kielich jego piękny, lecz zwodniczy,
Zatrutą nieraz w głębi chowa żmije!....

II.

I było wino, muzyka i pieśnię,
Połyski złota i świetność purpury;
A oblubieniec błady i ponury
Patrzy się, słucha jakby marzył we śnie.

Schylwszy czoło w tajemnej zadumie,
 W jakoweś myśli posepno zapada;
 A gdy doń który z rycerzy zagada,
 Zmieszany głosu wydostać nie umie.
 I nagle znowu zrywa się z siedzenia,
 Jakby potężne urzekły go czary,
 Podnieca błazny, napęlnia puhary,
 Minstreli darem zachęca do pienia,
 I głośnym, hucznym wybuchem radości,
 Przesadza wszystkich dostojnych swych gości.

III.

Więc biesiadnicy cieszą się weseli,
 Że oblubieniec uczucia ich dzieli;
 I żaden z gości nie dał mu przygany,
 Że raz zbyt głośny, raz zbyt zadumany.
 Przecież Edyta łagodna i tkliwa
 Dosyć ma wdzięków i dosyć urody,
 Aby w dzień ślubu kochanek jej młody,
 Kiedy się zbliża godzina szczęśliwa,
 To się rozkosznym zadumał marzeniem,
 To się radosnym zdradził uniesieniem.
 Nawet Allaster dbały o pozory,
 I w dumie swojej do podejrzeń skory;
 Nawet Egidius, pan na Argentynie (1),
 Co z cnót i mężstwa w ziemi świętej słynie,
 (Rycerz szlachetny, dostojny i mężny,
 Którego wysłał król Anglów potężny
 Aby północne pilnując przymierze,
 Szkocją utrzymał w przysiężonej wierze)
 Lorda Ronalda dziwactwa i szalały,
 Braли za żywe kochanka zapalały....
 Lecz było serce smutkiem obciążone,
 I było piękne, choć lez pełne oko,
 Co tę zdradliwą uchylić zasłone
 I w myślach czytać umiało głęboko!!

IV.

Siedzi Edyta na wysokim tronie,
 Z ślubnym pierścieniem i godowym wieńcem;

(1) Egidius z Argentynu uważanym był po Robercie Brucy i Henryku de Luxemburg za najszlachetniejszego rycerza swego wieku. Należał on do wyprawy krzyżowej i umarł jako bohater, zabezpieczając odwrot Edwarda II.

Lecz snadź wstydliva wzrok wodzi po stronie,
 Aby za lubym nie spojrzeć młodzieńcem.
 Lecz raz przypadkiem zbiegły się ich oczy,
 Zbiegły się krótkiem, lecz dziwném spojrzeniem:
 Edyta cichém jęknęła westchnieniem,
 Lord Ronald zadrzał, z krzesła swego skoczy,
 Największy puhar porywa ze stoła,
 Puhar olbrzymi dziada Somerleda (1),
 I natrętnego odrzuciwszy plega,
 Na podeczaszego donośnie zowola:
 — „Hej! w tę królewskich przodków moich czarg
 Lejcie mi wino wytrawne i stare!
 Prędzěj słuźalcze!.... Niechaj napój świętny
 W jasnym kryształe wspaniale się pieni,
 I drogie perły po brzegach rumieni.
 Do ciebie Lornie, bracie mój szlachetny!
 Za węzeł, który domy nasze spaja,
 A przyjaźń moję ku tobie podwaja!”....

V.

— „Niech kielich zwykłą koleją obchodzi—
 Mężkim swym głosem pan Lornu powiada.—
 Właśnie ten toast spełnić nam się godzi,
 Bo róg zamkowy księdza zapowiada,
 Który nareszcie czekany zbyt długo,
 Ze swoją świętą przybywa posługą.”

Istotnie słyhać dźwięk rogu przewlekły.
 Wtém czara, którą Ronald trzymał w ręku
 Pada z łoskotem; przy szkła głuchym dźwięku,
 Wina złociste strumienie pociekły....
 On zbladł, jak gdyby zabrakło mu ducha!
 Czyż sił już nie ma, aby klamać dalej?
 A wtém marszałek wsunął się do sali
 I panu swemu szepnął coś do ucha;
 Wesola musi być to tajemnica,
 Bo znów rumieniec powrócił na lica,
 Jak słońce chmurą zakryte na chwilę
 Wraca na niebo w żywszych blasków sile.

(1) W zamku Dunweganu, romantyczném siedlisku Mak-Loda wo-
 dza klanu tejeż nazwy, długo przechowywał się starożytny puhar, nad wy-
 raz pięknej roboty. Podług dawnego zwyczaju, rycerze hebrydcy często-
 wali się kolejno w czasie uczyty ogromnym kielichem, i wstydem byłoby
 dla nich, gdyby przy każdej biesiadzie nie wypróznili chociaż jednej beczki.

VI.

— „Lornie! mój bracie!—książę wysp zawoła—
 I wy panowie i rycerze mili
 Cieszcie się! cieszcie! Do naszego koła
 Nowi się goście przyłączają w tej chwili.
 Błędných rycerzy burza nam przywiodła;
 Mówią, że płyną zdalekiej krainy,
 Sławnemi w świecie mają być ich czyny,
 A wojowników używają godła.
 Miejsce u stołu wyznaczyć im trzeba
 I gościnnego nie żałować chleba”....

Wnet mistrz obrzędów uniósł laski swojej,
 Ku cudzoziemcom idzie do podwoi
 I badającym, pilnym okiem mierzy,
 Młodą dziewicę i obu rycerzy.
 Choć woda płami Izabelli szaty,
 Chociaż starszego brata kaftan drogi
 I płaszcz Edwarda rozdarł się bogaty;
 Choć błoto plami im złote ostrogi:
 Owen-Feraugt odgadł jednak snadnie,
 Jakie im miejsce u stołu wypadnie,
 I siwą głowę schylając w pokłonie,
 Na pierwszych miejscach posadził przy tronie.

VII.

Damy, rycerze szeptają z urazą,
 Że cudzoziemcy, tułacze bez miana,
 Których ród obcy, a godność nieznaną,
 Pierwszeństwo biorą z wszelkich praw obrazą.

Owen-Feraugt dosłyszał i rzecze:

— „Ja dostojęństwa nikomu nie przeczę,
 Lecz lat czterdzieści, że nie powiem więcej,
 Zostaję w służbie rodziny książęcej,
 I wiem wśród godów przy biesiadnym stole,
 Jakie się komu miejsce przynależy;
 Lecz ja godności nie biorę z odzieży,
 Ale ją raczej wyczytam na czole.
 To laska moja ze srebra ulana:
 Przecież ją w zakład stawićbym gotowy
 Przeciwno prostej gałązce dębowy,
 Że ta dziewica obca i nieznaną,
 Że ci przybysze, tułacze wędrowni,
 Książcom i lordom w dostojęństwie równi.”

VIII.

Słyszac to Ferrand najstarszy z minstrelu,
 Z zdaniem się swoim wyjawić ośmieli:
 — „I ja niemało obiegłem już świata,
 Sławneń harfiarza trudniac się rzemiosłem;
 Na dworach między rycerzami wzrosłem
 A doświadczenia nauczyły lata.
 Patrzajcie bracia na tego młodziana,
 Jaka postawa wspaniała i świetna,
 Jaka w tych ruchach godność nieudana,
 Jaka w spojrzeniu odwaga szlachetna!
 Kiedy wstępował pomiędzy rycerzy,
 Jak się podniosło czoło jego dumne,
 Jak oko jego piękne a rozumne,
 Najwynioślejszych, najwspanialszych mierzy:
 Jak gdyby tylko obcował z takimi,
 Jak gdyby tylko tacy mu równemi!!

Lecz stokroć więcej podziwienia godna
 Starszego brata spokojność pogodna,
 I ta powaga dostojna, wspaniała,
 Którą oddycha postać jego cała.
 Patrzcie! gdy siedzi przy stole biesiadnym,
 Spokojneń okiem prowadzac po tłumie,
 Zdaje się niby królem wielowładnym,
 Co dwór swój świetny łaską darzyć umie.
 A ta dziewica!—piękność tajemnicza
 Pełna powabu i godności pełna;
 Choć pledu tego prosta, gruba wełna
 Zakrywa kibić i wdzięki oblicza:
 Przysięgłbyś prawie, że szkarłat bogaty,
 To jój zwyczajne, jój codzienne szaty!....

IX.

Na czole Lorna duma i pogarda.
 Ponurym wzrokiem patrzy na rycerzy,
 A podejrzenie twarz mu zdradza harda.
 Najprzód się cicho Anglikowi wierzy,
 A potem ostrym i surowym głosem
 Pyta rycerzy: czyli nie słyszeli
 O zbuntowanej zgrai wichrzycieli,
 Którzy z wygnańca związawszy się losem,
 Na Rat-Eryna schronili się brzegi (1).
 Czy goszczą jeszcze w Ulsteru płaszczyźnie?

(1) Trzeba koniecznie dla zrozumienia tego poematu znać dobrze historią Szkocji; ci, którzyby sobie nie chcieli zadać tej pracy, niech przeczytają przynajmniej piękny romans Miss Porter: *Wodzowie Szkoccy*.

Lub téż zuchwali przez zdradne zabiegi
Bunty chcą szerzyć w nieszczęsnej ojczyźnie?...

X.

Ogniem błysnęły źrenice Edwarda,
Rumieńcem twarz się zapłoniła blada;
I głosem, w którym gniew wre i pogarda,
Na zapytanie Lorna odpowiada:
— „O buntownikach nic nie wiemy żadnych,
Ani nie znamy wicherzycieli zdradnych;
Lecz jeżli tutaj o Robercie mowa,
Dumny mój panie! mierzcie wasze słowa,
Bo Robert przysiągł: nim dziewięć dni minie
Chorągiew jego szkocki wiatr rozwinie,
I szkockie słońce błysnie mu w puklerze,
Mimo zacięte jego przeciwniki,
Mimo angielskie włócznie i łuczники,
Pomimo ciebie, Lornie Allasterze!”...

Dumny pan Lornu zrywa się z siedzenia,
Lecz wściekłość jego lord Ronald łagodzi:
— „Bracie mój! wstrzymaj gniewne uniesienia:
Czyż dzień dzisiejszy zakłócać się godzi?
Nie lepiej stokroć spędzić noc wesela,
Słuchając pieśni godowych minstrela,
Niżeli dawne budzić nienawiści
O marne słowa, których czas nie ziści?”

— „Dobrze—Lorn rzecze siadając na nowo—
Chociaż obrazy nie puszczam nikomu,
Ale gospodarz rządzi w swoim domu:
Zgadzam się bracie na twe mądre słowo.
Lecz chciałeś pieśni? Chodźno tu minstrelu,
Znam ja pieśń jedną w klanie moim sławną,
Choć niezbyt dźwięczną, ani zbyt jest dawną,
Ale na młodej siostry mój weselu,
Właśnie tę piosnkę zaśpiewać się godzi!”

Więc siwy Ferrand wzięwszy harfę swoją,
Gdy inne bardy złote struny stroją,
Ku rycerzowi do stoła podchodzi;
A lord Allaster z niezwykłym pośpiechem,
Coś mu do ucha poszepnął z uśmiechem.
Ferrand bard siwy schylił tylko czoło,
Wraca pomiędzy towarzyszy koło,
Po strunach harfy przebiera palcami;
W sali biesiadne ucichnęły gwary,
Czekają wszyscy. Wreszcie minstrel stary,
Ciszę takimi przerywa słowami:

XI.

KLAMRA LORNA (1).

1.

Jakażto klamra, klamra złocista
 Na pledzie Lorna połyska?
 Jak gwiazda jasna i promienista,
 Co z łona nocy blask ciska!
 Klejnocie drogi, świetny klejnocie,
 Nieznany wśród gór, górali,
 Czy cię Najada w perłowej grocie
 Gładziła dłutem z koralu?
 Może gór Nimfa, luba zwodnica,
 W miłosnym dała cię darze?
 Może irlandzki karzeł w pieczarze
 Ukuł przy blasku księżycy?
 Jeżeli cię ludzka stworzyła ręka,
 Nagrodę szczęścia lub sławy,
 Czyś ty angielskiej wiary poreka?
 Czy dar francuzkiej obawy?

2.

Nie, klamro świetna, nie klamro złota!
 Obcy nas tobą nie darzy:
 Tyś nie czarownych wieszczek robota,
 Ale ozdoba mocarzy!
 Gdy Robert pyszny, Robert zuchwały
 Zasiadł tron Szkocyi szlachetny;
 Tyś mu w dniach szczęścia, blasku i chwały
 Spięła królewski płaszcz świetny.
 Lecz na dumnego przyszły dni kłeski:
 Zadrżały lasy i góry
 Kiedy pan Lorna, rycerz zwycięzki,
 Zdarł cię z zhańbionej purpury.
 A przywłaszczyciel uciekł zblakany,
 Wgnaniec, tułacz bez domu;
 Krew mu ze świeżej lała się rany,
 Czoło chyliło od sromu!
 Uciekł! Duartu trzęsły się skały,
 Pierzchły daniela spłoszone,

(1) Fibula, czyli klamra zapinająca pled, była kosztownym klejnotem używanym tylko przez najznakomitszych wodzów. Historia i tradycja jednakowo opisują walkę, z której Robert Bruce uratował się jedynie zostawiając w ręku zwycięzcy pled swój i klamrę, przechowaną w rodzinie Mak-Dugala.

A Ben-Darysu lasy zielone,
 Z echem Tendrumu jęczały!
 Uciek! Choć wkoło bój huczał krwawy,
 Odbieżał świetne swe godło,
 Które do nowych zwycięstw i sławy
 Waleczne hufce powiodło.

3.

Próżno się, próżno na przeciwnika
 Sroży Kampbella dłoń sławna:
 Nic nie pomoże stal Kirpatryka,
 Do łatwych mordów zaprawna.
 Daremnie Duglas strach błady nieci
 I miecz swój zakrwawia świetny;
 Pierzcha Barendown, Delache szlachetny,
 Gdzie złota kłamra zaświeci!...
 A pan jej dawny? Wstyd i przekleństwo!
 Może mi słuchacz nie wierzy:
 Na stosy, miecze, Anglii męczeństwo
 Wydał swych wiernych rycerzy!
 Dziś król bez tronu, rycerz bez sławy,
 Po obcym błąka się brzegu;
 Dziś cień Komyna straszny i krwawy,
 W tułackim ściga go biegu!
 A kłamra świetna, kłamra złocista
 Na pledzie Lorna połyska,
 Jak gwiazda jasna i promienista,
 Co z łona nocy blask ciska.

XII.

Jak dziki tygrys, gdy łowców zobaczy,
 Zanim się na łup straszny rzuci skokiem,
 Stawa, i rycząc z gniewu i rozpaczy,
 Szuka ofiary zakrwawioném okiem;
 Tak młody Edward w pośrodku rycerzy
 Stoi, i straszną, ognistą żrenicą
 To raz śpiewaka, to barona mierzy,
 I za miecz drżącą chwyta się prawicą.
 Brat go hamuje w gniewnych uniesieniach
 I dłoń spokojną kładzie mu na rękę:
 — „Edwardzie! czyliż po tylu cierpieniach
 Znieść nie potrafisz płatnej harfy dźwięku?
 Starcze! ta twoja natchniona ballada,
 Na wzór piosenki żebrzącego dziada,
 Co piszcząc w dudki o jałmużnę prosi,
 Przesławnie imię pana twego głosi,

Któremuś sprzedał harfy twojej struny
 I serca twego uniesienia wieszczę,
 I głosu twego harmonijne tony.
 Ale minstrelu! nie skończyłeś jeszcze!
 Czemu nie śpiewasz trzech poddanych Lorna,
 Trzech dusz szlachetnych, choć zrodzonych w gminie,
 Których odwaga mężka, choć pokorna,
 Nie wspomnana, nie uczczona ginie!...
 Czemu nie śpiewasz przy harfy twój dźwięku
 Jak pana swego z rąk króla wydarli?
 Jak włócznie swoje z mieczem jego zwarli,
 Jak z wojowniczym, rycerskim zapalem
 Pierś Lorna własnem zasłaniając ciałem,
 Bohaterowie polegli bez jęku!
 A w konających zmartwiałym już ręką
 Została klamra i płaszcz purpurowy.
 Kiedy z zasadzki hufiec wrogów nowy,
 Króla Roberta zmusił do odwrotu;
 A Lorn Allaster płynący od potu
 I z pola walki bladą gnany trwogą,
 Liczył pod zbroją głośnie serca bicie,
 I boki konia kalecząc ostrogą,
 Unosił szczęsny ocalone życie.
 Ale dość tego: masz ten łańcuch złoty,
 Łańcuch kosztowny, misternej roboty;
 Odkąd go starcze na pierś twoją wdziejesz,
 Nie kłam już nigdy, gdy o królach piejesz!!!”

XIII.

— „Przez wszystkich świętych w Pana Boga chwale!—
 Krzyknie Lorn w dłonie klasnąwszy zuchwale—
 Tożto sam Robert!!! Nuże bracia moi!
 Zdrajca, morderca między nami stoi:
 Niech mu ostatnia wybije godzina
 Za niepomszczoną dotąd krew Komyna!”
 —Nie!— woła Ronald—w ojców moich domu
 Gości mych nie dam znieważyc nikomu;
 I póki dłoń ta mieczem przodków władnie,
 Ani im jeden włos z głowy nie spadnie.
 Ten, co schronienia szukał za mym progiem
 Świętym jest dla mnie; a kto go obrazi,
 Kto go zaczepi—moim będzie wrogiem!....
 Póki ja żyję, murów tych nie zkazi
 Krew w zbyt nierównej walce wytoczona!
 Bo świętość prawa—to słabych obrona.”
 — „Co tam o walce nierówniej wspominasz—
 Krzyknie pan Lornu—przeszłość zapominasz!

Przeszłość niedawną. Wszak Komyna serce
 Trzema razami przeszli morderce... (1)
 Co o świętości powiadasz i prawie?
 Kto myślał wtedy o prawach i sławie,
 Gdy krew płynąca nieszczęsnej ofiarze,
 Świętyni Pańskiej broczyła ołtarze!
 A dziki zbójca dla sromu i wzgardy,
 Trupa tratował mściwemi nogami
 Mając wzrok taki posepny i hardy,
 Takie oblicze zimne i ponure,
 Taką na czole dumnych myśli chmurę
 Jak ten, co teraz stoi między nami!
 Do mnie mścicie! do mnie dzielne mężo!
 Na głowę zbrodnia szykujcie orężo.”

XIV.

Wnet kilku panów ze stałego ładu
 Powstało na głos dumnego rycerza.
 Już do spełnienia straszliwego sądu,
 Barkaldyn ramię żyłaste zamierza;
 Już Kinloch-Allin miecz z pochwy dostaje,
 A Czarny-Murdok trzyma go w prawicy,
 Dermid gotowy do boju powstaje;
 Już się szczęk broni z gwarem łączy dzikiem.
 Pobladła piękna twarz oblubienicy,
 Trwożne niewiasty uciekają z krzykiem.
 O ziemio szkocka! czyliż w tej godzinie
 Najszlachetniejszy z synów twoich zginie?
 O nie! bo, dzielne mężo oceanu,
 Pomni na święte gościnności względy,
 Stojąc wokoło wodza swego klanu,
 Lorna krwi chciwe wstrzymują zapędy.

XV.

Obok młodego dwóchset wysep pana,
 Torkil z gór Skii, władca Dunwegana:
 Młodzieniec duchem, choć ciałem już stary;
 Mak-Niel wyniosły, lennik dzikiej Bary,
 Duat Mak-Gillian, mąż w barkach szeroki,
 Klanu swojego wódz śmiały i mężny,

(1) Brucy wychodząc z kościoła, gdzie po długich zatargach przebił sztyletem Komyna, spotkał Lindsaja i Kirpatryka.—„Co słyhać?—zapytali go oba.—„Zle—odrzekł Brucy—zabiłem podobno Komyna!...—„Podobno! krzyknął Kirpatryk—zaraz to pewnością będzie,—i pobiegł do kościoła, dotrzeć swęj obietnicy.

Fergus pan Kauny zamku i zatoki,
 I z Kolonsaju lord Duffilk potężny:
 Zastęp rycerzy, co jak hart ich stali
 Nigdy się jeszcze nie ugiął skruszony,
 A którym w sercach płomień niezgaszony
 Dawnych niechęci ku Anglii się pali.

Otóż gdy wodze bebrydzy zobaczą
 Oręż angielski do góry wzniesiony:
 Serca im w piersi dziwnie zakolączą,
 Krew w żyłach zawrze, zabłysną źrenice,
 I same za miecz pochwyćą prawice.
 Straszny obrazie! Szczękają oręża,
 Ognistym wzrokiem grożą sobie męża,
 Długi włos wodzów w nieładzie opada!..
 Nocy godowa! Biada tobie! biada!
 Blask, co miał uczcie przyświecać wesela,
 Teraz niestety odbija się w stali,
 A stal go w drżących promieniach odstrzela
 Na wzór ogniska, co się w bagnach pali.

XVI.

Wszystkie prawice do boju gotowe.
 Ale któż pierwszy z tych śmiałych rycerzy
 Współbiedniaka naga pierś uderzy?
 Kto pierwszy szaty ubroczy godowe?
 Kto pierwszy zdepcze gościnności prawa?
 Kto, o rycerze, gdy kłątwa minstrela
 Czeka braterskich biesiad gwałciciela!

Powoli straszna ucisza się wrzawa,
 Bo nikt pierwszego nie śmie zadać ciosu;
 Stoją rycerze bez ruchu i głosu
 I oczy tylko, oczy sobie grożą.
 Ogień krwi chciwy w źrenicach się pali,
 Jak gdyby nagle świętą wołą Bożą,
 Ci zapastnicy dumni i zuchwali,
 W głązów bezwładne zmienili się bryły,
 A oczy tylko patrzyły i żyły.

XVII.

Wtedy Edyta przeleżała i drżąca,
 Słodkimi słowy gniewy chce ukoić;
 Między rycerzy cisnie się płacząca,
 By ich potęgą łez swoich rozbroić.

Biedna dziewico! oczu twoich szkoda....
 Bo w takiej chwili nikt jeszcze, niestety!
 Nie ważył sobie gorzkich łez kobiety!...

Za córą Lornów, nieznajomą młodą
 Wstaje wzruszona, i ku którejże stronie
 Wyciągnie wsparcia błagające dłonie?
 U kogoż będzie szukała pomocy
 Przeciw zaciętej wrogów swych przemocy?
 U kogo?... Nagle plec z ramion jej spada,
 Błysnęły ogniem cudne czarne oczy,
 I włos się kruczych rozwiewa warkoczy;
 A ona chociaż wzruszona i blada,
 Do Egidyusza z godnością się zbliża
 I mówi smutnie:—„O rycerzu krzyża!
 Obrońco świętej Zbawiciela ziemi,
 Najszlachetniejszy między szlachetnemi!
 Ty! coś w turniejach za męstwa dowody
 Odbierał świetne wieńce i nagrody,
 A moja niemi darzyła cię ręka;
 Czyż będziesz patrzył obojętném okiem,
 Jak krew szlachetna popłynie potokiem,
 A silna przemoc słabego ponęka?”....
 Słowa te prosić Anglika się zdają;
 Ale jej cudne oczy błagające,
 Łzami wilgotne a ogniem płonące,
 Lorda RONALDA wśród tłumu szukają.
 A RONALD stoi: krew bije na lica;
 W oczach mu dziwna świeci błyskawica;
 Lecz kiedy dostrzegł spojrzeń Izabelli,
 I twarz tę cudną, którą boleść bieli;
 Słodkiego głosu gdy dosłyszał dźwięku:
 Nie może dotrwać wśród rycerzy koła,
 Miecz SOMERLEDA silnie ściska w ręku,
 I drżącym głosem wzruszony zawoła:
 —„O! Iza... raczej o Edyto droga!
 Póki to serce w młodej piersi bije,
 Dopóki RONALD, wierny rycerz żyje,
 Ty się nie lękaj przemocy ni wrogu!
 Ty się nie lękaj, o luba dziewico!
 Serca i duszy mój oblubienico!
 Oblubienico”.—Tu usta zadrzały,
 Głos zamarł w piersi i słowa skonały....

XVIII.

Tutaj Egidius odstąpił od stoła,
 Spokojnym wzrokiem prowadzi dokoła,
 I głosem, w którym mężka brzmi odwaga,
 Dwóch się rycerzy wydania domaga,
 Ponieważ obaj w dumie swój zuchwali,
 Przeciwno Anglii królowi powstali!....

Lord Ronald brzmieniu słów tych nie dowierza,
 Bo zna dostojną szlachetność rycerza;
 Lecz stary Torkil gniewem się zachmurzy,
 I swoje męskie, piękne, wojownicze,
 Wiekiem zorane zmarszczywszy oblicze,
 Tak się prędkimi słowami wynurzy:
 —„Mynieulekłe syny oceanu,
 Posłuszni tylko wodzom swego klanu,
 Myśmy słyszeli, że gdzieś po równinach
 Anglia bezprawnie jarzmo swoje wtlacza,
 I władzę swojej potęgi roztacza
 Po stariej Szkocyi swobodnych dziedzinach!
 Ale zarazem głosiła nam sława,
 Że wola Szkocyi i słusność prawa,
 Króla Roberta wzywają do tronu,
 Choć go zeń strąca potęga Albionu.
 Lecz choćby słuszném było twe żądanie
 Dumny Angliku, Argentynu panie,
 Niech sobie Anglia chwyta swych poddanych,
 Czy wiarołomnych, czy też zbuntowanych;
 Niech sobie chwyta wszędzie gdzie dosięga
 Władza jej prawa i sił jej potęga:
 Ale nie tutaj, nie pomiędzy nami,
 Wojowniczymi szkockimi wodzami;
 Nie w naszych zamkach, nie przy naszym stole.
 I niechaj z tego co zechce wypadnie,
 Ja siwy Torkil nigdy nie pozwolę,
 Aby ktokolwiek, przemocą czy zdradnie,
 Znieważył tego, kogo strzeże stara
 Praojców naszych nieskażona wiara!”

XIX.

Ta mowa wodza znowu gniew zapali,
 Znowu zapasy gotują się krwawe:
 Pазie i giermki wpadając do sali
 Zwiększają jeszcze nieład, rozruch, wrzawę.
 Wtém odgłos rogu ostry i ponury,
 U bramy zamku rozległ się donośnie:
 Echem mu stare odwórzyły mury....
 —To kapłan! kapłan!!—wołają radośnie,—
 To kapłan boży, a weń duch proroczy,
 Miłość i wiara, łaska i natchnienie!!
 To kapłan boży, ten, którego oczy
 Znają tajemnic świętych objawienie.
 Błogosławionym w Panu lud go zowie,
 Bo kiedy stary i siwy wędrowiec
 Święty Kolumba nawiedza grobowiec:

To na obłokach płynąc aniołowie,
 Drżącym pielgrzyma krokom towarzyszą,
 A zakonnicy z przerażeniem słyszą
 Wśród ciszy nocy posepnych i mglistych,
 Jak na Ben-Duny wyżynach skalistych,
 Himnów niebiańskich rozbrzmiewają chóry,
 By uweselić czuwanie kapłana,
 Kiedy u setnych krzyżów świętej góry (1)
 Pacierze mówi zginając kolana.
 To sługa boży nad inne wybrany,
 Co w świątobliwej mądrości nie błądzi:
 On niechaj nasze zatargi rozsądzi,—
 Wołają zgodnie rycerze i pany!...

XX.

Na rozcież sali roztwarto podwoje.
 Długim szeregiem wchodzą zakonnicy:
 Pochodnie w rękach, pokutnicze stroje,
 I czarne stuły na czarnej kapicy.
 Idą powoli krokami cichemi,
 Przy świętych himnów uroczystym dźwięku;
 Ów kapłan starzec, ostatni za niemi,
 Krzyż Chrystusowy w drżącym dźwiga ręku!
 Krzyż—znak pokoju; spojrzą wojownicy,
 Wnet gwar wrzaskliwy uciechnął dokoła,
 Z pokorą groźne schylają się czoła,
 I miecze z zbrojnej wypadną prawicy;
 I cały straszny pożar wojny znika,
 Na podobieństwo drżącego promyka,
 Którym mignęła gwiazda spadająca,
 Gdy moc jakowaś z błękitów ją strąca.

XXI.

Sługa ołtarza z wizerunkiem Boga,
 We drzwiach komnaty wstrzymał się u proga;
 Zrzucony kaptur na barki mu spada,
 Drżąca pochodni na twarz bije łuna.
 A twarz ta cicha, łagodna i blada,
 Oczy przygasłe od łez pokutniczych,
 Na czole tuman myśli tajemniczych,
 I siwych włosów na głowie korona.
 —„Pany! rycerze! mężni wojownicy!—

(1) Więcej nad trzysta takowych krzyżów wznosi się na górze Duna.

Ozwie się starzec drzącemi słowami—
 Niechaj opieka Najczystszej dziewicy
 I łaska Pańska niechaj będzie z wami!
 Pokój wam... Ale czyż wzrok starca myli?
 Po co te miecze?—to śmierci narzędzie?
 Czyliż w najświętszej sakramentu chwili,
 Czy kapłana stal przerażać będzie?"

XXII.

Pychę swą kryjąc pod płaszczem pokory,
 Allaster z Lornu głos zabiera skory:
 — „Ojczel! ty mniemasz, żeś dłonią kapłańską
 Prawe kościoła dzieci błogosławił?
 Ale o zgrozo! tu, pomiędzy nami
 Prawowiernemi kościoła synami
 Zbójca się kryje, co świątynię Pańską
 Gwałtem znieważył, a mordem zakrwawił!
 Ale kapłanie! kościół ma mścicieli!
 Widzisz ten oręż, sztylety i miecze:
 Krew bezbożnego strumieniem pociecze,
 Zdrajca kto zbrodnia bronić się ośmieli!"...

XXIII.

Ronald przerywa:— „Kto w imieniu Boga,
 W imieniu Boga łaski i pokoju
 Dłonie braterskie śmie zbroić do boju,
 Łakomy na krew bezbronnoego wroga?
 Kto w imię Boga śmie przysięgi łamać?
 Gwałcić gościnność, czci rycerskiej kłamać?
 Kto? niech odpowie.”—Wtém do stóp kapłana
 Obca dziewica pada na kolana:
 Głosu jój brakło, tylko ręce wznosi
 I czarne oczy przysłonione łzami.
 Obok Edyta drzącemi słowami
 Brata o litość i wspaniałość prosi;
 Ale w tém sercu z kamienia czy lodu,
 Co w egoizmie i pysze zakrzepło,
 Niełatwo wzniecić tkliwszych uczuć ciepło!
 — „Precz, precz, niegodna córo swego rodu!—
 Wola i siostrę od siebie odtrąca—
 Precz z oczu moich dziewczko szlochająca!
 Małoż ci jeszcze zhańbienia i sromu,
 Żem cię sam przywiódł do RONALDA domu
 Jak niewolnicę, która u podwoi,
 Kaprysu pana oczekując stoi;
 I w oczy pańskie pogląda ze drzeniem,

Czy ją wzgardliwém przywoła skinieniem,
 Czy obojętnie wypędzi od siebie.
 Ale dość tego! dość przez Boga w niebie!
 Wspaniały Klifford, władca paganiczy,
 Pan Kumberlandu ręki twojej życzy:
 Będzie mu zadość. Odpowiedzi żadnej:
 Nie chcę przyjaźni kłamanej i zradnej!...
 A teraz na bok! — niechaj nie obaczę,
 Że córka Lornów sromu swego płacze!"

Kapłan w milczeniu słuchał ostrzej mowy
 I lkań Edyty, co się łzami skarży;
 Twarz ma spokojną, ale wzrok surowy,
 I Bóg wie tylko co tam w myślach waży.

XXIV.

Tymczasem mowa angielskiego posta
 Brzmiała tak hardo, pyszna i wyniosła;
 Tak dumnie groził władzą swego pana,
 Że Ronald dłużej wstrzymać się nie zdoła:
 Krew mu serdeczna uderzy do czoła,
 I dawna niechęć, długo przytłumiona,
 Zawrze mu w piersi jako iskra owa
 Co długie lata w krzemieniu się chowa,
 A którą nagle uderzenie stali
 Wzbudzi z kamienia i pożar zapali....

Więc gniewny krzyknie:— „Ha! czy jeszcze mało,
 W sprawie się waszjej łez i krwi wylało,
 Odkąd Will Wallas, miłość szkockiej ziemi,
 Najszlachetniejszy między szlachetnemi,
 Zginął na pośmiech wiedziony w laurze,
 Jak Jezus Chrystus na Kalwaryi górze!.... (1)
 Gdzie Nigel Brucy? (2) Gdzie Delache szlachetny?
 Gdzie młody Frazer kwiat rycerstwa świętny?
 Seton? Somerwill? gdzie wspaniałe wodze?
 Psy krew szlachetną chleptają po drodze,
 A dzikie sępy i żarłoczne kruki,
 Rozpierzchnięte członki szarpają na sztuki,
 A Szkocya na to bezkarnie ogląda!

Czyż lampart Anglii wiecznie łupu żąda?

(1) Zobacz w kronice Stowa historią nieszczęśliwego Wallasa, zdradą wydanego w ręce Anglików. Dzieło Miss Porter opisuje bardzo szczegółowo życie i zgon Wallasa; przeczytanie jego objaśniłoby wiele niezrozumiałych ustępów *Pana Dwóchset Wysp*, gdyż poemat nasz jest niejako jakby dalszym ciągiem romansu Miss Porter.

(2) Nigel Kampbell szwagier Brucego zginął pod Dalry; lord Duglas, Dobrym zwany, ciężko tam był ranny.

Czyż krwi Atola gorące strumienia
 Nie ugasiły krwawego pragnienia?
 Czyż.... brew zmarszczyłeś Argentynu panie
 Walki chcesz widzieć:—oto masz wyzwanie!"...
 Mówiąc to dumnie pas odpina drogi,
 I rękawicę rzuca mu pod nogi.

XXV.

—,Nie—woła Torkil—dzieje nie powiedzą,
 Żeś szedł sam jeden na niebezpieczeństwo;
 Niechaj się pyszne Angliki dowiedzą,
 Że w piersiach Szkotów żyje dawne męstwo!
 Nie, młody wodzu, nie opuszczę ciebie,
 Ani samemu nie dam iść na wroga,
 I mówię głośno: przez Chrystusa w niebie!
 I przez Woodena, ojców moich Boga, (1)
 Jeżeli Robert, wygnany, wyklęty,
 W róg swój królewski raz jeszcze uderzy;
 Jeżeli do walki wyzwie los zawzięty
 I wiernych swoich zgromadzi rycerzy:
 Ja stary, siwy, władca Dunweganu
 Lenne mój wyspy rycerstwo zgromadzę,
 I wierny memu monarsze i panu,
 Dwieście mu dzielnych mężów przyprowadzę!
 Święty kapłanie, nie gań wojownika!
 Krew Skandynawów we mnie nieodrodna!
 Nie jestto żądza krwi i mordu głodna,
 Lecz święty zapal, co mi pierś przenika.
 Tak! święty zapal, co pod hartem stali
 Wszystkich szlachetnych Szkotów serca pali".

XXVI.

Kapłan Chrystusa nic nie odpowiada,
 Twarz mu się tylko zasępiła blada,
 I drżącym naprzód posuwa się krokiem,
 Roberta Bruce smutnym szuka wzrokiem.
 Otworzył usta. O! znać, że surowem
 Króla wygnać a gromić będzie słowem.
 Otworzył usta, ale dwa kroć razy
 Niedosłyszane skonały wyrazy.....
 Czy mu zabrakło serca czy odwagi,
 Czoło tułacza razić kłątwy ciosem?

(1) Familia Mak-Lodów, jak niemal wszystkie znakomitsze rodziny hebrydzkie, pochodziła od starożytnych Skandynawów, i w owym jeszcze wieku wiele takowych niezupełnie było nawróconych.

Wreszcie surowym, uroczystym głosem
 Rzekł, pełen smutnej jakowéjs powagi:
 „Powiedz nieszczęsny, jakiej władzy siła,
 Kłatwę na ustach moich zawiesiła?
 Kłatwę! A wiesz ty, co to kłatwa znaczy?
 Co duszę wiecznej śmierci i rozpaczy
 A serce żalom i zgryzocie wyda?
 Kłatwa—to hańba! kłatwa—to ohyda!
 Ona aniołów oddali od ciebie,
 Boga na jęk twój głuchym zrobi w niebie;
 Ona twe sługi z domu ci rozgoni,
 Lennikom twoim da oręż do dłoni;
 Ona szlachetne ojców twych nazwisko
 Łupem na wrogów wyda pośmiewisko;
 Przezeń twe druhy, przyjacioly twoje,
 Pod twą chorągwią nie wyjdą na boje.
 Zmazanym będzie, kto ci kroplę wody,
 W męczarniach zgonu poda do ochłody,
 Bo kłatwa w trumnie nie przebaczy tobie:
 Ona ci herby rozburzy na grobie,
 Ona pogrzebne uciszy ci pienia,
 I w ziemi świętej odmówi schronienia”

XXVII.

Na to król Robert z godnością spokojną
 Rzekł, głowę swoją podnosząc dostojną:
 —„Nie mnie kapłanie władzy ci zaprzeczać,
 Ani o przeszłość nieszczęsną się sprzeczać;
 Niech na mnie spadnie grzechu tego wina,
 Bo ja ten ciężar na me barki wzięłem;
 Lecz wiedz kapłanie: zabójstwo Komyna
 Nie było zemsty osobistej dziełem,
 Ale ofiarą, przez którą pomszczono
 Krzywdę téj biednej ziemi wyrządzoną!...
 Lecz Bóg, co w sercach ludzkich czytać umie,
 Co tylko podlój, osobistej dumie
 I przedajnikom nigdy nie przebaczy:
 Bóg grzech zapału darować mi raczy,
 I błogosławić będzie chęciom moim.
 Niech Szkocya znowu zakwitnie pokojem,
 Niech jej powrócą dni chwały minione,
 Hufce angielskie niech pierzchną zgromione:
 Wtedy kapłanie w pokorze i skrusze
 Modły zaniosę za Komyna duszę;
 Wtedy wojownik krzyża, w imię Boże
 Pójdę w dalekie ziemie Palestyny,
 I pokutując za młodości winy,

Rycerskie czoło w prochu upokorzę.(1)
 Wodzowie szkocy! angielscy rycerze!
 Ja Robert jestem: kto z was ma co do mnie?!!
 A teraz ciebie Lornie Allasterze,
 Coś sprawę Szkocyi zdradził wiarołomnie,
 Teraz ja ciebie wyzwę zdrajcy mianem,
 I lżę cię głośno kłamcą zaprzędanym!
 Co mi odpowiesz na twoją obronę?
 Skończyłem—kolej na ciebie kapłanie,
 Sługo pokoju! Broń, którą chcesz strone,
 Niech woli niebios zadosyć się stanie.”

XXVIII.

Jakby przed nagłym niebios objawieniem
 Kapłan stał milcząc z niemém przerażeniem,
 A blask niezwykły na wybladłej twarzy
 I święty zapał w oczach mu się żarzy.
 Siwy włos starca nad czołem się jeży,
 Gorący oddech zwiędłe wargi pali;
 Nie widzi niewiast, nie widzi rycerzy,
 Błyszczącym okiem utonął gdzieś w dali....
 Po wzdętych żyłach krew szybko przepływa,
 A ciałem wstrząsa tajemnicze drzenie;
 Nareszcie długie mieszając milczenie
 Z ust palających głos mu się wyrwa.
 Nie ten głos cichy, przerywany, drżący,
 Którym ochrypla pierś starca się sili,
 Lecz głos, jakimby w uniesienia chwili
 Młodzieniec zapał malował gorący!....

XXIX.

— „Ty! co w bezbożnym uniesienia szale,
 Przybytek Pański skalaleś zuchwale;
 Ty! coś znieważył oltarz twego Boga!
 Chciałem na głowę twoją miotać gromy,
 Chciałem krew twoją wydać zemście wroga,
 Ale ogarnia mnie duch niewidomy:
 Nieznany ogień w starą pierś wstępuje,
 Jak Madianita, Boga mego czuje!
 I sługa Pański—błogosławię ciebie!”...
 Rzekł, szmer zdziwienia rozszedł się po sali,
 Starzec promienném okiem wkoło toczy,

(1) Robert Brucy umierając rozkazał Duglasowi zawieźć swe serce do Jerozolimy, jako zadosyćuczynienie za krew przelaną w przybytku Pańskim.

Coraz to żywiej lice mu się pali
I duch przez usta przemawia proroczy.

XXX.

—, Ty! coś po trzykroć w bojach zwyciężony,
Widział jak drogie sercu twemu druhy
Szli na męczeństwo pod katów obuchy;
Ty! coś po puszczy jako dzikie zwierze
Przez psy twe własne uciekał tropiony; (1)
Ty! coś na obce wygnany wybrzeże
Tułać się musiał o gościnnym chlebie,
Królu wygnaćcze! błogosławię ciebie
A błogosławieństw ciche słowo moje,
Robercie szkocki, pójdzie z tobą wszędzie.
Ono ci wierne na walki i boje
I w zamki królów towarzyszyć będzie!
Ty pomścisz dawne krzywdy twój ojczyzny,
Ty jój serdeczne pozagajasz blizny,
I przed obcemi zasłonisz pociski!
A dzieł twych świętych wiekopomna chwała,
Przez usta bardów będzie światu brzmiała,
I szkocka matka dziecku u kołyski
Będzie twe imię ze czcią powtarzała....
Idź teraz śmiało pomazańcze Boga,
Niebo zerwane wraca ci przymierze!
Idź synu Szkocyi! i wierne rycerze
Prowadź zwyciężko na zastępy wroga!
Ale duch Pański ustępuje ze mnie!
Ciemno mi.... siły opuszczają nagle....
O bracia moi... rozwijajcie żagle,
Już nam tu dłużej bawić nadaremnie!...
Już święta nasza służba dokonana:
Stało się zadość rozkazowi Pana”....
Tu starzec omdlał. Ze czcią i pokorą
Zakonnicy bracia biorą ciężar drogi,
Szybko zamkowe opuszczają progi,
I chłodną, wietrzną, ciemnej nocy porą,
Łódka klasztorna odbiła od brzegu:
Wiatry ją silne popychają w biegu....

(1) Nie jest to przenośnia, gdyż istotnie góry szkockie rozlegały się głosami psów tropiących uciekającego króla. Nawet jeden z ogarów Lorna należał kiedyś do Brucego, i król z wielkim tylko wysileniem ujął przed nim zdołał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

I

FILOZOFIA NAUK ŚCISŁYCH:

- 1) Whewel: History of the inductive sciences, vol. 3.
- 2) Philosophy of the inductive sciences, vol. 2.

(Dokończenie).

W wiekach średnich, w których niektórzy najnowsi pisarze widzą ideał cywilizacyi, szczyt doskonałości moralnej, nie zajaśniała żadna myśl samodzielna: nauki nie tylko były w kolebce, ale śmiało powiedzieć można, iż ich nie było. Dwóch wielkich filozofów greckich, Arystoteles i Platon, z niekompletnych i nieoryginalnych źródeł poznawani i po części źle rozumiani, naprzemian podbijali umysły, rozwijając coraz bardziej ich bierność, zdolną tylko naśladować i tworzyć subtelne i oderwane formułki i orzeczenia. W podobnym stanie ubóstwa umysłowego, scholastyctw rozszerzył swe oschłe konary, wstrzymując popęd myśli, trawiąc soki żywotne ducha ludzkiego: Czém była nauka w tych wiekach, co miała za przedmiot swych badań?—przechodzi zakres naszego pisma: dosyć w odpowiedzi na to pytanie wskazać nam na dzieła najznakomitszego i najgłębszego myśliciela owych czasów, św. Tomasza, na sławną Summa Theologiae, w której na 512 kwestyj jedna jest tylko poświęcona światu fizycznemu, kiedy po kilka przypada na hierarchią, mowę i czynność aniołów, na stróżów aniołów i inne tym podobne przedmioty.

Aby wydobyć Europę z tego letargu umysłowego, potrzeba było zelektryzować ją iskrą gieniuszu, naprzeciw powagom Platona i Arystotelesa postawić wyższą żywą powagę—naturę; naprzeciw mądrości czczój i sztucznej—mądrość odwieczną i nieomylną. Wielkie to i trudne zadanie z zapałem i poświęceniem aż do męczeństwa podjęli naturaliści, i wywiązali się z niego z taką pomyślnością i korzyścią, iż wdzięczne im być powinny ludy za wskazanie nowój i prawdziwój drogi, za udzielenie im światła, którego promienie ogrzewały i upiększyły nowszą cywilizacją.

Znalazł się wielki człowiek, który rozpoczął tę nową inicją ludów olbrzymiem odkryciem i wielką ideą, który owe sławne życzenie Archimedesesa: „dajcie mi drąg i punkt podpory, a światem poruszę” w życie wprowadził. Tym nieśmiertelnym człowiekiem był Mikołaj Kopernik; w gieniuszu swym znalazł on ów drąg Archimedesesa, a w harmonii nieba punkt podpory i poruszył światem. Odtąd ziemia wyrwana z swego spoczynku, przeznaczona krążyć w niezmierności światów, została nieznacznym i drobnym punkcikiem; człowiek, najznakomitszy jej mieszkaniec porwany wraz z nią do ruchu, ujrzał się odrazu zbyt małym i wielkim: zarazem małym jako fizyczna, wielkim jako myśląca i rozumowa istota. Kopernik udowadniając nowy i prawdziwy system świata przenikał swym gieniuszem jego porządek, i na niebie i ziemi wypiętnował swe imię. Pierwszy prawie z ludzi wystawił najtrwalszy i największy pomnik dla samodzielności i szczytności rozumu ludzkiego. Pierwszy ogłosił zasady mądrości prawdziwój, która pokazując z jednéj strony małość człowieka, rzeczywistój i właściwój uczy go pokory; drugi raz rozszerzając sferę jego widzenia i działania, pokazując czynem jego wartość moralną i umysłową, podwyższa go i podnosi, budząc w nim ufność w własne siły i poczucie swój godności. Pierwszy raz poznał człowiek dotykalnie nieskończoność; odtąd dla myśli jego nie ma żadnych granic, droga po którój dąży wytknięta palcem odwiecznej mądrości nie ma kresu, duch jego swobodnie może kroczyć. Odkrywając coraz nowe przestrzenie i okolice, odstania coraz więcej tajemnic i praw odwiecznych, i uczy się tém samém i sie-

bie szanować, i uwielbiać Twórcę tych nieprzebranych cudów i dzieł.

Znakomity astronom francuzki Arago (1), w następujący sposób kreśli nam stanowisko i zasługi Kopernika:

„Astronomia jest umiejętnością, którą słusznie szyci się rozum ludzki. Wyższość tę niezaprzeczalną winna ona zwłaszcza wzniosłości swego celu, wielkości swych poszukiwań, pewności, użyteczności i okazałości niezrównanej swych wypadków. Od początku towarzystw, poznanie biegu gwiazd ciągle zajmowało rządy i ludy; lecz astronomia godna prawdziwie téj nazwy jest umiejętnością nową, zaczynającą się od Kopernika, który ręką silną i energiczną zniszczył większą część rusztowania dawnego i poważanego, którym ułuda zmysłów i duma ludzi napełniła świat. Odtąd ziemia przestała być środkiem, punktem głównym ruchów niebieskich, i skromnie poszła zająć miejsce pomiędzy planetami: jój ważność materyalna wogóle i ciał stanowiących nasz system słoneczny, została prawie sprowadzoną do ziarenka piasku.” Montuela (2) utrzymuje: „sławny Kopernik wolny od przesądów, tak długo ujarzmiających rozum ludzki, ośmielił się podciągnąć pod rozbiór powody uzasadniające dotychczasową wiarę, jakoby mieszkanie nasze miało być środkiem świata i ruchów niebieskich. Uderzony słabością takowych i ich niedogodnością, pracował nad podniesieniem prawdziwego systemu świata z jego ruin, i ogłosił go pomimo zarzutów na jakie się wystawiał. Epoka ta zasługuje bardzo na uwagę poważną filozofów, gdyż krok ten śmiały dał hasło do szczęśliwej zmiany we filozofii, która wkrótce nastąpiła.”

Według opinii Delambra (3) „Kopernik postawił astronomią na nowych podstawach, i swém ważném odkryciem otworzył drogę do wszystkich poszukiwań i spostrzeżeń następnych. Entuzyazmowi właśnie, jaki ta prawda nowa zrodziła w umyśle Keplera, zawdzięczamy poznanie istotnych ich figur, linii obiegu planet i praw ich ruchów.” Drugi ten wielki gieniusz i prawodawca nieba uderzony harmonią ruchów ciał niebieskich, prawami niezmiennymi, które im przewodniczą, stosunkami, jakie

(1) *Annuaire pour l'an 1844.*

(2) *Histoire des mathématiques.*

(3) *Histoire de l'Astronomie moderne. Paris. 1821. Tom I.*

istnieją między ich odległością, wielkością i prędkością: z wielkim zapałem przyjął nową teorią, i w chwili swego uniesienia upadł na kolana prosząc Boga, aby mu pozwolił odkryć nowe dowody na poparcie prawdy objawionej przez Kopernika — „*Deum semper oraveram, siquidem Copernicus vera dixisset uti ista succederent*” (Prodro. wstęp).

Kopernik długo wahał się z ogłoszeniem swego nieśmiertelnego dzieła: *De revolutionibus orbium coelestium*, które zmienić miało postać świata, a jego autorowi zapewnić pamięć wieczną. Powody tej zwłoki wyowiada nam w liście swym do papieża Pawła III, w którym mówi: „długo wahałem się nad tém, czy mam ogłosić moje prace nad ruchami ciał niebieskich, lub czyliby nie było lepiej i stosowniej iść za przykładem niektórych Pytagorejczyków, którzy nic nie pisali, lecz ustnie tylko przekazywali swym uczniom i przyjaciółom tajemnice filozofii, jak to dowodzi list Lizida do Hipparka. Nie czynili oni tego, jak niektórzy myślą, ze zbytęchniej zazdrości, lecz aby pytania bardzo ważne, badane z wielką pilnością i staraniem przez ludzi sławnych, nie były nicowane przez próżniaków, którzy nie lubią oddawać się pracom poważnym, chyba że im zysk przynieść mogą, albo przez ludzi miernych, którzy poświęcając się niby naukom, niedołężnością swego umysłu wkręcają się między filozofów, podobnie jak trutnie między pszczoły.”

W przedmowie do swego dzieła, przypisanego Ojcu Świętemu, autor energicznie przedstawia głębokość swego przekonania i pewność o prawdzie, którą objawia. „Poświęcam, mówi on, moje dzieło waszej Świętości, aby świat cały, uczeni i nieuczeni mogli widzieć, iż nie unikam sądu i krytyki. Twoja powaga i miłość nauk w ogóle, a w szczególności matematyki służyć mi będą za puklerz przeciw złym i wiarołomnym obmówcom, pomimo nawet przysłowia, które opiewa, iż nie ma lekarstwa na ukąszenie potwarzy.”

Wysłuchajmy teraz powody jego, które go skłoniły do odrzucenia dawnego systemu. W tej mierze słowa samego Kopernika najlepiej pokażą donośność jego zarzutów i głębokość jego widzeń: „Ruch słońca i księżyca według ich hipotez, z tak małą dokładnością są oznaczone, iż nie można według nich ustanowić niezmiennej i od-

wiecznej długości roku. Do wytłumaczenia ruchów ciał niebieskich używają oni różnych zasad; raz przypuszczają koła mimośrodkowe, drugi raz epicykle, których zastosowanie nie zgadza się z isłotą całego systemu. Nie mają oni żadnej podstawy pewnej, a co się tyczy najważniejszego tego pytania: jaka jest forma świata i symetria ciał niebieskich, nie umieli jej ani odkryć, ani udowodnić." Dalej wypowiada ważność i prawdziwość swjej teoryi i piękność harmonii i porządku świata w słowach następujących. „Uważając ruchy planet w związku z obrotem ziemi, nietylko uderza nas zupełna analogia i zgoda, lecz nadto znajdujemy w ogóle ciał niebieskich taki porządek i symetrią, iż stanowią one jedną całość harmonijną, której części tak z sobą ściśle są połączone, iż nie można naruszyć żadnej bez zaprowadzenia między niemi nieporządku i zamieszania. Pewny jestem, że uczeni i głębcocy matematycy przyklasną moim poszukiwaniom, jeżeli, jak przystoi filozofom, gruntownie rozważą dowody, które podaję w tém dziele. Gdyby zaś niektórzy ludzie lekkomyślni i nieucy chcieli nadużywać pewnych miejsc pisma świętego, przekręcając ich znaczenie: nie obchodzi mnie to, i zawczasu pogardzam ich zarzutami zuchwałemi i niedorzecznemi. Czyliż nareszcie Laktancyusz, zkądinąd pisarz znakomity, lecz słaby matematyk, nie chciał okryć śmiesznością ludzi wierzących w kulistość ziemi? Nie byłoby więc dziwném, gdyby mnie ten sam los spotkał. Prawdy matematyczne powinny być tylko sądzone przez matematyków.”

Czytając te słowa pomimowolnie przychodzi nam na pamięć to zdanie Ptolemeusza: „iż filozof wolnym powinien być od przesądów”. Najlepszy dowód tego widzimy w Koperniku, który pojmując nową ideę ogłosił ją z siłą przekonania i rezygnacją zdolną znieść wszystkie potwarze i niesprawiedliwości, aby utworzyć tylko drogę nowemu światłu, powalić przesady i zapewnić panowanie prawdzie.

Kopernik nietylko wyrwał ziemię z odwiecznej nieruchomości, nietylko wykazał harmonię i porządek świata, ale oraz połykiem swego gieniuszu przeczuł siły fizyczne władające niemi; zapowiedział niejako w którą stronę przyszłość zwrócić ma swoje uwagę, aby odkryć

następne prawa i wytłumaczyć to, co było ukrytem do tego czasu dla rozumu ludzkiego.

„Ciężkość, mówi on, jest ogólną dążnością, jaką twórca natury wlał we wszystkie części materji, aby się łączyły z sobą i tworzyły massy. Własność ta nie należy wyłącznie do ziemi, ale oraz do słońca, księżyca i wszystkich planet. Za jéjto wpływem cząstki materji składające te ciała połączyły się, otworzyły globy, i zachowują swą formę kulistą (1).

Dwadzieścia ośm lat upłynęło od dnia, w którym Kopernik konając trzymał w swych drżących rękach pierwszy egzemplarz dzieła swego, mającego stać się później pomnikiem sławy wzniosłej i czystej dla naszego narodu, a pierwszym zaraniem światła dla całej Europy, aż do téj chwili w której w Wittenbergu urodził się człowiek powołany do zrobienia w umiejętności postępu równie wielkiego i płodnego. Mężem tym był Kepler. Obdarzony dwoma przymiotami napozór przeciwnemi sobie: wyobraźnią wulkaniczną, i wytrwałością niezrażającą się najzawilszemi rachunkami, odgadł, że ruchy ciał niebieskich ulegać muszą prawom prostym i pojedynczym, lub używając jego własnych słów, prawom harmonijnym. Tysiące usiłowań bezowocnych, błędy w liczbach i obrachunkach nieuniknione w tak olbrzymiej pracy, nie wstrzymały go na chwilę od dążenia do celu, który sobie raz wymierzył. Dwadzieścia dwa lat poświęcił na rozwiązanie tego wielkiego i trudnego pytania. Lecz cóż znaczą w istocie dwadzieścia dwa lat pracy dla tego, co ma zostać prawodawcą światów, którego imię służyć będzie za tytuł kodeksu nieśmiertelnego, który śmiało może odezwać się w języku dytyrambicznym: „Los jest rzucony: napisałem dzieło. Czy je czytać będą w tym wieku lub przyszłym, mało mnie to obchodzi: czekać ono może na swego czytelnika. Czyliż Bóg nie czekał sześć tysięcy lat na wielbiciele swych dzieł?”

(1) Etenim existimo gravitatem nihil aliud esse quam appetentiam quamdam naturalem terrae partibus inditam a divina providentia opificis universorum, ut in integritatem unitatemque suam sese conferant in globi formam coeuntes, quam affectionem credibile est etiam soli, lunae caeterisque errantium fulgoribus inesse, ut ejus efficacia in ea qua sese representant rotunditate permaneant. De Revolu. ca. 9.

Po pracach Kopernika i Keplera głównem zadaniem nauki było wynaleźć przyczynę fizyczną, w skutek której planety obiegają linie zamknięte, siłami udowodnić zasadę konserwacji świata, a nie podporami stałemi, sferami kryształowemi, o jakich nasi przodkowie marzyli: jedném słowem, do ruchu gwiazd zastosować prawa ogólne mechaniki ciał ziemskich. Lecz nauka, która miała rozwiązać te ważne i wielkie pytania, daleko umiejętniejsze i wszechstronniejsze zakresić stanowisko astronomii, od czasów Archimedesesa aż do Galileusza i Stewinusa, a ztém blisko dwa tysiące lat nie zrobiła żadnego postępu, ale się nawet cofnęła. Ta nauka, która teraz wystąpić ma na widowni i nieznaną prawdę ogłosić światu jest mechanika, którą słusznie Leonardo da Vinci nazwał rajem umiejętności (1): od niej zawisł przyszły los astronomii, i dalsze jój rozwinięcie.

Upadek ciał gdyby nie był zjawiskiem codziennem, obudzałyby w ludziach wielkie podziwienie i ciekawość. Cóż może być więcej uderzającego nad widok masy bezwładnej, nie mającej żadnej woli, ani zdolności do postępowania w tym lub owym kierunku, która spada na ziemię, skoro przestanie być utrzymywaną?

Natura tworzy ciężkość ciał w sposób tak tajemniczy, tak przechodzący zakres zwykłego naszego pojmowania, iż filozofowie starożytni, którzy chcieli wszystko wytłumaczyć mechanicznie za pomocą atomów, wyłączyli ją ze swego systemu.

Aby odgadnąć tę tajemniczą siłą, której skutki najczęściej widzimy, potrzeba było wprzód obalić powagę Arystotelesa, wstrzymującego wszelki postęp tak w naukach moralnych, jako i fizycznych. Wielki ten czyn zawdzięczamy Galileuszowi. Nieśmiertelny ten gieniusz pomimo wielu wielkich i pięknych odkryć, zasługuje zwłaszcza na pamięć i uszanowanie w potomności, bo najwięcej przyczynił się do zachwiania dawnych przesądów i błędów, i stworzył prawdziwą filozofią umiejętności. Był on nie tylko wielkim fizykiem i astronomem, ale oraz znakomitym filozofem; często powtarzał, iż pracował więcej lat nad filozofią, jak miesiąc nad matema-

(1) La mecanica è il paradiso delle scienze matematiche, perché con quella si viene al frutto delle scienze matematiche. Libri, Histoire des sciences mathématiques en Italie, 1840.

tyką. On pierwszy wskazał naukom przyrodzonym właściwą podstawę, opierając ją na obserwacji, doświadczeniu i indukcji: dlatego słusznie uważać go można za reformatora filozofii umiejętności. Naprzeciw powagi Arystotelesa i różnych systemów scholastycznych wystawił naturę jako jedyne dzieło nieomyłne, którego filozofia jest napisana w języku matematycznym. Błędne i fałszywe mniemanie fizyków, utrzymujących, że prędkość ciał upadających jest w stosunku ich ciężkości, zbił rozmaitemi znakomitemi doświadczeniami i nadto udowodnił, że prędkość upadających ciał jest w stosunku czasów, a drogi przebieżone przez nie w stosunku kwadratów z tychże prędkości.

Nietylko położył on zasady do statyki i dynamiki, ale był oraz gorliwym wyznawcą i obrońcą systemu Kopernika, nad którego upowszechnieniem pracował, i za którego zasady obelgi i przesładowania znosić musiał. Wykazując tak w astronomii jako i mechanice niedorzeczności i fałszywe filozofii starożytnej, obraził na siebie jej zwolenników i wyznawców scholastycyzmu. Jakie było zaślepienie jego przeciwników, następujący przykład dostatecznym będzie dowodem. Caecini publicznie wystąpił z ambony we Florencyi przeciw niemu, i starał się w swoim kazaniu wykazać i udowodnić, że geometrya jest sztuką diabelską, a matematycy powinni być wypędzeni ze wszystkich państw, jako twórcy i rozsiewacze herezyi. Wielki ten astronom zasłużył się pod tyłą względami nauce, iż imię jego śmiało może być policzone pomiędzy największemi jej gieniuszami; cierpienia zaś jakie znosił w obronie prawdy, budzą dla niego współczucie i szacunek.

Samodzielność umysłu ludzkiego raz obudzona, śmiało postępowała naprzód, i szybkim krokiem kroczyła po drodze wytkniętej i zdobytej. Odkrycia i pomysły nowe zbogacając coraz bardziej wiedzę, wywoływały dalsze prace i usiłowania. Popęd jaki Galileusz dał naukom fizycznym wzrastał w coraz większe siły i zmienił postać mechaniki. Borelli we Włoszech, Hooke i Wallis w Anglii, Huyghens w Holandyi, pracowali nad rozwiązaniem mechanicznego porządku świata, i przygotowali drogę do znakomitych odkryć, które Newton z taką świetnością i gienialnością wykazał i rozwinął.

Któżby się spodziewał, iż w tak zwyczajnym fakcie jakim jest upadek ciał, leży ukryta tajemnica porządku całego świata, i prawa, których odkrycie przynosi zaszczyt i chlubę nowszym czasom? Gieniusz dopiero Newtona potrafił ją odgadnąć, i pokazać nową harmonią pomiędzy niebem a ziemią. Jeżeli gdzie bardziej możemy się przekonać o potędze rozumu ludzkiego i o jego ideach, to bezwątpienia przechodząc najnowsze wynalazki i postępy nauk. Długo duch ludzki uspiiony w Koperniku naraz wystąpił jako olbrzym, i na niebie i ziemi rozpostarł swe panowanie.

Tajemnice siły ciężkości, których Leucyp, Demokryt, Epikur i ich szkoły nie mogły odkryć, Kartuzeusz starał się rozjaśnić i wytłumaczyć; w tym celu wpływo wi wiru materji, bardzo delikatnej otaczającej nasz glob, przypisywał przyczynę upadku ciał. Jakkolwiek Huygens rzucił wielkie światło na ten przedmiot, nie dał jednakże mu téj pewności i ścisłości, jakie odznaczają zwykle prawdę. Co większa, Newton nawet sam nie potrafił go w zupełności rozwiązać: późniejsze zaledwo czasy zdolne były przewyciężyć wszystkie trudności i otrzymać pewne i ścisłe wypadki. Newton nie odkrył siły ciężkości, podobnie jak Galileusz; lecz uważając ciała spadające, nietroszcząc się o istotę siły, która rodzi ten wpływ, widział siłę rzeczywistą, i nazwał ją atrakcją, nadmienając przytém, że wyraz ten nie oznacza sposobu fizycznego, w skutek którego siła ciężkości powstaje i działa.

Przyjąwszy raz siłę atrakcyjną jako fakt, Newton bada ją i śledzi w zjawiskach ziemskich, w obiegu księżyca, planet, satelitów i komet, i z téj nauki nieocenionej wyprowadza prawdy matematyczne, pojedyncze i ogólne, i wykazuje siły przywodzące gwiazdom, stanowiącym nasz system słoneczny.

Newton korzystając z prac równie wielkich poprzedników: Keplera, Huygensa; posiadając naukę analizy, której był twórcą, rozwinął i udoskonalił dotychczasowe pojęcia, i w nieśmiertelném swém dziele: *Philosophiae naturalis principia mathematica*, pozostawił zasady mechaniki i fizyki niebieskiej. Powtórzyćbyśmy więc mogli dlatego za Lagranżem, że Newton nietylko był jednym z największych geometrów i fizyków, ale oraz naj-

szcześliwszym z nich, ponieważ raz tylko i w jednej epoce można mieć do wytłumaczenia świat, i materiały do tego zebrane i przygotowane.

Mówiąc o tym wielkim mężu, trudno aby nie zwrócić uwagi czytelnika na jego filozofią i zasady, jakie on jój przepisywał; kilka następnych zdań dostatecznie to wyjaśni:

W trzeciej księdze swego nieśmiertelnego dzieła mówi:

„Potrzeba te tylko przyjmować przyczyny, które są konieczne do wytłumaczenia fenomenów.

W filozofii experimentalnej wypadki otrzymane przez indukcyą z fenomenów, uważane być powinny pomimo hipotez przeciwnych albo za zupełnie pewne lub prawdopodobne, dopotąd, dopóki ich inne zjawiska nie stwierdzą, lub nie wykażą potrzeby ich zmiany.“ Mówiąc o ciężkości dodaje. „Nie stawiam żadnej hipotezy, albowiem wszystko to, co się nie opiera na objawach jest hipotezą; przypuszczenia zaś jakiegokolwiek one mogą być rodzaju nie powinny znajdować miejsca w fizyce doświadczalnej, albowiem w tej filozofii wyciąga się prawdy z fenomenów, a potem je przez indukcyą się uogólnia!

Jakkolwiek pomysły pojedyncze porozrzucane tu i owdzie, tak w starożytnych jak i w nowszych czasach, począwszy od Lukrecyusza, Plutarka, aż do Keplera, Boullianda, Borellego i Huygensa, przygotowały okazały i wzniosły system Newtona; jednak jemu tylko zawdzięczamy rozwiązanie najważniejszego pytania w świecie fizycznym. Wielki ten mąż przypisując ciałom niebieskim własność przyciągania się, prawa Keplera zastosował do jój oznaczenia, nadał im ściślejszą pewność matematyczną, i rozciągnął je do wszystkich cząstek materji słonecznego świata.

Skoro Newton pomysłem swym nadał to wielkie i ogólne zastosowanie, do którego prawa Keplera nie wystarczały, przypuścił, iż różne planety nietylko przez słońce; ale nawzajem się przyciągają: umieścił wpośród ciał niebieskich siły, które z czasem zachwiać mogły ich porządek i harmonią. Astronomowie na pierwszy rzut oka widzieć mogli, że w żadnej krainie świata, bliżej lub odległej, linie krzywe, prawa Keplerowskie, nie

są dostateczne do wytłumaczenia wszystkich zjawisk; że ruchy pojedyncze i jednostajne, jakie wyobraźnia starożytnych przypisywała ciałom niebieskim, ulegają ważnym, licznym i ciągłym zmianom. Przewidzieć te różne perturbacje, oznaczyć ich kierunek, a w niektórych nawet razach ich wartość liczebną, było myślą Newtona, kiedy pisał swe nieśmiertelne dzieło. Pomimo jednak swój niezrównanej mądrości, zaledwo rzucił pojedyncze zarysy do przyszłej zupełniejszej budowy. Jeżeli nie rozwiązał on wszystkich pytań, nie wynikało to bynajmniej z braku zapału i wytrwałości: usiłowania jego były prawie nadludzkie; lecz jedynie z tej przyczyny, że one nie mogły być rozstrzygnięte w tej epoce. Skoro późniejsi matematycy cbcieli postawić system Newtona na podstawach niezachwianych, udoskonalić teoretycznie tablice astronomiczne, napotkali na trudności, których wielki ten nawet geniusz zwyciężyć nie podołał.

Pięciu matematyków: Clairaut, Euler, d'Alembert, Lagrange i Laplace podzielili się światem, który Newton przywołał do życia. Zaczęli go śledzić we wszystkich kierunkach, przebiegać niedostępne jeszcze okolice, w których znaleźli liczne nieznanne dotąd pojawy, i sprowadzili do jednej zasady i jednego prawa wszystkie subtelności i tajemnice ruchów niebieskich. Geometria odważyła się także przeniknąć przyszłość, a wieki następne potwierdziły jój wyroki.

Gdyby jedna gwiazda, naprzykład księżyc, ciążyła tylko ku środkowi ziemi: natenczas matematycznie przebiegałaby elipsę stosownie do praw Keplera, a tém samém do zasad mechaniki rozwiniętych w pierwszych rozdziałach nieśmiertelnego dzieła Newtona. Lecz przypuśćmy teraz drugą siłę działającą, z uwzględnieniem oraz atrakcyi, jaką słońce wywiera na księżyc, w ogóle zamiast dwóch ciał, przypuśćmy trzy: naówczas elipsa Keplera słabe nam da tylko wyobrażenie o ruchu naszego satelity. W tym przypadku atrakcyja słońca wpływać będzie na zwiększenie rozciągłości pierwszej linii obiegu, i co istotnie nastąpi; w drugim zaś razie zmniejszy ją. W pewnych nawet razach siła słońca działać zacznie wówczas, kiedy gwiazda zmienia swe miejsce, a w skutek tego jój ruch będzie prędszym. W ogóle przez wprowadzenie trzeciego ciała przyciągającego

powstaje wielka komplikacja, i w miejsce pojedynczego i jednostajnego ruchu, tyle powabnego dla umysłu ludzkiego, pokażą się ślady nieładu i zamieszania.

Newton rozwiązał dostatecznie pytanie dotyczące się ruchów niebieskich wówczas, kiedy dwie gwiazdy przyciągają się nawzajem; lecz pozostawił niedotkniętem drugie daleko trudniejsze, które traktuje o trzech ciałach. Zadanie to trzech ciał, mające na celu oznaczenie obiegu gwiazdy uległej wpływowi atrakcyjnemu dwóch innych, pierwszy raz rozwiązaniem zostało przez Clairaut'a, co wpłynęło przeważnie w przeszłym jeszcze nawet wieku na udoskonalenie tablic księżyca.

Najpiękniejszym odkryciem astronomicznym starożytności jest bezwątpienia oznaczenie ruchu wstecznego punktów równonocnych. Hippark, któremu to odkrycie zawdzięczamy, określił wszystkie następstwa tegoż ruchu z wielką jasnością, z których dwie zwłaszcza najwięcej ściągają na siebie uwagi.

Z powodu ruchu wstecznego punktów równonocnych, nie w każdej porze roku te same pokazują się na firmamencie nieba grupy gwiazd i konstelacje; w ciągu wieków, konstelacje obecne zimy zostaną konstelacjami lata i nawzajem. Z téj równie przyczyny biegun niezawsze zajmuje jedno miejsce w sferze niebieskiej: gwiazda dla swéj jasności słusznie dzisiaj nazywana polarną, była bardzo oddaloną od bieguna za czasów Hipparka, co równie na nowo nastąpi w ciągu wieków.

Kopernik wyrwawszy ziemię z mniemanéj nieruchomości, prostym bardzo sposobem wytłumaczył wszystkie okoliczności towarzyszące ruchowi wstecznemu punktów równonocnych. Przypuścił on, że oś rotacyi ziemi nie jest zupełnie równoległą od siebie, i że zbacza cokolwiek po każdym całkowitym obiegu naszego globu około słońca: czyli w miejsce ogółu gwiazd podbiegunowych zdążających w pewny sposób na spotkanie bieguna, przypuścił iż on postępuje ku nim. Hipoteza ta uwolniła mechanizm świata z największej komplikacyi, jaką duch systemów do niego wprowadził. Drugi Alfons (1) nie znajdzie teraz stosownego pozoru, aby mógł

(1) Przeczuwając zapewne proste i harmonijne prawa, które kiedyś przywołać będą ciałom niebieskim, Alfons powiedział: „Gdybym był przyzwany do rady Boga wówczas, kiedy świat tworzył, byłby lepiej urządzonym.“

się odezwać do swego synodu astronomicznego w słowach głębokich a źle rozumianych, które historia przypisuje królowi Kastylii. Jakkolwiek pojęcie Kopernika uległo wielkiemu polepszeniu przez Keplera: pozostała jednak jeszcze do odkrycia siła modyfikująca corocznie położenie osi świata, i każąca jej opisywać w 26,000 latach koło całe, około 50 stopni średnicy. Newton odgadł, że siła ta wynika z wpływu słońca i księżyca na materye, które w stronach równikowych unoszą się zwyż sfery, której środek zchodzi się ze środkiem ziemi, i której promieniem jest linia poprowadzona od tegoż środka do jednego z biegunów; przypisał zatem ruch wsteczny punktów równonocnych spłaszczeniu globu, nadmienając, że na planecie kulistej miejscaby to mieć nie mogło.

Wszystko to jest prawdą, lecz nie potrafił on tego wykazać matematycznie. Udowodnienie więc jego idei zostało zadaniem nauki, które później d'Alembert rozwiązał stanowczo i ze świetnością.

Jedno z najważniejszych i najciekawszych pytań jest bezwątpienia poznanie formy i konstytucyi globu naszego tak w czasach dawnych, jako też i obecnym jego stanie; dlatego długo zajmowało ono umysły matematyków i astronomów. Prace Clairauta d'Alemberta, a szczególnie Legendra, dały nam teoretyczne oznaczenie figury ziemi zgodne z jej praktycznymi wymiarami. Analiza odśloniła nam także pierwotną postać ziemi i wykazała, że ona się początkowo znajdowała w stanie płynnym.

Wpatrując się głębiej i wszechstronniej w ruchy ciał niebieskich widzimy tyle wpływów różnorodnych, tyle zmian i zboczeń, iż pomimowolnie nasuwa nam się to pytanie: czy sama siła ciężkości wystarcza do utrzymania systemu słonecznego? czy nie zagraża mu jakiś kataklyzm, który zniszczy cały ten świat i inny natomiast wywoła do bytu? Myśl ta zajmowała równie Newtona; lecz nie mogąc uchwycić wątku i jedności w grze tych rozmaitych sił, które zdają się tylko cudem utrzymywać w równowadze, wnosił, iż system planetarny nie ma dostatecznych elementów do swęj wiecznej trwałości, i że od czasu do czasu ręka Wszechmocna musi naprawiać tworzący się nieporządek i przedłużać istnienie świata. Euler jakkolwiek lepiej pojmujący przyczyny perturbacyi

planet nie przyjmował, aby system słoneczny o własnej potędze mógł się ostać wiecznie.

Czyliż inna nauka może mieć wyższe i ciekawsze pytanie do rozwiązania nad to? Los całej ludzkości zawisł od najmniejszej zmiany w działaniu sił niebieskich; zerwanie raz ich równowagi przewrócić może wszystko i zmienić całą postać świata. Nauka odpowiadając na te ważne pytania z pewnością matematyczną, najlepiej stwierdza swój wpływ dobroczynny. Laplasowi zawdzięczamy tę wielką usługę, iż podciągając pod prawa rozmaite zmiany i zboczenia w świecie słonecznym, wykazał w nim harmonią i dostateczne warunki do jego istnienia. Pracom Laplasa winniśmy, iż obecnie nie potrzebujemy się spodziewać niebezpieczeństwa z tej strony: piękniejszego i wznioślejszego tryumfu zasada siły ciężkości mieć nie mogła nad ten, aby utrzymując zgodę na niebie, przywróciła zarazem spokój w duszach ludzkich. Według filozofii nauk przyrodzonych to tylko możemy przyjąć za prawdę, co fakta i doświadczenie stwierdzają. Stosownie do tej myśli, siłę ciężkości uważać możemy za właściwą tylko światu słonecznemu; kto więc, może inne przestrzenie niezmierzone nieba ulegają odmiennym wpływom i prawom, może inna siła daleko ogólniejsza im przywodzi? Łatwo z tego czytelnik widzi, iż system Newtona nie odrazu doszedł do tej doskonałości, którą mu późniejszo prace nadały; zasady jego nie były zdolne początkowo odpowiedzieć na wszystkie pytania, które ciała niebieskie zadają bezustannie astronomom: następne dopiero obserwacje i odkrycia rozwinęły je i udoskonaliły. Z tych przyczyn śmiało powiedzieć można, iż od Newtona aż do dzisiejszego czasu astronomia pracowała nad wykryciem obszerniejszego i ogólniejszego panowania siły ciężkości, usiłowała ją wyrwać z granic naszego systemu planetarnego, i rozszerzyć ją na cały świat niebieski.

Odkrycia i prace obydwóch Herschelów dają nam poznać gwiazdy podwójne, potrójne, poczwórne i t. d. (1), i pokazały nam nowy świat zewnątrz naszego systemu planetarnego. Formuły algebraiczne, za pomocą których obrachowano obiegi eliptyczne podwójnych

(1) Astronomowie rozumieją pod temi nazwiskami grupy z dwóch, trzech, czterech gwiazd, które zdają się być bardzo zbliżone do siebie.

gwiazd, opierają się całkiem na tój hipotezie, że wielka i mała gwiazda przyciągają się do siebie w stosunku odwrotnym kwadratów z ich odległości, a zatém i tam siła ciężkości bezwzględnie panuje. Za czasów Alexandra Wielkiego, większa część filozofów greckich uważała komety za zwykłe meteory, powstałe w naszej atmosferze. Średnie wieki mało się troszcząc o ich naturę, wyciągały z nich przepowiednie, uważały je za zwiastunów klęsk i nieszczęść. Tycho-Brahe naznaczał im miejsce poza księżycem; Hevelius, Doërfel przyjmowali, iż obracają się około słońca; Newton twierdził, iż ulegają wpływowi siły atrakcyjnej tój gwiazdy, i prawom Keplera. Pozostawało jeszcze dowieść, czy ich linie obiegu są zamknięte, i czyli jedna kometa może być w różnych czasach widziana? Na to odpowiedział Halley. Zebrawszy bardzo starannie rozmaite podania historyków, kronikarzy i roczników astronomicznych o okolicznościach towarzyszących ukazywaniu się komet bardziej jaśniejących, udowodnił z głęboką pracą, że komety 1682, 1607 i 1531 były następniemi objawami jednej i tój samej gwiazdy! Ta tażsamość pociągała za sobą następstwo, przed którym niejeden zapewne astronom zdumiał; potrzeba było przyznać, że czas obiegu całkowitego zmienia się bardzo, i że ta zmiana może dochodzić aż do 2 lat na 76. Lecz zkądże powstają te tak wielkie różnice, i czyż one są skutkiem popływu planet? Clairaut odpowiedział na to ważne pytanie, i co większa odważył się w ciągu roku 1758 oznaczyć epokę, w której kometa z 1682 roku na nowo się pokaże, i z jakimi ona się konstelacyami i gwiazdami w swym biegu spotykać będzie.

Wszędzie prawie gdzie tylko rozum doszedł, nowe światło rzucił na przedmioty, zbijając dawne wyobrażenia jednostronne i fałszywe. Dzisiaj te komety, które były powodem strachu przez tyle wieków, którym przypisywano klęski, zaraźliwe choroby, nieurodzaje, potop i t. p. inne marzenia, są najniewinniejszemi istotami, które żadnego wpływu wyraźnego na nasz glob nie wywierają. Przed odkryciami nauk fizycznych ustąpić musiała powaga wieków i uczonych: nic się z niej nie ostało, co tylko nie było zgodne z prawami natury. Patrząc na te wielkie zmiany, jakim nauki przyrodzone uległy w nowszych czasach, na wszystkie znakomite odkrycia: podziwiać potrzeba, iż tak znaczny postęp w tak krótkim przeciągu

czasu mógł nastąpić. Dzisiejsze umiejętności fizyczne nie prawie nie zawdzięczają mądrości starożytnej: odrzuciły one wszystkie jej pojęcia, udowodniły jej niedorzeczność i błędy. Rozum wieków i ludzi nie ostał się. Patrząc na te ruiny przeszłości, powtórzyć możemy tylko słowa Galileusza, powiedziane do swych słuchaczy: „Pamiętajcie panowie, lecz pamiętajcie dobrze, że w umiejętnościach powaga tysiąca, niewarta jest najlichszego rozumowania jednego.”

Historia przeło umiejętności fizycznych nietylko jest ciekawą dlatego, iż daje nam obraz tworzenia i rozwijania się różnych pojęć i pomysłów; lecz pokazując nam pomniki samodzielności rozumu ludzkiego, utwierdza w nas wiarę w potęgę idei, zwiększa ufność w nasze siły moralne. Następnie idąc za wątkiem historycznym nauk fizycznych, natrafiamy na ślady tworzenia się nowszej cywilizacji, widzimy walkę pomiędzy mądrością starożytną a najnowszymi dążnościami. Pierwsze nauki fizyczne uwolniły się z pod wpływu i przewagi poganizmu, pierwsze odgraniczyły samodzielnym charakterem swych poszukiwań wieki starożytne od nowszych czasów. Im zawdzięczamy najgłówniejsze prace umysłowe kilku ostatnich wieków, one wywołały cywilizacją odmienną od starożytnej. Dwie epoki historii ludzkości są najwznioślejsze i najważniejsze: świat grecki umiłował piękno i urzeczywistnił je w życiu; świat najnowszy uczuł potęgę idei, i pod jej wpływem stworzył i rozwinął nauki przyrodzone. Historia umiejętności przedstawiając nam ich dzieje, które prawie zaczynają się od XVI wieku, odśtania nam najżywotniejsze strony umysłu naszego, uobecnia nam wszystkie jego koleje i losy, a tém samem usposabia nas do wszechstronniejszego i gruntowniejszego oceniania i zrozumienia czasów najnowszych. Obok tego przebiegając z uwagą jej karty, przekonać się możemy, na czém prawdziwa mądrość zależy. Pewność i ścisłość wypadków i prawd nauk przyrodzonych najlepiej nam wskazuje, iż najwłaściwszą metodą i drogą w poszukiwaniach naukowych jest iść za śladami natury, badać jej tajemnice, i wyciągać z niej zasady i prawa. Poznanie natury fizycznej i ludzkiej może tylko rozjaśnić przeznaczenie człowieka, wskazać mu powołanie i jego stanowisko w świecie.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W pierwszej połowie czerwca odbyła się w Paryżu coroczna wystawa zwierząt domowych i narzędzi rolniczych. Tego roku była ona niejako examinem częściowym i przygotowawczym do wielkiej wystawy, na rok przyszły zapowiedzianej.

Z właściwym gustem francuzkim rozłożone na polach Marsowych namioty, objęły trzy działy rolniczego przemysłu: narzędzia, produkta i zwierzęta.

Pierwszy dział rozpoczynały maszyny parowe, przevożne na dwóch kołach, które młóca i miela zarazem, a także dają się zastosować do tartaków, lub służyć do sprowadzania wody. Dalej szły pługi; było ich kilkaset, a prawie każdy inny. Dalej cały szereg radel, bron, żniwiarek, sieczkarni, maszyn do robienia wydrążonych cegieł i rurek do osuszania lub irrygacyi służących; przyrządów do wrywania pórzu, krajania buraków, siekania głąbiów dla bydła, wykrawania jarzyn w różne kształty do zup lub rosółu. Dalej maszyny wyrabiające naraz po 60 funtów masła, nakoniec grabie i motyki, któremi uprawiają z wielką korzyścią czwartą część Belgii, bez pomocy innego narzędzia.

Niepoślednie miejsce zajmowały także narzędzia ogrodnicze do gracowania, siania i sadzenia kwiatów, warzywa i t. p. (To mi przywodzi na myśl, że pewien właściciel ziemski w okolicach Paryża wynalazł maszynę, którą nie sieje, ale sadzi zboże. Doświadczenie pokazało, że tym sposobem $\frac{1}{3}$ zwykłego zasiewu, poczwórny zbiór mu przynosi). Były także plany budynków

ekonomicznych, sposoby uprawy lasów nawet na ruchomych piaskach, jak niemniej plany osuszania, irygacyi i t. d.

Dział drugi obejmował produkta surowe, począwszy od probek wszelkiego zboża, kosmyków bawełny otrzymanej z liści sosnowych, aż do wełny angorskiej; od żywicy, aż do najbielszego wosku. Były także szczepy i płonki owocowe, rzepy i buraki na łokieć długie, a pół łokcia szerokie.

Dział trzeci obejmował zwierzęta, począwszy od hodowanych pijawek, pszczół pracujących w szklanych ulach, ryb sztucznie rozmnażanych i domowego ptactwa, aż do świń, owiec, krów i buhai po 16 i więcej centnarów ważących, z których 173 sztuk dostało nagrody.

Bydło i produkta normandzkie najwięcej nagród otrzymały. Powodzenie to nie tylko szczęśliwemu położeniu, ale głównie systematycznym usiłowaniom obywateli téj prowincyi około ulepszenia gospodarstwa przypisać należy. Oni najpierwsi o własnych siłach, bez zapomóg rządowych, wprowadzili i rozpowszechnili u siebie zwyczaj posiedzeń rolniczych.

Cyrkularz ministra Siméon w r. 1820 rozestany do korrespondentów ogólnej rady rolniczej, wywołał w każdym departamencie zawiązek posiedzeń rolniczych, na wzór istniejących w Anglii. Te dobrowolne towarzystwa miały być złożone z właścicieli i dzierżawców, mających nieco doświadczenia, zdolnych nie do pisania memoriałów, ale do robienia praktycznych spostrzeżeń i uwag nad pracami towarzystwa. Wieś lub pole w czasie targu lub jarmarku, miało być miejscem posiedzeń.

Doświadczenie różnych metod uprawy, lub przyjmowanie ulepszeń, poprawa ras koni, bydła i zwierząt domowych, nakoniec obudzenie współubiegania się między rolnikami: oto cel posiedzeń, a zarazem początek konkursów ziemiańskich.

Nieodrazu rozszerzyła się po Francyi ta instytucya: bo rząd nie nakazywał, ale podawszy myśl, zalecał tylko jej wykonanie. Zostawiona dobrej woli, znalazła przeszkody w obojętności jednych, w niedowiarstwie drugich. Nawyknięcia, przesady opóźniały jej urzeczywistnienie. Rolnik wszędzie jednaki, wszędzie uparty i podejrzliwy. Potrzeba więc było perswazyi, nietrudnej do

zniechęcenia gorliwości, często nawet i interwencji rady ogólnej, żeby znieść rolników nagrodami do przedsięwzięcia, ich dobro na celu mającego.

Nieszczęściem, interes właścicieli i dzierżawców na pozór niezawsze jest jednaki. Pierwsi nie chcieli przedsiębrać ulepszeń kosztownych, których owoce nierychło zbierać mieli; drudzy twierdzili, że użyczając grunt, narażali się po upłynionym terminie kontraktu na podwyższenie warunków dzierżawy. W końcu, rolnik przedewszystkiem ceniąc niezawisłość, chce robić po swojemu: nie rad, aby obcy, częstokroć współubiegacze, wizytowali jego pługi, wtrącali się do stadniny i innych części gospodarstwa. Zład ta wyraźna odraza ludności wiejskiej do konkursów rolniczych, które przecie miały rozpowszechnić korzystniejsze sposoby uprawy, odkryć środki dotąd tylko uprzywilejowanym służące, ale zarazem jednemu uwieńczonemu, zrobić dziesięciu niechętnych.

Potrzeba było wielkich wysiłków znakomitych obywateli i urzędników, aby pokonać uprzedzenia, i skleić pierwsze zjazdy; ileżto razy zjechawszy na naznaczone miejsce znaleźli się sami; ileż razy nieliczne zaprzęgi, nie znalazłszy współubiegaczy, wracały jako przedmiot pośmiewiska niechętnych!

Dopiero w 1830 r. administracja departamentowa dała pochop kilku zgromadzeniom, które też nareszcie naśladowców znalazły. Ale należało znów walczyć przeciwko wpływowi, z rolnictwem nic wspólnego nie mającym. Posiedzenia rolnicze, jeżeli mają być prawdziwie użyteczne, nie powinny zajmować się ogólnikami, nie powinny rozbierać nowych systemów uprawy, ale poprostu stwierdzać otrzymane rezultata, nagradzać owocne pracy i doświadczenia.

Wzorowe są pod tym względem posiedzenia w Normandyi. Urządzone na obszerną skalę, odbywają się w każdym obwodzie. w każdym kantonie: władze zatwierdzają tylko ich zgromadzenia. Towarzystwa te jednoczą się w kongres, dzielają na sekcye, mają statut, budżet, biura; co rok naznaczają sędziów na różne okolice swego zakresu, zapraszają władze do przewodniczenia posiedzeniom, zwołują członków, a okolice na punkta zbiorów naznaczone, bogacą moralnie i materyal-

nie. Nie są to świetne turnieje, ale kilkanaście pługów porących ziemię pod okiem znawcy, i ubiegających się nie o to, który prędzęj, ale który prościej zaorze, który głębiej swoją brudę zajmie. Od siedmdziesięciu lat zwyczaj ten trwa w Anglii.

Następnie sędziowie przechodzą do oglądania zwierząt i płastwa domowego, narzędzi rolniczych, produktów surowych i t. d.

Bez wątpienia wielkie wystawy zwierząt do rozplodu służących, jak naprzykład ta, która się odbyła w pierwszej połowie czerwca w Paryżu, o wiele przewyższyły skromne posiedzenia wiejskie; ale i tych działanie niemniej jest skuteczne. Wielcy tylko posiadacze uczęszczają na wielkie wystawy i konkursy. Uroczyste mowy przerażają skromnego praktyka, prostego rolnika, któremu łatwiej dobrze robić, niżeli dobrze mówić; gdy tymczasem na zgromadzeniu obwodowem każdy się zna, rozprawia poufale bez obawy złośliwych słuchaczy, lub niewiary stenografa. Miejsce solennych obrzędów zajmuje wymiana poczynionych spostrzeżeń: ztąd rodzaj zażyłości, ztąd przyjaźń w miejscach ustronnych tyle pożądana.

Niewyczerpany przedmiot do agronomicznych rozpraw nastęrcza reforma dawniej uprawy trzechletniej, wprowadzenie nowych doświadczeń płodozmianu, nawozu w stanie płynnym lub stałym, szczególnież tęż nawozu ludzkiego, o którego zastosowaniu książkę Albert ciekawe poczynił odkrycia, i poddał obecnie pod rozwagę biegłych. Osuszanie, zarazem irrygacya za pomocą rurek glinianych, także do bardzo żywotnych kwestyi należy, jak niemniej ulepszenie rasy zwierząt domowych, naprawa dróg, stawianie budynków wiejskich, konstrukcyja narzędzi rolniczych. Niemniej ważna jest kwestya ustalenia zwyczajów co do posiadłości gminnych, pastwisk, zbierania żołądki, przestrzegania zbiórki liścia, jako wpędzającej lasy w suchoty, i t. p.

Posiedzenia wiejskie nie poprzestają na krytyce małych posiadaczy i dzierżawców: napominają one i wzywają bogatych, aby zamiast nabywać renty, wkładali swoje kapitały w ziemię, jako w główny żywioł pomyślności rolnictwa. Głosy te są tēm zbawienniejsze, że

duch gorączkowej spekulacji pcha kapitały w hazardowe przedsięwzięcia.

Dziedzic czy dzierżawca wsi nie może lepiej ulokować gotówki, jak na samym sobie; inwentarz, budynki ekonomiczne, a mianowicie też grunt, są kasą oszczędności, która kiedyś powiększy jego miano i spuściznę jego dzieci. Długie terminy dzierżawy zapobiegają ruinie gospodarstwa, godzą interes possesora z interesem dziedzica; dlatego posiedzenia rolnicze chcąc je upowszechnić, zalecają niżenie ceny w pierwszych latach kontraktu, żeby zachęcić dzierżawcę do ulepszeń, któreby mu pozwoliły nagrodzić ten beneficjum w późniejszych latach. Właściciel i dzierżawca zyskują na tej kombinacji, a postęp rolnictwa jest jej koniecznym następstwem. Najgorzej rozumie własny interes, kto z góry odbiera gotówkę swemu dzierżawcy; odebrać broń żołnierzowi, narzędzia fabrykantowi, żagle okrętowi, na jednoby wyszło.

Mniej świetnym zadaniem, chociaż niemniej pożytecznym jest pieczołowitość, jaką posiedzenia gospodarskie otaczają czeladź wiejską. Nie uczucia filantropijne są tego powodem, ale wzgląd, że samo oko pana nie utuczy konia. Dobry sługa wszędzie i po wszystkie czasy był szanowany; wszakże znany z historii, ba! z epepei nawet pastuch Ulissesa, a Elizer z biblii. niesprawiedliwe byłoby narzekanie na złość i zepsucie tej klasy ludzi, zwłaszcza, że moralnie i materialnie mało jej dajemy, a bez względu na własne dobro skąpimy zachęty. W tak niskim położeniu skromne nawet zalety na miano cnoty zasługują; dlatego posiedzenia agronomiczne poszukują ich, zaszczycają publiczną pochwałą, dobrem świadectwem, nagrodą pieniężną. Zatwierdzone przez zgromadzonych świadectwo moralności, robi karierę na całe życie parobkowi od pługa, lub dziewczce od drobiu. Dopiero od dwudziestu lat zwyczaj ten jest w Normandji powszechnym, a już wielcy i mali właściciele ogromne mu zawdzięczają usługi: wzbudza on emulacyę, służy przywiązuje do domu, robi jakoby nieruchomość z tej koczującej ludności.

Posiedzenia rolnicze z czasem doszły we Francji do takiego rozwoju, że już dziś każdy garnie się do tej

obywatelskiej służby, że już nietylko sam przemysł gospodarski, ale wszystkie rzemiosła pomocnicze, wynalazki ekonomiczne, ich egzaminowi ulegają, i w nagrodach udział biorą. Dzisiaj nie ma już kwestyi o ich skuteczności i pomyślności, ale raczej o to, czy je należy skupiać, czy też rozszerzać po kraju: za czém odmienne położenie fizyczne różnych miejscowości zdaje się przemawiać. Tym posiedzeniom zawdzięcza rolnictwo we Francyi zastosowanie najwielostronniejszych pomysłów i wynalazków, których praktyczność zrazu wątpliwą się wydawała.

Galerya obrazów pani de Chavagniac wystawiona obecnie na sprzedaż po śmierci właścicielki, zasługuje na szczególną wzmiankę. Nie jestto jeden z owych podejrzaných zbiorów, złożonych z odnawianych lub umyślnie zaczernionych płócien, na których z krzywdą wielkich mistrzów, oszustwo czy głupota imiona ich wryła. Zbiór pani de Chavagniac odznacza się znajomością sztuki i doborem, a co najważniejsza, są w nim cztery ogromne wzory Jules-Romaina: Jules-Romaina, najmilszego ucznia i współ-pracownika Rafaela, który za życia mistrza rzekł się wszelkiej oryginalności i sławy, i był tylko ręką mózgu jego, a później dopiero w mantuańskich freskach polot gieniuszu swego rozwinął na tytaniczne rozmiary.

Wzory Rafaela i Mantegna przechowane w Hampton-Court, galery inarodowej londyńskiej, i cztery wzory Jules Romaina w Luwrze, sąto jedyne kompozycye w tym rodzaju, które się dochowały do naszych czasów. Sławny wzór Michała Anioła przedstawiający wojnę pizańską, poszarpali zawistni rywale; karton Leonarda da Vinci także gdzieś przepadł: cztery więc wzory Jules-Romaina znalezione obecnie, pominąwszy ich rzeczywistą wartość, należą do nadzwyczajnych rzadkości. Mianowicie téż dla tych, co nie byli we Włoszech są niezmiernie ciekawe, bo pokazują Romaina w zupełnie nowém świetle.

Najczystsze, najwzorowsze obrazy wielkich mistrzów włoskich, dają słabe wyobrażenie o ich talencie; dopiero w freskach, na ogromnych ścianach, oprawione jak w ramę w pyszną architekturę kościoła lub pałacu,

jaśniej w całej pełni gieniuszu. Patrząc na nie, pojąć łatwo, czemu surowy mistrz Buonarrotti wzgardził malowaniem na płótnie jak dziecinną zabawką. Jeżeli wzory Romaina nabędzie rząd francuzki, jak się należy spodziewać, do muzeów narodowych, będą one wyborną szkołą dla młodych malarzy; wskażą im ów styl wolny i wzniosły, cechujący prawdziwy gieniusz; owę śmiałość konturów i płodność pomysłów, do których rzadko dochodzą dzisiejsi artyści, gubiąc się w wymuskanym drobiazgu, przemieniających dzieło sztuki w dzieło cierpliwości, w dagierotyp bez ideału, bez poezji, bez stylu.

Zanim przejdę do szczegółów wykonania, w kilku słowach opowiem historią tych czterech wzorów. Są one częścią dziesięciu kompozycji, przedstawiających historią Scypiona Afrykańskiego, którą Jules-Romaine wykonał na żądanie księcia Ferrary, jako mające służyć za model na makaty w bruxelskiej rękodzielni wykonane. Co się stało z resztą, nie wiadomo. Po ukończonej robocie, te o których mówię, zwinął i zachował lubownik sztuki pan Desbusscher.

Wystawione w galeryi Apollina na wielkim jubileuszu sztuk za czasów konsulatu, uderzyły pierwszego konsula, i miały być przez rząd nabyte; ale gwałtowniejsze potrzeby pochłonęły przeznaczone na to fundusze. Wtedy można dama, pani de Chavagniac, bojąc się, żeby skarb taki nie zaginął, oddała zań jedne z dóbr swoich. Atoli dla braku stosownego miejsca znowu zwinięte i schowane, leżały przez pół wieku w ciemności: teraz dopiero po śmierci właścicielki, na świat się pojawiły, i na publiczną sprzedaż wystawione zostały.

Pierwszy wzór przedstawia, „wylądowanie Scypiona na brzeg Afryki”. Zwycięzca Hiszpanii, unikając nieprzyjacielskiej floty, przybija do brzegu w łodzi o sześciu wiosłach; w drugiej płynie Loelius z żołnierzami. Na łodziach morskie bóstwa w płaskorzeźbie bogato złobione, a u steru głowa lwicy rzymskiej z rozwartą paszczą porze bałwany. Załoga czeka aż wódz wysiąść káže; na znak Scypiona, jeden z żołnierzy trąbi sygnał, w głębi widać miasto na wzgórzach.

Powyższy szkic dziwne czyni wrażenie nieprzywyktemu oku do tego rodzaju szorstkich kompozycji.

Ogromny ten rysunek jakby jednym rzutem olbrzymiej ręki nakreślony, bez efektów, bez cienia, bez sztucznych światła, niemile nawet uderzy tych, co wierne naśladowanie natury za cel sobie wytknęli. I rzeczywiście: wszelkie złudzenie oka pogardliwie tu pominięte, ale za to jakie postawy tych ludzi! jaka różnorodność ruchów, jaka tam pewność siebie, jaka erudycja anatomiczna, ile ciekawych szczegółów!

Uczta u Syphaxa wspaniale jest rozłożona. Scypion z Azdrubalem starają się pozyskać sobie numidzkiego króla. Przedsiónek, w którym zastawiona biesiada, oświecają pochodniami niewolnicy; około stołów gnących się pod przepyszną zastawą, krąży służba: jedni podają półmiski, drudzy nalewają w czary napoje, inni kwiaty przynoszą. Jeden z nich, faworyt zapewne, oparty o krzesło Azdrubala, drażni wielkiego psa, który tam leży na ziemi jak w ucztach Veroneza. W głębi widać rozstawione sprzęty: misy, czary złote i srebrne, dzbany najdziwniejszych kształtów, i rzeźby mogące służyć za wzór Celliniemu, uderzają wytwornym smakiem.

Ubiór napół turecki Azdrubala, jest zapewne anachronizmem; ale któż - bo kiedy wiedział dokładnie jak się ubierali Kartagińczycy za czasów Scypiona?

Przeigrana Syphaxa należy do najpiękniejszych kompozycji Romaina. Gwałtowny gieniusz jego długo powstrzymywany przez harmonijną pogodę Rafaela, tutaj wybucha z całą potęgą. Znać, że mistrz w swoim tu jest żywiole; znać, że ze szczególnym upodobaniem kreśli owe olbrzymie grupy walczące, z upodobaniem wywraca, miesza i łamie w konwulsyjne ruchy, wściekłe zastępy wojowników. Całą bitwę dziką, zażartą trzyma w ręku, i igra z nią jak z dziecinną zabawką.

Na przodzie Syphax na padającym koniu, z posiekaną głową, broni się jeszcze rozpaczliwie: włém żołnierz rzymski za nogę go uchwycił, i wszelka nadzieja ratunku przepada.

Głowa starego króla, któremu siwa broda spada na piersi jak Barberussie lub Mojżeszowi Michała Anioła, ogromną ma powagę. Scypion spokojny na rozhukanym koniu, z bohaterską pogodą płynie po tym krwawym morzu zatracenia: młody i piękny, uśmiecha się wśród rzezi. Rozwiane chorągwie, bogate zbroje, ka-

ski z dziwaczniemi grzywy, bronie szczególnej formy: nadają bitwie tej owę cechę artystycznego zbytku, niezbędną w obrazie na ozdobę przeznaczonym; przepyszny jest i straszny zarazem: krew go zalewa jakby druga purpura!

Bitwa pod Zamą najważniejsza z czterech wzorów, przedstawia starcie się rzymskiej oświaty, z oświatą afrykańską. Wojsko barbarzyńskie, otoczone słoniami, które wieże na ogromnym cielsku niosą, wyziera z za tych żyjących okopów. Pośród walczących, stoń biały naturalnej wielkości, potrząsa jak szlandarem postrzelanemi w boju uszami; trąbą uchwycił jednego wojownika, i jak boa konstryktor druzgocze go na miążgę w żelaznych skrętach, a tymczasem z wieży na nim stojącej murzyny i żołnierze z bestyalską twarzą, wypuszczają chmurę strzał na nieprzyjaciela. Scypion piękny jak statua starożytna, przywodzi bitwie gestem. Przyszłość walki już niewątpliwa: słonie przelekkie ogniem, co im wzrok razi, gradem strzał pokłóte, zaczynają pierzchać na oślep.

Cóż to za przedmiot dla mistrza owęj potężnej rzymskiej szkoły, celującej w pokonywaniu anatomicznych trudności; szkoły, co tak mądrze i prawdziwie naprężenie każdego muszkułu malowała, przed którą człowiek stał bez skóry, cały osnuty siatką drgających muszkułów i żył czerwonych!

Kto nie widział w Watykanie bitwy Konstantyna przez Jules-Romaina malowanej wedle szkicu Rafała, wyobrazi ją sobie przypatrzwszy się bitwie pod Zamą. Rzecz dziwna, pod koniec życia Rafała, uczeń porwał za sobą mistrza. Namiętny pędzel Romaina zachwiał pogodę Peruginowego ucznia. Zmiana ta już czuć się daje w Hiliodorze i Atylli, a coraz dalej wzrasta. Gdyby Rafael był dłużej żył, byłby niezawodnie porzucił swoje Madonny greckiej formy, a gotyckiej czystości, i rzucił się w uczoną przysadę rzymskiej szkoły. Trwożna wstydlivość prawie go już zupełnie odbiega w Przemienieniu Pańskim.

Herkules duszący Antę, dzieło Carragia, powinien być zawieszony obok wzorów Juliusza Romaina. Bohater lwią skórą odziany, trzyma za gardło wroga, i dusi go żelazną dłonią. Sina bladość jak obłok śmierci już rysy ofiary oblała... W konwulsjach konania

wyteża się; chce, ale napróżno fatalny uścisk przełamać.

Siostra Rembrandta wymalowana przez brata, ładnie odbija na tle brunatném, fantastycznie ubrana w czarny biret z niebieskimi piórami. Na piersiach jej gazą ostonionych, zaokrągła się perłowy naszyjnik, a po bogatych fałdach czarnej jedwabnej sukni, spływa złoty łańcuch. Głowa ta z krótkimi blond włosami, z wielkiém staraniem i jasno jest narysowana, jak wszystkie utwory z młodych lat Rembrandta. Rzecz godna uwagi, że Rembrandt dopiero na starość stał się gwałtowny i tajemniczy: szpony i grzywa dopiero z laty mu wyrosły. Za młodu był artystą, a z wiekiem stał się czarnoksiężnikiem: same tylko wizye i na tajemniczym ogniu smażące się tygielki malował.

W galeryi pani de Chavagniac jest także widok morski Rembrandta (rzecz bardzo rzadka; z tym, o którym mówię, istnieje ich nie więcej jak dwa czy trzy). Wzburzone bałwany rozpryskują się o powalony burzą okręt, co z odartym żaglem leży bokiem na mieliznie. Ze statku leci w morze postać jakaś biała; na pierwszym planie ogromny rekin płynie z otwartą paszczą, połącząc nieszczęśliwego rozbitka. Chaos wód morskich tworzy przepaść, i piętrzy się pod niebiosa; spieniona woda poszarpana u góry, wybornie jest oddana. Przez czarne niebo przedziera się pas światła i podnosi całość obrazu.

Są jeszcze dwa obrazy Poussina: męczeństwo świętego Erazma niemal piękniejsze od wykonanego w naturalnej wielkości w Watykanie, i Tezeusz szukający ojcowskiej zbroi.

„Pomijam i lepsze”, jak mówi w Hernanim Don-Ruy-Gomez: wszystkich opisać niepodobna. Wspomnę więc tylko jeszcze o czterech porach roku Bouchera, które są jakby uśmiechem tej surowej galeryi. Wiosna świeża, biała, pachnąca jak konwalia, siedzi w jasnej spódniczce wśród kwiatów i Kupidyneków. Zima w futerku i popielatej sukience, pośliznęła się i upadła biedaczka wśród śmiejących się widzów. Lato i jesień niemniej ładne: słowem, że kto z tych czterech obrazów jeden wybierze, reszty żałować będzie całe życie.

Hucznie i wesoło odbyły się tego roku w Bordeaux święta Girondynów, obchodzone co wiosnę na ich pamiątkę. Prześliczne, gorące słońce przyświecało zabawie. Tłum różnobarwny postrojonych lub poprzebieranych biesiadników, zaległ od samego rana place, ulice i morskie wybrzeża.

W takich razach, ramy często tyle, a może i więcej warte niż obraz. Bordeaux prócz tego, że leży nad morzem, co najędzniejszej miłościnie nadaje powab i koloryt, jest wielkie i piękne miasto: ulice szerokie, bogate bulwary, place na wielkie rozmiary, rywalizują z Paryżem, i przypominają najwspanialsze królewskie rezydencye. Zamożność i bogactwo wszędzie przebija. Do tego kobiety tamtejsze słyną z piękności na całą Francją, a co większa, stawie swój zupełnie odpowiadają. Mając te cztery rzeczy: bogactwo, klimat piękny, piękne miasto i piękne kobiety, łatwo ucztę wyprawić, łatwo najwspanialszą biesiadę urządzić. To też szliśmy wolno, z kolei to na szczegóły, to na całość zważając, bo wszystko było warte widzenia, w każdej grupie tkwiła myśl jakaś, lub jakie dziejowe wspomnienie.

Malowniczy strój kobiet najprzód tu uderza cudzoziemca. Jaskrawe barwy, już jak na południu, gęsto rozsiane, mile bawią wzrok, znużony trochę monotonią czarnych lub szarych północnych ubiorów, zapewne bardzo rozsądnych, ale smutnych i wcale nieładnych. Wyrobnice w Bordeaux noszą na głowie krasny fular, fantastycznie na wielką kokardę związany, i spadający na ucho jak frygijska czapka. Cera blada, walec twarzy pięknie narysowany, nos prosty, oczy żywe, usta liglarne, pełne gaskońskich przebiegów, które nawet w przysłowie poszły: oto typ powszechny tamtejszych kobiet. Dodać do tego potrzeba, że są jeszcze wymowniejsze od Paryżanek (rzecz do pojęcia trudna.)

Mieszczanki noszą czepki niemniej oryginalne jak chustki gryzetek. Kto nie widział czepka w Bordeaux, nie wie co to czépek. Rzecz skomplikowana jak fregata, albo pięcio-aktowa melodrama, złożona z tylu przypraw jak sos wielko-postny. Napoleon nazywał kobietę dużą koronek; porównanie to niezawodnie przyszło mu na widok owych czepków, na których opis daremnie szukam wyrazu. Wszystkie te czepki lekkie, jasne, różowe,

purpurowe, niebieskie, żółte, rozkwitłe, fruwające jak ptastwo wesołe, trzepoczą się na głowach: zda się, że lada chwilę zaczną świergotać między sobą.

Dziwiąta bije, w bębny uderzono, otwierają się kraty ogrodów, i wybiega zeń chmara pierrotów (wyraz maskaradowy, któremu odpowiedniego nie stworzyliśmy dotąd). Ubrani w siennikowe materye, każdy niesie na długiej tyce worek do kwestowania, który pod balkony i pierwsze piętra podstawia. Jestto awangarda pochodu najmniej z dwustu ludzi złożona; zaczepiają przechodniów, śmieją się, rozmawiają z całą ulicą, srebrne pieniądze sypią się we woreczki, a tymczasem nadjeżdżają maskaradowe wozy.

Pierwszy pochód przedstawiał wjazd do Bordeaux Małgorzaty de Navarre w roku 1578. Przerzucono wszystkie archiwa i biblioteki miejskie, i wyjęto z nich opisy najparadniejszych strojów, żeby takowe z historyczną dokładnością przedstawić. Cały więc poczet średniowiecznych dworaków, paziów, doboszy, żandarmów, chevau-legerów, trębaczy, przeciągnął jakby wizya jaka starych czasów. Na czele orszaku szedł jak włódy, burmistrz miasta w srebrnej oponczy.

W tym wirze przeróżnych strojów, złocistych karet, piór, halabard, chorągwi, proporców, ślepiących blaskiem, głuszących wrzawą, niepodobna wszystkiego widzieć, cóż dopiero opisać. Słońce tylko tłum ogarnia i maluje: pióro zaledwie główny przedmiot uchwyci.

Zajrzyjmy więc najprzód do karety, w której siedzi królowa Małgorzata. Miała suknię z błękitnego aksamitu suto złotem haftowaną, na głowie perłowy dyadem. Najpiękniejszej tancerce dostała się rola królowej. Młodziutka, żywa jak skra, brunetka, miała przy boku cztery damy honorowe (także z baletu), niemniej bogato przybrane. Terpsichora dnia tego kwestowała na ubogich: dlatego młodzież literalnie zarzuciła pięcio-frankówkami królewski powóz. Kobiety dziękowały uśmiechem i gestem, zręcznie wachlarzami zasłaniając twarze od srebrnych pocisków.

Za nimi jechali konno panowie dworscy i rycerze. Ubiory ich dokładnie historyczne, zupełne czyniły złudzenie. Byłto prawdziwy kurs historyi w żyjących obrazach.

Potém następowały allegorye. Najprzód ogromny okręt wyobrażający handel, a na nim bandery wszystkich narodów handlujących z Francją. Za nim na wspinałym wozie dwie kobiéty uwieńczone kłosami, siedząc na snopach, przedstawiały rolnictwo. Wóz ciągnęty zwolna cztery woły ze złocistemi rogami; przy nich na beczce wina siedzący rolnik, łań ze srebrnego dzbana napój rubinowy.

Daléj na ogromnym globie jechała fortuna. Przez sześć godzin nieubłagany Febus przeszywał biedaczkę ognistemi strzałami; mimo to nie zeszła z bajecznej wysokości, na której siedziała ledwie dojrzana od śmiertelników. Wokół globu zawieszzone cztery okazałe piękności, wyobrażały cztery części świata. Afryka mianowicie dobrze była reprezentowana: krucze jéj włosy, wzrok palący, ogorzała cera, zwracały ku sobie oczy.

Daléj ciągniono na białym wozie artystów i pisarzy z XVI wieku. Rubens w złotym łańcuchu na szyi, w kapeluszu z piórami stał na przedzie; przy nim blady i ponury Camoens; obok nich Paweł Veronese, Carragio, Michał Anioł, Aryost i francuzkie znakomitości artystycznie ustawione były. Cała ta grupa jechała w poważném milczeniu; tłum patrzył z uszanowaniem na tę perłę uroczystości, i jałmużny nie rzucał. Ponad białym wozem artystów wznosiły się trzy białe siostry: poezya, rzeźba i muzyka trzymając się za ręce.

Za niemi jechało miasto Bordeaux w allegoryi. Było olbrzymi wóz przepętniony ozdobami, przeładowany bogactwem. Na nim potężna kobiéta z wieżami na głowie, z księgą praw w ręku wyobrażała miasto; u nóg jéj trzy dziewice: sprawiedliwość, przemysł i sztuka.

Daléj następowały niezliczone fantastyczne grupy, jakoto: Nemrod, siedmiu mędrców greckich suto udrapowanych i brodatych, szkoła tańca ze starym nauczycielem, któremu uczennice figle płatają i t. d.

Między tém wszystkiém krąży tłum powozów pełnych młodzieży, sypiacéj cukrowym makiem na przechodniów i balkony: zaczepiają się społem, śmieją, i wadzą jak w karnawał na rzymskiém Corso. Cały orszak wysypał się nareszcie na wybrzeża, zkąd po jednéj stronie

widać rozciągającą się w półkole panoramę miasta, po drugiej mnóstwo świątecznie przystrojonych okrętów, statków, łodzi i łódek, które muzyką witały orszak.

Wieczorem w ogromnej sali kwiatami od góry do dołu ubranej, był koncert, na którym śpiewali artyści paryzcy. Sali tak wielkiej podobno niema w całej Francji: 10,000 osób siedziało w niej, wprawdzie niebardzo wygodnie, ale siedziało.

Nazajutrz był steeple-chase, na którym ścigały się osobiście lordy i vicomty; najwyższa wygrana była 10,000 franków. Wieczorem koncert instrumentalny; tłok tenże sam, ale dobór sztuk lepszy. Wykonywano dzieła samych wielkich mistrzów: Palestryna, Hayden, Mozart, Haendel, Rossini, Mendelsohn, Berlioz, naprzemiany zachwycali słuchaczy. Nakoniec pięciuset muzykantów zagrało uwerturę Meejerbera, i na tém zakończono dzień drugi.

Był jeszcze trzeci i czwarty, ale zważywszy że długie opisy nudzą, nadmienię tylko, że czwartego dnia znów krążyły maskaradowe orszaki, jeszcze piękniejsze, bo przy pochodniach: spacerzy i pomniki gorzały w tajemniczej purpurze bengalskich ogni, niebo zasypane było skrami fajerwerków, a wspaniały bal pod gołym niebem, na którym tańcowało najmniej 50,000 osób, zakończył święta Girondynów, przypominając wspaniałością rzymskie igrzyska.

Wyszła świeżo w Londynie książeczka pod tytułem: *La Bourse de Londres* przez pana John Francis. Wszystkie dzienniki angielskie nie mogły się odchwalić tego dzieła. Jedne mówiły: „Najżywotniejsza kwestya, kwestya finansowa, dramatycznie tam opowiedziana, i ma cały powab romansu; kupiec, minister, uczony i nieuczony, kobiety nawet czytać będą z równem zajęciem dzieło pana Francis”. Inny dziennik znów woła: „Książka ta, jestto ilustracya przewrotności i głupstwa ludzkiego”. A inny: „Jestto nieprzerwana tkanina oszukaństw, zdzierstw i zepsucia przewybornie opowiedziana! Taka książka więcej warta niż najlepsze kazanie!” Inny znów bardzo poważny tak się wyraża: „W niejednym sławnym poemacie mniej jest poezyi niż w li-

stori londyńskiej bursy; wiele mamy dramatów mniej dramatycznych, że już nie wspomnę o romansach, z których żaden nie jest tak zajmujący; książka ta powinna była nosić tytuł: romans Mamony”.

Otóż ów sławny romans Mamony przetłumaczył na francuzkie senator Lefebvre-Durullé, i niemniej podoba się Francuzom. Nie jestto przecież romans, ale bardzo rzeczywista cyframi najeżona historia, której bohaterkami są: bessa i haussa.

Początki finansowe W. Brytanii małe są, jak początki Rzymu: jak on z czasem w olbrzymie wzrastają rozmiary. W pierwszych czasach istnienia państwa, nie było w Anglii podatków: sprzedawano sprawiedliwość za gotówkę, a urzędy wielkie czy małe, nabywały się za podarunki składane monarsze. Rozumié się, że urząd odpowiadał prezentowi: kto najbogatszą złożył daninę, najwyższą otrzymał posadę. Jednakowoż taki sposób składania podatków, okazał się z czasem bardzo niedostateczny; kassa państwa prawie zawsze była próżną; uciekano się téż do rozmaitych wybiegów.

Edward I pod pozorem, że chce odbyć pielgrzymkę do ziemi świętej, zabrał wszystkie srebra z klasztorów i kościołów, a mając je w ręku, więcej o podróży nie wspomniał. Ryszard II pożyczał na fanty, to jest zastawiał koronne dyamenty: wyprzedał wszystkie meble ze swych pałaców, nareszcie składki na siebie zbierał. Henryk VII zbogacony przykładem przodków, nietylko używał wszystkich dawnych sposobów, ale nadto wiele nowych wymyślił. Elżbieta nałożyła znów nowy podatek pod niewinną nazwą noworocznych podarków. Każdy dworzanin obowiązany był składać w dzień Nowego Roku kosztowne dary królowej. Ale i to nie wystarczało: niezadługo królowa tak podwyższyła opłaty od towarów, że ceny wszystkich produktów bajecznie podrożały. Prócz tego kazała kupcom składać sobie ogromne summy, a kiedy ci tłumaczyli się, że nie mają, „to pożyczcie” odpowiadała łaskawie. Tym sposobem skrzynie królowej przepętniły się złotem; wtedy oddawała część wierzycielom z nakazem opłacenia procentów od kapitału, za który sama procentów nie płaćca. Karol I bez żadnej ceremonii zabierał pieniądze kupców.

Karol II brał od wszystkich, i na nim kończy się system finansowy starego świata.

Od wstąpienia na tron Wilhelma III poczyna się era tegoczesna. Wilhelm rzucił pierwsze podstawy kredytu w Anglii, czyli założył kamień węgielny wymiany. Tutaj ma swój początek bursa londyńska. Jestże to świątynia, sklep, czy szynkownia?—Wszystkiego w niej potrosze.

Około r. 1700 zaraźliwa gorączka spekulacji zdeklarowała się w Anglii: każdy mocno był nią dotknięty. Na małą skalę już było prawie toż samo co dzisiaj, tylko, że nie mając jeszcze świątyni, zbiegali się i frymarczyli pod gołym niebem.

Pierwsza mistyfikacja polityczna na bursie lodyńskiej wydarzyła się za panowania królowej Anny. Pewnego dnia wykwintnie ubrany kawaler ze smutnym obliczem, wyjechawszy konno z królewskiego pałacu, galopował co siły po mieście, wjeżdżał i wyjeżdżał wszystkimi rogatkami, rozpowiadając wszędzie, że królowa nagle umarła. Wiadomość rozeszła się w mgnieniu oka. Powstał ruch nadzwyczajny w mieście, wojska przerwały mustrą i rozeszły się do koszar ze spuszczoną bronią, papiery zaś spadły niezmiernie, z czego korzystając żyd Mannassch Lopez, nakupił ich ile mógł. Tak więc ś. p. Mannasschowi Lopez należy się patent wynalazku, dość rozpowszechnionego za naszych czasów. Bursyści powinni mu koniecznie pomnik wystawić, tém bardziej, żeby ich to niewiele kosztowało; niech tylko każdy twórca i propagator fałszywych wiadomości giełdowych da szylinga na grobowiec dla genialnego naddziada, to zaprawdę nigdy pamięć wielkiego męża wspanialszym nie zostanie uczczoną pomnikiem!

Ruch handlowy i spekulacyjna gorączka pociągnęły za sobą ogromne pożyczki. Na samą wojnę o sukcesyę hiszpańską wydała Anglia przeszło trzydzieści siedem milionów funtów szterlingów pożyczonych, a trzydzieści milionów z podatkowych pieniędzy. Z czego wypada, że przyprawa więcej kosztowała niż ryby.

Tymczasem kredyt państwa w opłakanym był stanie; dla podniesienia go, Harlay założył kompanią tak zwaną: morza Południowego, jako przeciwstawienie francuzkiej kompanii Mississipi. Spekulacyjna wście-

klizna coraz wzrastała. Newton zapytywany o rezultata onejże, odpowiedział, iż można obrachować obroty ciał niebieskich, ale obrot szaleństwa ludzkiego obrachować się nie da.

Jakoż kompania południowa ogromne poniosła straty, jak to zwykle bywa, jeżeli ludźmi ślepa tylko chęć zysku powoduje. Owładnięty pragnieniem złota człowiek, jest jak gracz przy zielonym stoliku: w głowie mu się zawraca, powstrzymać się w porę nie potrafi.

Gra na giełdzie doszła do tego stopnia, że członkowie obu Izb nie wahali się posyłać za granicę listy z fałszywemi wieściami, i takowe do kraju napowrót sprowadzać; na ich szczęście nie było wtedy elektrycznych telegrafów. Kapitałiści przekupywali służbę dygnitarzy państwa, sekretarzy, melresy, nawet żony ministrów. Grano o wszystko. Jeżeli naprzykład zachorowała jaka znakomita osoba, niezwłocznie assekurowano summy na jej życiu; papiery spadały lub podnosiły się wedle stanu zdrowia dostojnego pacyenta. Dzienniki głosiły wygraną lub przegraną tych szczególniejszych zakładów, a chory mógł się dowiedzieć z gazety, że niewiele mu się należy, kiedy na życie jego dają zaledwie 90 za sto.

W ten sposób pisze pan Francis: cyfry i wizerunki kreśląc naprzemian, układa bardzo przyjemnie historią angielskich finansów. Portrety sławnych albiońskich Geldhabów jakoto: Tomasz Guy, John Bernard, Samson Gedéon, wybornie są narysowane. Żywot naprzykład pana Fordyce, lorda-spekulanta, tak jest dramatyczny, że go można żywcem przenieść na scenę. Lord Fordyce z szaloną odwagą z spekulacyi w spekulacyą się rzucając, dochodzi szybko do ogromnego majątku, i traci go równie prędko. Nie jest to zapewne oryginalna strona powieści: takie powodzenie i straty nie są rzadkie na polu bursowych turniej, ale rzadki stoicyzm w nędzy byłego Krezusa i żony jego, zasługuje na uwagę.

Figura Abrahama Goldsmida niemałe także zajmuje miejsce w londyńskiej bursie. Abraham Goldsmidt zwyciężył sam jeden potężną koalicją bankierów, i nosił berło finansów z niestychaną świetnością, dopóki we własnej krwi go nie zboczył; zwątpiwszy bowiem o powodzeniu najważniejszej spekulacyi, życie sobie

odebrał. Zrujnowany, byłby jeszcze upadł na miliony, ale tu już nie o pieniądze, ale o ambicyą chodziło.

Z kolei opowiada pan Francis pochodzenie dynastyi Rothschildów. Pierwszy swój rasy i imienia Nathan Meyer Rothschild przybył do Anglii z Frankfurtu, który dlań stał się zaciasnym polem do operacyi finansowych, i osiadł w Manchester, a następnie w Londynie, gdzie go już poprzedziła sława. Świat obfitował wtedy w wielkich mężów: w Bonapartem przebijał się już Napoleon, Nathan Meyer był także Napoleonem w swoim rodzaju.

„Nathan, mówi p. Francis, w coraz to nowe rzucając się przedsiębiorstwa, wzrastał a wzrastał bez końca. Obdarzony ogromną bystrością umysłu, nigdy się nie mylił w rezultatach swych operacyj pieniężnych. Nabywszy za gotówkę mandaty wypuszczone przez księcia Wellingtona, w wypłacie których honor rządu był zaangażowany, wykupił także co prędzej złoto na ich wypłatę potrzebne. Kiedy już miał takowe w skrzyni, zawiadomiono go, jak przewidywał, że rząd potrzebuje złota. Oddał mu je, ale łatwo zgadnąć, że nie zadarmo. Nathan przyznaje, że to najlepszy interes jaki mu się udał w długim spekulacyjnym zawodzie; nadto dodaje, że kupione od niego złoto jeszcze się rządowi na nic nie przydało, dopóki mu nie dał środków przestania onegoż do Portugalii.”

Z powyższej acz niedokładnej analizy można mieć wyobrażenie o dziele pana John Francis. Pan Lefebvre-Duruflé dodał do francuzkiego tłumaczenia bardzo dobrą przedmowę, w której dowodzi, że nabywanie papierów publicznych nie jest cyrkulacją produkcyjną, ale zastępowaniem jednego wierzyciela państwa, drugim; że takie kupno wyradza się w wexlarstwo, (agiotage), skoro celem jego jest zarobek oparty na podnoszeniu się lub spadaniu papierów, a wtedy szkodzi państwu: najprzód dlatego, że zabiera kursującą gotówkę, stanowiącą część kapitału powszechnego, a nadto, jak każda gra daje tylko zyski będące stratą drugiego.

Znakomity pisarz i artysta Teofil Gautier wpadł na szczęśliwy pomysł ułożenia w balet, a raczej w dramat pantomiczny, tajemniczych wpływów magnetyzmu. Myśl

ta zupełnie nowa, nadała Gemmie cechę wyższą od zwyczajnych baletów, bo w nim uosobiła i przedstawiła znowu przed oczy świata w żyjącym obrazie tę tylekroć badaną, a zawsze ciemną zagadkę, która od tak dawna upokarza rozum ludzki. Mimika i gra rysów malują wybornie działanie tajemne niewystłowionej potęgi, którą człowiek kępuje i pozbawia woli drugiego. Wiele talentu i niepospolitych zdolności rozwinąć potrzeba było do urzeczywistnienia takiego obrazu. Gautier nakreślił główne zarysy, a genialna tancerka Fanny Cerito wzięła resztę na siebie.

Niemiała to sztuka postawić i nadać ruch pięciu wielkim obrazom, z których każdy najmniej ze stu osób złożony, każdą z tych osób określić gestą, ruchy i kroki, poczynwszy od pierwszej, aż do ostatniej figurantki, która gdzieś tam w cieniu skacze. Twórca baletu musi być zarazem poetą, malarzem, muzykiem i nauczycielem: talenta, rzadko z sobą w parze chodzące. Cerito wywiązała się z trudnego zadania z zadziwiającą wszechstronnością.

Przedmiot baletu wzięty jest z romansu Alexandra Dumasa: *Balsamo*. Dwie sprzeczne namiętności w tejże samej kobiecie, która kocha pod wpływem magnetyzmu, a nienawidzi obudzona, są kopalnią niewyczerpanych efektów, szerokiem polem dla tancerki.

Powszechnie znany romans Dumasa, uwalnia mnie od analizy libretta, które jest tém samym dla twórcy baletu, czém płótno dla malarza. Pomijam więc opis magnetycznych sposobów, do jakich ucieka się hrabia Santa-Croce, chcąc wykraść Gemmę, młodą dziedziczkę, której piękność i majątek bardzo mu do smaku przypadły; pomijam jak później uspiwszy ją magnetycznie, wyłudza od niej podpisanie ślubnego kontraktu, jak wreszcie miłość prawdziwa wyzwala biedaczkę z zakłętego koła, w którym ją hrabia na uwiezi trzyma; jak nakoniec malarz kochanek zabija hrabiego: pomijam to wszystko, i przystępuję wprost do wykonania baletu.

Pierwszy obraz przedstawia Gemmę w gronie kobiet, przymierzającą stroje przed ogromnym zwierciadłem. Obraz ten zdaniem znawców jest arcydziełem sztuki baletniczej. Dwanaście par tańczy razem; w każdej parze druga osoba jest sobowtorem pierwszej, każdy

jój gest i skok odbija jak zwierciadło, co wymaga niesłychanej akuratności, nieomal wcielenia się w tańczące wzory, ale taki taniec dobrze wykonany nadzwyczaj jest oryginalny. Cerito z cieniem swoim zupełnie jedną stanowi istotę: nawet z twarzy i koloru włosów obie tancerki podobne do siebie jak dwie perełki. Wiele potrzeba było pracy i wytrwania, żeby dojść do takiej podwójnej jedności.

Bardzo jest także ładna scena w drugim obrazie, kiedy Gemma w śnie magnetycznym obsypuje hrabiego jakby umarłą pieśczołą, w której znać, że nie ma ani własnej woli, ani chęci, tylko przymus. Tutaj Cerito posunęła swój talent do najwyższego stopnia.

Jak ptak węzowem okiem przyciągany, tak ona krąży niepewnym lotem około róży, w którą magnetyzer siłą swoją zgromadził, i zatrzał zapachy. Zbliża się doń trwożliwie;... płochliwa, drżąca.... porywa, do ust ciśnie, i mimowolnie upaja się zdradliwą wonią, w której zamknięte namiętne nakazy. Z gorączkowem wysileniem kwiat do serca przytula.... a kiedy zazdrosny kochanek wyrывa jój ów kwiat przeklęty, owę różę czerwoną ogniem piekielnym, z jakąż tkliwością ucieka się pod opiekę prawdziwój miłości!

Ale krótko trwa ta niezależność. Magnetyzer potęgą woli porywa ją do walca, i w tym tańcu szalonym utraconą przewagę odzyskuje. Szczególne sprawia wrażenie widok téj blady dziewczyny, w białej balowój sukni, z martwem okiem: krok w krok bieży w ślady człowieka, który swą wolą zakreśla jój koła i gzygzaki: to ją przyciąga, to odpycha, to ją nurza w wirze tańca, to znów jak posąg stawia skamieniałą. Artystka oddała wybornie ten bezduszny taniec nad pojęcie trudny. Brak życia i własnej woli uwydatniła tak, iż rzekłbyś, że to cień wywołany wśród balu róższką czarnoksiężką. Trudno lepiej naśladować nieziemski chód lunatyka.

Trzeci obraz jest czysto dramatyczny; tańce wcale doń nie wchodzą. Tu znów znakomita jest scena, kiedy Gemma budzi się w posępnym pałacu, do którego nie wie jak weszła; spostrzega, że w ślubne suknie ubrana, że przy jój boku nienawidzony stoi mężczyzna, i wpada w rozpacz.... Prosi go i grozi naprzemian, ale jedno i drugie rozbija się o nieubłaganą wolę hrabiego.

W czwartym obrazie prześliczna jest chwila, kiedy Gemma wyswobodzona, jak gołębicą ze szponów jastrzębia, wbiega do swego kochanka malarza: wtedy kibic jej łamie się w tak piękne kształty, tak czarowne przybięra pozy, że przypomina Psyche Kanowy, schyloną nad Kupidynem. Białe muśliny artystycznie fałdowane, zdaleka zupełnie do karraryjskiego marmuru podobne, a gracya rąk podniesionych, pewno w niczem sławnemu posagowi nie ustępuje. To też wywołano Gemmę po kilka razy, i nasypano jej tyle kwiatów, że nagle taniec wstrzymać musiała, bo posadzki brakło pod lawiną róż i kamelii.

Co rzadko bywa w balecie, muzyka jest bardzo ładna. Hrabia Gabrielli, znany kompozytor baletów we Włoszech, usilnie się starał, żeby muzyka odpowiedziała mimice. W całej kompozycyi przebija łatwość i włoska swoboda. W pierwszym obrazie mianowicie tony wybornie wtorują misternej sztuce podwyższania wdzięków; muzyka jest lekka, powabna a zdradna, jak piękna kokietka.

W teatrze Gymnase występuje teraz trupa hiszpańskich tancerzy, a pomiędzy niemi prawdziwa córka Grenady Perea Nena, o której mówią Francuzi, że jest *revoltante de beauté*. Mimo to, skrzące jej oko wabi i zachwyca wszystkich.

Jednoaktowa komedyjka służy za pretext tancerzom. Co to za sztuka?—nikt nie wie, bo nikt nie słucha ani patrzy na aktorów: mówią co chcą, grają jak im się podoba. Jakże tu uważać, kiedy za kulisami słychać szmer falban i stłumiony odgłos niecierpliwących się kastanietów? Tam wzrok i słuch zwrócony: każdy radby żeby jak najprędzej tańce rozpoczęto.

Nareszcie budkę suflera usuwają, podnosi się w głębi kurtyna, i całe stado hiszpanek leci ku scenie, wyrzucając naprzód końce maleńkich atłasowych trzewiczków, klaszcząc z rosnącym zapałem w kastaniety z kości słońowej.

Wpółśród nich Nena w czarną hiszpańską mantyle uwinięta, biegnie ledwie ziemi tykając, jak sewilska

dziewczyna na umówioną schadzke. Przybiega tak nad sam brzeg sceny; nagle zrzuca mantyle, i staje w całym blasku szalonego ubioru. Spódniczka jęj jak kwiat oczysty, kaktus, mieni się w jaskrawe kolory: gorący pons walczy nań z fioletem. Aksamitny kaftanik haftowany złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, rzuca tysiące światel; na ramionach zwłaszcza gęste hafty i dyamenty błyszczą jak promień hiszpańskiego słońca.

Nena jest szczupła; ręce i nogi bajecznej małości, tyle tylko, ile polrzeba żeby uchwycić kastaniet, i obuć lilipuci trzewiczek. Stała chwile;... wtém muzyka zagrała żywięj, a ona, zanim jeszcze na twarz spojrzełem, puściła się jak strzała w taniec: i nie już nie widać w tym wirze, tylko błysk dyamentow, błysk oczu i błysk białych zębów. Na szczęście uklęka. Teraz można jęj się przypatrzeć. W tył się przechyla tak, że plecami ziemi dotyka, a nad głową złotą szarfą powiewa. Cere ma śniadą, brwi czarne jak węgiel, oczy skier pełne, a usta.... Usta tak maleńkie, że, jak mówi jakiś poeta o sewilskiej dziewczynie „zaledwie na nich ćwierć pocałunku się zmieści”.

Zaledwie uklęka, zaledwie odetchnęła, zbiegają się towarzyszki, w uszy kastanietami klaszczą; ona znów zrywa się i z podwojonym biegiem zawodzi nowy taniec, szybszy, wścieklejszy... Patrzącym w głowie się zawraca: pojąć trudno, że tancerka nie skona w takim tańcu, jak motyl trąbą wichrową porwany.

Perea Nena nie podobna wcale do Petry Camary, która zeszłego roku zachwycała Paryżanów, i której Dumas sardanapalską ucztę wyprawił, zgromadziwszy wszystkich artystów z starego i nowego świata. Wybór jednak pomiędzy niemi trudny: tamta powabniejsza, ta żywsza; oryginalność jęj leży w niesłychanej lotności, i dziwnej precyzyi tańca.

Pan Maury, znany w uczonym amerykańskim świecie, podał projekt ministrowi marynarki Stanów Zjednoczonych, w którym oświadcza, iż przeprowadzenie podwodnego telegrafu między Europą a Ameryką, uważa za rzecz wykonalną. Twierdzenie swoje rozbiera i zasto-

sowuje praktycznie. Linia telegraficzną zakreśla od przylądka położonego na północ cieśniny Belle-Isle, do Irlandyi. „Na przestrzeni 1600 milowej, dzielącej Belle-Isle od Irlandyi, mówi p. Maury, dno morskie zupełnie równe jest jakby umyślnie przyrządzona podstawa do wyciągnięcia telegraficznych drutów. Woda ani nadto głęboka, ani nadto płytka, zabezpiecza telegraf od pływających lodów, a nie utrudnia założenia drutów. Głębokość morza na tej linii wynosi 1500, do 2000 sążni. Na dnie nie ma ani prądów, ani roślinności: spokojne jak jezioro. Przekonałem się o tem dokładnie, sądząc wymienione miejsce długo i uważnie. Na tej przestrzeni dno morskie pokryte jest warstwą drobnouchnych muszli; nigdzie nie ma piasku lotnego, co najlepiej dowodzi spokojności wody: inaczej bowiem muszle zmieszałyby się z piaskiem lub żwirem.

„Z tego wynika, że druty telegraficzne raz położone, będą tam spoczywały bezpiecznie jak w pudełku. Zaprowadzenie więc telegrafu z cieśniny Belle-Isle aż do Irlandyi, nie przedstawia żadnych trudności”.

W celu przyspieszenia tego tak ważnego połączenia starego z nowym światem, które nieobliczone korzyści przyniesie Ameryce, p. Maury proponuje, aby rząd Stanów Zjednoczonych naznaczył nagrodę kompanii, która pierwsza drut telegraficzny przez ocean przeciągnie.

Dziesiątego czerwca z wielką uroczystością otworzono w Anglii pałac Sydenhame. Jestto tenże sam pałac kryształowy, w którym była wielka wystawa, teraz na muzeum przeznaczony. Wedle ogólnych dotąd doniesień, żadne pióro nie potrafi dać wyobrażenia o tym nowym cudzie.

„Żaden gmach, piszą zachwyceni korespondenci, ani starożytny, ani nowoczesny, nie może iść w porównanie z pałacem Sydenhame; mieści on w sobie: Niniwę, Alhambrę, Herkulanum, Pompeję, Parthenon, indyjskie i chińskie świątynie, i najpiękniejsze pomniki z epoki de la renaissance. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość spoczywa w łonie tego gmachu”.

Sydenhame leży o 4 mile angielskie od Londynu, czyli, mówiąc dokładniej, o 30 minut drogi koleją żelazną.

Dziesiątego czerwca o g. 11 zrana, bramy tej nowej wystawy zostały otwarte przed tłumnie zebraną publicznością. O pierwszej każdy zajął swoje miejsce, o trzeciej przybyła królowa: wtedy 2000 muzykantów zagrało hymn narodowy „God save the queen“, a publiczność po gmachu krążyć poczęła.

Zostawiając sobie na później szczegółowy opis pałacu Sydenhame, do którego umyślnie pociągi kolei żelaznej urządzone będą z Paryża, dzisiaj na wzmiance tylko się ograniczam.

Odbyła się niedawno w Bytown (w Kanadzie) wielka wystawa niemowląt. Dwie nagrody po 60 dolarów otrzymali dwa najsilniejsze chłopaki: jeden 16, drugi 18 miesięcy liczący. Po rozdaniu nagród, prezydujący sędzia wystawy miał długą mowę, w której wyliczył mnogie korzyści nowej instytucji. „Prowadzi ona, zawołał, wprost do odrodzenia ludzkości! Konkursa w Anglii poprawiły rasę końską: my rasę człowieka poprawiamy”!

Słyszac to matka jednego z Goliatów w kolebce, jeszcze cała rozradowana zwycięstwem syna, i wzruszona przemową, wyszła z tłumu i oświadczyła sędziemu, że jeżeli się cena nagród utrzyma, ona na przyszłą wystawę obowiązuje się przynieść jeszcze większego, rumiańszego i tłustszego chłopca niż ten, któremu pierwszą przyznano nagrodę.

Trzy salwy zadowolenia przywodziły tej patryotycznej i naiwnej obietnicy.

Rzeźbiarz Klessinger, zięć pani George Sand, odlał z alabastru piękny medal na pamiątkę Chopina. Głowa muzyka spoczywa na lutni. Piękną tę myśl podała matka, a zięć znakomicie wykonał.

DWA DWORY.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

V.

Dworek w Wólce.

W małej komnacie przy stoliku siedzi Stanisław i pali cygaro; naprzeciw niego rozparty pan Adolf w wygodnym fotelu; przed nim butelka szampańskiego wina. Przy kominku stoi pan Michał z fajką w ustach.

PAN MICHAŁ (uśmiechając się).

Owóz żywiebóg do swoich śmieci
Zakołatało serce Waszeci;
Niech ptastwo buja sobie do licha,
Człeku najmilsza zagroda cicha!
Rzecz ci wiadoma, że to bez prace
Trudno spożywać smaczne kołace;
A i pieczone pono gołąbki
Nie spadną z góry same do gąbki
Wreszcie jam stary: starość nie radość,
Trudnoż wszystkiemu uczynić zadość.
Toż nie dziwota, że źle się dzieje:
Dobytek jakoś zwolna marnieje,
Pola nie rodzą jako przed laty.
Przestań bruk miejski gładzić zakaty!
Wszakci podobno idzie rok piąty
Jakeś domowe porzucił kąty
I w świat pojechał, aby wśród tłumu,
Obcego w głowę schwycić rozumu.
Dziwnoż ci oto jagody zbladły,
Zmarszczki przed czasem na czole siadły,
Okło zapadło: znać, że nie pluży
Miejskie powietrze. Toć nie goń dłużej

Wiatru po stepie, lecz jak przystało,
Obejmij twoją dziedzinę małą;
Bo niedaremnie przysłowie uczy:
Że oko pańskie konia utuczy.

STANISŁAW.

Nie żartuj próżno, wuju mój drogi,
Wszak pełne ziarna, spichrze i brogi,
Na łąkach nowe faluje zboże,
Stadnina dzielna, bydelko hoże,
Zapasy doma, a w rzece ryba:
Ptasiego chleba braknie tu chyba.
Czegoż chcesz więcej?

PAN MICHAŁ (*pokręcając wąsa*).

Wszystkoć z kretesem nie jest stracone;
Ale „im człowiek w las idzie dalej,
Więcej drew spotka” ojciec mawiali!
Wszak rządem stoją domy i kraje:
To też szanować stare zwyczaje
Trzeba zakaty! Niegdyś pachole
Poduczywszy się łaciny w szkole,
Jeżeli jaka przyszła potrzeba,
Biegło na harce; a gdy kęs chleba
Był z pracy ojców: to wnet po wojnie
Młodzian zasiadał doma spokojnie,
I rad się wiązał małżeńskim stadłem.

PAN ADOLF (*nalewa sobie wina, pije, a potem mówi*):

Brawo! z pierwszego słowa odgadłem
Do czego zmierza cała ta mowa:
Żeń się Stasięku! Tak, ani słowa!
Weź się do roli, zasiewaj grykę,
Wprowadźże sobie w dom dobrodziejkę;
Komu spokojność próżnym ciężarem,
Niechaj się miłym otoczy gwarem.
Jakaż to rozkosz sięść przy ognisku:
Głowa na dwoje pęka od pisku,
Dziateczki krzyczą, żona się krzywi,
A świat powiada: jacy szczęśliwi!

Tak! małżonkowie szczęśliwi młodzi!
Pani na balach wszędy rej wodzi,
Świat jęj uwielbia dziwne zalety:
O! to doprawdy perła kobiety,
Každy wie o tém; tylko nieboże
Mąż swego szczęścia pojąć nie może.
Jakże ma pojąć, kiedy dla świata
Pani w zalety tylko bogata.

A gdy po balu wraca do domu,
 Skoro się nie ma powdzięczyć komu,
 Maskę uludną zdejmuje z twarzy,
 Dziwnie znudzona, duma i marzy.
 Wreszcie nie czując się dość pojętą,
 Łamie bez względu przysięgę świętą.
 A świat małżonka za żony winy,
 Gotów potępić każdej godziny:
 Jeśli pierzchliwa, alboli płocha,
 On winien, bo ją niedosyć kocha;
 Jeżeli słaba, każdy wraz powie,
 Że mąż niewiele dba o jej zdrowie;
 Gdy w domu nieład, świat go obwini:
 Że skąpiec, sknera. Co bądź uczyni,
 Wszystko biednemu idzie na szkodę.
 O! bo umieją na młyn swój wodę
 Obracać dzisiaj wszystkie kobiety.
 Bóg dar wymowy dał im niestety,
 Trzebaż go użyć!

(*Nalewa kielich.*)

No Stasiu drogi,
 Niech żyją święte domowe progi!
 Traćmy kieliszki!

(*Pije.*)

STANISŁAW.

Wiész, że nie piję.

PAN MICHAŁ (*do siebie.*)

Radbym w proch zdeptał nikczemną zmiję,
 Co wszystko święte chce zbluzgać jadem.
 (*Głośno do Stanisława.*)

Nie gardź mój synu ojców przykładem:
 Żyj jako oni przed laty żyli!

ADOLF.

Pij, jako twoje naddziady pili!
 Wiwat! niech w późne lata prawnuki
 Zechcą korzystać z ojców nauki.

(*Piją.*)

PAN MICHAŁ.

Tfu! do szatana! Mój panie młody,
 Miały swa *ale* wszystkie narody,
 Bo doskonałość Boga udziałem:
 Człek duchem silny, lecz słaby ciałem,
 Lgnie więc ku złemu, jak na lep mucha,
 Kiedy mu szatan szepnie do ucha.

Bóg nam już stare policzył grzechy,
 Co je znieważać głupcami śmiechy?

Oneć nie wróca: jako w dolinie
 Potok już nigdy wstecz nie popłynie.
 Niedarmo Noe Chamowe plemię
 Przeklął; toż dźwiga niedoli brzemię,
 Za urąganie błędem rodzica.
 Zawdy znachodzi ludzka żrenica
 Żdźbło w oku drugich, gdy w swém nie może
 Dopatrzeć belki: toć mocny Boże,
 Gorsze dziś błędy toczą was pono,
 Nad owę chętkę nieposkromioną,
 Z jaką się ojce jeli kielicha!

Brzegi podobno rwie woda cicha,
 A ojce głośno pili miód stary,
 Radzi trącali czary o czary.
 Szlachta się dzbanem raczyła piwa,
 Ale podnieta była pocziwa!
 Człek rad był oddać serca połowę,
 Toż po przyjaźni zakrapiał głowę;
 Lecz odurzenia nie szukał w winie,
 Jak to w obecnej czynią godzinie!
 Bo po co było durzyć się przecie,
 Gdy był w sumieniu czysty jak dziecko.
 A dziś do trunku zkąd chętką taka?
 Ot piją, aby zalać robaka,
 Co się w pierś wgrzyza i serce toczy.
 O! czemuż moje widzą to oczy!

(Ocięra łzę).

ADOLF.

I moje niby mgła kryje błąda,
 Powieka jakoś sama się składa;
 Zdrzymnę się, kiedy sen oczy klei.
 Obiad, butelka, i sen z kolei,
 To mi zaprawdę wiejska uciecha,

(Nalewa i pije).

Wiwat! niech żyje gościnną strzechą!
(Rzuca się na kanapę i zasypia. Chwila milczenia).

PAN MICHAŁ, *(patrząc na Adolfa z założonemi rękoma).*

Podły nikczemnik! licha gadzina!
 Zatop co rychlój w szklanicy wina
 Resztę rozumu, byś zgubnym jadem
 Nie zganiał braciom, nad czołem bładem
 Anioła, co im stróżuje zcicha.
 Gdzie gad przypelźnie, trawa usycha!

(Do Stanisława).

Owoż zgaduję, czemu tęsknota
 Znaczy twe lica:—Bóg strzegł od błota

Zacne twe serce. Pokrzepion wiarą,
Chowasz w niem na dnie poczciwość starą.
Jednak wiejące z zewnątrz z wątpienie,
Świat Boży w mroczne otacza cienie.

Zle miły Stasiu! niegdyś ojcowie,
Co mieli w myśli, jawili w słowie:
Otwartość była świętą ich cechą,
Każdy się dzielił bolem, pociechą,
A serca bratnie były gotowe
Przyjmować zawdy bolu połowę.
Lżej się więc snuło życia przedziwo,
Gdy człek miał w pomoc rękę życzliwą.
Dziś każdy równo: w doli czy biedzie,
Zdała od drugich samopas idzie.
Toż nie dziwota, że brzemień krzyża
Bezsilne barki ku ziemi zniża,
Zamiast je dźwigać do góry stale.
Szatan wątpieniem, żywota szalę
Chyli ku złemu; on wam rozumy
Omotał grzesznym obłudem dumy,
Mgłą samolubstwa osnuł was wkoło:
Możeż wam żywot bieczyć wesolo,
Jak starym ojcom zbiegał przed laty?!

STANISŁAW.

Trudno już owęj wetować straty!
Któżby nie pragnął niebieską wiarą
Napełnić serce, a życia czarą
Dzielić się z drugim! Lecz temu biada,
Kto rękę w rękę z ufnością składa,
A owa ręka pchnie go w bezdrożel!
Kto dziś niewieście zaufać może?
Gdy próżność, niby robactwo liche,
Toczy jój serce, i dolę ciche,
Co spromieniała prababek życie,
Zatrutym kalem plugawi skrycie!

PAN MICHAŁ.

Nie wszystkie takie niewiasty pono
Są, co wciąż snują nie nieskażoną
Jak te matrony, co pełne siły,
Wiarą małżonków serca krzepiły.

STANISŁAW.

O! i jam ufał, że znajdę jeszcze
Taką dziewicę; i mnie sny wieszczce
Szeptaly o niej. Jam ją w marzeniu
Ujrzał na ziemi! Jak anioł w cieniu

Ona przewiała nad moją głową!
 Jój to niewinne a święte słowo
 Zbudziło we mnie sennego ducha;
 Z nią mi spłynęła z niebios otucha.
 Owiany tchnieniem mego anioła
 Jąłem się pracy, i w pocie czoła
 Pnąc się przez szczeble owój drabiny,
 Którą wciąż ludzkie przechodzą syny
 Śladem Jakóba; darłem się w górę.
 A cicha gwiazda, przez mgły ponure
 Lśniła promieniem złudnym nadziei,
 Wśród ciężkich życia burz i zawiei!
 Przy jój polysku, jak sokół młody,
 Do zdroju żywej pobiegłem wody,
 I pokrzepiłem pierś uznojoną.
 A oko moje za mgły osłoną
 Dojrzało cuda, o jakich ludzie
 Zaledwie w sennój marzą uludzie.
 I zrozumiałem zakłętę słowo,
 Które nad ziemią szepczą jałową
 Anieli z nieba; i w piersi własnej
 Czulem z rozkoszą, jak w płomień jasny
 Owa się iskra rozżarza wreszcie,
 Którą zatliły dłonie niewieście
 Drogiej méj matki, gdy nad kołyską
 Pieśń pod tą strzechą śpiewała nizką.
 O! jam zawierzył, że także tony
 Tój pieśni świętej, a nieskażonej,
 Głos mi dośpiewa czystej dziewicy;
 Długom w milczeniu i tajemnicy
 Chronił uczucie przed ludzkim okiem;
 Wtém moja gwiazda zaszła obłokiem:
 O! toż mi ciemno na bożym świecie!

PAN MICHAŁ.

Żal mi cię szczerze! Owózto dziecko,
 Są inne gwiazdy jeszcze na niebie,
 Co Bóg je właśnie chowa dla ciebie!

STANISŁAW (z zapatem).

O tak! zaprawdę świeci ich siła!
 Choć się więc moja gwiazda zaćmiła,
 Ja nie rozpaczam, czując jak w myśli
 Coraz to szersze koło się kryśli!
 O! chwilę jeszcze, a Bóg pozwoli,
 Że już o własnej niebacząc doli,
 Zgodzę się z wiarą, że żyć mi trzeba
 Jeno dla prawdy, jeno dla nieba.

PAN MICHAŁ.

Bóg nie wypuści nigdy z opieki
 Tych, co ufają! Toż bracie młody
 Wróc do rodzinnej twojej zagrody.
 Dość zaczerpnąłeś mądrości świata;
 Siądź pod tą lipą, co mnożone lata
 Słoni twych ojców strzeżę ubogą.
 Tu Bóg ci wróci otuchę błogą,
 Tu gdy użyjesz wczasu po pracy,
 W polu pieśń tobie zanuą ptacy,
 A szum dąbrowy wiatr ci przyniesie:
 I będziesz śpiewał, jak w Czarnolesie
 Śpiewał przed laty Jan nieśmiertelny!
 Powiew rodzinny, czerstwy a dzielny,
 W piersi twój płomień rozżarzy snadno;
 Tu zdradne żmije cię nie owładną,
 I wszelka z serca ustąpi trwoga.
 I lepiej bracie pokochasz Boga,
 I dobrych ludzi uczcisz prostotą;
 A Bóg ci może znów gwiazdę złotą
 Zatli na niebie w wieczornym mroku.

STANISŁAW.

Ona nie błysnie już memu oku!
 Lecz chęciom twoim stanie się gwoli,
 Zacny mój wuju. Może powoli
 Czas ukolysze zeicha me rany,
 I wróci duszy spokój nieznany.
 A duchy ojców płynąc w milczeniu
 Nad ową strzeżę, po gwiazd promieniu,
 Wskażą mej myśli nowe obszary,
 Skrzepią zwątpiałą u źródła wiary;
 Aż wyzwolona, orlemi loty
 Wzleci nad ziemskie burze i słoty.

PAN MICHAŁ.

O! wierz mi synu, z własnego proga
 Najśnadniej człeku trafić do Boga!

VI.

Dworek w Woli.

W niewielkim pokoju ogień płonie na kominię; przy stole siedzi pani Natalia, kobieta w średnim wieku, wytwornie ubrana; obok niej Helena z robotą w ręku. Nieco opodal siedzi pani Adamowa, i w milczeniu przysłuchuje się rozmowie.

P. NATALIA.

Zastanówże się tylko Halino:
 Marnie dni twoje w kącie tym spłyną.

Nikt cię nie pojmie ani oceni:
 Tobie potrzeba szerszej przestrzeni.
 Bóg ci dał na to rozum i wdzięki,
 Byś darów szczodrej użyla ręki.
 Chceszże w szalonym wytrwać uporze?
 Dopóki kwitną lica twe hoże,
 Korzystaj z czasu! Nielatwo dziecie,
 O taki poklask na wielkim świecie,
 Jakiś ty sobie zjednać umiała.
 Dziś wie o tobie Warszawa cała.
 Olsniony blaskiem twojej urody,
 Rękę ci hrabia oddaje młody
 I ojców imię od wieków słynne.
 Rzuć więc marzenia twoje dziecinne.
 Jeszcze lat parę, a czas niezblagany
 Zwieje twój krasy urok wiosniany,
 I wnet na czole wyrzyje bladym
 Złowieszcze piętno, niestartym śladem.

HALINA.

Przestań mnie, ciociu, skłaniać daremnie.
 Hrabia nieznanym wstrętem budzi we mnie.
 Oddać mu ręki nigdy nie mogę.
 Dawnom ja sobie wytknęła drogę:
 Pójdę nią stale!..

P. NATALIA.

I kędyż przecie
 Myślisz tą drogą dojść, moje dziecie?

HALINA.

Wszak Bóg osłoną przyszłość nam kryje:
 Tęj nie uchyli oko niczyje!
 O! ja bynajmniej tém się nie trwożę,
 Co bądź na ziemi spotkać mnie może!
 Na walki życia silne mam ramię,
 To też uczucia nigdy nie skłamię.
 W obliczu Boga, ni w obec ludzi,
 Niechże się hrabia próżno nie łudzi:
 Ja nigdy jego nie będę żoną!

P. NATALIA.

Pomnij na jego miłość szaloną.
 On każdy wymysł twój młodej głowy
 Z dziwną rozkoszą spełnić gotowy.
 W ciągłych zabawach, w zgiełku i wrzawie,
 Jak jasna gwiazda zalsniesz w Warszawie.
 Czcią i poklaskiem świat cię otoczy,
 Każdy ku tobie rad zwróci oczy:
 Z ust do ust przejdzie każde twoje słowo,

Będziesz Halino, istną królową,
Bo w dłoni berło odzierzysz mody.

HALINA.

Próżność nie spłaci błogięj swobody,
Jaką ten tylko zachować umie,
Kto szczęścia w marnym nie szuka tłumie,
Ale po Bogu w pracy, w prostocie!

P. NATALIA.

Czcze to są słowa! Przecież i w złości
Dziwna poęta jasno nam świeci.
Kędy chęć jeno bystra doleci,
Wszystko za złoto naszém się staje:
Z niém, w lot dalekie przebiegniesz kraje,
Uzbierasz wiedzy zasób bogaty;
Myśl twoja nowe ogarnie światy.
Gdy zwiedzisz mnogie przybytki sztuki,
Owiana blaskiem sławy, nauki,
Dźwiękiem lub pędzlem, alboli w rymie,
Unieśmiertelnisz własne twe imię!

HALINA.

A wraz zapomnę prostoty staręj,
Cichęj modlitwy i świętęj wiary!
O nie! tych słusznie Pan Bóg ukarze,
Co cudzym Bogom stawią ołtarze,
Gdy tyle ziemi leży odlogiem
Do uprawienia przed własnym progiem.
Wszak tylko ziarnu w rodzinnej roli
Bóg w kłos się bujny rozrość pozwoli,
Ku pożytkowi dla ludzi braci.
On sam tym żeńcom hojnie zapłaci,
Którzy z pokorą, w poczciwęj wierze,
Domowe plony zbierają szczerze.

P. NATALIA.

Nie ma więc rady! Zatem Halino,
Ciesz się cichą swoją doliną;
Ale pamiętaj, że gdy do świata
Znudzone serce znów zakolata:
Świat twe odtrąci przekwitłe wdzięki.

HALINA.

Ja nie wyciągnę daremnie ręki
Po marne hołdy i czeze oklaski.

P. NATALIA.

Chwytaj więc prawdy mniemanęj blaski,
W kraj mglistych marzeń puść myśli wodze.
Życzę ci szczęścia na owęj drodze:

Wolę ja złudy poszukać w świecie.
Żegnam cię, żegnam niebaczne dziecko!

Wychodzi rozgniewana; pani Adamowa i Helena wyprowadzają ją do sieni. Po odjeździe ciotki, Halina zasiada przy ogniu i duma. Pani Adamowa patrzy na nią w milczeniu.

PANI ADAMOWA (po chwili).

Coś mi tak zbladła, Halino droga?
O moje dziecko, wyznaj na Boga,
Co tak twe serce gniecie boleśnie!
Czemuż swoboda pierzchła przedwcześnie
Z twojego czoła? Czyż świat o tyle
Zmącił już twoje poranne chwile,
Że nawet ciche domowe progi
Nie mogą wrócić pogody błogięj?!

HALINA.

O! nie świat tylko skłócił mi życie!
Dawno je smutek zamąca skrycie.

PANI ADAMOWA.

Czemuż mi boleść twoja nieznaną?
Wyznaj ją wreszcie, córko kochana!
(Halina tuli się w objęcia pani Adamowej).
Ale co tobie? Ty drzysz.... o Boże!
Czyż drogi życia nikt przejść nie może,
By stóp nie skrwawił o ostre ciernie?

HALINA.

Wszystko ci matko opowiem wiernie.
Ależ to boli. O! ciężko boli!

PANI ADAMOWA.

Zdawna mi powód twojej niedoli
Wiadomy, dziecko! Toż ból twój dziele,
Bom i ja w życiu cierpiała wiele.
Zgadłam ja zrazu, co cię skłoniło,
Żeś opuściła twą strzechę miłą!
Czyś go widziała?....

HALINA (nieśmiało).

Tak.... raz jedyny!

PANI ADAMOWA.

I czyliż nie wiesz, z jakiej przyczyny
On cię unikał?....

HALINA.

Nie, matko droga!
Ależ mię dotąd przejmują trwoga,

Gdy wspomnę, jakim zmierzył mnie okiem.
 Czoło mu chmurnym zabiegło mrokiem,
 Dziwnie mu zwiędłe poblady lica;
 Tylko spłonęła ogniem źrenica.
 O! jam w przelotną dostrzegła chwilę
 Tyle boleści i wzgardy tyle
 W owém spojrzeniu, że dotąd jeszcze
 Wskrósź mnie tajemne przechodzą dreszcze.
 Tego wspomnienia, nic już nie zatrze!...

Pomnę! było to wieczór, w teatrze,
 A grano dramat nieznany, nowy,
 Pełnemi ognia kreślony słowy!
 Mnie zrazu dziwne przeczucie tknęło!
 O! jam odgadła, czyje to dzieło.
 Już on niemalą pozyskał sławę....
 Już świat ocenił to serce prawe
 I owe pióro dzielne i lotne!
 Już mu składano holdy stokrotne....
 Już imię jego wtórzono z cześcią;
 A jam uczuła dumę niewieścią,
 Pomnąc, jak niegdyś na moje słowo,
 W wieczór sobótki, z płonącą głową
 Pobiegł paproci szukać do lasu.
 O! on ją znalazł!

Gdy wśród hałasu

Znane mi dobrze imię zabrzmiało:
 Silnież z radości serce mi drżało!
 Spojrzałam: on stał wsparty o ścianę.
 Dziwną w nim zrazu dostrzegłam zmianę:
 Zdał się poglądać z wyrazem dumy,
 Na owe głośno klaszczące tłumy;
 A potem oko zatopił we mnie,
 Jakby mnie w myśli przeklął tajemnie!

I młody hrabia był w łoży ciotki;
 A już dokoła krążyły plotki,
 Że o mą rękę zabiegi czyni.
 Kto wie, czy on mnie błędnie nie wini,
 Że mnie światowe blaski znęciły,
 Że mój próżności ów odmęt miły,
 W którym tak duszno było mi przecie!
 Kto wie, czy żyjąc na nowo w świecie,
 On nie zatraci znowu pomału
 Owęj płomiennéj iskry zapału,
 Co w każdym słowie jego jaśnieje.
 Wiem, jak chłód dziwny, co z świata wieje,

Serca gorące powoli studzi;
 Jaką niewiarę zaszczepia w ludzi,
 I póty święte uczucia ziębi
 Aż człowiek lodem skrzepły do głębi,
 Nie śmiejąc oka zwrócić od siebie,
 W mgłę samolubstwa sam się zagrzebie.

PANI ADAMOWA.

O! nie, dla ludzi on nie stracony:
 Przecież w rodzinne powrócił strony!

HALINA.

On? droga matko! byże to może?

PANI ADAMOWA.

Tak, moje dziecię: wyroki Boże
 Wszystko na dobre obrócić mogą.

HALINA.

Jednak mnie dziwną przejmuje trwoga
 Owo spojrzenie, pogardy pełne!

PANI ADAMOWA.

Wszak czyje serce nieskazitelne,
 Ten się pogardy nigdy nie lęka!
 Niewinnych strzeże anioła ręka!

HALINA.

O! matko, pomóż, niechaj zagłuszę
 Niepokój, co mi zamącił duszę...
 Czyż on zwodnemi łudził mnie słowy?
 I któż mi kazał snuć z własnej głowy
 Pajęczą przedzę uludy sennej,
 I ścigać myślą on blask promienny
 Jego spojrzenia, gdy mnie wieczorem
 Tam, przy ognisku, żegnał pod borem!
 Ratuj mnie matko! skrzep mnie na siłę,
 Powiedz co czynić, gdy ciężką chwilę
 Przetrwać potrzeba!

PANI ADAMOWA.

Modlić się dziecie!

To broń jedyna, jaką kobiecie
 Przeciwko złemu, Bóg z nieba zsyła.
 W modlitwie była prababek siła!

VII.

Urodziny.

Wiosna zbudziła ze snu dolinę.
 Ciepły jój powiew rozwił mgły sine,

Co się skrzepłego czepiały łona.
 Kwiatem murawa błysła zielona,
 Brzozy nadobne przywdziały szaty;
 Tylko dąb zmszony a rosochaty,
 Wznosząc do góry krzywe konary,
 Doświadczon laty, nie dawał wiary,
 Czy znów nie zadmie zima chwilowo:
 I tylko nagą potrzasał głową,
 Patrząc na ulność drzewiny młodej,
 Co się przybrała wcześniej na gody.

Młoda Halina w tęsknej niedoli
 Ukolysana wiarą powoli,
 Jak kwiat zabłysła z wiosną na nowo.
 Choć nie tak lica kwitły różowo,
 I nie tak oko płonęło młode,
 I mgły osnuły hożą urodę;
 O! ależ było odgadnąć snadno,
 Że wnet przelotne mgły owe spadną,
 Gdy je słoneczny promień rozprószy!
 Znać hart niemały w dziewiczej duszy:
 Bo choć ją boleść zgmiotła na chwilę,
 Znowu o własnej powstała siła,
 Podniosła głowę; a trud codzienny
 Zagroził pole włudzie sennęj,
 By w rzeczywistych dni jój kolei,
 Nie tchnęła blaskiem marniej nadziei,
 Co człeku próżno życie okłamię,
 I tylko dzielne zbezwładnia ramie!

Ależ jój lśniła nadzieja owa,
 Którą Bóg jeno wybranym chowa,
 Gdy w niezmaconej żyją pogodzie:
 Podobni żywej strumienia wodzie,
 Co wciąż odbija o łono czyste
 Promienną zorzą niebo gwiazdziste.
 A gdy widnokrąg chmura osłoni,
 Cień jego przemknie po wierzchu toni,
 Ale czystego nie skłóci zdroju!

To też Halina pełna spokoju,
 Z wiarą się wyższej poddaje woli,
 Pewna, że jeżeli Bóg jój pozwoli
 Odżyć pociechą; On ją z wysoka
 Żegna opatrzny promieniem oka!

A jednak czasem, gdy zorza z góry
 Zapali bystre łożysko Bzury;
 Kiedy zachodni promień wieczorem,

Zawiśnie luną nad blizkim borem:
 Ona wybiegnie zcicha za wrota,
 Patrzy w świat Boży, i myślą mota
 Pasma złocistych owych promieni,
 Co po szerokiej świecą przestrzeni.
 I myśli: czemu, gdy wkoło jasno,
 Jój tylko w duszy pusto, a ciasno?

I spojrz, kędy w powietrznej fali
 Szarzeje mała wioska w oddali.
 Czasem jak widmo, ptakiem po błoniu,
 Przeleci jeździec na białym koniu;
 Niekiedy silniej wiatr poruszony.
 Przyniesie pieśni urwane tony.
 I znowu pusto, głucho dokoła.
 Jeno tajemnie skrzydło anioła
 Koi dziewicy smutek i trwogę,
 I w rzeczywistość zwraca ją drogę!
 I wnet ku wiosce idzie z nad rzeki,
 Leczyć niemocą zdjęte kaleki,
 Powiedzieć smutnym słowo o Bogu,
 Ducha zbłąkanych dźwignąć z barłogu.
 I dni jój w cichym spokoju płyną,
 Jak wody Bzury kwietną doliną.

Nie doszedł pono takiej swobody
 W poblizkiej Wólce, Stanisław młody;
 Choć on z pod lipy, co dworek cieni.
 Ściga gasnących odbłask promieni:
 Przecież mu w głębi duszy ponuro!
 Jakby mu przyszłość zabiegła chmurą!
 Darmo jak sokół radby lot śmiały
 Wzbić pod obłoki, lub z szczytu skały
 Patrzyć na łzawą a tęskną ziemię:
 Skrzydła mu dziwne przygniata brzemię,
 I nie pozwala bystremi pióry
 Prosto ku słońcu lecieć do góry.

Za to ochoczo pan Michał stary
 Krząta się wkółko, szczęśliw bez miary,
 Bo już niepłonną żywi nadzieję,
 Że Stasio doma miejsce zagrzeje.

Toż stary chętnie wszystkiemu radzi:
 I z wiosną kwiaty w ogrodzie sadi,
 I w cieniu lipy, po dziennym znoju,
 Obok bratanka marzy w spokoju.
 Niekiedy milcząc porusza głową,
 Czasem poszepnie modlitwy słowo.

Aż raz wieczorem zwolna zagadnie:
 — „Słuchajno Wasze, owoż nieładnie
 Jak niedźwiedz w jamie przykucnąć doma.
 Zażyłość z ludźmi, to rzecz wiadoma,
 Zawsze na dobre wychodzi czleku:
 Owoż w Waszeci należy wieku
 Chwilę rozrywki skosztować przecie.”

— „Dość już bujałem jak ptak po świecie” —
 Rzecz Stanisław: — „chcę dziś po Bogu
 Kosztować ciszy w domowym progu.
 Choć mi poranne nie zbiegły lata,
 Ciężkie mi brzemie barki ugniata!”

— „Pleciesz mi Wasze, jak on Piekarski!
 Patrz na mnie: tociem silny a dziarski,
 A czyliż mniemasz, że w żywot cały
 Ręce te wianki jeno splatały?
 O! nie, mój bracie: i moje oko
 Nieraz mi zaszło łzawą pomroką,
 Niejedną do dna wychylił czarę;
 Ale miał w piersi głęboką wiarę,
 Ta mnie ustrzegła, żem z ciężkiej doli
 Zawdy po Bogu wybrnął powoli.
 I dziś choć stary, nie biadam wcale:
 Co czleku marne pomoga żale?
 Snadniej odwrócisz fortuny koło,
 Gdy na świat Boży patrzysz wesolo,
 Choć serce boli.”

I spojrzal stary

Het, na zaslane żytem obszary.
 I milczał chwilę; potem powoli
 Ukazał dworek w pobliskiej Woli.
 — „Toć — rzecze — Stasiu dziś urodziny
 Naszej sąsiadki, milej Haliny.
 Warto by było zajrzeć tam przecie:
 Wszak nienależy chybiać kobiecie.
 Już tydzień pono dobiega piąty,
 Iakeś powrócił w rodzinne kąty.
 Wszak ojcie Wasi, społem wiek młody
 Wśród niezmaconej przeżyli zgody:
 Niejedną soli spożyli beczkę.
 Wreszcie, rodzice twoi, dziewczeczkę
 Do chrztu podali niegdy, przed laty:
 Toż nie wypada, bratku, zakaty
 Tak bez przyczyny zrywać ogniwa,
 Któremi ojców przyjaźń życziwa
 Wiązała długo”...

— „Lecz wuju drogi—
Rzecz Stanisław—wszak obce progi
Zapóźno w owej odwiedzać porze.”

— „Co Wasze gadasz: nim zajdą zorze,
Przemknij doliną lotem do Bzury.”

— „Lecz się na niebie gromadzą chmury,
Wichura świszcze: będzie ulewa.”

— „Zawsze się Waszeć złego spodziewał
Ołóż z młodemi Boże skaranie:

Cóżto, czy z cukru jesteś mospanie?

Czyliż się Wasze od deszczu stopi?

Wyrwał się niby Filip z konopi!

Mamże się stary wstydzić bratanka?

Co kiedyś rzecze Waści bogdanka,

Jak ją mieć będziesz, że na zaloty

Nie chciałeś jeździć w dnie dżdzu i słoty?”

— „Jużto nie dla'mnie pono te gody!

Nie chcę zamącać błogiéj swobody,

Ani kępować polotu myśli.

Biada poecie! skoro zakreśli

Duchowi swemu zbyt ciasne szranki!”

— „I ptastwo buja w majowe ranki,

A potem rade ciągnie do gniazda”:—

Rzecz pan Michal.

— „Raz tylko gwiazda

Pełnym urokiem zabyłśnie czleku,

W błogosławionym młodości wieku”—

Odrzekł Stanisław, skłaniając głowę—

„A kiedy zawód splącze osnowę

Złotéj uludy: czyż nie szalony,

Kto płomień święty a nieskażony,

Co w czystém piersi ognisku tleje,

Pragnie przyoblec w ziemską nadzieję!”

— „Ej! mój kochany! Wszehmocna władza

Wszystko na Bożej ziemi odradza!

Zda się, że zimą kwiaty zakrzepły,

A niech wiatr jeno zawieje ciepły,

Znów pełne świeżéj woni a krasy,

Barwią nadobnie pola i lasy!

Mnogie ja lata przeżyłem synu:

Wiem, że nad cudny wieniec z wawrzynu

Bywa cudniejszy i miłszy Bogu

Ten, co człek wije w domowym progu,

Kiedy mu strzechę rozjaśni niską

Strzeżone czystą ręką ognisko;

A gdy je działki obsiedą wkoło,
Wtedy to czleku doma wesolo,
Choć Bóg dopuści zamieć i słotę!

Jan z Czarnolesia miał swą Dorotę,
Przecież podziśdziem świat sławi pono,
Wielkiego piewcy lutnię natchnioną!"

— „Legły w grobowcach cne białogłowy,
Co chodowały płomień domowy
Ręką przeczystą—młodzian odpowie.—

Inna rzecz dzisiaj kobietom w głowie:
Próżność im zwolna wystudza serce,
W słabej już ledwie płonie iskierce
Prababek wiara, z której przed laty
Wieniec żywota snuły bogaty.
Dzisiaj płomień z serca zbiegł im do głowy:
Kaźda zwodnemi tumani słowy,
Gotowa wszelką spełnić ofiarę.

Lecz połóż tylko niebacznie wiarę,
Zaufaj sercem szczerem a młodem;
Wnet je grobowym owieje chłodem:
Bo próżność serce w niej zastudziła,
A w sercu tylko kobiety siła!"

— „Jest zle i dobre na Bożym świecie.
Owożło Waszeć trzy po trzy plecie,
A słonko schodzi pomalu z nieba;
Toż się co żywo zabierać trzeba."

— „Ależ mój wuju!"

— „Żadnego ale!
Słusznych powodów nie widzę wcale,
Żeby uchybić zacnej dziewoi;
Chyba się Wasze nie żartem boi,
By nie urzekło oczko Haliny!"

— „O! do obawy nie mam przyczyny.
Serce me dawno okulem stała;
Żadne uroki już nie zapalą
Ognia, co niegdys tlił w piersi młodej,
Aż go zgasiły mnogie zawody.
Już ja się wuju czarów nie boję:
Gdy chcesz, wypełnię życzenie twoje.
Dalej więc na koń,—jedźmy do Woli!"

I wybiegł żywo. Stary powoli
Poruszył głową, pokręcił wąsa:
— „Oj! coś się chłopak nie żartem dąsa
Na ród niewieści (poszepnął zcicha);
Musiała mu tam któraś do licha
Zalać za skórę. Toć jako żywo,
Prędzej czy później wyszumi piwo!"

I lżawem okiem objął świat Boży,
Zrumienion w blaski gasnącej zorzy.

* * *

Chyżo dwaj jeźdźce pędzą przez pole,
Za nimi drobne zdąza pachole.
Jadą przez rowy, miedze i żyta,
I tylko końskie tętnią kopyta;
A gdy się krzemień zetrze ze stałą,
Czasem się lotne iskry zapalą
I w chwili gasną. A ponad głową
Niebo się barwą słoni różową;
Chmurki by ptastwo strzępione złotem,
Z zachodniej strony pierzchają lotem.
A słońce pysznym blaskiem purpury,
Rumieni ciche łożysko Bzury.

Oj dziwnieź bije serce młodziana!
W duszy mu dźwięczy pieśń zapomniana,
I chciwie chwyta powiew doliny,
Kędy swęj wiosny przeżył godziny,
A wiatr mu chłodzi skronie płonące.
Zcicha mkną konie po miękkiej łące,
Tylko niekiedy wiatr przerwie ciszę,
Gdy staręj olchy szczyt zakolysze.
Czasem słowicza piosnka doleci,
Lub na piszczałce chłopie zasłeci.
I znowu cicho; a tuż przed okiem,
Owiana sinym dymu obłokiem,
Coraz się wdzięczniej wychyla Wola,
Wkoło zastana w pszeniczne pola.
Widzi Stanisław krzyż na rozstaju:
Tamtędy z Halką biegął do gaju;
I widzi wzgórze pode wsią blisko,
Gdzie sobótkowe lśniło ognisko.
I krew zawrzala w młodzieńczém lonie.

Wtém oba jeźdźce wstrzymują konie,
A mała łódka czeka nad Bzurą;
Czoło młodziana zachodzi chmurą.
Dziwnaż on walkę sam z sobą toczy!
Ale rad nie rad zawraca oczy
W stronę, gdzie dworek bieleje szary,
Skryty w jaworu bujne konary;
I silniej serce uderza młode,
I dzielniej wiosłem porusza wodę.

Pan Michał mileczy, i tylko w myśli
Plany na przyszłość powoli kryśli.

Owóz i łódka stawa powoli.
 Młodzian spogląda na dworek Woli,
 Lecz na podwórku ni żywej duszy:
 Tylko bociany siedzą na gruszy,
 I cichej wiosce stróżują z góry;
 Tylko się sroży Zabój ponury,
 Warczy, bo obcych czuje zdaleka,
 Za wrota bieży, i groźnie szczeka.
 Lecz gdy starego poznał sąsiada,
 Wraca, i zcicha w budzie zasiada.

Dziwnieź pobladyli lica młodziana!
 Patrzy: o! mała zaszła tu zmiana!
 Tylko cokolwiek zapadł dwór stary,
 Tylko jaworu nieco konary
 Wybiegły w górę nad strzechą niską;
 Bo też spłynęło ćwierć wieku blisko
 Odtąd, jak spolem dzieciny hoże,
 W wesołym niegdyś płaśały dworze...

Większe on w sobie dostrzega zmiany:
 Jemu pierzeł urok życia wiosniany,
 Jemu sieroctwo nad czołem młodem,
 Niby mogiłnym powiało chłodem.
 O! toż nad sobą westchnął głęboko,
 I lżą mu jasne zabiegło oko!

VIII.

Spotkanie.

(Ogród w Woli. Pani Adamowa i Halina siedzą obok siebie w altanie bluszczowej).

PANI ADAMOWA.

Jużeś spokojna, Halino droga,
 Bo ciebie ręka dobrego Boga
 Stałe dźwignęła; już duch twój, dziecie,
 Krąży wysoko w wybranych świece.
 Bolem ochrzczone u łaski zdroju,
 Znów w niezmaconym żyjesz spokoju;
 Nie w tym spokoju bezwładnej duszy,
 Gdy zdrój uczucia boleść osuszy:
 Lecz w tym, co zsyła człeku duch Boży,
 Kiedy się milcząc w cierpieniu korzy.
 Tyś już szczęśliwa!..

HALINA.

—Tak, nieinaczej:
 Gdy Bóg boleścią duszę naznaczy,

Już ją wytrąca z zwykłej kolei
 I śniąc jej odblaskiem wyższej nadziei;
 Jeno kto ulgnie w grzechu a dumie,
 Ten się cierpieniem podnieść nie umie!
 Bo tylko kornych, na skrzydłach wiary
 Co wznosi boleść w niebios obszary,
 Kędy anieli tony srebrnemi
 Szepczą pociechę stęsknionej ziemi!

PANI ADAMOWA.

Już się nie lękam, dziecię o ciebie:
 Kto jeno szuka nadziei w niebie,
 Ten się zawodu lękać nie może:
 Wszak przyrzeczenia nie mylą Boże!
(słucha)
 Ale czy słyszysz jak Zabój szczerka?
 Zda się głos obcy słyszę zdąleka.

HALINA *(blednąc)*

Obcy? nie matko!

PANI ADAMOWA

To bez zawodu
 Zacny pan Michał. Już od ogrodu
 Uchyła furtkę; widzę go przecie,
 Lecz jest ktoś drugi.
(patrząc bacznie na Halinę).
 Co ci to dziecie?
 Drzysz mi jak listek!

HALINA *(zeicha).*

—Nic matko droga.

To on!

PANI ADAMOWA.

Stanisław? Dziecię na Boga,
 Zbierz całą siłę!
(Wchodzi pan Michał, za nim Stanisław)

PAN MICHAŁ. *(oddając Halinie wiązeczkę kwiatów).*

— Panno Halino!

Niechaj ci życia chwile upłyną,
 Jakbyś z tych kwiatów wianki zwijała!
 Daruj, że taka wiązeczka mała:
 Niech słonko cieplej błysnie na niebie,
 Więcój ich pono zerwę dla ciebie.

HALINA.

O! czyż to mało! Dziękuję szczerze!

PAN MICHAŁ (*do pani Adamowój*).

Może w piękniejsze pani ubierze
Nadobną główkę panny Haliny:
Wszakże to dzisiaj jej urodziny!
Niech jak królowa wystąpić raczy.
Lecz co ta bladość na licu znaczy?
Co jój być może?—

PANI ADAMOWA (*przypinając kwiat nad czołem Haliny*).

—Nic, dobry panie,
To wnet przeminie!

(*do Haliny*)

Pójdźmy kochanie,
Pokażem panom też nasze kwiaty.
Wprawdzie ich zasób niezbyt bogaty,
Jeno pod dworkiem, od wschodniej ściany,
Rankiem zakwitły dziś tulipany.
(*Idzie naprzód z panem Michałem. Halina powstaje
z wolna, Stanisław patrzy na nią.*)

STANISŁAW (*nieśmiało*).

—Czyż przyjmiesz pani moje życzenia?
(*Halina błędnieje coraz bardziej*)

Zkąd taka bladość lica twe zmienia?

Co tobie pani?

(*Halina chce mówić, ale nie może*)

Powiedz!

HALINA (*z cicha*).

To minie!

STANISŁAW.

Czyliż wspomnienie, jak tu, w dolinie
Niegdyś swobodne biegły nam lata,
Tak cię przejęło?

(*po chwili*)

O! bo utrata

Owój niewinnej serca prostoty,
Co życie w promień barwiła złoty,
Musi nas boleć!...—

HALINA.

Tak, ani słowa:

Choć kto ją w własnej duszy dochowa,
Przecież nad temi boleję szczerze,
Co się wdzicięcej zachwiali wierze!

STANISŁAW.

O! tak, zapłakać nad temi warto,
Co niegdyś śmiało z duszą otwartą,

Z niepokalaną wiarą dziecięcia,
Świat ogarniali w własne objęcia,
Aż nim pomału ciężkie zawody,
Cień rozpostarły na duszy młodej!

HALINA.

Czas może cień ten rozwiąć im z czoła.

STANISŁAW.

Prędnąj przeczysta ręka anioła.
(*Halina patrzy na niego z niedowierzaniem*)

Ty patrzysz na mnie z pogardą, pani!
O! dziwnieź wzrok twój mą duszę rani!
Bo dotąd pomny, jak tam pod borem
Spojrzałaś wdzięcznie, kiedy wieczorem
Po kwiat cudowny pobiegłem z wiarą,
Gdyś roznieciła powieścią starą
Iskrę w mój piersi świętą, a jasną;
Jam ukorzony nicością własną
Poprzysiągł sobie wonczas tajemno,
Podnieść się duchem nad przestrzeń ciemną,
Gdzie się błąkała myśl ma uspiona....
I wyciągnąłem z wiarą ramiona
Po promień światła; i czulem skrycie,
Jak się roznieca nieznanne życie
W młodej mój piersi gorącym tchnieniem.
I kołysany błogiem marzeniem,
Ze kiedyś plony mych trudów, może,
Przed stopy twemi z radością złożę:
Jąłem się pracy szczerze, wytrwale,
Nie ustawając w świętym zapale.
Jakkolwiek lotne myśli mój skrzydła
Pragnęła podciąć zawiść obrzydła;
Chociaż krążyła burza wokoło,
Jam na pociski wystawiał czoło!
Chwyciłem pióro z dziwnym zapalem,
Z ludzką ślepotą walki staczałem,
I stokroć cięższe z własną niemocą.
Nad ksiąg stosami i dniem i nocą
Ślęczałem pilnie, otuchą wsparty,
Ze przecież owe zbutwiałe karty
Cudzych doświadczeń bogate plony,
Ukażą myśli mojej zemglonej
Niebieskiejj prawdy święte oblicze!
Czy me nadzieje były zwodnicze?
Nie do mnie sądziąc; to wiem, że przecie
Chęci me poklask znalazły w świecie.
Lecz mi poklaski szły mimo ucha,

Bo myśl wznioślejsza krzepiła ducha.
 Tyś jej jedynym była przedmiotem!
 Gdy wyobraźnia bystrym polotem
 Szukała prawdy po marzeń niebie;
 Ja w blask jej cudny zdobyłem ciebie:
 Tyś była gwiazdą mojemu oku,
 W której czerpałem w nocnym pomroku
 Wsparcie i siłę!

Gdy pełen wiary,
 Za ciężkie trudy, długie ofiary
 Wróżyłem wreszcie nagrodę blizką;
 Kiedy myśl moja, tu, nad tą niską
 Strzechą krążyła z dziwnym zapalem;
 Wówczas cię w zgiełku świata ujrzałem,
 Stojną w klejnoty, piękną, wesołą
 Rój cię pochlebców otaczał wkoło;
 Mówiono, żeś już hrabiemu rękę
 Oddać przyrzekła.

Dziwnaż ja mękę
 Uczulem w duszy na owe słowa!
 Niby mi ogniem splonęła głowa,
 W oczach mi było straszno a ciemno.
 By się rozwarła ziemia a podemną,
 Mniemałem, że mnie żywcem zagrzebie!
 Wówczas spojrzałem zdala na ciebie,
 Z gorzkim wyrzutem za bolu tyle,
 Za owe w trudzie strawione chwile,
 Za potargane sny i nadzieje.
 O! bo wiedziałem, jak zgubnie wieje
 Powiew światowy na serca młode!
 Straciłem odtąd dawną swobodę!
 Jeślim pracował, to tak, z nalogu.
 Już ni ku ludziom, ani ku Bogu,
 Serce, jak niegdyś, z wiarą nie biło:
 Zwątpienie chmurą świat mi przyćmiło.
 A ludzie rany jątrzyli jadem,
 I zamiast zganiać nad czołem bladem
 On mrok ponury przyjazną dłonią:
 Jeszcze szyderstwa razili bronią.
 Wszystko co czyste, jasne i święte,
 Przetrawało w duszy rdzą nie dotknięte.
 I zatęskniłem do mej zagrody,
 Kędy mi błogo ubiegł wiek młody.
 Tam myśl znękana i nieudolna,
 Pod tchnieniem prawdy ożyła zwolna;
 Ale wątpiłem jeszcze o tobie!
 Aż raz w pomroku, na matki grobie,

Ujrzałem ciebie jak rzewnie, łzawo,
 Mówiłaś pacierz. Twą duszę prawą,
 Po tej modlitwie cichój poznałem.
 O! z jakże szczerym wtedy zapalem
 Jam cię ocenił, a widząc ciebie,
 Jak łzawa szukasz pociechy w niebie!
 Czulem twą wyższość, Halino droga!
 Chciałem się zbliżyć, lecz dziwna trwoga
 Ścięła mi w ustach słowa gotowe,
 Jeno w milczeniu skłoniłem głowę,
 I gdyby nie to—już skrzepion w wierze,
 Bylbym cię wtedy przebłagał szczerze!
 (*Podaje jej rękę.*)

HALINA.

O tak! kobieta przebaczać umie!
 Gdy wy zwikłani w obłądnej dumie,
 Wszystko rozumu ważycie szalą;
 Kobiety milcząc Bogu się żalą.
 A On im zsyla w sierocęj doli
 Skarby miłości i dobrej woli!

STANISŁAW (*z zapalem*).

Czyste anioły, co z łona ziemi
 Niebios sięgacie skrzydły białemi,
 Wykolysane piosenką starą,
 Karmione bolem, łzą i ofiarą,
 Okryte zbroją wiary dokoła!
 Wy z niezmaconą pogodą czoła
 Cicho, cierpliwie, w domowym progu
 Wieniec niezwiędły wijecie Bogu.
 Z łzawą modlitwą unosząc dłonie,
 Wy zakładacie w niewinném łonie
 Świętej miłości czyste ołtarze!
 Przez wasze cnoty, Bóg kiedyś zmaże
 Cień samolubstwa, niewiary chłody,
 Co nam powiały po duszy młodéj!
 Bądź mi Halino stróżem-aniołem,
 Roztocz mi skrzydła nad zwiędłym czołem;
 A wnet rozniecim trudy wspólnemi
 Zagasła dolę na Bożej ziemi!

HALINA.

Tak Stanisławie: skrzepieni wiarą,
 Chowając w sercu prostotę starą,
 Ujrzym znów gwiazdę nad strzechą własną,
 Co niegdyś ojcom lśniła tak jasno!

(*Pan Michał i pani Adamowa zbliżają się zwolna*).

PAN MICHAŁ (*do pani Adamowej*).

Jam to przewidział. Oj! jako żywo,
Coś już nie patrzą na siebie krzywo.

PANI ADAMOWA.

Zawsze na końcu prawda przez chmury
Blaskiem słonecznym zabłyśnie z góry.

PAN MICHAŁ (*do Stanisława*).

Ponom niedarmo mówił Waszeci,
Że cudna gwiazda rychło zaświeci!

STANISŁAW.

Ona mi zawsze świeciła stale!

PAN MICHAŁ.

Zkądże się brały te wieczne żale
Na zmienność niewiast, na ich niewiare?

STANISŁAW.

Bo oko moje mgły zćmiły szare,
A nie chcąc własnej przyznać ślepoty,
Rad zaprzeczałem niewieściej cnoty.
Dziś się przed prawdy obliczem korzę!

PANI ADAMOWA I PAN MICHAŁ.

O! dzięki Tobie, Wszechmocny Boże!

* * *

Zabłysło nagle słońce z za chmury,
Rumieniąc ziemię barwą purpury;
Rosa unosi tumany woni
Z rozkwitłych wdzięcznie grusz i jabłoni,
A wiatr szeleszcząc zcicha skrzydlaty,
Śnieżne na ziemię otrząsa kwiaty,
I przez błękity powietrznej fali
Przynosi odgłos dzwonu z oddali.

Kłękają wszyscy z pochyłą głową,
I mówią zcicha: „stało się słowo!”
A anioł z góry splywa w milczeniu,
Zaszumi skrzydły, i po promieniu
Gasnącej zwołna na niebie zorzy,
Do góry płynie znów przed tron Boży.
I czystej pieśni tony srebrnemi
Zwiastuje Panu: że są na ziemi
Serca, niezgrzęzłe w żywota kale,
Co zakon Boży chowają stale....

KRONIKA LITERACKA.

Roczników Polski Klimakter 4. Obejmuje dzieje Polski pod panowaniem króla Michała, przez Wespazyana z Kochowa Kochowskiego wojskiego krakowskiego, podkomorzego i dziejopisa królewskiego; z łacińskiego tłumaczenie polskie. Z portretem. Wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznej, Librairie étrangère. 1853. 8ka. Str. XVI i 382 (textu samego str. 355).

Dawnoto powiedział mędrzec rzymski, że i książki mają swoją historią (habent sua fata libelli): oto nowy dowód na Klimakterach Kochowskiego.

Uczony Wespazyan z Kochowa odbywszy wojaczkę, (bronił wolności staro-szlacheckich pod chorągwią Jerzego Lubomirskiego, a potem bił się z Turkami, był pod Montwami i Wiedniem), obdarzony od natury zdolnością historyka, wziął się na stare lata do spisywania tego, co widział, żeby pamięć ludzi i wypadków nie ginęła. Pracował ciągle, a co wypracował zaraz puszczał w świat pod imieniem pojedynczych Klimakterów. Pierwszy wydrukował sam w roku 1683, drugi 1688, wreszcie trzeci już za panowania Augusta II, 1698, a wszystkie u Schedla w Krakowie. Te trzy Klimaktery stanowią pełną interesu powieść o panowaniu Jana Kazimierza. Że stary wojski czuł się jeszcze na siłach, zaczął spisywać Klimakter 4 o królu Michale; są ślady kilkakrotnie w textcie tej części dzieła, że pracował nad nim w r. 1699, bo już wspomina o wydaniu przez Turków Kamieńca, w skutku pokoju karłowickiego: ale widać już nie zdążył podać swojej roboty w druk, gdy śmierć nadeszła. To dowodzi, że w miarę tego jak wykończył Klimaktery, nie ociążał się wcale z drukiem: skończywszy panowanie Michała wziąłby się z kolei do Jana Sobieskiego, tém bardziej, że bohater wiedeński nie żył w czasie wydania trzeciego Klimakteru, i że jego zawód był skończony. Ale widać, że zaraz

potém umarł, kiedy nawet panowania Michała nie zdążył wydać, choć je zupełnie ukończył. W istocie Ambroży Grabowski opowiada, że Kochowski zakończył życie w uroczystość świętej Trójcy w Krakowie tegoż roku 1699.

Trzy drukowane poprzednio jego Klimaktery ktoś ze szlachty przetłumaczył na język polski, przerobiwszy po swojemu, to jest dodawszy do jego rzeczy trochę swojego zapалу, swoich niechęci, swoich wyobrażeń, nietykając gruntu historii. Wyszło to na dobre dla Klimakterów, bo przez to unarodowiły się nietylko w języku, ale w samym kolorycie szlacheckim, z czém im daleko więcej do twarzy: bo Kochowski więcej przejęty powagą, jaką powinien był mieć historyk, zresztą więcej od naszego szlachetki tłumacza na wzorach wykształcony, lekko sobie nie cenil wielkiego powołania historycznego, i udawał Tacyta: chciał być zimnym, obojętnym, rozważnym; chciał pisać bez gniewu i zawiści. Tłumacz zaś jego wołałby wylać się na paszkwile, aby dogodzić tylko sercu, aby wylać żółć swoje, zemścić się chociaż pismem na tych, co podkopywali wolność szlachecką, i rany śmiertelne zadawali Rplitéj. Tłumaczenie to Kochowskiego znalazł Raczyński przypadkiem w jednej z bibliotek poznańskich, i wydrukował je pod tytułem: Panowanie Jana Kazimierza. Po tém wydaniu, tłumaczenie Klimakterów nowe staje się zbyteczne; tém bardziej, że wolimy Kochowskiego w przerobieniu, jak w dosłowném, żeby i najlepsze było, tłumaczeniu.

Nie obawiali się więc pracujący nad historją narodową o trzy dawne Klimaktery, kiedy je sam autor ocalił od zguby; ale obawiali się o stratę czwartego, który długo, bo przeszło aż przez półtora wieku chodził w rękopismie w kilku kopiach. Jedna kopia znajdowała się w bibliotece Żaluskich, druga w Dreźnie w bibliotece królewskiej: ta ostatnia zdaje się pochodzi z piérwszój ręki, bo dostała się w spadku siostrzeńcowi dziejopisa, Wojciechowi Zabielskiemu, który był Jezuitą w Lublinie, a więc zdaje się po wuju rodzonym. W piérwszym tomie swojej Historji literatury polskiej, Wiszniewski w roku 1840 utyksując, że Klimakter ten niewydany jeszcze, bardzo ciekawą treść jego wydrukował (stronnica 85—88), jakby tém zachęcając uczonych polskich i księgarzy, żeby księgę pełną ciekawości wydali. W istocie Bobrowicz, księgarz lipski, wziął się do téj pracy, ale chciał Klimakter wydać po polsku, a nie po łacinie, żeby więcej upopularyzować wydanie. Znalazł przecie po długich zachodach tłumacza, który dwie księgi przelożywszy, umiera. Nowy kłopot, bo znajomość łaciny coraz u nas rzadsza. Udawał się p. Bobrowicz do tego i do owego, i kilkakrotnych doznawszy zawodów, uprosił wreszcie p. Augusta Mosbacha, że mu wytłumaczył trzecią, czwartą i piątą księgę ostatniego Klimakteru, i przypisami objaśnił (1). Tak więc mogło przyjść do skutku przedsięwzięcie, które nam skompletowało po polsku całe dzieło Ko-

(1) Dziennik Warszawski, 1852 r. Nr. 47.

chowskiego. Zaczny wojski krakowski pewno się niespodziewał, że po upływie lat wielu, oryginał jego będą jeść mole, a późne pokolenie czytelników, częścią w apokryfie, a częścią w tłumaczeniu będzie cieszyło się jego Klimakterami. Nie mamy albowiem żadnej nadziei, byśmy tę czwartą część dzieła Kochowskiego ujrzeli kiedykolwiek drukowaną jak wyszła z rąk autora.

Ale podług nas źle zrobił wydawca, że szukał tłumacza dla tłumaczenia Klimakterów: niechby był poszukał historyka, a literatura miałaby mu za co więcej podziękować, jak za takie, jakie nam dał wydanie. Poetę tłumaczyć może tylko poeta, historyą tłumaczyć może tylko historyk. Tutaj nie idzie tyle o słowny przekład wyrazów jednego języka na drugi: takiej pracy podejmie się ladażaki czeladnik literacki; tutaj potrzeba, ż by w przekładzie historyi wielnie zachowały się rysy epoki. Jestto wielki błąd pisać dzieje własnego kraju w języku obcym, a największy w łacińskim. Każde społeczeństwo wyrobiło sobie pewne formy, obrzędy, instytucye, prawodawstwo: a więc wyrobić sobie musiało także własny język obrzędowy i prawodawczy. Rzeczą właśnie historyka jest, żeby wszystko nazywał po swojemu, nie pożyczając do rzeczy sobie nieznanych wyrażen obcych, niezrozumiałych dla społeczeństwa, które maluje, niemających żadnego znaczenia w obcej historyi. Kiedy obstalowany tłumacz jaki, przypusęsmy marszałka koronnego nazwie najwyższym marszałkiem państwa: razi to, i bardzo razi, lubo jeszcze niezupełnie zacieria wyobrażenie; ale są jeszcze grubsze błędy. Nasi np. historycy, którzy pisali po łacinie dzieje ojczystego kraju, silili się zastępować wyrażeniami i tytułami łacińskimi tytuły, których nigdy nie było w państwie rzymskiem; upatrywali więc jakie takie podobieństwo pomiędzy urzędami polskimi i rzymskimi: wtenczas bez sensu starostów naszych przerabiali na prefektów albo gubernatorów, regimentarzy w trybunów, kuli wyrazy jakich w łacinie Cycerońskiej nie bywało, np. dapiferów, pocillatorów. Tąże samą monetą płacili im tłumacze klasyków łacińskich na język polski, którzy znowu w odwet rzymskie urzędy polszczyli. Wargocki powiada np. że w Rzymie burmistrzowali, tojest byli konsulami, Ceraz, Pompeusz, a Ganimedes u nich był zawsze stolnikiem czyli podczaszym Jowisza. Jestto śmieszność. Historya danego narodu pisze się dobrze, i w całym rozwoju, w całej szerokości, li tylko w języku tego narodu. Ztąd daleko logiczniejsi byli owi Francuzi dworscy za Jana Kazimierza albo Sobieskiego, którzy o sejmach polskich i kłótniach domowych pisali: czuli oni to dobrze, że obyczajów i uroczystości naszego narodu w swoim języku dobrze nie wyrażą, albo wyraziwszy, dadzą swoim ziomkom o rzeczy źle wyobrażenie. Ztąd w tekście francuzkim zawsze pisali po polsku szopa, koło i t. d., uważając te wyrazy za techniczne nie do tłumaczenia. Pozwalali tylko sobie pisać diete, dietine, tojest wyobrażenia rzeczy więcej utarte. Oddajmy im

choć pod tym względem sprawiedliwość; sądzili o nas ze swego stanowiska, to prawda, ale niezawsze rozmyślnie przekręcali fakta.

Przerobienie szlacheckie i polskie owych trzech Klimakterów, które wydał Raczyński, jest przewyborne, i nie mgło być inaczej. Kontuszowy autor polski znał Rplite, prawo polskie, historya i całą obrzędowość swojego narodu. Zjąc wśród świata, który żył jeszcze, nie dziw, że przejął się nim, że go znał, że dlatego rzeczy nazywał po swojemu: okupił więc zupełnie błąd Kochowskiego i dał nam dzieło swojskie, piękne i narodowe. Ale nie tak się rzeczy mają z tłumaczeniem Klimakteru ostatniego. Ani pierwszy pracownik p. Bobrowicza, którego z nazwiska nie znamy, ani pan Mosbach nawet nie miał najmniejszego prawa brać się do nie swojej rzeczy, bo nie obeznał się z przeszłością do tyła, żeby nie popełniał licznych anachronizmów, które wprawdzie niekażdego czytelnika rażą, ale zawsze błąd o przeszłości rozszerzają. Klimakter czwarty polski nie jest to wcale studyum narodowe, ale, że tak się wyrazimy, jestto wolny przekład poety; przekład, który o tym poecie nie daje wcale wyobrażenia. Juście fakta tutaj zostały, bo je wytłumaczyć łatwo, ale za to znikł koloryt.

Pierwszy tłumacz musiał być świadkiem publicznego życia naszego od roku 1800—1830, albo przynajmniej studyował to życie, bo pojęcia i zasady księstwa Warszawskiego i Królestwa poznać w nim zaraz od pierwszego rzutu oka, choćby się tego wypierał, a pan Mosbach poszedł krok w krok za pierwszym tłumaczem. Tak więc obadwaj życie Rzplitej i Michała Korybuta wykuli w ramach, które bynajmniej do Polski dawniej nie przystawały. Nie nazywali rzeczy po swojemu językiem historycznym i społecznym epoki, ale językiem epoki na którą patrzali: ztąd czytelnik niewtajemniczony w historya, nabędzie z ich tłumaczenia skrzywionych pojęć o epoce, a historyk co chwila gniewać się musi. W nich występuje zawsze zamiast rady senatu jakaś rada stanu, a czasami, co gorzej, bo nawet nie podług arytngi księstwa Warszawskiego, rada państwa. U nich zawsze występują legie, podporucznicy, szwadrony, a Krasieński jest gubernatorem Warszawy w roku 1609! Król u nich posyła nie uniwersaly do województw albo na sejmiki, ale okolniki do rad wojewódzkich. W izbach senatorskiej i poselskiej mają głos pierwsi prezesi (to po francuzku znowu). Jest u nich sekretarz senatu i są raporta rady stanu. Jest i biurokracya nieznana w dawniej Polsce, bo Sobieski na jakiś sejm przyprowadził cały tłum urzędników cywilnych. Są i takie bezsensa jak np. pułk dragonii zwany artyleryą. Jest nareszcie stan trzeci, nazwisko francuzkie; ale mylili się każdy, ktoby przez stan trzeci rozumiał to, co we Francyi rozumie się przez ten wyraz: stan trzeci w Polsce jestto poprostu szlachta niemagnaci, to jest niekoniecznie szlachta zagrodowa, zaściankowa, ale stólnikowie, cześnikowie, chorążowie i t. d. wojewódzcy i powiatowi. Otóż to nazywa się pisać historya!

Marszałek koronny jest tutaj pospolicie najwyższym marszałkiem państwa, hetman najwyższym wodzem wojsk całego króle-

stwa i t. d. Pojęcie, jakie Europa przywiązuje do tego wyrazu państwo w tych i tym podobnych wyrażeniach, także jest po prostu narzucone tutaj starożytnéj Polsce. U nas była Rzplita, korona, królestwo, ale nie państwo. Olszowski jest biskupem chełmskim. Tłumacz Bogusława Radziwiłła koniuszego księstwa litewskiego zrobił hetmanem, bo w oryginale musiało być pewnie *generalis exercituum* lub coś podobnego. Dziwna rzecz jak się nie spostrzegł, kiedy niżej o kilka wierszy rozpowiada, że hetman wielki litewski Pac, nie życzył sobie mieć za towarzysza urzędu księcia Michała Radziwiłła, ale np. Potulińskiego. To samoby już mu powinno otworzyć oczy, że Bogusław nie był hetmanem. Jak można, tworząc urzędy i ludzi na tych urządach, mieszać wyobrażenia; bo jeżeli np. sekretarza wielkiego koronnego nazwie sekretarzem senatu, historyk nie wie o kim tutaj właściwie mowa i kogo to tłumacz ochrzcił nazwiskiem sekretarza senatu. Przypuśćmy, że właśnie ta osoba była historyczną, że warta studyów: otóż i fakt jeden zatracił się, i tłumaczenia użyć niepodobna za źródło, bo zmyśla fakta niebywałe. A któryżto w Polsce szlachcic nie był historyczną osobą? Sekretarz wielki koronny jest ze swojego stanowiska poważny postacią, choćby to był najskromniejszy człowiek w całej Rzplitej.

Nareszcie z tłumaczenia widać, że zrobione jest z oryginału łacińskiego: peryody długie, okrągłe, wymierzone, Cycerońskie, nie mają wcale swobody właściwej językowi naszemu. Byle jaką wziąć stronnicę, zaraz się o tém przekonać można: nawet pojedyncze wyrażenia są żywcem łacińskie. O Woli np. tłumacz powiada z powodu elekcji Michała, że tam są Polaków igrzyska, tam ich publiczna mownica; do namacania więc, że tutaj w oryginale były wyrazy *ludi*, *rostra*. Dla Rzymian te wyrazy były zrozumiałe i mało waży im rzecz; dla Polaków igrzyska publiczne, mownice, sąto rzeczy niezrozumiałe: trzeba je było innemi zastąpić. Są i błędy językowe, np. starszyzna wojskowa, porwali go i zanieśli (str. 290).

Teraz druga uwaga. W dzisiejszym stanie nauki chcemy wydać krytycznych. Wydanie krytyczne nie znaczy to wcale nagromadzenie wypisów z innych znanych książek: jakażto albowiem zasługa kompilować poprzedników naszych, szczyścić się cudzą pracą! Zadaniem naszym jest mnożyć coraz więcej kapitał historyczny: jeżeli jeden już wydrukował należycie listy, raporta albo jakie przywileje, cytować go można, ale nie przepisywać, bo inaczej byłabyto podwójna i bez celu praca: szkoda czasu i atlasu. Krytyczne wydanie jakiego autora ma w przypisach sprostować błędy tego autora jeżeli są jakie, a najwięcej dopełniać jego wiadomości i fakta innemi wiadomościami i faktami ze źródeł dotąd nieznanych. Pan Mosbach podjął się wyłącznie nadać cechę krytyczną temu wydaniu Klimakterów, i cóż zrobił? — wypisywał całe tyrady z bardzo ciekawej i ważnej do dziejów króla Michała książki Ambrożego Grabowskiego, którą wydawca przezwiał Ojczystemi Spominkami. Tych wypisów najwięcej; zresztą są rzad-

sze wypisy z Paska i Jemiolowskiego, a ledwie gdzieniegdzie zacytował listy Żaluskiego. Niedosyć na tém: pod koniec książki idą osobne noty do dziejów Polski pod panowaniem króla Michała, i w tych notach nie nowego: znowu wypisy z Ojczystych Spominków. Wypis z Niesieckiego o biskupie Ujejskim, wypis z Sobieszczańskiego o Arciszewskim, nie wiemy dlaczego przyklepione gwałtem do Klimakterów: bo Ujejski nie zajmował w tym czasie tak wielkiego stanowiska, żeby w Klimakterach zasługiwał na poważniejsze studjum, Arciszewski zaś umarł jeszcze za Jana Kazimierza, więc do Michała Korybuta wcale nie ma żadnego stosunku.

Weszło u nas w modę robić przypisy do wydań historycznych; robią je więc wszyscy: i ci co rozumieją rzecz, i ci, co jej nie rozumieją. Historycy wiedzą co objaśniają; za ich przykładem poszli więc i niehistorycy, ale dyletanci, wydający historye i historyczne badania albo pomniki. Każdy z nich sili się na to, żeby przypisów mnożyć najwięcej, i myśli, że buduje sobie przez to prawo do wielkiej zasługi; a nie wiedzą, że tylko charakteryzują własne pojęcie i własną głowę. Do tego doszło nawet, że jeden z historyków naszych objaśniał czytelników w przypisku, co to jest cieśnina konstantynopolińska albo morze Marmora i n. b. objaśniał źle. Jestto lekceważenie czytelnika na wielką skalę: kto się bierze do czytania książki historycznej seryo, musi przecie coś wiedzieć, chociażby tylko to, gdzie leży cieśnina konstantynopolińska. Pan Mosbach tak samo raz w przypisie objaśnia, co to jest towarzysz w wojsku (stronnicca 166); drugi raz, co to jest konstytucya (stronnicca 287), trzeci raz co to są wici (stronnicca 246), czwarty raz co to są exorbitancje i t. d. Kilka razy naiwnie pan Mosbach w przypisku swoim objaśnia rzecz o której miał wyżej w tekście, wyrazami tegoż samego tekstu: to jest ni mniej ni więcej, tylko powtarza się, erudycją czerpie nie z siebie, ale z Kochowskiego. Tak np. na stronicy 181, z powodu jednego słówka w tekście, objaśniając to słówko, rozpisuje się o sejmiku srodkim, na którym Grzymultowskiego porąbano, temi samemi wyrazami, co tekst to samo wypowiedział na stronicy 81. Żeby choć jaki szczegół inny rozjaśnił tą razą rzecz historyczną owego sejmiku! Tak samo karta 318 wypis z Czackiego: O litewskich i polskich prawach, z powodu testamentu króla Michała, który ni mniej ni więcej obejmuje toż samo, co jest w tekście na stronicy 57 o sercu, które król Michał zawiesił na votum w Częstochowie. Nareszcie te ciągle objaśnienia, że Hrubieszów jestto miasto policzone w dzisiejszej gubernii lubelskiej, że Bar znajduje się w powiecie latyczowskim, że biskupstwo piltyńskie jest w Kurlandyi, a Kamieniec Podolski (nawet Kamieniec) twierdzą na skałach wzniesioną ponad Smotryczem i t. d.; podobne objaśnienia, powtarzamy, wyglądają zbyt zabawnie w książce takiej wartości jak Klimaktery, boć to nie jest żaden kurs geografii, w którym potrzeba wskazać czytelnikowi miejsce, gdzie leży cieśnina konstantynopolińska; a ileż przez te

niefortunne dodatki książka urosła! Bez najmniejszej korzyści dla nauki, koszt wydania w dwójnasób jest większy.

Przy takiej znajomości przedmiotu nie dziwnego, że tłumacze w tych objaśnieniach dużo pobłądzili. Alss (!) jest starostą kamienieckim na stron. 194, a o kartę dalej generałem podolskim (co jedno i to samo) Jan Potocki; Raczkowski kommissarz do Kozaków raz zowie się miecznikiem łukowskim (str. 163), drugi raz miecznikiem łączyckim (str. 192).

Jednym słowem jestto przekład najniefortunnieszy, wydanie najniekrytyczniejsze.

Mimo tych wad bijących w oczy, książka wydana przez p. Bobrowicza ma treść, ale tutaj już cała zasługa po stronie autora, to jest Kochowskiego. Tłumacze nie dla Klimakterów nie zrobili; chociaż silili się wyraźnie na to, żeby ująć wartości książce, całej wartości jej nie zatarli.

Kochowski zanim przechodzi do rozwiązania dalszego obrazu dziejów przerwanych w Klimakterze trzecim, rozumuje, a to rozumowanie zaraz uderza czytelników i każe go bacznie śledzić w tej ostatniej epoce życia. Nasz szlachcic kontuszowy, stronnik Jerzego Lubomirskiego jest tutaj jakimś legitymistą innego sposobu widzenia rzeczy: Kochowski wyraźnie gniewa się już na wolną elekcją królów. Radby zawsze widział na tronie polskim Piasta; i dlatego rad wprowadzić Korybutowi, ale rodzi się w nim już niesmak do sejmikowania szlachty; jeżeli przyjąć elekcją jako zasadę, wołałby spuścić się na rzenie koni, albo wysięgi, jakimi zyskiwali koronę dawni przedchrześcijańscy Przemysławowie. Brzydzi się dalej rzezią obywatelską, pojedynkami, które zagaściły się jakoś mocno za króla Michała przez naśladowanie z zagranicy (str. 128). Z tego stanowiska wychodząc, Kochowski ciska pioruny, o ile mu to wypada w granicach najwyszukaniejszego umiarkowania na konfederacją gołąbską (str. 259), i chociaż nie jest wcale przyjacielem prymsa Prażmowskiego, broni go tutaj przeciw szlachcic, która już miarę w swojej sprawiedliwości przebrała. Takie rozumowanie i widzenie rzeczy byłżeby to już wniosek poczerpnięty z rozumowania dziejów ubiegłych, byłobyto już przekonanie lat starych, kwintessencji żywota? Tak się zdaje. Nasz historyk coraz więcej robi się konserwatystą, a im dalej w las, to więcej drew, i bardzo naturalnie.

W tych utyskiwaniach i boleściach widać przywiązanie autora; więc chociaż się chce sprawiać zawsze po Tacytowsku, chociaż tutaj wyraźnie oświadcza: że biorąc się do pisania czwartego Klimakteru, po długim namyśle (bo chciał skończyć na trzecim swoje dzieło) oczyścił swój umysł ze wszelkich namietności; że wyrzekł się względów, nie boi się nienawiści, i nie zważając na nikogo, pójdzie dalej drogą wskazaną dla historii, to jest prawdą; chociaż wie, że nieprzystała historykowi barwa czołgającego się krasomowstwa, dlatego do dziejów swojej ojczyzny nie myśli wprowadzać sztuki pochlebstwa albo lepianki fałszu: ztémwszy-

stkiem, powiadamy, ma Kochowski swoje przywiązanie, chociaż się z nié m kryje. Przez udane zimno jego obrazów, koloryt miłości słońcem świeci.

Wyznajmy prawdę: ma Kochowski wiele zasługi jako historyk narodowy i pochwał za to nie potrzebuje; a przecieź miléj daleko spoglądamy na niego za to, że jest tak serdecznym przyjacielem króla Michała. Myśmy zawsze z jakimś rozrzewnieniem na tę szlachetną a nieszczęśliwą postać dziejów naszych spoglądali. Z najlepszemi chęciami i zdolnościami pan, mógł być wiele dobrego zrobić dla narodu, ale duma możnych i zuchwałych, zakłóciła krótkie dni jego panowania. Nasz tóż sympatya miał i Wyrwicz, pomimo całej erudycyi swojej i niesmaku za to jedynie, że bronił króla Michała w swojej Konfederacyi gołabskiej.

Kochowski blizki teatru wypadków, niepodejrzany jest dla owych czasów świadectwem: niepodejrzany tém bardzieź, że chce być Tacytem, a więc jak on dziejopis Rzymu, zimnym filozofem rachującym bicia pulsu narodowego. Obraz, jaki tóż Kochowski maluje Michała Korybuta, bardzo za królem przemawia: chociaż nie ma w nim uniesień i zlorzeczeń, chociaż nie widać w historyku człowieka stronnictwa, owszem wybujał w nim duch konserwatywny, więcby pewno trzymał z panami, gdyby ci dobrze chcieli, a nie wichrzyli tylko dla własnych widoków. W młodości Korybut za Dnieprem dowiódł czynami, że serce jego nie odrodziło się od przodków i dzielnego Jeremiasza: to dosyć było dla rycerskiego narodu. A potém inne zalety charakteru króla także jasniały: pobożny aż do zabobonu, prowadzenia się moralnego aż do ideału, był Michał skłonny do pobłażania, miał serce litościwe, łatwo zapomniał urazy, a nie zapomniał nigdy zasługi. Wrodzony w ojca, był hojnym i wspaniałym, ale nie bez rozwagi, bo sprzyjał tylko poczciwości i zasłudze. Objąwszy władzę, dwie główne rzeczy miał na myśli: wynurzyć cześć dla swego poprzednika i umorzyć domowe waśni Rpltéj (stronnica 40). Piękny to był zaczątek, ale któż słuchał króla? Daléj Michał czuł to dobrze wśród zawichrzeń Rzplitéj, że zgody nie sprowadzi na łono ojczyzny, póki starych namiętności używać będzie. Sam nowy człowiek, obcy wszelkim intrygom, myślał działać przez nowych zupełnie ludzi. Król Michał nie było żaden gieniusz wielki, ale człowiek nadzwyczajnego taktu w postępowaniu, serca wielkiego i wyrozumiałości. Gdyby on chciał, byłby silny miłością szlachty pod Gołębim, królem samowładnym. Gdyby chciał, zgniótlby na miazgę Prażmowskich i Sobieskich; ale Michał grzeszył może tylko łagodnością względem śmiertelnych swoich nieprzyjaciół. Uzbrojony wielką mocą duszy, na sejmach burzliwych nieźnie znosił nawałnicę, a zimny i napozór obojętny, nie zdradziłby najmniejszego na twarzy cierpienia. Kiedy serce zalewało się krwią, a oczy łzami, w mowie nigdy ani cień goryczy mu nie powstał. Kiedy rozrzucono przeciw niemu pisma obelżywe w których ani cienia prawdy nie było: na oskarżenia najfałszywsze zabraniał stronnikom swoim od-

powiadać, żeby nie wywoływać jeszcze większej zaciętości. Kiedy szlachta wielkopolska domagała się sądu na Grzymultowskiego, który króla detronizować myślał: Michał upierał się przy tém, że na kasztelana dosyć kary w zniewadze, którą odebrał na sejmiku srodzkim. Król chciał sam cierpieć, aby tylko Rplita nie cierpiała. Chciał ginąć za nią w wojnie z Turkiem i chciał ją wewnątrz uspokoić, żeby się całkiem poświęcić załatwieniu postronnych niesnasek, ale pany nie dali. Gdyby nie umiarkowanie królewskie, skończyłoby się może rzezią magnatów (str. 140).

Kilkanaście razy Kochowski maluje ten wzniosły i jedyny może charakter, a raczej w kilkunastu zdarzeniach, które opowiada, stawia go przed oczyma czytelnika. W Krakowie na koronacyi, w Częstochowie przed ślubem równie był Michał nabożny (stronnicza 46, 57). Zanosząc modły o spokój Rplitej, dzień i połowę nocy w Warszawie krzyżem leżał, a w Częstochowie przed obrazem Najświętszej Panny klęczał do świtu (stronnicza 133). A innych dowodów cnoty, łagodności i umiarkowania znajduje się w Klimakterach moc wielka: co karta to i dowód. Jest nawet ustęp, w którym król Michał o swoim stanowisku rozpowiada przed biskupami krakowskim i warszawskim; widać z niego, że pojął dobrze czem winien być król, wybrany spośród obywateli (stronnicza 133). Czemuż Korybut miał tylko modlitwę i słowo na swoje obronę?

Ludwik XIV, kiedy mu doniesiono o elekcji Michała, powiedział o Polakach: „dobrze, że wybrali króla spośród siebie, bo z krajowcem i z rodakiem bliższe mają skłonności”. Mówił to król urażony za odepchnięcie Kondeusza. Potém wpatrując się w rysy twarzy Korybuta na portrecie, rzekł: „Ta postać bardziej maluje poczciwego męża, aniżeli dobrego żołnierza” (stronnicza 112). Ludwikowi francuzkiemu ciągle na myśli był Kondeusz, a jednak i utyskując, dał drugi raz dobre słowo za Michałem.

Kochowski podzielał uprzedzenie społecznej mu szlachty, że niebo cudownymi zdarzeniami i tajnemi przestrogami, Polakom elekcją króla Michała przepowiadało. Oto rój pszczoł zatrzymał się nad województwem łęczyckiem; oto biała gołębicą ulatywała nad szopą; oto w sam dzień elekcji Michał poszedł do kościoła Pijarskiego i zasnął mocno klęcząc, że go docucić się nie mogli, a śnił mu się wtenczas św. Jędrzej i przepowiadał koronę. Skrzętnie Kochowski zbiera te wszystkie oznaki czy dowody woli Bożej. Znajduje ich pełno wszędzie, gdzie tylko się schyli. Oto wjazd króla do Krakowa świetny jak niczyi jeszcze, i nagle taką weszbrał ludnością; oto okrzyk radości, rzadki taki entuzjazm w stolicy. Długoby to wszystko wyliczać. Nam się zdaje, że w szukaniu takich drobiazgów cudownych, widać dobre usposobienie Kochowskiego dla króla, bo inaczej po cóżby je zgromadzał.

Do tego obrazu koniecznie cięń stanowi arcy-księżniczka Eleonora, żona Korybuta. Pobożna, dobra, przywiązana do męża

i do kraju, którego przeznaczenie zrobiło ją królową: Eleonora skromna, prześliczna, rozsądna, była wzorem niewiasty, córki, żony i królowej. Wśród najcięższych przeciwności niosła mężowi radę i wsparcie. Potem za jego pozwoleniem pośredniczyła w pogodzeniu stronnictw, i towarzyszyła mu we wszystkich podróżach. Doprawdy, kiedy się wyczytuje w Klimakterach takie miejsca o Michał'e i Eleonorze, aż chce się zastosować do nich to, co w uniesieniu najwyraźniejszego pochlebstwa i niesprawiedliwie Wydźga zastosował do Jana Kazimierza i do Ludwiki. Tutaj każdy wyraz byłby prawdą: „A kiedyby Bóg dał pokój, żylibyśmy sobie w Polsce jak w raju, pod takim państwem, kędy wolny każdemu przystęp, kędy nie ulają się, ani w niebaczenie iść mogą zasługi, bo się w oczu pańskich dzieją, kędy cnota rość gwałtem na złość adwersarzom musi, bo ludzi godnych i na ustroniu siedzących szukają, zażywają, ratują, zdobią, impetratur quod postulatur, offertur quod non postulatur; nie słycać chwała Bogu oppressyi, ani napaści, subordynowanych z pokoju; nie widać łakomych targów, handów i exakcyi. Cnota a zasługa najlepiej popłaca. Non haec privatis crescunt, aeraria damnis.”

Kochowski streszczając pod koniec Klimakteru całą swoją charakterystykę króla Michała, którą poprzednio rozważał w faktach, w tych dobitnych słowach zawarł swój sąd o nim: „żył królem, umarł człowiekiem. Przymiotami tronu godnemi obdarzyła go natura: wrodzoną dobrocią, obyczajami by wosk do zacnych czynów Ignącemi, miłosierdziem zawdy skorem do wspomagania biednych. Zdobyły go: silna wiara w Bogu, stałość w nabożeństwie, wysokie przywiązanie do religii; dostrzeżono w nim nieomal wszystkie cnoty moralne, a jeżeli na jakich zbywało mu zaletach głowy ukoronowanej, przypisać to należy ludzkiemu przeznaczeniu, które nie zupełnie doskonałego nie dopuszcza, a nawet bohaterów wizerunki szpeci wadami swemi i przywary. Atoli przez doświadczenie polityczne i dłuższe panowanie, bezwątpienia król nasz pozyskałby to, czego mu dotąd niedostawało.” A dalej mówi Kochowski: „Był szczery, uczciwy, nikogo ani słowem, ni czynem nie urażał; krzywdy znosił tak dalece, iż wolał pobłażać niż złorzeczyć; nauki i ludzi w naukach biegłych wspaniał, zład na koronacyi liczne otrzymał pochwały, a gdy umarł zamilkły uczonych głosy, które tak wymowne były, kiedy weszła gwiazda jego, że powściągnąć je było potrzeba. Ja także wydałem pod tytułem: Posługa obywatelska, penegiryk, winszując najlepszemu królowi wstąpienia na tron: ten obecnie zamieniając w pieśń żalobną, zawieszam nad grobem jego, a przekazując go potomnym, pragnę, aby pamięć imienia króla Michała długie przetrwała lata.” Słowa te nie podlegają żadnemu tłumaczeniu; tém bardziej, że jak uważaliśmy już, Kochowski społeczny królowi brał rzeczy seryo, i na wiatr nic nie mówił, a pod koniec życia zmienił wiele szlacheckie swoje pojęcia na arystokratyczne.

Zatrwały życie Michałowi Korybutowi intrygi panów, którzy zawsze myśleli o dziedzicznej arystokracji i lordostwach. Dokuczył mu prymas, ślepe oczko, ślepy bożek, który z krwią zimną próbował swoich doświadczeń na żywym ciele Rzplitej. Sobieski nietyle w Klimakterach winny: może go osłonił cokolwiek Kochowski przez cześć dla króla bohatera. Bądź co bądź, hetman występuje tutaj zawsze jako druga figura przez prymasa gwałtownie popychana do czynu. Charakter Prażmowskiego wart studyów. Burzliwy, zuchwały ten człowiek, płodny w tysiączne wybiegi, bezwstydnny, chciał grać rolę Kromwela w Polsce. To nowy zarys charakteru, jaki na postać jego Kochowski rzuca; zarys zdaniem naszym bardzo trafny. Wówczas w całej Europie władza królewska była narażoną na niebezpieczeństwa. We Francji była Fronda, a Hiszpania i Portugalia zbudowała tron narodowy; Węgry zalane były przez Turków, niedawno Mazaniello powstał w Neapolu, a cóż mówić o Anglii. Zdaje się, że zaraza jakaś do awantur nawiedziła całą Europę, i to tu, to tam burzliwe ozuchwałala umysły. Ale wszędzie była jakaś do rozruchów przyczyna, a w Polsce nie było żadnej: w Polsce była raczej zawiść panów przeciw królowi, który z niczego wyskoczył nad ich głowy, a silny był miłością szlachecką. Panowie w tej epoce najwięcej się pasłwili nad Rzeczpospolitą, a raczej teraz zaczęli na dobre wiechrzyć. Łagodny król ośmielił ich, a duma kazała z okoliczności korzystać. Zepsucie przyszło do nas razem z elekcyami, bo przez elekcyę tworzyły się zagraniczne stronnictwa; drugi krok stanowczy na tej drodze zepsucia postawił Siciński zerwaniem sejmu; ale było jeszcze tyle uczucia obywatelskiego w Polsce, że wszyscy na ten krok zuchwały jednego posta z oburzeniem patrzyli, choć stało się jak chciały losy. Zarazę rozwijają intrygi elekcyjne Maryi Ludwiki i rodzi się fakcyja, która chce instytucyj francuzkich w Polsce; intrygi upadły, ale fakcyja żyje. Drugi raz zbezczeszczona pod Wolą, kiedy Kondeusza szlachta z orężem w rękę z listy kandydatów wyrzuciła, fakcyja szaleje, że motloch postrachem był w przekonaniu panów, a stan rycerski Rzplitej narodowego króla, reprezentanta wolności szlacheckich posadził na tronie. Oto klucz zagadki, która objaśnia postępowanie prymasa.

Ale jeżeli co było patryotyzmu w tych zabiegach panów powstających przeciw Michałowi (pozorem dobra publicznego intrygi swoje pokrywali), wszystko to prymas zwał osobą swoją i robotami. I u niego ciągle na języku były wielkie słowa, jak np. dobro Rzplitej, obywatelstwo, jęk kraju, a mimo to był prymas węgielnym kamieniem zguby i nieszczęść publicznych. Jeszcze nigdy prywatna nie wygórowała u nas tak daleko, jak dopiéro za jego usiłowaniem. Kiedy za Jana Kazimierza oburzenie jeszcze władało tłumami na niecny postępek Sicińskiego, prawie pojąć niepodobna, jak zrywanie sejmów stało się rzeczą naturalną i łatwą za króla Michała. I wszystkie sejmy psuł prymas, występujący zawsze jako najzapaleńszy niby stronnik swobód szlacheckich,

a w istocie i w gruncie serca wróg tych swobód śmiertelny: broń Boże nie z zasady, ale naprzód przez dworszczyznę dla Maryi Ludwiki, a potem przez niechęć do Michała, którego w żaden sposób nie chciał mieć królem, bo zdawało mu się, że większą jest siłą, że ma więcej prawa od księcia Wiśniowieckiego, żeby coś znaczyć w Rzplitej. W Anglii były zatargi stanów, była walka zasad; u nas prywatę podnosił do godności zasady ślepy bożek. Chciał być dyktatorem Rzplitej, jak Kromwel protektorem Anglii; ale gdzież było sumienie tak mścić się na najniewinniejszym królu, za miłość szlachty. Prymas Jana Kazimierza namawiał, by złożył koronę, dlatego, żeby przecie raz ujrzał się panem przeznaczeń narodowych; prymas potem w bezkrólewiu wbrew wyraźnemu prawu, pół słówkiem tylko cedził wyrazy do pierwszych senatorów Rzplitej i ukrywał przed niemi sprawy koronne, o których radzić właśnie z niemi był powinien w gronie dostojników. Prymas mścił się obelżywemi przegryzkami na podkanclerzym Olszowskim, za to, że byłto człowiek szczerzej wiary i niepodkupny; za to, że w pisemku *Censura Candidatorum* radził obrać księcia Michała nowego i obcego elekcyjnym zabiegom; za to, że wydzierał zawczasu prymasowi przyszłość i apelował od niego do szlachty. On potem podmawiał kanclerza Leszczyńskiego przeciw królowi, chociaż mu się potem kanclerz zręcznie z zastawionej łapki wymknął i na dwór powrócił; on śmiał detronizować Michała i rozwiesić go z Eleonorą; on dlatego słał braci swoich za granicę, wojewodę płockiego do Francyi, księdza sekretarza koronnego do Wiednia; on rozrzucał pisma obwiniające króla, wszczynał kwestye, rodził zarzuty jakich nie było; on piekło poruszał, żeby postawić na swoim; on spiskował z Grzymułtowskim, gotował nawet rozbiór kraju, bo Kalisz i Poznań oddawał elektorowi. Historyi tych spisków trzeba śledzić po archiwach. Dziś tylko prymasa łapać możemy na gorącym uczynku, bo wiemy, że był wszędzie, gdzie była nikczemność i zdrada; ale to, co wiemy już o nim, dostateczne jest, by pamięć jego oddać na ohydę pokoleniom.

I jakimieżto zarzutami wojował ślepy bożek? Bardzo ważnemi; naprzód: że król ożenił się, a potemi, że ożenił się z austriaczką. Na to odpowiedzieć można było: że nie zrobił król tego bez wiedzy narodu, a Olszowski negocyował to małżeństwo; to dosyć, żeby wszelkie usunąć obawy. Krom tego historycznyto był fakt, że oddawna na tronie polskim zasiadały królowe z austriackiego domu, i trzeba przyznać, że najpocziwsze, najzacniejsze królowe nasze były właśnie austriaczki. Bony, Marye Ludwiki i Kazimierzy odznaczyły się smutną sławą w historyi narodu, a przeciw Eleonorze i związkom historycznym cóż walczyło? Pojmujemy obawy szlachty o dynastya austriacką, ale nie było prawdy w utyskiwaniach prymasa na związek rodzinny Michała. Ale co było w tej sprawie ślepemu bożkowi nie na rękę? Oto właśnie to: że Korybut przez spokrewnienie się z domem cesarzów, stawał się po części osobą dla intryg niedościgłą, wstępował na pewną wy-



sokość; dlatego potem spychając z tronu Michała. w Wiedniu negocyował wprzód Prażmowski o rozwód Eleonory. Jakież potem był drugi zarzut? Oto że król na sejmie koronacyjnym przysięgał na swobody Rzplitej z restrykcyą, to jest, że usta wymawiał rotę, a myślał robić co innego. Zarzut Machiawelski, który sam już świadczy, jako siłił się prymas gwałtem na dowody, żeby mieć co do zarzucenia i żeby się pozorem dobra publicznego osłonić. Oto narzekał, że król kazał matce z dóbr ekonomii samborskiej, corocznie wypłacać 50,000 złp. (toż to zbrodnia, własnym groszem wesprzeć ubóstwo! jeszcze czyje? rodzonej matki). Oto narzekał, że jakimś Rostockiemu król dał starostwo lełowski: oto że nikogo dotąd nie nominował na kardynałstwo i tę prerogatywę królewskiej dostojności zaniechał (tu pro domo sua orator prymas), bo na sejmie koronacyjnym była mowa, żeby go przedstawić do kardynałstwa; zaniechał więc król prerogatywy, bo prymas dotąd, to jest w r. 1671 nie był kardynałem, a miałże król chociaż chwilkę czasu żeby wolno odetchnąć, a dopiero myśleć o czyjems kardynałstwie, i czy rzeczywiście narażało to godność Rzplitej? Narzekał, że król nie naprawił fortyfikacyi Kamieńca, (byłże czas potem); dalej narzekał, że pensyi jeszcze Janowi Kazimierzowi nie wypłacił (o czuły opiekun!). Otóż stek obłudy i fałszu. Kochowski pomieścił w textcie wszystkie exorbitancye prymasowskie, których jest 50: wszędzie w nich przebija się najnikczemniejsza nikičemność.

Ten sam człowiek jednak był uniżony i najuniżeńszy tam, gdzie już prosto o jego skórę chodziło. Trzeba czytać opis Kochowskiego, jaki był grzeczny dla Michała w dzień elekcyi, kiedy szlachta szczykała nad głową jego w szablice (str. 32). Onto był grzeczny z restrykcyą, bo w dni kilka potem na nowo intriguje (36—37). Trzeba czytać szczegóły o upokorzeniu się prymasa, kiedy na jednym sejmie gwałtem był zaniesiony do pocałowania ręki królewskiej.

Do biografii Prażmowskiego mamy tu nowy szczegół, że był synem Jędrzeja naprzód sędziego ziemskiego, a potem kasztelana warszawskiego. Niesiecki o tém nie wie.

Wogólności Kochowski w tym Klimakterze czwartym mniej rozmowny w jak poprzednich i mniej artysta; widać, że się zestarzał. Zawszeto erudyta, który ciągle robi porównania jakie ze Spartą, Xerxesem, Rzymem. Ale już nie rozwija w takiej pełni wypadków; nauka została. talent zwietrzzał trochę. Jest nawet nieład pewien w opowiadaniu; pod rokiem 1670 np. wprzód mowa o sejmikach przedsejmowych w lipcu, a potem dopiero o listach królewskich pisanych na te sejmiki do województw. Jednak przyszły historyk w cywilizacyi narodowej, chociaż nie obficie, znaleźć tutaj przecie może fakta do cywilizacyi. Owe sejmy zwane łajaniem (comitia-convitia) na których nie obradowano, ale wściekano się, (deliberatio-deliratio), na których dosyć było pozor, aby Rzplite na lup namiętności wystawić, dosyć zacząć pra-

wić coś od rzeczy; owe głośnie już na plac występujące przekupstwa; owa obojętność dla sprawy publicznej, kiedy nie wierzono np. w wojnę turecką, chociaż Turcy i renegaci przez litość dla Polski, Polskę ostrzegali o zbrojeniu się Porty, powrocie sułtana z Kandy; owe zagęszczone za tego panowania pojedynki, o których w Polsce przedtem ani słyszano; owa konfederacya gołębska, której znaczenia dziejowego dobrze jeszcze nie zauważali historycy, a która mogła całą Rplitę przewrócić do góry nogami; owi egoiści u steru rządu, bo już Zamojskich i Żółkiewskich nie było, a jeden tylko Olszowski zawsze pocziwy nie może nic zrobić; ów Stefan Czarniecki dyktator Rplitej przez kilka chwil, który pocziwością do Michała podobny, zgubił sprawę przez łagodność i brak zdecydowania się; owe burzliwe sejniki na których senatorów szlachta rąbie; owe zjazdy w Łowiczu, tłumne zjazdy panów na sejmy, które tragedya pachną;— wszystko to są materyały pełne poezyi dla dziejów cywilizacyi. Massa szlachty u spodu pocziwa, ani wiedziała co się u góry dzieje, i całej wielkości niebezpieczeństwa nie pojmowała. Od-tąd już sternikami sprawy publicznej pozostają samoluby, aż po ostatnie chwile narodu. Panowanie Michała acz krótkie, stanowi tak barwną epokę w dziejach, że wpatrującego się bacznie okiem w przeszłość, zaraz to uderzyć musi. W tych pięciu latach, przodkowie nasi wiek upadku przeżyli.

Da się także zebrać z tego Klimakteru więcej nieco szczegółów do życiorysu Kochowskiego, jak ze wszystkich innych poprzednich. W Starożytnościach Polskich Ambroży Grabowski skreślił w krótkich słowach tę biografią: teraz mógłby ją dopełnić. Nasz historyk znajdował się na elekcyi Korybuta pod Wołą: sam widział ów tajemniczy rój pszczoł Piasta (stronnica 30). Dalej pisze, że z powodu koronacyi moc była panegiryków, że 30 rozmaitych autorów wystąpiło na cześć Michała; nietylko wychowawcy muz, ale i mężowie dostojni Rplitej przepowiadali wiek kwitnącej literatury i powrót do dawniej świetności narodu. I to także cieniuje ówczesne usposobienie dla Michała szlachty: wszyscy czuli, żeby mogło być lepiej pod panem tak cudownie wybranym; wiedy i Kochowski napisał *Munus civile regi Michaeli* i wydał w Krakowie 1669, w ćwiartce (stronnica 51). Tutaj starając się potomnym przekazać pamięć o koronacyi Michała, wróżył z błęgiego początku błogi koniec. Że Kochowski brał żywy udział w wypadkach tego panowania, więc znajdował się też osobiście na burzliwym sejmie w roku 1670 w Warszawie. Niewiadomo tylko, czy jako poseł, czy jako obojętny wódz i historyk. Był też osobiście na sejmiku proszowickim przed owym sejmem drugim lipcowym w roku 1670. Widział scenę, jak panowie z hufcami zbrojnemi zjeżdżali się tam, chcą zaimponować szlachcie; ale tą razą nic nie wskórali (stronnica 80). Zdaje się prędeż, że śledził tu i tam marmurowe twarze, jako spokojny postrzegacz, choć nie bez tego, żeby mu się serce krwia

nie zalewało. Kochowski był podżupnikiem w Wieliczce pod zarządem Jana Pieniążka wówczas starosty oświęcimskiego, jednego z cenniejszych polskich owego wieku statystów, który za Augusta II umarł wojewodą sieradzkim. Na tym będąc urządzie przyjmowałby oboje królestwo w żupach, kiedy w roku 1671 Wieliczkę i Bochnię zwiedzali, ale wtenczas leżał chory w Krakowie, dręczony niebezpiecznym kłociem w boku (stronnica 123). Wspomina jeszcze potem Kochowski, jak pogrzebał w Krakowie dwóch przyjaciół, którzy pod Chocimem polegli: Floryana Maja i Stefana Białobrzeskiego i uczcił ich żałobną mową; a drukując wtedy swoje liryki, imiona też ich przekazał potomności (stronnica 34). Że był w wyprawie pod Wiedniem w r. 1683, także tutaj wspomina (stron. 197). Owładnął nim entuzjazm religijny i poszedł na Turków z królem Janem. Wracając po drodze spotkał w Węgrzech jednego z dworzan p. Lubomirskiego; byłto Piotr Jastrzębski, który pierwszy obrzezany został w Kamieńcu po zdobyciu tego miasta przez Turków. Ostatnich szczegółów jego żywota wcale nie mamy, i nic też o sobie sam Kochowski w tych latach nie wspomina. Wiadomo tylko, że starzec już, z Goleniowej, wioski dziedzicznej dedykował Klimakter trzeci Augustowi II. Co się zaś tyczy urzędu wojskiego krakowskiego, o dacie kiedy go dostał nikt nie wspomina. Zdaje się, że dopiero August II dał mu ten urząd, bo w Sigillatach czytamy, że w roku 1695 abdykował wojstwo krakowskie Włodek, i że 12 maja 1695 r. mianowany po nim został Stanisław Ożarowski. Nie znamy z żadną daty śmierci Ożarowskiego; ale kiedy wojskim krakowskim podpisał się w roku 1698 w dedykacji do Augusta II Kochowski, naprędzej został wojskim po tym Ożarowskim i był nim jak widzimy lat niewiele. Jest też w Klimakterach druga dla nas cecha, która do charakterystyki Kochowskiego należy: wiek jego przesądny wierzył w przepowiednie gwiazd, w znaki niebieskie: więc i historyk nasz nie był wyjętym z pod wpływu cudownych pojęć, ale pod tym względem przystając na zdanie kościoła, rozumował przecie i wnosił po swojemu (str. 131).

Pod koniec sprawozdania naszego musim poprawić błąd, który nie wiemy jakim sposobem dostał się do Historji literatury Wiszniewskiego. Podając treść czwartego Klimakteru, napisał Wiszniewski: że matka Eleonory wyjechała po weselu z Częstochowy, niekontenta z pewnej niezręczności Michała. (Tom I. stronnica 86). W Kochowskim nic o tém ani półsłówka; wypisujem z niego całe to miejsce: „Nie wszystko u nas podobało się cesarzowej, więc na odjeźdne, lubo nie chciała tego widocznie pokazać, była mocno zasmucona, widząc nasz kraj rozdzierany wewnętrzną niezgodą; rząd ubolewała nad losem nieustalonego jeszcze tronu, ubolewała także, przez zwykłą matkom troskliwość, upatrując pewne umiarkowanie w uczuciach króla dla swojej dostojnej małżonki.” Wiadomo, że przed odjazdem wyrzekła te słowa do podkanclerza Olszowskiego: „Trzeba, żeby król czémprędzej opuścił ten klasztor;

mam nadzieję, iż serce jego, wstrzymane tu zapewne widokiem zakonnych murów a może i obecnością teści, tem żywiej odezwie się w wolniejszym ustroniu: uważam go za wymówionego, jeżeli przez wzgląd na świętość miejsca hamował wyraz swojej miłości." Ze Michał nie był w swoich uczuciach dla żony tak gorący, kilka razy powtarza to Kochowski; ale z tego nie idzie, żeby jej nie miał kochać. Król nabył suchot w ciągu krótkich rządów, na wszystko już był wtenczas obojętny, prócz na losy ojczyzniego kraju.

Druga rzecz, którą tutaj nam zanotować przyjdzie jest, że w Klimakterze czwartym łapiemy ślad dwóch dzieł historycznych, które czasów naszych nie doszły, a których tytułami możnaby wypełnić spis źródeł do historii polskiej albo nieodszukanych, albo w rękopismach dotąd ukrytych Michała Wiszniewskiego, (Histor. lit. pol. t. I. stronnica 45—97). Naprzód Wojciech Męciniński podkomorzy wieluński, którego piękną biografią kreśli Kochowski, pisał historią swego czasu, epoki bardzo ważnej i ciekawej wojen domowych i zewnętrznych (stron. 113); umarł Męciniński w roku 1671. Potem Adam Stroński wojski lubelski a poufały króla Michała Korybuta, który dlatego samego, że był przy nim, mógł znać wiele tajemnic stanu i szczegółów biograficznych; pisał także swoje pamiętniki. Kochowski nawet przywodzi z nich dosyć obszerny wyjątek w Klimakterze czwartym, stronnica 153, z którego dowiadujemy się o kłopotach domowych króla Michała, jak je sam malował przed biskupem krakowskim, Trzebickim, który osobiście nie był stronikiem królewskim, ale miłował prawdę i sprawiedliwość, i słuchał spowiedzi króla ze współczuciem. Z wielką szkodą dla historii, pamiętniki Męcinińskiego i Strońskiego zapewne już są stracone dla potomstwa.

Julian Bartoszewicz.

ROZMAITOŚCI.

Gawęda o rzeczach muzycznych.

„Ze wszystkich rozrywek dostępnych mieszkańcom wielkiego miasta, niezawodnie najszlachetniejszą jest teatr, chcę mówić przedstawiany w nim dramat, obraz życia. Bo życie, czujemy to wszyscy, fenomen tak powszechny i niby zrozumiany dokładnie od wszystkich, którzy go używają albo nań patrzą, tyle ma miejsc ciemnych i tajemnych zaułków, tyle przedstawia niespodziewanych wybryków nawet w tém, co już wyczerpniętém się zdaje, co niby jednakowo przez wszystkich pojmowane być powinno, że mu się nigdy dosyć napatrzeć nie można. Wreszcie ludzie żyją jak im się zdarzy, rzadko myśląc o pobudkach i wynikłościach; na scenie widzą jedne i drugie, więc się uczą pojmować życie. Ztąd dramat podobno zawsze najwyższe w literaturze zajmował miejsce, jakkolwiek w różnej postaci; on ożywia wszelką naukę i uzacnia sztukę, przenikając je wskrós swym pierwiastkiem, bez którego byłyby martwe jako niezastosowane. Zastosowanie wprawdzie nieodrazu upładnia każdy nowy nabytek nauki i sztuki, ale to musi niebawem nastąpić: inaczej nabytek zmarnieje, zostanie zapomniany jako ciężar nieużyteczny. W zastosowaniu do życia wszystko się przemienia wedle jego potrzeb, więc i dramat, obraz życia tego jedynego perpetuum mobile; bo ono przyswajając sobie każdy nabytek tak nim kręci, tak go urabia, że go zmusi przyjść sobie w pomoc. w skutek której sam także przemianom ulega.”

„Muzyka jedna z pierwszych wezwaną została do pomocy słowu i akcji, jako najnaturalniejszy ich sprzymierzeniec, bo także z dźwięku rozwieszono na czasie powstała. Chodząc z niemi w parze od tak dawna, nauczyła się także po swojemu życie przedstawiać, i to tak wybornie, że się bez pomocy dawnych swych towarzyszek obchodzić umie; stała się sztuką samoistną jak i one. Ale samoistność pojedynczości nie usuwa; gdy

muzyka szeroko się roztoczyć zapragnęła, musiała wezwać do wzajemnej pomocy akcyą i słowo, by niemi ściśle oznaczyć, co w jej orzeczeniach niezupełnie jasnego, a przynajmniej niedosycy determinowanego było, i czego czasem nawet określić nie umiała, jako leżącego za granicą jej środków. I wstał dramat muzyczny. Daleko mu wprawdzie jeszcze do tego, czém z czasem rzeczywiście się stanie, bo muzykalna strona opery cierpieć musi pewne ograniczenia tam, gdzieby przeważnie i jakby bezwzględnie roztoczyć ją należało; bo znów roztaczana bywa tam, gdzieby ją należało ścięśnić. A wszystko dlatego, że świat nie może jakoś wejść na nowy, odpowiedniejszy wykształceniu muzyki sposób przedstawiania dramatu. Świat się trzyma mniej więcej tradycyji, pierwszemi tworcami w tym rodzaju narzuconych; nie ma dosycy siły do zmienienia formy dramatu muzycznego, nie chce zaradzić niedogodnościom, choć je tu i owdzie pojedyncze głosy wytykają, i używa opery cząstkowo, zamiast w całości muzyczno-dramatycznej. A mimo to urok jej, zbiorowy wypadek wszystkich sił estetycznych, które człowiek po różnych sztukach pięknych rozprószył; cudowne prawie zestrzelenie ich do jednego celu—przedstawienia życia: podniosły dramat muzyczny do najwyższej godności między starszemi i młodszemi dramatu rodzajami. One kompozytorom i śpiewakom dramatycznym nadały nietylko większą w ogóle wziętość niż innej braci muzycznej, ale i większe znaczenie, większą potęgę niż innym reprezentantom życia na scenie. Dowodem tego upowszechnienie się opery z krzywdą innych dramatu rodzajów, jakby w nią wsiąkały pomalu. I byłyby już dotąd może zupełnie w nią wsiąkły, gdyby nie tak wiele wymagała zachodów i sił różnorodnych, i gdyby był dramat dawniejszy nie wyratował się uowością, którą mu nadał zwrot do romantyczności, czyli mówiąc wyraźniej i więcej stanowczo, do swobody. By jej użyć ile można, dramat nowszy rzucił się już na fantazyi a nawet fantastyczności pole: tam właśnie, gdzie się rozciąga samowładne muzyki panowanie. Wprawdzie bywał na niem już nieraz i dawniej, ale się ostać nie mógł, co chwila ściągany z tego wyniesienia zbytnią praktycznością, konwencyalnością słowa. Więc zawarł z idealną muzyką sojusz na czas nieograniczony, który jednak prędzej czy później skończyć się będzie musiał, a mianowicie wtenczas, gdy sztuka swęj praktyczności na usługi ideału wyłącznie używać zechce, gdy ogół lub przynajmniej większość ludzi do tego wykształcenia umysłowego dojdzie, takiego dobije się położenia towarzyskiego, że będzie spełniać warunki życia materyalnego tak, jak i dziś już nieraz spełniają je ludzie duchowemi zwani; tylko z konieczności, nie z zamilowania. Wtenczas i dramat z materyalizmu się wydobędzie i do tego podobno przyjdzie, że nie będzie szlachetniejszego dramatu bez muzyki, a zatem nie inaczej, jak w postaci

opery. Nim to nastąpi, musi się świat otrząsnąć z barbarzyńskich o sztuce pojęć i nie mówić, że jedna wyższa od drugiej, dlatego, że nie umie przedstawić tego co inne umieją albo nie z taką dokładnością; ale zrozumieć, że każda musi dać swój kwiat najpiękniejszy, by uwity z nich wieniec umilił człowiekowi żywot na ziemi, otaczając jego skroń aureolą, w której blasku przepaść winno to, co wyłącznie ziemskie, a raczej pod formą ziemską, błyszczyć ideałem. On, to właśnie ma do siebie, że się w nim wszelkie praktyczności znajdują stopnie, bo jest summą wszystkich. Więc summa sztuk pięknych złożyć się musi na ideal sztuki, na dramat szlachetnie pojmowany, mający przedstawiać życie w jego praktyce, to jest w tém wszystkiém, co jego stronę rozumową i uczuciową stanowi. Jak i co w operze czyli w najwyższym dramacie winno podzegać do działania siły rozumu i uczucia, nie będę tu rozbierał: to pewna, że to drugie głównie muzyce się należy. Uczucie bowiem ciągle przemiennej grze ulega, więc sztuka mająca je przedstawić musi być w dziełach swoich ruchomą i przemienną. Taką jest właśnie muzyka w najwyższym stopniu; po niej w zdolności idzie poezya słowa, ale ona więcej skokami, węzłami uczucie przedstawia, nie cały sznur jego. Najmniej tu mogą sztuki plastyczne; ich rzeczą schwycić jedną uczucia chwilę i zatrzymać ją na wieki. Szczęśliwie! jeśli za pomocą dodatków konwencyonalne mających znacznie, do chwili głównej dodać zdołają wspomnienie chwili poprzedniej, pomogą odgadnąć następną. Muzyka przedstawia szereg chwil nieprzerwany uczucia ze wszystkimi odcieniami, jakie mu życie nadaje, i dlatego nietyle zdolna do pochycenia faktu. Że jednak fakt każdy jest koniecznym myśli i uczucia wypadkiem i w nie się przedziera: więc muzyka i do przedstawienia faktu użyta być może. A dramat czemże jest w przedstawieniu życia?—zbiorem faktów niby punktów stałych, połączonych z sobą liniami uczucia; te drugie więcej niż pierwsze zajmują miejsce: tamte wytykają im kierunki. Muzyka ustalając punkta główne i łącząc je z sobą, robi wszystko co dramat musi zrobić, by życie przedstawić. Dlatego to z jęj pomocą dramat najlepiej się udaje, dlatego mówiłem poprzednio, że dramat muzyczny pochłania w sobie wszystkie dramatu rodzaje, i utrzymuje, że przyjdzie czas w którym nie będzie innego dramatu jak tylko muzyczny, to jest taki, w którym muzyka główne zajmować będzie miejsce, jak się to w operze dzisiejszej dzieje. Powtarzam, nie jest ona tém, czém być przeznaczona, ale już i dzisiaj jęj ponętom oprzec się niepodobna: Dlatego to nic dziwnego, że zjawienie się śpiewaczki dramatycznej takiej jak pani Lagrange, pierwszej śpiewaczki opery włoskiej w Petersburgu zelektryzowało całą Warszawę, a raczej wszystkich jęj mieszkańców, dramat i muzykę kochających. Raczej dziwném i smutném byłoby, gdyby się stało ina-

czej, bo dowodziłoby małego wazenia sztuki. A u nas tylu jej miłośników ubiegających się za chwytnością nawet mniej świetnych jej darów, że tłum na zwyczajny koncert biegnącego teatru nasz czasem objąć nie zdoła, a cóż dopiero na koncert dramatyczny! Doświadczeni a starowni i lubiący wygodę, mogący ją sobie zrobić, wcześniej zabiegają o miejsca numerowane; ale że takich zbyt wielu, więc koniecznie ci i owi daremnie się kłaniają o bileta wejścia. Widziałem nieraz, jak zamiast odpowiedzi kasjer wrzucił ramionami z wpół litościwą, wpół ze znudzoną miną, i zamiast krzesła, paradyz ofiarował; szczęśliwy niejedyn, że mu się i to przynajmniej dostanie. Chciałbym, żeby to spotykało zawsze budowniczych, toby może pomysleli o jakim ruchomym i elastycznym teatrze, któryby w miarę potrzeby rozszerzał swe gościnne łono na przyjęcie zapamiętałych zwolenników sztuki, goniących za nią jako za pierwszą potrzebą duchowego życia. Niepotrzebaby wtenczas godziną a nawet dwiema przed rozpoczęciem widowiska przychodzić, by znaleźć miejsce jakie takie, bo czekać niezawsze jest przyjemnie. Zawsze to jednak lepiej niż wcale się nie dostać.“

Tak mówił do swego sąsiada jakiś poważny jegomość, łysy trochę i mogący mieć lat mniej więcej pięćdziesiąt; z całej jego miny przebijał się spokój i pewność zdania, półgłosem wypowiedanego, jakby już oddawna wyrobionego. Gdy mówił, marszczyło się jego wysokie czoło, może w skutek pracy mózgu; ale gdy przestał mówić, czoło się znów wyrównywało, a na ustach osiadał dobrodusznosci wyraz. We wszelkich jego ruchach i wyrazach przebijała się uprzejmość pociągająca ku sobie, ale razem jakaś godność trzymająca zdaleka zbyt skłonnych do zażyłości. W jego głosie nie mającym już jedności było tyle jeszcze dźwięku, by wyrzeczone z cicha wyrazy dokładnie sąsiad drugi nawet mógł rozumieć; a jednak nikomu to nie przeszkadzało, bo to był szept raczej tonący w mnóstwie różnych szeptów, gwarnych rozmów, a nawet wykrzykników zewsząd się wyrывających, jak to bywa zwykle na nienumerowanych miejscach teatru, na jaką godzinę przed rozpoczęciem sztuki. Sąsiad tamtego znacznie młodszy, bo podobno trzydziestki jeszcze nie dobiegł, miał także w obliczu właściwą sobie powagę, może nieco bojaźliwości; trochę myśli, trochę smętności, trochę żywości oka czyniły jego fizyonomią spokojną i ruchomą zarazem. Mówił także z cicha i niewiele, zawsze jakby się chciał spierać z drugim o zdanie, a zawsze kończył tak, że to jako zapytanie wyglądać musiało. Zdawało się, że zupełnie inaczej mniema, ale nie chce swęj opinii popierać, jakby sam sobie nie zdał z nięj sprawy, a może przez uszanowanie i oględność na tamtego. Czy się znali z sobą dawniej, czy też dopiero teraz pierwszy raz z sobą mówią?—zgadnąć nie mogłem anim pragnął, bo mnie głównie zainteresowała ich rozmowa, a ra-

częj skłonność do niej w owym starszym jegomości widoczna. Że zaś mówili o sztuce, więc nadstawiałem ciekawie ucha, udając, że nie słucham. Żem jednak dobrze słuchał dowodem to, com już wyżej przytoczył i dalej przytoczę. Nie przyszedłem na sam rozmowy początek i nie mogę zgadnąć, jakim sposobem na tak poważny tor weszła; ale innie uderzyło w mówiącym starszym jegomości jego pojęcie dramatu, które zupełnie podzielam, i ważna podług niego rola, jaką w nim muzyce daje, co mi się trochę przesadzone zdawało. Widocznie (pomyslałem sobie) to jakiś meloman, tém ciekawszy, że rozumuje co rzadkie; że ma własny pogląd, co rzadsze jeszcze między melomanami. Spisując na przedstawieniu i zapamiętał, winienem dodać tylko, że to było na przedstawieniu opery Napój Miłosny, w której po raz już drugi występowała pani Lagrange w roli Adiny.

— Zapewne, że lepiej paradyz niż nic; a nawet tu lepiej niż w łoży, gdy o słuchanie muzyki idzie: takie jest przynajmniej zdanie powszechne, może okolicznościami finansowemi bywających tutaj popierane. Ja tutaj zwykle przychodzę, bo mi inne miejsca są zakosztowne, ale mając nawet na to nie poszedłbym gdzieindziej, gdybym był pewny, że znajdę tutaj tak mile sąsiedztwo i nauczające, jak w osobie panna Dobrodzieja.

— Mile i nauczające? Oh! chciał pan być szerszy, jeśli dosyć pobłażającym być możesz na moje gadulstwo. Znam to do siebie, że gdy o muzykę chodzi, to nieprędkobym ustał. Ale mniemam, że wygodny być mogę dla tych, którzy lubią gawędkę; tutaj ona więcej jakoś jest swobodna i rozmaita niż gdzieindziej. Jest tu jakieś sans façon, które ja bardzo lubię; a co rozmaitości naokoło! Czasem to i dokuczka, ale najczęściej bawi; istna komedya! Przed podniesieniem zasłony, za którą się przygotowuje przedstawienie udanej rzeczywistości, zebrani wcześniej widzowie i słuchacze, sami zamieniają się w aktorów i odgrywają sceny improwizowane z okoliczności chwilowych i dziwnych, w jakich się znajdują. Sceny te nieraz tak prawdą i żywotnością przesiąkłe, że aż żal, iż nie na scenie się dzieją. Ale ja wolę pogadankę. Dawniej bywało, zbieraliśmy się tu w kilku, zasiedli wkółko w jednej i drugiej ławce, a nuż paplać! Oh! panie łaskawy, co się to nawygadywało nieraz! Ja sam naplotłem banialuków co nie miara, bom już urodzony gaduła. Ale to uważałem i uważam, że taka gawędka bez planu obejmuje zwykle mnóstwo szczegółów sztuki dotyczących, szczególnie dramatycznej i muzyki. A jak zmienne obrazy w kalejdoskopie zawsze z tych samych powstają szkielek; tak i gawędka taka na tych samych osnuwana zawsze szczegółach, rozmaitacie się wywija. Uważałem jeszcze i to, że w natłoku ró-

źnorodnych zdań, życzeń, widac w ogóle niezmiernie wyrobiony sąd o tém, co się sztuki dotyczy; a choć on się bez systematu, ucinkowo nieraz objawia, daleko więcej nieraz spotkać można w nim treści, niż w ukwiecionych sprawozdaniach gazet, Bóg wie pod jakim wpływem napisanych!

— A czytał pan Dobrodziej, co o pani Lagrange było?

— Oh! czytałem; ja czytam wszystko, co się u nas o muzyce pisze: nie dlatego, bym pragnął utworzyć sobie zdanie ze zdań cudzych, ale dla zrozumienia, jak też postępują nasi sprawozdawcy muzyczni za sztuką. I widzę, że od lat dwudziestu dla każdej śpiewaczki mają ten sam werek z imionami słynnych poprzedniczek, a którego po kilka wydobywają, a czasem wszystkie, i to samo wieczne choć poetyczne porównanie ze słowikiem. A tu każda śpiewaczka znakomita ma coś w sobie szczególnego i odrębnego, co trzebaby określić głęboko i szeroko, gdy chodzi o zastosowanie do dramatu muzycznego, o którym już pan wiesz moje zdanie. Co zaś do porównania ze słowikiem, mam je za kapitalne głupstwo; przepraszam za wyrażenie! Bo słowik, panie łaskawy, innemi tonami śpiewa niż człowiek: śpiewa instynktem natury podżegnięty i w pewnej porze roku; słowik jeśli ma uczucie to je zawsze jedno i to samo w śpiewie swoim oddaje, śpiewie ponętym, to prawda, ale i monotonnym. Ale co tam dalej to rozmazywać: lepiej się uśmieć!

— Ztémwszystkiem gazety nasze mówią o pani Lagrange jako o cudzie jakim, i myślę, że nie bez powodu. Czy pan Dobrodziej już ją słyszał?

— Nie jeszcze; podobno i pan tak samo: no, to ją posłyszemy dzisiaj. Oby nam się cudem wydała, czyli co na jedno prawie wyjdzie, wielką śpiewaczką dramatyczną. Tyle potrzeba warunków by nią była, tyle wymagań dramatycznych i muzycznych musi zaspokoić, by ją uznano! Ci naprzykład chcą głosu świeżego, a głos taki długo trwać nie może; instrumentacya też zwykle dzisiaj przepelniona każe śpiewającym robić wysilenia, a więc głos zużywa. Ci chcą głosu mocnego, by nad rozpasaną orkiestrą i wrzeszczącemi chórami panował, a tu Pan Bóg takiej siły odmówił; choć to podług mnie nie jest koniecznym warunkiem, bo siłę względnie pojmować i używać jęj można. Inni pragną głosu wyrobionego do najwyższego stopnia, a na to trzeba rzadkiego daru natury i rzadszej jeszcze wytrwałości w pracy. Ja kwituję ze wszystkiego prawie, byłem w tym głosie znalazł dramatyczność różnostronną, to jest zdolność przedstawienia samym już głosem różnej natury uczuć. Różnice tu powinny być wydatne; ale żeby je głos umiał pochwycić, potrzebuje kształcenia się w charakterystyce. Jest to głównie pojęcie, które się w gło-

sie uwydatnia; niemniej jednak potrzeba do tego studyów wokalnych, wielkiej szkoły, szerokiej metody w kształceniu śpiewaczki, do której jakoś ludzie nie mają cierpliwości. A może nie widzą potrzeby długimi ofiarami dobić się wszechstronności i rzetelnej wielkości. Niegdyś narzędzia muzyczne kształciły się na wzór głosu ludzkiego; dziś głos ludzki raczej instrumentalnie niż wokalnie się kształci, a dla sztuki dramatycznej nie jest to wszystko jedno. Wszystkie te mniej więcej mozolnie nabyte sztuczności, któremi śpiewacy rozpychają pomysł kompozytora, któremi sam kompozytor względny czasem na śpiewaka pomysły swoje nadziewa, rzadko niezmiernie dają się zastosować z prawdą do sytuacji dramatycznej, a nadużycie ich jest jednym z powodów, dlaczego opera nie jest jeszcze tём, czёмby być mogła. Instrumentalizacja głosu rzadko czemu przepuści, do wszystkiego się przyczepia a że sobie wyrobiła pewne formułki i stale się ich trzyma: więc niestosowną jest przynajmniej pięć razy na dziesięć. Zważmy teraz, że indywidualność śpiewaczki, natura jój głosu, jego wyrobienie, znów z między nielicznych formułek niektóre tylko sobie obiera i te stosuje wszędzie, a zrozumiemy ile tam będzie prawdy; zapewne nie więcej jak dwa razy na dziesięć. Tymczasem są inne środki i prostsze, mojem zdaniem, dramatyzowania śpiewu, udratyzowaniem głosu; to jest rzeczą śpiewaka, a reszta zadaniem że kompozytora. Przypuszczam nawet, co się też i zdarza dosyć często, że kompozytor użył pewnego tonu i zawsze tego samego na skali głosu do oddania różnych uczuć, że mu nadał te samą długość w czasie, że go w tym samym umieścił akkordzie, tym samym rytmem go otoczył, tę samą mu dał przygrywkę: słowem, jednej i tej samej muzyce rozkazał różne przedstawiać uczucia; to rzeczą jest śpiewaka dramatycznego zrobić ją różną za pomocą tylko głosu bez najmniejszej w samym pomysle zmiany. Niech go i deklamacya podeprze, gdy są wyrazy, tём lepiej! Ale już sam głos powinien mnie oświecić, czy miłość, czy nienawiść, czy radość, czy boleść przemawia. W tём ja p. Dobr. widzę ideał śpiewaka dramatycznego, najpiękniejszą i najpotężniejszą jego stronę, największą też dla niego trudność. Więc taki głos winien mieć prócz piękności, rozległości, siły, równości, inny jeszcze przymiot, któryby nazwać można wrażliwością na pojęcia, lekkością, sprężystością, giętkością, i coby się tam jeszcze wymysleć dało z fizycznych głosu przymiotów. Każdy z nich do wartości drugich się przykłada, a wszystkie stawiają śpiewającego w możności uczynienia zadosyć różnym dramatu potrzebom, byle tylko miał wprawę, a choćby i instynkt zastosowania. Więc że taki głos winien mieć najwyższe wyrobienie mechaniczne na jakie się człowiek zdobyć może, nie ulega wątpliwości; ono to bowiem daje śpiewakowi moc nad głosem, łatwe nim władanie; ale na tём koniec

być powinien w dramacie prawie zawsze. Miłoto wprawdzie posłuchać, gdy śpiewak w troskliwie obmyślaném miejscu poskacze lub popłynie lotną ruladą, słowiczy, jak go nazywają tryl zadzwoni, uwikła słuch zgromadzonych w siatkę z wywijających się w arabeski tonów, zadziwi niesłychaną rozległością skali, jednym susem dwa jęj krańce połączy i t. d.; ale przyznasz pan Dobr., że to na każdym prawie instrumencie lepiej, pewniej, dosadniej się zrobi, a nie będzie znać pracy i wysilenia, choćby się ono tylko rzucaniem głowy wydało, bo to najczęściej prawdzie akcyi zaszkodzi, albo bynajmniej niewdzięcznym, bezmiernym ust rozwarciem. Uniknie się téż i fałszywych tonów, których w śpiewie wyforsowanym uniknąć niepodobna. A jeśli takich brzydot znoszeniem opłacać trzeba marną przyjemność posłyszania wykwintności, jeśli użycie jęj tak ma narażać śpiewaka, to dziękuje: wolę już instrument, choć on nigdy nie sprostą głowski ludzkiemu w jego czułości i życiu mienionem.

— A dlaczegoż publiczność tak suto przyjmuje to, co pan Dobr. wykwintnością, sztucznością nazywa? Pewnie to nie bez kozery?

— Oh! kozer tu pełno: naprzód publiczność uznaje zasługę pracowitości, uznaje może rzadkość talentu. Przypomnij pan sobie, jak szalano za Hermanem, co to łykał igły i noże, czy tam coś podobnego dokazywał. Uwielbiano, bo tego nikt nie umiał i nie rozumiał; ale nacóż się to zdało? Dalej, publiczność sama proteguje sztuczność, nią tylko żyje; gdzież szukać na świecie prostoty, naturalności? Może to jest koniecznym wypadkiem względów towarzyskich, ale pewnie nie potrzebą natury ludzkiej. Tłum zawsze od prostoty ucieka, bo jęj nie rozumie, bo mało jest ludzi z myślą i sercem w porównaniu do liczby tak zwanych ludzi praktycznych, którzy się ubiegają za wykwintem w ubraniu, mieszkaniu, pożywieniu, stąpaniu, patrzeniu nawet. Toć takie ciągle wysilenie w naturę już im przejść musi; nadzwyczajność jest ich hasłem, a jeśli ją jeszcze gazety lub gębacz jacy poprą, upoetyzują, to cóż się i dziwić, że się podoba. Cóż dopiero, gdyby coś podobnego naprawdę się zdarzyło, co mówią o śpiewie pani Lagrange? taki rarytas jeszcze więcej pociąga. Ale co za najważniejszy powód przyklaskiwania sztucznościom uważam, co je nawet usprawiedliwia, to instynktowe przekonanie publiczności, że tam, gdzie tyle mechanicznego wyrobienia w śpiewie się znajduje, znajdują się tém samém wszelkie warunki śpiewu istotnie wielkiego; bo prawie wszystko co jeden stanowi rodzaj, drugiemu jest także konieczne. W tém różnica, że tam go się używa jako cel, a tu jako środek; tam widna przyczyna, tu skutek. Cel i środek, przyczyna i skutek tak są z sobą związane, tak nieraz podobne do siebie, że się łatwo omylić i wziąć jedno za drugie.

— Widząc tak jasno, pan Dobr. musi mieć chwile niepospolitej rozkoszy, bo wiedzieć, jestto używać.

— Jabym raczej powiedział, że zapomnieć trzeba, by użyć. Postawiłem mój ideał tak wysoko, że go rzadko bardzo widzę w czyn się zamieniający. To też abym nie był głodzien wrażeń biorę to, co dostać mogę, i rozkoszuję się razem z innymi, na chwilkę przynajmniej, bo zaraz mi staje na myśli: coby to było, gdyby!.... Jeśli mi się zdarzy, że to gdyby do głowy mi nie przyjdzie, to wówczas czuję rozkosz jak mało kto zapewne; wtenczas dla mnie jest prawdą, że wiedzieć jest to używać. Naturalnie takie chwile rzadkie są dla innie, i szczerze nieraz zazdroścę tłumowi, który się dla niczego zapala. Przeczuwam, że i dzisiaj będę miał tego przykłady; ale też i dla siebie coś spodziewam się znaleźć. Gazetom wprawdzie nawpół tylko wierzę, bom już nieraz dostrzegł, że mają jakies pół-słowa, pół-wyrażenia, pół-znajomości rzeczy; że lubią mówić pół-prawdy, do czego też i powody mieć muszą; to jednak widzę, że gdyby i teraz połowa tylko z tego co mówią o pani Lag. prawdą było, jużbym się tak wysoko nadaremnie nie drapał; przeczuwam, że posłyszę znakomitą śpiewaczkę dramatyczną. A nie? to mi zostaje uwertura Müncheimera, kompozycyja rodaka, a ja na to jestem bardzo łakomy. Kompozytorów własnych mamy tak mało, choćbym i najlichszych nie przepomniał, że każdy nowy domowy talent w tym rodzaju powinniśmy zachęcać współczuciem przynajmniej, kiedy inaczej nie możemy, a jeśli się godzi, to i uznaniem wesprzeć: to drugi powód, który mnie tu dziś koniecznie sprowadził. Pani Lag. pewnie nieraz jeszcze wystąpi, a na uwerturę Müncheimera może długo czekać przyjdzie. Słyszałemci ją już raz wykonaną w domu prywatnym, ale środkami niekorzystnymi dla kompozycyi na wielką orkiestrę ułożonej: więc mam dopiero pół zdania; dzisiaj je sobie dopełnię.

— Czyż dlatego, że cała orkiestra grać będzie, uwertura lepszą się stanie? Ja myślę, że to tylko głośniej będzie, a pan Dobr. sam mówiłeś niedawno, że siła to rzecz względna. Mnie się to samo zdaje. Pamiętam, słyszałem dawniej nieraz panią Poźniakowską grającą uwertury z Wolnego strzelca i z Wilhelma Tell; to panie Dobr. tak doskonale wyglądało, że się ani pomyślało o orkiestrze.

— To sprawiło dzielne wykonanie pani Poźniakowskiej, bo to fortepianistka pierwszego rzędu u nas. Ma potężny mechanizm, rycerski rzekłbym, który rośnie niejako razem z trudnościami; a przytém ma dziwną energią, rzadką między kobietami grającymi na fortepianie, głębokość poglądu raczej niż czułość; ogół raczej widzi niż szczegóły, albo i szczegóły ale te tylko, które przeważnie cechują całość swym charakterem. Ztąd wykonanie jój zawsze jest pełne znaczenia i jedności, zanadto ściśle

niekiedy pilnowanej, a raczej pilnującej się, ale nigdy zato nie ma tam czezości. Talent pani P. tej jest natury, że mu lepiej przystożą szalone kompozycje Liszta, niż eleganckie Thalberga; namiętne raczej niż wdzięczne, burzliwe raczej niż pogodne. Gdyby jej talent miał więcej tkliwości, tobym ją chciał słyszeć grającą Szopena Balladę lub Sonatę; ale w niej raczej marzenie, gorączkowość: więc Beethoven lepiejby się wydał szczególnie tam, gdzie jak lunatyk po przepaściach się błaka. W uwerturach które grała pani P. massowość orkiestrowa doskonale się wydała; ale ja wołałem słuhać Webera dzikich wyrażen, niż tumultu Rossiniego. Marsz w jego uwerturze całkiem mi się niestosowny zdaje do reszty, daleko bogatszej w odrębny charakter; taki marsz dobry dla wojska na paradzie, ale nie dla zapalczywych, rozpacznych górali. A jednak tym marszem artystka porywała słuchaczów, bo wlała weń swoją energią, stopniowała go jakąś niewową siłą ciągle wzrastającą, i z tryumfem wejść uniała w tumult, który po nim następuje. Ale w Weberze panie Dobrodzieju duch kompozycyi daleko przeważniej wychodził z pod palców pani P.; z przerażającą prawdą oddane bywały szatańskie sztuki i dzika strzelca ochota, groźba psująca pieszczotę, wrzenie odętu. A jednak mimo takiego wykonania tém więcej pragnąłem orkiestry, może dlatego, że mi się jej nasłuchał tyle razy w tej uwerturze i czułem, że mi brak dzikich jej głosów, ostrych jej kolorów. Jakkolwiek obmyślane było aranżowanie Liszta i Henselta, nigdy orkiestry nie zastąpi w zupełności; a to nietylko co do szczegółów o których dopiero mówiłem, ale i co do życia wewnętrznego. Kto zna się na partyturze, to dostrzeże w niej mnóstwo szczegółów na które fortepian nie ma miejsca, a grającemu zamało dziesięciu palców. Zręczny na fortepian przekład polega na upodobnieniu ważniejszych rzeczy, na wyborze niektórych, skoro wszystkich niepodobna zamieścić; a to już jest sztukowanie, coś podobnego do tłumaczeń z obcych języków, w których wyrażenia oryginału przepaść muszą. Wprawdzie znający rzecz swoją tłumacz zastąpi je innemi właściwemi swemu językowi, ale nigdy prawie nie znajdzie malujących rzecz tak samo, bo każdy naród złożył w swym języku swe cechy sobie tylko właściwe. Kto nie zna oryginału albo go nie pojmuje jak należy, temu tłumaczenie wystarczy, nawet lepsze jak oryginał zdawać się może. Z przekładem na fortepian z orkiestry rzecz się ma inaczej: tam nigdy lepiej być nie może, bo zawsze musi być to samo, ale błędziej.

— Dziwne rzeczy mi pan Dobr. mówi! Toć słyszałem tyle razy ludzi fachowych mówiących, że fortepian to orkiestra?

— Tak! orkiestra, w której brak połowy instrumentów i tego wszystkiego, co one robią. Porównać go można z mapą na małą skalę; granice państw zdają się tam iść jak linia, a je-

dnak pełno tam powinno być wycięć, zakrętów; ale cóż? miejsca na nie nie było, nie było miejsca na mnóstwo miast, rzek, gór, jezior i t. d. nie znać gdzie kanał, droga bita lub żelazna: słowem, kraju szkielet tylko widoczny, ale nie jego istotne znamiona, nie jego cywilizacya. Kto lepiej nie zna, ten kontent i z tego co widzi, bo się więcej nie domyśla; ale kto zna dokładnie jak być powinno, to z tego co jest ledwie sobie przypomni resztę. Żeby pana przekonać, że fortepian i orkiestra niezupełnie jest jedno, to pana poproszę, byś patrząc tu na mnie i widząc nawet nieco z tego co się z boku dzieje, powiedział mi, co tam jest za panem i wokoło pana. Wszak to niepodobna! otóż i fortepianowi niepodobna oddać orkiestry chyba wtenczas, gdy nie ma w niej życia jakie mieć powinna. Dlatego téżto utwory większe instrumentalno-orkiestrowe lepiej wyglądają na cztery ręce fortepianowi oddane; a i to mało jeszcze: więc kilka fortepianów używają nieraz, co znowu wkrótce przesytem jednotonności przy takiej massie dźwięku obarcza słuchaczy. Lepiej już wygląda przeobrażenie na kwartet lub kwintet narzędzi smyczkowych, bo one są rdzeniem orkiestry; a jeśli się doda jeszcze fortepian, to pół biędzy. W takimto półorkiestrowym składzie słyszałem uwerturę Müncheimera, ale przecież dzisiaj będzie to daleko lepiej. Ale ja tu rozprawiam,— rzekł wstając i kierując lorynetkę ku orkiestrze— a tu widzę zacząć niedługo; trzeba dobrze uważać, bo się zacznie pianissimo, jeśli dobrze pamiętam.

— To większa część słuchaczy straci początek uwertury nim się spostrzeżę.

— Czy pan myślisz, że będą wszyscy słuchać? że ich to co obchodzi? Toć z góry wiedzą że słuchać niewarto! Biedni kompozytorowie! Słuchajmyż my przynajmniej jeśli nam inni pozwolą!

I od pierwszego poruszenia dyrektora battutą usiadł ów starszy jegomość, zasłonił sobie oczy dłonią, łokieć na kolanach wsparłszy; alem dostrzegł z boku, że je przymknął jakby się do snu zabierał i tak nieruchomy został aż do końca uwertury. Ale po ostatnim akkordzie, jakby się nagle zbudził, dłonią w dłoń uderzył kilka razy jeden z pierwszych i niewielu, którzy uważali za stosowne tą oznaką współczucia dla rodaka kompozytora pokryć milczenie większości. Drugi, który z nim przed uwerturą rozmawiał, idąc za jego przykładem jał przyklaskiwać także; ale się spóźnił nieco, to téż zaraz prawie sam pozostał. Zawstydzony swoim solo, spojrzął na zegarek i rzekł:— „No! to teraz przecie posłyszemy panią Lagrange.” Że jednak zasłona nie podnosiła się jeszcze i ktoś tam w orkiestrze dostrajał swoje skrzypce, więc po chwili milczenia zagadnął znów swego towarzysza:— Jakże się panu Dobr. zdaje teraz ta uwertura? Chłodno ja jakos przyjęto!

— Nie wiem czy będziemy mieli czas do rozmowy, bo się pewnie opera niebawem zacznie, a kilkoma wyrazami zbywałbym nie chciał. Musiałeś też pan słyseć tych dwóch panów siedzących przed nami, bo dosyć głośno rozprawiali podczas samej uwertury. Nie wiem który, ale mówił, że to bez melodyi, że harmonii nie ma; a drugi, jak z odmiennego głosu wnosiłem, bom nie patrzył, porównywał ją z uwerturą Dobrzyńskiego z Filibustierów i mówił, że w uwerturze Münchejmera nie ma instrumentacyi.

— Ja panie Dobr. nie wiem czy rozumiem dobrze te wyrażenia techniczne, ale zdaje mi się, że gdyby nie było melodyi, harmonii i instrumentacyi, toby i uwertury nie było.

— Masz pan słuszność; to też z dwojga jedno (dodał ciszej i pochylając się ku sąsiadowi): albo ci panowie także nie rozumieją znaczenia wyrażen których użyli, co się nietylko potocznie gawędzącym zdarza; albo istotnie je rozumieją, ale ich nieogłędnie, może dla krótkości użyli. W tym drugim przypadku znaczyłoby to, że tam melodia nienowa albo jej zamało, że harmonia niesilna, niedosyć urozmaicona, instrumentacya nieswieża i ogolocona z nowych efektów. Jeśli tak, to prawiebym się zgodził z temi panami, lubo mego zdania do każdej chwili tej uwertury stosowaćbym nie rad z całą surowością, jaka z niego może wyglądać. Trzebaby tu mieć partyturę pod ręką, by wskazać miejsca słabsze i powiedzieć, dlaczego są takimi, bo niepodobna od pierwszego razu i od drugiego nawet więcej spamiętać niż ogólne wrażenie i kawałek melodyi, a tego na dowodzenie zamało. To jednak uważałem, że w tej uwerturze jest myśl jedna od początku do końca, ale niedosyć urozmaicona w rozwinięciu, lubo imitacyj nie brakuje. Myśl druga dla ucieleniania pierwszój wprowadzona, niezmierniej już jest zużyta i właśnie w uwerturach. Rozwinięcie też szczupłe: brak mu świetności i w ogóle całej kompozycyi brak wynalazku, lubo nie godzi się jeszcze odmawiać go autorowi. To też mówię to tak sobie, poufnie; gdybym miał dać zdanie moje publicznie, tobym raczej szukał przymiotów, za które możnaby śmiało autora pochwalić. Sama już praca, chęć zrobienia czegoś większego niż polka lub kontredans, a choćby i piosneczka, zasługują na uznanie; cóż dopiero, gdy się pomyśli że tam widać i żdźbło nauki kielkujące i pilnowanie się zadania bez gonienia za popisem, bez smażenia się nad efektem, to się zrozumie, że tam jest sumiennosc, która przy ciągłej pracy daleko zajść może. Żal mi tylko jednej rzeczy, że pomysły blade nieco w tej uwerturze. Niewiadomo wprawdzie o ile one stosownie tłumaczą widzenie lub usposobienie autora przy pracy, i nie można nikomu robić zarzutu z tego, że się poprostu i naturalnie wyraża. Ale ja panie Dobr. pragnę, a raczej szukam w każdym nowym kompozy-

torze czegoś nowego, właściwego jemu tylko, pomysłów odrębnych jak i indywidualność człowieka. Dlatego jak spotykam rzeczy znane już oddawna, to sobie je tłumaczę albo naśladowaniem, a więc brakiem siły osobistej, albo trudnościami walki z techniką, co znaczy niedostateczne jeszcze wyrobienie. Już się to jednak niejednemu kompozytorowi zdarzyło, że mu te same robiono zarzuty z powodu pierwszych prac jego, a potem znalazła się i oryginalność i mistrzostwo techniczne. Kompozycya prawdziwa, panie Dobr. to rzecz trudniejsza niż mniema wielu; by nie mówić już o talencie wrodzonym, którego nabyć nie można tylko wykształcić; tak, że gdy młody człowiek zapragnie czémprędziej sił swoich spróbować, może i party głosem wewnętrznym, któremu oporu stawiać nie powinien, to mu wiele rzeczy stanie jak kolce jeża. Wówczas natchnienie i zapal odbiegają pracownika, i zostawia go z niewyrobioną wprawą, z biedzącą się myślą. A tu zamiast otuchy spotka go milczenie lekceważące, albo wymówka bez sensu, że tam nie ma melodyi, harmonii ani instrumentacyi. Bo nie myśl pan, by ta opinia spadła tylko z języka tych panów co tu siedzą (wskazał na pierwszą ławkę); ręczę panu, że wszyscy którzy tę uwerturę przyjęli obojętnie, to samo myślą i będą rozgadywać. To powszechna sądu formuła; znacząca ona w ustach znawcy.....

— Takiego jak pan Dobrodziej!—wtrącił drugi.

— Komplement niezasłużony! To także krytyka w swoim rodzaju (odrzekł tamten z lekką niechęcią). Gdybym był mniej prawdomówny, tobym powinien panu takim samym odplacić, bo każdy z nas równy znawca dla siebie.

— Ale nie każdy znawcą jest dla innych; to pan Dobrodziej przyznać musisz, choćbyś szczerze moje wyrazy co do siebie, koniecznie za komplement chciał uważać. Ja naprzykład z mojem znawstwem nic powiedzieć nie umiem, coby pana zainteresować mogło, a słucham obu uszami, dziwiąc się pańskiej dla nieznanego względności.

— Nie mów pan całkiem nieznanego; widuję pana czasem na wieczorach muzycznych, choć sam rzadko na nich bywam. Co zaś do mojej względności, nazwij ją pan gadulstwem. Ah tak! (dodał udobruchany), to już moja passya, albo słuchać muzyki, albo o niej rozprawiać, kiedy jest z kim. Spostrzegam się czasem, ale i zapominam niebawem. I to panie Dobr., coraz gorzej ze mną, szczególniej od lat dziesięciu jak mi los pozwolił nie myśleć o utrzymaniu się z pracy. Co to dalej będzie! Ludzie mnie będą unikać—dodał już do siebie i zaszepiony.

Niespodziewany ten zwrot rozmowy bardzo był nie na rękę dla nas obudwu, cośmy słuchali owego jegomości. Sąsiad jego wyraźnie sobie przypisywał rozdrażnienie w jakie wpadł tamten,

to też chciał się wytłumaczyć.—Przepraszam pana jeśli był powodem.....

— Dopiero pan będziesz powodem, że nie posłyszysz introdukcji!—i schwycił przepraszającego zarękę jakby chciał go także przeprosić za swój zły humor, a może i zniewolić do milczenia. Orkiestra zaczęła swoje, a niebawem dyrektor pociągnął za dzwonek, zasłona się podniosła, a z nią i my wszyscy z miejsc naszych jakbyśmy z maszyneryą związani byli. Wszyscy zwrócili się ku scenie, sygnęli oklaskami, i tacy podobno, którzy jeszcze nie wiedzieli sami przez się co o śpiewacze mniemać. Ja tak się zapatrzyłem i zasluchałem, że zupełnie zapomniałem o znawcy i jego towarzyszu; mimowoli tylko dostrzegłem, że ten pierwszy wstawał i siadał od czasu do czasu, a drugi ciągle stojący zwracał tylko do niego głowę niekiedy, kiwając nią znacząco i tsykając: wyraźnie był zachwycony.

To też ledwie się akt skończył, zwrócił się natychmiast do swego sąsiada i zawołał:—Przyznam się panu Dobr., że m takiej śpiewaczki jeszcze nie słyszał.

— Mnie się zdaje,—odrzekł drugi,—że już słyszałem podobną.

— Jakto zdaje się? Mniemam, że pan Dobr. pewny siebie być musisz; pewnie za granicą, któż to taki?

— Polka, panie łaskawy, polka! Dziwna rzecz, jak u nas mało osób ma wiarę w zdolności domowe; jak tylko o czémś znakomitszem mowa, to zaraz przyznają to zagranicy. Ja panie Dobr. mam słabość zupełnie przeciwną; zagranicznemu szukam podobnego u nas i najczęściej znajduję. Choć za granicą byłem, ale nie patrzył na rzeczy i ludzi przez szkło powiększające i nie myślę, by podróż mogła co wpłynąć na moje zdanie o śpiewacze lub śpiewaku, by sąd mój wykształciła. Przecież co najznakomitszego jest w tym rodzaju u innych, przybywa także i do nas. Wprawdzie najczęściej resztki jakies się nam dostają, ale to tylko resztki głosu; sztuka zawsze ta sama, a może i większą bywa wtenczas, gdy ma pokryć szczyrby głosu. Czém jest głos i może być, nauczyć się możemy przez porównanie głosów, których przecie i u nas nie brakuje; porównaniem także nabieramy pojęcia czém jest i może być sztuka, rozumowaniem i uczuciem zgadujemy czém być powinna, a przykład jaki znakomity, przeczucia nasze potwierdza niekiedy. Jeśli się jeszcze wie czego w kompozycyi, czego w śpiewie szukać należy, to się i bez zagranicy obejdzie. Śpiewaczkę podobną talentem do pani Lagrange słyszałem u nas, a byłato rodaczka nasza, amatorka, jedna z ozdób dawniejszych poranków muzycznych resursy, jedném słowem panna S..... Jój głos był równie lekki w skokach i stakkatach, tryle robiła lepiej, ale w biegnikach mniej miała lotności, skalę mniej rozległą. Głos też jój był cieńszy, niby ostrzejszy, lubo bardzo wygładzony. Wykonanie mimo chłodu

tyłe miało elegancyi i wykończenia, że nie można wybaczyć ludziom czy okolicznościom tego, że tak piękny talent w ukryciu zagrzebały.

— Ja nie słyszałem wprawdzie tej śpiewaczki, ale z wyrazów pana Dobr. wnoszę, że mamy czego żałować; tém bardziej, że to podobno jedyny przykład tak wysokiej u nas muzykalności.

— Przepraszam pana, że się nie zgadzam na to. Zdolność znakomitą w wykonaniu, a nawet w kompozycyi należy odróżnić od muzykalności, która znaczy niejako rozum sztuki, gdy tamte raczej na natchnienie wskazują. I znowu gdybym przyjął wyraz muzykalność w znaczeniu jakie mu pan nadajesz, to mógłbym się powołać na mnóstwo naszych rodaków między nami, a więcej za granicą żyjących, którzy sławę zyskaną lub zyskiwaną codziennie i na nas przelewają. Kątscy, Wieniawscy, Herman, że już ani dawniejszych, ani młodszych, ani znakomitszych, ani mniej nieco głośnych nie wspomnę, są już dowodem zdolności naszej do muzyki, alias muzykalności.

— Ach! co do muzykalności tak szeroko rozumianej, tom nigdy nie wątpił, by nam Pan Bóg odmówił usposobienia do niej. Ale ja mówiąc dawniej, że panna S..... jednym podobno u nas wysokiej muzykalności była przykładem, rozumiałem tylko sztukę śpiewania, a na to podobno i pan Dobr. się zgodzisz.

— Bynajmniej! Nie tak częste wprawdzie u nas osoby dobrze śpiewające, jak się to mówi, ale bywają. I czemużby nie? Do śpiewania potrzeba obok ogólnej do muzyki zdolności, której tu więc roztrząsać nie będę, dwóch rzeczy; głosu i nauki. Co do pierwszego choćbyśmy i przyznali, że Włochy w całej Europie są ojczyzną najpiękniejszych głosów, to przecie i w Niemczech się one znajdują, a czemużby u nas także znaleźć się nie mogły. Albożto raz przechodząc ulicą wieczorem szczególniej letnią porą, słyszeć można cudne śpiewy na przygrywce fortepianu płynące, że aż człowiek mimowolnie stanie i zlorzeczy turkotowi miejskiemu, że mu psuje rozkosz? Alboż na naszych wieczorach muzykalnych w domach prywatnych, w każdej prawie ile tyle muzykalnej rodzinie nie spotykają się głosy godne posłyszenia na scenie, a nieraz nawet godniejsze tego od tych, które tam się znajdują, choćby i z Włoch pochodziły?

Widząc, że sąsiad mu potakuje, tak dalej mówił: — No! więc o tém nie ma co więcej się rozszerzać; pomówmy o sztuce śpiewania, a raczej o nauce. Głos, choć mówić krtań jest tak dobrze narzędziem muzycznym do pewnego stopnia, jak każde inne; żeby go nauczyć się wprawnie używać, trzeba go poddać ćwiczeniom właściwym i jego naturze i przyszłym celom. Cele mogą być widoczne i powszechnie uznane, w jednym celu się zlewając wymagającym jak największego i wszechstronnego wykształcenia, o którego potrzebie już dawniej panu mówiłem, ale środki

czyli ćwiczenia dla głosu muszą być różne, jak różne są głosy. Trzeba bowiem wiedzieć, że jak nie ma dwóch liści na jednym drzewie zupełnie sobie podobnych, tak nie ma dwóch głosów całkiem jednakowych. Że zaś nigdy prawie się nie zdarza głos zupełnie ukształcony przez naturę, tak, by do różnorodnych celów muzycznych był gotów, i dopiero go kształcić trzeba, by go sprowadzić do tego samego stopnia, do tych samych wypadków, jak i głosy inne: więc każdy głos inaczej kształcić potrzeba, ot tak np. jak każdą niemal rękę mającą grać na fortepianie, każdą niemal mającą smyczkiem wodzić po skrzypcach. W tym tylko różnica i tym większej oględności konieczność, że kształcenie głosu jest nie tylko urobieniem mechanicznem pewnych części ciała, ale nadto i wychowywaniem i narzędzia samego, jak to już wspominałem. Tak na przykład sopran, najpospolitsze z głosów kobiecych, w rozległej skali do której zwykle z łatwością dochodzą, najmniej mają tonów piersiowych i to bardzo lichy; albo jeśli je mają jakie-takie (co się raczej mezzo-sopranom zdarza), to niezmiernie różne od tonów falsetu. Nauka powinna nie tylko doprowadzić do swobodnego na wszelki sposób używania każdego z pojedynczych tonów, ale nadto do zatarcia różnicy dwóch owych tak zwanych rejestrow tam właśnie, gdzie ona jest najwydatniejsza, w ich tonach granicznych. Tę graniczną nie w każdym sopranowym głosie są te same i tej samej natury; chciej sobie to pan Dobr. zanotować w pamięci. Dalej głos sopranowy każdy ma jedną część skali gładszą, świetniejszą, mocniejszą niż druga; trzeba je wyrównać także i zbadać, odkąd dokąd takie lub inne postępowanie zastosować należy. I tu nic stałego nie ma, a mnóstwo różnic, bo nieraz między dwoma tonami gładkimi jeden się znajdzie trzeszczący, jakby kto piaskiem po szybie szorował. Dalej, każdy głos sopranowy ma pewne tony fałszywe, a to tak fałszywe, że bez wielkiej pilności nigdy czystymi się nie staną. Cóż pan powiesz? oto nie każdy taki ton fałszywy do czystości dochodzi temi samymi środkami, bo tu nie tylko wada jakaś, a raczej odmiennosc w organizacji krtani się tafia, ale słuch poniekąd właśnie dla tego jednego tonu fałszywy, a tak oporny, że mu trzeba wynajdywać różne dyscyplinarne środki. Tyle co do wykształcenia instrumentu. A biegłość w jego używaniu, i to nie tylko biegłość mechaniczna do której także usposobienie nie w każdym indywiduum jednakowe i jednostajne! Są wprawdzie szczęśliwe pod tym względem istoty, do których i panią Lagrange i naszą dawniej wspomnianą amatorkę liczyć trzeba; mają już z natury pewną łatwość, pewną giętkość głosu, które nauka tylko rozwinąć potrzebuje. Czasem, natura zrobiła prawie wszystko. Może pan sobie przypominasz, (bo to ledwie cztery lata będzie temu, i gadano o tem wiele), zjawiła się tu w Warszawie jedenaastoletnia izraelit-

ka, wykonywająca z niesłychaną łatwością najtrudniejsze pasaż instrumentalne i to czysto, wyraźnie, i natychmiast po przegraniu jej wyszukanych, wydziwaczonych trudności. To było tak cudowne i tak niezmierne, że się wielką sztukę pani Lagrange dziwić prawie niepodobna. Ale to wyjątki, wybryk natury; dziecinstwem byłoby koniecznie starać się im sprostać, większym jeszcze, uważać tę stronę śpiewu za najważniejszą. Ale pracować trzeba i stosownie do różnej natury głosu różnie go prowadzić. Cóż mam panu Dobr. mówić o stronie estetycznej, najgodniejszej człowieka, jedyną jaką skutecznie może do ludzi przemawiać? Ale ona także polega na mnogich szczegółach, których elementarne wyrobienie nauka na siebie wziąć musi, by utorować drogę uczuciu gdy śpiewaka odwiedzić raczy, by mu wspomnienie uczucia naśladować ułatwiła, gdy ono przyjść nie chce. A do czegoż ja to wszystko prowadzę?—oto, żeby pana przekonać, że nauka śpiewu bardzo jest mozolna i potrzebuje nauczycieli jakich u nas nie mamy. Bo nie myśl pan, że skoro tyle osób śpiewa, więc i nauczycieli dostatek być musi. Nauczyciel śpiewu, choć mi pan wierzyć, musi być arcymuzykalnym człowiekiem, to jedno; musi być i śpiewakiem, to drugie. Gdzie pan u nas znajdziesz to oboje? Prócz Teichmana dzisiejszego nauczyciela w Instytucie Aleksandryjskim wychowania panien, zaledwiebym śmiał jeszcze jednego u nas wymienić nauczyciela śpiewu, gdyby mnie gwałtem nacisnęto, i pewnie nie żadnego z tych ptaków wędrownych, które u nas szczebioczą, każąc sobie płacić nieraz po sześć rubli czy podobno i więcej za godzinę. O! znam ich! a uśmiełem się nieraz z ich lekcyj: albo się drą jak opętani trąbiąc w ucho uczniowi swoje fa i la, albo jednym palcem wykuwają z rozstrojonego fortepianu wzór do naśladowania, albo fałszywie brzmiącemi skrzypcami jak liną, wloką głos nieszczęśliwy. Wiedzą, że solfedzia i solmizacye śpiewać uczeń powinien, a raczej nie wiedzą lecz wierzą; ale coż mogą sprawić solfedzia i solmizacye zbyte jako tako? co pomoże arya wykwiłtna na drugiej lub trzeciej, mówię raz jeszcze, na drugiej lub trzeciej lekcji dana uczniowi? Ale wracam do dawnego. Że nie mamy nauczycieli śpiewu, więc nie mamy wykształconych głosów a więc i śpiewaków. Rzadko wrodzone zdolności ucznia brak ten mniej dotkliwym czynią. Tak to jest prawda, że z naszych śpiewaczek praktykujących już nawet na scenie i mało obiecujących, zagraniczni nauczyciele jeśli nie pierwszorzędne, to znakomite prawie tworzą śpiewaczki. Może też to i niekoniecznie nauczyciele, może to własna praca, rada przyjacielska, emulacya, doświadczenie, częstsze przykłady, a podobno i nadzieja sówitój nagrody robią taki skutek; dość, że tak się dzieje. Ale wtenczas nasi śpiewacy wołają zostać gdzieindziej, a do nas przybywają

tylko wieści o nich pochwalne, którym ufać można, bo są w gazetach zagranicznych. Ci, którzy nas nie opuszczają te same mają bodźce, ale nie wszystkie i nie tak zaostrzone jak za granicą. U nas nie ma nauczyciela, jak mówiłem, a krytyka, lepsza dla artystów mających już pewne położenie niż najlepszy prawie nauczyciel, nie tyka się opery albo tak dziecinnie, że nie może przynieść im korzyści. Jeśli nikt zdolny do tego się nie bierze, to należałoby wyszukać takiego człowieka, a może i dwóch. Niechajby jeden jako oppugnans, drugi jako opponens występował, toby się sprawa wyjaśniła jak przed kratkami sądowymi, a publiczność byłaby sędzią. Umiałyby nakoniec i ona sformułować wyraźnie swoje widzenie, wykształciłyby się i nabrała żywszego i istotniejszego do sztuki zapалу. Teatr na tém niezmiernieby skorzystał finansowo, artyści estetycznie. Dowodów na to z zagranicy pełno możnaby naściagać, ale na co je zdaleka zwozić, gdy są w domu. Wszak nasza Gazeta Warszawska niemało narobiła rejwachu niegdyś, gdy się zajęła rozbiorem dramatów i gry artystów. Zakrótko to trwało, by widoczny postęp wywołać, ale zbudziło trochę umysły. Z operą tego nigdy nie było i dziś nie ma. Dzisiejsze nieme oznaki niezadowolenia publiczności nie uczą artysty czego mu brakuje, równie jak i oklaski nie powiedzą zkąd się wzięło i co warto istotnie to, co w nim cenią. Przykłady znakomite rzadkie u nas, podrzędne daleko nie posuną; emulacja stepiona, gdy tylko poklask nagrodą zostanie; praca jako ciężar uważaną być musi. Nawet doświadczenia trudno nabyć, gdy się raz a choćby i dwa na miesiąc występuje. Dlatego nie mamy kompletu zdolnych artystów do opery polskiej, chcę mówić po polsku śpiewanej. Dlatego, lub dla innych jeszcze powodów, głos piękny znakomitym podniesiony talentem, wyhodowany szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie chce się operze naszej oddać; a gdy marzy o sławie i tém wszystkiem, co za nią idzie, to mu najlepsi przyjaciele radzą nieopatrzenie wyjazd do obcych, jako pierwszy powodzenia warunek.

— I mają słuszność podług tego, coś pan Dobr. sam przed chwilą rozповідаł o zagranicy, o łatwiejszych kształcenia się środkach, o świetniejszym powodzeniu...

— Chciej pan zwrócić uwagę na to, że radę wyjazdu za granicę nazwałem nieopatrzną dla tych, którzy już głosem, wykształceniem jego wysoko stanęli, a nie o tych, którzy dopiero kształcićby się powinni. Niechby się tacy u nas znaleźli i do naszej opery wstąpili, tobyś pan Dobr. zobaczył, jakby wkrótce przyciągnęli wszystko za sobą. Przypomnij pan sobie niedawne czasy, kiedyto pani Rywacka, albo pan Dobrski z podróży artystycznej wrócili. Publiczność nacieszyć.

się niemi nie mogła, bo godnie odpowiadali miejscu, jakie zajęli. A jak jest dobry sopran, dobry tenor i choćby jeden dobry bas, to reszta ról zyskuje od tamtych oprawę i opera łatwiej da się przedstawić. Przy jednej, drugiej, trzeciej ten i ów się poduczy; nie bez tego też, by nowy obiecujący talent się nie znalazł, personal coraz się mnożyć będzie, i na koniec do najliczniej obsadzonych dramatów muzycznych wziąć się można będzie. Przecież gdy szczęśliwych okoliczności braknie, gdy ci, którzy mają być karyfeuszami starczyć nie mogą albo opuszczą ręce, wtenczas stanie się, co się u nas stało: pierwszeństwo dostanie się przychodniom, im wieńce i nagrody wszelakie, a śpiewakowi, który nie umiał zrozumieć swego stanowiska, zostanie gorzki przydomek *l'Italiano*, może niewyłącznie własną winą wywołany, ale porządną jęj dozą. Hola! opamiętajmy się: toć ja pana prościuteńko za kulisy prowadzę.

— I to być może nieraz ciekawe, bo przecie tam się gotuje wszystko, co się na scenie pojawia; życie zakulisowe na scenie też widoczne, lubo nie bezpośrednio.

— Więc lepiej głębiej nie zachodzić, kiedy i tak zgadnąć można więcej nawet, niż się zdaje. Na scenie widome i zabiegi dyrekcyi i gorliwość artystów wszelkiego rodzaju, a nawet posługa najniższych. Ah! co to zachodów potrzeba, by przedstawić w przybliżeniu prawdę życia! Jaka szkoda, kiedy się prawda nie uda!

— Ale za to kiedy się uda, to już doskonale. Co to za rozkosz naprzykład słuchać takiej pani Lagrange! Ja myślę, że nasi artyści wiele od niej skorzystają.

— A ja myślę, że jeśli jęj słuchali z chęcią korzystania, to w wielkim będą kłopotcie. Ja przynajmniej gdybym był śpiewaczką, nie wiedziałbym co naśladować. Pani Lagrange niezła widać aktorka, ależ dotąd nic takiego w jęj grze nie było, coby bardzo uderzało. Rola Adiny łatwa jest w ogóle i nie ma szczegółów wydatnych; a którejże artystce trudno będzie schwycić charakter lekkiej kokieteryi, wtrącić weń chwilami istotnej czułości wyraz? To każda córka Ewy potrafi. Co zaś do wokalnego tęg roli oddania przyznam się panu, żem także nic szczególnego dotąd nie posłyszał. Chwalić piękność i świeżość głosu niebardzobym rad, bo on tęg nie celuje; lekkość, rozległość, wyrobienie? *à la bonne heure*, ale to naśladować się nie da tak łatwo, bo albo jest darem natury, albo nabytkiem wielkiej pracy. Jeśli zaś nasza która artystka zechce naśladować panią Lagrange w jęj wiecznych fioryturach, w ciągłym urabianiu frazesów kompozytora dla przyczepienia gdzie można choć nie należy swoich passażów i wywijantusów, które zawsze są niepotrzebne, a tutaj psują prostotę roli: to nam zgotuje wiele chwil przykrych, a sobie niezawodny upadek. Więc nie widzę dotąd w czémby naśladować się godziło panią Lagrange.

— Jąbym panie Dobr. powiedział, że raczej pani Lagrange tak jest odrębna śpiewaczka, że jęj naśladować nie można, że po-

zostanie niedoścignioną. Chciej pan Dobr. przypomnieć sobie tylko, jak śpiewała mazurka Schulhoffa.

— Zgoda, na to się piszę; ale nie powiem, żeby była nienaganna. Naprzód passażę bywały wątpliwj jasności, szczególniej gdy drugi raz tego mazurka śpiewała.

— Bo też to szkaradne nadużycie ze strony naszej publiczności żądać czegoś podobnego dwa razy raz-po-raz. To takie trudne, że widać było jak artystka zbierała wszystkie swoje siły, nawet za pierwszym razem.

— Zgoda i na to; dlatego też się niezupełnie udało, że takie trudne, że trzeba było zbierać wszystkie siły. Wysilenie do niczego dobrego nie doprowadzi, przykróś tylko sprawia słuchaczom; cóż naprzykład miały pięknego najwyższe tony? Piszczące, cienkie jak włos, miały barwę zupełnie podobną tej, jaką mają najwyższe tony skrzypiec, które ledwie najzdolniejszy wydobyc z nich umie smyczek i to z trudnością. To tak czysto popisowe, że nie wiem gdzieby się dało zastosować w sztuce istotnej. Ale pominiemy to *tour de force*; co ślicznie zrobiła, to stakkato w części trzeciej tego mazurka, którém urozmaiciła powtórzenie frazesu *legato* zrazu wprowadzonego. To było i wdzięczne i po mistrzowsku zrobione, jak w ogóle nie można jej zaprzeczyć, że passażę wybornie oddaje. A jednak zagwazdała początek tej części trzeciej, najstosowniejszej do zaśpiewania z całego tego instrumentalnego mazurka.

— A te tryle cudowne przy końcu? Pamiętam coś pan Dobr. mówił o porównaniu śpiewaczki do słowika, a jednak mimowolnie mi się ono nasuwa.

— Ach! nie żenuj się pan Dobr. Com mówił o słowiku było ogólne; ja bym także gotów przyrównać do niego śpiewaczkę pod pewnym względem, ale nie co do trylu. To co nazywają trylem słowika jest szybkim biciem jednego i tego samego tonu, a tryl w muzyce ludzkiej polega na dwóch przyległych sobie tonach szybko się przemieniających, a zawsze tych samych, dopóki tryl stanowiska swego nie zmieni. Każdy ton z krtani ludzkiej wypchnięty innego potrzebuje układu narzędzi głosowych, zależącego na ich rozsuwaniu i zwięzaniu, od czego wysokość tonu zależy. Gdy tony w jedną biegną stronę, układanie się narzędzi głosowych jest naturalniejsze, a raczej łatwiejsze i potoczystsze, niż gdy ciągle w kierunkach sprzecznych działać im przychodzi, bo wtenczas co chwila to zwięzać, to rozsuwać się muszą. Ztąd tryl niezawodnie najtrudniejszą jest ze wszystkich sztuczności wokalnych, i tak trudny, że nigdy prawie nie jest tēm, czēm być powinien. To zadziwia pana co mówię, a jednak tak jest w istocie. Trzeba być bardzo źle uposażonym w zdolności pojmwania intonacji muzycznej, żeby tego nie ostrzedz, że wszyscy śpiewacy fałszywie tryl robią po niejakiem przez krótką chwilę wysileniu, że nakoniec strudzone narzędzia głosowe jakimś bębnieniem tryl naśladowują. Wten-

czas zaiste śpiewaczka bardzo się do słowika zbliża, mianowicie jeśli ten surrogat trylu na wysokim tonie osadza: gdyby mogła mu dać przynajmniej rozdźwięk słowiczego głosu i chciała śpiewać między liśmi drzewa ukryta!

— Zmiłuj się pan Dobr. przecież wszyscy śpiewacy używają trylu, wszystkie szkoły śpiewu go uczą, a jeszcze się dotąd nikt tak srogo o trylu nie wyraził.

— Używają trylu łudzac najczęściej siebie i innych; a że nikt (o czém wątpię) tak srogo jak ja o nim się nie wyraził, to dlatego, że albo się nie zna, albo nie chce w poprzek stanąć powszechnemu urojeniu, albo, co najprawdopodobniejsze, nikt tak wiele nie żąda wiedząc, że to jest prawie do nieosiągnięcia. Ale ja panie łaskawy nazywam rzeczy właściwem ich nazwiskiem; to moja natura. Że zaś szkoły uczą trylu, to raz dlatego, że nie jest tak całkiem niepodobny chociaż tylko na chwilę, a po drugie dlatego, że nauka trylu wyborem jest dla narzędzi głosowych ćwiczeniem.

— A więc tryl pani Lagrange?...

— Niewiele więcej wart od trylu innych śpiewaczek. Pani Lagrange dłużej niż inni utrzymuje się w rzeczywistości nim w chimerę upadnie, robi zwawiej niż inni, więc się na chimerze poznać nie umieją, a nadewszystko robi mniemany ów tryl dłużej niż ktokolwiek z tych, którzy go kiedykolwiek probowali; więc się dziwią sprężystości narzędzi głosowych i wytrwałości oddechu, co w istocie podziwienia godne; ale szkoda, że na igraszkę expensowane. By już raz o trylu pani Lagrange skończyć to tyle powiem jeszcze, że zadziwia swobodnym zastosowaniem go w tonach tak wysokich, że na 1,000 śpiewaczek, 999 nawet wspiąć się ku nim nie waży, tryl długi urozmaica wzmaganiami i ujmowaniem siły, co jest najdzielniejszym środkiem ożywienia śpiewu, a mianowicie jednego tonu, martwego inaczej: środek to nie tylko wyborny, ale i trudny zarazem. Gdyby nie spadała w tonie coraz niżej podczas trylu, to bym się i ja mu dziwił.

— To pana Dobr. żałuję, bo jak widzę, nic się nie znalazło coby pańskie uwielbienie, a choćby podziwienie dla pani Lagrange zbudziło.

— Żebym mógł panu zazdrościć, chciój pan powiedzieć: co w niej podziwiasz i wielbisz?

— Ja podziwiam to, co i wszyscy: wysokie przymioty głosu, sztukę śpiewania, aktorkę nakoniec.

— I ja cenię przymioty głosu, lubo dotąd do samych prawie figli go używała: zadowolony jestem z aktorki, lubo dotąd wielkięj sztuki okazać nie mogła. Co zaś do sztuki śpiewania, to nie wiem w czém pan ją dostrzegłeś, kiedy dotąd nie śpiewała prawie....

— Cóż więc robiła dotąd, przez Bóg żywy?...

Uważałem to już, że od chwili gdy między temi panami przyszło do rozmowy o celebrującej artystce, w miarę jak starszy w krytykę się zapędzał, duch opozycyści rósł w młodszym jego słuchaczu. Widać to było z gestów żywszych, to z wyrażeń co-

raz jawniej charakter zaprzeczenia słowom tamtego przybrać pragnących, to nakoniec z samego głosu, teraz więcej szparko niż dawniej wyrzucającego wyrazy, coraz dosadniej oddającego ważniejsze. Ale się powściągał czy przyzwoitością, czy bojaźliwością charakteru, a może łagodnością i zimną krwią drugiego miarkowany. Mnie także brała ochota kilka razy wturcić moje trzy grosze do rozmowy, ale się lękał ją przerwać, albo i zwrócić do czego innego. Choć mnie więc język świerzbiał, nakazałem mu spokojność, tem bardziej, że rozmawiający trzymali się wciąż przedmiotu choć pośrednio, a teraz na najgorętszą dla zgromadzonych w teatrze kwestyą wpadli. Wnosiłem po ostatnim wykrzykniku młodszego, że straci kontenans i starszego swą gorączką rozpali; ale się omylił. Z niezachwianą zimną krwią ujął swego sąsiada poufnie za rękę i patrząc mu łagodnie w oczy, z uśmiechem i nieznijając głosu, choć dostrzegł że się przysuwam, rzekł:

— Gdybyś pan tak gorąco rzeczy nie brał, tobym panu powiedział jednym wyrazem, co robiła. Ale toby pana nie przekonało; pozwól więc parę pytań sobie zrobić. Wszakże pan nie pierwszy raz słyszysz śpiew oklaskami nagradzany; czy śpiew pani Lagrange różni się i w czem od śpiewu innych?

— Niezmiernie, panie Dobrodzieju! W czem zaś? to panu Dobr. powtarzać nie potrzebuję, bom mówił przed chwilą, co w niej podziwiam. I pan się na to zgadzasz mniej więcej, lubo pańska zgoda wyjątkami i zastrzeżeniami najeżona, niezmiernie. Sztuki śpiewania pan Dobr. jej zaprzeczasz, a raczej mówisz, że dotąd nie śpiewała prawie. Ja to wiem, że ją słyszałem śpiewającą, a śpiewającą z taką pewnością, łatwością i z takim wykończeniem, jak żadna śpiewaczka. Więcej panu Dobr. nie powiedziec nie umiem; a czy zaprzeczenie śpiewu za żart albo za prawdę przyjmę, zawsze proszę o objaśnienie, bonic nie rozumiem.

— Z całego serca; ale żebym moje wyrażenie istotnie nieco złośliwe mógł usprawiedliwić, muszę się przekonać, czy pan zwróciłeś uwagę na jeden ale ciągle obecny szczegół jej śpiewu. Zle mówię szczegół, bo to ogół raczej, a mianowicie nieustanne drganie głosu czyli wibracye tonu, niby wieczny trył; jak się to panu podoba?

— Przyznam się panu Dobr., że mnie to zrazu dziwnie uderzyło, a nawet tu i owdzie mniej stosownem mi się zdawało; w ogóle jednak uważałem to za dowód gorejącego pojęcia, może istotnego przejęcia się sytuacją. Drugi raz zdawało mi się, że to być musi jakiejś nowej metody śpiewania skutek, albo dawniej metody włoskiej przypomnienie, o której słyszałem, że zgubioną została. Tak myślałem, bom nie słyszał nigdy jeszcze na tak szeroką skalę zastosowania tej wibracyi. Zamierzałem nawet zapytać o to pana Dobr., ale jakoś rozmowa inny kierunek wzięła; szczęściem dla mnie przyszedłszy i do tego.

— Żeby to miało być skutkiem nowej jakiej metody, nie myślę, bośmy więcej takich śpiewaczek słyszeli. Używają wprawdzie

śpiewacy takiego drżenia głosu, ale tylko rzadko i w scenach patetycznych; tam sposób ten może sprawić efekt, bo się może zdawać, że to wzruszenie wewnętrzne tak na głos oddziaływa, co też się istotnie w życiu nieraz trafia. W Normie, w której pani Lagrange ma także wystąpić, jak słyszałem, może to być tu i owdzie zastosowane, ale nie w Napoju Miłosnym; tu wcale nie powinno mieć miejsca. Zdaje mi się jednakże, że to nie chęć oddania głębi uczucia do takiego śpiewu powiodła artystkę, bohy także wybierała stosowne miejsca, ale poprostu strudzenie głosu nie wiem czy przedwczesnem i nateżonem śpiewaniem, czy, co podobniejsze, wysileniem w młodych latach, a może i zbytniem ubieganiem się o rozległość skali. Jakikolwiek wreszcie jest powód, zawsze śpiewaczka odstąpiła niezmiernie od przepisu dawniej metody włoskiej, każącój każdy ton wydać, wytrzymać i skończyć: *formare, fermare, finire*. I zważ pan, że wszyscy śpiewacy do tego przepisu zdążają, bo czują, że w tém jest prawda, natura i urok najwyższy. Słuchać śpiewu pani Lagrange, to rzecz tak mordująca, że nie wiem co bym dał za jeden ton długi, równy, szlachetny. Czyż tak gardzi nim, że go ani razu nie użyła jako rzeczy użytej, (jak gdyby wielkość prostoty kiedykolwiek użytą być mogła), czy nie może?—nie wiem i wiedzieć nie chcę, bo to mi jako słuchaczowi na jedno wyjdzie. Ale powiadam panu, że z tą jedną manierą, a raczej wadą, nie może być nigdy wielką śpiewaczką, choćby miała wszystkie inne wielkiej śpiewaczki zalety. Pewność, łatwość, wykończenie nawet (ale frazesu nie tonu), o których pan mówił żeś je dojrzał w śpiewie pani Lagrange, są istotne jej przymioty. Szkoda, że nie ma większego tonu; ale ma cudowne *mezza-voce*, ów półgłos do najpiękniejszych zdobyczy włoskiej metody nalezący, i ma rzadkie *pianissimo* o pełne tajemniczego uroku, jakby ukradkiem uciekający poszept miłosny. Ma nawet cieniowanie dramatyczne głosu, lubo dotąd mało je okazać mogła, ale to nieszczęśliwe *vibrato* wszystko psuje, przynajmniej dla mnie. Jużbym darował jej i owo zbyteczne obładowywanie tekstu muzycznego własnymi dodatkami, które go nieraz zaciemniają, bo służą tylko do pokazania niezmierniej biegłości mechanicznej, i mówię to raz jeszcze, nie wszędzie są stosowne. Ciekawy będą posłyszec' ją w jakim *cantabile* lub *largo*.

— Mnie się pomieścić w głowie nie może, żeby taka wytrawna śpiewaczka jak pani Lagrange nie wiedziała, jak sobie począć, albo wiedząc, nie umiała. Toć dwa razy starsze śpiewają jeszcze, mimo głosu koniecznie więcj strudzonego długim zawodem scenicznym. Przypuszczam raczej, że ten rodzaj śpiewu wybrała dla Donizettego lekkiego utworu, ale innym odzieje tęskne Belliniego melodye. Szkoda, że raczej Normą nie rozpoczęła albo inną operą paważną, byłbyś pan Dobr. mniej pewnie zadowolniony, a śpiewaczka korzystniejby się przedstawiła.

— Nie wiem jak będzie Norma, ale lepiej, że Adina ją uprzedziła. Bo choć w tej roli niewiele jest kłiwosci, to za to jest wiele

swobody do igraszki głosem, miejsca nawet do popisu. Artystka dobrze rozumiejąca publiczność naprzód ją usidlić zapagnie zadziwieniem, by potem zyskać hołdy w wielkim śpiewie. Wszak zawsze powierzchownemi przymiotami musi człowiek zyskiwać sobie zwolenników, nim ich istotną wartością do miłości pobudzi. Biada temu, kto wszystko w wielkości, w prostocie widzi, a o fatalaszki się nie stara. Artyści muzyczni są bardzo roztropni w tym względzie i szczęśliwi, że w swej sztuce znajdują niewyczerpaną dziecięństw kopalnię.

— Że też to pan nie nam nie powie— rzekł dalej ów jegomość nagle zwracając się do mnie.—Uważam, że pan słuchasz pilnie jakbyś chciał protokół z nas spisać,—dodał uśmiechając się;—prosimy bardzo zostań pan naszym współnikiem, to nas mniej szkaradnie przedstawi.

— Na takie dictum acerbum zacerwieniłem się po uszy, a że to mi się już dawno nie zdarzyło, więc się przeląknłem i tym więcej straciłem jakoś sposobność znalezienia się zręcznego. Ten nagły zwrot do mnie nieprzygotowanego, to oskarżenie o podsłuchiwanie, któremu się wyprzec nie mogłem, bo mnie już kilka razy ów jegomość podstrzeżał, a przed chwilą miał wyraźny dowód, bom go nawet trącił głową nadstawiając ucha (by posłyszec zciszone jego wyrazy może ze strudzenia długą mową, a może i szmerem nas otaczającym, bo mnóstwo osób do miejsc swoich wracało), obawa czy nie poznał we mnie pismaka czasem o muzyce bazgrzącego, nakoniec wezwanie do pogadanki: to wszystko zmąciło się razem i nabawiło mnie kłopotu. Ale trzeba było coś odpowiedzieć; więc aby zrozumieć w jakim znajduję się położeniu, zapytaniem się zastawiłem:

— Nie wiem, czy mam szczęście znanym być panu Dobrodziejowi?

— Znam pana dopiero od dwóch godzin, ale mniej niż mego oto sąsiada (wskazał na tego z którym mówił), bo ten pan łaskaw przynajmniej pospierać się ze starym gadułą, a pan nie rzekłes ani słowa.

— Nie śmiałem się wtrącać do rozmowy nieznanym mi osób, tym mniej przerywać rozmowę tak nauczającą.

— Co to za grzeczni teraz ludzie na paradysie! To już drugi!

Ale ja mówiłem dalej:— A gdybym chciał też spisać co posłyszałem, to pewniebym nikomu tym nie ubliżył; wszak to zwykła gazeciarska manipulacya. Nie wiem tylko, czybym pamiętał, tyle tu było pięknych rzeczy!

— Zapewne że to niełatwo, ale ja panu poradzę: upstrzyj to co spamiętasz własnemi dodatkami, i udaj za swoje.

— Ani jedno, ani drugie. Mozart spisał kiedyś z posłyszenia Miserere Allegrego i za swoje go nie udał: ja mam także dobrą pamięć, i....

— Ale tu nie było muzyki, pan nie jesteś Mozart, ani ja Allegri.

— Allegro pan Dobr. jesteś! Wyzwałeś mnie do mówienia, a mówić mi nie dasz!

— To prawda! No, panie sostenuto (skoroć się pan tak jednego trzymać lubisz), powiedźże nam pan co; a jeśliś pan muzyk, co być może, to powiedz nam pan co o pani Lagrange.

— Muzyk nie jestem (postanowiłem go mistyfikować, bom sobie zaraz ułożył projekt ciągnąć ztąd korzyści); ale mam brała muzyka i dlatego oswoiłem się nieco z wyrazami technicznymi i niektórymi nazwiskami. Żeby zaś coś o pani Lagrange powiedzieć, trzeba by albo pańskie wyrazy powtórzyć, albo im zaprzeczyć. Środka nie widzę. Pierwsze gotowem zrobić, by pana przekonać, że pamiętam, ale to inaczéj zrobić; zaprzeczać się nie poważę, bobym nie dał rady, a wreszcie zdanie pańskie prawie zawsze podzielam. Słuchając coś pan Dobr. mówił poprzednio o dramacie muzycznym, pewny jestem, że pan zganisz wtrącenie do Napoju Miłosnego cudzych kompozycyj.

— Zapewne! jakże to chwalić? albowżto opera dla śpiewaczek? Wprawdzie powiadają, że kompozytorowie piszą jakąś rolę umyślnie dla téj a téj primadonny; ale to tak trzeba rozumieć, że znając jej głos i zdolności, do nich się zastosowali, nie poświęcając jej ani swéj myśli, ani swego dramatu. Tylko znów nie mówmy bardzo naprawdę o dramacie, gdy idzie o operę, szczególniej włoską, a najczęściej i każdą francuzką, czy niemiecką. Rzadko ona bywa tkaniną jednolitą, w którejby każde miejsce miało wzgląd na to, co poprzedziło, i na to, co nastąpi; by każdy śpiew stosowny był nietylko do chwili dramatu, ale i przyczynił się zarazem do oznaczenia charakteru osoby śpiewającej. Charakter bowiem osób utrzymany być winien muzyką tak dobrze, jak słowem. Weźmy Hugonotów Meyerbeera, to tam spotkamy takiego Marcella, takiego Raoula muzyką jakby dłułem wykutego. Albo osoby w Don Juanie Mozarta (może panu brat dał go poznać i zrozumieć), to wszystkie tak sobie wierne od początku aż do końca, tak sobie samym podobne, jakby pędzłem malarza w różnych sytuacyach przedstawione. Oh! Mozart bodaj czy nie największy z największych dramaturgów muzycznych. Gdzież w jego operze miejsce na cokolwiek obcej kompozycyi, coby nie popsuiło całości i jedności, coby nie zwichnęło charakteru? Ale i Donizetti nieboszczyk także był człowiek z talentem i dobry muzyk choć popsuty; i jemu i żadnemu kompozytorowi opery niegodzi się takiéj krzywdy robić. I słuchaczom to niedogodne, bo wtrzymuje bieg właściwy dramatu; szczęściem, że dzisiaj mało kto rozumiał, bo śpiewano po włosku.

— Mimo to opera ta wszystkim już znana oddawna i treść rozumieją—odezwałem się.

— To dosyć dla muzyki: kiedy jest treść mniejsza o wyrazy—wtrącił ów młody.

— Zdanie to wielu, ale nie moje—rzekł starszy jegomość;—a że jest mylnie zaraz panom dowiodę. Kiedy poeta pisze operę, nie wiedząc jaka się jego wyrazom muzyka dostanie, to....

— Jakto?—wtrącił młodszy—albożto pierwój są słowa niż muzyka? Ja myślałem, że odwrotnie?

— Ale gdzie tam!—odparł starszy—jakżeby niedeterminowane orzeczenia muzyki zdołał poeta bez pomocy szczególniejszego kompozytora odziać słowami. Gdyby muzykę pierwój pisano, to kompozytor musiałby obmyśleć sobie naprzód cały dramat, aż do najdrobniejszych szczegółów: a coby za pracę podjąć musiał by poetę wprowadzić w swoje wzięcie? Toćby już lepiej było, by sam dramata pisał, jak to robi niemiecki kompozytor Wagner. Przepraszam pana za to co powiem, ale mniemanie, a raczej pytanie pańskie dowodzi, żeś pan mało się zastanawiał nad naturą muzyki i stosunkiem jej do poezji.

Chciałem wyprowadzić z kłopotu owego młodego jegomości, bo go ta reprimenda starszego widocznie dotknęła i zawstydziła. Chciałem też przytrzeć nieco rogów tamtemu, bo mnie zaczynał gniewać jego ton mowy zbyt swobodny z nieznanym sobie, jakkolwiek całe jego wzięcie się było bardzo grzeczne, dykcya łagodna, a to, co mnie raziło była raczej dobroduszość, niż rubaszość, prostota obrona ze wszelkiego ceremonialu, niż przekonanie o wyższości. Mimo to rzekłem:

— Darujesz pan Dobr., ale niezawsze tak się dzieje, jak pan utrzymujesz. Ten pan i wielu innych tój samój będących opinii zapewne wiedzą o tēm, ale biorą to za pospolite, co się wyjątkowo zdarza. Żeby długo nie szukać, to przytoczę Hajdena, który swoje siedm słów Zbawiciela na samą orkiestrę tylko zrobił na żądanie kanonika jakiegoś w Kadyxie, a dopiero w kilka lat potēm i na jego żądanie tekst mu do muzyki dorobiono. Do kantaty Beethovena: „Der glorreiche Augenblick” na uroczystość kongresu wiedeńskiego zrobionej i raz tylko wykonanej, dorobiono później tekst inny na pochwałę muzyki, lubo już bez wiedzy kompozytora, bo po jego śmierci. A kanon z chórem nieboszczyka Tomasza Nideckiego nie byłże u nas z innym tekstem wykonywany niż ten, do którego muzyka dorobioną była? Więc widzi pan Dobrodziej...

— Widzę, że to są wszystko rzeczy czysto liryczne, lubo i to prawda, że to w gruncie na jedno wyjdzie. Ależ pan widać bardzo skorzystał od swego brata?

— Oh! ja panu więcej powiem: ja sam do kompozycyi dramatycznej u nas przedstawianej w teatrze dorabiałem słowa!

— A to historia! że tēż ja o tēm nic nie wiem! I do czegoż to?

Ależ już odpowiedzieć nie mógł, bo orkiestra zaczęła grać wstęp do aktu drugiego, i mój słuchacz odwrócił się odnie nagle, mniej może chęcią słuchania wiedziony, jak zmuszony tłóceniem się owych dwóch młodych ludzi, którzyto poprzednio o uwerturze Müncheimera rozumowali tak krótko i węzłowato. Wyszli byli po pierwszym akcie, ale raz-wraz wracali do miejsc swoich tłócząc się bez ceremonii i przelażąc przez zapelnione już

ławki. Jeden z nich podnosząc nogę by przekroczyć baryerę, zawołał: „Może już walca śpiewała?” „Co panom po walcu, kiedy się wam i tak w głowach kręci”, odezwał się głos jakiś za niemi. Nie mieli czasu odpowiadać, ale gdy się już usadowili, jeden z nich się obrócił z miną wyzywającą, jakby chciał wyczytać z fizjonomii, kto téżto poważył się karcieć ich swobodę. Że jednak nie ucichły jeszcze śmiechy owym conceptem wywołane, a na innych twarzach dostrzegł surowy ustrój, więc się odwrócił skonfundowany.

Myśmy się znów zasluchali. Minał walc, a raczej nagromadzone w toku walca trudności wszelkiego rodzaju, które sobie pani Lagrange sama wybrała, by jak najlepiej i najwdzięczniej pokazać swego śpiewu przymioty, któremi przewyższała wszystkie podobno dzisiejsze śpiewaczki. Minał i akt cały z równym zajęciem wysłuchany, z równym zapalem przyjęty jak i pierwszy; a gdy jedni jęli się wywoływać i oklasków, drudzy mieli się ku wyjściu. Do ostatnich należeli dwaj młodzi z pierwszej ławki. Torując sobie drogę, mówił jeden drugiemu:—„Ale wiesz co, porządnie fałszowała w walcu! O! ja mam uszy”. „A jakie długie!” dodał głos prześladowczy. Powstał znów śmiech, a tamci pchnęli się ku drzwiom co prędzej. Tymczasem ruszyli się wszyscy z miejsc swoich, i ów gadatliwy jegomość, i jego potulny słuchacz, i ja także.—„Jaka szkoda, że już nasza gawędka się skończyła” rzekł młodszy. „No, cóż robić, wszystkiemu koniec raz być musi; ale wiecie panowie co? zejdźmy się tutaj na Normę: tam p. Lagrange zupełnie inną być powinna. I pan także?”—dodał zwracając się do mnie.—„Winienesz mi pan odpowiedź na moje ostatnie pytanie i na jedno jeszcze. Ale czy się znajdziemy, czy dostaniemy miejsce?”—„Ja panom zatrzymam to samo, cośmy dzisiaj mieli—odezwał się ów młody:—przyjdę przed szóstą.—„Zgoda! na mnie niedługo pan czekać będziesz.” „A pan?”—rzekł do mnie—przecież tres faciunt collegium.”—„No, to i ja przyjdę przed szóstą—odpowiedziałem; i znów was opiszę, pomyślałem sobie.

(Dokończenie nastąpi.)

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszytcie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc czerwiec r. b., pan Władysław Wieczorkowski w swoich Notatach bez ładu z wycieczki po kraju, użył nazwy Stobnica w miejsce właściwej nazwy Stopnica. Ta mylna przemiana nazwy, nie samemu tylko pana Wieczorkowskiemu przytrafiła się: daje się ona często zauważyć tak w różnego rodzaju pismach, jakotóż i potocznej mowie. Poczytuję więc sobie za obowiązek udzielić sza-

nownej redakcyi wiadomość, jaką w miejscowości o nazwie tego miasta i przyczynie tej nazwy powziąłem.

Stopnica jest niewątpliwie miastem dawnym, wzniesionem na wzgórzu, pomiędzy innymi wzgórzami na odnodze Kamiennéj-góry. Otóż według ustnego podania, miejscowość tę przed założeniem miasta pokrywać miały obszerne lasy; tak, jak dziś jeszcze pokrywają część Kamiennéj-góry. W lasach tych ukrywali się rozbójnicy, którzy korzystając z niedostępnej miejscowości, skutkiem licznie przecinających wzgórze parowów i kryjówek, jakie porobić sobie zdołali w zgórzach składających się z obszernych pokładów kamienia wapiennego i piaskowca, wzmogli się w liczbę i dopuszczali się znacznych bardzo łupieztw. Lasy i miejscowość podobna, wzgórzysta, przecinana wszędzie parowami, ciągnąca się w stronę: Miechowa, Ojcowa, Pieskowej Skąły i w stronę gór Świętokrzyżkich; sprzyjały bardzo rozbójnikom, co ich uczyniło tak śmiałymi, że podróżni, a mianowicie kupczący, zmuszeni byli zaopatrywać się w silne strażę, chcąc przebyć drogę od Krakowa w głąb kraju. Poszukiwania kryjówek tych zbrodniarzy były prawie zawsze bezskuteczne: przy usiłowaniu jednak nieustannem, po śladach stóp wyciśniętych przez rozbójników na śniegu, odkryto lochy za kryjówkę im służące, w miejscu, gdzie dziś leży Stopnica. Schwycono z nich wielu i stracono, a w miejscowości tej założono miasto i nazwano je Stopnicą, od stóp na śniegu przez rozbójników wyciśniętych, po których szczęśliwie ich wykryć i ich łupieztwa ukrócić zdołano.

Podaję co mi opowiadają: za nieomyłność tego podania nie ręczę, lecz to jest pewna, że dziś jeszcze istnieją znaczne lochy pod miastem Stopnicą, i że nazwa tego miasta jest Stopnica, a nie Stobnica.

Stopnica, d. 7 czerwca 1854 r. — — — — —

Czarnowski.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O stosunku cukru, kwasu i wysokoku znajdujących się w winach i piwie; przez Dra Bence Jones.

Wspomniony autor oznaczył nasamprzód ilość kwasu w napojach powyższych, za pośrednictwem roztworu sody gryzącej, znaney gęstości. Objętość cieczy dochodzonej wyrównywała 1000 gramom wody w 50° Far.

Oto są niektóre wypadki powyższych dochodzeń.

Stopień zakwaszenia nie był jednakowy w różnych probkach win, bo zobojętniał:

	od	grany	do	grany	
Xeres	od	1,95	do	2,85	sody gryzącej
Madera	—	2,70	—	3,60	
Porto	—	2,10	—	2,55	
Bordeaux	—	2,55	—	3,40	
Burgundzkie . .	—	2,55	—	4,05	
Szampańskie . .	—	2,40	—	3,15	
Reńskie	—	3,15	—	3,60	
Mozel	—	2,85	—	4,50	
Wódka	—	0,15	—	0,60	
Piwa angielskie.	—	0,90	—	2,25	

Możnaby więc taki ułożyć porządek w powyższych napojach ze względu na ich kwaskowatość: wódka, wina xeres, porto, szampańskie, bordeaux, madera, burgundzkie, reńskie, mozel. Zważać należy, że pewne gatunki mocnego piwa zdają się mieć tak mało kwasu, jak wina najmniej kwaśne.

Ilość cukru oznaczono cukromierzem Soleil'a; z czego okazało się, że:

w uncyi wina xere	było	od	4 gran	do	18 gran
— madero		—	6	—	20
— szampańskiego		—	6	—	28

— porto	od 16 gran	do 34 gran
— małmazji	— 56 —	— 66 —
— tokajskiego	— 74 —	— — —

• Nie wykryto zaś ani śladu cukru w winach bordeaux, burgundzkiem, reńskim, i mozel.

Ze względu na zachowanie się jako pokarmu, przypuszczając że cukier zmienia się w kwas w żołądku, ciecze dochodzone uszykowane być mogą z uwagi na ilość kwasu w nich średnią, w następującym porządku: zaczynając od tych, które go mają najmniej.

Wódka różnych gatunków.

Wina Bordeaux,

— burgundzkie,

— reńskie,

— mozel,

— xeres,

— szampańskie,

— porto,

Piwa różnych gatunków.

Wina: madera i małmazya,

— tokajskie.

Ilość wysokoku zawarta w tychże cieczach oznaczona została wysokomierzem p. Gejsler'a z Bonn, i jest:

Porto	miało od	20,7	na sto do	23,2	na sto
Xeres	— —	15,4	□ —	24,7	—
Marsala	— —	19,9	□ —	21,1	—
Madera	— —	19	— □	19,7	—
Szampańskie	— —	14,1	□ □	14,8	—
Burgundzkie	— —	10,1	□ □	13,2	—
Reńskie	— —	9,5	— □	13	—
Mozel	— —	8,7	□ □	9,4	—
Piwo angielskie (mocne)		12,3	□ □	6,5	—
Wódka	— —	50,4	— □	53,8	—
Rum	— —	72	77,1 —	77,1	—

Zwrócić należy uwagę, że stosownie do powyższych doświadczeń, wino burgundzkie i bordeaux, oraz wino marsala i porto, zawierają mniej wysokoku, niż znalazł go Brande przed czterdziestą latami. Xeres zaś ma go więcej, równie jak rum, i piwo mocne angielskie (ale). (*Bibliothèque Universelle de Genève. Avril 1854*).

* *O liściach kawowych jako środka do zastąpienia kawy i herbaty: przez J. Stenhouse.* P. S. zastanawiał się nad liśćmi wysuszonemi kawy, których używają na Sumatrze do przyrządzenia pewnego rodzaju herbaty. Probka ich otrzymana ztamtąd była ciemno-brunatna, mieściła zaś oprócz liści, ogonki tychże, i wydawała woń przypaleniźny; co pochodziło od mocniejszego wyprażenia. Pod tym względem podobne są one do herbaty paragwajskiej, która jest liściem i gałązkami rodzaju ostrokrzewu (*Ilex paraguayensis*).

Odwar liści kawowych jest, ciemno-brunatny, i ma wielkie podobieństwo ze względu na zapach i smak, do mięszaniny herbaty i kawy. W połączeniu z cukrem i mlekiem wydaje napój bardzo zośny. Ponieważ więc liście uprażone kawowe mogą być do Europy wprowadzone po cenie 20 centymów za funt, zastąpić przeto mogą w pewnym względzie kawę i herbatę. P. Stenhouse sądzi, że gdyby też liście nie były suszone w tak wysokim cieple, smak odwaru byłby daleko przyjemniejszy.

Liście kawy zawierają dwa pierwiastki odznaczające ziarna kawy, to jest: teinę i kafeinę, oraz kwas kawowy. Pod względem powyższym różnią się głównie od cykoryi i innych rozmaitych korzeni prażonych zastępujących kawę, ale nie mających śladów jej pierwiastków. W rozbiórce sposobem używanym przy herbacie i kawie, liście kawowe wykazały od 1,15, do 1,25 na sto, teiny; a od 2,12, do 2,17 na sto, saletrorodu. Kawa zawiera 0,8, do 1 na sto teiny. Herbata ma 2, do 2½ na sto, a herbata paragwajska 1,1 do 1,23 na sto.

Liście więc powyższe kawowe mają nieco więcej teiny od ziarna kawy, a nieco mniej od herbaty paragwajskiej; ale prawdopodobną jest, że gdyby były mniej prażone, wydałyby 1,50 na sto teiny.

Co się tyczy kwasu kawowego, który także znajduje się w znaczniejszej ilości w ziarnach kawy; p. S. okazał, że to nie jest kwas garbnikowy, ponieważ z galaretą nie tworzy mętów, ale podobniejszy jest do kwasu chinowego.

Aby zaś powziąć wyobrażenie względnej ważności liści kawowych i ziarna kawy do otrzymywania napoju; Stenhouse oznaczył w nich ilość ciał rozpuszczalnych w wodzie wrzącej.

Po wytrawieniu równą ilością wody wrzącej, ziarna kawy rozpuściły 29,1 części na sto, a liście 38,8, na 100.

Ztąd te ostatnie zawierały blisko 10 na 100 ciał rozpuszczalnych w wodzie wrzącej więcej niż ziarna kawy, a przeto są korzystniejsze do użycia. Z drugiej znowu strony, liście zawierają nieco garbniku, azaledwo ślady cukru i tłustości, ziarna zaś mają około 12 na 100 tłustości, a 8 na 100 cukru.

Wogóle liście kawowe mogą korzystnie zastąpić kawę i herbatę, zwłaszcza gdyby nie były mocno wyprażane, bo wówczas nabrałyby wiele ciał z przypalenia powstałych; i smak ich odwaru byłby bardziej zbliżony do wyciągu herbaty niż kawy. (Ann. der Chemie und Pharm. Tom 89, str 244).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

128. *Do nru 51 Kroniki bibliograf. z r. 1853.*

Bajarz polski. Zbiór baśni, powieści i gawęd ludowych. Opowiadział A. J. Gliniski. 8ka. Tom II, III i IV. Wilno. 1853. T. II, str. 254. III, 254. IV (z portretem hr. Adama Chreptowicza) str. 258. Rsr. 3

129. Dzieje starego i nowego Testamentu czyli wybór przykładów i nauki z Pisma Świętego, według wydania T. Derome. Ułożone przez K. Brodzińskiego. Wydanie szóste. 2 tomy. Warszawa. 12ka. 1853. Tom I, str. 191. II, 224. Rsr. 1 kop. 80.

130. Konfederacya Gołęb'ska. Obraz historyczny skreślony za czasów Stanisława Augusta przez niewiadomego pisarza. 12ka. 1853. Nakładem N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu (drukiem tychże). Str. VIII i 258. Rsr. 1 kop. 50.

131. Przewodnik w rozbiorach chemicznych jakościowych ciał nieorganicznych, krótko zebrany dla początkujących, przez Władysława Bażana. Adj. przy kat. chemii w Uniw. Jag. 16ka. Kraków. 1853. Wydawnictwo dzieł katolickich, druk Czasu. Str. 69 (do str. XI znaczone rzymskimi liczbami). Kop. 50.

132. Zbiór zadań arytmetycznych, zastosowanych do wszystkich reguł niższej i wyższej arytmetyki; dla użytku uczącej się młodzieży ułożony przez Ignacego Jabłonowskiego. 12ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 113. Kop. 60.

133. Znacomici męzowie polscy w XVIII wieku. Wizerunki historycznych osób skreślone przez Juljana Bartoszewicza. Tom I. 12ka. Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa (druk E. Wejmara). Kart 2 i str. 330. Rsr. 2.

1854.

58. Dwie korouacye Sasów Augusta II i Augusta III królów polskich. Ze współczesnego rękopismu ogłosił z przedmową i kilku objaśnieniami Władysław Syrokomla. 12ka. Wilno. 1854. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 80. Kop. 40.

59. Estetyka czyli umnictwo piękne przez Karola Libelta. Tom I. Część ogólna. Wydanie drugie poprawione. 12ka. Petersburg. 1854. Nakładem B. M. Wolffa (druk J. Jaworskiego w Warszawie). Kart 3 i str. 405. Tom II. Część I. Piękno natury. 12ka. Petersburg i Mohilew. 1854. Nakład B. M. Wolffa (druk K. Kraja). Kart 2 i str. 352. Rsr. 5.

60. Fyzyologija układu nerwowego wyłożona przez Dra J. Majera, Profesora fizyologii w Krakowie. 8ka. Kraków. 1854. Nakład D. E. Friedlejna (druk Czasu). Str. XV i 487. Rsr. 3 kop. 90.

61. Laokoon. Szkic obyczajowy przez Aleksandra Niewiarowskiego. 16ka. Warszawa. 1854. Nakład G. L. Glücksberga (druk J. Jaworskiego). Str. 275 i nap. kart 2. Rsr. 1 kop. 20.

62. Nowe Listy o chemii zastosowanej do przemysłu, fizjologii i rolnictwa, przez Dra Justusa Liebiga profesora chemii w uniwersytecie w Monachium, etc. przełożył Ludwik Natanson, Dr. Med. 8ka. Warszawa. 1854. Nakładem H. Natansona, (druk J. Jaworskiego). Napisów kart 2, str. II i 261. Kop. 90.

63. Pieniądze czyli sztuka dorobienia się majątku. Praktyczny traktat o interesach. Przekład z wydania francuzkiego. 8ka. Warszawa. 1854. Nakład Bernstejna, druk J. Jaworskiego. Napisów kart 2, przedmowy str. V i 241. Rsr. 1.

64. Skorowidz mieszkańców miasta Warszawy z przedmieściami, na rok 1854, zawierający: 1. Spis mieszkańców z oznaczeniem numeru domu zamieszkania. 2. Spis szczegółowy lekarzy, prawników i t. p. oraz ludności przemysłowej i rzemieślniczej. 3. Taryfła domów. Ułożony pod kierunkiem urzędu Policji. Rok pierwszy. 8ka. Warszawa. 1854. Napisów kart 2 i str. 452. Taryfły domów str. 31. Rsr. 1 kop. 50.

65. Słownik geografii powszechnej. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, wysp, mórz, rzek, jezior. Ułożony według najlepszych dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich i polskich przez Romana Lisickiego i Wojciecha Szymanowskiego. 8ka wielka. 2 tomy. Warszawa. 1852—1854. Nakład Henryka Natansona (druk J. Ungra). Tom I, str. 730. Ilgi 811, i napisów po kart 2. Rsr. 10

66. Treść Roczników Gospodarstwa Krajowego z pierwszych lat XIIItu. 1842/54. 8ka. Warszawa. 1854. Główny skład u R. Friedlejna, druk J. Ungra. Karta I, przedmowy str. VI i 231.

67. Zolia Morsztynówna () Dramat w czterech aktach napisał Dr. Stanisław Piłat. 8ka. Lwów. 1854. Nakład W. Manieckiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 132. Kop. 90.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Komedia Ponsarda p. n.: „Honor i pieniądze”, której autorowi przyznano w Paryżu pierwszą z nagród, 5,000 franków, przełożoną została wierszem przez Wacława Szymanowskiego i ma być w r. b. na teatrze warszawskim przedstawioną.

— Z litografii M. Fajansa wyszedł: Obraz cudowny Matki Boskiej Częstochowskiej, odbijany z zastosowaniem chromolitografii. Obraz ten jest oddrukiem z wydawanych teraz przez A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego: „Wzorów sztuki średniowiecznej”. Sprzedaje się oddzielnie po rub. sr. 1.

— Wyszło dzieło ks. Jana Dolinowskiego p. n.: „Chów pszczół”.

— Znany wydawca i księgarz Maurycy Wolff, oddał już pod prasę drukarską przekład historyków polskich, którzy pisali po łaciuie. Pierwszy tom już w druku skóbczony. Oddział ten składać mają: Rudawski, Sobieski, Fredro, Heidenstein i Sulikowski, tłumaczenia bowiem ich dzieł już są gotowe. P. Wolff od lat kilku przygotowywa ilustrowane Album poetów polskich, w którym począwszy od sielanki Brodzińskiego Wiesław, zamieści wybór najpiękniejszych utworów poetów naszych. Ilustracje do tego Album wykonali: Juliusz Kossak, Leonard Straszyński, A. hr. Fredro i w. in.

— Wyszła w tych dniach z drukarni Józefa Ungra „Nowa muemomnika, czyli sposób ułatwiający naukę języków obcych, tudzież spamiętanie imion własnych i cyfr w geografii, statystyce i t. p., przez W. Dawida. Zawiera wyłożony łatwy i prosty środek za pomocą 9cio kolorowanej tablicy pamiętania najtrudniejszych słów, imion i liczb. Pożyteczna może być ta metoda dla wykładających przedmioty czystej pamięci dzieciom,

których pamięć jeszcze słaba i zdolności nierozwinięte, tudzież dla każdego może służyć środkiem notowania sobie w pamięci wszelkich adresów, dat i t. d. Jest do nabycia po cenie kop. sr. 40, a na papierze welinowym z tablicą kolorowaną po kop. sr. 50 we wszystkich księgarniach warszawskich i na prowincyi.

— Tom IIIci Starożytności Warszawy wydał p. Alexander Wejnert z rycinami. Szczupłą liczbę wydrukowanych egzemplarzy, bo tylko w liczbie 200, przeznaczył na wydanie tomu IV, do którego rękopism ma już w zupełności ukończony, a do tomu V i VI materiały prawie już wszystkie zebrane.

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, autorka „Domowej zagrody i Dwóch dworów”, wykończyła powieść poetyczną z XVIII-go wieku p. n.: „Powiśle”, którą w następnych zeszytach Bibl. War. podamy.

— Spór wytoczony o nazwisko Marcina Urzędowa, wywołał ze strony p. Juliana Bartoszewicza ważną rozprawę dziejów naszych dotyczącą: „Jak się tworzyły nazwiska w Polsce”, którą częściami ogłosił ten badacz w Dzienniku Warszawskim.

— Gazeta Warszawska ukończywszy druk powieści J. I. Kraszewskiego p. n.: „Powieść bez tytułu”, zapowiedziała nową powieść Zygmunta Kaczkowskiego. Dziennik Warszawski ogłosił w swoim odcinku na miesiąc lipiec szkic historyczny (J. Bartoszewicza) z XIII wieku: Iwo z Końskich Odrowąż biskup krakowski. J. I. Kraszewski nadesłał Gazecie Codziennej wyjątek z dzieła swego o Starożytnościach słowiańskich, w którym zachwiał autentyczność wykopalisk prilwitzkich. Czas wskaże po czyjej stronie prawda.

— Nakładem G. Sennewalda już wyszły lub wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiej następujące dzieła: 1) Biblia dla dzieci ks. Noirlieu, z francuzkiego. 2) Nauki ks. Piramowicza. 3) Wzniesienie myśli do Boga, wydanie piąte. (Jestto zbiór modlitw ułożony przez profes. A. Wagę). 4) Elementarz ks. Bogdana, z rycinami. 5) Wesołe powieści dla dzieci przez S. z rycinami.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł tom VI Historji Powszechnej, a wkrótce pod prasę drukarską idzie tom VIII. — Pamiętników lekarza Polaka już wydrukowano tom III; całe dzieło obejmować będzie tomów cztery. Jestto utwór znanego w literaturze naszej Dr. Teodora Tripplina.—Tęgoż autora dalszy ciąg „Asmodensza”, w 4ch także tomach p. n.: „Pamiętniki lekarza w Szwajcaryi”, niedługo pójdzie do druku.—Nakładem tęgoż ksiągarza wkrótce wyjdą: Kazania ks. Koenigsdorfera, przekład ks. Rzewuskiego w 4ch tomach; i Książka do nabożeństwa dla dzieci przez autorkę Pamiętki po dobrej matce, nowe wydanie ozdobne.

— Jan Kanty Gregorowicz wykończy obecnie dzieło: „O rolnictwie” w wykładzie popularnym.

— Leon Kunicki przygotował do druku Zbiór powieści i obrazków, które w 3ch tomach zamierza ogłosić.

— P. Marcinkowski, znany pod pseudonymem Antoniego Nowosielskiego, wykończył rękopism obszerny: „Lud ukraiński, jego podania, klechdy, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zabobony, dumy, pieśni, bajki, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry” i t. d. który nabył p. Teofil Glücksberg, i w 3ch tomach zamierza ogłosić. Pragnąc należy, aby wydanie tak ważnej pracy było staranniejsze od dotąd wydawanych dzieł przez tęgoż p. Glücksberga.

— W jednej z bibliotek większych znalazły się kazania ks. Albertandego; rękopism własnoręczny tego uczzonego historyka. Księgarz G. Sennewald ma je ogłosić swoim nakładem.

— W pracowni naszego artysty J. Gerdziejewskiego, z wykończonych kartonów szczególnież dwa następne zwracają uwagę znawców. Ustęp ze starożytnego hymnu, „Święty Boże” (Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie) posłużył za temat do pierwszego. Morowa dziewica na wynędzniałym koniu powiewa białą chustą; wściekłą wojnę pędzącą za morem na rozhukanym rumaku, powstrzymuje

wyschle śmierci widziadło: złowieszczy głód sypie nasiona głogu i cierni, a całą grupę nękającą w powietrzu nad obnażonym krajobrazem, uzupełnia czwarta kłęska, ogień, z żagwią w jednej, a płomieniem w drugiej ręce. Podanie ludowe o topielicach w Wiśle jest przedmiotem drugiego kartonu. Z wody wznoszą się w powietrzu czarodziejskie istoty tańcem kolistym. Na przodzie kawał galaru, pod budką flis uspioły, nad brzegiem chłopiec pod urokiem nadziemskiej grupy, w mdławych promieniach miesiąca, już ma wskoczyć do wody.

— P. Prosper Górski, pod napisem „Album Ukraińskie”, wiele ołówkiem wykonał kompozycy, tak z treści poezyi J. B. Zaleskiego, jak z pieśni ludowych. Zebrał także kostiumy włościan i żydów ukraińskich, w charakterystycznych scenach ich życia.

— W drukarni Gazety Codziennej wyszło z druku zapowiedziane już przez nas dzieło p. Oskara Flatta p. t.: „Brzegi Wisły od Warszawy do Cieclocinka, z dopełniającym poglądem na przestrzeń od Torunia do Gdańska. Przewodnik Żeglugi Parowej.” Dzieło to w 4-ce, ozdobione jest sześcioma widokami powisła, jakoto: Warszawa od strony Pragi, Bielany, Płock, Włocławek, Bobrowniki, Cieclocinek; oraz dwiema mappkami koryta Wisły. Ryciny po większej części z natury zdjęte, rysowane i odbite zostały w zakładzie litograficzno-artystycznym M. Fajansa; mappki zaś wypracował S. Oleszczyński dyrektor litografii Banku Polskiego. Skład główny dzieła w księgarni komissowej i antykarskiej na placu Bankowym; podróżnicy zaś żeglugi parowej nabyć je mogą u pp. Konduktorów statków osobowych. Cena exemplarza rubli srebrnem 2.

— We Lwowie nakładem W. Manieckiego, a w drukarni Zakładu Ossolińskich, wyszedł z druku podarek dla młodzieży: „Kilka słów o życiu ś. Stanisława Kostki,” przez ks. Jakóba Nowakowskiego.

(Z listu). „Członek Komissyi statystycznej w Kijowie p. Afanasijew, tłumacz na język rossyjski powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, z polecenia rzeczonyj Komissyi odbywa podróż po Małorossyi, w celu rozpoznania kurhanów czyli starożytnych mogił, których niezliczona ilość pokrywa kraj ten cały. Pracy tej niemało trudów i czasu poświęcił znakomity nasz badacz śp. Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnecki): obszerne materiały dotąd zebrane przez niego, w ukryciu zostają. W gubernii połtańskiej, przy ujściu rzeki Sleporda do Suły, na strumym prawym brzegu pierwszój, wznosi się wał ziemny zwany Horodok, a dokoła rozciągają się jeszcze nietknięte kurhany. Przy kopaniu ich okazały się skieletry, wszystkie obrócone głową ku zachodowi, na prawym boku. Znalezione na nich pozieleniałe naszyjniki i pierścionki. Tenże p. Afanasijew wykonał słownik małorossyjski, do którego zebrał wielkie materiały w wędrowce swojej po tym kraju, i w zbliżeniu się do włościan famecznych. Będzie to ważny przyczynek do przyszłego słownika narzeczy słowiańskich.

— Nakładem księgarni Kallenbacha we Lwowie wyszły: Dzierkowskiego J. Dwaj bliźnięta; powieść, 1854.— Tegoż: Znajda, powieść.— Piątkowski R. Praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurydzy, i powieści Mieczysława R.: Chorąży, Chart watażki.

— Nakładem Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego wyszedł: Rozpraw Towarzystwa tom 15.

— W Krakowie, w drukarni Czasu wyszła: Odezwa pasterska biskupa dyecezyi Viviers we Francyi, w przedmiocie pukających stolików; przełożył ks. Alfons Skórkowski.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



Warszawa, dnia 1 czerwca 1854.

Miejsce obserwacji w Obserwatorium Astronomicznym w Warszawie, przy ulicy Krakowskiej 15.

WYKONANIE OBSERWACJI				WYKONANIE OBSERWACJI				Czas
W dniach 1-30 czerwca 1854 r.				W dniach 1-30 czerwca 1854 r.				
1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25	26	27
28	29	30	31	32	33	34	35	36
37	38	39	40	41	42	43	44	45
46	47	48	49	50	51	52	53	54
55	56	57	58	59	60	61	62	63
64	65	66	67	68	69	70	71	72
73	74	75	76	77	78	79	80	81
82	83	84	85	86	87	88	89	90
91	92	93	94	95	96	97	98	99
100	101	102	103	104	105	106	107	108

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Czerwiec, 1854.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.418	27	7.327
Najwyżej barometr dochodził d. 22 o g. 10 r.	753.82	27	10.166
Najniżej — — — d. 3 o g. 10 r.	734.40	27	1.566
Średnia zmiana dzienna barometru	2.810		1.246
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 6 r.	14.64		6.490
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	1.066		0.472
Średnia temperatura Czerwca wynosi	+ 16.06	C.	+ 12°.85 R.
i ta jest niższa o	1.57	„	1.25 „
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	+ 17.63	„	+ 14.10 „
Największe ciepło było d. 20 o g. 4 w.	+ 29.4	„	+ 23.52 „
Najniższa temperatura była d. 4 o g. 10 w.	+ 6.0	„	+ 4.80 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.331	„	1.865 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 29—30 o g. 10 r.	9.1	„	7.28 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 23.5 R. d. 20 po połud.

Minimum: + 3°.9 „ d. 5 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 71.4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.82 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.01 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 70.7 mil. czyli 31.34 lin. par.; to jest o 2.21 lin. par. więcej jak zwykle w czerwcu u nas spada.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 10, pochmurnych 18.

— deszczu 19 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 15, 17, 21, 22, 23, 29, 30).

— gradu 1 (d. 5).

— grzmotów 2 (d. 15, 29).

— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 12, 15, 16).

Wichrów było 3 (2 PdZ., 1 Z.).

Wiatrów mocnych 3 (1 PdZ., 1 Z., 1 PnZ.).

Wiatr panujący zachodni, częste były także północno-zachodnie.

Czerwiec r. b. w ogóle był niepogodny, słotny, wilgotny, o 1.25 stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Pierwsze 15 dni były niepogodne, w deszcz obfite i bardzo chłodne; średnia temperatura tych dni wynosi tylko 9.77 stop. R. i jest niższa o 2.52 stop. R. od temperatury pierwszych 15 dni maja r. b. a o 2.29 stop. R. od temperatury drugiej połowy tegoż miesiąca. W drugiej połowie, czerwiec był dość pogodny i ciepły i zaczynał u nas właściwe lato, gdyż pierwsza połowa dla niskiej temperatury, więcej do pory wiosennej była podobna. Szczególnie dzień 8 był chłodny; średnia jego temperatura wynosiła tylko 6.3 stop. R. Najcieplejsze dni były d. 17, 18, 19, 20, 21, 27, 28, 29; najchłodniejsze d. 4, 6, 8, 9, 10. Grzmoty i błyskawice, które w maju r. b. były częste, w miesiącu czerwcu były bardzo rzadkie i krótko trwające. Wilgotność powietrza przeszła o jedną setną była większa niż zwykle. Wody z deszczu spadło o 2.21 lin. par. więcej niż w stanie średnim. D. 27 po blisko dwu miesięcznym upływie czasu od zniknięcia plam na słońcu, znowu dwie małe się pokazały.

STRONA MORALNA

JANA KAROLA CHODKIEWICZA,

WYCZYTANA Z JEGO LISTÓW.

PRZEZ

Seweryna Gołubińskiego.

Ludzie, którzy swojemi czynami imię sobie zdobyli, którzy źle lub dobrze zasłużyli się społeczeństwu, przechodzą na własność powszechną, i stoją na widowni: każdy ma prawo o nich sądzić i ukochać, potępić lub pogardzić. A wielcy ludzie są to wielcy przodkowie: każdemu przystało wpatrywać się w ich czyny i wzbudzać się myślą, jeśli nie do dzieł wielkich, bo to nie każdemu jest dano, to przynajmniej do pracowitego i niezamiłowanego w sobie żywota. Ci ludzie zarówno mi są drodzy jak i tym, którzy od nich pochodzą; zarówno do mnie należą jak do tych, którzy jedno z nimi noszą imię: lekkim słowem obelgi na nich nie rzucę. Niechaj spią w grobach otoczeni szacunkiem i miłością ludzką. Lecz inna jest cześć i szanować, inna wszystkich i wszystko bez wyjątku chwalić: do téj roboty nie jestem zdatny. To też nikt mnie nie posądzi, żebym miał kiedy pisać panegiryki.

Nikt mi też nie zarzuci, że ci o których piszę są podobni tak, jak gdyby w jednej formie ulani. Wielkość nie zaślepia mnie do tego stopnia, żebym nie miał widzieć wad w ich charakterze, błędów w ich postępowaniu, a nie jestem powodowany żadnemi względami, któreby

mnie skłaniały do zakrycia prawdy. Daję ludziom to, co w dziejach znalazłem,—szczerą prawdę. Ale niedosyć proch i kości między gruzami dziejowemi odszukać: trzeba żeby ten proch i kości w ciało się zrosły, trzeba to ciało natchnąć życiem, trzeba żeby powstał z martwych mąż, i przed waszemi oczyma roztoczył całe pasmo swojego żywota, żeby odstąpił przed wami głębię swojej duszy, tajniki serca, skryte pobudki działań. Wtedy dopiero opisanie żywota będzie dziełem artystycznym.

Wracam do założenia, że moi wielcy ludzie niesą do siebie podobni, i że nie jestem dla nich z bezwarunkowem uwielbieniem. Piszę w dobrej wierze, a jeśli komu te postaci inaczéj się wydadzą, niech mnie przekona i prawdę wyświeci. O pióro i papier nietrudno, a jak w dawnych czasach szlachecowi przystało dobrze bronią robić i koniem dzielnie toczyć; tak dziś, kiedy żyjemy w epoce szermów umysłowych, człowiekowi z ukształceniem przystoi zręcznie się wystawić i dobrze się wypisać.

Żeby raz skończyć ten wstęp może zadługi, przejdźmy do strony moralnej Jana Karola Chodkiewicza, wyczytanéj z jego listów, których miałem księgę pod tytułem: „Kopia z oryginału metryki listów pisanych od j.w. Jana Karola Janowicza hrabi na Szkłowie, Bychowie, Myszy Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana w ks. lit., do różnych osób, w przeciągu lat czterech, zaczętych w roku 1613, przepisana przezemnie Kaźmierza Borzechowskiego w roku 1780, 1 februarii w Czarnobyli”.

W dziele Naruszewicza: Życie Jana Karola Chodkiewicza jest historia polityczna narodu; człowieka z krwią, kośćciami i duchem, ze słabościami i potęgą moralną, darmo byłoby szukać. Z księgi listów, jakkolwiek prawie wyłącznie pisane były w sprawach publicznych, człowiek już na jaw występuje. Starałem się schwycić jego fizyognomią i odszkicować ją w głównych zarysach.

Z przeszłości mało zostało śladów życia rodzinnego; sprawy publiczne na pierwszym planie, życie rodzinne kryje się gdzieś w cieniu, i z listów nawet nieśmiało wyziera. Przekonałem się o tém studyjąc pisma znakomitych mężów XVI i XVII wieku. Bój, rada, wybory posłów ziemskich i deputatów na trybunał, zajścia między możnemi panami, zwrot opinii publicznej, wypadki za-

graniczne: oto jest treść tych listów; uczucia osobiste zostają w głębi serca ukryte, bo przodkowie nasi nie zwierziali ich papierowi. Ludzie rycerscy, których pierś w zbroję była zakuta; mężowie stanu, których głowa schyliła się pod ciężarem myśli: nie pieścili się z temi uczuciami jak my dzisiaj, dla których życie zawarte jest kółkiem rodzinnem.

Gdybym miał środki nakładowe Edwarda Raczyńskiego, wydałbym księgę listów Chodkiewicza; dzisiaj daję co mogę, owoc mojej pracy, częściowe obrobienie. Łatwiej u nas o piszących jak o ludzi z dobrymi chęciami, którzyby chcieli przyjść w pomoc pożytecznemu przedsięwzięciu. A gdyby nawet było inaczej, takie jest bogactwo źródeł, że niepodobna ograniczyć się wydawaniem surowych materyałów. Wiek i siły pojedynczego człowieka zaledwie wystarczyć mogą do wyrwania z niszczącej ręki czasu cząstki nieprzebranych bogactw.

Wybitną stroną w charakterze Chodkiewicza jest duch oliary, zaparcia się siebie samego, poświęcenie dla dobra pospolitego. Piękna to strona i cześć dla niego wzbudza; ale zamiłowanie dobra pospolitego jest rzeczą tak zwyczajną w owych ludziach ze stalowym hartem duszy, że rozszerzać się nad tém nie widzę potrzeby.

Zalecały go pobożność i gorliwość o wiarę. Przed bitwą zawsze żarliwie się modlił, i zadając sobie umartwienie, na gołej ziemi przy łożu sypiał, a w dzień bitwy nic nie jedząc ani pijąc, czy to kańczukiem, czy paskami cd szabli, czy ostrym cierniem, ciało swoje okrutnie ranił. Co sobota przystępował do spowiedzi i do stołu Pańskiego; mszy świętej codziennie słuchoł (1).

Kiedy się wybierał na wyprawę inflancką, odebrał z rąk biskupa chorągiew i szablę poświęconą, a na ewangelii wprzód położoną. Do N. Panny szczególnie nabożny, pieśń Bogarodzica i inne, do potrzeby idąc z wojskiem, nabożnie śpiewał. Z więźniami obchodził się łaskawie. Po zwycięztwie kircholmskiem, poległym nieprzyjaciołom wspaniały pogrzeb wyprawił (2).

Dla rozszerzenia chwały bożej i dla pożytku bliźnich nie ścisnął dłoni. Jałmużny hojne sypał, tak, że gdy szedł z żoną i z synem do kościoła, inszy worek

(1) 2) Niesieckiego Korona polska.

z pieniędzmi za nim, inszy za jego żoną, a inszy za synem niesiono (1). Kościoły rozmaite fundował i wspierał, był patronem Jezuitów, założył kollegium jezuickie w Krożach na Żmudzi i nadał im majątek Kotonawę (2).

Wiarę ku panu statecznie chował. Gdy na konwokacji wileńskiej 1613, ludzie radzić chcieli o odmianie pana; Chodkiewicz chociaż nieobecny oświadczył się za królem, przestrzegając blizkich i obowiązanych sobie, aby na same tylko pobory naciągali rzeczy, a gdyby co nowego podawano, aby protestacją uczyniwszy odjechali (3).

„...Wiarę ku panu zawsze pro sacro sancto miał dom mój, toż i ja sam. O rokoszach, o fakciach, o zamieszkach nigdyśmy nie myśleli i nie myślimy, jak to się dworskim widzi, którzy ucho pańskie piastują. Że we wnętrznościach prawie nieprzyjaciela mając, prosimy pokornie pana, aby nakoniec ściągnął ku obronie naszój ręce, których się związaniem wymawia; nie ma w tém nic przeciwnego wierze ku niemu. Mój prywatny żal jaki jest, nie jest taki, abym go darować nie miał ojczyźnie. Dworscy wałą na mnie to, czemu sami byli przyczyną, urągając cnotcie, zasługom, pracy, i rozsypanej dla pana i ojczyzny chudobie mojej. Tyle mam w zysku miasto wdzięczności, miasto nagrody, która i u pogan dobrze zasłużonym otwarta bywa, gdym z konia nie zsiadając siwego dopędził włosa, gdym zdrowie stracił, gdym się ze wszystkiego wyzuł, a prawie przy ostatniej desce rozbitego został okrętu” (4).

Litwin zacięty nie mógł tego zapomnieć, że jeszcze za Jagiełłów Wielkie Księstwo było oddzielną Rzplitą; a lubo bronił się z wielkim oburzeniem od porozumienia, jakoby usiłował unią rozerwać: nienader serdecznie umiłował braci koroniarzów. „A tośmy prawie bez obrony, powiada, na ciężki raz od nich rzuceni. Sam Pan Bóg niechaj o nas radzi, bo ludzkie rady już

(1) Niesieckiego Korona polska.

(2) J. K. Ch. do Adama Dyrmy podstarościego żmudzkiego, 12 czerwca 1614

(3) J. K. Ch. do Alexandra Sapiehy starosty orszańskiego, 17 października 1613.

(4) J. K. Ch. do Zbigniewa Ossolińskiego wojewody sandomierskiego, 16 maja 1614.

ustały (1). Nie wiem kogo taka gorąca miłość ciągnie ku koronie polskiej — powiada w inném miejscu — żeby naszymi pieniędzmi ich potrzeby opatrywać.”

Charakterystyczny jest list do Lwa Sapięhy, z dnia 4 września 1613 r., o ratowaniu pochyłój Rzptėj, w którym wyraża obawę, aby nie było jakiej zмовy na wyniszczenie narodu litewskiego.

Był czas, kiedy na wagę złota wazono Chodkiewiczów. Rzecz tak się miała. Iwanowi Chodkiewiczowi, który był namiestnikiem na Kijowie, Tatarzy jedynego synaczka wzięli do niewoli. Złotem odważony przez ojca wrócił do piérwszej swobody. Razem z takimi podaniami przechowywała się między niemi duma rodowa: ze sławą przodków spadała z ojca na syna.

Karola Chodkiewicza kłuta w oczy równość szlachecka; nie był jój wyznawcą ani zwolennikiem, a lubo nie mógł zaprzeczyć, że się szlachcicem urodził, zwykle dodawał, że jest szlachcic starożytny i patrycyusz (2).

Trudno było płynąć przeciw wodzie. Chodkiewicz wyznawał, że zostaje na równi z drugimi pod jednym filarem praw i swobód szlacheckich; wszakże w stosunkach z równymi sobie, przebijała się jego rogata duma. „Osiały jest szlachcic” powiada do Szukszty, który prawem chciał dochodzić kilku wiosek należących do starostwa żmudzkiego „nie rzekę starożytny, i zasług jakichkolwiek w ojczyźnie: masz mnie Waszmość zkąd poznać. Szkoda tylko było sumienie w liście wspominać, bo i starostwo i wioski i Waszmość sam nie jesteś u mnie w takiej wadze, żebym o nie miał dbać” (3).

Brat Karola, Alexander Chodkiewicz wojewoda trocki, pojął za żonę Katarzynę Korniaktównę, upatrując nie posagu, ani dziedzicznych majątności, ale cnoty, wzajemnego przywiązania, i dożywołniego w żonie przyjaciela. Siostra jój wyszła za Zbigniewa Ossolińskiego wojewodę sandomierskiego, którego zaciągnął Chod-

(1) J. K. Ch. do księżny Koreckiej, 1 kwietnia 1613; do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, 13 kwietnia 1613.

(2) W erekcyi funduszu collegium jezuickiego w Krozach, Chodkiewicz o stanie szlacheckim tak się wyraża, jak gdyby sam do niego nie należał: że „założenie collegium będzie z wielkim pożytkiem dla stanu szlacheckiego, od którego my i przodkowie nasi wielkiej doznawaliśmy miłości i życzliwości.” Naruszewicz życie J. K. Ch. T. II, ks. II. § 8.

(3) J. K. Ch. do Szukszty, 28 września 1613.

kiewicz w te związki. Tak więc Korniaktowi, dom szlachecki na Rusi, wsparli się dwiema rękami na dwóch filarach potężnych w Rzplitej domów.

Między wojewodą trockim a Korniaktem nastąpiły jakieś zajścia. Z tego powodu hetman pisał do Korniakta: „Pamiętaj Waszmość, że ze szwagrem sprawa, a ze szwagrem Chodkiewiczem, którego obraza i mnie ciężko dotyka (1)”. W tych kilku słowach przebija się gwałtowna i nieukrywana dumą.

Wojewoda trocki, który dla spraw pani mateńki przesiadywał na Rusi, zaniedbawszy spraw swoich domowych, po jej śmierci dopominał się o wynagrodzenie swoich utrat, a gdy ich nie otrzymał, najechał na Sośnicę majątek Korniakta, i pozabierał rozmaite rzeczy, na które wydał rekognicyą ze swoim podpisem, powiadając, że te rzeczy należą jego żonie ze spadku. Korniakt to nazwał łupieztwem, przed sąd go pozwał, a siostrę odeśłał z grubemi słowy, żeby wojewoda do Sośnicy nie jeździł, bo każe przed nim zamknąć wrota.

Hetman wielce się obraził, boćto tylko przed niego-dnemi zamykają wrota. Więc pisał do Korniakta, że kiedy Pan Bóg tak chciał, a szczęście mu przyniosło, że Chodkiewicza miał za szwagra, należało go inaczéj szanować; przypomniał mu, że jak z domu Chodkiewiczowego i Zborowskiego wielką miał ozdobę, tak za odtrąceniem ich niewieleby mu zostało (2).

Otwarcie wyznawał, że nie pochwała związków w nierówności rodu zawartych, że takie związki nie przynoszą nigdy pociechy. „Ta nieszczęsna nierówność, bodaj nigdy w domy nasze nie wstępowała” (3).

Przekładał bratu, że cała ta sprawa zacząwszy od ożenienia, na djabła się nie zdała. Ganić w szwagrze to, coby się honoru tykać miało, a cóż innego jest jak tą naganą swoją małżonkę mazać. Przed prawem się rozprawiać, obu stronom nie przyniesie zaszczytu; wyzwać na rękę krewni nie dopuszczą: lepiej więc bez hałasu ugodą przyjacielską skończyć, zwłaszcza gdy druga strona schyla się do zadosyćuczynienia” (4).

(1) J. K. Ch. do Korniakta, 14 czerwca 1616.

(2) J. K. Ch. do Korniakta, 21 lipca 1616.

(3) J. K. Ch. do Zbigniewa Ossolińskiego, 18 lipca 1616.

(4) J. K. Ch. do Alexandra Chodkiewicza, 20 lipca 1616.

Sam dwa razy był żonaty; naprzód wziął za żonę Zofią Mielecką, wdowę po Szymonie księżęciu Słuckim; potem w podeszłym już wieku Annę księżniczkę Ostrogską. Mielecka zostawiła mu dwoje dzieci: syna i córkę. Syna nie chciał w domu chować. Właśnie miał go za granicę wysłać i szukał człowieka, któremu by go mógł śmiało powierzyć, kiedy śmierć przecięła dni 16 letniego chłopca (2 lipca 1613 r.), który był nadzieją i dumą starego ojca. Optynęło żalem jego serce, ale z mężką odwagą zniósł tę stratę. Tylko zmarszczek kilka przybyło na czole myślami pooraném, tylko większa surowość osiadła na twarzy.

Bóg dał, Bóg wziął! Dotknięcie Pańskie znosił cierpliwie, a choć głęboko żarzyła się boleść w ojcowskiem sercu. nie pokazywał jój przed ludźmi.

Pamięć przodków wysoko szanował. Powracając z sejmu 1615 r., jechał przez majątność gnieźnieńską, która przedtém była w jego domu, i z ciężkim żalem patrzył na spustoszenie kościoła, w którym były groby rodziny Chodkiewiczów, i w którym leżało ciało jego matki. Kościół stał pustkami, bydło pasło się w ogrodzeniu kościelném i deptało święte miejsce. Hetman pytał ludzi i dowiedział się, że żyd jest arendarzem, i że dziedzie Okuń nie dba o tę majątność. A więc, lubo nie był w kopę zamożysty, i raczej przedawać dla Rzptej niż kupować majątności zwyczajny; ochraniając kościół od dalszej ruiny, a mogiły od nieszanowania, oświadczył Okuniowi, że radby odkupił Gnieznę, i o pieniądze, jak tylko odpowiedź odbierze, pilne staranie uczyni (1).

Złe przygody, a bodaj i niedostatek przy ogromnej, ale zadłużonej fortunie, z dumą znosił. „Co czynić, mój Pawle,—pisał do towarzysza broni,—gdy na takie czasy przyszło, że największej cnocie najgorzej się płaci. Ale niezapadło jeszcze w oczach naszych słońce wszystkich dni, będzie jeszcze tak fortunny czas, że szabla chleb zarobi, pozyszcze nagrodę, przynajmniej wdzięczna potomność wiekuistą odmierzy pamiątką; ale ciężko cnotliwie służąc, zdrowie i chudobę tracić” (2).

Brał ze skarbu jurgieleł zabezpieczony na Upicie i na Mohilewie, ale zwykle czekać musiał, a wydatki he-

(1) J. K. Ch. do Okunia, 14 kwietnia 1615.

(2) J. K. Ch. do Pawła Ruckiego, 21 lutego 1614.

tmańskie opędał z własnej szkatuły. A gdy w skarbie zawsze brakowało pieniędzy, nieraz trzeba było udawać się to do osób prywatnych, to do OO. Bernardynów, i z jałmużny, niemal z ołtarza brać i płacić żołnierzom (1). Tu znowu, żeby wystąpić na sejmie, hetman wioski sprzedawał, a przyjaciół z sobą zaciągał, żeby pokazać się jak przystało Chodkiewiczowi z ozdobną komitywą (2).

Król jak zwykle zostawiał go bez opatrzenia. „Im dalej, tém więcej ekspensów panu i ojczyźnie przychodzi mi czynić;—pisze do podskarbiego—więc jeśli mi nie wstyd wspierać ojczyznę chudobą, nie wstyd także o swoje się upomnieć. Szczupłości skarbowej dawno wiadomym, i o to tylko proszę, abys Waszmość kilką tysięcy złotych raczył gwałtownym potrzebom moim miłościwie wygodzić” (3).

Uskarżał się na króla, że nie ma względu na jego zasługi (4), więc na szycie butów przez ciche praktyki (5). Wolno JKMości, dodawał, szafować jako chce łaską swą pańską, wolno i mnie cnotą zacierać zawiść i złośliwość.

Nie skrycie u dworu, ale jawnie na sejmikach starał się o to, żeby król pamiętał na jego zasługi i utraty, że tak wiele majątności zbył i zbywać nie przestawał na opędzenie długów (6).

W kilku słowach streszczam stronę moralną Chodkiewicza. Był pan dumny, patrycyusz, który uważał siebie za coś wyższego od szlachcica; Litwin rozmiłowany w swojej prowincjonalnej narodowości, straszliwy impetyk, który łątał jak bohaterowie Homera, a w razie potrzeby gotów był buzdyganem dojechać przeciwnika; ale zarazem mąż prawy, wykształcony na wzorach starożytnych, daleki od wszelkiej chciwości i ambicyi, wielkiej cnoty, silnej woli, żelaznej prawicy; wódz, który przed bitwą nie liczył nieprzyjaciół, a w bitwie jak piorun uderzał i zawsze wygrywał.

W Polsce pomimo zmiian, jakie czas z sobą przynosił, był silny żywioł zachowawczy; majestat królewski

(1) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza podskarb. w. lit. 19 lutego 1614.

(2) J. K. Ch. do Adama Dyrmy podstarościego żmudz. 1 listop. 1614.

(3) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza, 27 marca 1613.

(4) Bez adresu, 3 listopada 1614.

(5) J. K. Ch. do Alexandra Gosiewskiego.

(6) J. K. Ch. do Jewłaszwowskiego sędziego ziemskiego nowogrodzkiego, 17 grudnia 1614.

i powaga urzędów były szanowane, a jeśli je kiedy zaczepiono, czołem stawali tacy ludzie jak Zamojski, Sapieha, Chodkiewicz. Więc ten ostatni wielce stał przy tém, aby urząd hetmański, który uważał za drogi klejnot w koronie, nie został z powagi wyzuty; z tego powodu zanosił protestacyą przeciw uchwale sejmowej z 1613 r. Bronił powagi urzędu z przeświadczeniem, że to jest jego święty obowiązek. „Co od przodków podane nam jest, niechaj sacro sancto będzie. W urzędzie moim żadnemu gmérać nie dopuszczę; więc i lata i zasługi moje inakszego godne są poszanowania”.

Szlachta żmudzka obawiając się napadu od Szweda w jego nieobecności, uchwaliła postanowienie, żeby w razie nagłej potrzeby wybrać pułkowników, i stanąć pod chorągiew ziemską. To postanowienie jemu jako staroście podała do zatwierdzenia. „Postanowienia tego, odpowiedział Chodkiewicz, które jest z uszczerbkiem władzy méj starościńskiej, przyjąć żadnym sposobem nie mogę. Za najdroższy klejnot od przodków Waszmość to mieć raczycie, że chorągwi bez woli i upoważnienia starosty żadnemu podnieść niewolno. Trzyma tam ramię moje p. Dyrma; onemu należy w niebytności méj, gdyby co takowego zachodziło, podnieść chorągiew i zabiegać złemu. Gdzie nas starodawne instytucye nie skrzepią, nowe wynalazki prędzej zagubią” (1).

Z wielką obrazą przyjął żądanie szlachty żmudzkiej, żeby została zniesiona dyrekcyja sejmików przez podstarościęgo. „Bywało to za moich poprzedników,—odpowiedział,—jam tylko wadził. Wygadając jednak apetytom Waszmościów, zaniechęciem téj dyrekcyi kazał. Niech już tam idzie przez marszałka zgodnemi głosy obranego. Ale dobrzeby na dalsze czasy spojrzeć, jako samych Waszmościów będzie bolało, gdy któremu po mnie to miejsce zasieść przyjdzie. Przy bytności jednak swéj, dyrekcyą sobie w całości zostawuję” (2).

A jako wypiastrawał w sobie dumę rodową i uczucie godności osobistój, tak nie starał się o to, żeby pohamować w sobie gwałtowność charakteru, popędliwość niczem nieobuzdaną. W szkołach jeszcze, ksiądz Lesiew-

(1) J. K. Ch. do szlachty żmudzkiej, 7 marca 1614.

(2) J. K. Ch. do szlachty żmudzkiej, 30 marca 1615.

ski jezuita jego nauczyciel, kiedy Chodkiewicz w impet wpadał kazał mu oczy zawiązywać. Ta jego cholera była usposobieniem wrodzonym; a pod koniec życia, gdy wzmożyły się dolegliwości flzyczne, zamieniła się w stan chorobliwy i podwładnym silnie uczuć się dawała. Wielu z rycerstwa nie lubiło go za to, że był surowy i przestrzegał ściśle karności wojskowej, a bardziej jeszcze za to, że był impetyk i sam nad sobą panować nie umiał.

Kiedy w gniew wpadał, nierachował się ze słowami: dochodzić krzywdy swojej na cudzym grzbiecie, zostawić komu pamiętne na grzbiecie, dać w gębę, pokazać zęby, to są w listach jego pospolite wyrażenia.

Chłop z wioski Chodkiewicza przeszedł do Zacha obywatela inflanckiego. Chodkiewicz kazał chłopca za chłopca zabrać, a gdy mu poddanego wrócono, list napisał prosząc Zacha, żeby zachował się po sąsiedzku, bo on nie da despektowi na grzbiecie swoim usychać (1).

Ta jego popędliwość dobrze się maluje w liście do Sanguszki księcia kowelskiego.

Sanguszko książę koszerski, synowiec księcia kowelskiego, urodzony z Chodkiewiczówną, mając od króla przyznane lata, wstąpił do klasztoru i rozporządził majątkiem. Siostra jego Anna przez Karola Chodkiewicza została oddana na opiekę w dom księżny Hołowczyńskiej, wdowy, zaręczonej Hieronimowi Chodkiewiczowi kasztelanowi wileńskiemu, która miała być dla niej zwierciadłem cnót wszelakich, bogobojności i uczciwych postępków.

„Książę koszerskie, że będąc w opiece j. m. pana wojewody trockiego (2), za pozwoleniem mojem, nie za zleceniem Waszmości do klasztoru wstąpiło, z woli się to bożej działa i dalej dzieje. Iż za przyznaniem lat od J. Kr. M. i opiekunów dyspozycyą dóbr swych czynić chce, swoim już zdaniem, nie podlegając żadnym opiekunom, z których się w. m. przyrodzonym chrzcisz; nie odrzekam się i ja krwie swój, tem bliższym jój będąc, im większe z testamentu na sobie obligamenta noszę; a jeśli w. m. z dziwnej miłości swój czynisz, czynić i ja chcę z podwójnego węzła spowinowacenia (3). Co się tknie księżny Anny, nie jest to z honorem jój, aby po Lwowach

(1) J. K. Ch. do Zacha, 10 września 1614. (2) Alexan. Chodkiewicza.

(3) Ex duplici vinculo necessitudinis.

i Lublinach w pierwszym tym lat swych kwiecie biegać miała; nie jest to i kandorowi w. m. życzyć jęj tego. Jejmość pani mińskiej (1) męj miłościwęj pani nietylko żebym miał radzić wydanie jęj do rąk w. m., ale owszem gorąco proszę i prosić będę, aby pod skrzydłami łask swych do końca ją chować raczyła, i miejsca jęj uczciwszego i ćwiczenia w cnotach więszego nie widzę. Miłując sławnęj pamięci nieboszczyka pana małżonka swego, miłuje krew jego (2) jako wielkich cnot i wysokiego rozumu pani; przy wszelakiem uszanowaniu takie wychowanie daje, jako na stan jęj przynależy. Wolę ją tam widzieć, niżby obce kąty pocierać miała; bo chociaż w. m. nie jest wyrodkiem domu Sanguszkowskiego, jednak głębszych lat będąc, a pono i więszęj w rzeczach nad w. m. wiadomości, to czynię, co mi samo sumienie czynić każe. Rozumiem téż o książęciu koszerskim, że dając miejsce racyom i perswazyom nas powinnych swych, nie ściągnie oka i z siostry swęj, i tak ją zostawi, jakoby w pociechę subtelnym targom nie poszła. Nakoniec wiedzieć trzeba, że jako niżej w linii tęj krewności nie staną nad w. m., tak gmérać w opiece żadnemu nie dopuszczę; zaczem w. m. jeśli zechcesz nawiedzić ją, będziesz mógł, w rękach swych jednak nie będziesz miał. Oddaję zatem powolne służby swe w łaskę w. m. pana. Z Bychowa, 12 septembra a. 1613.

„Na cedułę Waszmości jako na grubo pisaną nie odpisuję i napominam tylko, abyś w. m. pan skromnięj (3) drugi raz ręką do pióra ściągał, bo kto pisze co chce, odniesie czasem czego nie chce, a z takich przycinków przychodzi więc zwykło do załębków. Ostatek sensu wytłumaczy pan wojewoda trocki i da o sobie sprawę, że jako nie gmérał nigdy w domostwie w. m., tak żaden baczný zaproszyć mu tem oka nie może”.

Z Lwem Sapiehą kanclerzem, Chodkiewicz zwykle nie zgadzał się w zdaniu; była między nimi zawiść i niechęć w sercach tajona. Żółkiewskiego nie lubił, a od czasu wzięcia w niewolę Samuela Koreckiego, dziwne rzeczy na niego wygadywał.

Samuel Korecki był siostrzeńcem Chodkiewicza. Gdy skarżył się, że hetman koronny niechęć ku niemu

(1) Księżnie Hołowczyńskięj. (2) Matka księżniczki Anny była z domu Hołowczyńska, cioteczna siostra Chodkiewicza. (3) J. K. Ch. do starosty mińskiego, 18 maja 1615.

chowa, Chodkiewicz odpowiedział: „O niechęciach nie wiem i wątpię, aby jakie były, jeśli pan hetman czyni co powinność jego niesie” (1). Były to słowa rozsądne i umiarkowane.

Dowiedziawszy się o wzięciu w niewolę Koreckiego, wziął do serca ten wypadek, i z oburzeniem powstawał na Żółkiewskiego, przypuszczając do głowy najdziksze niedorzeczności. „Teraz,—pisze w liście do brata,—to rozumiem czynić za najpotrzebniejsze, aby starać się o jego uwolnienie; bo jeśli ten dobry pan pisał do Skinder baszy, aby go na pal wbić kazał, cóż w. m. rozumiesz, jeśli się dowie o nim, że jest u Imbraim baszy, jeśli nie rzuci kamienia, aby mógł nienasyconemu krwi ludzkiej sercu dosyć uczynić. Taić tedy dla Boga o tem kędy jest, a o uwolnieniu pilno myśleć”. Pisał do matki Samuela gorące listy, żeby puściła w niepamięć obrazy, jeśli jakie były między nią a synem, i użaliła się krwi własnej. „Panie Boże odpuść te białołtowskie fupy, powiada Chodkiewicz: nigdy nie trzymają się pomiarkowania i zawsze w ostateczności idą”.

„Nie dziw, że krwi pragnie, gdy się na krew zaprawił w domu naszym, na Samuelu Zborowskim. Teraz na Koreckim radby pragnienie swoje nasycił; ale nie będzie na tych godach, nie odstąpię krwi swój póki mię jeno stawać będzie”. Więc wszelkich sprężyn poruszył żeby ratować Koreckiego, a Żółkiewskiemu finę pod nos puścić; sejmików mocno pilnował, praktyki rzucił między powinne, związał się ze Zbaraskimi, którzy byli w otwartej nieprzyjaźni z Żółkiewskim, przez wystąpienia u dworu pilnie ucha nakładał na tę sprawę. „Nie zażyje pociechy ten dobry pan, powiadał, acz rozumiem, że pełną gębą będą wytrąbywać urojony pokój z Turkiem, mianowicie Ożga, zatem wieczności barskiej zażądata (2). Trzeba wejrzeć dobrze w te pakta, i rychléj na nim, jak na Koreckim poszukiwać (3)”.

Imbraim pasza u którego Korecki był więźniem, okazywał mu wielką życzliwość; zaszła już nawet umowa o wykupienie go z niewoli i pieniądze przez matkę były

(1) J. K. Ch. do Samuela Koreckiego, 22 kwietnia 1616.

(2) Zamojski za zwycięztwo pod Byczyną otrzymał na wieczność starostwo zameckie i krzeszowskie.

(3) J. K. Ch. do Alexandra Chodkiewicza, 27 lipca 1616.

przygotowane. Niespodzianie rzeczy inny obrot wzięły: Chodkiewicz obwiniął Żółkiewskiego, że to jego sprawa. „Trwożyłem się ja zawsze, pisał do Karola Koreckiego, patrząc na niechrześcijański affekt pana hetmanów, i dlatego radziłem, aby w głębokiem utajeniu miejsce pana Samuelowe było. Aż oto złości swojej dał dalszą wolę; zaczem ja już zupełnie wątpię, i prawie jako za umarłego Pana proszę; bo jeśli taka złość tego Żółkiewskiego nie mogła się zahamować bojaźnią bożą, że krew chrześcijańską podał praktykami w ręce nieprzyjacielskie, a cóż się będzie oglądał na żywot pana Samuelowy, za któregooby zwróceniem ponoby ten pan we dzwonie chodzić musiał (?). Zwątpiłem tedy zgoła i już nadziei żadnej nie mam. Co zatem czynić, trudna rada. Wywiedzieć się trzeba pilno, jeśli myśl i affekt pański nie jest jednaki z hetmanem, o czem wątpię, gdyż pisze mi sługa, któremu ja posłałem do j. kr. m. w sprawach moskiewskich, że nie ma ten niezbożnik pana sobie przychylnego, Suplikować tedy pana, aby poruszony litością upadłemu poddanemu podał rękę, a lubo pismem, lubo gońcem do Turków starał się o jego swobodę. Jeśli zaś jednakiego z hetmanem jest zdania, starać się przez królewicza, który zawsze przychylny był panu Samuelowi. Jeśli to nie pomoże, praktyki przez posła angielskiego i francuskiego czynić, by też i do samych monarchów posłać o listy; przez Ormiany traktować, bo u tamtych ludzi wszystko sprzedajne; więc przez Wołoszę, która była życzliwa potomstwu Jeremiego. Starać się też o to, aby na więzienie tam gdzie p. Potocki siedzi nie był dany, bo powrót ztamtąd trudniejszy” (1).

Od Jarosza Wołowicza podskarbiego lit. któremu zawsze rad służył, doznał wielkich przykrości. Więc gdy 15,000 zł. przez króla darowane, podskarbi przy wypłacie zasług chciał mu strącić, oświadczył, że od tych 15,000 odstępować nie myśli (2). Uskarżał się na niego przed Wołowiczem sędzią ziemskim żmudzkiem, że wydarłszy mu krwawą wystugę, na honor jego następuje, obwiniając go o uszkodzenie skarbu publicznego. „Nie ma téj godziny, nie ma tego posiedzenia, mówi dalej, przy obiedziech, przy wieczerzach, żeby mnie jegomość nie

(1) J. K. Ch. do Karola Koreckiego, 22 października 1616.

(2) J. K. Ch. do Jarosza Wołowicza, 22 lutego 1614.

szarpał, z krytyką, ironicznie, jako mu to dała natura. Wszystkie inne snadniej człowiek przenieść może: uraz uczciwego, jako postrzał w sercu szlacheckiem, boli. Nie ten u mnie nieprzyjacielem kto zdrowie swoje ważąc na moje następuje, ale ten, kto pod farbą przyjaźni sławę mą nieprzyjacielsko zabija. Oświadczam się przed Waszmością, że wolny będę od wszelakiej winy, jeśli stojąc przy honorze moim odgryzę się jegomości” (1).

Jakoż jak tylko zrzeczność się zdarzyła rwał zębem podskarbiego, oskarżając go, że z poborów litewskich znaczną sumę do Polski wysłał, składając na niego winę, że granice bez obrony nago odarte leżały.

Nastąpiło pojednanie, stare zajścia poszły w niepamięć, i Chodkiewicz postąpiwszy na województwo wileńskie, wstawił się za Jaroszem Wołowiczem do króla o starostwo żmudzkie (2).

Gdy Gabryel Wojna podkanclerzy litew. ofiarował, że starać się będzie dla niego o województwo wileńskie; Chodkiewicz odpowiedział: „Unizenie Waszmości dziękuję, ale ja już na takiej łasce j. kr. m. przestaję, na jakiej jestem postawiony. Ja j. kr. m. uprzykrzać się nie chcę i wnieść na się opinią chciwości” (3). „Wolę przy tytule dawniejszym pozostać, nie biorąc nowych, które nakształt cyprysów wysokie są, a nie dają owocu” (4).

Mianowany wojewodą, wjazdu do Wilna zaniechał. Niebezpieczeństwa pograniczne na Ruś go odwołały, wyjechał więc z Łachowicz niefolgując zdrowiu, chociaż kamień na który często cierpiał, mordował go od dni kilku. „Odbywszy tę wyprawę—pisze w przyjacielskiem zwierzaniu—ostatek spracowanego żywota radbym gdzie w kąciку przytulił. Pracowało się i harowało dosyć gwoli sławie i ojczyźnie: czas ostatek zachować sobie i miłym przyjaciołom, i podpić czasem; a jako starosta żmudzki z podkanclerzym w. ks. lit. jadał i pijał, tak i wojewoda wileński z biskupem téjże do końca chce zażywać krotochwili” (5).

(1) J. K. Ch. do Wołowicza sędziego ziem. żmudz. 6 marca 1614.

(2) J. K. Ch. do Jędrzeja Lipskiego, 27 czerwca 1616.

(3) J. K. Ch. do Gabryela Wojny 22 kwietnia 1616.

(4) J. K. Ch. do Chreptowicza, 2 lipca 1616.

(5) J. K. Ch. do Benedykta Wojny biskupa wileń., 5 listopada 1616.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY NAD WOŁGĄ.

PRZEZ

A. Potjanskiego.

Pożegnawszy gród Piotra W. który zgromadził w sobie przepych i bogactwa południowych i zamorskich krajów, a gdzie czerpał w świątyni nauk zasoby na dalszy ciąg życia: ruszyłem w podróż traktem moskiewskim. Trzydniowa podróż drogą bitą do Moskwy w dyliżansie czyli karecie pocztowej niewiele utrudziła (1), lecz dalej przez Włodzimierz nad r. Kłazmą aż do Niższego-Nowogrodu, chociaż już nie drogą bitą, ale w tarantasie, bardziej czuć się daje. Od tego ostatniego miasta aż do Kazania przedstawia się pod każdym względem obraz dawnej Azji. Te częste góry z lasami przypominają Syberję; lud mową i fizyognomią od Rossyan różny: wszystko to naprowadza na myśl przybyszowi, że jest w Azji. O tych właśnie ludach, po obu stronach rzeki Wołgi osiadłych chcę mówić; ich bowiem religia i obyczaje wiele mają podobieństwa z życiem naszych przodków, do czasu przyjęcia religii Chrystusa.

Fińskie plemiona, znane w starożytności pod imieniem Scytów, po długich walkach od wschodu z Tatarami i innymi azyatyckimi narodami, od zachodu zaś z Gotami i Słowianami, osiadły wreszcie nad brzegami pięknej Wołgi, w kraju żyznym. Szczepy tych plemion

(1) O urządzeniu drogi żelaznej, która dziś istnieje między Petersburgiem i Moskwą, wówczas jeszcze nie myślano.

stanowią: Czuwasze, Czeremisi, Wotiacy, Mordwacy, Zyrianie, Iżemcy, Permiacy i t. d. Obok nich osiedli Bulgarowie, Tatarzy, Mongołowie, Nowogrodzianie, Ukraińcy, w małej liczbie Mbskwicianie i inni.

Przedewszystkiēm obszerniejszy opis udzielię tych narodów, które w większēj massie przetrwawszy, niewiele z pierwiastkowej swēj narodowości dotąd utraciły.

I.

Czuwasze.

Chociaż według powszechnego zdania uczonych, Czuwasze pochodzą od Finnów, bo z powierzchownej postaci wielkie mają podobieństwo do Czuchnów i innych plemion tego rodzaju; niemniej jednak mową zbliżyli się do Tatarów, a z pierwotnej religii i obyczajów stanowią istotny szczepe Słowian.

Czuwaszyn wzrostu średniego, rzadko wysokiego, włosów czarnych lub światło-rudych, twarz ma niewielką, bladą, rysy i cały obraz więcej go zbliżają do europejskich niż azyatyckich narodów; nos proporcjonalny, oczy małe, włosy na brodzie zbyt krótkie, niekształtnie ułożone.

Kobiety pospolicie mają włosy czarne, twarz bardziej niż u mężczyzny zaokrągloną, zęby białe, oczy większe także niż u mężczyzn, lecz niezbyt wielkie.

Odzienie mężczyzn stanowi koszula płócienna długa, niżej kolan, której rękawy wyhaftowane czerwoną bawełną, na grzbiecie zaś z brudno-żółtych lub ponsowych tasiem naszyty kąt rozarty, którego ramiona kończą się na ramionach człowieka, a wierzchołek u dołu pacierzowej kości V; z przodu na piersi takiż haft jak na rękawach. Pod koszulą spodnie z płótna; na nogach onucze, latem płócienne, a zimową porą z wołtoku, z wierzchu zaś łapcie z łyka. Jeśli się w drogę puszcza, to wkłada na głowę w lecie kapelusz, w zimie zaś czapkę z czarnego aksamitu, zamiast waty pierzem lub puchem podbitą i krojem mazowieckim uszytą, którą nosi na bakier. Oprócz tego odziewa się w sukmanę, z światło-szarego lub białego samodziałowego sukna, zwaną kaftanem, do litewskich siermięg podobną, tylko nie-

co krótszą. W lecie zaś idąc w pole, rzadko kiedy głowę przykrywa, i oprócz koszuli, niczém się z wierzchu nie odziewa.

Kobiety i dziewczęta w zimie do podróży ubierają się bez różnicy tak jak mężczyźni, i tak śmiało używają konnej jazdy jak oni; tylko latem wszędzie, a zimową porą w domu, odróżniają się od mężczyzn ubiorem głowy, którą wdowy i mężatki obwijają kilkakrotnie ręcznikiem, zapinając końce pod brodą. Dziewczęta zaś noszą spuszczoney w tył warkocz, pokrywając głowę kaszpą lub tufiją, to jest czapeczką z nici czerwonych, której wierzch, stosownie do za możności, prawdziwemi lub fałszywemi, srebrnemi lub cynowemi pieniążkami, wartości 5, 10, 15, 20 i t. d. kopiejek jest przyozdobiony. Pieniądze te najczęściej bywają z dawniejszych epok i mogłyby niejednokrotnie przydać się użytecznie do zbiorów numizmatycznych.

Czuwasze po większej części osiedlili się na prawym brzegu rzeki Wołgi, tam, gdzie do ich przybycia zamieszkiwali starożytni Bulgarowie; co właśnie dowodzi pochodzenie Czuwaszów od Słowian, lub w wielkiej części zlania się z niemi. Obecnie ten naród przemieszkiwa w guberniach: symbirskiej, samarskiej, penzeńskiej, saratowskiej, orenburskiej, lecz najliczniej w gubernii kazańskiej, gdzie we trzech powiatach: czeboksarskim, cywilskim i jadyńskim, liczy się do 300,000 dusz obojga płci; z tych około 2,000 pogan, a reszta wyznaje religią prawosławną. Oprócz tych, mała liczba osiedliła się w powiecie czystopolskim.

Czuwasze przyjęli wiarę chrześcijańską w 1745 r. lecz tak słabo w nich przyjmują się zasady religii Chrystusa, że ustanowiona od rządu missya duchowna, w ciągu przeszło wieku pracując nad ich nawracaniem, dotąd swego dzieła nie uskuteczniła zupełnie.

Czuwasze gub. kazańskiej dzielą się na dwa główne plemiona: na Werałów i Anatrów: pierwsi mieszkają w powiatach czeboksarskim i jadyńskim, drudzy zaś w pow. cywilskim, i tak z ubioru jak i z mowy więcej są niż pierwsi zbliżeni do Tatarów. Największą między niemi różnicę stanowi obuwie; u Werałów bowiem onu-

cze i wojłoki pospolicie bywają czarne, u Anatrów zaś białe. Pomimo tój różnicy, wszyscy Czuwasze uważają miasto Czeboksary za swą jedyną stolicę i przenoszą je nad wszystkie inne miasta: dlatego nie od rzeczy będzie przytoczyć tu legendę o założeniu tój stolicy.

Miasto Czeboksary, po czuwasku zwane Szoboszkar, leży na prawym brzegu rzeki Wołgi, nad rzeczka mi Czeboksarką i Sugutką czyli Kajbatką, na pocztowym trakcie z Moskwy do Kazania. Zbudowane przez cara Iwana Bazylewicza Groźnego w 1556 r.; lecz w latach 1669 i 1773 uległo zniszczeniu od pożaru. Podanie niesie, że w tём miejscu mieszkali dwaj główni jomsy (1) czuwascy: Czebak i Sar. Piérwszy z nich mieszkał w świątyni leśnej, zwanój wielki keremiet, na miejscu której stoi dziś cerkiew soborna czyli katedralna; Sar zaś mieszkał w drugim keremiecie, nieopodal od wielkiego, tam, gdzie teraz stoi cerkiew w gaiku, zwana pustynią Włodzimierską. Czuwasze twierdzą, że gdy Rosssyanie miasto budować zaczęli, wszczęła się okropna burza z błyskawicami, grzmotem, deszczem i gradem, łamały się od wiatru święte drzewa w keremiecie, a mieszkający w nim zły duch, ze świętem i piskiem w powietrze się unióśł.

Obecnie w mieście Czeboksarach znajduje się 13 cerkwi, a przeszło 800 domów, z tych kilkanaście murowanych; szkoła powiatowa cywilna i takąż dla duchowieństwa, monaster i do 4,600 mieszkańców. Ulice krzywe, niekształtne, bez bruku, zbyt błotniste. Mieszkańcy tutejsi mając dogodną przystań na Wołdze, prowadzą handel zbożem, miodem, sadłem, woskiem, drzewem budulcowém i opałowém, oraz wyrobami z drzewa, kory i łyka. Są tu także fabryki dzwonów, cegielnie, wyroby juchtowe, srebrne niewielkiej wagi, rozmaite rzemiosła i t. d.

Inne miasta czuwaskie są: Tetiusz, Mamadysz i Łaisz.

Czuwasze zajmują się rolnictwem; wielka ich część z początkiem wiosny najmuje się za flisów na statki, i dopiero w lipcu i sierpniu do domu z pieniędzmi powracają. Kobiety wyrabiają z wełny owiec domowych wojłoki

(1) *Jomsa*, ofiarnik, kapłan, lekarz i wróżbiarz.

czyli koce i samodziałowe sukna; także tkają niezbyt cienkie dla swój potrzeby płótna, a nadewszystko bez żadnych wzorów haftują koszule męskie i żeńskie, oraz ręczniki.

Latem mieszkają w spichrzach i altanach zwanych łaczuga, gdzie mają urządzone ogniska do gotowania jadła: zimową zaś porą w ciemnych i po większej części kurnych izbach, w których okienko blisko drzwi, dla świeżego powietrza i światła bywa zawsze otwarte; dwa zaś inne od wschodu i północy rzadko się otwierają, chyba dla wypuszczenia dymu, gdy się w piecu pali. Drzwi urządzą się w poprzecznej, nie w podłużnej ścianie; front zaś zawsze od dziedzińca, nie od ulicy, od której żadnego okna nie ma. W izbie wszystko ma cechę nieochędstwa: podłoga mokra i brudna, zavalona śmieciami, wówczas tylko starannie zamiataną bywa, gdy do izby wejdzie urzędnik lub inny godny poważania gość; co właśnie, niepojmującemu czuwaskiej etykiety, zdaje się wielką niegrzecznością. Naokoło izby, około ścian urządzone są ławy, nakształt szlabanów, w których cała ruchomość Czuwaszów schowana; a w końcu izby, także pod klapą szlabanu są ukryte schodki, wiodące do piwnicy, która się mieści pod podłogą izby.

Wsie czuwaskie zbudowane bez żadnego porządku i symetrii, noszą cechę patryarchalnej swobody i egoizmu. Żadnej w nich nie ma ulicy, tak, że nieświadomemu łatwiej tam niż w wielkiem mieście zabłądzić.

Naród ten niezbyt skłonny do pracy; i gdyby sama przyroda szczodremi darami nie zaspokoiła jego potrzeb jużto gruntem niepotrzebującym wielkiej uprawy, już obfitością pszczoł a tém samém miodu, już wreszcie nieocenioną Wołgą, która oprócz najsmaczniejszej ryby i innych potrzeb do życia, gotowy pieniądz z łatwością dostarcza: Czuwaszyn bez wątpienia umarłby z głodu.

Niemato się jeszcze przyczynia do dobrego ich bytu obfitość i taniość drzewa, którego niemato kradną, oraz wyborne łąki i pastwiska.

Religia chrześcijańska, pomimo tak dawnego już wprowadzenia, zbyt słabo w Czuwaszach zaszczerpioną została. Każdy z nich w przygodzie, nie do cerkwi lub księdza, lecz do keremietia i jomsy udaje się. Gorli-

wość miejscowego duchowieństwa czuwa nad utrzymaniem w tym narodzie chrystyanizmu.

Czuwasze uznają wiele bóstw, lecz najwyższym bogiem jest Tora, po którym następują: Tora-Amoże, matka boska; Pilikse, pomocnik boga, bóg leśny; Szatuga-Ara, bóg dróg, Terkula, b. gumien zbożowych i opiekun bydła, Chwiel, słońce, Chwiel-Amoże, matka słońca, Asładi, piorun, Asładi-Sozimbe, bóg błyskawic, Choar, zły duch przy drodze, Esrel, śmierć czyli duch, który wyjmuje duszę z tyłu głowy; Sil, bóg wiatrów, Kebe, aniołowie, Kebe-Amoze, matka ich; Irich, kawałeczek cyny do gałązki jarzębinowej przywieszony, który posiada moc odpędzania złego ducha od pomieszkania.

Z tego, co wyżej powiedziano, widzimy, że Czuwasze uznają dwa główne bóstwa: Tora, dobry bóg, i Keremiet, zły bóg czyli zły duch, tak jak Słowianie, którzy wierzyli w Białego-boga i Czarnego-boga.

Tora i powyżej wyliczeni jego podwładni, będąc dobrymi, nie wymagają od ludzi ofiar i karać ich nie będą; dlatego Czuwasze dziękują im za otrzymane łaski, lecz się ich nie lękają. Keremiet zaś, dręcząc świat cały, wymaga od ludzi ciągłej ofiary, którą ubłagany, zostawia ich na chwilę w pokoju. Tora nie ma świątyni; Keremietowi zaś poświęcone są gaje i oddzielne części wiązowych lub brzozowych lasów, mianowicie takie, które przylegają do źródeł i strumieni i nie są zbyt odległe od wsi.

Jeśli się przytrafi jaka przygoda, wówczas Czuwaszyn udaje się do keremetia, kładzie pod wiąz pieniądze i ukłoniwszy się nisko, odchodzi pełen wiary i nadziei, że złe przeminie. Lecz jeśli jaka powszechna klęska wszystkich mieszkańców dotknie, jak np. gradobicie, susza, nieurodzaj, morowe powietrze, zaraza na bydło i t. p. wówczas keremiet wymaga większych ofiar. W tym celu zebrani starcy z całej parafii, to jest ze wszystkich wsi do keremetia należących, udają się do jomzy czyli kapłana swego, i zapytują go: ile sztuk i jakich bydła przynieść mają keremetiowi na ofiarę? Po otrzymaniu żądanej odpowiedzi, wnet po całej swój parafii zbierają potrzebną ilość pieniędzy, za które kupują, bez targu, woły, cieleta, barany i drób. W dzień modlitwy

czyli zamierzonej ofiary wszyscy pobożni, w liczbie kilka tysięcy osób, zbierają się do keremetia czyli świętego gaju, gdzie nieopodal w dolinie stawiają stół, na którym kładną chleb, sól i noże do zakłócia bydła, także wiadro z wodą i czerpak. Potem modlą się, obróciwszy twarze na wschód. Po skończonej modlitwie przyprowadzają wołu do stołu, przy którym jomza zajmując miejsce, nabiera czerpakiem wody z wiadra i leje na grzbiet bydła: jeśli wół wstrząśnie się, to dobry znak, że ofiara keremetiowi przyjemna i bydłę wnet nożami kłają; lecz jeśli wół się nie wstrząśnie, to znowu wszyscy się modlą, aby Bóg przyjął ofiarę. Po drugiej modlitwie inny już starzec polewa wodą grzbiet wołu, i ten obrzęd póty się powtarza, aż póki wół nie wstrząśnie się; lecz jeśli bydłę pomimo ciągłego nalewania wody na grzbiet nie wstrząsa się, wówczas przyprowadzają na ofiarę innego wołu, ba rana lub cielę, a pierwsze pozostawiają przy życiu. Drób bez żadnych wstępnych obrzędów zabijają. Zabite ofiary wnet gotują pod odkrytym niebem, i tuż na miejscu zjadają. Przytém wiedzieć trzeba, że każdy chcący uczestniczyć w tych obrzędach Czuwaszyn, powinien poprzednio wymyć się w ciepicy lub łaźni parowej, (które u Czuwaszów acz liche się znajdują), i naczczo iść do keremetia.

Czuwaszy chrześciance, chociaż nie są gorliwi w pełnieniu obrządków terażniejszej swój religii, niektórzy jednak umieją Modlitwę Pańską, która tak się zaczyna: Adij pirin, piultsam-sinceze boriza turaggan! i t. d. tojest: Ojciec nasz, który na niebiosach stoisz, żyjesz i t. d.

Codzienna zaś ich modlitwa jest następująca:

„Tora sirlach!
Tora anbrach!
Siuldi Tora!
Sirlach sirdi Padsza,
Ywołdan, chirdan!
Tyreran, pyłran,
Tora badyr!
Ismiaszkan, simiaszkan,
Sywlychne Tora, badyr!
Wylichran, czirlichran
Tołyjach karda;
Utba karda,
Iniaba karda,
Sorychba karda,
Tora badyr!

Boże zmiłuj się!
Boże nie opuszczaj!
Najwyższy Boże!
Zbaw monarchę ziemskiego,
Synów, córki!
Chleba, miodu,
Boże daj!
Pić, jeść,
Zdrowia, Boże daj!
Bydłem zdrowem
Napełnij dwory;
Koni pełną stajnię,
Krów pełną oborę,
Owiec pełną owczarnię,
Boże daj!

Karadan kił szaldan
Wyśsia kilaggana jaras,
Tora, badyr tuduch!
Szajtajdan sirlach,
Chuza jader Tora!”

Pielgrzyma zdaleka przychodzącego
I podróżą znużonego w dom przyjąc,
Boże, zawsze daj!
Zbaw nas od czarta,
Wypędziwszy go, o Boże!

Czuwasze niewiele mają świąt uroczystych narodowych. W miesiącu czerwcu obchodzą Sinza, uroczystość pogańską w celu uproszenia urodzaju; w czasie której przynoszą keremetowi wyżej opisaną ofiarę i popiół ze spalonych kości ofiary rozsiewają po polach. Święta niedzielnego tak chrzczeni jak i niechrzczeni Czuwasze nie zachowują. U nich piątek dniem świątecznym, który już we czwartek od południa zaczyna się i trwa do poranku soboty. Przez ten przeciąg czasu Czuwaszyn, chociażby najpilniejszą miał robotę i niezżęte na polu kłosa już śniegiem przyprószone były, (czego byłem świadkiem w początku jesieni 1842 r.), za nic nie weźmie się do pracy. Dlatego w piątki ustanowione są po wsiach czuwaskich targi, na które okoliczni mieszkańcy licznie się zbierają, i oprócz zamiany wiejskich produktów na rozmaite domowe potrzeby, radzą o opłacie podatków, o wypełnieniu jakiegokolwiek nowego przepisu miejscowej władzy, lub o zaniesieniu skargi na jakiegobądź urzędnika. Oprócz Sinza i piątków, chrzczeni Czuwasze obchodzą: Wielkanoc, Boże Narodzenie, Zielone Świątki, dzień św. Mikołaja i patrona swój parafii, lecz z wielką różnicą i nie z taką czcią, jak Rossyanie.

Obrzezania u niechrzczonych Czuwaszów nie ma. W ostatniej chwili położnicy, wzywają swego jomzę czyli mułę wraz z akuszerką, i gdy dziecię się urodzi, mułta obmywa je w nieckach ciepłą wodą, i nadawszy mu imię, oddaje akuszerce, od której druga kobieta, za chrzestną matkę czyli kumę przybrana, przyjmuje dziecię, wkłada nań koszulkę i oddaje je matce, darząc ją pieniędzmi.

Imiona Czuwasze przyjęli po większej części od Tatarów, a niektóre od Słowian, jakoto: męzkie: Achmet, Aniej, Dobrys, Dieducha, Choras, Chazandaj, Ebli, Gawdinga, Hendiěj, Iliuk (1), Imiuszka, Jarucha, Jamuk, Igimeń, Igimułta, Janodar, Jagiper, Jemar, Jeptisz, Jameń, Jarosław, Iłumurza, Jertaus, Kormi, Majuk, Nejder, Obchan, Obrywan, Ochliwan, Oliat, Ochtijar, Oto-

(1) *Iliuk* pochodzi od *Илья*, Eliasz.

man, Pisnułta, Płot i t. d.; żeńskie: Albacza, Arnia-słu, Adzerbi, Czeceń, Gullejka, Illekka, Ilgiabi, Irgia-słu, Kulnewer, Kułbeka, Kasko, Okka, Pinias, Pinnazer, Similba, Siaszma i t. d.

Gody małżeńskie odbywają się wesóło, z muzyką, pieniemi i skakaniem, przy pijatyce wódki i zbyt gorzkiego domowój fabryki piwa.

Dwużeństwo czyli bigamia, chociaż według zasad czuwaskiej religii jest dozwoloném, jednak w gubernii kazańskiej nie ma przykładu.

Według ich przekonania, każdy człowiek wiecznie żyje, i śmierć doczesna nie przerywa ani zmienia jego losu; to jest, kto opływa w bogactwa na tym świecie, temu i po śmierci na niczém nie zbraknie, a czém się za życia trudził, tém samém i po śmierci zajmować się będzie. Dlatego Czuwasze kładą do trumny umarłemu pieniądze, ulubioną za życia fajkę, tabakierkę z tabaką, nóż, rozmaite narzędzia rzemieślnicze, wołynekę i t. d. Kobietom zaś i dziewczętom kładą płótno, jedwab', igły, kądziel i t. d.

Dziady po umarłych obchodzą z wielką uroczystością cztery razy w rok: na wiosnę, latem, w jesieni i zimą. Na ten cel przywożą na cmentarz wódkę, piwo, i rozmaite jadła, których połowę oddzielają dla zmarłych, kładąc im i wylewając napoje na mogiły, resztę zaś sami na miejscu zużywają przy dźwiękach muzyki i skokach.

Czuwasze rzadko pomiędzy sobą biją się i kłóćą; zwady ich godzi pisarz włóści (1). Jeśli zajdzie pomiędzy niemi kłótnia, to obie strony jadą do urzędu wójta gminy na skargę, i po drodze w karczmie się godzą. Jednak niejednokrotnie zdarzało się, że w wielkim zapędzie gniewu Czuwaszyn pogroził swemu sąsiadowi, lub całej sąsiedniej wsi: postoj, zdiełtam тебе биду, i dotrzymując swego słowa, na dziedzińcu wroga powiesił się.

Ulubione ich potrawy są następujące: oreń, kwaśne mleko z wodą; bołdran, barszcz z rozmaitych liści warzywnych, zakraszony mléką i masłem; jaszkał, rozmaite placki, i jaszka, najpospolitsza zupa z kaszy, mléka, kapusty i cebuli. Mięsa mało używają.

(1) Zpomędzy Czuwaszów zbyt mała liczba umie czytać i pisać. ztąd wynika, że *głowy włóści* czyli wójci gmin zdają zupełnie zarząd na swych pisarzy, którzy przeznaczają się z Rossyan.

Znacznego gościa, jak np. urzędnika, traktują chlebem z praśnym miodem, oraz zbyt gorzkim domowym piwem.

Napój mocny przenoszą nad wszelkie najsmaczniejsze jadło; za wódkę gotowi najnieznośniejsze przykrości znosić i największą ofiarę z siebie zrobić. Piwo domowe im więcej ma w sobie chmielu i goryczy, tém lepiej im smakuje. Z powodu téj skłonności do mocznych napojów, oraz od kurnych i dymnych izb, wielka liczba Czuwaszów na oczy cierpi.

Ogrodnictwo, pszczolnictwo i uprawa chmielu stanowią ulubiony przedmiot zatrudnień Czuwaszów.

Muzyka jest im oddawna znana; za dowód tego służyć mogą nazwiska instrumentów w właściwym ich języku, a mianowicie: szypra, wołynka, szychłyecz, fujarka czyli dudka z klonowego drzewa, kobza i najwięcej używana gęśl.

Tańce ich zbyt proste, nakształt kozaka ruskiego, zwykle odbywają się przy poklaskiwaniu w dłonie jednej z grona bawiących się osób.

Język czuwaski składa się z wyrazów fińsko-czuwaskich, tatarskich i bardzo małej liczby słowiańskorossyjskich. Pierwiastkowych słów czuwaskich czyli rzródłostówów nie więcej nad 1000. Czuwasze własnych liter nie mają; Finnowie zaś używają w swój literaturze litery łacińskie; lecz w krainie czuwaskiej, mianowicie w Czeboksarach i Kazaniu, gdzie się wykłada ten język dla młodzieży duchownej, na proboszczów sposobiacją się, używane są ruskie litery, któremi wydane zostały dziewięć dzieł i broszurek w tym języku.

Najulubieńszy śpiew Czuwaszów jest następujący:

„Ajda inge wurmana
Chora sirła pustiarnia,
Chora sirła pył begeh,
Eza inge czon begeh.”

To znaczy:

Pójdziem synowo do lasu
Maliny zbierać,
Malina słodka jak miód,
Nie masz piękniejszej nad ciebie, synowo.

Ulubiona jest także piosnka weselna, którą w dosłowném tłumaczeniu tu przytaczam:

„Gniadoszu, gniadoszu, koniu gniady!
Zmordowałeś się od skoków na gody;

Gniadoszu, gniadoszu, gniadoszeczku!
 Mówim, nieświadomi miejskich grzeczności:
 Ach, narzeczona! zaiste tyś pięknie ubrana,
 Myśmy za tobą pędzili, jak na tysiącu saniach.
 Bicie, klaskajcie w dłonie i podskakujcie!
 Weselcie się, weselcie się i śmieJCie się!
 Ojcowski koń, siwy koń,
 Jakby zmordowany na drodze stanął.
 Ojcowski koń, kary koń
 Jakby w błocie uwiązł;
 Ojcowski koń, kaszłanek,
 Na którym zięć jechał, poderwał się.
 Chmiel leśny, jak jabłka,
 Objąwszy mięć w pół, zgiął;
 Sadowy chmiel, jak sałma (1),
 Który biorąc za sałmę, jadłam,
 Lecz on ująwszy się moich jasnych włosów,
 Przychylił mięć do ziemi.

Pijany nie ma rozumu
 Umarły nie ma duszy.
 Zgasłe łuczywo nie świeci.
 W ciemnym miejscu nic nie widać;
 Na odkrytym miejscu bardzo jasno.
 Poduszki i piernat miększe od puchu,
 Lecz spanie na nich nie sprawia rozkoszy.
 Jak przy płomieniu
 Nie można się ogrzać.
 Jesień i wiosna, wszystko razem.
 Wyszedłem, pobiegłem,
 W łaźni piec rozbiłem;
 Ojciec to usłyszał
 I kijem wiązowym mięć obił
 Zaspiewałem: zostań piosneczko moja we wsi,
 A ręce niech zostaną przy dziewczynie.”

Dla dokładniejszego wyobrażenia o brzmieniu i harmonii czuwaskiego języka, przytoczę tu szereg wyrazów czuwaskich:

Bóg, *Tora*.
 Szalań, *szajtan*.
 Ojciec, *ate*.
 Matka, *amoże, apaj*.
 Syn, *ywoł*.
 Córka, dziewczyna, *chir*.
 Brat, *pidziej*.
 Siostra, *agaj*.
 Najmłodsza siostra, *jemoz*.
 Pan, *obut*.
 Człowiek, *sin*.
 Rosyjanin, *wyrrys*.
 Gospodarz, *choziá*.
 Gospodyni, żona, *arum*.
 Pisarz, *tiek*.

Woźnica, *ławzie*.
 Przyjaciół, *dos*.
 Złodziej, *wuru*.
 Koń, *łażá*.
 Wół, *muggyr*.
 Krowa, *inie*.
 Owca, *sóroch*.
 Pies, *jüda, anczyk*.
 Świnia, *sysná*.
 Geś, *chor*.
 Indyjczka, *kurká*.
 Kaczka, *karagát*.
 Kura, *czyhá*.
 Chleb, *siukur*.
 Piwo, *sra*.

(1) *Sałma*, zupa z mąki pszennej nakształt *zacierki*; zwyczajna potrawa Tatarów i zamożnych Czuwaszów.

Masło, *siu*
 Woda, *szywa, szu.*
 Ogień, *wod.*
 Wódka, *eregie.*
 Jaje, *simardá.*
 Jajecznicza, *simardá chabardas.*
 Drwa, *wo'la.*
 Pieniądze, *oksi.*
 Jagody, *sirli.*
 Kapusta, *kopusta.*
 Mleko, *sył'*
 Porzeczeki, *chothan.*
 Dąb, *juman.*
 Wiąz chorama.
 Osieć, *awyn.*
 Książka, *knigge.*
 Trzewik, *paszmak.*
 Przysięga, *prisosk*
 Wiorsta, *sechrom.*
 Siło, *sata.*
 Wieś, *jal.*
 Kościół, *czerggiu.*
 Dzwon, *czan.*

Las, *wurman.*
 Daj, *bar.*
 Weź, *il.*
 Mów, *katá.*
 Kłaniaj się, *salam-kata.*
 Przynieś, *izekil.*
 Zawołaj, *czin-izekil.*
 Wypędź, *chuzegtar.*
 Siądź, *tar.*
 Chodź tu, *kil kunda.*
 Pójdź precz, *toch.*
 Syp, *jar.*
 Zaprzęgaj, *ktul.*
 Kocham, *joradatyp.*
 Zdrow jestem, *sywa.*
 Jak się masz? *taich burnatny.*
 Bądź zdrow, adieu, *subot.*
 Dobrze, *taich, jorat'.*
 Bardzo dobrze. *taich-rach.*
 Nieźle, *siaplá.*
 Dosyć, *sidiel'.*
 Prędyj, *czatrach.*

Rok u Czuwaszów zaczyna się w listopadzie i dzie-
 li się na 13 miesięcy:

- 1.^o Jobaoich (miesiąc posłuszeństwa) listopad.
2. Czuk oich (m. ofiary) grudzień.
3. Muń-kyłacz-oich (m. wielki kręty) część grudnia i stycznia (1).
4. Kiziń-kiłacz-oich (mniej kręty m.) część stycznia i lutego.
5. Nors-oich (miesiąc odwilży) luty i część marca.
6. Poży-oich (m. próżny) marzec.
7. Aga-oich (m. roli) kwiecień i część maja.
8. Siul-oich (m. letni) maj i część czerwca.
9. Chyr-oich (m. godów małżeńskich) czerwiec i część lipca.
10. Uda-oich (m. sianokosu) lipiec.
11. Siorli-oich (m. sierpa) sierpień.
12. Bidan-oich (m. Inu) wrzesień.
13. Awyn-oich (m. młocki) październik.

Tydzień czuwaski, tak jak i powszechny, zawiera
 w sobie dni 7, a mianowicie:

1. *Arnia-kon* (dzień niedzielny) piątek.
2. *Szumat-kon*, sobota.
3. *Werys-arne-kon*, niedziela Rossyan.
4. *Tundy-kon*, poniedziałek.
5. *Ułtari-kon* (dzień zbywający) wtorek.
6. *Jon-kon* (dzień krwi) środa.
7. *Kiziń-arne-kon* (młodszy ostatni dzień) czwartek.

Matematyka u Czuwaszów pozostaje na niskim sto-
 pniu. Liczą zaś tak: 1 pyr, 2 ikkie, 3 wisi, 4 twatte, 5

(1) Ponieważ to porównanie uczyniono z kalendarzem dawnym
 Julińskim, zatem ten trzeci miesiąc czuwaski, według nowego kalen-
 darza odpowiada naszemu styczniowi. Toż samo rozumieć należy o in-
 nych następnych miesiącach.

billik, 6 ołte, 7 sicze, 8 sakar, 9 tuchur, 10 won, 20 sirem i t. d.

W ogólności zwyczaje i obrzędy religijne tego narodu, którego obszerniejsze opisanie przechodziłoby granice tego pisma, przypominając nam pogańskie zwyczaje Słowian i Litwinów, naprowadzają na wniosek, że Czuwasze pochodzą od Finnów, Scytów, Sarmatów i innych słowiańskich protoplastów.

II.

Czeremisi.

Czeremisy, fińskie plemię, w starożytności mieszkali razem z Tatarami w haństwie kazańskim, i pomagali im w wojnach, lecz w późniejszym czasie przez Tatarów, Mordwę i Wotiaków gnębieni, prawie wszyscy osiedlili się w głuchych puszczech ponad rzeką Wołgą, zaczynając od gubernii niżegorodzkiej aż do stepów saratowskich. Ci, którzy pozostali na prawym zachodnim brzegu Wołgi, nazywają się Czeremisami górnemi; mieszkający zaś na wschodnim lewym brzegu, obfitym w niziny i łąki, przybrali nazwisko łąkowych. W gubernii kazańskiej pierwsi mieszkają w powiecie kozmodemiańskim; ostatni zaś w powiatach: carewokozsajskim, czeboksarskim i kazańskim.

Czeremisi są wzrostu średniego, bruneci, twarzy pociągławej, której kształtne rysy, oraz proporcjonalny nos i broda, bardziej niż Czuwaszów zbliżają do innych europejskich narodów, tak, iż na pierwszy rzut oka wielkie mają podobieństwo do Włochów.

Odzienie Czeremisów mało się różni od czuwaskiego: siermięga z bielszego sukna, której kołnierz pospolicie czarną tasiemką oblamowany; na głowie latem kapelus, a zimą podobna do czuwaskiej plisowa czarnego koloru czapka, na nogach czarne wełniane lub z płótna onucze i łąpcie: stanowią oprócz zwyczajnej bielizny, prawie cały ubiór męzki.

Kobiety czeremiskie ładniejsze są od Czuwaszek, ubierają się jednakowo z tamtymi, oprócz ubioru głowy, którym się różnią. Koszulę noszą haftowaną, krótką, po-

wyżej kolan, którą przepasują wążką taśmą zbyt nisko. Z tyłu na przepasce, podobnie jak u Czuwaszek, wisi płaski lecz szeroki kutas, z rurek mosiężnych na sznurki naciąganych zrobiony, który przez stąpanie czarnookiej sprawiając brzęk do ostróg żołnierskich podobny, według pojęcia azyatyckiego podwyższa jej wdzięki. Szyję przyozdabiają rzędem białych drobnych konch zwanych węzowemi główkami; na głowę wkładają szarpan czyli ręcznik, na brzegach drobno haftowany, którym połowę tylko głowy od tyłu pokrywają, z wierzchu przypinają naszpak czyli szeroką taśmę zupełnie zahaftowaną. Zamiast zausznic, wieszają na uszach, kilkakrotnie wkoło zwinięty drut, do $\frac{3}{4}$ łokcia długi, do którego przyczepiają nakształt gwiazdki, kawałek gęsiego, zajęczego lub wiewiórczego puchu. Obuwie kobiet zgoła się nie różni od obuwia mężczyzn, tylko że pierwsze daleko grubiej swe nogi obwijają.

Domy i wsie czeremiskie zbudowane są bez symetrii i porządku: wewnątrz nieochędństwo je cechuje. Każda wieś dzieli się na kilka tak zwanych okolic czyli porozrzucanych tu i owdzie w głębi lasu osad, tak, że wioska zawierająca w sobie około 300 głów obojój płci lub mniej, rozciąga się na milę kwadratową.

W gubernii kazańskiej Czeremiszów chrześcian liczą 66,650, i pogan 10,020.

Czeremisin, mieszkaniec lasu, wyziewami jego od-dycha, wonią drzew napawa się, drzewem czyli raczój handlem onego swój byt podtrzymuje i z gruntu leśnego pokarm sobie zdobywa: ten więc przedmiot, któremu według swego pojęcia winien życie, uznaje za swe bóstwo i jemu się kłania. Otaczający go las, bez wyboru gatunku drzew, jest świątynią bóstwa jego.

Takim sposobem świątyniami czeremiskimi bywają gaje lub kępy sosnowe, świerkowe, jodłowe, dębowe, lipowe i brzozone; bo te gatunki drzew w największej ilości po lewym brzegu Wołgi rosną. Świątynia taka nazywa się *czedra jum no ta*, to jest las boski.

U Czeremisów, podobnie jak u innych pogan, ilość bóstw odpowiada głównym potrzebom człowieka i zjawiskom przyrody.

Bóg czeremiski zowie się *juma*, któremu przypisując władzę nad jakim bądź przedmiotem, wyobrażają go

jako jedynego opiekuna. I tak hierarchią niebieską stanowi szereg następujących bóstw: juman-juma, bóg bogów; juma kydyrcza, b. piorunów; juma bołgan-cza, b. błyskawic; tiuna juma, b. świata; mordeż juma, b. wiatrów; kecza juma, b. słońca; telcza juma, b. księżycy; szudiur juma, b. gwiazd; miuksz juma, b. pszczoł; wiud juma, b. wody; mołanda aba, matka ziemi; juman piambar, prorok boży; juman sakecza, anioł boży; kaba juma, pierwszy święty boski.

Każdy z tych bogów ma w leśnej świątyni poświęcone sobie drzewo: starszym i ważniejszym bogom pospolicie poświęcają użyteczniejsze drzewa, jakoto: dąb, sosnę, innym zaś drugie gatunki. Drzew tych świętych ścinać nikomu niewolno: pomimo tego jednak handlarze niekiedy potajemnie dopuszczają się tego świętokradztwa.

Ponieważ każdy Czeremisin, według swój religijnej ustawy, modlić się winien obrócony ku południowi; więc dla oznaczenia południa, na świętych drzewach zwanych anapu, zawieszają o pięć łokci od ziemi iszta, tojest: pęczek świerkowych, lipowych, porzeczkowych, kalinowych i innych gałązek z jagodami, pomiędzy którymi umocowany bywa cynowy krążek, do starego rubla podobny, który się zowie bułna. Ta iszta corocznie się odmienia na inną, a przy odlewie cynowej bułny, Czeremisi zwracają baczną uwagę na odlaną figurę, która jeśli wyobraża głowę lub coś podobnego, to jumie taka iszta jest miłą; lecz jeśli się odleje ogon, to iszta nieprzyjemną będzie, i w takim razie przetapia się i na nowo odlewa, aż nim żądany kształt nabierze.

Do wszystkich tych dobrych bogów sami tylko mężczyźni modlą się raz w rok, a mianowicie dnia 9 lipca w uroczystość wypędzenia szatana, zwaną surem lub szurem; przy obchodzie której byłem naocznym świadkiem, i dlatego nie od rzeczy będzie tu ją opisać.

Dzień 9 lipca 1843 roku we wsi rządowej Ismieniec-Bielek (1) w powiecie czeboksarskim był pogodnym i pięknym. Do południa tego dnia, jak

(1) Czeremisi miast swych nie posiadają: *Kazmodemiańsk* i *Carewokokszajsk*, dwa miasta w kraju są rosyjskie. Za stolice ich uważać można wieś *Ismieniec-Bielak*, po czeremisku *Jemtlak*.

i w przeddzień cały, głucha cisza panowała we wsi, przerywana niekiedy to szumem wiatru pomiędzy sąsiednie drzewa przelatującego, to lotem kawek i wron około jeziora z krakaniem żerujących, to wreszcie świergotaniem drobnych ptaszek. Wieś cała zdawała się być wyludnioną, bo prawie wszyscy Czeremisi poszli do lasu na modlitwę, pozostawiając w domu same kobiety, które czas nudny i długi we śnie i w samotności przepędzały. Lecz za to w świątyni kilkaset świeczek na gałązkach drzew jakby gwiazdy zdała jaśniały, a pobożni zabiwszy kilka owiec, i po rozebraniu na części, włożywszy je do kotła, zawieszzonego nad roznieconym w pobliskiej jamie ogniem, za tiulegardem czyli swym kapłanem głośno wtórzyli w swym rodowym języku następującą modlitwę:

„Kto przyniósł Bogu ofiarę, temu daj Boże zbawienie, litość i zdrowie.

„Nowonarodzonym dzieciom zsyłaj szczęście w pieńdziejach, zbożu, pszczołach i chowie bydła.

„Oby pszczoły w roku przyszłym roje puściły, a gdy się obroją, wówczas daj obfitość miodu.

„Daj szczęście w polowaniu na ptastwa i zwierzynę.

„Obdarz nas srebrem i złotem i szczęście nam w onych.

„Daj Boże, aby się udało wziąć potrójną wartość za sprzedającą się towar.

„Dozwoł nam, abyśmy otrzymali wszystkie skarby, jakie się znajdują w ziemi i na całym świecie.

„Dopomóż Boże podatki cesarskie opłacić.

„Gdy przyjdzie bóg wiosny, dopomóż nam bydło trzech gatunków (1) wypuścić na trzy drogi, i uchwaj je od niedźwiedzi, wilków i złodziejów.

„Aby z tego bydła jałowice ocielity się!

„Chude zaś aby dziecinnem szczęściem potłuszczały!

„Ześlij Boże nam dobroczynnego człeka lub przyjaciela, żebyśmy mogli mu jedną ręką jałowicę sprzedać, drugą zaś ręką pieniądze od niego wziąć.

(1) Było trzech gatunków, to jest: krowy, owce i trzodę chlewną, Czeremisi nigdy nie pasą, i gdy z początkiem wiosny do lasu wypuszczają, to aż ku jesieni dopiero do domu przypędzają: chyba gdy nadzwyczajna potrzeba zagnała jedną lub kilka sztuk do domu przypędzić.

„W dalekiej podróży uchowaj nas od złych ludzi, od choroby, od głupich ludzi, od złego sędziego, od swarliwego człeka i od złośliwego języka.

„Jak chmiel jest puszysty i pulchny, tak mi udziel rozumu i szczęścia.

„Jak świeca jasno się pali, tak uprzyjemnij mi życie i nagródź mię zdrowiem.

„Jak wosk gładko osiada; tak obdarz mię szczęściem stałego życia.

„Przysporz mi wszystkiego, abym mógł zadosyć uczynić proszącemu”.

Po skończonej modlitwie nastąpiła krótka uczta barania, po której, gdy już słońce miało się ku zachodowi, naokoło przylegającego do wsi pola, które ugorem stało, wielka powstała wrzawa. Niepostrzeżenie, prawie w jednej chwili, zebrało się do 1000 Czeremisów. Prawie wszyscy, tak mężczyźni jak kobiety, przybyli konno, oprócz małej liczby biednych, którzy nie mając koni, pieszo zdążali na pole, aby mieć udział w uroczystości i pełnieniu religijnych obrzędów. Wszyscy, nie wyłączając i dzieci, których także nie mała liczba zebrała się, mieli w rękę i zanadrem gomulki z séra i pszennej lub owsianej mąki, zwane u j a c a, które chciwie zajadali i innych niemi częstowali. Oprócz konnych i pieszych, jednocześnie kilkanaście osób, mianowicie wiekiem podeszłych przybyło w teleżkach, w których zarazem przywieźli potrzebne do téj uroczystości gotowane jaja. Serdeczne przywitania zamieniały się, gomulki idąc z rąk do rąk w głodnych żołądkach prawie bez żucia tonęły, śmiech i wrzawa powiększały się, powszechna wesołość na wszystkich twarzach malowała się. Rzekłbyś na pierwsze wejrzenie: oto szczęśliwi!.... Tak, nie szukaj szczęścia w pałacach, nie szukaj między narodem oświeconym; nie, z rozumem i oświatą szczęście nie przebywa: lecz pójdź do ludu ciemnego, tam znajdziesz szczęście....

Chwila upłynęła, wrzawa ucichła, i z tłumu zebranego ludu wystąpiło na pole trzech jeźdźców, którzy obrawszy metę puścili się w szranki dość szybko i jak Pegazy lecieli w cwał do końca pola, około 300 sążni od mety odległego, z kądem, nie zatrzymując się ani na chwilkę, w tumanie kurzawy z krzykiem i piskiem,

co tylko tchu koniom wystarczało, powracali do pierwszej mety, strzegąc się oglądania za sobą, gdyż to byłoby godłem wielkiego nieszczęścia dla całej rodziny na cały rok. Podobnie jak ci, inni odbywali także wyścigi, w których przyjmowały udział wyćwiczone w konnej jeździe dziewice-amazonki. Chociaż Czeremisi nigdy nie widzieli europejskich wyścigów konnych, które zwykle przy brzmieniu muzyki odbywają się, jednak i w czasie tych wyścigów kilku trubadorów, na lipowych 2 łokciowych dudkach czyli fujarkach brzożową korą obwiniętych, dzikie melodie przygrywało. Po tych turniejach, które około 3ch godzin trwały, o zmierzchu cała czereśda rozsypała się do swych mieszkań, gdzie rozpoczęła się ulubiona przez nich w radości i smutku pijatyka, zwana popojką.

Czeremisin mający zamiar dać u siebie popojkę czyli wieczorynkę, zaprasza na przeznaczony dzień do swego domu przyjaciół i życzliwych sąsiadów, którzy chętnie zbierają się, przynosząc z sobą, każdy ze swego domu piwo, wódkę i przekąski, któremi raczą się wzajemnie, gospodarz gości, a ci gospodarza. Taki piknik niedrogo kosztuje gospodarza, tak, iż najbiedniejszy bez przeciążenia może mieć u siebie około 50 osób.

Po takiej popojce w kilku domach wsi Ismieniec-Bielak, przy dźwiękach opisaną fujarki i płasach odbytej, kiedy noc swą zastępną na cały widnokrąg rozpostarła i księżyc z za obłoków wyjrzał, nastąpił obrząd wypędzenia szatana. Słowianie twierdzili, że upiór i djabeł lęka się osinowego koła; Czeremisi zaś twierdzą, że się najwięcej obawia lipy, i dlatego mężczyźni pobrawszy przysposobione na ten cel lipowe kije, wyszli na dziedziniec i tam uderzając o wszystkie budowle, wypędzali szatana z mieszkań i zabudowań gospodarskich: następnie, gdy już byli pewni, że djabełek, czyli jak go zowią szajtan uciekł do lasu; tłum zebrawszy pozostałe od uczyły gomułki i jaja, ruszył ku temu polu, na którym religijne wyścigi odbywały się, i tam usadowiwszy się w przyległym wozie, ciskali z pewnej odległości do drzew święcone jądło, i skoro od sześciokrotnych pociśków echo od drzewa zapewniło pobożnych, że już szajtan nasycił się i tak przyległe pola jak i lasy opuścił: wówczas Czeremisi pełni dobrych nadziei, w radości

powracali do swych domów, gdzie kończyli surem oddając się powtórnej popojce.

Gdym się zapytał jednego ze starców, na jaki cel tę uroczystość obchodzą? odpowiedział mi, że corocznie na ugorach muszą surem obchodzić, bo inaczej nie byłoby urodzaju w polu, ani dostatku w domu.

Oprócz opisaney uroczystości, Czeremisi obchodzą jeszcze inne, jakoto: w kwietniu kon-kecza w celu ubłagania o dobry chów bydła; w Wielki Czwartek przed Wielkanocą sorta-kecza, pierwsze dziady po umarłych; aga-pariam, wiosenne święto roli; siemik (1) we czwartek przed Zielonemi Świątkami, drugie dziady po umarłych; w jesieni dziękczynienie za zbiór plonów w rolnych, po którym kolejno u wszystkich gospodarzy bywają popojki zwane parausz, które aż do zimy trwają; szoronjeł, noga owcy, trzecie święto o urodzaj, które obchodzi się w czasie świąt Bożego Narodzenia, i nakoniec zapusty, jednocześnie z Rossyanami, lecz tylko do wtorku włącznie, po których jednak nigdy postu nie zachowują.

Z opisaney uroczystości surem, mamy przekonanie, że Czeremisi uznają szajtana czyli złego ducha, którego, podobnie jak i Czuwasze, zowią keremiet, i podobne jak tamci mają o nim wyobrażenie, że dla przeblągania gniewu wymaga krwawej ofiary.

Gdy kto z rodziny zachoruje, Czeremisin chcąc przeblagać keremietą, z rady swego kapłana zwanego tiulegard lub mużan, kupuje bez targu na rynku młode, pospolicie jednoroczne lub półroczne źrebię, które prowadzi do lasu i tam na długim powrozie przywiązuje do jednego ze świętych drzew. Zbiera się wnet do świątyni cała familia chorego i z nożem w ręku otacza w pewnej odległości ofiarę. Wtedy najstarszy rozpędza się i zadaje silny cios nożem; to samo inni po kolei czynią, aż póki ofiara nie padnie: wówczas szyndują, smażą i jedzą pieczeń popijając piwem domowem. Choremu zaś pozostawiają do spożycia tę część źrebięcia, która najwięcej odpowiada schorzałej części jego ciała, to jest

(1) *Siemik* przyjęty od Rossyan *семиць*, od wyrazu *семь siedm*, to samo co u Litwinów *siekminie*, siódmy tydzień po Wielkiejnocy, to jest około Zielonych Świątek.

komu najwięcej ból w ręku dolega, to otrzymuje na lekarstwo przednią nogę źrebięcia i t. p. Jeśli zaś całej wsi grozi jakie niebezpieczeństwo, jak np. gdy na polu czeremiskim znaleziony będzie trup lub odkryje się ślad skradzionych koni (które właśnie stanowią ważną gałąź ich przemysłu), lub gdy okaże się zaraza na bydło: wówczas Czeremisi przynoszą keremeliowi na ofiarę konia lub krowę. Po przywiązaniu do drzewa bydłęcia, już go nie kołają, lecz rozniecają naokoło wielki ogień i wykrzykując: haj! haj! haj! pędzą ofiarę z płomienia na płomień, dopóki pozbawione tchu nie upadnie; wtedy wyjęte serce i wątrobę palą na popiół, i tym zarażone bydło posypują, resztę zaś oliarnego mięsa sami zjadają.

Gdy się im dziecko urodzi, przywołują tiulegarda, który wzięwszy na ręce niemowlę, odmawia cichę modlitwę, po której wstrząsa je umyślnie, aby zapłakało. Następnie, aby utulić płacz, kotysze je wymieniając rozmaite imiona: przy którym imieniu dziecko płakać przestanie, to imię mu dają.

Chrzczeni Czeremisi, podobnie jak i Czuwasze, mają dwa imiona: jedno chrześcijańskie na chrzcie św. otrzymane, drugie zaś pogańskie narodowe, i to ostatnie tylko pomiędzy sobą używają; do chrześcijańskiego zaś imienia tak mało wagi przywiązują, że niejednokrotnie z urzędu zapytany Czeremisin nie wie o swém imieniu, lecz zapytuje krewnych lub sąsiadów swoich, jak go po rusku zowią?

Sian-marej czyli gody małżeńskie Czeremisi wesoło odbywają. Jak u Rossyan przed ślubem bywa na kilka tygodni, lub na rok wprzód między ojcami narzeczonego i narzeczonej z mowa zwana *сговоръ*, tak i Czeremisi w obec świadków umawiają się o zaślubieniu swych dzieci i dla pewności darzą się wzajemnie różkiem z tabaką; co właśnie upoważnia ich do nazywania się swatem. Zaręczyny zaś czyli rzeczywisty ślub odbywa się po otrzymaniu od narzeczonego podarunków, których jeśli ten nie jest w możności dania, lecz oboje czują wzajemną ku sobie miłość: wtedy pomimo oporu rodziców córka ucieka do domu swego kochanka, i tam spełniają się ich zobowiązane życzenia. Jeśli zaś

związek zawierają z woli rodziców, wówczas na zaręczynach narzeczona smaruje masłem kilka skib chleba i kładzie je na stół. Kicza czyli narzeczony bierze jedną z tych skib i podaje narzeczonej; ta zaś ukąsiwszy trochę, oddaje ją ojcu, i tak następnie wszystkich krewnych i swatów ten przysmak obchodzi, aż wreszcie powraca do rąk narzeczonego, który go dojada.

W dzień ślubu swaci i zaproszeni goście zbierają się do domu narzeczonego, z kądem orszak godowy w kilkunastu kibitkach, przy dźwiękach muzyki narodowej, z znacznym zapasem żywności udaje się do domu rodziców narzeczonej, gdzie panna-młoda przyjmuje wszystkich gości piwem. Podawszy każdemu z biesiadników pełny czerpak, narzeczona obraca się tyłem i zakrywa sobie oczy; tymczasem gość wypija piwo i położywszy do czerpaka pieniądze, oddaje go pannie-młodej. Następnie wszyscy udają się, latem do świrna czyli spichrza, zimową zaś porą do drugiej izby, gdzie przygotowany dla nich ogromny stół, zastawiony mnóstwem drewnianych misek, napełnionych sałmą i kaszą, oraz w atruszkami i (1), plackami, a także brzozowemi kozubkami czyli szklankami z piwem. Narzeczeni zajmują pierwsze miejsce u stołu, wszyscy zaś inni siadają bez wyboru, gdzie się komu podoba. Zaczyna się biesiada, w czasie której muzyka złożona ze skrzypców, wołynki i bębna przygrywa wiejskie narodowe tańce. Dla lepszej harmonii i większego wrażenia, wtórzy jej dziki krzyk kilkunastu parobczaków z tupaniem nóg i klaskaniem w dłonie, co wszystko powiększa wesołość biesiadników i mimowolnie nogi ich drgać zaczynają. Idą więc w płasy; walcują tak zgrabnie, jak kosmata marucha (2) nie potrafiłaby lepiej, i dla podkrzepienia sił wypróżniają napróżd wszystkie stojące na stole szklanki piwa, następnie z piwnicy gospodarza zapasowe beczki i wiadra, a nakoniec z kabaku czyli karczmy sztofy, półsztofy i kosuszki (3).

Gdy się już porządnie uraczą i do syta zabawią, wszyscy wychodzą na dziedziniec, gdzie także stoi nakryty stół, a na nim bochenek chleba, sól, piwo, a niekie-

(1) *Watruszka*, ruski placek z twarogiem i jajami.

(2) *Niedźwiedź*.

(3) *Sztofy, półsztofy i kosuszki*, flaszki rozmaitej miary, w których w Rosyi wódkę sprzedają.

dy domowy miód pitny, oraz dwie zapalone świece. Na ten raz przy obrzędzie ślubnym, dziedzieniec staje się świątynią, a wzmiankowany stół ołtarzem; przed który, gdy narzeczeni za przewodnictwem swego tiulegarda wiodącego ich za ręce, staną: kapłan odmawia ślubną modlitwę, prosząc jume o szczęście, miłość i pokój małżeński. W czasie tej modlitwy tak narzeczeni, jak i wszyscy świadkowie ziemne pokłony Bogu oddają. Po skończonej modlitwie panna-młoda, która miała dotąd głowę odkrytą, oddała się do blizkiego namiotu umyślnie na ten cel urządzonego i tam ubrawszy swą głowę w szarpan i naszak, powraca przed obrzędny stół, i wobec wszystkich zebranych, za pozwoleniem kapłana, całuje pana-młodego; co właśnie jest dowodem, że ślub małżeński, zwany piurasz-wata już się odbył. Potem państwo młodzi traktują gości święconem piwem; pan-młody robi honory płci pięknej, pani zaś młoda mężczyznom, przed każdym przyklękając, za co ci, po wychyleniu podanego naczynia, kładą weń pieniądze.

Opisany ślub nietylko u niechrzczonych, lecz i u chrzczonych Czeremisów ma tyle wagi, że jeśliby nie lękano się kar duchownej i cywilnej władzy, to zaledwie kto z Czeremisów udałby się do cerkwi dla zawarcia powtórnego ślubu chrześcijańskiego. Pomimo jednak czuwania pasterzy parafialnych nad cnotliwem życiem parafian, często się zdarza, że ślub Czeremisów według obrządku kościoła prawosławnego spełnia się aż po roku małżeńskiego życia.

Po ślubie w cerkwi zawartym, cały orszak godowy przy śpiewach i muzyce powraca do domu, gdzie do późnej nocy trwa wesoła uczta. Potem prowadzą młodych do śpichrza, gdzie dla nich przygotowane łoża małżeńskie. Jeśli młoda okazała się niewinną, to wszyscy krewni i goście ją całują; w przeciwnym zaś razie mąż i družka (1) biją ją. Po tej ceremonii młoda małżonka bierze nosidła z wiadrami i idzie do rzeczki lub studni po wodę, której zaczerpnawszy, póty ją wylewa, dopóki nie dadzą jej goście na nosidła pieniędzy. Wówczas niesie wodę do izby, gdzie naprędce przygotowuje sałmę czyli zacierkę, którą wszyscy goście ze złością spożywają,

(1) *Družka*, dziewczyna asystująca przy obrzędzie ślubnym.

jeśli młoda małżonka wyszła za mąż niewinną; w przeciwnym zaś razie nikt nie je sałmy, a nawet pijani mężczyźni na nią plwają. Pamięć o tak haniebną karze jest hamulcem niewinności czeremiskich dziewcząt, tak, iż rzadki bywa przeciwny temu przykład. Lecz przeciwnie wdowy, żony wojskowych Czeremisów i Czuwaszów zbyt wolne życie prowadzą.

Pogrzeb u niechrzczonych Czeremisów odbywa się skromnie. Gdy kto umrze, kładą wnet ciało na szeroki lipowy tapczan i wynoszą na dziedziniec, gdzie obmywają i odziewają w czystą bieliznę i sukmanę; następnie znowu wnoszą do chaty, wkładają do trumny, z jednego kłosa nakształt żłobu zrobioną i zapalają około niej jedną lub więcej, według dostatku, świec. Potem gotują rosół z kury i nalawszy go do misy, stawiają przy umarłym; sami zaś wychodzą z domu po tiulegarda. Gdy już cały orszak pogrzebowy się zbierze, tegoż dnia wywożą umarłego do lasu na cmentarz, gdzie po odprawionej przez tiulegarda modlitwie, spuszczają trumnę do mogiły.

Po pogrzebie odbywa się stypa, na której zjadają poprzednio zgotowaną dla nieboszczyka kurę.

Gdy zaś upłynie sześć tygodni od skonu, krewni zmarłego chodzą na jego mogiłę i zapraszają go, aby niewiedomie przyszedł do ich domu dla przypatrzenia się obchodowi dziadów po nim.

Chrześciana Czeremisi podobny pogrzeb umarłym sprawiają, z tą różnicą, że z domu dwaj lub trzej podchmieleni mężczyźni, przywiązawszy do duhy dzwonek, wiozą ze śmiechem umarłego do parafialnej cerkwi, gdzie po spełnieniu przez duchowieństwo obrzędu religijnego, sami odwożą nieboszczyka na cmentarz.

Dziady po umarłych uroczyście obchodzą. Około ósmiej godziny wieczorem d. 31 maja, ofiarnicy zabijają kilka sztuk baranów, gęsi, kaczek i kur, patroszą i gotują je na dziedzińcu pod gołym niebem. Przy zmroku zbierają się z kilku wsi pobożni do altany zwanej łaczugą, gdzie także w kotlinie rozniecony ogień, na którym warzy się krupnik czyli wódka z miodem. Frontową ścianę tej łaczugi oświetlają wewnątrz taką ilością woskowych świeczek, po ilu duszach odbywać się mają dziady, na co każdy przychodzić czyto męż-

czynna, czy kobieta, tyle świeczek z sobą przynosi, ilu zmarłych krewnych pamięć drogo sobie ceni. Takim sposobem każda świeczka będąc godłem duszeczki, przybiera nateraz jój imię. Oprócz tego poprzek łączugi zaciągają sznur, do którego przylepiają w pewnych odległościach zapalone trzy długie woskowe stoczki. Gdy już potrawy na dziedzińcu ugotują się, tiulegardzi wnoszą je do łączugi i ustawivszy na nakrytym przed drzwiami stole, drobią mięso na drobne kawałki. Tuż obok stawiają gotowany krupnik, zwyczajną wódkę i piwo; bliżej zaś palących się świeczek, czyli raczej tuż pod nimi, kilka próżnych misek.

Zaczyna się tedy obchód dziedzińców. Wszyscy zebrani, pojedynczo przybliżają się do stołu i uszczypnąwszy kawałeczek mięsa, wymawiają głośno imię zmarłej duszeczki, na positek której kładną do próżnej miski święcone jadło, i aby lepiej jój smakowało, zalewają mięso wódką i piwem. Następnie czy to z wiary w obcowanie dusz, czy dla ukojenia po nich żalu, każdy łyka porządny haust świętego nektaru.

Gdy ta kolej się skończy, tiulegardzi wychodzą z altany i po chwili powracają, przynosząc z sobą święteczne odzienie po zmarłych pozostałe, które podnoszą do palących się świeczek, jakby duszeczkom je pokazywali, i nareszcie w mężkie odzienie ubrawszy się, żeńskie zaś na plecy zawiesivszy, biorą w ręce palące się świece i skaczą. Za przykładem tiulegardów wszyscy inni toż samo czynią, tylko kobiety przebierają się w właściwe sobie odzienie, mężkie zaś na plecy zawdziewają.

Po skokach kapłani z ludem wynoszą ofiarowane duszeczkom potrawy na dziedziniec, i tam wyrzucivszy w kął, oddają psom na pożarcie. W czasie zaś téj psiej uczty, tiulegardzi potrząsają odzieniem zmarłych nad bankietującemi kundlami.

Gdy już duszeczki przygotowaną ucztę za pośrednictwem psów spożyją, wszyscy powracają do łączugi, i pogasiwszy zbyteczne światło, oddają się weselu i zabawie. Rozlewają do misek i czerpaków wódkę, piwo i miód; zaczyna się pijatyka, a z nią razem skoki i smutne bez wyrazu śpiewy: jedném słowem wszczynają się w zupełnem znaczeniu nierozsądna wrzawa, która dla

Czeremisów ma swój urok i do serca mile przemawia, bo jest narodową.

Czeremisin od czasu podbicia przez Jermaka Syberyi pod panowanie Rosyi, osiedliwszy się na łąkowym czyli lewym brzegu Wołgi, przywykł uważać otaczający go las za swoją własność i gospodaruje w nim według swego upodobania. Zimową porą ścina tyle budulcu, ile mu się podoba i stosownie do tego, jak mu czas od innych zatrudnień pozostały dozwala. Ścięte drzewo obrabia na miejscu w zrab i daje mu wyschnąć. Z właściwą Syberyakowi zręcznością poluje na ptastwo i zwierzynę, i opatruje miasta w jarzabki, cietrzewie, głuszce, dzikie kaczkę, tudzież futra kun czyli tumaków, soboli, wilków a nawet niedźwiedzi. Na wiosnę główne zatrudnienie ich stanowi zdzieranie z lipowego drzewa łyka, które stosownie do grubości czyli wieku drzew dzielią na trzy gatunki, a mianowicie:

1. łyko czyli kora z młodych lip pospolicie używana do robienia łapci;

2. moczyło, kora ze średniej wielkości lip, która po zdjęciu moczy się w wodzie aż do połowy następującej zimy, i potem po oczyszczeniu od wierzchniego słoju, używa się do tkania rogózek i cynówek, i

3. łub, kora z grubych i starych lip używana do pokrycia mąki i innych produktów na wodnych statkach transportowanych, do dachów na budowlach, do bocznych ścian, sanek, oraz do wyrabiania rozmaitych pudełek.

Latem mało i tylko z przymusu trudnią się rolnictwem, uważając je za uciążliwą dla siebie pracę i niezgodną z otaczającą ich przyrodą. Istotnie leśne niziny z wiosny długo zalane bywają, przez co grunt robi się iltowatym i błotnistym, a promienie słoneczne przez szpary drzew słabo działając na ziemię, nie mogą jej do stopnia roślinności doskonale osuszyć, i przez to grunt bywa mało urodzajnym. Lecz zamiast tego, Czeremisin trudni się sprowadzaniem z lasu do domu wyciętego zimą budulcu, buduje z niego domek i sprzedaje go mieszkającym na przeciwległym brzegu Czuwaszom. Oprócz tego zajmują się tkaniem z moczyła worków rozmaitej wielkości. Pszczolnictwo także stanowi ulubio-

ne Czeremisów zatrudnienie. Nadto niektórzy zajmują się handlem drzewa na sumę rs. 3,000 rocznie.

W ogólności Czeremisi, chociaż są mieszkańcami lasu, więcej jednak niż Czuwasze przyjęli cywilizacją i lepiej mówią po rosyjsku; chociaż i do występków, mianowicie kradzieży koni w wielkich partyach, są także więcej od tamtych zdolnemi.

Literatura czeremiska zdaje się być na niższym stopniu od czuwaskiej, bo oprócz praktycznej grammatyki przez nauczycieli szkół duchownych dla użytku tamecznych alumnów ułożonej, żadnego więcej dzieła nie znam. Śpiewy ich, jak wyżej wspomniałem, oprócz melodii charakterystycznej, żadnych słów nie zawierają. Sama tylko rachunkowość, przy sprzedaży produktów leśnych koniecznie potrzebna, jest znaną Czeremisom. Liczą tak: jeden-ik-tyt, 2 kok-tyt, 3 kumut, 4 nilit, 5 wizit, 6 kudut, 7 szimet, 8 kandaksze, 9 indiksze, 10 łuo, 11 łatik-tyt, 12 łatkok-tyk, 13 łatkumut, i t. d.

* * *

Aby mieć wyobrażenie o dźwięku czeremiskiego narzecza i porównać go z językiem jednoplemiennych im Czuwaszów, przytoczymy tu szereg czeremiskich wyrazów:

Bóg, <i>Juma.</i>	Masło, <i>ju.</i>
Ojciec, <i>ati</i>	Wódka, <i>arakam.</i>
Matka, <i>abaj.</i>	Mleko, <i>szużer.</i>
Syn, <i>erge.</i>	Jajka, <i>muno</i>
Starszy brat, <i>iziaj</i>	Las, <i>czedra.</i>
Młodszy brat, <i>szoliom.</i>	Drzewo, drwa, <i>pu.</i>
Córka, <i>judur</i>	Kłoc, <i>brewno.</i>
Starsza siostra, <i>ingaj.</i>	Gospodarz, <i>ozia.</i>
Młodsza siostra, <i>szużar.</i>	Gospodyni, <i>ozia wate.</i>
Pan, <i>pajarin</i> (1).	Przynieś mi, <i>kondo-myndenem.</i>
Koń, <i>imne.</i>	Wypędź, <i>pokto</i> albo <i>luk.</i>
Krowa, <i>uszkal.</i>	Pójdź precz, <i>lek.</i>
Owca, <i>szorok.</i>	Zaprzęgaj, <i>kiczke.</i>
Świnia, <i>sysná.</i>	Biegaj, <i>kaj.</i>
Pies, <i>pi.</i>	Kocham, <i>juratam.</i>
Kura, <i>czybe.</i>	Jak się masz? <i>saje ilet.</i>
Kaczka, <i>łudo.</i>	Dobrze, <i>saje.</i>
Gęś, <i>łaga.</i>	Źle, <i>osat.</i>
Jarząbek, <i>miże.</i>	Prędjź, <i>waszke.</i>
Wiewiórka, <i>ur.</i>	Gdzie, <i>buszto.</i>
Pieniądze, <i>oksia.</i>	Tam, <i>tuszto.</i>
Chleb, <i>hinde.</i>	Źąd, <i>kuzeczyn.</i>
Pиво, <i>syra.</i>	

(1) Z ruskiego бояринъ.

Pomimo tego wnioskując z postępów w innych gałęziach umiejętności przez Czeremisów dotąd uczynionych, przypuścić można, że ten naród za półwieku niczém się nie odróżni od Rossyan, z któremi po miastach częste ma stosunki (1).

(1) W naszym kraju także znani byli jeszcze w XVI wieku Czeremisi. Za czasów Zygmunta Augusta, posiłkując Bulgarom i Tatarom kazańskim w wojnie przeciw Mongołom i Tatarom krymskim, upodobali sobie kraj Podolski, i w m. *Barze* nad r. Rowem osiedli. Znaczna część ich ludności stanowiła oddzielną część tego miasta, zwaną *miastem Czeremiskiem*, w którem, podług lustracyi z r. 1569 było domów czeremiskich 51, lackich zaś i ruskich 68. Czeremisi żadnego czynszu ani podatków nie płacili, owszem mieli jeszcze jurgielt od króla naznaczony fl. 200. Mieli też swoje role, młyn i staw na swój użytek; żądanych zaś powinności nie spełniali, oprócz że przy staroście jechać obowiązani byli przeciwko Tatarom. Zjednoczenie miast: lackiego, ruskiego i czeremiskiego w jedną całość nastąpiło w skutek postanowienia króla Stefana 1576 r. (Patrz *Starożytna Polska* M. Balińskiego. Warsz. 1844. T. IIgi).

(Dokończenie nastąpi).

CHADŻY ABREK (*).

(PRZEKŁAD Z LERMONTOWA).

I.

Auł Dżemata wielki, bogaty,
Nie płaci dani, własną ma wolę;
Murami jego—ręczne bułaty,
Meczetem jego—jest bitwy pole.
A jego wolni, dzielni synowie,
Zahartowani w krwawych walk żarze;
Ich sławę cały Kaukaz opowie,
Zna ją i sąsiad, i ludy wraże.
A strzał ich pewny, każdy uśmierca,
Bo nigdy wrogów nie chybił serca.

* * *

Niebo aż płonie; dzień tak gorący;
Że ze skał spiekłych para się wije;
Orzeł, na skrzydłach w chmurze wiszący,
Jak punkt czerniejąc, zwolna się kryje.

Cisza, gdzie tylko zwrócisz oczyma,
W aule (1) tylko spokoju niema;
I lud w popłochu zwraca swe kroki,
Gdzie strumień bije z twardej opoki.

Powoli tłum się w krąg jeden spleta;
O czémże radzą męże Dżemata?
Czyli się w góry chcą puścić znowu
Dla trzód sąsiednich śmiałej grabieży?
A może, chciwy krwi i połowu,
Z mordem i ogniem wróg wieczny bieży?

(* *Abrekiem* nazywają Kabardyńcy górala, który uczynił ślub, że i chwili nie odpocznie dopóki nie zabije oznaczonej przez siebie liczby nieprzyjaciół.

(1) *Auł*, wieś, osada.

O nie! bo tylko smutne spojrzenie
Rzucają wszyscy dzielni uzdzenie (1).

W obcego aulu odziany szaty,
Siedząc na głazie pomiędzy niemi,
Siwy Lezginiec, schylony laty,
Przemawia do nich słowy rzewnemi;
A z oka, które ogniem mu błyska,
Dokoła tęskne spojrzenie ciska.
Wszyscy, współczując starca boleści,
Słuchali smutnej jego powieści:
„Trzech dzielnych synów, trzy krasne córy,
Na stare lata to mój skarb cały;
Wtém nadsięgnęły piorunne chmury,
Wszystkie gałęzie drzewa złamały:
I teraz stoję oto jedyny
Jako pień nagi pośród doliny.

Niestety! dzisiaj już jestem stary,
A włos mój bielszy niż śnieżne szczyty;
Lecz czasem pędząc kipiące wary,
Pod śniegiem strumień bywa ukryty.
Wzywam was, dzielne syny Dżemata!
Kto mi odwagę swoją pokaże?
Który z was szacha zna Bej-Bułata,
Córkę niech wróci, hańbę mą zmaże!
W niewoli dwoje zwiędło mych dzieci;
Syny zginęli w walce zaciętej:
Dwaj z nich w obczyźnie, a przy mnie trzeci,
Przez wroga w piersi bagnetem pchnięty.

Konając, uśmiech taki miał szczery!
Bo pewno widział biedny młodzieniec,
Jak się doń rajską zbliżała Peri,
Trzymając w ręku tęczyowy wieniec.

Z aulu, nieszczęsnym znękany bojem,
Uciec musiałem precz na pustynię
Z córką, jedyném dziecięciem mojem.
Jam ją czcił, wielbił, jako świątynię;
Nic nie cenilem na świecie po niej,
I nic nie wziąłem prócz wiernej broni.

Z córką w jaskini dzikiej się mieszczę,
Na wszelką biędę była wytrwała;
Wtém cios spadł na mnie ostatni jeszcze:
Miłe mi piskłę precz uleciało!

Było to w nocy: we śnie me łono
Tchnęło spokojem; wśród ciszy błogiej,
Tylko szeleścił wicią zieloną
Siedząc nademną mój anioł drogi.

(1) *Uzdzień*, naczelnik albo człowiek wolny.

Nagle szmer jakiś ze snu mię budzi,
 Słyszę krzyk słaby i tętent konia;
 Biegnę i widzę, co? czy wzrok ludzi?
 Jeździec na koniu pędzi wśród błonia,
 W objęciach drogie me dziecię trzyma!
 Zaraz za niemi gońca posłałem,
 Ale broń wierna chybiła strzałem;
 Próznom ich ścigał kłątwa, oczyma.
 Z pragnieniem zemsty w piersi ukrytem,
 Niezdolny pomścić krzywdy co plami,
 Włóczę się odtąd między górami
 Jak wąż, zdeptany końskim kopytem.
 Odtąd już pokój odbiegł odemnie,
 I dziś go w świecie szukam daremnie.
 Wzywam was, dzielne syny Dżemata!
 Kto mi odwagę swoją pokaże?
 Który z was szacha zna Bej-Bułata,
 Niech córkę wróci, hańbę mą zmaże.”

— „Ja!” — nagle młodzian wrzasł czarnooki,
 Chwytając ręką kindżał szeroki.
 W niemém milczeniu tłum zadziwiony,
 Na dwie się przed nim rozstał strony.

— „O! ja znam szacha! ja pomszczę ciebie!
 Za dwa dni będziesz miał wieść odemnie.
 Nieulekniony Chadży zna siebie:
 Na konia nigdy nie siadł daremnie.
 A jeśli na czas tu nie przybędzie,
 Nie sądź, że słowa jego cię zwiodły;
 Lecz przed podróżą pamiętaj wszędzie
 Wznieść do Proroka za nim twe modły.”

II.

Już wstaje zorza; nikną tumany.
 Na głębi niebios już lazurówéj
 Wstają olbrzymie granitów głowy,
 A każdy w wieniec z lodu przybrany.
 Chmurka zbudzona w skał rozpadlinie,
 Jakby różowy żagiel nadęta,
 Pędzi ku jasnej niebios wyżynie;
 Cała natura snem nawpół zdjęta;
 I jeszcze słońca promień złocisty
 Ze wzgórz nie schłonał rosy srebrzystej.

Za jarem, w góry, noga za nogą
 Czerkies na dzielnym rumaku dąży;
 Ze skał wysokich zwieszon nad drogą,
 Dziki winograd nieraz okrąży

Jeźdźca i konia gałęźmi swemi,
 Obsypie łzami rosy srebrnemi.
 Niedbale wodze wypuścił z dłoni,
 Zdobną plecionkę w swym ręku kręci:
 To się ku grzywie rumaka skłoni,
 To tęskną pieśnią cześć dziadom święci;
 Odległe echo sąsiednich wzgórzy,
 Ponuro jego śpiewowi wtórzy.

* * *

Droga się skręca, gdzie ślad wyryty
 Głęboko arby (1) skrzypiącym kołem;
 A obok szczytów świetne granity,
 Jak w wieniec śnieżnym łączą się czołem.
 Ztąd, jakby miał go już pod nogami,
 W dole spokojny aul spostrzeża,
 I pył wzniesiony bydła śladami,
 I tabun koni, co wśród łąk biega.
 Spojrzenie jego nagle dolata
 Do krańca aulu, sakli (2) Bułata.
 I jako orzeł z wierzchołka góry
 Zagłębił w saklę swój wzrok ponury.

* * *

Na progu dziewczę z Lezginów rodu
 Siedzi i tęsknie w dal topi oczy.
 Kogo to czekasz, o gwiazdo wschodu,
 Że taki smutek twą duszę tłoczy?
 Może ma przybyć twój druh zdaleka?
 Albo powrócić brat z bitwy srogiój?
 Senna od skwaru twoja powieka,
 Głowa chce spocząć na piersi drogiój;
 I osunęła się ręka biała,
 I nagle słodka rozkoszy siła
 Z więzów zasłony ramię wyrwała:
 A ociężałość wzrok twój przyćmiła,
 Oblawszy oczy rosą perlistą;
 Policzki grają krwią płomienistą
 Krain południa; usta czarowne
 Milczą, a jednak takie wymowne!
 Tehną samą lubość. A twoje łono
 Wznosząc się, z lekką igrą zasłoną.
 „Gdzieżeś jedyny, o mój kochany?“
 Lecz ot już tętent słyszeć się daje,
 Na drodze pędzą kurzu tumany.
 „To szach“ Lezginka szepcze i wstaje.

(1) *Arba*, wóz o dwóch kołach.

(2) *Sakla*, chata.

Próżno się marną nadzieją cieszy,
 Bo łatwo oczy zwodzą zdaleka;
 Dostrzega jeźdźca, co ku niej spieszy;
 Ale to nie szach którego czeka:
 To jakiś obcy strudzon śród drogi,
 W gościnne do niej przybywa progi.
 Rumak zmęczony, aż cały w pianie,
 Jeździec chce skoczyć, zda się wnet stanie.
 Zsiadajże jeźdźcze!... I czegoż zmusi?
 Ta sakła, zda się, w nim przestrach budzi.
 Spojrzał... westchnienie krótkie, stłumione
 Z ust w pół otwartych nagle wypada,
 Jak listek gdy nim wicher owłada,
 I szybko niesie w nieznaną stronę.
 „Czegoż wędrowcze zwlekasz u proga?
 Zsiadajże prędzej z twego rumaka,
 Wszak przypadkowy gość darem Boga?
 Jest miód i kumys (1), strawa wszelaka;
 Tyś widzę biedny, lecz jam bogata:
 Uczcijże, proszę dach Bej-Bulata!
 A kiedy znowu puścisz się dalej,
 Pomnij, żebyśmy w twych modłach stali.”

Chadźy Abrek.

Niech Alla Lejlo tobie nagrodzi,
 Że tu odpocznie jeździec strudzony;
 Ale niepróżno on tu przychodzi:
 Od twego ojca niesie pokłony.

Lejla.

Od mego ojca? Powiedzże, czyli
 On nie zapomniał mię do téj chwili?
 A gdzie on mieszka?

Chadźy Abrek.

Po twojój stracie
 Mieszka w pustyni lub w obcej chacie.

Lejla.

Czy szczęśliw, wesół?

Chadźy Abrek.

On dotąd żyje,
 Choć nieraz w głowę wiatr z burzą bije.
 A ty?

Lejla.

Jam szczęśliwa.

(1) *Kumys*, mocny napój z mleka kobyłego, fermentowanego.

Chadży Abrek (*pocichu*).

Tém gorzój.

Lejla.

Co mówisz?

Chadży Abrek.

Nic!

* * *

I gość milczący siedzi przy stole,
A czychir (1) z ryżem stoi nietknięty;
Dziwny to człowiek i niepojęty!
I zmarszczki tłumem błędzą po czole.
Czy wiek je wyrył? albo téż ręka
Zawistnych losów groźnie go nęka?

* * *

Lejla chcąc gościa rozjaśnić czoło,
Chwyta bębenek, bije palcami,
Wznosi do góry, obraca wkoło,
Tańczy lezginkę, wtórzac pieśniami.
Jak gwiazdy oczy jój blaskiem płoną,
A lekkie drzenie wznosi jój łono.
Z dziecięcą myślą, z pogodném czołem,
Tonąc z zapalem w tém uniesieniu,
Przed gościem wdzięcznie kręci się kołem,
Jako w zachodnim motyl promieniu.
Znowu bębenek dźwięczny podnosi,
I białą ręką wkoło nim toczy;
I czarne w gościa utkwila oczy,
Milczy, lecz miłym uśmiechem prosi:
„Ponury gościu, rozjaśń oblicze,
Wszak ciosy losu—mary zwodnicze.”

Chadży Abrek.

Dość tego, przestań, przestań Leile,
Porzuć wesołość twoję na chwilę.
Powiedz, czy kiedy cię przestraszyła
Myśl śmierci, dręcząc mary groźnemi?

Lejla.

Nigdy! bo na co chłodna mogiła,
Kiedym znalazła mój raj na ziemi.

Chadży Abrek.

A czy tęsknota dręczyła ciebie,
Kiedys wspomniała o twój rodzinie,
O Dagestanu gór jasném niebie?

(1) *Czychir*, wino gruzyjskie czerwone.

Lejla.

Dlaczego? kiedy lepiej mi ninie.
 Choć tu wokół mgliste tumany.
 Wszędzie jest pięknym, wdzięcznym świat Boży.
 Wyraz ojczyzna sercu nieznanu,
 Nie wie co przymus: jak ptaszek hoży
 Wyrwie się, umknie.. .. Tam jest ojczyzna,
 Gdzie kto z ulnością miłość nam wyzna.

Chadźy Abrek.

Miłość!... a wiesz ty, jakie też inne
 Szczęście na ziemi znajdzie dla siebie
 Ten, co już wszystko, wszystko pogrzebie,
 W co wierzył, kochał, w lata niewinne?
 Rozkosz pewniejsza to od miłości!
 Ona lez tylko i krwi pożąda.
 I radość wtedy w duszy zagości,
 Gdy na zgon szczęścia drugich spogląda.
 W nim cały urok życia się mieści,
 W nim mojej duszy i raj i piekło.
 Ono nam zawsze wierne; czy pieści,
 Czyli męczarnią gnębi zaciekle.
 Za chwilę zemsty co czeka lata,
 Nie wziąłbym nawet całego świata!

Lejla.

Jakżeś ty blady.

Chadźy Abrek.

Słuchaj! Już dawno

Jam jedynego utracił brata;
 Ale śmierć jego nie była sławną:
 Jak dzikie zwierzę, nieznając wroga,
 Poległ od kuli Beja-Bulata!
 Lecz mnie przekazał zemstę przy zgonie,
 A taka wola święta jak Boga!
 Odkryłem zbójcę. Już w jego łonie
 Mój kindżał wierny utopić chciałem;
 Ale pomyślał: czyżto pomszczenie?
 I cóż śmierć znaczy? czyż jedno mgnienie
 Równać się może z mem życiem całym?
 Stanieź za moje smutki, męczarnie?
 Na całym świecie wszak coś istnieje,
 Wczem jego szczęście, jego nadzieje.
 Więc niech to zemsta moja ogarnie.
 Stało się! chwila zemsty już bliska:
 Wczoraj wybiła twoja godzina.
 Patrz! oto zachód krwawy blask ciska!
 Już czas! głos brata mnie napomina....

Kiedym na wdzięczne oblicze twoje
 Dzisiaj me pierwsze rzucił spojrze-
 nię: Ciężka tęsknota i niepokoje
 Objęły duszę w bolu płomienie;
 Lecz to wrażenie już uleciało,
 I mą przysięgę wypełnię śmiało.

Jak śnieg na górach Lejla biała;
 Drząc na kolana przed nim upada.
 Od strasznej groźby cała truchleje,
 Błaga, zaklina, rzewne łzy leje.

„O jakże patrzysz na mnie grobowo,
 Odwróć twe oczy! Biadaż mi, biada!
 O! każde groźne, coś wyrzekł słowo,
 Jako jad zimny na mnie upada.
 Straszneż to żarty, co nic nie znaczą?...
 Więc nie rozczuła cię łzy niewinnej?
 Zmiłuj się! powiedz! powiedz jak płaczą
 Kobiety w twojej stronie rodzinnej?
 Umrzeć! by zemście uczynić zadość!
 Umrzeć tak młodo! Daruj mi życie!
 Powiedz, czy wiesz ty co znaczy radość?
 Byłeś kochany w życia rozkwicie?”
 Lecz Chadży milczy, stoi ponury,
 A czoło jego osiadły chmury....

„Litościm w oczach twych nie ujrzała,
 Mimo rozpączy, łez i prośb tyle...
 Zmiłuj się! czekaj, czekaj o Alla!
 Jeszcze godzinę! jeszcze choć chwilę.”

Wtém miecz zabłysnął: cios jeden, drugi....
 I spadła głowa. Wnet z krwawej strugi
 Podniósł ją z ziemi; włosy rozpostrze,
 I o nie szaszki (1) ociera ostrze.
 I głowę, co już życiem nie świeci,
 Bierze, w kosmatą burkę okrywa,
 Skacze na konia i nazad leci.

Koń rży, szczecina staje mu grzywa,
 Bo strach nieziemski włada rumakiem:
 Chrapie, całego okrywa piana,
 Gryzie wędzido, nie słucha pana,
 Mknie bystro w góry, że zda się ptakiem.

(1) Szaszka, szabla czerkieska.

III

Już słońce gaśnie; i oto zrazu
 W ciemnościach ginie cała natura;
 Pelzną milcząco z szczytów Kaukazu
 Jak węże jedna za drugą chmura,
 Dziwną grę tworząc pomiędzy sobą.
 Potem spadając w ciemnych skał jarze
 Po ostrych krzakach, pereł ozdoba
 Darzą ich listki zeschłe w dnia żarze.
 I z hukiem pędzi tam strumień szary;
 Piana z pod trawy nad nim się toczy,
 I błyszczy we mgłę ciemnej pieczary
 Martwo, jak w głowie uciętej oczy.

Lećże, leć dalej, jeźdźcze po drodze!
 Okryj twe ciało burką szeroką,
 I dzielną dłońią schwyć silnie wodze,
 Popędzaj konia, miej baczne oko;
 A choć nie gonią jeszcze w twe ślady,
 Ni gór tych duchy, ni dzikie zwierze;
 Jednakże jeźdźcze posłuchaj rady,
 I jeśli możesz odmów pacierze.

* * *

„Lećże mój koniu! Lękliwem okiem
 Czemu przed siebie spoglądasz wciąż?
 Wszakto głaz martwy nad wód potokiem,
 A tu znów grzbietem błyszczący wąż!

* * *

„Na polu boju, o włos twój grzywę
 Nieraz otarła krew męzka dłoń;
 Na dzikim stepie, w chwili straszliwej,
 Nieraz mnie zbawił wierny mój koń.

* * *

„My odpoczniemy w ojczystej ziemi,
 A wydartemi z wrogów mych rąk,
 Uzdeć ukraszę znaki srebrnemi,
 I wśród zielonych znów będziesz łąk.

* * *

„Co to się znaczy? zkądże ta zmiana?
 Mój towarzyszu drogi, mów też,
 Że cię tak prędko okryła piana,
 I że tak ciężko podemną tchniesz?

* * *

„Wnet z za mogiły wyjrzy księżycy lice,
I drzew osrebrzy zielony wierzch;
Wtedy zobaczymy znów okolice,
Gdzie śpi nasz aul ukryty w zmierzch.

* * *

„Pasterskie zdała ujrzym ogniska,
Co jako błędne światelka mkną;
Potém usłyszym gdy będziem zbliżka,
Jak dziko nasze tabuny rzą.

* * *

„I wokół ciebie zbiegną się konie;
Lecz gdy powstanę bez znaku, słów:
Wszystkie je nagły przestrasz owionie,
I wnet w popłochu odlecą znów.
O! bo poznają one zdaleka,
Że nas obudwu jeden los czeka.”

IV.

Jeszcze dolinę ciemna noc skrywa,
W śnie pograżone aulu domy;
Lecz jeden tylko tam nie spoczywa,
Jeden, jak grobu gład nieruchomy:
Przed wsią przy drodze siadał na kamieniu,
Patrzy na drogę z smutkiem w spojrzeniu.

* * *

Co to za jeździec z pochyłej góry
Zjeżdża powoli jakby trwożliwie?
Jego towarzysz o długiej grzywie,
Z spuszczoną głową stąpa ponury.
Jeździec pod burką coś w ręku trzyma,
I jak skarb strzeże jeszcze oczyma.

Pomyślał starzec „to córka miła
Drogi podarek ojcu przysyła.”

I niecierpliwie starzec go czeka.

Tak wolno jedzie i czegoż zwleka?

Już blisko: staje, burki odsloni,

I oto nagle ze drżącój dłoni

Upuszcza ojcu podarek krwawy,

Co martwo toczy się śród murawy.

Nieszczęsny bieży, spogląda zbliżka,

Poznaje głowę drogiej Leili:

W szale boleści nagle w tój chwili

Chwyta ją, do ust swoich przyciska,

Jakby całując jęj martwe wdzięki,

Chciał z nią ostatnie podzielić męki.

piosnkę dla Stwórcy; cała natura tak urocza i uśmiechająca się, doskonale harmonizowała z usposobieniem méj duszy, w owéj chwili pełnéj życia, zapału i uwielbienia dla świata całego. O! bo może rozbudzić takie uczucia widok téj pięknej krakowskiej ziemi! Na każdéj piędzi znać szczerą rękę Opatrzności, która chciała ustroić pieszczone swoje dziecko, ten istny Egipt polski. Cóżto tu precudnych pagórków umajonych różnobarwném kwieciami, co to za świeża zieloność drzewek rozsianych między niwami, co za różnaitość obrazów, co krok przedstawiających się w odmiennym stroju! A te jasne drożyny wijące się między górami, a te przeświecające wskrós gaje, przyczepione od niechcienia po wznioślejszych miejscach; a te ocienione bujnym drzewem młynki po łąkach, i wreszcie rzędy wierzb oskubanych z gałęzi na wiosnę, pokrytych w lecie piękną wikliną i tak smętnie nachylonych nad wodą:—zdają się płakać swéj straty, i żalić na niewdzięcznych gospodarzy. Tam każdy krzaczek, każda trawka lub kwiatek mówią do ciebie śpiewną nutą krakowiaka, nęcą półtęskném, półwesołém „dana moja dana,” i każą się kochać na zawsze całą duszą i sercem. Rzewnaż bo to nuta krakowskiej piosenki! To nie zagraniczne walce, kadryle lub kacuczce! Tych my nie czujem sercem, choć uwielbiamy melodyjne tony wpadające w ucho; najmniejsza zaś zwrotka krakowiaka, ledwo postłyszany jęk téj pozornie wesołej śpiewki, znajduje odgłos w naszych sercach, poruszając wszystkie tętna naszego czucia; słuchamy go nie uchem, lecz całym jestestwem, całą mocą rodzinnéj miłości. W miarę rozwijania się wszystkich zwrotek wesołych, tęsknych lub rzewnych, dusza naszą cieszy się i boleje naprzemiany: gra z niemi jednakiemi tony, jakby stanowiła instrument nigdy nierozstrojonych i wspólnych im dźwięków.

Nie dziw więc, że w tak pięknej krainie, i osad gęsto jak mrowisk po lasach. Spójrzjino z podniesionego miejsca na ten obszar kilkomilowy proszowskiej okolicy! Co to tam folwarków, wiosek, miasteczek? Zda się, to jedna olbrzymia siedziba rozrzuciona tak długo i szeroko. Wszystko się łączy prawie: wieś z wioską, dwór z dworem, cmentarz z cmentarzem; kościoły co kilka kroków niby, a laski?—to ogród angielski z mnóstwem

sadzawek i olbrzymich ulic. Tu ziemia zanađto wdzięczna, tysiáekroć odpłaca rolnikowi podjęte koło niój starania. Na kilkunastu zagonach chłopek więćej zbierze dobytku, niż gdzieindziej na tyluż morgach. Wioski téż choć małe, grunta do nich należąće szczuplutkie; dzielą się jeszcze na folwarki i osady, oddzielne gospodarstwa stanowiąće: bo kto raz przewrócił tę pulchną i czarnokruczą skibę, już więćej porzucić jój nie może. Dziedzictwa wiekami przechodzą z rąk do rąk jednéj familii; a jeśli którego z właścicieli wypadki zmuszą wyjść w inną okolicę: nie przestanie tęsknić do swojój siedziby i zachęcać dzieci, aby w Krakowskiém kiedyś majątki kupowali.

Para małeńkich koników zaprzężona do lekkiego wózceczka, ciąglým truchtem umykała dalej ku domowi. Stary Jakób śmigał i śmigał nad głową krótkiém biczykiem, przerywając milczenie zwyczajną furmanom z końmi rozmową, i szarpaniem jedynym lejcem, skręćające z kolei. Nie będę wam tu opisywał marzeń przechodzących pełną nadziei duszę; nie powtórzę tych uczuć serca, tych wspomnień dzieciństwa, gdym znajome strony zobaczył: bo każdy prawie z czytelników przechodził w swém życiu podobną próbę, gdy z patentem ukończonej szkół do domu ojcowskiego powracał; każdy zna tę radość niezmyślóną młodego człowieka, co wyszedłszy już z pod opieki szkolnéj, czuje się swobodnym, jak ptaszek ręką litościwą uwolniony z klatki. Droga wydawała mi się nieskończoną; konięta pogrzały się widocznie, stary Jakób wyglądał karczemki, by popaść, ja zaś dąsałem się co chwila, że tak długo jedziemy, a jeszcze dwie mile do domu.

— Mój Jakóbie—rzekłem do niego—zajedziemy téż aby na wieczór?

— Jak Bóg da, mój paniczku!—odpowiedział uśmiechając się stary.

— Eh, bo się wlecjemy i wlecjemy jak ze smotą; nie moglibyście téż zaciąć koników, Jakóbie?

— Co nie, to nie, paniczu; i tak się zagrzały setnie, a owsa nie ma teraz na przednowku, to nie dziwota, że słabe. Bywało paniczu tak-rok w jesieni, jakem z mamą panicza jeździł do Krakowa, to szły jak ogień!..

— A teraz niech idą choć jak woda—dodałem zniecierpliwiony.

— Jużto widzę natura ojca panicza—przemówił Jakób zzymając się —i on téż rychtyczek taki. Jedź, a jedź; krzyczy, rzuca się, wysiada, odrzeka, że nigdy z Jakóblem nie pojedzie, a przecie taki bierze mię zawsze....—Od siebie tysa! lezie kieby nie widziała; od siebie!—dogadywał stary.

Nie ma rady, pomyślałem: chłop uparty jak kozieł, trzeba, zdawszy się na Opatrzność Boską i siły dwojga szkapiąt, wlec się powoli. Usadawiłem się tedy jak mogłem najwygodniej, i zacząłem dumać. Przebiegłem myślą przebyte lata w szkołach, te uciechy, swawole, utrapienia nieodłączne każdego człowieka; westchnąłem pomimowolnie za temi uroczemi chwilami życia, a przyszedłszy myślą na ostateczny examen, i nie mając co lepszego do zajęcia, rozwinąłem mój patent, widomy owoc siedmioletniej nauki. Droga zbliżała się ku górze, ziemia rozmięknęta od deszczu coraz utrudzała jazdę, to téż stary Jakób zszedł z wózka, a oparłszy rękę na drabince, postępował obok popędzając koniki. Jam przebiegał stopnie od religii aż do kalligrafii: wszędzie celujący, tylko coś koło łaciny ten dostateczny raził moje oczy. Złe będzie—pomyślałem—ojciec się najniezawodniej zgniewa, zwłaszcza on, co to łacinę ma przedewszystkiém.

— A co to panicz ogląda?—zapytał Jakób przypatrując się patentowi—Mój Boże, jakie to galante pisanie z orzłem.

— To mój Jakóbie patent, czyli świadectwo, zém już nauki ukończył!

— A, a, a, rozumiem—pomruknął stary—musiąłci się paniczek tego pocić, kiedy mu takie ładne świadectwo wydali! A ja słyszałem od mamuni przeszłego roku, że paniczek łepsko się spisywał.

— Tak, tak mój Jakóbie, starałem się wprawdzie jak mogłem, ale to zawsze jest niesprawiedliwość. Widzicie, jeden professor co się nazywa Kudelski, był zły na mnie i nie dał mi celującego z łaciny.

— O to niedobrze paniczu!.... A stary jegomość to taki jak ksiądz nasz pleban; jakci się zejdu z sobą, jak

zaczną gadać i gadać po łacinie, to człtek aż głupieje: będzie się gniewać stary!

— Wiem ja to dobrze, wiem, ale cóż poradzić? Miał złość do mnie i miał, bom mu raz jego krewnego zapisał za niespokojność na karteczce: podobno go tam oćwiczili za to. Ale wy tam tego nie rozumiecie, Jakóbie!

— Dlaczego nie? Panicz myśli, że ja chłop, to głupi jak tabaka w rogu! Przecie się to chłopakiem służywało w Krakowie u ks. prefekta, co do niego nasza wieś należała; nasłuchiłem się też rozmaitych rzeczy, a bili też bili, mój mocny Boże!

Nareszcie pokazała się wioska, za nią dębowy lassek, trzy krzyże na rozdrożu, a za niemi kopułka dzwonnicy, biała smuga Wisły, i dalej jeszcze sine wierzchołki Tatrów. Serce zadrzało na ten widok dobrze mi znany; zeskoczyłem z wózka i co sił starczyło pędziłem ku białemu domkowi, rysującemu się jasno na szarém tle miasteczka.

Gdym przybiegł w opłotki i cwałował po niebrukowanych ulicach, zapewne wzięto mnie za waryata, lub uciekającego przed natarczywą pogonią. Lecz wtedy nic mnie tam nie obchodziło; mnie tak spieszyło się powitać ukochanych rodziców, twarz tak pałała pomieszaną radością i szczęściem, że w téj chwili zapomniał o świecie całym, a nawet o łacinie.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” wyrzekłem wpadając do pokoju, i rzuciłem się w objęcia matki. Na okrzyk „Jaś przyjechał!” zbiegło się wszystko co żyło w domu: Małgosia, a teraz już Małgorzata, z potężną łyszczą w ręku, weterani z odwachu, siostrzyczka, po kolei wrywali mię z rąk do rąk, witając, przypatrując się i dziwiąc zmianie, jaka we mnie zaszła po tak długim niewidzeniu.

— A jak też wyrósł i zmeźniał mój Janio—odezwała się matka, patrząc na mnie tym wzrokiem miłości i szczęścia, jakim tylko matka na swoje dziecko patrzeć może.

— Mój Jasiu—przemówiła siostra z nieśmiałą minką, przybliżając się do mnie—jak ja cię też wyglądałam i wyglądałam tak dawno! A co mam nowych lalek z ubiorami! Pójdźże ze mną to ci pokażę, tylko się już bawieć nie będziesz ze mną!

— Dlaczego? moja Julciu.

— Bo widzisz, tata powiedział, żeś ty został człowiekiem, to już z dziećmi bawić się nie możesz! Prawda to Jasiu, żeś ty już człowiek, co?—i przy tych słowach spojrzała badawczo na mnie dużemi błękitnymi oczyma.

— Tak, tak, moja Julciu, ja człowiek, ale się jak dawniej z tobą pobawię, tylko uporządkuj swe lalki.

Z prawdziwą radością pobiegła do swojego pokoiku, a ja tymczasem rad nie rad musiałem wypić kilka garnuszków kawy, zjeść ze trzy obiady naraz, wszystko w skutek wmawiań matki, że musiałem się wygłodzić.

Ojca nie było w domu, nie powrócił bowiem jeszcze z kościoła. Z dziecinną prawie ciekawością oglądałem zakątki mieszkania, dziwiłem się mocno, że wszystko tak pomalało: stołkom i stołom zdawało się ktoś nogi poobcinał, bo były zanizkie dla mnie, piec jakoś się przysiadł, okna zniżyły; a gdym to matce oświadczył, uśmiechnęła się naiwnie i zaprowadziwszy mię do szafki na której przed dwoma laty położony krzyżyk wzrost mój oznaczał, przystawiła pod miarę, a pokazując na ośmio calowy może przedział, rzekła:

— Mój Jasiu, wszystko jak było tak i jest, tylko tyś podrósł znacznie, więc rzeczy dawne mniejszemi ci się zdają. Pamiętaj więc, żeby i umysł twój równemu z ciałem uległ powiększeniu. A pokaże mi przecie swój patent.

Z wielkim tryumfem rozwinąłem ozdobny arkusz i podałem matce. Przebiegła szybko następujące po sobie stopnie, i gdy spostrzegła dostateczny z łaciny, pokręciła głową, mówiąc:

— Czemużeś się też nie postarał o celujący; wiesz, że to ojciec najwięcej na nią zważa.

Opowiedziałem już znaną wymówkę, prosząc, żeby wstawiła się za mną do ojca, i złagodziła ile możności gniew jego, bo—dodałem—ja się bardzo boję.

— Nie bój się, nie bój, poradzimy temu—odrzekła całując mnie w głowę.

Niebawem powrócił porucznik. Wybiegłem na jego spotkanie, ze czcią ucałowałem drogą rękę rodzica; on zaś podobnie jak wszysej przycisnąwszy do łona, długo, długo przypatrywał się mojej postawie bujnej jak trzcina,

i tej twarzy, co wyrażała w pełni siłę dorastającego młodziana. Lecz jakże znowu zmienionym uważałem ojca pod względem powierzchowności! Dwa lata wprawdzie upłynęło od ostatniego naszego widzenia się, a tyle się zestarzał, tyle stracił swojej żywości i energii, jaka przedtém błyszczała w jego oku!..

Ach prawda, jam dotąd nie opisał powierzchowności komendanta. Darujcie mi proszę, zapomniałem zupełnie, że obraz zewnętrzny człowieka, zwłaszcza głównej osoby opowiadania, więcej uwydatnia jego charakter. Powiadam więc, że porucznik już teraz był jeszcze w tym wieku, co starością nazwanym być nie może. Miał około pięćdziesięciu lat, lecz nieco starszym się wydawał. I nie dziw: stérany wojaczką i połączeni z nią niewygodami, ranny po kilkakroć, zabrany do niewoli—nie mógł być takim jak ten, co cały swój żywot spędził w błogiej zaciszy domowej, w gronie familii i przyjaciół, wolny od wszelkich kłopotów, otoczony zbytkownymi wygodkami. Kto zwalczając co krok tysiące niewygód i trudów, kto z bronią w ręku o głodzie i chłodzie, na własnych tylko nogach, przeszedł kawałek ziemi z Hiszpanii do krańców północnej Azji: ten nie może wyglądać inaczej jak mój porucznik, ten nosi na sobie piętno wszystkich walk fizycznych i moralnych upłynionego żywota. Liczne téż marszczki osiadłe na całej twarzy komendanta, wiązały się, przecinały w najrozmaitszych kierunkach, a między nimi szczególnie odznaczała się rozległa i pokręcona na środku czoła szrama, zadana lancą nieprzyjacielską. Oczy duże niebieskie, choć pozbawione młodego zapału, błyszczały jeszcze dość żywo włosy blond, pół siwe, prosto spadały na czoło, i w części zakrywały owę szramę. Na całej twarzy jego, rozlana była jakaś szczerota i swoboda, odpowiadająca wewnętrznemu usposobieniu ducha, odznaczała się szczególniejszém współczuciem dla wszystkich, tą otwartością staropolską i niezmyśloną wesołością. Kto raz go tylko zobaczył i przepędził z nim jaką godzinkę, już nie mógł zapomnieć owęj miłej postawy starego wojaka. Zresztą cała fizyonomia nie miała w sobie nic uderzającego; podobnej twarzy wiele osób napotkać można. Ja sam, choć z najdrobniejszymi szczegółami rysów jego obznajmiony, nieraz spotkawszy

w Saskim ogrodzie przechadzających się dawnych inwalidów, tych żyjących pomników Napoleonowskiej epoki, nie mogę wstrzymać się od zadziwienia, dostrzegłszy tyle podobieństwa z moim ojcem. Już to jest prawdą, że niektóre osoby z wiekiem, dzieląc wspólne życie, doświadczając jednakich ciosów i jednakich chwil szczęścia, których umysł niejako zleje się w jedną istotę, przybierają również fizyczne podobieństwo rysów; co często daje się widzieć na twarzach małżonków, tak, że wzięłbyś ich oboje za rodzonych braci i siostry.

— A cóżto Jasieńku, jak widzę wzięłeś się do fajeczki, kochanie—zapytał po chwili.

— Nie, proszę ojca—odrzekłem pomieszany.

— Gdzie tam nie! poco to zmyślać. Czy tego się w szkołach nauczyłeś? A cóżto za cybuszek wygląda z kieszeni tam na prawo? Tak, tak zaczynaj, chwałaż Bogu! Od fajeczki do wódeczki, od wódeczki do kartecek, pójdzie to łatwo. Pokażno ją, pokaz!

Wyjąłem skonfundowany zgrabniutką fajeczkę, którą na wyjezdne kupiłem, bo jakżeż mógłem się odróżniać od innych współkolegów, co tytuń palili jak huzary.

— A pieniędzy nie ma u mnie; pisało się, że książek potrzeba, że papier podrożał, a to na zbytki mosanie! Prawda że piękna, ale to nie dla waszecia: grammatyka powinna być jeszcze w głowie, nie głupstwa! Ho! ho!—dodał unosząc się—wczas Waści zaczynasz. Ja gdym był w twoim wieku, to ani wyobrażenia nie miałem o fajce. Słuchajno ty paniczu! tylko jeszcze raz coś podobnego zobaczę—zawołał potrząsając fajką—nie będę uważał żeś aś skończony, a orznę jak ojciec, rozumiesz!

— Niech ojciec będzie pewny, że ja tam wcale do fajki się nie biorę; ot kupiłem sobie zwyczajnie z fanfaronady—rzekłem całując go w rękę.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy! Rozgoście się tymczasem w swoim dawnym pokoju, boć przecie nie będziesz tu długo popasał: w świat mosanie, w świat; trzeba szukać kawałka chleba, bo on tu sam podobno nie przyjdzie! Tylko jak widzę tyś wielkie jeszcze dziecko; ośmnaście lat skończył, a porządku w głowie za szeląg,

ba! i na wierzchu mniej jeszcze. Patrzajno kochanie — rzekł wskazując na piersi starego mundurka znacznie poplamione — co to za ochędóstwo! Dalibóg, to cały szpej-scettel wypisany. Acan możebyś go nie przeczytał, ale ja choć bez okularów, wszystko ci wyrecytuję: widzisz, tu rosół, tu pieczeń, tu barszcz, tu kawa — i po kolei wyliczał różne potrawy, oprowadzając palcem każdą z większych plam na surducie.

— To już stary, proszę ojca, przecież mi nie będzie potrzebnym.

— Co to znaczy mosanie? — stary czy nowy, powinien być czystym. Nie znasz przysłowia: „ubogo, byle chędogo”, a nie miałeś karty nad łóżkiem przybitéj, hę? nie trąbiłżem ci w uszy od urodzenia, „że porządek jest duszą wszystkiego“. Widzę dużo się zmieniłeś, a ekuzy są na pogotowiu; to trzeba zmienić mosanie, o trzeba! Jak starsi mówią, a zwłaszcza ojciec, acan stać powinienéj jak kołek i milczeć bez żadnych ale. Więc jutro żeby mi karta była nad łóżkiem przybita jak dawniej, bo jeszcze i różgę każę położyć, rozumiesz!

Lubo znałem oddawna porywczosć ojca, i oswojony byłem ze sposobem jego postępowania trochę za surowym; jednak przyznam się, w téj chwili jakiś nieopisany żal ścisnął me serce: stałem jak wryty, nie mogąc ni słowa przemówić na swoje usprawiedliwienie, a tza gorzka pomimowoli zakręciła się w oku. Widząc to ojciec, uczuł zapewne niejakié dla mnie politowanie, bo zapytał po chwili:

— A pokażno mi swoje świadectwo szkolne! Wszyscy mi gadali i gadali o twojéj pilności i postępie w naukach, niechże się téż przekonam.

Drżącą od wzruszenia i bojaźni ręką podałem zwitek papieru. Ojciec rozwinął go z miną najobojętniejszą, przypatrywał się okalającym pismo ozdobom, i zaczął przebiegać wzrokiem następujące po sobie przedmioty, za każdym poruszając głową. Gdy przyszedł do łaciny, oko jego zaświeciło żywszym blaskiem, twarz nieco się zarumieniła, z niecierpliwością ścisnął w rękę trzymany papier i zapytał:

— A kto to Waści uczył łaciny?

— Kudelski, proszę ojca.

— Musi to być głupiec jakiś, mosanie!—odrzekł hamując uniesienie.—Bo już ciż, żeby lepiej miał w głowie, toby się poznał na tobie i twojej łacinie. No, no, widać już się świat do góry nogami przewrócił, kiedy ty, mój uczeń, z łaciny masz złą kreskę. Muszę też napisać temu panu Kłaczyńskiemu, żeby sobie poszedł jeszcze na naukę do Pijarów wprzód, nim drugich ma uczyć.

— Proszę ojca, on miał złość do mnie, żem jego kuzynka na kartecz....

— Co tam złość, złość—przerwał rozgniewany—prywatna nigdy iść nie powinna przed słusnością! Ale dajmy pokój temu, bo ja i innym nie wierzę; tyle tu rozmaitych nauk, o których w życiu nie słyszałem, a żyję chwata Bogu blisko lat sześćdziesiąt: jakieś zoologie, technologie, metrye, statyki, figielki, kugielki, a toć tego ze trzydzieści! U nas bywało sześć, a dobrze; tu zaś taka summa, której pewno i połowy nie umiesz. Ho, ho! nie tak bratku, nie tak, tylko wolną znajdę chwilkę, sam cię wyegzaminuję, a zobaczymy, co to Waś umiesz. Nie wierzę temu, nie!

Na to przyszła matka z drugiego pokoju, a widząc mnie tak zasmuconego, i rumianą twarz komendanta, wystąpiła z obroną:

— Mój Jędrusiu, że też ty ciągle już gdérać musisz; dopiero chłopiec co przyjechał, zdrożony, zmęczony, spieszył się jak mógł, by uściskać swoich rodziców i pochwalić się, że koszta na niego łożone straconemi nie zostały, a tu zamiast uciechy i przyjemności, spotyka gniewy może i niezasłużone. Wstydź się takim być ojcem: wszystko złe tylko widzisz w twych dzieciach, a od dobrego odwracasz oczy!

— Eh moja Imość gadaj sobie gadaj—odrzekł zupełnie rozbrojony—ty wiesz swoje, ja swoje. Cóżemto Herod, a nie ojciec, czy co? Czy ja to nie radbym dzieciom nieba przychylić, mosanie; a że złe widzę zawsze, to dlatego, że jest złe. Człowiek powinien być dobrym, więc to dobre nie jest zaletą, a własnością każdego; złe zaś trzeba wykorzeniać, bo czego skorupka za młodu się napije, tém na starość trąci! Tylko mi nie becz ty psotniku—dodał zwracając się do mnie.—Pójdźże pójdź, niech cię uściskam, boś ty przecie już człowiek, nie ten malutki Jasio.

— I zaczął tulić mą głowę na swoim łonie, a jam widział również, że oczy jego łez pełne, i czułem spadające na twarz moją.

— Widzisz mój synu, jam stary, a gderanie to wada starych: więc nie martw się, nie płacz, tylko postępuj tak jak ja chcę, a będziesz szczęśliwym, i mnie uprzyjemnisz kilka chwil jeszcze na tej ziemi. Teraz pójdźmy do mego pokoju, bo mam dla ciebie mały prezencik.

Zupełnie już uszczęśliwiony, obtarłszy oczy, ucałowałem po kilkakroć rękę kochanego ojca, podziękowałem i matce za skuteczne wstawienie się, a tak pojednani poszliśmy do pokoju rodziców.

— Jak ci się też podoba ten zegarek?—zapytał ojciec wyjmując z ozdobnego pudełka nowy srebrny cylinder.

— Prześliczny, prześliczny!—zawołałem pochłaniając wzrokiem błyszczący zegarek—otoż to taki jest zupełnie, o jakim tyle lat marzyłem!

— Więc niech ci służy—rzekł ojciec podając mi takowy.—Pamiętaj strzedz go przez całe swoje życie, jako najpierwszy dar ojca, gdy ten uznał cię już człowiekiem. Być może, że później będziesz miał inne bogatsze zegarki, lecz przy nich nie będzie tyle życzeń, tyle szczęścia ojcowskiego, jak przy tym, który ci dziś ofiaruję. Widzisz tę moją dużą cebulę co wisi nad łóżkiem?—to podobny dar mojego ojca. Lat czterdzieści pięć jakem go dostał, od tego czasu w wielu to byłem nieszczęściach, w wielu potrzebach gwałtownych, i choć głód cierpiełem, okrycie ze mnie spadło—nie pomyślałem nawet o pozbyciu się onego. Pod Saragossą, gdy Hiszpan rannego wziął do niewoli, chciał mi go odebrać koniecznie, ostatek sił wydobywałem na obronę tej drogiej puścizny, i Pan Bóg dopomógł, bo walcząc z nim już siła na siłę, gdy wspólnie osłabieni trzymając się w objęciach, upadliśmy na ziemię, szamocząc się jeszcze, nadbiegła nam poczciwa wiara, i wyrwała zemdlonego ze szponów zjadłego hidalga. Nigdy on mię nie opuścił; nawet gdy się dostał pod Mozajskiem do niewoli, resztką pieniędzy jaką miałem przy sobie, okupiłem natrętnych amatorów. O! gdyby on mógł wypowiedzieć to wszystko gdzie był, co widział i słyszał, dużyaby z tego urosła historia!

—iw Za ojca przykładem, jak z rogu obfitości zaczęły się sypać podarki dla mnie. I matka miała jakąś drobnostkę, i stary dziekan, który mię najserdeczniej przyjął, obdarował ślicznym krzyżykiem ze słońcowej kości. Biedaczek nie mógł już odbywać zwyczajnej musztry z ojcem, bo nogi wymówiły posłuszeństwo, głowa pochyliła się ku tej ziemi, która go ciągnęła w swoje objęcia. Stary dziadek kościelny, co rano prowadził go do kościoła, przy mszy podtrzymywał rękę, gdy trzeba było wejść po stopniach ołtarza, a potem odprowadzał na plebanią, z kąd nie wychodził wcale, chyba na taras przed oknami będący, z widokiem na Wisłę. Gdy zaś chciał znajomych odwiedzić, to parę koników tłusciutkich czekało z maleńką dryndulką, i dziarskim chłopaczkiem, podobno ostatnim wychowaućcem proboszcza. Kundusia też wcale nie dała się uprzedzić jegomości w latach. Krzątała się wprawdzie po kuchni, robiła kozuszki na śmietance, gotowała polewkę jak dawniej, lecz wszystko to nie szło tak żywo. Od dwóch lat ogłuchła zupełnie; a że ciekawą była wszystko wiedzieć, co się w parafii działo: turbowała swoją czeladkę ciągłemi dopytywaniami o nowe zdarzenia. Krzyk też bezustanny rozlegał się po plebanii; bo z wiekiem, gdźeranie stało się prawdziwą i konieczną potrzebą codziennego życia kochanej gosposi. Młode parobczaki i dziewczki śmiali się z Kundusi, która najczęściej przekręciwszy niedostłyszany wyraz, robiła najdziwaczniejsze uwagi. I tak na przykład gdy pytała:

— A gdzieżto Tomaszek?

— Proszę pani poszedł do roli.

— Co co? w piersi go boli! A dlaboga to może suchoty! Zagotujże też dziewanny Jagna, niech pije póki może; trzeba mu i kozłowego łaju dostać ze spiżarni: leży tam koło okienka na pułce. Czegóż stoisz jak malowana, nie słyszałaś jagem rzekła, żeby kozłowego dostać!

— Ale proszę pani on zdrów jak ryba, tylko poszedł w pole—wrzasnęła jęj do ucha Jagna.

— E! bo to gadacie Bóg wie po jakiemu: roli, boli; ucę was i ucę poczciwie i wyraźnie mówić, a wy po swojemu zawsze. Co to za roli?—mówi się w pole.—Nie chciała bowiem staruszka przyznać się, że jest głuchą

i starą. I gdy mówiono do niej cichszym głosem, zwłaszcza kto nieznamy, uśmiechała się tylko, kiwała głową, jakby to wszystko rozumiała, a tylko nie chciała odpowiedzieć.

— Jak mi też Jasio wyrosł, wyładniał—zawołała widząc mię u dziekana.—Mój Boże! rychtyczek taki jak mój brat Felix; żeby tylko kaci go gdzieś w świat nie ponieśli, co byto za kawaler był w te czasy! No mój Jasiu, jak uważasz, bardzom się podstarzała?

— Bynajmniej, moja panno Kunegundo—rzekłem do ucha staruszce—osoby podobnego prowadzenia się, nigdy się nie starzeją w naszych oczach.

Uśmiechnęła się mile Kundusia pomrukając: „Pochlebnik, a taki młody” i pobiegła żywo do spiżarni, wyniosła pełen talerz smażonych owoców, które stawiając przedemną, rzekła:

— Jédz, jédz Jasiénku, pewnoś tam na pensyi ani widział tak ładnych gruszek; bo to w mieście oni nie potrafią tego: męczą i suszą gruszetą, ale nie tak jak trzeba. Jużto ja nie chwając się mam spryt do tego, a choć mówią na Kundzię stara, stara: czy to nie ma starszych odemnie na świecie czy co? A babka Słowikowska, a siostra burmistrzowej, a nasz kanonik nieprzymierzając—rzekła ciszej!—Co téżto będzie za bałamut z tego Jasia—dodała po chwilce, wspomniawszy zapewne na mój komplement—Oho! dziewczęta skakać za tobą będą, boć Kundzia zna się na tém; i nie chwając się jak tu zajrzy na plebanią jaki młodziak np. pocziarz tutejszy, to jak spojrzę na niego, nie wytrzyma wzroku, nie wytrzyma! Ale to widzisz trzpiotowate bardzo; choć i ręce całuje i mizdzy się, ja to tam nie wierzę mężczyznom: oni tylko aby rozkrwawić serce, rozkochać i uciec!

Ten zaś młokosik Kundzi, poczhalter roztrzepany, miał około sześćdziesiąt lat z górą; lubił słhownicę przedewszystkiém, a że w spiżarni na plebanii jój nie brakowało, wraz z suszonemi śliwkami, to téż i oczka gospodyni błyszczały jak dyamenty, podług zapewnień pocziarza.

Słówko jeszcze o komendzie. Przez czas pobytu mojego w szkołach, komenda zupełnie się zmieniła.

Trzech tylko zostało dawnéj daty, reszta wymarła, przekazując swe miejsce następcom, których jeszcze nie brakło.

W dzień mojego przyjazdu, a raczéj téj nocy, przypadła kolejna warta na Duszaka. Zgarbiony, z ogromną laską w ręku, przylazł starowina na odwach, i gdy się dowiedział o moim przyjeździe, pospieszył mié powitać.

— Panie Jasiu! poznajesz téż starego?

— Poznaje, poznaje, Duszaku. Jakże się miewacie mój kochany majsterku; są tam dla mnie fuzyjki drewniane?—zapytałem uściskawszy starego.

— Wolne żarty paniczu; gdzie to tam w głowie fuzyjki teraz—zawołał uśmiechając się Duszak.

— A jak się téż miewa Włodarczyk, Kownacki, Gawlik?

— Oho! Włodarczyk fiu! na cmentarzyk.

— Co, umarł?

— I kiedy! a przecieżto na święty Józef będzie temu lat trzy. Niedługo za nim poszli Romsza, Trojański i Wiśniewski; biéda panie, biéda: nas trzech zostało dawnéj daty. Kownacki jak pił tak pije, kłóci się z kumoszkami, breweruje jak dawniej; Gawlik w młynie mieszka, miele i jé boćwinę; ja zaś, jak panicz widzisz, wyglądam rychło tam staruszka kościstym pałaszem zachrząści nad głową: chrzyp! chrzyp! pójdź Kuba do wójta!

— Niechże Bóg broni, mój Duszaku—odrzekłem.

— E! co tam w bawełnę obwijać: przecie to siódmy krzyżyk za pasem; nażyło się już dosyć na świecie.

— A nowi koledzy czy tacy jak dawniejsi?

— Jak niebo do ziemi, mój panie Jasiu! Zwyczajnie jak rekruty.

— Co znowu rekruty w weteranach!

— A rekruty paniczu: wszystko to z 14go., z 15go., 16go roku. Co oni tam wiedzą o Napoleonie i jego armii: żaden nie był w Hiszpanii, Italii, ani nawet w Rossyi. My z 6go, 7go i 8go roku, np. ojciec panicza pan kapitan, ja, Gawlik, to co innego. Wszystko to nowe, młode, chłop w chłopą; boć ten mospanie Skorodzki, Wanecki nie mają więcéj jak pięćdziesiąt lat.

— I to młode, mój Duszaku?

— Jużciż młode; to nie tak jak my 67, 70 i 73.

Cały wieczór w towarzystwie poczciwego starowiny przepędziliśmy na wspólnej pogawędce. Obadwaj z ojcem rozmawiali o Hiszpanii, o Somo-Siera, o Saragossie; sprzeczałi się o jakieś zamczysko ze dwie godziny, że stało po prawej stronie nie po lewej, potem o ilość armat pod Borodinem, wreszcie skończyli na rewii pod Wolą. Ja słuchałem z uwagą tych sprzeczek starych wojaków, dumalem o tej garstce dziś niedołężnej, co to kiedyś na czele małego kaprala Francyi trzęsła Europą. Nareszcie znużony podróżą i całodziennymi wrażeniami, usnąłem szczęśliwy na dawném łóżeczku z tą samą myślą swobody, a sen błogi, sen młodości igrał sobie z moją duszą, przedstawiając mordercze walki w Hiszpanii, śmiejącą się postawę ukochanej matki, Kundusię w dużym czepku z żółtymi wstążkami, zegarek srebrny, lalki siostrzyczki, i zgarbionego z drewnianą fuzyjką Duszaka.

II.

Ani się spostrzegł, jak ubiegł tydzień jeden i drugi, wśród uciech rodzinnych i nieprzerwanych rozrywek, które mi wynajdywał poczciwy ojciec.

Odwiedzałem sąsiedztwa, polowałem chartami z majorem Wolickim, gotowałem tytuń i gospodarowałem z ojcem; chodziłem do dziekana na miłą pogawędkę, rysowałem piękniejsze widoki okolicy, a o zmroku codziennie, jeżeli pogoda sprzyjała, razem z rodziną udawaliśmy się na przechadzkę, nad brzegi srebrzystej Wisły. Ojciec całkiem był ze mnie zadowolony. Przy każdej też sposobności starałem się mu dać poznać z mojemi wiadomościami, żeby przecież wiecznie nie miano mię za dziecko. Stary porucznik słuchał z natężoną uwagą moich dowodzeń, zarzucał kwestye, powątpiewał; lecz w końcu przekonać się musiał, że i te fizyki, zoologie i t. p. na coś przydać się mogą. Zresztą byłem dla niego z największym szacunkiem i miłością, na które zasługiwał raz jako ojciec, drugi raz jako stary wojak i człowiek z najpoczciwszém sercem. Puszczałem mimo siebie gdérania, umialem tak zręcznie trafić w jego przekonanie, tak rozbroić gniew pochodzący z nadzwyczajnej żywości: że matka nie przestała odda-

wać mi codziennych pochwiał, jak potrafiłem rozruszać komendanta, który już od niejakiego czasu stracił wiele z téj dawnéj swobody i żywości.

To téż jednego dnia, gdyśmy znużeni wrócili z polowania, po wieczerzy już, porucznik zapaliwszy ulubioną lulkę, pociągnął mię przed sień, i kazał się przy sobie na ławeczce ustawionéj przed gruszką. Już z miny jego mogłem wyczytać, że coś ważnego ma mi powiedzieć, bo z niezwykłą powagą wziął mię za rękę, i patrząc śmiało w oczy zapytał:

— No, i cóż mój synu? Skończyłeś szkoły, to prawda, ale nie koniec jeszcze twego zawodu na świecie; powiedzże mi tak szczerze, otwarcie, do czego téż masz ochotę udać się teraz?

Zagadniony niespodzianie, wybąknąłem wahając się, że sam jeszcze o tém nie pomyślałem, i że rada ojca, jako doświadczonego w tém życiu, najwięcejby mi dopomogła.

— Eh! gadasz jak dziecko, mój Jasiu: cóżto ja będę żył za ciebie na świecie? Tu wola twoja najwięcej znaczyć powinna.

Milczałem, a porucznik puszczał wielkie kłęby dymu i pukając ustami przy każdym otworzeniu, obrócił się nagle ku mnie, mówiąc:

— A co? nie miałbyś ty ochoty iść na księdza?

Lubo wcale się nie spodziewałem podobnej ze strony ojca propozycji, jednakże śmiało i stanowczo odrzekłem:

— Nie, proszę ojca. Ja nie czuję się na siłach wydołać tak wielkim obowiązkom, jakie stan duchowny na nas wkłada. Co się tyczy mnie samego, możebym się odważył zostać księdzem. Dzięki twéj staranności kochany ojcze, podjętej przy mojm wychowaniu, dzięki téj religii, jaką wpołeś w młode me serce, nakoniec dzięki téj wytrwałości i tęgości charakteru w ważniejszych postanowieniach, których nauczyłem się od ciebie: pomimo burz i namiętności młodego wieku, możebym wytrwał w tym stanie, jeśli nie duchem i sercem, to przynajmniej zewnętrzną formą. Lecz ja widzę w powołaniu duchownego inne daleko ważniejsze obowiązki: to jest obowiązki względem bliźnich, tych owieczek przez Boga jego pieczy pozostawionych! Tym nie zdołałbym

zadosyc uczynić, bo potrzeba urodzić się już ofiarą, skazaną na stos całopalny dla ludzkości, a jam zanadto słabego ducha; potrzeba zaprzeć się siebie, stracić nczucie własnego ja, a mój umysł zanadto próżnością świata zajęty. Czuję to, powiadam, że tak szlachetna z życia swojego, duszy i ciała ofiara, jest wielką i godną najwyższego uwielbienia; lecz uderzywszy się w piersi, muszę powiedzieć sobie z całą otwartością: zastąbysz! upadniesz!

Z wielkiem zajęciem słuchał poczciwy ojciec tój z serca płynącej mowy, a gdym skończył, westchnąwszy głąboko powiedział:

— Dobrze mówisz, mój synu: tyś nie na księdza. Szkoda, marzyłem twoję przyszłość ot taką, jak naszego dziekana; lecz darmo, pod wodę płynąć nie można: nie odpowiedzieć swemu powołaniu duszą i głową, gorzej jak wcale nie rwać się do tego. Ale koniec końcem do czegoż ty masz ochotę?

— Otóż proszę ojca — odrzekłem śmiało — jabym chciał słuchać prawa, bo ten zawód najlepiej odpowiada moim skłonnościom.

— Dobrze, dobrze mój synu, tylko co wyjąłeś mi z ust toż samo — zawołał ojciec ze szczerą radością i uścisnął mię serdecznie. Ten zawód szlachetny przystoi tobie: jurysta, mosanie, dawniej był poważany bardzo; mój ś. p. ojciec a twój dziadek, do śmierci pełnił zaszczytny urząd konserwatora hypotek, a ludzie go czcili, Bóg błogosławił; dziś jeszcze w Krakowie zapytaj o starego W., a każdy ci powie: „to była tęga głowa, mosanie, uczciwości człowiek; szkoda że nie umiał pamiętać o sobie, bo podobno dzieciom żadnej fortunki nie zostawił, choćto i akcydensa były potemu.” Bądź tylko mój synu takim jak twój dziad, umrzej biędnym, a z wdzięcznem wspomnieniem ziomków — więćej nie żądam. Widzisz, nic nie wziętem od ojca, a chwała Bogu żyję nczciwie, i jaki taki grosz znajdzie się w szkatulce. Postępuj tylko jak ci Bóg i wiara święta nakazują, bądź sprawiedliwym i litościwym dla drugich, a będziesz szczęśliwym i bez majątku! Majątek, mosanie, psuje nas prawie zawsze: mając więćej sposobności dogadzania swym namiętnościom, brniemy w nie coraz bardziej, nie czując tego wcale; oswajamy się z występ-

kiem, bo go przykryć możemy garścią złota, nie boimy się złej opinii, bo łatwo zamknąć usta ludzkie naszym bogactwem. Nie marz mój synu nigdy wielkości zmysłowych, pragnij tylko mierności przy spokojnym sumieniu i cnocie; bo powiadam ci, niezawsze jest szczęście w złoconych karetach i wspaniałych pałacach, niezawsze spokój i wewnętrzne zadowolenie w sercach tych półbożków ziemskich! Nie pni się nigdy wyżej nad stan twój majątkowy; twoją pozorną blichtrą nie zdołasz oszukać drugich, tak jak siebie samego: wcześniej czy później, prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa z wody, i czém wyżej się wspiąłeś, tém niżej upaść musisz. Rozum twój, postęпки twoje szlachetne, prawdziwa zasługa, niech cię wywyższą nad innych, bo taka sława pewniejszą jest i trwalszą, niż miliony próżniących i bezczestnych bogaczy!

Umilkł, a jam z natężoną uwagą słucał jeszcze. W duszy mojej słowa te brzmiały jak melodyjne tony czarownej pieśni, która wlewając drugie życie w nasze jestestwo, każe zapomnieć obecności. Wszystko to trafiło do mojej duszy i przekonania tak łatwo, tak pięknie dawało pojęcie życia, żem po raz pierwszy dopiero uczuł stanowisko człowieka na tej ziemi. Umysł przedarł pokrywającą go zastłonę dzieciństwa, a pokazał w świetnie umajonej barwie cel świętego postannictwa, opartego na prawdziwych zasadach wiary.

— Kiedy więc masz zamiar uczęszczać na kursa prawne w Warszawie, to za kilka miesięcy będziemy musieli udać się tam obadwaj, żeby jakoś ulokować cię w uczciwym miejscu; bo to świat wielki zaraza dla niedoświadczonej młodzieży. A mamci ja tam jednego przyjaciela, nawet krewniaka urzędnikiem w którymś z biur tamtejszych; musi już być teraz emerytem jeżeli żyje, bo znacznie odemnie starszy. Człowiek to uczciwy, bogobojny, choć trochę mantyk. U niego cię tedy ulokuję, a będę spokojny o twoją przyszłość. Przypomnijże mi w niedzielę, abym napisał do niego w tym względzie, to on nas objaśni o wszystkiem. Teraz już chłodno, więc pójdźmy do pokoju; zaś kładąc się spać, nie zapomnij mój synu zmówić modlitwy dziękczynnej do Boga, od którego wszystko pochodzi, i który wszystkiem

kieruje. Jutro poproszę dziekana, aby na tę intencją odprawił mszę świętą, na którą wszyscy pójdziemy.

Tak więc ułożoną została moja przyszłość, ale tylko ułożona. „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi”, mówi przysłowie, tak też i z mojem sądownictwem się stało. Ale nie sprzedajmy wypadków.

Jeżeli dotąd prowadziłem czytelnika za sobą z ławek szkolnych aż do ostatecznej rozmowy z ojcem, dość ckliwo opowiadając zdarzenia nikogo obchodzić, ani zajęcia wzbudzić nie mogące; jeśli to ja dotąd figuruje na każdej stronnicy: to przyznaję się zupełnie, inaczej napisać nie mogłem. Tu jestem prostym opowiadaczem, więc tylko myśli i uczucia jednej osoby mogę malować dokładnie; innych zaś przedstawiam zewnętrzne objawy tych uczuć, to jest działania. Cała niniejsza powiastka będzie niejako pamiętnikiem pewnej epoki młodości; więc jeżeli macie chęć poznać historią serca jakich wiele na świecie, czytajcie dalej. Lecz jeżeli spodziewacie się czegoś nadzwyczajnego, ostrzegam, możecie się zawieść. Tu będzie wyjątek z życia kilku osób jednej rodziny, tak, jak o nim słyszałem z ust samego syna komendanta, z szczerą prawdą opowiedziany. Prawda jest mojem hasłem, więc jeśli ją lubicie, proszę za mną.

Po pięknych dniach lipca i sierpnia nastął słotny wtedy wrzesień. Siedziałem sobie u rodziców jak u Pana Boga za piecem, nie myśląc o jutrze, nie troszcząc się o nic, bo uprzedzano prawie moje życzenia i chęci, dogadzano pod każdym względem. Pamiętam dobrze, było to we czwartek w wigilią Narodzenia Najświętszej Panny Maryi. Deszczyk drobniutki, co to kości przejmuję, padał sobie już od trzech dni, jakby go kto najał: ani sposób gdzie się wyruszyć. Drogi popsuły się bardzo, a trzeba wam wiedzieć, że jak tamtejsze gliny i rędziny rozmokną, choćbyś miał najlepsze konie, nie ujedziesz dziennie więcej jak trzy mile. Nudziliśmy się też wybornie z ojcem. Stary porucznik już trzy razy przerzucił swoją szafkę, wszystko otrzepując z kurzu najstaranniej; zajrzał do zegara, ale ten jak na złość szedł wyśmienicie, bił tyle godzin co było potrzeba; stołki w zwyczajnych sze-

regach stały w bawialnym pokoju, recepty nie miał żadnej do fabrykacyi tytoniu: słowem, wszystko było w zwykłym porządku. Zapaliwszy więc fajkę po obiedzie, chodził zachmurzony po pokoju, głośniej jak zwykle pukał ustami, widocznie myślał o nowej majsterce. Naraz stanął przed zwierciadłem, popatrzył się w nie czas niejaki, rzucił fajkę na obok stojącą komodę, i szybko pobiegł do swego kącika.

— Muszę sobie sporządzić węgierkę—mówił do siebie zcicha, widocznie uradowany—jak raz nie mogła się lepiej podrzeć jak dzisiaj. Słuchajno Jasiu!—rzekł obracając się do mnie—weźno jaką książkę np. Żywoty sławnych Polaków i przeczytaj co o Zamojskim, a ja tymczasem narządę mój surducik.

— Wstydziliś się też mój mężu zajmować robotą, która ci wcale nie przystoi! Zdejmże ten surdut, to sama go zeszyje lub każe Małgosi.

— Jeszcze też tego brakowało!—zawołał z żywością porucznik—żeby Małgosia dotykała się moich rzeczy: jeszcze tego!—powtarzał.

— Przecież twoja węgierka nie żadna świętość—przerwała matka—żeby się jój nikt nie mógł dotknąć.

— A właśnie, że świętość, moja imościénku. Że też to nie możesz się odzwyczaić od tych babskich narowów; od 25 lat chwata Bogu jakeśmy się pobrali, ciągle mi musisz oświadczać się z swoją reparacją, a ja imości powiadam, że choćbyś drugie 25 lat żyła, ani jednego ściega nie dam ci zrobić w tej węgierce! Jak wy tam umiecie sporządzać, niech Pan Bóg broni! Zwyczajnie po babsku, palec ścieg od ściega.

— Ale zawsze lepiej od ciebie, mój mężu, bo jak ty zeszyjesz, to w trzy dni się popruje.

— Eh! co tam imość mię będziesz uczyć! Jeszcześ na świecie nie była, gdym ja lepiej szył od ciebie. A kóżto tam w pułku daje rzeczy do reparacyi, he? Sam każdy musi się oporządzać i dobrze jest: czysto, zgrabnie, jakby żadna z was na bal nie wystąpiła, mosanie! Proszę cię raz nazawsze, zaprzestań swoich narzucañ. Jużto taka moja natura i przyzwyczajenie, od których na krok nie odstąpię. Zresztą co w tém złego, powiedz? Któż to wie, jaka dola czeka na świecie każdego z nas: dlaczegóż nie umieć tego samemu, coby od drugich pro-

szą zyskiwać można. U mnie mosanie bięda, a nie prosić nikogo, bo jak ci co dadzą, tysiąc razy wymówią i pewno większe z tego tytułu będziesz miała nieprzyjemności, niż przyjemność przy pomyślnym rezultacie próby.

Matka umilkła, jam trzymał książkę i czekał rychło zacząć, a stary tymczasem wydobył z szuflady swoje jak nazywał michałki. Był to płatek granatowego sukna, długości może dwunastu cali, obsyty tasiemką i w środku przedzielony. Po obu stronach, naszyte jedna na drugą małe kieszonki, i założone jak u żaluzji, mieściły w sobie różne krawieckie przyrządy, jakoto: igły, napastrki, wosk, nici i t. p. Porucznik zdjął surdut, obejrzał ranę pod jego pachą, włożył na nos podwójne okulary, i usiadłszy przy oknie, wydobywał nici, dobiegał do koloru sukna, woskował, jak najlepszy krawiec. Potem nadziawszy napastrzek, założył pasemko nici na szyję, nawłócił igłę, i wziął się w milczeniu do pracy, rozmawiając z surdudem według swego zwyczaju: „Jak się ty mogłeś rozhulać tak szeroko, mój szaraku! Poczekaj, dam ci łatkę! Ale z kąd wziąć u diabła takiego sukna? Poczekaj, znajdziemy wewnątrz”.

Więc wyrznął kawałek z pod spodu, i przykrajał nożyczkami, a mnie kazał czytać.

Już doszedł połowy swojego dzieła, gdy wpadła do pokoju Małgosia z niezwykłą żywością, wołając:

— Proszę państwa jakaś młoda pani przyjechała do nas, i schodzi z wózka!

— Co u kroć furbeczek, ktoby to był taki?—pomruknął porucznik i włożył z pośpiechem swą węgierkę napół zrestaurowaną, z zapiętą pod pachą igłą, i wiszącym kawałkiem sukna. Wybiegł szybko do pierwszego pokoju, a matka, ja i siostra za nim. W istocie młoda jakaś kobieta, omatulona płaszczem, w kapturze nasuniętym na oczy, z białą tasiemką u dołu sukni, wymykającą się z pod płaszczyka, przemoknięta zupełnie, weszła nieśmiało do pokoju, pytając miłym głosem: „Czy tu mieszka pan kapitan R?”.

— Tak jest, tu—odrzekł ojciec dość chmurno, gniewając się zapewne, że mu przerwano tak ważne zajęcie—cóż pani żądasz od niego?

— Ja chciałabym się z nim samym widzieć—wymówiła pomieszana nieznajoma—mam list do niego bardzo pilny!

— Ja nim jestem, moja pani!

Kobieta odstąpiła kaptur ręką, spojrzała zażalwioném okiem na kapitana, tak dziwacznie wyglądającego w podwójnych na nosie okularach, z pasemkiem nici na szyi, i napastką na palcu, że pomimo boleści malującej się w twarzy jój i całej postawie, uśmiechnęła się nieco. Matka prosiła aby zrzuciła z siebie przemoczone suknie, i sama jój w tém pomogła; a następnie przeprowadziwszy do bawialnego pokoju prosiła siedzieć. Nieznajoma wydobyla list z za gorsu, i podając go zdziwionemu tém milczącym obejściem się ojcu, wyrzekła z płaczem:

— Ten list objaśni pana o wszystkiém; racz go przeczytać, bo sama mówić bym nie potrafiła!

Ojciec spojrział z współczuciem na tego dziwnego gościa, pochwyił z niecierpliwością list czarną pieczęcią opatrzony, i niebadając już herbu na pieczętce, nie dumając nad adresem, z chciwością zaczął przebiegać pismo. Tymczasem miałem sposobność przypatrzeć się panience, która z największą niespokojnością i trwogą prawie wodziła nieśmiało wzrokiem po wszystkich otaczających ją twarzach, zdawając się chcieć przeniknąć myśl tych osób, do których los ją przybliżył; tę myśl, jak ją też przyjmą po przeczytaniu listu. Mogła mieć nie więcej jak szesnaście lub siedmnaście lat. Ciemne włosy do góry środkową pręgą zaczesane, odkrywały wydatne i piękne czoło, pełne szlachetności i powagi prawie nad jój wiek. Oczy duże modre, ocienione długą rzęsą, miały jakiś szczególny i pociągający urok, zwłaszcza w tej chwili, gdy badały nieśmiało otaczające ją osoby. Nosek nieco zadarty klasycznej regularności, usta małe koralowej barwy i doskonały owal twarzy, uzupełniały całość bardzo miłego oblicza, na którym rozlany prawdziwy smutek i żalność głęboka, zjednywały serdeczne współczucie, i kazały kochać osobę, nie znając jój wcale. Może jaki znawca piękności, lub młody a skrupulatny taksator powierzchownych wdzięków kobiecych, zarzuciłby jój nieregularność troszkę wystających kości policzkowych; może uznałby te świeże ru-

mieńce zanadto parafliańskimi, ale ja w owęj chwili wcale nie zwróciłem na nie uwagi. Mnie postać téj bolejącej dziewczicy wydawała się zachwycającą; ten wzrost bujny, ze szczupłym stanem, najpiękniejszą figurą kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem. Ubrana w czarny kamlotowy szlafroczek, z szeroko rozwartemi rękawami, przewiązana na głowie chusteczką takiegoż koloru, i sznurkiem zarzuconych na szyi koralików, dziwnie odbijających przy nadzwyczajnej białości jéj cery, i wreszcie z smętną minką i oczami też pełnemi: zdawała się być tą cudną Peri, tęskniącą za utraconym rajem.

Twarz ojca w miarę dalszego czytania listu przybierała coraz trwożliwszą minę: oczy mimowolnie się mgliły, tak, że nie mógł dalej czytać, bo gęste krople też jak grad padały na trzymany w ręku papier.

— Mój wielki Boże!—zawołał rozdzierającym głosem, padając na kolana przed siedzącą nieznajomą—więc pan pułkownik nie żyje? Droga panno pułkownikówno, królowo moja! ja twój sługa do śmierci!—i wysilony żalem, zakrył twarz rękoma, skłaniając siwą głowę na kolana zanoszącej się od płaczu panienki.

— Co się takiego stało, co?—zawołaliśmy wszyscy razem, z nieudaną trwogą.

Lecz nic się dowiedzieć nie można było, gdyż głośne łkania tłumiły odpowiedź.

— Masz, czytaj głośno—rzekł ojciec podając pismo.

Schwyciłem list z skwapliwością nie do opisania, i otóż co się dowiedziałem:

Kochany mój i najdroższy przyjacielu!

„Nie dziw się mój przyjacielu, że przypominam ci tu chwilę najmilszą mojemu sercu. Pamiętasz ty przejście gór Samo-Siera? pamiętasz młodego adjutanta, biegnącego na koniu z rozkazem naczelnego wodza, do drapiącego się na górę walecznego naszego wojska; pamiętasz zapewne i tę chwilę, gdy przeszyty kulą ów adjutant, upadł przy nogach twoich, zalany potokiem krwi buchającej mu z piersi?

„Co do mnie pomnę to doskonale, tak, jakbym czuł jeszcze twe szlachetne ręce, które niosły mię do ambulansu pośród gradu kul, sypanych z nieprzyjacielskich baterij. A pamiętasz Andrzeju owe słowa, które wy-

rzekłeś przy łożu wracającego do zdrowia adjutanta? Jeśliś zapomniał, to ci je powtórzę dzisiaj: „Panie majordze, do trzeciego pokolenia jam twój duszą i ciałem!”

„Widzisz, ja wszystko to mam przed oczami, ja przedstawiam to dziś twojej pamięci, bo.... daruj mój otwartości, bo chcę korzystać z tego.

„Od dwóch tygodni czuję się słabym, i bardzo słabym nawet; czuję, że moja godzina wybije niezadługo, że muszę opuścić tę piękną ziemię, na której chciałbym żyć wieki jeszcze, nie dla siebie wprawdzie, bo ja dość żyłem, lecz dla kochających mię i kochanych przeze mnie osób, których żal wielki opuszczać!

„Mój Boże! a ja mam córkę, tego anioła opiekuńczego mojej starości, którego wychuchał własnym tchnieniem, wychował żołnierską dłoń, tego anioła mówię, na którego przelał swą duszę, wolę, życzenia i całą istność. Patrz, moja Stefcia płacze w drugim pokoju, ocierając starannie łezki, bym nie gromił ustami jej żalu. Patrz, ona przeczuwa sieroctwo, tuli się do mego łona z rzewnością, która wstrząsa dogorywające moje nerwy: chce w tym uścisku ponowić wszystkie minione pieśszoty, i zabrać tyle nowych, by jej na przyszłość wystarczyły. Biedna sierota bez matki, bez krewnych, bez majątku nawet! Jak ten ptaszek zabłąkany na puszczy, gdzie skieruje lot swój nieśmiały, gdzie znajdzie schronienie przed burzami świata, które zawisły na jej dziecięcym czole? Andrzej! myśl ta rozdziera do reszty ojcowskie serce. Mój Boże! mój Boże! całe życie spędziłem jak tułacz, nie znając co dom, co spokój, co familia; całe życie pracowałem ciężko na kawałek chleba, odmawiałem sobie najdrobniejszych przyjemności, skąpiłem na wszystkie strony, aby nadal zabezpieczyć jako tako los mój przyszłej dziedziczki: i wiesz com zebrał? 15,000 złotych, 15 i nie więcej!.... Lecz bluźnię narzekając, bluźnię przeciw Bogu i tobie. Czyż nie większy skarb znalazłem od milionów, kochany Jędrzeju, nie większy jak wyobrazić sobie można? Tak jest, znalazłem serca, które kochały mię jak brata, więcej nawet niż brata: temi zaś jest twoje, i twój zacnej małżonki. W zaufaniu więc tej przyjaźni, pomnąc na owe słowa na początku przytoczone, oddaję ci mój skarb jedyny, moję Stefcie; nie wątpię, że znajdzie u was

drugiego ojca i matkę, i że zajmiecie się jej losem, jak losem własnych dzieci. Nie daję tu żadnych rozporządzeń, żadnego nie objawiam życzenia co do przyszłości méj ukochanej jedynaczki; wszystko to zostawiam twemu uznaniu i twemu popędowi własnej woli. Rozrządź ją jak swoją, obmyśl los i przyszłość jakie za najlepsze uważać będzie twoje serce, a ja z góry się zgadzam najsolenniejszemu bo... bo, inaczej nie mogę. Kapitał jaki pozostanie, i ruchomości, zabierz do siebie lub sprzedaj, jak ci tam dogodniej będzie. Zanadto znam dobrą twą stronę, abym na chwilę mógł powątpiewać o twojej prawości; lecz proszę cię, chroń nadewszystko téj małej spuścizny Stefci, bo wszyscyśmy śmiertelni: i tyś już stary, i zacna twoja żona nie pierwszemu młodoci, a któżby potem chciał opiekować się biedną sierotą? Wiiesz, na samą myśl twojej śmierci drzę przeczując moję! Lecz dobry Bóg nie dopuści téj klęski na niewinne stworzenie jego; coś mówi do méj duszy, że moja Stefci będzie szczęśliwą, i że to szczęście winna będzie tobie.

„Teraz pomówmy o sobie, drogi mój przyjacielu! Na śmiertelnym postanieniu złożony czyż mogę powiedzieć więcej jak to: żem kochał cię i kocham jak nikogo w świecie. Składam ci zatem ostateczne dzięki za te chwile szczęścia, jakie mi przyjaźń twoja uwieńczyła na téj ziemi; przepraszam stokrotnie za wszystkie błędy moje, które ci jakąś przykrość przynieść mogły, bo wszyscy jesteśmy słabymi i niedoświadczonymi istotami! Więc przebaczyć Andrzejowi sercem i myślą, a spokojniej dusza moja spoglądać będzie na ten znikomy padół łez i utraconych. Nie smuć się moim zgonem, nie dodawaj żalu swymi łzami ukochanej méj Stefci, bo ja tam z góry zawsze patrzeć będę na was, cieszyć się waszym szczęściem, lub ubolewać nad waszą niedolą. Nie, nie! duch ludzki nie może zapomnieć węzłów łączących go z doczesnością; on przebywa zawsze z miłymi mu osobami, spogląda na wszystkie ich kroki, i ochrania od zguby. I ja też nie rozdzielię się z wami, choć ciało zniszczy: będę gościł u was, jak ten anioł stróż każdego człowieka.

„Gdy list ten czytać będziesz, już ręka co go kreśliła, zamarta nazawsze. Śmierć sparaliżowała wiecznie te członki, które wysiliły się, by przelać serce na ten

milczący papier. Przyjm więc tu ostatnie pożegnanie twojego pułkownika; przyjm je tak, jakbyś zostawał w jego objęciach, patrzył w zamglone śmiertelnym całunem oczy! Poszepnij wieczny odpoczynek za duszę przyjaciela, zwierzchnika i ojca; pożegnaj odemnie twoją rodzinę i dobrych przyjaciół; powiedz im, że ostatnie słowo moje było dla nich, że ostatnie uderzenie pulsa zamarło, pałając miłością nieskończoną i szacunkiem bez granic. Przytulcie moją sierotę do waszego pocziwego łona, zapłaczcie nad jej sieroctwem, aby łza prawdziwej przyjaźni i miłości, poświęcona jej biednemu ojcu, spłynęła na niewinną główkę. Oh! widzę was, słyszę łkania przerywane wybuchami żalu i boleści, i to mnie cieszy, bo nie żal umierać, zostawując na ziemi podobne wspomnienia!“

Poniżej już drżącą ręką dopisane były następujące słowa: „Przeczuwam, że dziś skończę! Zaklinam cię więc Andrzej, pamiętaj też o mojem dziecku; bo nie tyle lękam się zbliżającej śmierci, ile drżę wspomniawszy na przyszłość mej jedynaczki. Żegnam cię więc jeszcze; do zobaczenia w lepszym świecie, bo przecież się kiedyś zobaczymy!... Módlcie się za mnie“....

Bukowski.

Ledwie że mogłem dokończyć czytania, taki żal ogarnął me serce; oczy zaćmiły się, i papier mimowoli wysunął się zpod palców. Nie mogłem zebrać przytomności, pojąć téj katastrofy tak szybkiej i niespodzianej; zdawało mi się niepodobnem, aby człowiek ten, który wylał swoją duszę z taką rzewnością i bolesną prawdą, którego żywy oddech prawie czułem na mojej twarzy, mógł umrzeć! Nie byłem w stanie wyobrazić sobie pułkownika, którego niedawno widziałem w pełni życia, z całym zasobem wesołości, tak kochanego od wszystkich, dziś już znikłego nazawsze z widowni świata!

Widać, że i sercami innych miały podobne uczucia, bo przez chwilę nie mogliśmy słowa wyrzec, spoglądając po sobie z wyrazem osłupienia. Nakoniec matka porywając w objęcia zapłakaną Stefcie, zawołała z uczuciem nie do opisanego:

— Stefcu, Stefcu! moje kochane dziecię, nie płacz! Boskie to rozrządzenie: trzeba mu się poddać z pokorą

i ufnością! Masz oto we mnie matkę, w mężu moim ojca, a w dzieciach naszych rodzeństwo; my kochać cię będziemy bardzo, tak jak kochaliśmy szlachetnego twojego ojca!

— Mój Boże! ktoby się téż był spodział—przemówił ojciec potrząsając głową—pan pułkownik niestary jeszcze; jak to znikome to życie ludzkie!... No, no, ukój się panno pułkownikówno, otrzyj te łezki i kochaj nas nawzajem za ojca i siebie. Da Bóg, będziemy sobie radzić jak będzie można; widzisz, to moje dziatki jedyne—rzekł wskazując na nas—miałem ich dwoje, przybyło teraz trzecie, i za to składam niebu dzięki. Uważaj dom ten za swój, rządz nami wedle swój woli, a wszyscy słuchać cię będziemy, jak rozkazów ojca twego nieboszczyka pułkownika.

To słowo nieboszczyka jakoś nie chciało wyjść śmiało z ust jego; biedny nie mógł go jeszcze wymówić bez pewnego wahania się i żalu.

Otoczywszy przybyłą, długo, długo słuchaliśmy z zajęciem rzewnego opowiadania o ostatnich chwilach pułkownika. Tyle w niem było rozdzierających serce szczegółów, w tak jasnym świetle wystawiona niezachwiana wiara wojaka, i pewność szczęśliwej przyszłości, tak budującymi owe ostatnie nauki i przestrogi, dawane jej na śmiertelnej pościeli: że tylko usta córki zlewając wyrazy z czuciem, mogły to wypowiedzieć. Ja nie potrafiłbym ich tu powtórzyć, bo to nad moje siły. Dość tylko postawić się w jej miejscu, odświeżyć te uczucia, żale i boleści, jakie przebiegały nasze dusze, gdyśmy szczątki ukochanych nam osób przykrywali ziemią zroszoną własnymi łzami; dość wspomnieć na tę myśl, jaka wówczas rodziła się w naszym łonie, że ich nie obaczę więcej takich, z jakimi przeżyliśmy najpiękniejsze i najboleśniejże dni i lata, że nie spojrzemy więcej na te miłe oblicza, które samą miłością patrzyły na nas tak długo: aby mieć wyobrażenie téj przerywanéj tkaniem mowy, przywiązanej i kochającej córki. To téż i my wszyscy zapomnieliśmy o całym Bożem świecie; uderzeni niespodziewanym wcale ciosem, zasmuceni, siedzieliśmy milcząco; i Bóg wie dokądby stan ten potrwał, gdyby nie oznajmienie Małgosi, że obiad na stole, i zapytanie: „gdzie rzeczy panienki umieścić?

— Ach prawda—poszepnął sobie ojciec, zrywając się szybko z siedzenia, i ocierając chustką mokre jeszcze powieki—prawda, dość płaczu, teraz trzeba działać! No poruczniku, pokaż ci umiesz: otwiera ci się pole; dowiedz jak się to ceni przyjaźń takich ludzi, jak pułkownik. W imię tedy Boga naprzód.

Wybiegł szybko z pokoju, wydał potrzebne rozporządzenia, furmana opłacił, i wracając do nas siedzących już przy stole, jeszcze we drzwiach powtarzał, żeby ostrożnie znoszono kufry panny pułkownikówny, lub nie wyrzucono czego z pudełka i t. p.

Milcząco odbył się ten obiad stypowy; każdy zamknąwszy się z swą myślą, nie zwracał uwagi na potrawy, a tém bardziej na Małgorzatę, która sprząając nieknięte półmiski, mruzczała pod nosem: „a któż to widział nic nie jeść! No widzicie moi państwo, wartoż było smażyć się przy ogniu na taki obiad!” Nareszcie znudzona ciągłym naszym milczeniem, gdy przyniosła rumianą, potężnie wysoką leguminę i postawiła przed matką, odezwała się z gniewem:

— Żeby tam nie wiedzieć co mi było za to, nie odejdę, aż ani krzty nie zostanie na półmisku! Bo téżto dawno podobna mi się nie udała legumina: jaka pulchna, gorąca!

Uśmiechnęliśmy się wszyscy na podobny argument, tylko ojciec nie zważając wcale na jej arcydzieło, lecz zajęty swoją myślą, powstał z krzesła mówiąc:

— Pójdźno za mną do alkierza, uprzątniemy miejsce dla panny pułkownikówny!

— Ależ proszę jegomości, legumina opadnie na nic.

— A niech przepadnie do milion fur b.... A... a... przepraszam!—zawołał potykając ostatnią sylabę, i zatykając usta ręką—przepraszam najmocniej pannę pułkownikównę, bo to wojskowe djabl...No i znowu to samo—rzekł do siebie.—Z takim przyzwyczajeniem niech cię milion fur b.... A to już skaranie Boskie!—zawołał wreszcie szarpnąwszy wąsa, machnął ręką, zasłonił usta, i szybko uciekł do drugiego pokoju.

Dziwczę ze smutnym uśmiechem zwróciło się do matki.

— Już poznaję pana porucznika doskonale—rzekła—ojciec tak mi go opisywał zawsze, tak wystawiał jego

nadzwyczajną żywość, że mimowolnie musiałam się uśmiechnąć. Ale niech też pani poprosi męża, żeby dokończył obiadu: ja się przecież ulokuję sama!

— Nic to nie pomoże moja Stefciu: on jak poczciwy i dobry człowiek, tak więcéj jeszcze żywy i uparty; lecz pobrobujmy.

Ale gdzietam było perswadować ojcu o odstąpieniu od zajęcia; już podstawił liczne swoje sprzęty w sypialnym pokoju, porozrzucił wszystko, i najenergiczniej brał się do przenosin.

— Panie kapitanie! proszę cię bardzo, daj pokój—odezwiała się Stefcia stawając na progu.

— Dobrze, dam pokój panno pułkownikównu, dam, jak skończę. Weź się na lewo, Małgosiu! Ostrożnie! do góry teraz!—komenderował cjeciec, trzymając silnie jedną stronę biurka.—Ja to już dawno myślałem się wynieść z tego pokoju—dodał po chwili—bo Bogiem a prawdą, niebardzo mi tu dogodnie było. Imość żona fajki mi nie dała palić, gderała na nieporządek, to i kontent jestem z okazji. Trzeba tu wymyć podłogę Małgosiu, tylko zaraz a czysto, jak to ty umiesz....

— Proszę pana teraz słota na dworze, nieprędko wyschnie!

— Co tobie milion fur b.....— i znowu zasłonił usta, szarpnąwszy jeszcze mocniej wąsa—już chyba koniec świata, że ja się tak zapominam; nie gniewaj się tylko panno pułkownikównu—dodał odsuwając żelazne łóżko—już tego więcéj nie będzie.

— Ależ mój panie kapitanie, to mię wcale nie gniewa: jam przywykła do podobnych wyrażen, owszem miło mi słyszeć to, com słyszała zawsze w domu ojca. Proszę cię więc, nie ró b sobie żadnych ze mną ceremonij!

Uśmiechnął się stary podnosząc na nią oczy i pomruknął: „Znać mosanie żołnierskie dziecko, znać”! Lecz w téjże chwili nieostrożnie przysunął się do łóżka, które miał przenieść, tak, że igła zapięta pod pachą, a o której zapomniął zupełnie, ukłuła go widać mocno, bo syknąwszy głośno, puścił łóżko ze swoim zwyczajem: „ażeby cię”.

Kobiety wysunęły się na to z pokoju, nie chcąc mu przeszkadzać, a porucznik tymczasem z gniewem rzucił węgierkę z ramion, i oddając służącej, kazał natychmiast dokończyć reparacyi.

— Tylko staraj się Małgosiu, żebyś tak samo przyszła jakem zaczął; moja kochana, tak samo!

Służąca uszczęśliwiona niezwykłą łaską, poniosła do kuchni zranioną suknię, a ojciec tymczasem nie nadziawszy innéj, jak Maryusz na zwaliskach Kartaginy usiadł na przewróconym kufrze, dumając również o znikomości świata tego. Do samego wieczora było krętani-ny co niemiara: wszystko co żyło w domu, musiało przyjąć udział w przygotowaniach dla panny pułkownikówny. I ona nawet, choć znużona podróżą, przygnębiona boleścią, mimowolnie przyczyniła się do ogólnej roboty; rozpakowywała swoje tłumoczki, rozstawiała w przeznaczonym jéj pokoiku różne przedmioty, a tym sposobem nie miała czasu oddawać się żalom, i uczuć dotkliwie swoje sieroctwo. Właśnie to było zamiarem matki, by odwrócić od niéj ten smutek różnemi zajęciami.

Praca, to najlepszy lekarz na wszystkie bolesti nasze; pracując nieustannie, gorliwie, chociaż przymusowo, niepodobna nie zwrócić uwagi i myśli do przedmiotów naszego zajęcia. Tym zaś sposobem, jak powiedział Syrokomla, choć chwilkę wykradnie się smutkowi, a taka chwilka jak błysk jasnego promienia słońca wśród burzy, jest drogą dla serca miotanego wewnętrznym, a gorszym w swych skutkach niepokojem. Nic tak nie rozognia ran serdecznych, jak samotność i bezczynność: dusza nasza, skłonna do imaginacyjnych marzeń, i do analitycznych rozbiorów każdego odcienia myśli, oddana sobie samej, tworzy najdziwaczniejsze domysły, przypuszcza najbardziej niepraktyczne następstwa; chce koniecznie ogarnąć dotykalnie cały ogrom swych utrapień, a nie mogąc podołać téj olbrzymiej pracy, mąci się, zaciemnia sama w sobie, targa zuchwale wszystko to, co tam zgromadziły doświadczenie, nauka, miłość, i sprowadza najzaciętszego wroga rezygnacyi, rozpacz. Szczęśliwy zaiste i bardzo szczęśliwy ten, kto ma drugie serce na ziemi takie, przed którym odkryć się może, które podzieli z nim jego cierpienia, słodką łzę współczucia przygasi ten pożar, mogący zniszczyć naj-

piękniejszy plon przyszłości! Kto zaś posiada tyle zdolności, że potrafi znaleźć przyjaciela w kawałku papieru, i w stanie jest przelać zbytek uczuć, jaki przepełnia jego zakrwawione serce: niech chwyci za pióro, niech poskarży się przed niem, niech pisze myśli bez ładu, tak jak cisną się do głowy i duszy, a stworzy dzieło, co trafi do uczuć i serca innych nieznanych mu współcierpiących. Poeta piszący głową, który wysila i nagina imaginacją i myśli do form, choć obrobi swój przedmiot podług znanych i nieznanych prawideł poezji, nie będzie wszakże poetą. Czytając jego że nie powiem utwory, ale lepianki, przyznamy mu dobrze obrobioną całość, nie zaprzeczemy talentu, nie wynajdziemy najmniejszej wady w stylu, wyrażeniach i obrazach: a dlaczego powiedz mi, rzucamy książkę z pewną niechęcią, jakbyśmy czuli jakowys zawód? dlaczego zapominamy za chwilę o niej tak, jakbyśmy jej wcale nie czytali? Oto dlatego, że nie było tam serca, nie było prawdy, tylko kłamane uczucia kształtnie przystrojone. Serce lubi prawdę; gdzie jęj nie ma, nie ma i serca, bo serce sercem się pojmuje.

Nie mówimy tu o takich, co nie nie czują; dla nich tam wszystko jedno: prawda czy kłamstwo, dobre czy złe, jasne lub ciemne; oni nie rozumieją jednych i drugich! Bo proszę was, jak można znać ciepło, nie doświadczwszy zimna?

Znowu się rozgadałem po swojemu, i muszę podobnie jak pan porucznik, gdy miał wystąpić z furbeczkami w obec panny pułkownikówny, zatkać usta ręką i zawołać: a! a! a! przepraszam, zapomniałem się.

Nazajutrz rano ni ztąd ni zowąd zajechał Jakób przed okna, ojciec wsiadł do wózka, pożegnał całą rodzinę, i ruszył wykonać ostatnią wolę zmarłego z wielkiem podziwieniem nas wszystkich, i zdumieniem Małgorzaty, która nie była w stanie wytłumaczyć sobie, jak pan kapitan mógł pojechać bez zrazów.

Wieść o przybyciu pułkownikówny, lotem błyskawicy rozniosła się w miasteczku i po całym sąsiedztwie. Przez kilka następnych dni nie mogliśmy się opędzić wizytom, które jak grad sypały się co godzina. Najprzód pani burmistrzowa, niezmiernie ciekawa zobaczyć, jakto pułkownikowskie dziecko wygląda, z całą czere-

dą swawolnych dzieci, w nowej jedwabnej sukni, zawiątała w parę godzin po odjeździe ojca. Choć przyszła z wewnętrznem uprzedzeniem o pańskości Stefci, choć pierwsze wyrazy wyrzeczone przez nią nosiły cechę jakiegoś szydlerczego lekceważenia, i niewytłumaczonej zazdrości; jednak zobaczywszy pułkownikównę, poznawszy jej słodziutki charakter, i tę niezmyśloną uprzejmość z jaką przyjmowała grzeczności burnistrzowej; gdy nadto z udanem może zajęciem wysłuchiwała jej opowiadania o owym pojedynku za Francuzów: zmieniła swe zdanie, bo wychodząc szepnęła do matki odprowadzając ją aż przed się:

— To wcale przykładna panienka, wcale, i bardzo się cieszę, że moje miasteczko takim skarbem wzbogaczone zostało.

Po niej nastąpiły odwiedziny państwa kontrolerów, pisarzów, dzierżawców z Sadka i innych znajomych; a wszyscy odjechali z dobrem usposobieniem dla młodzieńczej sieroty. Przyjechał też niebawem i Wolicki z większemi niż zwykle żabotami, i wyżej posuniętymi pod oczy kołnierzykami. Bywalec, dowcipniś choć starszej daty, zdołał jednakże rozśmieszyć panienkę swoimi komplementami bez miary, i pociesznemi anegdótkami, których miał zapas niewyczerpany. Tak kręcił się i nadskakiwał z miną pretensjonalną, tak strzelał buremi oczyma na przedmiot swoich zabiegów, że z początku śmiejąc się serdecznie z niego wraz z Stefcią, a później, porównawszy jego gracyą i śmiałość w obejściu się, z nią studencką nieśmiałością i niezgrabnym uszanowaniem dla niej, uczułem pewną zazdrość w sercu, i jakąś niechęć objawiającą się w każdym ruchu i słowie. Postanowiłem sobie, bądź co bądź, nabyć tej lekkości i zgrabności w obcowaniu z kobietami, aby nie stać niżej od tego starego majora, którego choć lubiłem dawniej, teraz pragnąłem prędkiego odjazdu. Może to nie była prosta zazdrość i chęć postępu, może to inne uczucie przebijało się już w tej myśli, lecz wtenczas jam nie zwrócił na to uwagi. Matka nadzwyczaj była zadowolniona z różowego humoru majora, bo widziała jak rozweselił nieco ukochaną Stefcię; kiedyniekiedy dorzuciła słówko, które on łapał starannie, i rozwijał właściwym sobie sposobem. Miał szczególniejszy dar prędkiego zapoznania się

z każdym; i umiał tak szybko zbadać charakter, usposobienia wewnętrzne, upodobania pierwszy raz widzianej osoby, i w tak odpowiedni sposób trafiał do ich przekonania, że po kilku godzinach obcowania, już był dla nich tak dobrze znajomym, jakby zjedli z sobą z dziesięć beczek soli. To też i panna pułkownikówna ujęta jego uprzejmością, ośmielona wesołym obejściem, mimowolnie żywiej z nim rozmawiała, pozwalając sobie nawet niektórych żarcików niewinnych z jego wieku, tak niezgodnego z młodzieńczemi nadskakiwaniami.

— Jak też pani mię uważa?—zapytał major—mógłbym ja się ożenić jeszcze?

— A dlaczegożby nie—odrzekła z uśmiechem Stefcia—przecież serca nie siwieją razem z włosami.

— Eh proszę pani, czy to takie włosy siwemi się nazywają—przemówił z żywością, gładząc dobrze szpakowatego czuba.

— Nie siwe panie majorze, nie siwe, więc jakież? może jasno-blond?

— Doskonale!—zawołała matka—pan major jasny blondynek teraz, wybornie!—i wszyscy śmiać się poczęli. Napróżno major się tłumaczył, wymawiał, dowodził; napróżno wrywał włosy i pokazywał, że nie siwe: nic to nie pomogło, został jasnym blondynkiem nazawsze.

Po odjeździe majora, zaproponowała matka odwiedziny proboszcza. Sędziwy starzec niewymownie się ucieszył z naszego przybycia. Znał bardzo dobrze pułkownika Bukowskiego, wiedział już o jego śmierci, przybyciu Stefci, i odjeździe ojca, gdyż ciekawa Kundusia nie omieszkła uwiadomić go o wszystkiem. To też uściskał ją serdecznie, mówił tak pięknie i z serca o tym koniecznym długu śmierci, której każdy okupić się musi, tak umiał wlać balsam religijnej pociechy w zbolełą duszę sieroty: że odetchnęła wolniej, oblicze jęj zajaśniało błogiem przekonaniem lepszéj przyszłości, czekającéj nas na drugiéj stronie żywota. Kundusia ubrana w nowy czepek z dużemi złotemi kokardami, ciekawie spoglądała na przybyłą, wynosząc coraz nowsze przysmaczki, na jakie tylko jęj spiżarnia się zdobyła; zapytywała Stefcię o różne gospodarskie zajęcia kobiety, jakoto: robienia konfitur, powideł, smażenia owoców i t. d, a widząc, że zna się na wszystkiem doskonale, uznała

właściwem objawić jej również niektóre sekreta, doświadczeniem swoim nabyte.

— No, no, ja gęm rzekła, to wcale panienka rozumna; kto by się to spodziewał tego po miejskiej panie: no, no—i pokręcała głową. — Ażeby to moja siostra Jagusia żyła, toby rychtyczek taką musiała być gospodynią.

Dziewkan rozmawiał z matką o przyszłym odjeździe moim do Warszawy, a my tymczasem pobiegli do ogrodu, obejrzyć owe cuda ogrodnicze starego proboszcza. W istocie ogród choć mały, utrzymywany był w największym porządku: wszystko tam znalazłeś, co tylko potrzebnem się okazało do kuchni, wygody i przyjemności. Były kwiaty i ogrodowizny, owocowe drzewa, winogrona, melony, arbuzy, truskawki i t. p. Prześliczna altana, ocieniona dzikiem winem i powojem, z białemi słupkami brzeziny, przynęcała do siebie zalotnie. To też i dziekan z matką przyszli do nas na kawę, i Kundusia* zaglądała często pytając, czy czego nie potrzebujemy; a tak swobodnie, z weselszą myślą, pod pięknem niebem, przepędziliśmy aż do wieczora.

Żegnając nas ksiądz proboszcz, zapowiedział częstsze swoje odwiedziny, polecił mi przychodzić po kwiaty dla Stefcy, którą bardzo polubił, a stara Kundusia patrząc za odchodzącemi, szepnęła do niego:

— Patrzenie moi państwo, ten Jasio znalazł sobie bogdanke! A ja gęm rzekła ładna to będzie para; bo wszystko mi się widzi pokochają się strasznie! Już Kundzia choć stara, zna się na tém dobrze!

W kilka dni powrócił ojciec. Interesa poszły mu najpomyślniej; z wielkiem zadowoleniem Stefcy, nie sprzedał ani jednego płotka z pozostałych ruchomości, wszystko okazał wpakować na fure, spisawszy skrupulatnie, i przywiózł ze sobą, aby droga panna pułkownikówna, jak ją zawsze nazywał, miała po ojcu pamiątki.

Czas niejaki jeszcze zszedł na pomieszczeniu przybyłych świeżo sprzętów do użytku Stefcy służących, bo inne porucznik kazawszy starannie opakować, złożył do oddzielnej szopy. Ustawiono tedy fortepian w bawialnym pokoju, jak można najdogodniej, nawet z poświęceniem szeregowego porządku krzesel; zawieszono bielutkie fi-

ranki w drugim oknie sypialnego pokoju, postawiono szafkę z książkami Stefci, stoliczek jój, tualetę i różne drobnostki kobiece. Nad łóżkiem pojawiły się wizerunki świętych Pańskich, i kanarek z mosiężną klamką znalazł miejsce w oknie, i wazony kwiatów dwoma rzędanami, rozlaczały balsamiczną woń wokoło. Pokój weale inną teraz przybrał powierzchowność: wszędzie znać było ten delikatny gust kobiety, co oddycha jakąś niewypowiedzianą błogością, tak, że wszedłszy tam, ogarniało cię uczucie pewnego poszanowania, jako w przybytku poświęconym niewinności, i uczuciu niezemskiej swobody.

Powoli, powoli, dzięki staraniom matki w wynajdywaniu różnych zajęć dla Stefci, znikał smutek z jój czoła, umysł zdawał się oswajać z terażniejszością; wróciła wesołość i żywość panienci. Młodość, czas, modlitwa, praca, zwyciężyły boleść. Bo taki jest na świecie porządek rzeczy: rozkosz i smutek mijają szybko, zostawując czasem tylko ślady swojego przejścia. Ślady te z początku żywsze, przytomniejsze, ścienniają się powoli, mącą z terażniejszością, zacierają w pamięci, jak te przedmioty pięknego krajobrazu, co oddalając się od naszego wzroku, nikną i nikną w przestrzeni mgły pomrokowej, i w końcu zlewają się z niebem. Z całego gmachu naszych pamiętek zostaje ruina tylko, z której najlepszy architekt nie mógłby odgadnąć całości. A wspomnienia gdzie?—zapyta niejeden. Otóż wspomnienia, odpowiem: to pamięć oczu, to obraz na którym wypełzły farby, zostawując szkic niewyraźny. Dawno zdarzone wypadki, które silnie wstrząsały naszym umysłem, duszą i sercem, niepodobna obecnie przedstawić w wyobraźni naszej takimi, jakimi wówczas się wydawały. Człowiek co chwila się zmienia, co chwila inaczej pojmuje siebie i swoje uczucia; co dawniej zajmowało go szczerze, co stanowiło jego szczęście lub boleść, dziś wydaje się niedorzecznem lub śmiesznem, i dziwi nas to samych, jak można było tak myśleć i czuć przed laty.

Życie nasze dotąd spokojne, jednostajne, zupełnie nową przybrało barwę. I nie dziw: taka dzieweczka jak Stefcia mogła przeważny wpływ wyrzucić na otaczające ją osoby. Żywa i wesoła jak czeczotka, umiała dziwnie połączyć te przymioty z powagą i rozsądkiem,

może nad wiek jój. Wychowana w dzieciństwie przez ząną siostrę pułkownika, która ją dość wczesnie odumarta, nabyła od niej prawdziwej wiary w Boga i wszechmocność Jego, nauczyła się wielbić wszystko co piękne i dobre, miłować wszystkich jak współbraci swoich. Serce jój z natury skłonne do szlachetnych uczuć, jak ta pulchniutka gąbka, pochłaniało wszystkie nauki, wrażenia i czułość, wlewane szczerze przez ukochaną ciocię. Kierowana znowu rozsądną radą pułkownika, który jak troskliwa płaszyna o swoje pisklęta, krok w krok śledził jój młodociany umysł, wpajał najpiękniejsze zasady moralności, cnoty i szlachetności, starannie ochraniał niewinne serduszko, ażeby żadne nasionko brudu nigdy go nie skałało: odziedziczyła po nim, że tak powiem, tę prawość charakteru, wygórowaną miłość prawdy, i energią do zastanowienia. Z tego podwójnego i tak różnego wychowania, nastąpiła w swych skutkach doskonała całość. Pełna pobłażliwości, uniewinniająca kaźden postępek drugich, nie czuła nigdy żadnej niechęci, żadnego gniewu lub obrazy. Postępowanie zaś swoje z otaczającemi ją osobami, umiała z całą otwartością i naturalnością zastosować do ich usposobień, charakteru i pojęć; w kaźdej choć najnudniejszej napozór rozmowie, znajdowała przyjemność, potrafiła tak zręcznie ją skierować na jakiś zajmujący przedmiot, tak ożywić nie nieznaczącą drobnostką, że kaźdy choć najbardziej zarozumiały umysł, musiał jój przyznać tę pewną wyższość, i uczuć pomimowolny wpływ miłuchnej dziewicy. To też począwszy od rodziców, kochali ją serdecznie wszyscy, nawet i zazdrosna burmistrzowa.

Pracowita, wesoła, kochająca, musiała zajrzeć codziennie w kaźdy kącik mieszkania, pomagać matce w gospodarskich zajęciach, bawić się jak dziecko lalkami z moją siostrzyczką, rozmawiać z porucznikiem i Duszakiem o hiszpańskiej wyprawie Napoleona; a przytém z taką dokładnością cytowała daty i miejsca batalij, jak gdyby nie z opowiadań ojca swego, lecz z własnego przekonania je znała.

Naukowa strona umysłu Stefci nie leżała również odłogiem. Pułkownik dobierał jój najzacniejszych i najzdolniejszych nauczycieli, przewodnicząc im swoim do-

świadczeniem i nauką. To też w tej pięknej głowce było wiele, wiele wiadomości, ale i skromności jeszcze więcej; każde zdanie wychodziło z ust jej nieśmiało, w całej rozmowie nie było najmniejszego odcienia pedanteryi, tak zwyczajnej więcej ukształconym umysłowo paniąkom, nie było żadnej chęci popisywania się z swoją nauką. A znała wybornie historią i literaturę krajową, posiadała gruntownie języki francuzki i niemiecki, i nauki przyrodzone obcemi dla niej nie były. Lecz długo o tém nikt z nas nie wiedział, ani się tego mógł domyśleć, bo starannie ukrywała wszystko, czémby się mogła wywyższyć nad innych.

Pan porucznik z całym zapałem i poświęceniem oddał się swęj pułkownikównie: o niczém nie myślał jak o wynajdywaniu dla niej przyjemności, o niczém nie mówił, jak o niej; z tą myślą kładł się spać, z tą wstawał, i z tą się modlił. Gdy spotkał kogo ze znajomych, zaraz wyliczał mu przymioty nieocenionej Stefci.

— To złotko, mosanie, czyste złotko — powtarzał — i w głowie pięknie, i w serduszku jeszcze lepij; kto to weźmie, szczęście zabierze samo! A ciepła mosanie! boć tu jest sumnka porządna — mówił klepiąc ręką po kieszeni — piętnaście tysięcy okrągłutkie i czyściutkie jak szkło!

Wszystkie dawne przyzwyczajenia, które nawet matka wykorzeniec nie zdołała, składał na ofiarę u nóg swęj wychowanki. Już i wasy przyszczygł tak jak pan pułkownik nosił, bo tak Stefci chciała, i węgiarki sobie nie restaurował, bo panna pułkownikówna uznała to za niewłaściwe, i tytuniu nie przyrządzał, bo Stefci powiedziała, że kupny jest lepszy i przyjemniej pachnie. Kochała go też za nas wszystkich może. On zaś był ciągle z winnóm uszanowaniem dla pułkownikowskiego dziecka; nie poważał się nigdy sam bez jej prośby pocałować pięknego czoła dziewczęcia, gdy spała chodził na palcach, zaglądał przez dziurkę od klucza, podsłuchiwał czy nie wstała, aby powiedziec przezedrzwi dzień dobry, i oznajmić jaką przyjemną nowinkę. Gdy mu raz wymawiała owe żołnierskie honory, jakie dla niej robił, i te formy uszanowania; rozśmiał się tylko pociesznie, odpowiadając:

— W osobie panny pułkownikówny jest dla mnie sam pan pułkownik; a znam karność mosanie, na tém się zęby zjadło!

— Dajże pokój panie kapitanie z tą panną pułkownikówną—odrzekło śmiejące się dziewczę—to takie długie imię: chciałabym coś krótszego!

— Nic nie pomoże, moja panno pułkownikówno—odpowiedział robiąc front porucznik—to tak się należy.

— A gdybym ja prosiła o krótsze.

— Tobym odmówił, z przeproszeniem panny pułkownikówny.

— A gdybym jako pułkownik rozkazała —zawołała śmiejąc się Stefcia.

— To.... to..... pomruknął zdziwiony ojciec—to być nie może!?

—Właśnie że być może, ja tego chcę, bo będę płakać.

— Dobrze, dobrze moja panno pułkownikówno, rób co chcesz ze mną, a nie płacz, mosanie!—przemówił żywo porucznik i spojrzał na nią z uczuciem.

— Więc proszę mi mówić poprostu Stefciu.

— Nie mogę, panno pułkownikówno!

— Cóż znowu!—przemówiła niby zagniewana—to rozkazuję!

— Tak to co innego—odrzekł smutnie ojciec—muru głową nie przebiję.

— A widzisz panie kapitanie, widzisz, że musiałeś się zgodzić! Wygrałam zakład!—i poczęła klaskać w rączki podskakując po pokoju.

— Jaki zakład, mosanie?

— Przed chwilą mówiliśmy o tém z mamą; ona dowodziła, że nie potrafię tego wymódlz, ja zaś przeciwnie, że pan kapitan dla mojej miłości to zrobi, i wygrałam, wygrałam!—powtarzała wesoło.

— Eh!—zawołał machnąwszy ręką — ale i panna pułkow.....

— Stefcia—przerwało dziewczę.

— Niechże będzie panna Stefcia.

— Żadna panna, bardzo proszę! Pan kapitan zmienia rozkazy.

— No! to już i Stefcia—mówił rumieniąc się porucznik—niechże Stefcia również nie zna żadnego pana ka-

pitana, bo chciałem porucznik mosanie, ale i ten tytuł zniknąć musi, gdy pułkownikównę z kontrol wykreślamy.

— Ślicznie! ślicznie!—zawołała wesoło Stefcia chcąc pocałować starego w rękę, którą jej ze wstydem odsunął.—Ojcem będę cię nazywać, kochanym ojcem!—i nie zważając na zdumienie porucznika, rzuciła mu się na szyję, objęła rękoma jego głowę, a całując poorane lica, wołała z radością: „Miałam matkę drugą, mam teraz i ojca, mam!

Porucznik nie wiedział co z sobą zrobić; wszystko to odbyło się tak niespodzianie, tak nie mogło się pomieścić w jego głowie, żeby on, porucznik, miał być nazywany ojcem prześlicznej panny pułkownikówny, że przez chwilę nie bronił uścisków Stefci, i nie pojmował jak tu z tego wybrnąć.

— Tfu! do milion furbeczek okrętów batalionów!—zawołał z gniewem, gdy Stefcia wybiegła do matki, i pociągnął mocno siwego wasa.—Djabło się złapałeś! ot i nowy kłopot. Nie ma sposobu, stało się: głupis stary!—fuknął uderzając się w czoło.—A co sobie też pomyśli pan pułkownik w niebie, żeś tak się zapomniał?

— Ucieszy się niewymownie—dokończyła smutnie wracająca Stefcia.—Złe masz wyobrażenie, kochany ojczec....

Tu wzdrygnął się i zarumienił porucznik, przerywając:—Daj pokój, daj pokój panno pułko..... Stefciu.

— Niechże dokończę przecię kochany ojczec,—mówiła dalej Stefcia,—złe masz wyobrażenie o moim pierwszym ojcu; on tak cię kochał, tak mi kazał cię również kochać, więcej nawet jak siebie, a ty za to niewdzięczny jesteś, i gniewasz się na jego córkę!

— Gdzie się tam gniewam, moja panno pułk..... Stefciu,—ktoby się też na ciebie drogie dziecko mógł gniewać—rzekł ojciec przytulając ją do piersi,—na siebie się gniewam, żem pozwolił się złapać.

— Eh! to niepotrzebne wcale! Pójdź, pójdź—powtarzała ciągnąc go za rękę—przedstawię cię mamie: dopieroż się ucieszy!—I śmiejąc się wesoło, i spoglądając przenikająco w chmurne oblicze ojca, poprowadziła go do pokoju matki.

Nie dziw więc, że ja w wiosnie życia, z duszą pełną młodzieńczych marzeń, z miłością całego świata, patrząc codziennie na tyle wdzięków Stefci, na te coraz jaśniej odkrywające się przymioty jęj pięknej duszy, mimowolnie, nie wiedząc o tęp pokochałem ją całym sercem i zapałem piérwszėj miłości. Pomijam tu owe drobniutkie ścieszki, po jakich uczucia wpływają do duszy; nie będę opisywał tych rumieńców na widok ukochanej osoby, tych ognistych i niemych spojrzeń, co to dla obcych niezrozumiałe, a dla kochanków najwymowniejszą rozmową się stają: bo to wszystko tak oklepane, tak znane, nietylko z doświadczeń osobistych każdego człowieka, lecz i z tysiącznych opisów. Zresztą jeżeli prawdę mam powiedzieć, sam wtedy ich nie rozumiałem; czułem wprawdzie skutki, lecz przyczyny dojść nie byłem w stanie. I niebardzo usiłowałem je odgadnąć: mnie tak było dobrze przestawać z prześliczną i wesołą Stefcią, tak szczęśliwy byłem najdrobniejszą jęj łaską, jaką mię kiedyniekiedy obdarzała, że nie pragnąłem nic więcéj, nie myślałem nawet o innej rozkoszy nad tę, aby patrzeć wiecznie w ocienione długą rzesą modre oczęta, starać się uprzedzać każdą jęj myśl, każde żądanie wprzód, nim one wyroiły się w nadobnej główce dziewczęcia.

Każdego ranku, gdy jeszcze spała, biegłem do ogrodu dziekana, zwiątałem bukiet z najpiękniejszych kwiatów, jakie tam znaleźć mogłem, i kazałem służącej stawiać na stoliczku jęj obok tualety, by przebudziwszy się, spojrzeła na swoje rówienniczki, tak piękne i niewinne jak ona.

O godzinie siódmėj już cały dom był w ruchu; albowiem taki porządek zaprowadziła matka, że rano ubierała się już na cały dzień, bez tych wybrednych negliżów, które zajmują tyle drogiego czasu na przebieranie się. Za przykładem matki, Stefcia i siostra również rano kończyły swą tualetę. Wszystko było w zwyczajnym porządku: pokoje uprzątnięte czyściutko, schludnie, i niepotrzeba było obawiać się rannėj wizyty, bo każda rzecz była na swoim miejscu tak, jakby umyślnie na kogoś oczekiwano. Potęp chodziliśmy na mszą z ojcem i matką, a wróciwszy, zabieraliśmy się do właściwych sobie zatrudnień.

Stefcia z małą moją siostrą, poruczone miały gospodarstwo drobiu. I trzeba było widzieć te obie dziewczynki, z jaką radością wybiegały przed sień, niosąc w fartuszkach różne przysmaczki dla swoich ulubieńców, gromadnie czekających na nie. Kury, kurczęta, kaczki, gołębie, znaty je doskonale; podskakiwały wesoło, szarpały za suknie, świergocząc i ciesząc się po swojemu; one zaś każdemu poszczególnie nadawały rozmaite nazwiska, pieściły się z niemi, rzucając obficie ziarenka i pilnując porządku. A co to było żalów, nawet i płaczu, gdy jakiej czubajki zabrakło nazajutrz, i gdy domyśliły się, że padła pod nożem srogięj Małgosi! Już wtedy nie można było namówić żadnej do skoszlowania nawet kawałeczka pieczystego przy obiedzie: kiwały smutnie główką, wyliczając nieoszacowane przymioty nieboszki, i półgłodne wślawały od stołu.

Do południa, każdy gorliwie zajmował się swoją pracą: kobiety szyły, haftowały, siostra się uczyła pod kierunkiem matki lub Stefci, my zaś z ojcem wychodziliśmy w pole obejrzeć urodzaje lub dopilnować robót tam prowadzonych.

Po obiedzie dopiero czytaliśmy książki w ogrodzie gdy pogoda, a gdy słońce, w domu. Ileżto razy spłakaliśmy się serdecznie nad nieszczęściami bohaterów powieści; ile razy ucieszyli lub uśmiali z ich dziwacznych przygód, jak np. Robinsona Kruzoe. Zwykle matka wprzód czytała sama każdą książkę, nim ona nam się dostała; nie były to żadne Balzakowskie, ani Sandowskie i im podobne romanse: poprostu powiastki nieoszacowanej Tańskiej, coś z Magazynu dla dzieci, Robinson szwajcarski, Różia na Tenenburgu i wiele innych w tym rodzaju.

— W tym czasie i tym wieku, jak są moje dzieci,— mówiła—lepiej żeby nie znaty złego, pod jakąbądź formą ono się ukrywa, chociażby nawet przedstawiane było w celu obrzydzenia sobie występku i unikania go. Umysł ich młody pochopniejszy do tego wszystkiego, co niewolno, może kiedyś najniewinniej korzystać z tych sposobów i zabiegów, jakich używali bohaterowie powieści, dla dopięcia niecných zamiarów. Młodemu sercu obcém ma być wszystko to, co oburza prawość, szlachetność i cnotę; niech ile możności najdłużej pozosta-

nie] w błógiem przekonaniu dzieciństwa i niewinności, niech się nie zraża złością i podłością ludzką, bo to ich całe szczęście, to wiek ich najpiękniejszy, gdy wszystko widzą dobrem i pięknem na ziemi.

Po czytaniu następowała przechadzka w pole, lub nad brzegi Wisły. Tu już moja znajomość botaniki na coś się przydała: rwaliśmy kwiatki, ja objaśniałem ich układ, wyliczałem gatunki i użytki z niejaką dumą nawet, bo miałem tak nadobne uczennice, które z checiwością prawie pochłaniały nauki mało starszego od nich mentora. W wieczór wróciwszy znużeni, słuchaliśmy z zajęciem prześlicznych śpiewek Moniuszki, mazurków Nowakowskiego lub skocznych krakowiaków, oddanych z całym uczuciem i wdziękiem przez młodą artystkę. Pamiętam dziś jeszcze te poważne, pełne rzewności i smutku polonezy Ogińskiego, odbijające wdzięcznie duch owych czasów, gdy były pisane. Stary mój ojciec chodził po pokoju z smutnie zwieszoną głową, rozpamiętując owe szybko ubiegłe chwile młodości, w których podobna nuta może inaczéj pojmwana, ożywiała jego pierś, i prowadziła w życie późniejsze, pełne zapamiętów i burz, pod osłoną honoru i sławy. Wkrótce zmienia się ton dźwięcznego fortepianu, wesoła piosnka żołnierska z całą mocą i energią oddana, wygładza z serca dawną tęsknotę. Porucznik się zatrzymuje, słucha, mimowoli marszczki znikają z czoła, oko żywszym zaświeci ogniem, noga do marszu naprzód się wysunie, i stary drżący głos wojaka, łączy się z dźwięczną nutą dziewczęcia:

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając głodu czasem,
Suknia na nim nie blakuje,
Wiatr dziurami wylatuje i t. d.

Skończyli. Wzruszenie ogarnęło wszystkich, porucznik w postawie marsowatej zda się gotów przypuścić szturm z bagnetem w rękę, porywa zdumiałą Stefcie w objęcia, tuli do siebie okrywając całusami, i ledwie dosłyszanym głosem powtarza: „Dziękuję ci moje złotko, dziękuję, niech ci Bóg zapłaci za to szczęście, jakim napełniłaś mą duszę!“ I z tego nieznacznie przypomni sobie jakąś wyprawę, pogładzi węża, rozpowiada z takim zajęciem i żywością, że niepodobna słuchać go obojętnie, i nie czuć jakiegoś uwielbienia dla téj walczącej

garstki, co to choć z fałszywą i źle pojętą ideą, narażała tylekroć swój honor i życie, Bóg wie dla kogo i za co!

Takto upływały nam chwile, przerywane kiedyniekiedy odwiedzinami łaskawych sąsiadów, maleńką wycieczką w okolicę lub inną nową rozrywką, bez cienia smutku, bez nadzwyczajnych trosk i kłopotów. Ojciec nie widział, ani domyślał się mojej skłonności do pułkownikówny. Wszystkie zabiegi, grzeczności, zabawy, uważał tak naturalnemi i tak właściwemi, że nieraz oddawał mi szczere pochwały, jak uniem pojmować myśl jego, starając się uprzyjemnić chwile ukochanej jego sierocie. Matka, jako kobieta więcej mająca przenikliwości, może i dostrzegała to niewinne i szczere uczucie, budzące się w mém sercu; bo trudno dziecku ukryć przed okiem matki swe myśli, gdy te objawiają się w każdym jego słowie i czynie. Lecz najmniejszym słowem, giestem nawet, nie objawiała tego i nie krępowała niczém dotychczasowych naszych stosunków. Może cieszyła się niemi, może marzyła piękną przyszłość, może... bo któż tam odgadnąć potrafi tysiączne marzenia matek o szczęściu swych dzieci. Dość, że w tym stanie swobody upływały szybko dni, tygodnie i miesiące; nastąpiła smutna jesień, minął czas udania się na kursa prawne, a ja siedziałem w domu rodziców niepomyślawszy o przyszłości; nie naglony przez nikogo do wyjazdu, gdyż ojciec zaprzątnięty swą wychowanką, zdawał się zapominać o wszystkiém, co nie dotyczyło kochanej Stefci; matka zaś, ani razu nie wystąpiła z podobną propozycją.

Ale niestety! wszystko na świecie musi mieć swój koniec! Mały napozór i śmieszny wypadek, odkrył cały ogrom mojego uczucia, pozbawił uroczych chwil szczęścia jakich dotąd kosztowałem, i sprowadził burzę na głowy tych, którym życia nie wahałbym się poświęcić.

Było to w początkach listopada. Chociaż wedle wyrażen ojca byłem człowiekiem, choć ukończyłem szkoły i miałem lat ośmnaście, jednak pustota młodości nie wywietrzała z głowy, figle dzieciństwa, nierozsądek, siedziały sobie w zakątku duszy, i kiedyniekiedy pokazywały się dość śmiesznie w mojem postępowaniu. Otóż jednego dnia po obiedzie, zwabiony pięknnością zimowych jabłek, będących w naszym ogrodzie za domem,

a których jeszcze nie otrząśnięto, wymknąłem się nieznamcnie, i dalejże drapać się na drzewo jak ten dziesięcioletni chłopaczek. Urwałem już kilka postępując coraz wyżej po rozłożystych gałęziach, aż tu naraz zda mi się spojrzeć ku drzewiczkom, i widzę wchodzących do ogrodu matkę, Stefcie i młodszą siostrę, a za nimi z fajką w ustach wolno postępującego ojca. Zimny pot wystąpił na czoło; poznałem nierozsądek mojego postępuku, a tu już nie było czasu zejść z drzewa, żeby mię nie dostrzeżono, bo jak na złość, jabłonka stała przy prostej uliczce wiodącej od furtki. Nagle przyszła mi wyborna myśl, ukryć się na drzewie spokojnie, i czekać póki nie przejdą. Polazłem więc wyżej na drzewo, usadowiłem się jak można najlepiej, i z bijącym sercem czekałem ich przejścia. Aż tu na nieszczęście, gdy byli może na pięć kroków od jabłonki, czuję że gałąź trzeszczy pod moimi stopy, za chwilę łamie się, a ja z ogromnym łoskotem padłem jak długi przed oczami przelektłej rodziny. Z początku krzyk przestachu, później serdeczny śmiech doleciał mych uszu. Wystawcie sobie moje krytyczne położenie, gdym czerwony jak pons, z wypchanymi kieszeniami jabłek, podniósł się z ziemi, nie śmiejąc spojrzeć przed siebie.

— A to mi płaszek, mosanie!—zawołał ojciec pół gniewno—Czyś ty się chciał powiesić czy co?

Ja ani słowa przemówić nie mogłem, tylko stojąc pośrodku złamanej gałęzi, spuściłem smutnie głowę, gdy tymczasem kobiety nie przestając chichotać, usiadły na poblizkiej darniowej ławeczce.

— Ot masz tobie!—mówił dalej ojciec—to młodzieńiec dorosły, a figle w głowie: taką prześliczną gałąź złamać! Tfu! do milion furbeczek, kazałbym sobie za to dwadzieścia porządnych kijów przylepić! Wstydź się drągalu łazić jak kot po drzewach! No i czegoż stoisz jak niemy? Pozbieraj jabłka, uprzątnij gałąź, i ruszaj z Bogiem!

Machinalnie wypełniłem rozkaz, i nie spojrzawszy za siebie, zgniewany, zawstydzony, wolnym krokiem przeszedłem uliczkę aż do furtki, nie zważając wcale na wołania matki i wesołe żarty porucznika. Za progiem dopiero, nacisnąwszy czapkę na uszy, jak strzała puściłem się w bezludną ulicę miasta, i słyszałem tylko zda-

leka, jak śmiejąc się porucznik uspokajał kobiety wotając:

— Nie kłopotczcie się o niego, pewno się nie utopi; pobiegł na pole, nie ku Wiśle!

Ujrzawszy się samotnym, dopiero rozpuściłem wodze moim żalom. I jak to zwykle się dzieje, zamiast obwiniać siebie, szukałem przyczyn pochodzących od innych. Naturalnie że zwróciłem je ku Stefci, śmiejącej się tak serdecznie z mego niefortunnego wypadku.

Jak ona mogła śmiać się ze mnie—myślałem—ona, dla którejbym wszystko oddał, żeby sprawić jej jakąś przyjemność! Rodzicom to wolno, ale ona? fe! nie spodziewałem się tego po jej sercu!—i zakończyłem ten gorączkowy monolog mimowolnym wykrzyknikiem: Takieto są kobiety, wierz im!

Do późnej nocy wałęsałem się po polach, nie śmiejąc wrócić do domu; nareszcie gdy uważałem, że wszyscy spać już muszą, wszedłem cichaczem do mego pokoiku, postanowiwszy naprawdę gniewać się na Stefcię.

Nazajutrz w dopełnieniu tej obietnicy, nie przyniosłem jej świeżych kwiatów, nie powitałem zwyczajnym dzień dobry, nie spojrzałem na nią, tylko chmurny, milczący, zaraz z rana wynalazłem jakiś powód, i wydalilem się z domu. Nie uszło to uwagi chwilowej méj nieprzyjaciołki, bo gdy odprowadziła mnie wzrokiem do drzwi, i pytała jak prędko powrócę, znać było niejake drżenie w głosie, i smutek malujący się w tych drobnych oczętach. Ma się rozumieć, że jej nic nie odpowiedziałem, ani spojrzałem w jej stronę wychodząc, co tém bardziej potwierdziło jej domysł, że się gniewam.

Nie wiem co się tam działo w domu podczas mojej nieobecności, to tylko wiem, że całe dopołudnie zdawało mi się nieznośnie długiém, choć chwila powrotu na obiad niebardzo mnie przynęcała. Z zamyśloną więc twarzą, z bolesnym odgłosem w sercu wczorajszego wesołego śmiechu, wracając ani się spostrzegłem, gdy niedaleko mieszkania uczułem na ramieniu rączkę méj Stefci, i usłyszałem przenikające jej słowa: „O co się gniewasz tak na mnie, mój panie Janie”?

Chociaż z myślą urojonego gniewu, choć z wielkim zapasem ułożonych wymówek, któremi miałem ją obsy-

pać przy pierwszej lepszej sposobności, spojrzawszy w tej chwili na tę piękną twarzyczkę, wymownie odbijającą wewnętrzny smutek, stałem się jak niemy, a słowa gniewu skonały na ustach.

— No i o cóż się gniewasz, panie Janie?—powtórzyła dobitniej przeszywając mnie swym wzrokiem.

— Jakże się nie mam gniewać—odpowiedziałem drżąc—gdy wczoraj miałem tak oczywisty dowód jej życzliwości.

— To dzieciństwo, mój panie Janie! Nie spodziewałam się wcale, byś pusty wczorajszy śmiech brał na seryo, i tak surowo mnie sądził.

— Ależbo nie godziło się tak żartować ze mnie, zwłaszcza gdy jabym dla panny Stefanii wszystko poświęcił, byle widzieć ją wesotą i szczęśliwą.

— Więc przebac kochany panie Janie! Bóg widzi, nie miałam najmniejszego zamiaru cię obrazić. Ot widzisz, pustota młodości i nic więcej; nie gniewaj się, nie gniewaj, podnieś to czoło, rozwesel oczy!—mówiła dalej, podnosząc ręką do góry rozdąsaną moję głowę.

— Ja się też wcale nie obraziłem,—odrzekłem nieco wzruszony,—i tylko.... tylko przekonałem się, że jestem dla pani tak sobie, studentem, z którego śmiać się można do woli, i że nie mogłem dotąd zasłużyć na iskierkę jakiegoś..... współczucia.

Dziewczę oblał żywy rumieniec, spuściła oczy, jakby się namyślała przez chwilkę, nareszcie porwawszy szybko obie me ręce, spojrzała tym wzrokiem, co to poruszy wszystkie tętna naszego serca, i przemówiła z wyrzutem:

— Więc pan takeś przypuszczał naprawdę?

Milczałem.

— I pan mogłeś pomyśleć nawet o tém,—dodała potrząsając me ręce—wstydz się! Ja całą noc płakałam, myśląc o mojej wczorajszej pustocie. Mało mi znasz jeszcze, och mało!

Drżąc, czułem napływającą krew do głowy, nieprzytomny, nie wiedziałem na którym jestem świecie.

— Panno Stefanio!, Stefciu!—wymówiłem ledwo do słyszczanym głosem i ze łąą w oku przebac mi, przebac, bo ja cię, bo..... cię.... zanadto kocham!—dokończyłem zakrywając twarz rękoma.

— I ja..... także.....—poszepnęło po chwili dziewczę, spuszczać oczy i skubiąc trzymaną rękawiczkę.

— Czy tak, czy tak?—zawołałem uszczęśliwiony z pałającym wzrokiem, i opromienioném niezmierną rozkoszą obliczem.—O! powtórz, powtórz to słowo!

— Tak, kocham cię,—powiedziała już śmieliej, i porwała szybko pod rękę, prowadząc ku domowi.

Szliśmy milcząco; bo i cóż można było mówić w tej uroczystej chwili, w której tysiąc tysięcy myśli leciało tłumem do głowy, gdzie wszystko zmieszane w ogromny chaos, rwało się, łączyło, nurtowało i przenikało w niepojętych kształtach i barwach nie do opisanego. Podobną rewolucją uczuć, raz tylko w życiu doświadczyć można; więc się ona nie powtórzy, bo raz tylko człowiek kochać może z tą siłą niezrównaną, i zapalem młodej nieśkażonej żadnym występkiem duszy.

Wy! którzyście wprzód, nim to święte uczucie miłości zaświtało do serc waszych, dotknęli ustami czary przepętnionej rozkoszą grzechu, żałujcie tej szczytnej a bezpowrotnej chwili, bo ona byłaby dla was ową gwiazdą polarną, tą magnesową igłą w dalszej żegludze życia! Onaby przewodniczyła wszystkim szlachetnym czynnościom i wyższym polotom duszy; ona we wszystkich dolegliwościach waszych byłaby tym bezpiecznym portem, w którym skołatany umysł mógłby się schronić przed natęczywością burz świata tego; onaby nakoniec wpoić w was błogie przekonanie, że śmiało urągać możecie śmierci, gdyż lepsza przyszłość was czeka, której już próbkę mieliście na ziemi!

Porucznik widząc nas wspólnie wracających z zarumienionemi twarzami, na których błyszczało samo szczęście, mówił do matki:

— Widzisz moja Zosiu, już są w najlepszej komitywie; wiedziałem o tém, bo to młodzi jak skorzy do gniewu, tak jeszcze prędsi do przeprosin.

Jakże wtedy pragnąłem samotności! Cóżbym nie oddał za jedną godzinkę wolną, bym mógł uporządkować jakotako swe myśli, i ogarnąć choć cząsteczkę tego uczucia, jakim przepętniona była dusza. Lecz gdzież są róże bez kolców, światła bez cieni, lub bez chmur pogoda? Otóż temi kolcami dla mnie był podówczas obiad, i wesołość nadzwyczajna ojca.

— Aha! jesteś nam zbiegu!—mówił uśmiechając się, —wstyd było wczorajszych jaktek, i gniewało się na nas mosanie! Czy to potrzebne takie figle? Widzisz, zmartwiłaś Stefcię, że biedaczka miejsca sobie znaleźć nie mogła!

Jakto tam szedł obiad, łatwo sobie wyobrazić. Jedliśmy nie jedząc, co dawało powód do serdecznego śmiechu obecnym, nie mogącym pojąć naszego rozłaznienia.

— Stefciu kochana! kto to widział pieprzyć naleśniki. Jasiu uważaj! kładziesz tyle fasoli na talerz, że nie zostanie dla drugich. Co u Boga im się dziś stało?—mówił śmiejąc się porucznik.—Patrzaj, patrzaj żono, podniósł widelec z pieczenią do ust, mięso upadło na talerz, a on pusty widelec wpakował!

— Daj mu pokój, mój mężu—odrzekła matka, spoglądając bystro na nas, i potrząsając głową—widocznie jest rozdrażniony, niech się uspokoi!

Skończył się wreszcie ów nieznośny obiad, zerwałem się prawie naprzód, lecz zamiast podziękować matce, musiałem ogniście czerwoną rękę Małgosi, która sprzątajac nakrycie, uwijała się koło stołu. Tuż już i Stefcia powstrzymać się nie mogła od śmiechu, i ja sam musiałem towarzyszyć ogólnym wybuchom wesołości.

— A to straszne rzeczy—zawołał ojciec trzymając się za boki—co ci się stało chłopcze, powiedz?

— Nic, proszę ojca, zamyśliłem się to o tém, to o owém....

— Ciekawym, co ty tam masz do myślenia—mówił dalej porucznik—chyba znowu o jakich gruszkach, he?

— Nie, proszę ojca, wcale nie.

I chcąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę, zapytałem, czybyśmy co nie przeczytali, bo dostałem śliczną powiastkę pani Tańskiej.

— Dobrze, dobrze—odpowiedział ojciec zapalając fajkę—czytaj, tylko ucziwie!

Pierwsza i druga stronnica poszła jako-tako, lecz na trzeciej myśl moja pobiegła gdzieindziej: czytałem bez najmniejszego zastanowienia się, opuszczając przecinki, średniki, kropki; przekręcałem nielitościwie wyrazy tak, że stary nie mogąc powstrzymać gniewu, wyrwał mi z rąk książkę, mówiąc:

— Waćpan dziś do niczego, mosanie! Idź spać i kwita!—a podając ją Stefcu, dodał:—Słuchaj jakto Stefcia będzie czytać, to aż miło słuchać nie tak jak ty: me, me, me, jednym głosem jak baran!

Usunąłem się na bok skonfundowany, lecz zadowolniony poczęści, że swobodnie będę mógł myśleć o sobie. Stefcia z początku czytała z uczuciem; porucznik zdawał się cały przelać w zmysł słuchu, bo w lepiwszy swe oczy w twarz pułkownikówny, siedział bezwładny, połykając każde słowo wychodzące z ust jego wychowanki. Lecz powoli, powoli, zaczęła się mieszać, przekręcać wyrazy, niestosować głosu do opisywanych tam uczuć: słowem. myśl jej również uleciała za obręb książki. Porucznik to się podnosił, to sykał, to poprawiał na krześle, widocznie zniecierpliwiony; nareszcie zerwał się szybko i zakrywając dłonią czytanną stronicę, przemówił z żywością:

— Nie! coś się w tém święci! To niepodobna, i ona tak samo czyta. Daj pokój, daj pokój Stefcu!—a obracając się do matki, dodał:—moja Zosiu, co im się mogło zrobić? może ty wiesz kochanie, powiedz, bo ja gubię się w domysłach. Mówią, że się nie gniewają, prowadzili się tak pięknie pod ręce, to chyba pozór? Oni się gniewają, i tylko dla oszukania nas tak twierdzą. Oho! mosanie, nie oszukaś starego lisa, nie!

I gdy matka nic nie odpowiadając uśmiechnęła się na tę zarozumiałość ojca, on tymczasem porwał mię za rękę, przyprowadził przed Stefcie, wołając:

— Przepróż zaraz! przepróż ty zuchwalcze!

Naturalnie że parsknęliśmy oboje śmiechem, spojrzawszy sobie w oczy, a porucznik odskakując bił się ręką w czoło, mrużąc:—komedia, mosanie, istna komedia!

Wtedy dopiero matka wystąpiła w roli pośredniczki, pogodziła zwaśnione umysły proponując spacer w pole, dla obejrzenia kopiących się kartofli.

Ileżto przez całą drogę nagadaliśmy sobie pięknych rzeczy, ile to przypuszczeń, widoków na przyszłość snuło się w tych młodych głowach kochanków, to już wypowiedzieć trudno! Lecz jak każde szczęście jest zamałe dla nas gdy je osiągniemy, żądając coraz większego; tak i w tych rozmowach wmieszać się mu-

siało natrętnie pytanie: „co to z tego będzie?“ Uradziliśmy tedy, by znalazłszy sposobną ku temu chwilę, objawić naszą miłość rodzicom: to jest ja ojcu, a ona matce; tymczasem zaś kochać się szczerze, okazywać sobie nawet niejaką obojętność w ich przytomności, i starać się ile możności podobać rodzicom, by łaskawszym okiem patrzyli na nasze uczucia. Podobne żądanie bardzo sprawiedliwie wydać się może zbyt prozaicznym, lecz że tak było przyznaję, bo dzisiaj już nikt nie umie czekać tak, jak bohaterowie średniowiecznych czasów; dziś wiek rachuby, a my byliśmy jego dziećmi.

W istocie przez cały następny tydzień, mało co zajmowaliśmy się sobą, wynagradzając tę udaną oziębłość wymownym spojrzeniem, tajemnym ściśnieniem ręki, lub jednym cichym słówkiem, które starczyło za wszystko. Gorliwość moja w ujęciu ojca przybrała nieograniczone rozmiary; reparaowałem z nim zegar, robiłem ćwiczenia łacińskie, uczyłem się nawet rozmówek, by zagadnąć czasem jego ulubionym językiem, słuchałem z zajęciem już kilka razy powtarzanych przez ojca dykteryek, prowadziłem dyskursa filozoficzne z zadziwiającą trafnością: słowem, osiągnąłem cel moich zabiegów. Porucznik bowiem nie mógł się wydziwić tej nagłej zmiany i pewnej rezolucji w odpowiedziach. ani pojąć tego, jak nazywał taktu, w całym moim postępowaniu. Przypisywał wszystkie odmiany ostatniemu wypadkowi w ogrodzie.

— Chłopiec się utemperował, mosanie, głupstwo napędziło rozumu do głowy; dobrze, dobrze mój synu, lubię takie serce, lubię podobną mowę, kontent z ciebie jestem zupełnie. A to wiele znaczy mosanie, bo wiesz, oszczędny jestem w pochwałach dla drugich. Pomyślmi o twoim wyjeździe, bo byłby już czas kochanie!

Właśnie też najwięcej się bałem owego wyjazdu; ani przypuścić mogłem, że musiałbym pozostawić samą Stefcie, która kochała mię tak bardzo, że nie mógłbym patrzeć w jej śliczne oczy, które były dla mnie całym światem, słyszeć jej głosu dźwięcznego, który przenikał moją duszę, i znajdował w niej tak wierne odbicie.

Ale inaczej myślała Stefcia: ona choć młodsza ode mnie, jednak wychowana pod okiem rozsądnego ojca, pojmowała zdrowo nasze położenie, i nie wahała się po-

wiedzieć, że wcale nie podziela mych rozkosznych marzeń przyszłości.

— Ojciec twój—mówiła—ani matka, nie pozwolą teraz na nasz związek. Choć nie tak dawno przebywam z niemi, jednak znam ich doskonale; zresztą widzę to sama, że mamy niérozszadné żądania. Proszę cię, tyś młody jeszcze, niedoświadczony w życiu praktyczném; ja toż samo dziecko, cóżbyśmy zrobili z sobą, cobyśmy przedsięwzięli dla naszego przyszłego bytu?

— Więc chyba mnie nie kochasz?—odrzekłem zadąsany.

— Jak możesz tak myśleć Jasiu! Przysięgam ci na pamięć najdroższego ojca, na wszystko co tylko kocham, że nieczyją nie będę nigdy jak twoją!

Ucałowałem tylko jej rączkę, przepraszając za tak niewczesne powątpiewanie, i dowodziłem gorąco: iż moja nieskończona miłość doda mi tyle odwagi i wytrwałości, że pracując usilnie, potrafię przy Boskiej pomocy zapewnić wygodny byt jej i sobie.

— Wierzę twym słowom, mój Jasiu, wierzę—odpowiedziała smutnie—lecz pewna jestem odmowy ze strony ojca. On choć nas tak kocha, choć chciałby każdemu nieba przychylić, jednakże zanadto wielki uroił sobie przedział między nami. Widziałeś sam, co go to kosztowało, nim pozwolił się nazywać ojcem; cóż dopiero będzie, gdy się dowiéd, że ty oświadczysz się o moją rękę. Daléj przyznaj sam, nie masz żadnego stanowiska na świecie, majątku nie posiadamy oboje, bo ten mały kapitałik należący do mnie nie nie znaczy w porównaniu z przyszłością, jaka się przed nami otworzy.

— A matka czyż nie przyczyni się za nami—przerwałem—matka co nas kocha nad życie?

— Prędzój mój Jasiu ojciec samby zezwolił, niż matka; ona zbyt rozsądna, by w tém żądaniu nie widziała nic więcéj, prócz dziecinnych zachceń.

— Eh! wszystko to są twoje urojenia kochana Stefciu, zbyt czarno spoglądasz na całą sprawę; ja przeciwnie jestem przekonany, że się dobrze uda i będziemy szczęśliwi.

— Oby to Bóg dał!—dokończyła Stefcia—wtedy większa byłaby dla mnie radość, jako nieprzewidziana; jednakże czy tak czy owak się stanie, jestem spokojna:

znam twoje serce, i wiem że wcześniej czy później my się połączymy! Wszak młodzi jesteśmy oboje, cóż znaczą dla serc kochających się stale, dwa lub trzy lat przewłoki?

—Nie mówmy już o tém moja Stefciu, nie zrażaj mię swoją przewłoką, tylko jutro wyznaj przed matką, a ja ojca biorę na siebie.

Całą noc tedy przeleżałem, myśląc o jutrzejszej rozprawie. Ułożyłem sobie cały porządek rozmowy; powtórzyłem go, categorycznie rozebrałem, prawie nauczyłem dosłownie. Widząc taką przychylność dla mnie ojca, ani wątpiłem o pomyślnym rezultacie. To też już naprzód odpowiadałem sobie za niego, według moich zamiarów, wyobrażałem radość, jaka mię spotka, układałem wcale poetyczny obraz naszej przyszłości, i różne, różne następstwa, które tak cudnie umie roić nasz umysł, gdy mu pozwolimy puścić nieograniczone wodze i przebiegać całe lata w sekundzie, zostawiając na boku rozsądek i lodowate oblicze rzeczywistości.

Nazajutrz, gdyśmy udali się jak zwykle do kościoła, dopieroż modliłem się gorąco, jak nigdy może. Poznałem wtenczas, że nic tak jak miłość prawdziwa i czysta, nie zbliży człowieka do swego Stwórcy. Kochając kobietę jako cudowny utwór Boga, uwielbiając ją, czcimy tylko w niej i kochamy tę Boską potęgę i niepojęte źródło wszelkiej piękności. Zaiste, wielkie to jest, i z zadziwiającą przezornością obmyślane urządzenie Wszech Pana, zaszczerpieć w serce zmiennego w dziełach swych człowieka iskierkę téj świętej sympatii, która go zwróci ku Niemu i da probkę zaziemskiej szczęśliwości.

Nareszcie po nieskończeniu długich godzinach śniadania, po wzajemnych spojrzeniach dodających odwagi, wysunąłem się do ogrodu, gdzie właśnie ojciec zajmował się otrząsaniem reszty owych nieszczęsnych jabłek. Gdym wszedł i stanął przed porucznikiem z zafrasowaną postawą, poznał zaraz że chcę go o coś prosić, bo spojrzawszy na mnie z miną zachęcającą, odezwał się:

— No i cóż powiesz mój Jasiu?

— Mam do ojca wielką a wielką prośbę—odrzekłem pomieszany.

— Mówże więc—odparł siadając na darniowej kanapie, z pełnym koszykiem jabłek—słucham!

Pomimo długiego przygotowania, pomimo tak przychylnego usposobienia ojca, nie wiedziałem] od czego zacząć.

— To o co chcę prosić, kochany ojciec—przemówiłem całując go w rękę—stanowi całą moją przyszłość, całe nadzieje, całe szczęście.

— Dobrze dobrze—odpowiedział nieco zainteresowany—mów: czy chciałbyś już wyjechać do Warszawy, he? bo i ja o tém myślałem przed chwilą.

— Nie, proszę ojca, zmieniłem zamiar.

— Jakto? już nie masz chęci uczyć się prawa?—odrzekł zadziwiony,—jakoś zmienny jesteś mój synu! Ale to nic nie przeszkadza, wiesz, że nic tak nie pragnę, jak twojego szczęścia; a może...—dodał po chwili z uradowaną twarzą—może zdecydowałeś się iść na księdza, co?

— I to nie—mówiłem zapłtoniony.

— Cóż więc u kata mosanie! Gadaj sam, bo pewno nie zgadnę.

— Kiedy nie śmiem, kochany ojciec.

— To musi być coś złego, mosanie!

— Wcale nie, tylko się boję, żeby się ojciec nie gniewał.

— Eh! co się mam gniewać znowu—odrzekł zniecierpliwiony—nudzisz tylko, a nie gadasz; kończże już, albo mi daj pokój, bo nie mam czasu!

Postałem chwilkę zamyślony, wreszcie rzucając się na kolana przed nim i całując spracowaną rękę, wymówiłem z największém drżeniem, zaledwie słyszonym głosem:

— Ojciec kochany, proszę cię serdecznie, pozeń nas oboje z Stefcią, bo my się bardzo kochamy!

— Czyś ty zwaryował chłopcze? czy dopiero myślisz?—zawołał porucznik zrobiwszy wielkie oczy; za chwilę zerwał się gwałtownie z kanapki, aż koszyk przewrócił, a jabłka potoczyły się na wszystkie strony.

Milczałem klęcząc na ziemi, jakby piorunem rażony.

— Słyszysz ty!—wrzasnął chwytając mię silnie za ramię i podnosząc z kolan—odpowiadaj zaraz!

— Nie, proszę ojca—bąknąłem spuszczać oczy—tylko ją bardzo kocham.

— Co? ty! ty ją kochasz—wołał porucznik trzęsąc mię obiema rękami—ty? I śmiałeś to powiedzieć mnie? ojcu?

A gdym ja ciągle milczał, nie wiedząc co z sobą zrobić i co odpowiedzieć, ojciec poruszał głową na prawo i lewo z dziwnym uśmiechem ironii, szarpał wąsa nielitościwie, nakoniec zbliżywszy się ku mnie, pochwycił za ramiona i biorąc pod brodę nachyloną mą głowę, spojrział ogniście w oczy z gniewem i oburzeniem nie do opisania.

— Słuchajno niegodziwcze! pomyślałeś ty, zastanowiłeś się nad tém, coś wyrzekł? A wiesz ty kto jest ta Stefcia, którą poważyłeś się kochać, he? wiesz? Ona pułkownikówna, bogata, piękna, enotliwa; a ty co?—hołysz, smarkacz i głupiec, rozumiesz!—i wyciągnął ręce za siebie nachylając twarz swoją ku mnie, tak, że czułem jego ciężki oddech, pałący tchnieniem gniewu.

— To straszne są rzeczy, jak Boga kocham. Co się w téj głowie mogło wymarzyć mosanie, to nie do uwierzenia!

I znowu kołował po ścieżce, i znowu potrząsał głową z założonemi w tył rękoma. Mnie łzy się puściły z oczu, w głowie zrobił się odmęt bezdenny, z którego ani próbowałem się wydostać.

— Płaczesz mazgaju teraz, a żenić się chciałeś; i proszę cię powiedz mi, cobyś ty robił na świecie?

— Proszę ojca—rzekłem nieprzytomnie, pamiętając wszakże ułożoną sobie rozmowę—za te pieniądze co ojciecby wyłożył na moje utrzymanie w Warszawie, i za posag Stefci, wziąłbym dzierżawę i pracował bez.....

— Widzisz go, jaki on gospodarz za cudze pieniądze! A zarób sam, zapracuj w krwawym pocie czoła, to będziesz chodził dzierżawami! Tymczasem od Stefci i od jój piętnastu tysięcy wara mosanie, wara, bo do milion furbeczek..... zobaczysz!..... Kłoby się spodziewał tego po takiej trusi mosanie, żeby jak źmija podpełzał pod nogi ojca, i wpoił żądło w jego styraną wiekiem głowę. A jak się to lizał, nadszakał, układał; a jakto ani na pomknął o wyjeździe! Oho! mosanie! poradzimy na to skuteczne lekarstwo, odetniemy zbutwiałą gałązkę od drzewa! wywieziemy zarazę, tak, wywieziemy kochanku!

Ruszaj do domu mój amorowy paniczku, pakuj matki co żywo, bo jutro dodnia marsz w drogę, rozumiesz! A jak on to sobie ułożył, żeby mu dać pieniądze, które mam wydać na niego, jak to wymędrkował! Poczekaj kochanku! nie nie dam i odwiozę; pracuj jak ja pracowałem! Dalibóg, że nie dam!

I porzuciwszy fajkę, trzęsąc się od gniewu, pobiegł do domu.

— Słyszałaś ty Zosiu!—zawołał wpadając do pokoju matki—słyszałaś co nasz kochany synek sobie wykonywał? A to zbrodnia, mosanie, niestychana zbrodnia!

— Co takiego?—zapytała spokojnie, snąc już wiadomiona od Stefci.

— Wiészże ty, że on mi się śmiał oświadczyć o pannę pułkownikównę!

— I cóż to za zbrodnia?

— Więc to nie zbrodnia kobięto, nie?—krzyknął porucznik odskakując w tył, z zadziwionym wzrokiem. Przez Boga, Zosiu! czyś ty z kamienia czy co, że ciebie nic nie gniewa, nie zadziwia?

— Uspokój się mój Jędrusiu, wszystko zabardzo seryo bierzesz; nie jest to zbrodnią przecie, daj pokój,—ja wiem o wszystkiem.

— A to już przyjdzie mi zwaryować z wami, mosanie! No, no, imość taki majsterek; nie wiedziałem, dalibóg anim się spodziewał—mówił z szyderezym uśmiechem chodząc po pokoju.—Darmo! wszyscy się sprzysięgli na mnie, darmo! Biedny ty jesteś poruczniku: opuszczony, zhańbiony, przygniecony, toż się doczekałeś miłej starości!

— Nie wyrzekaj Jędrusiu, wstrzymaj się—zawołała matka biorąc go za rękę—zreflektuj się, to ci opowiem wszystko.

— Co imość pleciesz zreflektuj się, zreflektuj! Cóż to ja smarkacz, lub jaki raptus? Nie bój się, widzę zdrowo jeszcze chwała Bogu.

Po chwili milczenia, porucznik wybuchnął znowu gniewem:

— To mi synek! to mi pociecha, mosanie! On śmiał podnieść oczy na to dziecko, on tak mię zmartwił! Panie Boże—zawołał składając ręce—daj mi przeżyć tę chwi-

lę, bo widzisz jak mię to boli, jak to nurtuje po mnie. Odwróć tę kłeskę!

— Słuchaj mój mężu—przerwała matka—porzuć wyrzekania; to dzieci, jak przyszło prędko do głowy, tak prędko wywietrzeje. Ja dopiero przed chwilą dowiedziałam się o wszystkiém od Stefcy; biedna dziewczyna kocha go bardzo.

— Co, i ona ci to powiedziała?

— Tak jest, ona sama i....

— To być nie może! nie wierzę, mosanie. Chyba sobie uroiła, ale i to nie, nie—mówił potrząsając głową.

— Ależ tak jest Jędrusiu, cóż w tém dziwnego? Przypomnij sobie tylko młode lata, czyś i ty nie kochał podobnie?

— Pewno że nie, mosanie!

— Oto mi piękna nowinka! więc i mnieś nie kochał?

-- Ej! nie podchwytnij moja imość za słówka; ty co innego: nie byłaś pułkownikówną, a ja byłem porucznikiem, rozumiesz!

— A czy to miłość idzie po stopniach oficerskich, i szlify nosi?

Tak, idzie, idzie, i nosi—powtarzał zapęrzony— a imość nie peroruj, ani wydrwiwaj, bo jak mi Bóg miły.....

— Więc cóż myślisz zrobić?—przerwała matka.

— Wydziedziczyć i wypędzić na cztery wiatry!

— A z czegóż to wydziedziczysz?—zapytała uśmiechając się.

— Ze wszystkiego, mosanie; nic nie dam i wywiozę! Małgosiu! Małgosiu!—zawołał uchylając drzwi od kuchni—ruszaj natychmiast do Jakóba i powiedz, żeby do dnia przyjechał, rozumiesz!

— Rozumiem, proszę pana, ale kura.....

— A niech się przekuruje do milion furbeczek okrętów..... Ty idź kiedy każę. A żeby na trzy dni obroku zabrał!—wołał za strwożoną sługą.

— I gdzież go zawieziesz mój mężu?

— Gdziebądź, byle z domu! Imość przysposób bieliznę i rzeczy, dodnia w świat.

— Teraz posłuchaj mię mój kochany: przeciw oddaleniu jego nic nie powiem, dobrze robisz, samabym ci to poradziła; lecz na Boga cię zaklinam, nie dręcz go, nie

martw, bo on i tak już ma za swoje. Widzisz i dziewczyna się martwi: płakała przedemną bojąc się o niego.

— To dopiero niegodziwiec! — przerwał gniewnie porucznik — patrzaj co to kłopotów narobił. Już ja mu dam pamiątkę, zobaczy!

— Ty zawsze swoje; właśnie że tym sposobem rozdrażnisz ich, i gotowi się pochorować. Wam starym zdaje się, że młodzi mają tak jak wy postępować: młodość pali, trzeba ostrożnie gasić, bo zamiast stłumienia, zgubić można oboje!

— Eh! co tam się imości marzy — zawołał żartobliwie — a cóż to, umarł kto z miłości, he?

— Ale może umrzeć! Powtarzam ci, załagódź to wszystko: oddal go, lecz zostaw jakąś nadzieję.

— Nigdy, nigdy, żadnej! — wykrzyknął porucznik. — Jeszczeby tego brakowało, zastanów się kobieto co mówisz: wiesz kto ona, a kto on? coby to ludzie powiedzieli!

— Kiedy się bardzo kochają powiadam ci.

— Facecye moja imość, koszałki opałki w młodej głowie i nic więcej!

— Zobaczymy, byleś tylko nie żałował tego. Co do mnie, nie widzę w tem nic nadzwyczajnego: to dobre dzieci jakby dla siebie. Niech tylko on zapewni sobie byt jakiś na świecie, niech nabędzie doświadczenia pomiędzy ludźmi, to jabym wcale się nie sprzeciwiała. Kilka lat mogą czekać, są młodzi jeszcze....

— Tralala, tralala! jak z nut imość wyśpiewujesz. Nic z tego nie będzie powtarzam, głowy mi nie susz, tylko pakuj na jutro i kwita; ja rządę nim, ja ojciec!

Matka umilkła, czekając sposobniejszej chwili zapewne dla rozpoczęcia nowego ataku; ja zaś siedząc w drugim pokoju i słysząc całą rozmowę, nabrałem niejakięj otuchy, bo przekonałem się, że matka jest za nami, i prędzej czy później zdoła pokonać upór porucznika. Marzenia moje, przed godziną tak piękne i urocze, jakże zmieniło jedno słowo ojca! Smutno zaiste, smutno spoglądałem po wszystkich kątach pokoju, żegnając w myśli owe szczęśliwe chwile, spędzone na łonie miłości! Nie mogłem się nawet widzieć ze Stefcią bo znikła gdzieś z siostrą, a szukać ich nie śmiałem. Płacząc układałem tłumoczek, nie patrząc na przedmioty; myśl

moja tak była rozerwana, tak odurzona tym nieprzewidzianym odjazdem, że nie wiedziałem co robię, i jak robię. Popakowałem precz halsztuki ojca, sukienki i lalki siostry, akta komendy, i Bóg wie jakie fatałaszki, które matka później powymowała, układając bieliznę. Ojciec umartwiony do żywego, pobiegł do proboszcza snać oznajmić mu o wszystkim, a matka tymczasem zawołała mię do swego pokoju, gdzie już zastałem szlochającą Stefcię, z główką pochyloną na kolana naszej jedynej przyjaciółki.

— Słuchaj mój Jasiu!—mówiła matka po wielu słowach pociechy—jedziesz do Warszawy, jedziesz w świat sam, bez tej opieki rodzicielskiej, jakąśmy dotąd kierowali twemi postępami. Będziesz od nas zdaleka, wśród ludzi obcych ci zupełnie, którzy cię może nie pojmą i nie ocenią według zasługi. Pamiętaj więc, że zostawiasz nas wszystkich osieroconych i patrzących na każdy krok twój; pamiętaj, aby w twojem życiu nie było żadnej plamki, za którąbys się musiał wstydzić przed sobą samym i nami! Wiara przedewszystkiem w Boga i Jego Opatrzność, modlitwa mój synu, niech gości w twój duszy, i kieruje całym postępowaniem; żyj prawdą i uczciwością, nie zważaj na innych wysmiewających szlachetne uczucia i prawość: ty postępuj tą drogą, na jaką wprowadziła cię ręka rodziców. Kochaj nas zawsze jak dotąd, kochaj i szanuj najbardziej ojca, bo to najzacniejszy i najlepszy człowiek w świecie; choć prędko, uparty, jednakże zanadto cię kocha, i ręczę ci, jutro już innym okiem na ciebie spojrzy. Kochaj Stefcię, kochaj mój Jasiu: ona godna jest tego, a ja cię upewniam, że do siebie należeć będziecie, jeżeli tylko godnym się okażesz jej szlachetnego serca. Pisuj do nas co miesiąc, tylko szczegółowo, wszystkie myśli, wszystkie wrażenia wiernie odbijaj na papier, i przysyłaj nam łaknącym twojej rozmowy. Z nich poznamy twe życie, pochwalimy co dobre, a wytkniemy błędy w listach do ciebie pisywanych.

— Dobrze kochana matko!—zawołałem ze łzami—bądź pewna, że nie zapomnę nigdy tych nauk, które mi dziś powtarzasz; bo i jakżeż mógłbym was zapomnieć, was co po Bogu najbliżsi jesteście mojego serca.

— Wierzę ci mój Jasiu, wierzę, i również zapewniam, że co miesiąc regularnie, odbierać będziesz nasze doniesienia o wszystkiem, co nam się tu przytrafi; powierzać ci będziemy myśli i uczucia nasze tak, jakbyś tu był z nami. Ale pamiętaj też starać się o przyjaźń szlachetnych i ucziwych ludzi; ze wszystkiemi bądź grzecznym, z serca, nie powierzchownie, lecz ostrożnym w doborze przyjaciół, bo nic tak nie psuje młodego jak złe towarzystwo! Starszych szanować nadewszystko, bo oni dla samego już wieku godni są tego; w każdym starcu przedstaw sobie ojca, a w każdej podeszłej kobiecie— matkę, która cię tak kocha, i która sercem przebywać będzie z tobą! Teraz pożegnaj Stefcie, pożegnaj siostrzyczkę, i idź spać, bo pewno dodnia wyjedziecie. Pomódl się też za nas, poproś Boga o szczęśliwą przyszłość, i ufaj, że On cię nie opuści! Jutro jeszcze się zobaczymy, ale Stefcie pewno ojciec nie pozwoli pożegnać się z tobą.

Rzewneż to było pożegnanie, milczące, smutne, jakby z przeczuciem wiecznego rozstania. Przymknęliśmy sobie w obec matki wierność, przeszli pamięcią wszystkie spędzone chwile, wszystkie uciechy i wszystkie marzenia przyszłości. Matka uspakajała rozdrażnione umysły, wlewała nadzieję, zachęcała do wytrwałości i przekładała, że to oddalenie jest koniecznym dla naszego szczęścia. Jej dowodzenia były tak jasne, tak mówiły do serca i rozumu, że potrafiły rozpromienić zasmuconą duszę małą iskierką nadziei, i złagodzić okropną chwilę rozstania.

Nazajutrz ledwo zajaśniało na niebie, już Jakób zajechał, już i matka wstała i poręcznik spokojniejszy widocznie, dokończył pacierzy. Wszystko było gotowe do drogi; kochana matka nie zapomniwała o niczém: upakowała sama podróżny tłumoczek, zaopatrzyła w zapasy jedzenia, Małgorzata wstawiła zrazy, bez których, jak twierdziła, obejść się nie mogło. Poszliśmy do kościoła, gdzie sędziwy dziekan odprawił mszę świętą na moją intencją, a potem do niego na pożegnanie. Lecz jakie było zdumienie wszystkich, gdyśmy tam zastali obie zapłakane dziewczynki, rozmawiające z również zasmuconą Kundusią.

— No, moi państwo, ja g e m rzekła, ci mężczyźni to z kamienia! Kto widział tak rapt e m wywozić! Widzicie, pan porucznik jak żywe sryb ło: sakum pakum i w drogę. Okrutnik jakiś!

Ojciec się trochę zmarszczył ujrawszy panienki, a jam spojrzeniem przestał im podziękę. Stary proboszcz pożegnał mię z serdecznym żalem i błogostawieństwem.

— Jedź, jedź kochany mój wychowańcze—mówił drżący od wzruszenia—podobno my się już nie zobaczymy na tym świecie! Taki to porządek: starzy muszą ustępować młodym, nie nie pomoże! Błogostawię ci więc mój synu, jak Abraham błogostawił Jakóba: niech ci Przedwieczny udzieli swych łask na całą drogę żywota, byś dobił szczęśliwie do tego portu wiekuistej chwały, do którego wszyscyśmy wzdychać powinni! Miěj w pamięci nauki, które wpajałem w twą młodzieńczą duszę, postępuj podług przykazań naszego Wielkiego Zbawcy, kochaj Boga i ludzi, a będziesz szczęśliwy! Gdy cię troska lub jakie nieszczęście nawiedzi, wznieś swoją myśl do Niego: on nasz ojciec, on nasz dobroczyńca, to cię pocieszy i zmniejszy cierpienia! Widzisz, ja 90 lat kończę, tyle przebyłem prób ciężkich w tém życiu, a nigdy, nigdy nie zawiodła mię modlitwa: patrzę na śmierć, jak ty patrzysz na życie, które się odkrywa przed tobą. Jestem szczęśliwy, jak tylko szczęśliwym być można na tej ziemi. Pamiętaj na przestrogi rodziców, postępuj za ich radą, bo oni najlepiej ci życzą, i najlepiej wiedzą co dla ciebie może być dobrem. A kiedy usłyszysz, że stary proboszcz już zasnął na wieki, zmów jaki wieczny odpoczynek i wspomnij, że on patrzy na ciebie tam z góry, i prosi Boga o twoje uszczęśliwienie!

Wzruszenie i łzy nie pozwoliły mu dalej mówić, położył tylko ręce na mojej głowie, ucałował w czoło i podniósł klęczącego. Wszyscy milczący, owiani tém uroczystém tehniem mowy świątobliwego kapłana, połykali łzy cisnące się gwałtem do oczu. Stefcia szlochała głośno, bo zapewne stanął j e j w myśli drogi ojciec, który podobnież żegnał ją na łożu śmierci.

Już kilkaset kroków puszciliśmy ku domowi, a jeszcze widziałem starca siedzącego w ganku i kłaniającego się swą baranią czapką za odchodzącymi. Kundusia z zało-

żonemi rękoma, z podpartą brodą, stała przy nim, z wlepionym wzrokiem ku naszemu domowi. I ona nie zapomniała o swoim Jasiu, wsunęła spore pudełko siostrze, aby mi go oddała na wsiadanem.

Lecz nie tu był koniec pożegnań. Przed domem gromadka starców o kijach, zgarbionych, w żołnierskich płaszczach, stanęła rzędem odedrzwi na czele Duszaka; poczciwi chcieli mię również pożegnać i pobłogosławić na drogę. Wszystkich nas ujęła ta przychylność starszków, sam ojciec nawet coś posmutniał, i zdawał się żałować mego wyjazdu; lecz chcąc wytrwać w swoim zamiarze, gdy Duszak, nie mogąc nic przemówić, ścisnął mię tylko serdecznie w objęciach, powtarzając: „niech cię Bóg prowadzi szczęśliwie mój paniczku, niech ci tam błogosławi we wszystkim”, przybrał poważną i niby zadąsaną minę, mówiąc:

— Cóż u kaduka tak płaczecie, jakby się wybierał gdzieś na wieczne czasy; przecież Warszawa nie Ukraina mosanie: przyjdą święta Wielkanocne, to i przyjedzie; tylko mi go rozżalacie i nie wiecój!

— Daj pokój mężu,—odezwała się matka—dzień jeden wiele znaczy dla starych, a cóż rok dopiéro? Kto jest pewny jutra? Daj im pokój niech płaczą poczciwcy, dla mnie każda ich łza jest drogą, bo z serca płynie!

Nareszcie wyrwawszy się z objęć matki, spojrzawszy na Stefcieję z wyrazem nieopisanéj miłości i żalu, ucałowawszy zapłakaną siostrę, wsiadłem na bryczkę z porucznikiem. Jakób zrobił znak krzyża przed końmi, śmignął biczem, i lekki wózek potoczył się po bruku oddalając co chwila drogie sercu memu osoby. Długo, długo jeszcze widziałem stojących przed domem i patrzących za nami; długo odbijał się w méj duszy ich płacz i smutek rozstania; nakoniec, gdy znikli mi z oczu, gdy powoli, powoli, chować się zaczęły domki miasteczka, kościołek, jasna smuga Wisły i lasy galicyjskie; znękanym, z rozpaczą w sercu, rzuciłem się na wózek, a zakrywszy twarz rękoma, płakałem jak dziecko.

Nie będę tu opisywał całej mojej podróży, nie poprowadzę czytelników po tych błotnistych drogach, brudnych karczmach i najniegodziwszych noclegach: bo to dość wspomnieć każdemu na swoją podróż, aby mieć

wyobrażenie tysiącznych nieprzyjemności jesiennęj jazdy, gdy to deszcz drobniutki siecze po twarzy, zimno przenika każdą kosteczkę, a w dodatku czeka głodny nocleg, i pijana zgraja hałasujących gości karczemnych. My wprost przyjedziemy do tój ślicznej kokietki Warszawy, co to opasana zielonym wiankiem drzewiny, spogląda na każdego przybysza zalotném okiem, i wabi układną minką rozkoszy, obiecuje wiele, wiele w swoim spojrzeniu, a żąda tak mało, bardzo mało, bo tylko—pieniędzy!....

(Dokończenie nastąpi).



KOMEDYA.

DRAMAT

Apollina Horzeniowskiego.

OSOBY.

PREZES, lat 55.

LIDIA, siostrzenica prezesa lat 18.

BASIA, synowica prezesa, wdowa lat 26.

HENRYK, proletaryusz.

SŁUŻĄCA Lidii, służący prezesa.

(Rzecz dzieje się na Podolu 185....).

A K T I S Z Y .

SCENA I.

Teatr przedstawia salon w domu prezesa. Na lewo drzwi do pokojów prezesa; na prawo do mieszkania Lidii. W głębi wejście do jadalnej sali, którą widać za odsuniętymi portyerami.

Pani Barbara, pieśzczośliwie Basią przezwana, wdowa lat 26, siostrzenica prezesa, zamieszkała przy nim od niedawnego czasu. Zmarły mąż zostawił jej dwie ogromne pociechy po swjej stracie: majątek i wolność.

Lidia, siostrzenica prezesa, panna mająca lat 18, sierota. Prezes opiekuje się jej znacznym majątkiem na korzyść swoją, i wychowaniem na szkodę jej. Szuka on dla niej bogatego męża, któryby niebardzo wglądał w opiekuńcze rachunki.

(Lidia i Basia zamyślone obie siedzą na kanapie otoczonej kwiatami Basia często z pod oka spogląda na Lidia i uśmiecha się szydlerczo)

LIDIA, *(budząc się z zamyślenia)*.

Jak cicho: pewno anioł przeleciał nad nami.

BASIA.

Musiał ziewać biedaczek. Takimi nudami
 Nie każda okolica poszczycić się może.
 Pusto, jakby na stepie; dęszcz leje na dworze;
 W południe szare światło; ocieżała głowa.
 Ach! gdyby dla rozrywki, choć figura nowa
 Zawitała na dzisiaj.

LIDIA.

I ja lubię gości,
 Lecz przyznam ci się szczerze, że téj samotności
 W tym zakątku mym lubym, nie dałabym przecie
 Nawet za świetność balu.

BASIA.

Boś kapryśne dziecko!
 I co tu można robić? Chyba, żeś nabożna,
 To różaniec odmawiać.

LIDIA.

A marzyć, nie można?

BASIA.

Marzyć!! O czymże! O kim?

LIDIA.

O nikiem, o niczem.

BASIA.

I tonąć w urojeniu chorobnym, zwodniczym:
 To podobne do ciebie. Nicość i marzenie,
 Różnych to brzmień dwa słowa—jedno ich znaczenie.
(po chwili milczenia)

Jednakże cel być musi, musi być przyczyna
 Tych marzeń samotności?

LIDIA.

Naprzód, ma jedyna,

Samotną tu nie jestem.

BASIA.

Kto z tobą tu bywa?

Panna Borel?

LIDIA.

Jéj ranek przed lustrem upływa.

BASIA.

Stryj Prezes?

LIDIA.

Nie. Wujaszek zajęty jest z rana.

BASIA.

Widzę, chcesz mą ciekawość zajrzeć, kochana.
 Łacno ci się to uda; ciekawość przyjaźni
 Jest lekką do zbudzenia, gdyż ją wszystko drażni.

LIDIA (*uśmiechając się*).

A wiedzieć chcesz koniecznie.

BASIA.

Koniecznie, koniecznie!

Kochamy się jak siostry: zwierzyć się bezpiecznie
Możesz, duszko, przedemną. Co w serce me wpada,
Zostaje tam nazawsze.

LIDIA.

Więc, rada nie rada,

Muszę ci wreszcie wyznać....

(*po chwili wahania się*)

Bywam z mym kochankiem.

BASIA.

Z kochankiem?..

(*z niedowierzaniem*)

I on z każdym przybywa tu rankiem?

LIDIA.

Jak tylko sama jestem.

BASIA.

Nie wierzę, nie wierzę!

Bajkami mię chcesz bawić.

LIDIA.

Nie. Mówię ci szczerze,

Jak cię kocham, najszczerzej.

BASIA.

Wolne pani żarty;

Tylko trwają za długo.

LIDIA.

Ależ to nie żarty:

Kochanek, to rzecz ważna.

BASIA.

Ważna, niesłychanie.

LIDIA.

Czyliż mi za kochanka wypalisz kazanie?

Jeden tylko.

BASIA (*zastaniając uszy*)

Nie słucham.

LIDIA (*odrywając jej rękę od uszu*)

Bo się przyśni jeszcze.

(*seryo*)

Moja Basiu! Już dawno z tą myślą się pieszczę,
Że jak siostrze, jak matce, tak zwierzę się tobie.....

BASIA (*ciekawie*)

I bardzo w nim gustujesz?

LIDIA.

Wyobrażam sobie,
 Że nie kochać kochanka, rzecz byłaby płocha.

BASIA.

Taki zwyczaj przynajmniej.

(po chwili milczenia, z ironią)

Ale on, czy kocha?

LIDIA *(coraz bardziej unosząc się)*

O! i jak czule jeszcze! Wiem, że się nie mylę:
 Wiele duszy w nim tylko, kocha mnie o tyle.
 Piękny, według méj myśli. Rządę nim, skinieniem.
 Gdy mówić mu pozwolę, przemawia natchnieniem
 Jakby z méj duszy wziętém. O! bardzom szczęśliwa,
 Gdy w jego sercu własna myśl ma się odzywa.
 Wiem, że jego istnienia całą jestem treścią:
 Mój uśmiech, jego niebem; mój smutek, boleścią!
 A ty, nie masz kochanka?

BASIA.

Mój z twoim w przyjaźni;

Z jednego kraju.

LIDIA.

Jakto?

BASIA.

Z kraju wyobraźni.

LIDIA.

Zgadła! nareszcie zgadła!

(zamyślona)

Prawda, kraj cudowny?

Wszystko w nim owinięte we wdzięk niewymowny!
 Ludzie tam tacy wielcy! O! to kraj uroczy!

(żywo)

Twój brunet?

BASIA.

Jasno-włosy; ma błękitne oczy.

Strasznie blondynów lubię.

LIDIA.

U twego wzrok żywy,

Rozkazujący, pewno?

BASIA.

Nie, przeciwnie: tkliwy.

LIDIA.

Któż on—tułacz, poeta?....

BASIA.

Hrabia i bogaty.

LIDIA.

O! moje dziwne gusta.

(po chwili milczenia)

W tajemnicze szaty

Ubieram wszystkie moje myśli i marzenia;

Jasných barw ja nie lubię, i żyję wśród cienia.

Niespodziane mnie cieszy; niezwykle, zachwyca.

Kochanek mój posępny; ogorzałe lica

Pod nieznanym mi niebem. Twarz cierpieniem stara.

Myśl na niej tajemnicza. On—Byrona Lara!

Uśmiech jego złowrózby; słowo—miłość nieci,

Lecz mrozi serce lodem i płacze jak w sieci.

Szyderstwo ma na ustach, a gorzki śmiech w głosie.

Wesoły w swych postępkach, a nieszczęsny—w losie.

Zkąd idzie? niewiadomo! Dokąd? nikt nie zgadnie!

Porywa mnie za sobą, gwałtem, samowładnie.

Spojrzenie ma jak otchłań ciemną i głęboką!

Jak najstraszniejsza zbrodnia, jego czarne oko!.....

*(namyśla się)*BASIA *(n. s.)*.

Wiem już o kogo idzie.

(głośno)

Znajże w żartach miarę!

I nazywasz kochankiem tę straszną poczwargę?

Okropne twoje żarty.

LIDIA.

To nie żart jest przecie,

Tu przynajmniej pół-prawdy.

BASIA.

Dziwniejszej na świecie

Nie widziałam kobiety: upodobać mary!

LIDIA.

Jużci wiész, że istnego ja nie żądam Lary,

Ale zarówno nie chcę powszedniego człeka,

Który podobny wszystkim. Gdy ma stąpić,—czeka,

By kto inny już stąpił; gdy ma kichnąć—słucha,

Czy kto inny już kichnął. Trzyma się łańcucha

Codziennych konwenansów, jak prawideł wiary.

Co niebrzydki, niepiękny, niemłody, niestary,

Nierozumny, niegłupi; którego świat zowie:

„Un homme très comme il faut,” chociaż nikt nie powie,

Co to znaczy; lecz mówią: „partya doskonała!”

Wolę, sto razy wolę, abym pozostała

Starą panną i zrzędną sierot opiekunką,

Lub piesków, kotów, papug zaciętą piastunką,

Niżeli tak wyjść za mąż, „los,” jak mówią, „zrobić”,

I życie swe nazawsze i w cóżto ozdobić?

W przyjemności tak blahe, a tak przewidziane
 Jak dobry dzień, w codzienném użyciu zszarżane,
 Śród których serce więdnie, hart duszy się ściiera,
 A wyobraźnia z głodu i nudów umiera.

BASIA.

Tamto był rys ponury, a ten, sarkastyczny;
 Ten dosyć śmiesznie brzydki, tamten straszno śliczny;
 Lecz portret nieskończony. Jeżeli się godzi
 Dodam doń kilka rysów: to nic nie zaszkodzi.
 Owszem, w prawdziwszém świetle twój wzór się objawi.

LIDIA (*zmieszana*)

Nie portret malowałam.

BASIA.

Straszne,—często bawi.

I z ponurém spojrzeniem szydercą być można!
 Lecz najlżej krytykuje ta głowa, co próżna.
 Najlżej najpowszedniejsza dusza, ma pozory
 Niby wzniosłych pomysłów. Twarz nędzna—bo chory.
 Gdy mówi o chciwości ze zgrozą tak świętą,
 Serce marzy o zysku. Tą duszą niezgiętą
 Lgnie do tój i do owój, jak uczą przykłady.
 Pośpny jest zawiścią, a zużyciem błady.
 W każdym kroku, spojrzeniu, rachunek widomy;
 Pozornie—umysł wielki; a w istocie—chromy,
 Bo na prawość kuleje.

LIDIA.

Nie rozumiem, czemu

Chcesz nadać rzeczywistość marzeniu mojemu?
 A z wrażeń myśli moich kształtując osoby,
 Ichże kosztem odbywasz satyryczne próby?

BASIA (*z przyciskiem*)

Jak i w każdej satyrze, tak i tu przestroga.

LIDIA.

Ale tak zawikłana, że ja dość uboga
 I w dowcip, i w domysłność, pojąc jej nie umiem.
 Szczera przyjaśń inaczej poczyzna, rozumiem.

BASIA.

Przyznaję się do winy. Lecz, kiedy tak blisko
 Dotknęłam uczuć twoich; więc tylko nazwisko
 Muszę jeszcze powiedzieć, by odsłonić wszystko.

LIDIA.

Nazwisko?!

BASIA.

Czegoż dziw ten? Przekonana jestem,
 Że tam ono w twój duszy kłamliwym szelestem,
 Ale lubym, brzmi pewno.

LIDIA.

Gubię się w domyśle.
Najniewinniej przed tobą marzenia me kreślę;
Ty mi do nich dorzucasz rysy dosyć brudne,
Chcąc je zmienić w człowieka. Ale to przytrudne:
Pewno żart, żartem płacisz?

BASIA.

Nie żartuję wcale.
Choć się zmartwię chwilowo, lecz postąpię stale.
Boli mi, że twych marzeń muszę rozwiać raje;
Lecz, gdy patrzę na ciebie, serce mi się kraje.
Dosyć dwóch lat uludzeń; niech ręka przyjaźni,
Ze wzroku ci zasłonę zdejmie wyobraźni.
Ten, czyje chmurne rysy, twoja myśl ognista
Ubiera w cudne barwy, tylko egoista!
Milczałam, bo nie wracał; myśli swęj zaniechał...

LIDIA (*zarumieniona*)

O kim mówisz?

BASIA.

A jużci.....

(*wbiega służąca Lidii*)

SŁUŻĄCA.

Pan Henryk przyjechał.

(*przechodzi do pokoju Lidii*)

BASIA.

Masz imię, a nazwisko domyślisz się może?

(*Lidia blada i pomieszana, zerwała się z kanapy i stoi nieruchoma: Basia bierze ją za rękę*)

Chodźmy przebrać się trochę.

(*Obejmuje Lidia i wprowadza ją do jej pokoju. Lidia daje się powodować; Basia odprowadziwszy ją, wraca na scenę.*)

SCENA II.

BASIA. (*sama*)

Gdyby on, broń Boże!

Zobaczył to zamieszanie, tę twarzy jęj bladeść,
Ten jęj przestрах radosny; byłoby mu zadość:
Potrafiłby korzyści wyciągnąć z wrażenia.

(*z uśmiechem*)

Ale od czegoż przyjaźń?

(*namyśla się*)

Gdy trza rozczulenia,

Rozczulić ją potrafię; rzecz zmacić—to zmacę,
Ją przed nim, jego przed nią tak nisko potracę,
Ze nie zbiegną się w myśli.

(*po chwili milczenia*)

Może się niegodzi,
 Lecz któż w środkach przebięra, kiedy o cel chodzi,
 A jeszcze o cel jaki?!—Do roboty teraz!
(odchodząc do pokoju Lidii)
 Trza mi Lidią ustroić i nastroić.

SCENA III.

Prezes lat 55. Ideał obywatela: urzędnik od wyborów, egoista, chciwy, rozumny rozumem codziennego wybiegu, nazywany u sąsiadów zacnym człowiekiem, imponujący majątkiem, urzędem, urodzeniem i kucharzem.

Henryk proletaryusz lat 30. Dawny sąsiad prezesa.

(Obadwa wchodzą, prowadząc zaczęłą rozmowę).

PREZES.

Nieraz

Wspominaliśmy pana. Dwa lata, to tego
 Panie drogi, nie żarty. Już za umarłego
 Mieliliśmy. Siadaj, proszę.

(siadają)

Ni śladu, ni wieści.

Chodziły wprawdzie u nas o panu powieści
 I straszne, i wesołe.

HENRYK.

A! bardzo rad jestem,
 Że łaskawi mi ludzie, języków szelestem
 Budzili pamięć o mnie; pamięć, spioch nielada:
 Nieobecni, to zmarli.

PREZES *(z głupowatym uśmiechem)*

To tego, wypada,

Że pan oto zmartwychwstał.—Było tu podanie:
 Że pan zgorzał z kretesem, in persona, panie;
 To znowu: że pan zamarzył, błędząc w zawieruchy;
 To tego, trudno wątpić. Człek, panie nie głuchy,
 Musi słuchać, a wierzy: bo to zdetalami
 Mówią słuszne osoby, co były świadkami,
 Albo tak jak świadkami. To tego, pacierze
 Za duszę pańską nieraz odmawiałem szczerze.
 Śmierć gwałtowna, to tego, bez spowiedzi może;
 A człek grzeszny, bo człowiek. Nuż, uchowaj Boże,
 Znajomy dobry, w piekle! Fe! brzydko! to tego.
 Aż tu znów ludzie mówią, z tego ni z owego
 Żeni się! raz, raz drugi, aż tu raz i trzeci.

HENRYK.

A niewiadomo panu wiele miałem dzieci
 Z tych potrójnych zaślubin? Dzięki ci, prezesie,

Za twój pacierz pośmiertny. Tak więc fama niesie,
Że pięć razy umarłem?

PREZES.

Dwa razy, mówilem.

HENRYK.

Przepraszam: raz zamarzęm, raz się usmażyłem,
A trzy razy grzebiono mię w małżeńskie łożę;
Nietrzeba i cholery.

PREZES.

At! pożał się Boże,

U nas-wieści?! To człowiek zawsze jak w obłądzie.
Myślałem, że to prawda; powtarzałem wszędzie,
Bo co mówią, powtórzyć, to godziwa przecie.
Już się zwykłem z tą myślą.

HENRYK.

Tak zawsze na świecie:

Same zawady tylko. Ten bardziej mię boli,
Bo z méj winy. Lecz umrzeć nie było w méj doli,
Choć na chęci nie brakło.

PREZES.

Jak? umrzeć? To tego,

Chęć pan miałeś?! doprawdy? A to coś dziwnego!
Życie, panie, rzecz dobra: tak mniemam i czuję.
To tego, szczerze mówiąc, wcale nie pojmuję,
Jak może człowiek młody chcieć umierać, panie!
Życie, to jest użycie. A z śmiercią ustanie
Wszystek ciąg przyjemności. Nie można to tego
Żadnym zmysłem nic, a nic! I cóż w tém dobrego?
W grobie nie ma zajścia, dochodów, honorów,
Ni urzędów, obiadów, kontraktów, wyborów,
Nie ma gdzie, ni czémkolwiek wystąpić przed światem.
Śmierć, rzecz niedobra, głupia.

HENRYK.

A zatem

Żyj prezesie najdłuższe, nieskończone lata!
Życzę, choć nie kichnąłeś.

(Prezes kłania się)

Lecz, kiedy do świata

I ziemi już zesłiśmy z kwestyi śmierci ślizkich,
Pozwolisz się zapytać o wszystko, o wszystkich?
Dawno widziałem państwa. Jakże się powodzi?
Jak się mają znajomi i starzy i młodzi?
Krewna pańska?...

PREZES.

Dziękuję, Basia mi jest zdrowa:

Hoża wdówka, mój panie! To tego, i głowa,

O! głowa nie kobieca. Teraz tylko marzę,
Jakby drugi raz za mąż.....

HENRYK.

O pani Barbarze
Przyjemna mi wiadomość. Zawszeć piękną była;
Przypomina prezesa.

(Prezes się kłania)

Dowcipna i miła;

Pewno te jój zalety wzrosły razem z laty:
Próżna troska, mąż będzie młody.

PREZES.

I bogaty,

Bo bez tego i szczęścia nie ma tu, mój panie.

HENRYK.

A panna Lidia?

PREZES.

Lidia?

(na stronie)

To boże skarangie!

Jak mówić? Basia wprowadzie nakładła mi w ucho.
Jak to ona mówiła? A! sucho i głucho.

(głośno)

Lidia? Cóż, zawsze przy mnie. Bardzo się zmieniła
Na awantaż, i zmiana nieskończenie miła.
Pochlebiamy moim staraniom, wynagradza trudy.
Gdybym miał własną córkę, szczerze, bez obłudy...

HENRYK *(na stronie)*

Coś skłamię.

PREZES.

Nie chcę innój. Rozsądek nad lata:
Rachunkowa, wymyślna; a tak lgnie do świata,
Bo wie, że błyszczeć będzie. A za błyskiem w tory,
Wié, że idzie pozycya świetna i honory!
Choć trochę uszczypliwa, ale to nieszkodzi,
Bo zalotna jest w miarę, to, tamto łagodzi.
Ażeby, jedném słowem, skreślić ją wymownie:
Z charakteru, to tego, podobna jest do mnie.

HENRYK.

I cóż ją tak zmieniło?

PREZES.

A! moje staranie,
Moje rady. I kosztu nie szczędziłem, panie!
Nająłem guwernantkę, panna Borel, złoto,
Paryżanka, a akcent!!! To téż i z ochotą
Płacę jój tysiąc rubli. To tego, rzec można,
Ze matkę jój nająłem.

HENRYK.
Zasługa pobożna,
Sierocie, matkę nająć.

PREZES.
Prawda, panie, sztuka!?

Ale od czegoż głowa? Wprawdzie i nauka
W las nie poszła, i Lidia dziś jest, proszę pana,
Jakby mi tu z Paryża w pudełku przysłana:
Żadnych marzeń, poezji, sercowych wyskoków;
To tego, nie zna wcale koloru obłoków;
Ale za to na ziemi, jak wie swoje cele!!

HENRYK *(na stronie)*

O! cóż z ciebie zrobili biedny mój aniele?..
(głośno)

Winszuję i podziwiam. Gniewam się na siebie,
Żem sam nie małoletni: ublażałbym ciebie,
Byś mi był opiekunem, mój szanowny panie!
Rzadkobo kto tak pojmie swoje powołanie:
Duszę boską przetworzyć w opieczęj czułości
Na kopyt powiatowej, panińskiej mądrości,
Piękności, światowości, i doskonałości,
To nielada! to sława, która zacnie świeci.
O! gdyby Bóg dał ci też co najwięcej dzieci,
Powiat miałby filary.

PREZES *(na stronie)*

Kpi, czy drogi pyta?

(głośno, skromnie)

To tego, mą powinność zrobiłem i kwita!
No przepraszam cię teraz: masz tutaj gazety;
Ja muszę cię opuścić. Lecz wkrótce kobiety
Zapewne wyjdą do nas. Pozwól wyprządz konie.

HENRYK.

Niech stoją, ja się spieszę.

(Prezes odchodzi).

SCENA IV.

HENRYK *(sam)*

Czego mi tu, w łonie,

Tak się zrobiło pusto, tak czczo i boleśnie!
Jeden zawód, nic więcéj, i lepiej że wcześnie
Wiem, iż anioł mych marzeń odrzucił swe skrzydła!..
(zamyśla się)

A jeśli to nie prawda? Jeżeli to sidła,
Którymi prezes chciałby oplatać me nogi.
Abym stanął w méj drodze? Wszak wie, żem ubogi.

Coś nadto mądrze mówił. To nie zwyczaj jego;

I mało się namyślał z pomocą: „to tego“.

Tak: to rzecz usmażona w narady fajerce.

(słychać szelest za drzwiami od ogrodu)

Otóż ona, jak piękna! Ostrożnie me serce!

(chwytą gazety i siada odwrócony do wchodu).

SCENA V.

HENRYK. LIDIA. BASIA.

HENRYK *(do Lidii)*

Czym poznany, czy mam się prezentować pani?

BASIA *(podchwytując)*

Nie szkodziłoby może.

HENRYK *(kłania się Basii; do Lidii)*

Prawda, niespodzianie?

Pomyślałem: siurpryza miliej jest przyjęta

Niżli rzecz przewidziana. Więc poczta najęta,

Siadam i jestem tutaj. Cóż pani powiada?

LIDIA.

Że przybyciu pańskiemu bardzo jestem rada.

(siadając)

HENRYK.

I nic więcej?

BASIA.

Nie dosyć?

LIDIA.

Radam niewymownie.

HENRYK.

Szczerze powiedzieć pani: rada pani skromnie.

Lecz dwieście wiorst z gorą lecę jak szalony,

Wywracam się, znów lecę, zziębnięty, stłuczony;

I, czym przyjechał cały, gdy nie jestem pewny,

Widzę pani wzrok zimny,

(do Basii)

pani, prawie gniewny;

(do Lidii)

Pani mię wita świętej pielgrzymki obliczem:

Cudownie obojętném.....

BASIA.

A że téżto niczem

Zadowolnić nie można? Panowie poeci

Nienasyчени nigdy, jak łakome dzieci.

HENRYK *(do Lidii)*

Nawet mi ręki pani uścisnąć nie dała.

LIDIA.

A, niechże sam pan przyzna: jam zdumiona cała
Niespodzianém przybyciem. Wszak dwa lata prawie
Jak pan o nas zapomniał?

HENRYK.

Przecie, że łaskawie
Raczy pani pamiętać czas méj niebytności.

BASIA (*zcicha do Lidii*)

I cóżto oto pleciesz, aż mię biorą złości!
Prosiłam: bądź ostrożną! On pomyśli sobie,
Żeśmy tylko tęskniły za nim, i to obie.

HENRYK.

Pani Barbara zawsze lubi tajne sprawy:
A ja nie mogę wiedzieć?

BASIA.

Zawsze pan ciekawy!
Lecz dostatecznej jeszcze nie masz pan powagi,
By mu można powierzyć sprawę takiej wagi.

HENRYK.

O! dosyć postarzałem; niech się pani zwierzy.

BASIA.

Któż w XIX wieku już poetom wierzy?

HENRYK.

Niemile dla poetów o nich przekonanie.

(*do Lidii*)

Czy i pani tak trzyma?

LIDIA.

Podzielam jej zdanie.

HENRYK.

To boleśnie. Lecz wyrok taki niezyczliwy
Nietyle mnie dziś smuci, bom szczerze szczęśliwy!
Tu jestem, widzę panią; przeszłości zwrócony
Żyję dawnymi dniami. Zda mi się, stęskniony
Po wczorajszej bytności, dziś znowu tu staję
I te same, co wczoraj, pytania zadaję:
Co pani przeczytała? Jakiej jej wrażenia?
I jakie myśli śliczne poetów natchnienia
Obudziły dziś w pani? I co pani grała?
Czy raz, choćby ziewając, o mnie przypomniała?
Pani nie odpowiada?

LIDIA.

Liczę zapytania;
Tak ich wiele i razem, iż trudne zadanie
Na które odpowiedzieć? Dogodziłbym chciała,
Jak grzeczna gospodyni; dlatego myślała,
Co go więcéj obchodzi: czy moje czytanie,

Czy muzyka, czy wreszcie moje poziewanie?
 O! wiem, żeś pan kapryśny; dogodzić mu trudno:
 Boje się wydać śmieszna, a co gorzej nudna!
 A wspomnienie o panu.....

BASIA (przerzywając)

Ja zaręczam za to,
 Żeśmy go wspominały. Czy zima, czy lato,
 Zawsze myślimy o tém: gdzie pan jedziesz teraz,
 Gdzie szukasz śmiesznych ludzi? Tak, że nawet nieraz
 W Odessie, gdy znajomy przybył na okręcie,
 Pytamy, czy w podróży po morskim odmiecie
 Nie spotkał nejtyczanki, która wiozła pana?

HENRYK.

Podróż dosyć szczególna, przez panią wydana;
 Wynalazek nielada: i wartoby pani
 Na lat piętnaście—mało! dać przywilej dla niej,
 Wozić swoich znajomych w tój lokomotywie.
 Miałyby pani dochód.

BASIA.

Łaskaw pan, prawdziwie.
 Wynalazek mój darmo daję publiczności.

HENRYK.

Miło w przemysłnym wieku nie widzieć chciwości.

BASIA.

Chciwość,—rzecz nie tak czarna, jak ją nam malują.
 Przyznam się do niej chętnie. Dusze, co pojmują,
Qu'il n'y a jamais assez du brillant et du beau,
Désirent toujours un mieux, s'envolent toujours plus haut.
 Chcieć wzlecieć z nędzy ziemi, można nazwać cnotą,
 A skrzydłem jój najlepszym....

HENRYK.

Wiadomo,—że złoto!

Trza go mieć wiele, wiele, moje takżeż zdanie,
 By być wyższym, godniejszym. Ależ, moje panie,
 Czy zawsze tu języka mieszanina zdrożna
 Panuje jak i dawniej? I zawszeż nie można
 W towarzystwie wysokiém wymówić by słowo,
 Nie żeniąc Franków mowy z Szarogrodzką mową?
 Pod karą okrzyczenia za gbura, nieuka,
 Trzeba mieć dwa języki?

BASIA.

Lecz byłaby sztuka
 Wykroić z tych dwóch jeden taki jak u pana.
 Jak też panu nie zbrzydnie ta rola bociana,
 Chcącego z wad i wadek świat czyścić koniecznie.

Jak się panu nie znudzi przechadzać się wiecznie
 Na szczydach swych przymiotów, swęj doskonałości?
 Szukać przedmiotów szyderstw, celu złościwości?
 Z wiecznym śmiechem na ustach ze wszystkiego w świecie?

HENRYK.

Bardzo przepraszam panią: nie wiedziałem przecie,
 Że ten zwyczajny u nas bigosik języka,
 Czułego serca pani tak blisko dytyka:
 Nie śmiałbym powstać na to, co pani uważa
 Za święte, nietykalne! Gdy ją to obraża,
 Solennie odwołuję wyrzeczone słowa,
 I twierdzę: że paryzko-szarogrodzka mowa
 Jest ideałem mowy, i, że mową inną
 Obywatelskie grono mówić nie powinno.

PREZES (*z za drzwi swego gabinetu*)

Basiu! proszę na moment.

BASIA (*na stronie*)

Sprytniutkiś prezesie!

Wywołuje mię teraz; jak ze zbójcą w lesie
 Zostawia tutaj Lidią. O! widzę w tej chwili,
 Że głupotę mężczyźni pierwsi wymyślili.

(*głośno do Henryka*)

Pewno mię potrzebują chorzy i kaleki;
 Przepraszam, że opuszczę.

HENRYK.

Wszakże nie na wieki?

I ta myśl mi osładza rozstania się chwile.

BASIA.

Wiem, że na zawołanie masz pan pociech tyle,
 Że go nie zasmuca.

(*wychodzi*)

SCENA VI.

HENRYK I LIDIA.

HENRYK.

Co za przekonanie,

Że już mię nic i nigdy zasmucić nie w stanie?
 Krewna pani niedobre ma o mnie pojęcie.
 Serce me dziś wesołe w uroczystym święcie
 Widzenia się, o którym już marzę od roku;
 I jeśli lży radości nie ma w mojem oku,

Jest to holdem zwyczaju, co ukrywać zmusza
 Gdy serce silniej bije; gdy serce i dusza
 Zleją się w jedno czucie, silne, rzewne, święte,
 Tajemne....

LIDIA.

Tak tajemne, że aż niepojęte!
 Dlaczegoż tu, to czucie rozkwita w kwiat cudny?
 Wszak pan rzucił te strony, gdyż mu były nudne?
 Czemuż dziś wywołują witań słowo rzewne?
 Szukał pan nowych ludzi, o! i serc zapewne;
 Przywiózł pan wrażeń niebo, wspomnień wielką cnotę;
 Niech pan będzie jej wierny.

HENRYK.

Przywiozłem tęsknotę
 Tę, z którą wyjechałem z musu, a nie z woli;
 Tęsknotę, co niem szczęściem, choć tak często boli!
 Żyłem tutejszych wspomnień obłokiem owiany,
 Na świat i urok jego patrząc zadumany;
 Tęskniłem i czekałem; a spiesząc w tę drogę...

LIDIA.

Szczęśliw byłem.—Chcę wierzyć, lecz wierzyć nie mogę!
 Taka czulość pasterska panu nie do twarzy;
 Mówisz pan o niej pięknie, gdy się mówić zdarzy,
 Lecz nieprawdopodobnie. O! gdy się pan śmieje,
 To prawda wtedy w słowie i w twarzy jaśnieje.

(Henryk chce przerwać)

O! to nietylko moje, lecz i innych zdanie.
 Śmieję się pan! Czy mu trudno?

HENRYK.

O! na zawołanie!
 I jabym śmiać się nie miał, ja? Czy to się godzi!
 Sama myśl tak pocieszna, że wesołość rodzi.
 Niechże mi pani powie, jak tu państwo żyją,
 Gdzie bywają, co robią, co jedzą, co piją?

LIDIA.

Przyniosę panu książkę: Wyborna Kucharka,
 Znajdziesz pan tam odpowiedź, wszczawszy od sucharka,
 Aż do rosolu włącznie i kategorycznie.
 Będziemy wspólnie czytać.

HENRYK.

Wybornie, prześlicznie.
 Po długiej niebytności, gdy wracam w te progi,
 Nawet mi dym kuchenny lubych stron jest drogi.
 Lecz odłóżmy lekturę. A wujaszek pani,

Wstaje zapewne coraz i raniiej, i raniiej
Do swego gospodarstwa: bo człek postępowy.
Gdy się liczy z gromadą, czy wice-mundur nowy
Upoważnia rachunki? Zawszeż urzęduje?
Zawszeż wiecznie i wszędzie dochody rachuje?

LIDIA.

Wujaszek się nie zmienił: to rzadka zaleta.

HENRYK.

A krewna pani, zawsze ideał kobieta,
Karmiąca pieski, koty, papugi, sieroty,
Uzdrowiająca chore, dająca na poty,
Przyczepiająca piawki? Czy dobroć bez granic
Podziela między znaczną liczbę wychowanic
A faworytów: pudła, pudlicę i męża?
Kto z tych trzech zacnych osób w jej sercu zwycięża?
Kto trzyma pierwsze miejsce? A ówże odludny
Przyjaciół, sąsiad państwa, tak cudownie brudny
Z rublem w oku, na twarzy, w dłoni i po uszy,
Z rublem w herbie, i w głowie, i w sercu, i w duszy,
Razem wszystkim w kieszeni—ta kieszeń chodząca?
A tenże drugi, miły, jak szafka grająca,
Która kilka sztuk jednych gra na zawołanie
Ze znajomych motywów? A te wszystkie panie
Z intencji młode bardzo, jeszcze młodsze w stroju,
W wiecznym, gotowalnianym z laty swemi boju?
A ten, jakże? ów kwiatek okolicznej młodzi,
Co go nigdy nie sieją, a wszędzie się rodzi;
Pełne go wszystkie domy, tancerz wymśnieniy,
Na bale, jak na poty, biorą go kobiety?
A ci znou modnisię, panicze, paniątka,
Ukształcone, wymyte, jak uczone psiątka;
W ukłonie, w wejściu, w wyjściu każdy takim mistrzem,
Że zdaje się, *cher papa* musiał być tancmistrzem?
A tenże co niedawno wrócił z zagranicy,
Dziw, cudo, zakochanie całej okolicy,
Angłoman, we swym fraku jak w worku motyka,
Z uszami podciętemi ostrzem kołnierzyka;
Mało mówi, co powie, to głupstwo, aż miło!
Czyli go wielbić paniem już nie dokuczycyło?
A ten stary przyjaciel, przeciwnik oświaty,
Co to seryo zamyślał przed kilkoma laty
Podać gromadzką prośbę...
By popalono książki, oprócz kalendarza?

LIDIA.

Lepiej niech mi pan powie, czy czasem, przypadkiem,
Choć od niechcienia jakim wydarzeniem rzadkiem,
Choćby raz w życiu swoim, jedno dobre słowo
O kimkolwiek pan wyrzekł?

HENRYK.

Ja, życia połową
 Zapłaciłbym zaszczytną chwilę rozrzewnienia,
 W której wszystko tak piękne, tak pełne natchnienia,
 W której ludziom i światu wszystko się przebacza
 Za te szczęście, co duszę nam w dobroć otacza.
 I gdy z takim uczuciem stanąłem przed panią,
 Gdy serce dobrze bije, kiedy patrzę na nią;
 Trzebaż oziębłem okiem, urągań wyrazem
 Zabić świętość téj chwili i me szczęście razem!
 Czyż pani zapomniała już te dni tak błogie,
 Pełne nadziei? Wié pani: ja mówić nie mogę,
 Tak mi w sercu i w duszy, i święto, i rzewnie!
 O! czy pamięta pani?

LIDIA.

Ja pamiętam pewnie;
 Lecz pan, co te dni szczęścia tak spieszył porzucić,
 Nie wiem czyli za niemi mógł się bardzo smucić!
 Jednak było nam dobrze! Moja matka święta
 Żyła w on czas.

(Po chwili milczenia)

Wszak matkę moję pan pamięta?

HENRYK.

O! w takim zapytaniu zanadto goryczy,
 Aby uśmiech szyderski, ten uśmiech zwodniczy,
 Pod którym częste troski ukrywałem nieraz
 Mógł skryć ból mego serca! Szczerze cierpię teraz!
 Gdy to było jój celem, dopięłaś go pani!
 Nic tak mocno nie boli, tak srodze nie rani,
 Kiedy na zacnych uczuć szlachetne wyrazy
 Odpowiadają: niewiara, płocha chęć obraży.
 Pani, której wdzięk duszy tak świeci w spojrzeniu,
 W każdym jój słowie, w ruchu, w każdym niemal tchnieniu,
 Masz prawo mi powiedzieć, że ta przeszłość cała
 Nadziei, marzeń, szczęścia, jak dym się rozchwiała,
 Że nawet pamięć o mnie już niemilą dla niej;
 Lecz nie wierzyć, nie wierzyć nie masz prawa pani.

LIDIA.

Ja wierzę, ale temu, co mi bije w oczy.
 Kiedy niebo jest czyste, a chmura je zmroczy;
 Gdy raz słońce dogrzewa, znów burza ulewna:
 Nie wierzymy pogodzie, mówiąc, że niepewna.
 Takiego dnia jesieni jesteś pan obrazem:
 Nie wiem jakim wewnętrznym zmuszony rozkazem,
 To świetnych uczuć słońca rozsiewasz promienie,
 To znów chmurzysz się w czarne, obojętne cienie;
 Chwilkę sercem zaświecisz, aby później, mglisty,
 Poszarpać natchnień wstęgę w burz szyderstwa świsty!

HENRYK.

Okropnie! Myśli moich rwie się już osnowa.
 Kiedy mówię do pani ludzkie tylko słowa,
 W sercu szepczę modlitwę, by Boże natchnienie
 Odkryło jęj, choć cudem, całe me istnienie;
 Abyś się przekonała, jedną wiary chwilką,
 Że w niém, jedna ty pani, jedna jesteś tylko!
 Słyszę na tę tak święte uczuć mych wyznanie
 Żarcik atmosferyczny! Jednak porównanie
 Sprawiedliwe! Tak pani: w życia mego doli
 Mało tego, co szczęściem; obficie, co boli!
 Trudno ciągle udawać w prawdy poniewierce!
 Mimo mych usiłowań i w duszę, i w serce
 Spadają czarne chmury i pełzną na czoło!
 Wówczas wszystko mi smutne, gorzkie naokoło,
 I ja cierniem połową, trucizną połową!
 Smutkiem są myśli moje, a szyderstwem słowo!
 To burze! Ale jednak i ja Boże dziecie,
 Choć obojętny ludziom, nie ważony w świecie,
 Mam chwile mego słońca! Skrzydło mojej myśli
 Wysokie, podniebiańskie, jasne kręgi kreśli;
 Czuję siły do lotu, bo w serca złudzeniu
 Zdaje mi się, że widzę współzucie w spojrzeniu,
 A zachętę w jęj słowie! I że wierzysz pani,
 Że gdym zacny i wyższy, to jedynie dla niej!
 Ja wieszczęm: i okryty wymarzoną chwałą,
 Mam śmiałość jęj powiedzieć.....

LIDIA (*ślabym głosem*)

Co?

SCENA VII.

CIZ SAMI. BASIA, PREZES i SŁUŻĄCY.

BASIA (*śmiejąc się*)

A cóż się to stało,
 Że się już pokłócili? Fe! To nie wypada.
 Pan płomień ma w oku, ona drżąca, błada!
 Tak pan dawną znajomość rozterką odnawia?

PREZES.

Tego to, dawny zwyczaj!

HENRYK.

Niech się nie obawia
 Pan prezes, ani pani. Sprzeczka bardzo mała;
 Zdaje się na sąd państwa. Wierzyć mi nie chciała

Panna Lidia, żem nieraz i szczerze się smucił
 I tęsknił za tą stroną; żem wierny powrócił
 W mój przyjaźni dla państwa. A mnie to bolało,
 Że ufano tak słabo, tak wierzono mało
 Mnie, który w ogień dla nich rzucić się gotowy!

BASIA (*śmiejąc się*)

Dobrze, gdy się pan spalisz; a gdy wyjdiesz zdrowy?

SŁUŻĄCY.

Do stołu już podano.

HENRYK (*podając rękę Basi*)

To, wylany dla niej,

Jak dziś, znowu do stołu podam rękę pani!
 (*wychodzą*).

KONIEC AKTU Igo.

Nieruszek na Podolu,
 d. 22 kwietnia 1854.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Od kilku miesięcy dzienniki i rozmaite pisma umieszczają ciekawe szczegóły o budowie i potwornych rozmiarach pałacu Sydenham, i wewnątrz cuda obiecywały. Jak zwykle bywa, opisy rosły w umysłach czytelników, wyobraźnia dopełniła niedokładne obrazy; przyszło do tego, że o pałacu w Sydenham opowiadano sobie jako o zamczarowanym zamku zaklętej królowy. Ci, co go tak stawili jeszcze przed otwarciem, zapomnieli, że tym sposobem łatwo zgubić mogą ów raj obiecany jako rzecz przechwaloną, bo urzeczywistnienie ideału trudniejsze nad wszystko. Dziwnym trafem inaczej się stało: tą rzadką rzeczywistość przeszła oczekiwanie!

Pałac Sydenham jesto ów sławny pałac kryształowy, nabyty i przeniesiony do Sydenham, przez prywatną kompanią; powiększony niezmiernie, wygląda jak tamten przez mikroskop widziany. Powszechnie znana struktura pałacu wystawy, uwalnia mnie od opisu jego budowy; przebiegnę więc wewnątrz olbrzymiego muzeum, ażeby dać o nim wyobrażenie czytelnikom, wyobrażenie tylko, gdyż opis kilkuby tomów potrzebował.

Sydenham leży o 20 minut drogi koleją żelazną od Londynu; pociąg zajeżdża kołem, i staje przed prawym skrzydłem pałacu, jak najtyczanka przed gankiem polskiego dworku. Gmach tak jest ogromny, że choć zbudowany na znacznym podwyższeniu, zdala nawet nie można całości jego uchwycić.

Pierwsze wrażenie oślepia przybyłego. Oko wszystko naraz ogarnąć pragnie, a każdy szczegół nęci go

i przyciąga; wzrok błądzi w tym labiryncie linii, które się łamią, krzyżują, zbiegają i rozbiegają, tworząc trójkąty, koła, kwadraty. Dach przezroczysty ponad którym widać ciągnące chmury, inny zwrot myśli nadaje: radby człek dumać w oszołomieniu jakimś pogrążony. Ale nie tu miejsce na rozmyślania próżniacze: tu trzeba siły żeby podołać, żeby nastarczyć coraz to nowym wrażeniom, żeby ogarnąć myślą cały szereg ubiegłych wieków.

Przy głównej drodze, która przecina na dwoje pierwszą nawę, ustawiono długim rzędem naprzemian posągi i pomarańczowe drzewa. Wiedzie ona do drugiej, podzielonej na sale podwórzami zwane, z których każda innej epoce poświęcona, i we właściwym stylu zbudowana, mieści w sobie owego czasu pomniki.

Po prawej stronie od wniścia jest sala włoska. Zbudowana na wzór rzymskiego pałacu Farneźów, przepiękna ozdobami i rzeźbą, wabi i nurzy zarazem oko zbytkiem bogactwa. W środku dokładna kopia fontanny rzymskiej Tartarugh rozpościera marmurowe konchy nabiegłe różowemi żyłami, i spragniona czeka na wodę, która dotąd nie przyszła.

W głębi sali stoją dwa pomniki: grobowiec Wawrzyńca Medyceusza, którego wzór znajduje się w kaplicy Medyceuszów we Florencyi, a naprzeciw niego nagrobek Juliana Medyceusza, także we Florencyi kopiowany: obadwa dżuta Michała Anioła. Dwa te ogromne grobowce zajmują prawie całe dwie ściany. Obok nich stoi Jonasz i wieloryb, Rafała; Chrystus z krzyżem, Michała Anioła, Litość tegoż, i Niewolnik w Luwrze kopiowany. Dalej uderzają cztery ogromne piedestały na których w pałacu św. Marka w Wenecyi pozatykane są zdobyte chorągwie. W przedsionku porozwieszane kopie sławnych obrazów szkoły włoskiej.

Z sali włoskiej przechodzi się do sali de la renaissance, u której wniścia stoją nagrobki Elżbiety i Maryi Stuart. Przy dumnych i twardych rysach angielskiej monarchini, dziwnie odbija słodki uśmiech szkockiej królowej.

Fasada sali de la renaissance wzięta jest ze starożytnego hotelu Bourgtheroulda w Rouen, sławnego bogactwem architektonicznych ozdób. Na środku wznoszą się

szą się dwie fontanny brązowe z weneckiego pałacu Duków doskonale naśladowane. Okno w tej sali wzięte z klasztoru pawijskiego, przecudny czyni efekt. Karyatydy dłuta Jana Goujon podpierające ogromne drzwi wchodowe, grobowiec Viscontego i wiele innych rzeźb Gujona, stanowią główną ozdobę tej sali, która wszystkie swoje piękności Francji zawdzięcza.

Po niej następuje wspaniała średniowieczna sala, przybytek sztuki gotyckiej, na którą składały się zarówno Francja, Anglia, Niemcy i Włochy; styl każdego z tych czterech narodów jednaki w podstawie, różny w wykończeniu, przedstawiają licznie zgromadzone pomniki. Rzeźby z katedry Lincoln uderzają jaskrawością kolorytu; dają one wyborne wyobrażenie o ówczesnej ornamentacyi, mianowicie też drzwi na których najdziwniejsze postacie gonią jedna za drugą, rozczochrane, fatalne, jak Makbeta jędze, świadczą o bujnej wyobraźni średniowiecznych artystów. Na środku stoją cztery grobowce: królowej Eleonory, Edwarda IIgo, Wilhelma Wikenham, i księcia Czarnego; ostatni mianowicie lśni się od złota i pretensjonalnych ozdób. W oddziale sztuk francuzkich są piękne rzeźby z katedry Notre-Dame de Paris, ułamki z katedry Reims i płaskorzeźby z roueńskiej, których gust surowy i poważny uderza wielkością kompozycji. Z Włoch średniowiecznych wybrano statwę sprawiedliwości dłuta Giovanniego z Pizy; stoi na ołtarzu jednego z pizańskich kościołów. Niemieckie zabytki ułożone są w krążganku wiodącym do sali byzantyńskiej. Są tam rzeczy niezrównanej piękności, jakto: rzeźby kaplicy Trzech króli z katedry kolonńskiej, ułamki z katedry mogunckiej, i drzwi klasztoru Dinkendorf w Wirtembergu.

Salę byzantyńską stroją jaskrawe mozaiki, których wzory na wieczystą pamiątkę swój sławy bracia Zuccaty w kościele ś. Marka ze szkła i drogich kamieni złożyli. Na boku oparta brama katedry mogunckiej, w środku nagrobek Ryszarda Lwie serce, i pyszna marmurowa fontanna Heislerbacha. Posadzka ułożona jest z normandzkiej mozaiki, w rogu ogromna chrzcielnica winczeslerska, a przy niej w starożytniej urnie zatknięty stary krzyż irlandzki, szacowny zabytek świętej wiary w kolebce.

Z sali byzantyńskiej jest wyjście do egipskich kolosów. Tutaj dopiero powziąć można wyobrażenie o rozmiarach pałacu: ogromne egipskie monumenta obszernie tu jak pod gołym niebem rozstawione. Zdziwiony, przynięciony ich wielkością wędrowiec, stoi jak przykuty, i oczu oderwać nie może od tych olbrzymich dziwolągów! Widok od drzwi byzantyńskich jest niezrównany.

Jak okiem zasięgniesz biegnie ulica, a przy niej dwoma rzędami szpaler rozłożonych na piedestałach potężnych Sfinxów z ogromnymi głowami, a wejrzeniem pełnym spokoju i stodyczy; na nich tajemnicze rodowody popisanie hieroglifami.

Długą tę aleję zakończya grobowiec egipski, a na nim dwa kolosy z wzorów Ibsambulskich kopiowane. Sztuka to była niemała odlać takie posągi przeszło siedemdziesiąt stóp wysokie. Patrząc na nie rzekłbyś, że to Tytany weszły do pałacu przed ukończeniem, i złapanie w klatkę ze szkła i żelaza, teraz już zeń wyjść nie mogą. Czasami promień słońca oświeci im granitowe twarze, jakby urągał olbrzymim niewolnikom wielkiej myśli. Skalą ich rozmiarów są z egipskiego grobowca wychodzący ludzie, którzy przy kolosach jak istne mrowisko wyglądają.

Widok to jedyny w swoim rodzaju; żeby jednak złudzenie było zupełne, wypada nadać tło kolosom, to jest rozwiesić poza nimi jakąś draperyą naśladowującą kamień, tak, żeby szyby i żelastwo do których je wzrok odnosi, nie psuły efektu całości. Zdaje mi się także, iż niepotrzebnie poprzegradzano Sfinxy palmowemi drzewami. Sfinxy w kamiennym śnie pogrążone, nie potrzebują ani chłodu, ani zieloności: obecność zielono-włosych pustyni mieszkanek, nie podwyższa ani ujmuje wielkości obrazowi. Palmy stosowniejsze miejsce zajęłyby w botanicznym dziale wystawy. Dwa powyższe kolosy są jednym z najciekawszych zabytków pałacu Sydenham, tak pod względem trudności, jako i dokładności wykonania.

Przeszedłszy aleję Sfinxów, i ogródek z rzadkich kwiatów, wędrowiec przybywa do assyryjskich krużganków, których podwoje podpierają skrzydlate i rogate potwory, święte pogańskich bożków wizerunki. Wedle nowych odkryć i nowych wykopów, złożono tu cały pałac assyryjski: czworo drzwi doń wiedzie, każde zapi-

sane hieroglifami, i strzeżone przez mitologiczne bóstwa. Wewnątrz, ściany pałacu zdobią płaskorzeźby naśladowane z British-Museum; w komnatach wszystko ustawione jak było przed kilką tysiącami lat za życia dostojnych właścicieli tych gmachów. Na tym prostokątnym budynku wznosi się piętro z persepolitańskich kolumn, w środku, wedle ówczesnego gustu, sufity pomalowane w jaskrawe bukiety kwiatów, i różnokolorowe płastwo.

Ztąd wchodzimy do jednego z arcydzieł ekspozycji, do Alhambrzy.

Tutaj najtłumniej zbierają się widzowie, bo prócz precudnych arabesków, któremi ściany i sufity pokryte, jest tu jakby w powietrzu rozlane wspomnienie rycerskich czasów, coś z ich awantur miłosnych, coś z bohater-skich zapasów. Wyjąwszy rozmiarów, które są mniejsze, kopija jest tak wierna, że tym nawet co znają oryginał, zupełne czyni złudzenie. Koloryt, niezrównane bogactwo ozdób, w których celowali Maurowie, ogromne sieci misternych jak koronka deseni, wdzięk i harmonia szczegółów z których ogromna całość złożona: czynią z téj sali wzór piękności i gustu.

Ileżto pracy i cierpliwości potrzeba było, żeby z papierowych kartonów na części pociętych, utworzyć w gipsowej płaskorzeźbie, tak wierne tamtych odbicie, żeby ani jednego listka, ani jednego ząbka nie brakowało, i takowe spoić bez skazy!

Sławna w Alhambrze fontanna lwów, na lwie'm podwórzu, z szarego kamienia wyrobiona, czeka także na wodę, która lada dzień napełni basseny, i nada właściwy koloryt Alhambrze. Nader szczęśliwy był pomysł nakrycia całego dachu téj sali różową draperyą: światło przez nią leje się tak miłe, tak wdzięcznie płonie na złotych i alabastrach, jak zachodzące słońce Grenady.

Drugim arcydziełem ekspozycji jest dom pompejański, cały, ze wszystkimi szczegółami, meblami, taki zupełnie, jakim go zastał pod ziemią rydel robotnika. Żaden drobiazg tu nie pominięty. Na przodzie podwórze z fontanną, dalej przedsionek pełen kolumn i kwiatów, wokół domu sypialne pokoje, kuchnia, łazienka, framuga dla bogów domowych: słowem wszystko z czego się składał dom Rzymianina. Obrazy wiernie przekopiowane z neapolitańskich muzeów ubierają ściany.

Fotografia tak rozpowszechniła widoki greckich, egipskich i rzymskich pomników, że wymieniać i opisywać tu zgromadzonych, nie będę. W egipskiej sali najpiękniejsza jest kolumnada karnaku; w greckiej Wenus de Milo, i fryzy Parthenonu.

Przebiegłszy kolejno wszystkie zabytki sztuki zebrane z całego świata, i nakryte jednym szklanym dachem, wędrowiec radby spocząć chwilę w zielonym gaju, który go czeka u wyjścia; ale i tu spokoju nie znajdzie, bo oto nowy przedmiot do patrzenia go zmusza: cały lasek zaludniony, tu i owdzie widzi twarze dziwne, nieznane ubiory, ludzi jakby nie z tego świata spostrzega wokół siebie. Z wystawy pomników wchodzi na wystawę ludzi.

Anglicy słusznie mniemali, że niedosyć zebrać i pokazać ludowi pomniki rozsiane na powierzchni globu, potrzeba jeszcze przedstawić mu różne odcienia rasy człowieczej, która ten glob zamieszkuje. Zgromadzili więc najciekawsze, a mało znane typy różnych dzikich plemion, to jest oddali z drzewa jak tylko można najwerniej ciała ich, ubrali tak, jak się noszą, i potworzyli z nich grupy mogące służyć za przedmiot dla etnografa.

Na wstępie uderzają przychodnia mieszkańcy wyspy Borneo, napół nadzy, okryci błyskotkami, jedni w kapeluszach słomianych ozdobionych muszlami, inni w koronach z zębów zwierzęcych, w pancierzach ze skóry rekina, w koszu z piórami na głowie. Dalej mieszkańcy Jawy z miedzianem obliczem, dalej Sumatry w dziczych skórach, z prostymi włosy, bez zarostu. Przy nich ludzie z Nowej Gwinei z pierścieniami u nosa, z piórami na głowach. Dalej Australczycy: kształty ich szczupłe, wychudłe, nos spłaszczony, usta szerokie, ciało pokłóte w desenie, poorane wyciskami, cały ich ubiór stanowi kawał żółtego płótna obwinięty koło bioder.

Wszystkie te grupy, jak powiedziałem, ze skrupulatną wiernością oddane, ustawione są w rozmaitych pozycjach, każda z nich przedstawia scenę jakąś obyczajową, często dramatyczną. W Indyach naprzykład, spotykasz słońca z podniesioną trąbą szarpiącego kłami tygrysa; Indyanin mierzy doń siedząc na czerwonym czapraku, który grzbiet słońca okrywa; drugi strzelec

łuk naciąga. W Afryce, spalony Negr ściga zwierzynę, obok niego żona z dzieckiem zawieszonym na plecach, bieży niezmordowana po gorącym piasku pustyni.

Z Afryki przechodzimy do Ameryki. Tu różne plemiona wschodniej, zachodniej, południowej, i środkowej części nowego świata obficie zebrane, koloryt miejscowy zachowany starannie: znać, że przedewszystkiem prawdę miano na względzie. W końcu przybywamy do Eskimosów, zwiedzamy ich chaty wśród lodowisk rozrzucone, spotykamy psy, lisy, niedźwiedzie białe, słowem cały szereg ponurych tej strefy mieszkańców, bo o niczym nie zapomniano: nawet narzędzia myśliwskie i rybackie sieć widzisz rozwieszona na ścianach domostwa.

Żadna z tych scen przeróżnych nie jest ani śmieszna, ani trywialna, jakby to łatwo przypuścić można: dlatego, że te lalki drewniane nie są ani wystawne, ani teatralnie ubrane; ubiory ich dziwne prawda, ale znać, że wiernie z natury zdjęte, często szare i brzydkie. Każda grupa pośród ojczystych krzewów ustawiona, a wokół nich zwierzęta, te które się w domach chowają, i te z którymi walczyć przywykli; na drzewach ich ptaki się kotyszą, te mchy, te kamienie, te muszle, znalezione w ich kraju, lub z wód miejscowych wyłowione. Nie ma śmieszności, bo nie ma przesady: wszędzie prawda, harmonia i nauka.

Nasuwa się tylko pytanie: czemu na tej wystawie samych tylko dzikich przedstawiono? Czemu nie pokazano kilku scen z domowego życia twórców starożytnego muzeum, znanych nam dotąd jedynie w posągowej formie? Pelazgi, Egipcianie, Grecy, Rzymianie więcej przecież zasługują na miejsce w muzeum, niż Eskimosy lub Negry.

Długo błądząc po labiryncie drzew i kwiatów, pełnym dziwnych ludzi, dziwnych zwierząt i ptaków, wędrowiec przybywa do portyku, w którym w ozdobnych framugach stoją długim rzędem króle i królowe Anglii w białych całunach, i patrzą marmurowym wzrokiem na lud swój, co tam jak rzeka płynie, a płynie bez końca! Po obu stronach królewskiej galeryi, wśród pomarańczowych drzew i posągów, widzisz dwa ogromne basseny z marmuru, obszerne jak dwa jeziora: są to rezerwoary

na wodę, która ztamtąd po całym gmachu rozchodzić się będzie. Niezadługo wytrysną z nich wspaniałe fontanny, a od nich świeżość i chłód przyjemny powieje dokoła.

Dotąd nie dotknąłem wcale części przemysłowej wystawy, która z czasem wielką tu grać będzie rolę: raz dlatego, że o rozmaitych gałęziach przemysłu tylko specyjalni ludzie mówić mogą; powtórę, część ta nie jest jeszcze dostatecznie reprezentowana. Ci co w kryształowym pałacu całe dni spędzali na oglądaniu nowych wynalazków, i nowych produktów handlu, ułożonych tam w takiej massie z przepychem i gustem, nicby się nie dowiedzieli z opisu sal prawie próżnych, i sklepów czekających na towary w sydenhamskim gmachu. Każda gałąź przemysłu ma tu swoje miejsce naznaczone, ale dotąd niektóre dopiero przyniesione, jakoto: szale, jedwabie, papier, klejnoty, pachnidła, wyroby rymarskie, chińskie, i nożownicze.

Zbiór fotograficzny jest już bardzo liczny: zajmuje prawie całą galeryą. Tutaj także miano naukę na pierwszym względzie, dlatego zbiór sławnych architektonicznych pomników najbogatszy. Najwyżej w tej sztuce stoją dotąd Francuzi, jakoż ich roboty otrzymały palmę pierwszeństwa. Z maszyn uderzała mnie najwięcej hafciarka; przyrząd to nader prosty, całą sztukę materji haftuje nadzwyczaj szybko, gładko, i na obie strony jednako. Wynalazek ten ważny jest niestety dla płci obojęd, bo jedna ubiega się za haftem, a druga płacić go musi drogo.

Przebiegłszy pośpiesznie wewnątrz pałacu, wejźmy na dach gmachu, a ztamtąd po krętych i stromych schodach do belwederu. Tu jeżeli nam się w głowie nie zakręci, i tchu nie braknie, używać będziemy precudnego widoku, który sowiecie podjęte trudy odważnym wynagradza. Zawieszeni o sto stóp nad pałacem, najpiękniej strukturę jego obejrzymy.

Pod sobą mamy szklane morze, a na dnie jego widzimy jakby mrówcze processye, krążące pomiędzy gęstwą pałaców, posągów, drzew, i rozmaitego kształtu budowli. Tysiące ludu tam się roi, pałac jednak nigdy nie zdaje się pełen. Wy co je znacie, wyobraźcie sobie Pola Elizejskie w Paryżu, przykryte jednym szkła-

nym dachem w dzień świąteczny, kiedy cała ogromna ludność miejska tam się zbiegnie, szukając uciechy lub wypoczynku. To jedyny widok do którego można przyrównać ów gmach bajecznych rozmiarów!

Zgłodniały, zmęczony, zszedłszy z owego dachu, ujrzałem w oddaleniu pośród tych cudów starego i nowego świata, smacznie zajadających Anglików; na ten widok uczulem co czuć musi żeglarz, kiedy po długiej podróży spostrzeże ziemię rysującą się na horyzoncie, i skwapliwie ku nim kierować się począłem. Tutaj dopiero pole na zbieranie szkiców obyczajowych! Tutaj-bym muzy prosił o sto języków, gdybym nie był głodny, gdybym mógł przy tych stosach rozbefu, baraniny, gołębic pasztetów, szynek, i serów czesterskich myśleć o czém inném jak o nich, zwłaszcza pośród Anglików których apetyt, jak wiadomo, wyrównywa produkcji. Każdy pokrzepiwszy siły, w najgłębszém milczeniu wychodzi na dalsze wycieczki.

Uczyniłem jak oni. Wyszedłszy z pałacu ujrzałem przed sobą las tropikowy, górujący nad zaroślą rododendronów, kamelij, mirtów, metrozyderów, magnolij i azorskich jaśminów. Od klombu do klombu biegając, tu wabiony zapachem, tam kształtem, owdzie kolorem, doszedłem do obszernego budynku całego pnąciami różami ostonionego: zład go zowią pałacem różanym. Dalej otwiera się park przepyszny! Nieprzejrzane łany murawy ciągną się jak aksamity zielone; wszędzie wodospady i wodotryski, z których wreszcie aż rzeka urasta i rozlana w liczne koryta tworzy mnóstwo wysepek.

Tutaj nowe zjawisko: na wyspach sterczą ogromne potwory, których rodzaj oddawna zaginął na świecie. Są to przedpotopowe zwierzęta, złożone z odkopanych kości, a raczej ich wierne naśladowanie.

Rozpoczyna szereg ogromny pterodaktyl, rodzaj ptazu, czy skrzydlatego smoka z węzową głową; dalej iguanodon, gatunek krokodyla: sam korpus jego ma długości przeszło czterdzieści stóp, głowa trzy, a ogon piętnaście. Dalej z ogromnemi kłami megalozoron, zwierz olbrzymi, któremu Cuvier daje pięćdziesiąt stóp długości. Dalej ogromne ropuchy z rodziny pterodaktyłów, pomalowane zielonawo i napót we wodzie

zatopione; widząc je zdala człowiek bezbronny, kroku postąpić nie śmie, takie straszne te potworne płazy.

Ale niedosyć było Anglikom złożyć i przedstawić ich formy: chcieli jeszcze pokazać w czém żyły te potwory. Pokopali więc fosy na brzegach rzeki, a w nich włożyli warstwami pokłady ziemne w jakich kości tych zwierząt znaleziono.

Jestto niezawodnie najciekawszy szczegół sydenhamskiego parku. Ale w końcu to ciągłe naśladownictwo poczyną działać na imaginacyą: zdaje się człowiekowi, że wszystko co widzi szluczne, wszystko naśladowane: drzewa, kwiaty, łąki i jeziora. Pod wpływem tego wrażenia, kiedym się schylił chcąc kwiatek uskubnąć, a policmen wstrzymał mnie, mówiąc, że tu nie ruszać nie wolno, nie zważałem wcale na niego: zdawało mi się, że on także naśladowany.

Wszystkim tym cudom, których ledwie tysiączną część wymieniłem, zarzucićby można, że są nadto na efekt obrachowane; w tak poważném muzeum, efekta psują, a nie podwyższają rzeczy. Mianowicie téż razi wykończenie starych pomników, które zbytek erudycyi starał się odbudować na nowo, a zatarte barwy świeżemi podłożył kolorami, wprowadzie wedle tradycyi i opisów, ale nie tak częstkroć, jak się dzisiaj przedstawiają oku w oryginale.

Błędem także wydaje mi się otworzenie pałacu przed jego zupełném ukończeniem. Nic tak nie psuje całości dzieła jak przyglądanie się jego wzrostowi, obecność, że tak powiem, przy narodzinach jego. Jestto toż samo, co iść za kulisy przypatrywać się zmianie dekoracyi, którą za chwilę można zobaczyć z parteru we właściwém świetle: wrażenie napóół stracone. Dzieło ludzkie zmaleje, jeżeli ciągle śledzić będziemy drogi, jakimi do doskonałości dąży.

Drobne te błędy wykonania nikną zupełnie obok wielkiej myśli ogólnej, która przewodniczyła założeniu olbrzymiego muzeum. Celem jego oświata powszechna, a temu celowi zupełnie odpowiada. Pominąwszy naukę, którą każdy dla siebie zlamtąd wyniesie, artyści i rzemieślnicy, którym brak czasu i pieniędzy na dalekie podróże, mogą tu czerpać codziennie natchnienia, brać wzory z dawnych arcydzieł do nowych utworów.

Po trzech miesiącach ciągłej słońcy i zimna przeszliśmy nagle do trzydziestu stopni gorąca. Lato oczekiwane z upragnieniem przyszło nareszcie. Każdy też kto może wynosi się ze stolicy, a jeżeli nie wyjechał to udaje, że go nie ma, bo dobry ton w Paryżu zostać nie dozwala. Na modnych ulicach zamiast okien ujrzysz długi rząd zamkniętych okiennic, a na bruku już trawa porastać zaczyna.

Opera wielka, i wiele innych teatrów, pozamykane; teatr francuzki nawet zamknięty z powodu odnawiania sali, ale przez litość dla pozostałych plebeuszów, przeniósł swe widowiska na czas reparacyi do opróżnionego teatru włoskiego. Bulwarowe teatru także puste, ledwie od czasu do czasu jakąś mizerną sztuczkę ogłaszają afisze; sztuczkę, której nie ma komu oglądać, ani krytykować, bo krytycy chmurą polecili do niemieckich Aten na dramatyczny jubileusz, mówiąc stylem germańskich gazet, które tak szumnie nazwały wystawę dzieł wielkich mistrzów, teraz na scenie w Munich przedstawionych.

W literaturze także ogromna stagnacya. Rzadko ukaże się na literackiej widowni choćby mała ważna książeczka, lub czasowej wartości broszura; ale za to stary Paryż wali się dokoła, a nowy na jego gruzach w oczach podrasta. Nowe ulice, gmachy, ogrody, sztuczne góry, rzeki, jeziora i kaskady wytryskują jakby cudem, nieludzką pracą dokonane. Luwr złączony z Tułeryami, ulica Rivoli biegnie z jednego na drugi koniec miasta szeroka a prosta. Większa część ciasnych, ciemnych i niezdrowych ulich zwałona, odbudowuje się obszernie i widno. Całe miasto otacza dokoła kolej żelazna: słowem, gdzie spojrzeć wszędzie jakaś robota ku wygodzie lub upiększeniu miasta rozpoczęta.

Cóż, kiedy tych wszystkich ulepszeń nie dozwala podziwiać deszcz, który tu trzy czwarte roku pada; deszcz, który te wszystkie piękne budowle uszkodzi i poczerni! Paryż dopiero wtedy będzie prawdziwie przyjemny, jak Francuzi wynajdą sposób odwracania deszczu, skoro rozwód człowieka z parasolem dokonany zostanie.

Od XIV wieków deszcz ciemieży Paryżanki. Każdy Paryżanin rodząc się jest skazany przez deszcz na 10 lat więzienia. Wielkie stolice mają jak ludzie właściwe

sobie choroby; Paryż choruje na słątę, może najdotkliwszą z 7 plag, bo psuje mury, dziurawi dachy, sprowadza nudy, reumatyzmy, kaszle, katary, dokucza wszystkim, wszystko niszczy i psuje, cieszy zaś tylko dyrekcye teatrów.

Franklin wydarł piorun niebiosom: czemużby im deszczu wydrzeć nie można, a raczej czemużby nie można odwrócić chmury? Wiele nad tém przemyślano tutaj w czasie 100 dniowej powodzi. Jeden nawet z ulubionych paryzkich pisarzy Méry, oznajmia w bardzo dowcipnym feiletonie, że rozwiązał już olbrzymi problem, że nieomylném lekarstwem na odwrócenie chmur są strzały armatnie.

Bajki, powiecie, wierutne bajki! I ja tak sądziłem, ale mnie przekonał Monitor. Kto nie wierzy niech przejrzy Monitora. Tam od niepamiętnych czasów znajdzie powtarzany tenże sam frazes: „Skoro orszak wyruszy, niebo chmurne wypogodziło się jakby cudem, prześliczne słońce zajaśniało na horyzoncie i t. d.“ Trudno przypuścić, żeby słońce z równie jasną twarzą witało wszystkich, a więc poprostu zwyczajne przy takich obchodach 101 armatnich strzałów rozpedziło chmury.

Jak w każdym, tak i w tym żarcie jest połowa prawdy. Pan Arago w świeżo wyszłym tomie *Notices scientifiques*, między ciekawymi postrzeżeniami o grzmotach, wspomina, że chciał się dowiedzieć o ile prawdziwe jest mniemanie, jakoby ruch w powietrzu przez wystrzały sprawiony rozpraszał chmury. W tym celu robił postrzeżenia w obserwatoryum, kiedy codziennie odbywały się ćwiczenia wojskowe w tamtej stronie miasta. Powiada, że notował ile dni pogodnych przypadło na dni manewrów, a ile ich było kiedy nie strzelano, z czego pokazało się, że strzały wywierają rzeczywiście niejakiś wpływ na rozrzedzanie atmosfery.

Méry rozwijając dalej swoją teorię z właściwym sobie brylantowym dowcipem, proponuje, żeby w każdym okręgu Paryża wybudowano po jednej wieżycy, i takową uwieńczono 100 działami; jak tylko chmury gromadzić się poczną, radzi takowe witać kanonadą. Pewien dobrego skutku, kłopotczy się już tylko, że kupcy deszczochronów z głodu pomierają, ale w końcu pociesza ich większą sprzedażą parasolków.

Niemniej ważna jak odwrócenie deszczu, jest kwestya sprowadzenia do Paryża wody do picia. Jakże się to dzieje, że Paryż, który we wszystkiém Rzym naśladuje do tego stopnia, że gdyby Rzymianie nie byli wymyślili tragedyi, kolumny Vendôme, izby deputowanych, geniuszów wolności, Brutusów, Kassiuszów, wierszy Alexandryjskich, pól marsowych, Saturnaliów, i wojen domowych, byłyby przez czternaście wieków siedziały z założonemi rękoma; jakże się to dzieje, mówię, że Paryż zapomniał o wodociągach, może najpotrzebniejszej ze wszystkich imitacyj. Rzymianie mieli także taką żółtą rzekę jak Sekwana, mogli także pić wodę z Tybru, ale nadto siebie szanowali. Ażeby tego upokorzenia uniknąć, pobudowali ogromnym kosztem olbrzymie wodociągi, które, jak się wyraża Chateaubriand: „Podawały ludowi kryniczną wodę na tryumfalnych łukach.”

Lepiej późno niż nigdy, mówi francuzkie przysłowie; dlatego czasby pomyśleć o czystej wodzie w departamencie Sekwany. Sekwana tak jak Tyber dobra jest do kąpieli, lub na szkołę pływania, ale nie do picia. Ktoby widział przez mikroskop jakie atomiczne potwory w niej pływają, umarłby niezawodnie z pragnienia nad szklanką takiej wody. Na południu wyborna woda źródłana trzeźwemi czyni ludzi; pijaków bardzo tam mało; szkaradny zwyczaj dawania na piwo tak powszechny na północy, nieznany tam wcale. Rzecz wiadoma, że piwem ani wódką nikt się jeszcze nie wzmocnił; żaden gladiator rzymski nie pił wina ani wódki, a pięścią wołu zabijał, jak niesie podanie (przypuśćmy, że to było ciele, to i tak dosyć).

Wzgórza otaczające Paryż podobne rzymskim wzgórzom, są jak tamte rezerwoarami wody, czekają tylko na wodociągi. Opatrzność nigdy źródła od ust łaknących nie odsuwa.

Taż sama Opatrzność, co spragnionych poić każe, czuwa dotąd z macierzyńską pieczą nad tłumem pieszych, krążącym wśród przepełnionych jezdni ulic Paryża. Dlatego proponuje także pan Méry, żeby pobudować mosty na bulwarach jak na Sekwanie. Nie weźmie tego za paradox kto widział ruch na głównych paryzkich bulwarach. Środkiem jadą, lecą, galopują w wielkiem zamieszaniu dorożki, wozy, powozy, dyliżanse, milordy,

kabryolety: słowem wszystkie maszyny na kołach wynalezione do zabijania koni, oszałamiania uszu, zatrzymywania, lub rozjeżdżania pieszych. W tej wrzawie przesuwają się na palcach z parasolem w rękę odważny piechur w większym niebezpieczeństwie, niż pod baterją armat.

Na chodniku kobiety i mężczyźni nieruchomi jak cienie nad Styxem, czekają na przeprawę przez tę czarną przepaść, w której dwoje oczu zamało, żeby na prawo Charybdę, na lewo Scyllę wyminąć. Cóżto będzie na przyszły rok podczas wystawy? Nieszczęśliwe pietony stać będą po całych dniach na brzegu ulicy, nie upatrzawszy pomyślniej chwili przeprawy. Prawda, że cienie czekały czasem całe wieki nad Styxem, ale były cierpliwsze, bo nie miały ani interesów, ani śmierci przed sobą.

Czemuż więc rzeczywiście kiedy są mosty przez rzekę, nie rzucić mostów przez bulwary, które są nie mniej niebezpieczną przeprawą? Pomysł Mérego zupełnie słuszny mi się wydaje; tém bardziej w tych czasach, kiedy gorączka budowania napadła Paryżanów. Lada dzień zbierze się kompania, wybuduje owe mosty własnym kosztem, i niezawodnie nie zbankrutuje, gdyby tylko centyma pobierała od przejścia.

„Na takie mosty, w olbrzymie łuki zbudowane, powiada Méry, wchodzić się będzie po szerokich schodach. Całe szklanym dachem pokryte, mieścić będą restauracye, kawiarnie, i czytelnie z oknami i balkonami na obie strony drogi. Najciężej postawić pierwszy, skoro ten stanie pojawią się wnet drugie. Nie wątpię, że za lat kilka przechodzić sobie będziemy bulwary wygodnie na całej rozciągłości, jak Sekwanę. Mosty bulwarowe nie tylko bezpieczeństwo publiczne zapewnią, ale zarazem stworzą nowy rodzaj architektury monumentalnej; łącząc poboczne gmachy potężnymi łukami, dodadzą nowego uroku tej czarodziejskiej perspektywie.”

Takim sposobem usunięte zostaną niebezpieczeństwa przeprawy zarówno na wodzie i na lądzie. Tego obiecanego Paryża my już pewnie oglądać nie będziemy, co nie przeszkadza, że go przyszłe obaczą pokolenia.

Skoro cały nowy Paryż stanie jak z igły zdjęty, taki piękny, że go tylko kloszą nakryć: pocznie się siódmy

dzień nowój Genezy—nie będzie już nic do roboty. Ale czterdzieści tysięcy robotników bez pracy powiedzą, że tak niedobrze. Natenczas powtórzy się w Paryżu, co się niegdyś działo w Memfis i w Rzymie. Kiedy Egipt tysiące miast pobudował nad turkusowym Nilem, kiedy z pokrajanych na sztuki gór granitowych wystawił Teby, Luxor, Labirynt, Hermopolis i miasto Słoneczne; kiedy wszystkie swe skały w Sfinxów poprzemieniał, z wszystkich cegieł czternaście wystawił piramid, także chciał spocząć, i zaprawdę nigdy pracujący naród słuszniej na wypoczynek nie zasłużył; ale sto tysięcy robotników upominało się o chleb, a raczej o cebulę, bez której z głoduby pomarli. Wtedy żeby cebuli darmo nie jedli, zamiast wież przeciw deszczowi, ponieważ w Egipcie deszcz nie pada, kazano im stawiać sztuczne góry: Cheops i Scheffrem, dwie piramidy po 500 stóp wysokie, mające służyć przeciw innój pladze: zawiewom lotnego piasku pustyni. Po ukończeniu piramid byłiby Faraonowie niezawodnie nowe jakieś monumentalne nicości tworzyli, zawsze je oszczędnie cebulą opłacając, gdyby im był Kambizes roboty nie przerwał.

Toż samo działo się w Rzymie. W roku 80 ery chrześcijańskiej, Tytus nie wiedząc co począć ze stoma tysiącami bezczynnych robotników, kazał im czteropiętrowe stawiać kolizeum. W r. 270, mądry Aureliusz, zwycięzca Zenobii, nic już nie mając do budowania w wypełnionym pomnikami Rzymie, murem go opasać kazał; murem, który miał tylko sześćdziesiąt mil obwodu. Tym sposobem nie sto, ale dwakroć robotników zatrudnił.

Toż samo powtórzy się w Paryżu. Skoro się przebuduje, pomyśli pewno o jakiej olbrzymiej pracy. Mur już stoi w formie fortyfikacyi, piramidy już wyszły z mody, świątynie, teatru pobudowane. Cóż więc budować?—strzelnicę do rozpędzania chmur deszczowych.

Takie to ogromne ulepszenia obiecuje Paryżowi przyszłość. Przyszłość, która zawsze zapóźno przychodzi dla żyjących, obaczy w Paryżu pogodę, wodociągi, mosty bulwarowe, i wiele innych rzeczy, bo któż odgadnąć potrafi świat przyszły, narodzony z pary i kolei żelaznych? Dzisiejsze wynalazki usuwają wczorajsze, już interes każdego w interesie wszystkich; znikła odległość, koła są skrzydłami, góry kurytarzami, ocean

stawem. Jeżeli dalej świat pójdzie tym trybem, każde niepodobieństwo przypuścić można w przyszłości, śnić apokaliptycznych cudów urzeczywistnienie. Dzieci nasze nowy świat stworzą na świecie. Czemuż nie jesteśmy dziećmi!

Alexander Erdan wydał książkę: *Les revolutionnaires de l' a-b-c*. Celem jej jest przysposobienie umysłów do lingwistycznego kongresu zapowiedzianego przez dzienniki. Autor traktuje o reformie ortografii francuskiej, o alfabecie języka powszechnego, metodach stenograficznych, i t. p. / Noty filozoficzne przyłączone do każdej z powyższych materyj, są bardzo jasno i rozumnie napisane.

Bracia Escudier, autorowie teoretyczno-historycznego *Dykcyonarza muzycznego*, wydali książkę pod tytułem: „*Rossini, sa vie et ses oeuvres*”. Pierwsze to tak obszerne dzieło o Rossinim; warte jest czytania tak pod względem wiadomości muzycznych, jako i szczegółów z życia domowego autora Wilhelma Tella.

Juliusz Gérard, nieustraszony zabójca lwów afrykańskich, następca Herkulesa, który zamiast lwiej skóry, nosi poprostu mundur kapitana spahów; Gérard, któremu starożytni byliby pewnie świątynią gdzieś wzniesli, wydał polowanie swoje. Jestto bardzo zajmująca książka, prosto, i po żołniersku napisana, ale czuć w niej pustynię i ryk lwa słychać niekiedy.

Pierwszy to raz podobno człowiek tak blisko się spotkał ze strasznym królem pustyni. Wyobrażając sobie Gérarda czekającego na lwa z karabinkiem na plecach, wśród zarośli, w nocy... mimowolnie przychodzi na myśl owi naturaliści, co to swe spostrzeżenia w menażeryach czynili; przychodzi na myśl Buffon w koronkowych mankietach, kroczący wspaniale po swych ogrodach w Montbard, i zamyślony o lwiej naturze. Gdyby tak wtedy jaka złośliwa ręka podsunęła mu polowanie Gérarda, zarumieniłby się pewno, że zamiast lwa

pustyni, lwa wolnego w całej dzikiej wolności, malował lwa z królewskiego ogrodu.

Nie ujmuję tu bynajmniej geniuszowi Buffona, wybi-
ja on mianowicie w całości dzieła jego, w rozległym
pojmowaniu natury: mówię jedynie o sławionym dawniej
obrazowaniu jego, o opisach, które dziś nie mają ani
świeżości, ani powabu, bo w nich więcej erudycyi niż
życia, i pod tym względem lwy Gérarda niezawodnie
wyżej stoja.

W ósmnastym wieku historia naturalna nie różniła
się wiele od poezyi. Mówiąc o koniu Buffon, tak się
wyraża: „Najpiękniejszą zdobyczą człowieka jest ów
zwierz pełen ognia i dumy, który z nim dzieli wojenne
znoje, i chwałę wygranąj podziela”. Tęj prozie, rymu
tylko brakuje. Zwierzęta Buffona są tem, czém była sie-
lanka opiewana wierszem w zeszłym wieku: gładka,
przyjemna i kwiecista, ale sztuczna. Wszędzie prze-
sada, nigdzie prostoty. Buffon zowie Ludwika XV „wzo-
rem bohaterów, wzorem monarchów”, a panią Genlis
„aniołem światłości”, co świadczy wyraźnie o tenden-
cyi jego idealizowania wszech rzeczy.

Kapitan spahów Gérard nie należy wcale do tej
szkoły; nie jest ani naturalista, ani poeta opisowy: jest
prosto myśliwy. Dzika rozkosz jakiej w walce z lwem
doznaje sprawia, że stał się historykiem straszliwych
mieszkańców pustyni, których nam się zdaje, że znamy,
bośmy ich w klatkach widzieli. Ale jeżeli kto pragnie
poznać lwa jakim jest w istocie, niech przeczyta co
o nim Gérard pisze; chyba, że woli sam w noc księżycową,
siedząc na dębie w afrykańskiej puszczy, przypa-
trywać się lwim obyczajom.

ZASTOSOWANIE ANALOGICZNE

art. 1257 kod. cyw. do wypadków, w których wierzyciel nie może długu odebrać.

Częste są wypadki, w których dłużnik chcąc zaspokoić dług, znajduje w tym względzie przeszkodę w osobie wierzyciela.

Przeszkody mogą być rozmaite. Kodex cywilny tylko jedną przewiduje, kiedy wierzyciel nie chce odebrać długu. W takim przypadku, wolno dłużnikowi gotowy dług zaznaczyć art. 1257 do art. 1264.

Kodex postępowania cywilnego przewiduje inną przyczynę, ale także jedną tylko, a mianowicie, zapowiedzenie lub areszt, skutkiem którego wierzyciel nie może domagać się zapłaty, przed ukończeniem rozprawy o ważność zapowiedzenia art. 557 do art. 582.

Lecz dwa wypadki te nie wyczerpują wszystkich okoliczności tamujących dłużnikowi oddanie długu, a w szczególności, kiedy wierzyciel znikł lub zmarł, kiedy nie ma opiekuna, albo kiedy spadkobiercy jeszcze się nie wylegitymowali, albo kiedy znowu jeden z wylegitymowanych spadkobierców umarł, albo kiedy nie ma jeszcze działów spadkowych, lub z kilku sukcesorów jeden jest obecny, drugi nieobecny, trzeci siedzi w areszcie albo kiedy, się postępowanie spadkowe w hipotece odbywa; słowem, kiedy nie ma osoby wierzyciela w prawnym znaczeniu ustalonej.

Tymczasem w ciągu zachodzących tego rodzaju okoliczności i przeszkod, termin do oddania długu

nadszedł, i dłużnik zaopatrzywszy się w gotową do wypłaty sumę, chce się z długu uiszczyć.

Ma do tego bardzo słuszne powody, a między innymi, ażeby się od dalszej opłaty procentów uwolnił, albo ażeby nie popadł zastrzeżonej przeciw niemu karze wadyalnej, na przypadek uchybienia terminu lub uciążliwшему jeszcze zastrzeżeniu, np. że na przypadek nie zapłacenia długu w terminie, wierzyciel weźmie jego dobra w dzierżawę za pewną niską cenę; albo ażeby uniknął niepotrzebnej exekucyi i starcia się z komornikiem sądowym.

Jakże dłużnik ma sobie postąpić w celu wyzucia się z długu i dalszego obowiązku?

Nadstawia się tu przedewszystkiem pytanie: czy dłużnik, pomimo zachodzących w osobie wierzyciela przeszkód, ma prawo wyzucić się z długu natychmiast? W przepisach o zapłaceniu od art. 1235 do 1248, wprawdzie kodex cywilny nie wyrzekł tego dobitnie, że dłużnik mocen jest oddać dług w terminie albo też w każdym czasie, jeżeli nie ma terminu oznaczonego; jednakże zasada ta w żaden sposób zaprzeczoną być nie może, wyływa bowiem tak z ducha powołanych artykułów prawa o zapłaceniu, jako też w szczególności z artykułu 1187 kod. cywil. objaśniającego, że termin uważa się zawsze za ustanowiony dla korzyści dłużnika, chyba z umowy lub okoliczności się okazało, że był ustanowionym i dla korzyści wierzyciela.

Wyradza się więc następnie trudność prawna co do postępowania dłużnika w celu prawnego wyzucia się z długu.

Kodex cywilny, jak się rzekło, nie obmyślił środka postępowania wyraźnie na zbiorowy wypadek, kiedy wierzyciel nie może długu odebrać, czyli kiedy dłużnik chce zapłacić, i gotową do wypłaty sumę z należnemi procentami i kosztami przedstawia, a nie ma osoby wierzyciela w prawnym znaczeniu ustalonej do przyjęcia długu. Lecz wypadek ten jest zupełnie podobny do wypadku tego, w którym wierzyciel nie chce długu odebrać: albowiem jak w drugim, tak i w pierwszym wypadku, dłużnikowi służy prawo wyzucia się z długu, bądź w terminie, bądź w każdym czasie, skoro

terminu nie umówiono, i okoliczności nie okazują, ażeby chwila oddania długu i dla korzyści wierzyciela miała być przewidziana.

A zatem w przypadku przeszkody prawnej w osobie wierzyciela do przyjęcia długu ważnie według art. 1239 i 1247 kod. cywil. osobiście lub przez pełnomocnika lub za upoważnieniem przez sąd, oraz w właściwym zamieszkanu, analogia postępowania wprost i bezpośrednio z art. 1257 kod. cywil. miejsce znajduje, i dłużnik wyzuwa się z długu i obowiązku swojego ważnie, skoro przypadający gotowy dług, po spisaniu aktu wypłaty przez rejenta w Banku złoży do wydania go wierzycielowi, który się do odbioru zgłosi i wylegitymuje.

Od daty zaznaczenia gotowych pieniędzy w Banku, dłużnik wolnym być powinien od wszelkiej odpowiedzialności, chyba by się dopuścił uchybień przeciwko istotnym warunkom zaznaczenia, w art. 1258 pod nr. 3 kod. cywil. wyszczególnionym. Pomniejsze wszakże pomyłki w obrachowaniu procentów i kosztów, nie mogą za sobą pociągać unieważnienia całej czynności zaznaczenia, ile że samo prawo w powołanym dopiero artykule, przy każdym zaznaczeniu dozwala zastrzegać ukończenie obrachunku.

W analogii tej zachodzą niektóre konieczne zwolnienia, a mianowicie, że skoro nie ma wylegitymowanego wierzyciela, dłużnik nie może nikogo wezwać do odebrania długu, ani wręczać nikomu aktu zaznaczenia.

Dopiero za zgłoszeniem się wierzyciela wylegitymowanego, bezpośrednio lub przez komornika sądowego, wręczenie aktu zaznaczenia nastąpić może i powinno. Skutkiem tego i rozprawa o ważności zaznaczenia pozostawioną być musi aż do rozpoczęcia środków procesowych lub egzekucyjnych przez wierzyciela wylegitymowanego.

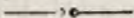
Wywiedzione tu zasady analogiczne znajdują swe usprawiedliwienie w zupełnym podobieństwie wypadków, że wierzyciel nie chce lub nie może odebrać długu, z którego dłużnik wyzuć się ma prawo, i dlatego tak po niższych, jak po wyższych instancjach sądowych, mocą jurysprudeneyi, na uznanie i przyjęcie zasługują.

Jedynie dlatego, że jurysprudencja praktyczna czyli prawnictwo wykonawcze nie dostarcza rękojmi pewności niezachwianej, i że analogiczne zastosowanie prawa dopuszcza możności sprzecznego sądu, wypadłoby uzupełnić prawo cywilne w materji ofiarowania i zaznaczania długów wyraźną ustawą: że kiedy wierzyciel nie może długu ważnie odebrać, wolno dłużnikowi zaspokoić dług, sposobem zaznaczenia.

I ta krótka rozprawa prawnicza, częstą potrzebą praktyczną wywołana, przekonać powinna, że jednym z najistotniejszych żywiołów legislacji cywilnej, jest i będzie doświadczenie i udoskonalenie jurysprudencyjne.

August Heylman.

Financje państwa i ich podzielenie



Tędy stanowił program obowiązków państwa i ich podzielenie. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze.

W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze.

W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze. W tym celu należało przede wszystkim ustalić, do jakich celów państwa należało wydzierać pieniądze.

ROZMAITOŚCI.

Etnografia Turków i ich pobratymców.

Turcy stanowią przejście od naszego plemienia ludzi białych, inaczéj kaukaskiem zwanego, do plemienia żółtych czyli mongolskiego. Insze plemie jest czarne czyli etyopskie w Afryce i Australii, insze amerykańskie, insze malajskie. Dwa ostatnie mają także swoje kolory, miedziany i oliwkowy. Do plemienia białych liczy Berg haus (1), którego się trzymamy, 12 pokoleń:

1. Indyjskie: do tego należą w Europie szczepy, jakoto: 1) Grecy, 2) Romany, w którém narody: Włosi, Francuzi, Hiszpanie, Romany w Szwajcaryi, i Rumuny (Wołochy) w Zalesiu (Transilvania) w Mołdawii i Wołoszczyźnie. 3) Teutony czyli Niemcy, do których téż należą narody angielski, szwedzki, duński i holenderski. 4) Słowianie, których narody niżej znajdziesz wyliczone. 5) Celtowie, których narody: Galowie w Szkocyi, Érsy albo Iry w Irlandyi, Cymrowie w Anglii w księstwie Wales i Bretańcy we Francyi zachodniej. 6) Litwini do których téż należą Lettowie albo Łotysze i Żmudź. Albańcy albo Arnauci, którzy się zowią Skypetary, w Turcy europejskiej.

W Azji tegoż są pokolenia szczepy 1) Ossetów od Tyflis na północ w górach kaukarkich (u Berg hausa tabl. 15) 2). Ormian znanych i w Europie. 3) Kurdów. 4) Tadżyków (ludu perskiego) 5) Afganów 6) Hindusów (Indyan w Azji). 7) Syapuszów (w północnych Indyach na zachód od gór himalajskich i bolorskich.

2. Pokolenie D r a w i d ó w w południowej części Indyj Wschodnich przedgangeskich. Szczepy ich są: 1) Tamil; 2) Malajalam, 3) Tulawa 4), Karnatak, 5) Telugu.

3. Syngalezy na wyspie Ceylon.

4. Za czwarte pokolenie uważa Berghaus Basków (Biskajczyków, sami zowią się Euskaldunak) w górach Pirenejskich. Niektórzy jednak przerzucają ich do pokolenia Finnów czyli Czuchonów plemienia mongolskiego.

5. Pokolenie Semitów. Szczepy jego są 1) Arabcy; 2) Aramejcy, których narody są: Chaldejcy nad Eufratem i Syryjcy w górach Libanu, jakoto: Druzy, Maronicy i t. d. 3) Kanaanicy t. j. żydzi w Palestynie, rozproszeni i po Europie. Do Semitów czyli Arabów mają też należeć i Abissyńcy, Mapuleis, albo Moplais, w Indjach między Drawidami żyjący, Maltańcy i Fezzanie (w Afryce). Języki hebrajski, chaldejski, syryjski i arabski są względem siebie dyalektami.

6. Koptowie albo Kopty dawni mieszkańcy Egiptu.

7. Berbery (berber ma znaczyć na Wschodzie tygrysa i zład zapewne powstała u starożytnych nazwa barbarów). Szczepy ich w Maroko, Algierze i t. d. na brzegach północnych Afryki. Rzecz osobliwsza, że w Tunis i Algeryi wschod. jeden szczep tego pokolenia zowie się Suaven (2), którą to nazwę w Algierskiem często na Szowija przekręcają.

8. Audżila i Siva czyli Libijcy starożytnych autorów w Afryce na wschodniej stronie Sahary.

9. Biszaryni na północ od Abissynii w Afryce, między morzem Czerwonem a Nilem.

10. Gruziny (Georgianie). Sami zowią się Kartuli albo Kartli. Persowie zowią ich Gurdży (od rzeki Kur?); Ossetowie ich sąsiedzi zowią ich Assami (Ass), a Ormianie (Armeni) na południe względem nich żyjący zowią ich Wirkami (Wirk, ma to być staro-

(2) Suaven zapewne to samo co Slaven, Sławin, Sławian, Sławian. Wandalowie a więc Słowianie, których wodzem był Genserich (Gąsiorek)? przeszli 427 r. po Chr. do Afryki północnej i kraj ten opanowali. P. Maciejowski w rozprawie swojej „Swewi są Słowianie” umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej w r. prz., przytacza w końcu dzieło P: *Dareste de la proprieté en Algerie* i znajduje, że mieszkańcy tamtejsi co do *własności* rządzą się do dziś dnia prawem zupełnie słowiańskiem; ob. Szaf. 335; ob. Albertj Crantzii *Wandalien od. Wendische Geschichte*. Lübeck 1600 fol

Pan *Dareste* mówi „il est à remarquer, que le meme, d'apres César et Tacite, existait chez les anciens Germains.” A cóż to za naród był Germanów? czy Niemców? jak teraz głoszą uczone Teutony? Posłuchajmy Eginharda co mówi w życiu Karola W: „Wszystkie barbarzyńskie i dzikie narody, między rzekami Renem a Wisłą, tudzież między oceanem (morzem Północnem) a Dunajem żyjące (Germania magna) podobnego prawie są języka (lingua poene similes) Germaniją osiedlają. Między temi głównie są: *Wetetabi, Sorabi, Abodriti, Bohemani.*” A wszakże te 4 ludy bez żadnej wątpliwości, przez wszystkich za Słowian uznane. Cóż więc znaczy *Germania*? Czy Teutonią? Niemców? Bynajmniej! bo któż nie widzi, że to jest ziemia słowiańska. Pobratymy słowiańskie przez Rzymian Germanami nazwani od wyrazu *germanus* brat rodzony. I dlatego nad Renem nawet znajdujemy, nazwy miejsc zupełnie słowiańskie.

żytne Iber. Zyją na wschodnim brzegu morza Czarnego i ztąd dalej ku wschodowi gdzie miasto Tyllis. Insze szczepy tego pokolenia są Mingreley, Lazy i Suanie w kraju kaukazkim.

11. Kaukazcy. Szczepy ich: 1) Lesgincy w Dagestanie; 2) Mi-dżegi. Czeczencami przez Rossyan nazywani, na północny zachód od Lesginców żyjący aż do rzeki Terek (u Bergh. Tabl 15); 3) Czerkiesi (Adige) po ross. Gorcy, i Abazy albo Abhazy w zachodniej części gór kaukazkich dotąd swobodni.

12. Dwunaste i ostatnie pokolenie ludzi białych stanowią Turcy. O nich dosłownie przytaczam co pisze Berghaus (p. 63—72).

O Turkach w ogólności.

Turcy stanowią przejście od ludów białych kaukazkiego plemienia do żółtych mongolskiego: bo są w tém pokoleniu szczepy, które zupełnie po europejsku wyglądają, a są znowu insze, które wyraźnie mongolski charakter w budowie ciała okazują. Podzielone są zdania, czy Turcy pierwiastkowo do mongolskich ludów, czy do pięknego plemienia europejskiego białych Kaukazców należeli: ale to pewna, że część ich większa oddawna nosi na sobie cechę mongolską. Twierdzi wszakże wielu, że niektóre tego pokolenia oddziały i hordy (szczepy albo raczej narody) pierwiastkowy ale zatracony charakter europejski (biały) napowrót odzyskały, cześcią przez klimat, a bardziej jeszcze przez mieszanie się z ludami białej rasy (plemienia) z powodu wędrowki ich ku zachodowi. Przypuszczenie, że pierwiastkowo należeli do białej, daje się tém usprawiedliwić, że przez mieszanie się białych z rasą żółtych pozostają zwykle mocniejsze ślady tej ostatniej.

I królestwo Wandalów we Włoszech było słowiańskie, i Gelimir czytaj Żelimir ich król, co był przez Belizaryusza 533 r. pokonany, był wyraźnie słowianinem. Nazwiska i prawa pozostały, ale język tak w Afryce jak i we Włoszech został zagłuszony. Wszakże pilni badacze znajdują jego ślady i u Berberów algierskich i w dyalektach włoskich. Nadto niektóre nazwy miejsc w Algierji i Tunis bardzo na język słowiański zakrawają. We włoskim zaś języku mnóstwo słowiańszczyzny okazali badacze języków. Ob. Jana Kollara *Staro-italia Sławjanska*, ve Vidni 1853 4to, stronnic 884 z tabulami 34ma.

Wandalami w języku urzędowym łacińskim zowią się do dziś dnia Słowienicy w Węgrzech zachodnich. O czterech głównych narodach słowiańskich w Germanii oh. Gebhardi *Gesch. alter Wend. Staat. Halle 1790: 4to tom I: p. 103. Szafarzyka Staroż: Słow. p. 871. Mapę w dziele Vinzent Kadlubek v. Linde Warschau 1822. Lelewela *Geographie du moyen age tom III p. 21 i Atlas. tabl. VI. Tegoż Polska wieków śred. tom II p. 370, przytem mapę do pag. 361. O Weletabach *Annales fuldenses* pod r. 789 mówią „Natio quaedam Sclavonorum sedens super littus Oceani, qui propria lingua Veletabi, francica autem *Vilsi* vocabantur” Weletowie żyli u niższej Odry na brzegu zachodnim. Obotryci (Boдрzycy?) na zachód od Weletów. Porów. *Szulca* o Pomorzu Zadrzańskim w Warsz. u Friedleina, 1850. 8ka. Bohemani są Czesi.**

O Turkach bardzo dawne w Rocznikach chińskich znajdujemy podania, a mianowicie już na lat 1134 do 1736 przed Chrystusem, pod imieniem Chi-un-ju, później Chian-jun, a jeszcze później, a mianowicie między latami 256—263 przed Chr. Chiung-nu a podług inszjej pisowni Hiong-nu. Wszyscy dziejbadacze jednomyślnego są zdania, że owi Hiong-nu byli Turcy (nie Hunnowie, będący plemienia żółtych mongolskiego i pokolenia fińskiego, tegoż samego co i Madziary; ob. Szafarz. Słow. Staroż. p. 266).

Hiong-nu mieszkali pierwsiastkowo na północ względem Chin, i we wschodniej części gór Altajskich, gdzie stanowili silne państwo, które w końcu Igo wieku po Chr. przez Chińczyków upadło. Skutkiem tego kraj ich obsadzony został przez naród tunguski, plem. mong. któremu roczniki chińskie dają imię Sian-pi, i zli się owi Sian-pi z różnemi hordami Hiong-nu w jeden lud, i była to najdawniejsza mieszanina białych z żółtymi. Insza horda Hiong-nu zbiegła na zachód i osiadła pod opieką silnej horody Szeu-szen tunguskiego ludu pod górami Altaj (żółtymi), a mianowicie u stóp góry, której postać podobna była do hełmu; a ponieważ w ich języku hełm zowie się tu-kiü, tedy cała ludność przyjęła to nazwisko. (Tu-kiü, z czego później u Greków powstało Turki). Tutaj pod dowództwem swego naczelnika Tuman, sławnego w dziejach wodza, stali się znowu potężnym narodem. Wódz ten żył około 545 r. po Chr. i niedługo po nim r. 569 wielki han Tu-kiü (po grecku Turkoj) zwany Dizabulus od cesarza Justyna młodszego (II) poselstwo przyjmował. W połowie VIII wieku państwo to Tu-kiü czyli Turków pod Altajem przez inszą horde i pochodzącą także od Hiong-nu, upadło. Ta zwycięzka horda żyła na południe od Bajkału, nad Selengą i rzekami wpadającemi do Amur, i zowie się u Chińczyków naprzód Chuj-che, a potem Kao-czang, lecz sama nazywała się Ujgur. Ujgury osnowali pod górami Altajskimi także wielkie państwo, które 847 przez Chińczyków połączonych z Kirgizami zawojowane zostało. Tu niemożemy dalej wchodzić w bieg politycznych wypadków, którym ulegali, i w ich wędrowki, które od gór Altajskich ku południowi i zachodowi przedsiębrali i które ich aż do środka prawie Europy zawiodły (3): ale poprzeszaniemy na wykazaniu ich teraźniejszego położenia i stałych siedzib.

Po indyjskiem pokoleniu największą przestrzeń ziemi w starożytności zajmowało tureckie pokolenie. Rozciągali się Turcy od Barkul i Kamil na wschodnim krańcu gór Niebieskich (Tengritagh albo Tian-szan, gdzie góra Bogdo-Oola, a stąd na wschód leży m. Barkul i Kamil, w północno-zachodniej stronie państwa chińskiego), a więc od wnętrza Azji, aż do Adryatyckiego morza, i od ujścia rzeki Irtysz do Ob (w gub. tobolskiej) aż do górnego Iranu (Persyi) po którego stepach koczują pasterskie horody. (Ob. Physikal. Atlas von Berghaus Gotha, 1848, 2 B. 8 Abth.

(3) Powiemy o tém w ich historii.

Ethnographie tabl. 1 i 2 i str. 228). Na téj ogromnej przestrzeni ziemskiej stanowią prawie nieprzerwaną masę ludu. Ale nadto ku południowi w Arabii i w północnej Afryce są panującym ludem i daleko na północ starego świata (w Syberyi) znajdujemy ich oddawna osiedlonych, gdzie u niższej Leny formują płachtę wśród innych narodów około Jakutsk, i ztąd na północ w górach werchojańskich.

Wyjąwszy język Jakutów mają tureckie dyalekty i tę osobiwą własność że chociaż nawzajem od siebie przestrzenią miejsca najbardziej oddalone, są przecież do siebie tak co do słów, jak i budowy języka bardzo podobne. I kiedy w indyjskiem pokoleniu np. Niemiec, dyalekta słowiańskie, albo indyjskie w Azji dopiero po długiej nauce rozumieć może: tymczasem Turek carogrodzki, Uzbeka swego pobratymca w Bucharyi i Tatara kazańskiego powoli mówiących, dobrze pojmuje: a przeto pokolenie tureckie co do języka nie dzieli się na szczepy, ale jeden tylko szczep jego na narody, których jest 16. (Tak pisze Berghaus w swojej etnografii. Niżej jednak zobaczymy, iż uczony orientalista rossyjski Berezin z większą ścisłością narody i dyalekty ich określa).

1. Ujgury (4), albo ci Turcy, którzy są pod panowaniem chińskiem, w tak nazwanej Sijü albo nowej granicy (linii między Ross. i Chin.), na której, z południowej strony gór Niebieskich leżącą prowincją (Tian-szan-nan-lu) częścią wyłącznie sami, częścią pomieszani z Tadżykami, nad którymi pierwsi panowali, zamieszkują. Wyłącznie sami żyją w Kamil, Barkul, Turfan, Karaszar, Kucze; pomieszani w Aksu, Uszi, Kaszkar, Jarkiang, Koten. Od nich nazywa się także ten kraj linią turkstańską albo turecką. Chińczycy zowią ich teraz Hoi-cen. t. j. muzułmanami. Książęta niegdyś nad nimi udzielnie panujący zwani chodzias stali się od Chińczyków zawistymi, i jeżeli rządzą krajem, to pod ich zwierzchnictwem i imieniem. Ci Turcy mówią ujgurskim dyalektem, który jednak utracił już swoją pierwiastkową czystość: ponieważ z zaprowadzeniem islamizmu przez całe prawie pokolenie tureckie przyjętego, weszło do niego mnóstwo arabskich, a nawet perskich wyrazów, których jednakże liczba daleko większa w zachodnich niż w ujgurskim dyalekcie.

Ci Ujgurowie nowej linii, tudzież Nogajcy (Tatarzy nogajscy) nad Czarnem morzem, Kumyki na Kaukazie, Tatarzy syberyjscy, Jakuty i Kirgizy są jedynymi Turkami, co zostają pod obcym zwierzchnictwem. Wszyscy inni panują nad innemi ludami, są udzielni i niepodlegli, i po większej części trzymają inne ludy pod swoim panowaniem. Wielu Ujgurów znajduje się także w północnych prowincjach chińskich, ale tu nikną w wielkiej ma-

(4) Nietrzeba mieszać Ujgurów tureckich, kaukazkiego plemienia z Ungurami (Uchrami) czyli Węgrami (Madziarami), plemienia mongolskiego, pokolenia czuchońskiego (czudskiego czyli lińskiego) szczepu ugarskiego, pobratymstwa co do narodowości uralskich Wogulów albo Woguliczów (dawniej Jugorów), a bardziej jeszcze Obskich Ostyaków.

sie ludu chińskiego. Wszyscy Ujgurowie prowadzą mniej więcej życie osiadłe, a ich dyalekt, chociaż nietyle ukształcony, co dżagatajski Usbeków w Turkestanie czyli wolnej Tartarii, i Bucharyi, jest przecież od wieków językiem piśmienniczym i ma swoją literaturę.

2. Turkomanie (Tarakame) czyli Truchmeńcy (tak ich bowiem zowią Rosyianie) są szeroko rozgałęzionym tureckiego pokolenia narodem. Wyłącznie prowadzą życie koczujące (nomadyczne) i przechodzą ze swemi trzodami po równinach Turanu od kraju Kokan albo Chokand (dawnej Żergany), aż do Kaspijskiego morza (wschodnich brzegów), lecz szczególniejsz stawają na puszczy Deszt-Kowar, gdzie się znajdują obfite pastwiska ich najznakomitszych rodzin, używających dżagatajskiego dyalektu. Pokrywają swemi namiotami płaszczyzny Chorasanu i pustynie Iranu, i równiny wnętrza Azji mniejszej, i ztąd sięgają aż do zachodnich stron Armenii, i przez południową Gruzję (Georgien) aż do zachodnio kaspijskich krain Sziwanu i Dagestanu, i wszędzie gdzie się znajdują, stanowią główną masę ludności. Różne rodziny tego szczeplu, (albo raczej narodu), rozproszone są po Syrii i Libanie, a nawet niektóre z nich szerzą się aż po puszczach arabskich. Z hordy Efszar, która w zachodnich stronach Iranu (Persyi) ma swoje pastwiska, pochodził dziki Szach-Nadir władca Persyi, co zburzył w Indyach miasto Deli, a do rodziny Ch ad ż a r należy teraz w Persyi panująca dynastia. Widzieliśmy zaś wyżej, że naród perski Tadżik należy do naszego indyjskiego pokolenia. Tak więc w Persyi naród Tadżików pokolenia indyjskiego, zostaje pod panowaniem Truchmeńców pokolenia tureckiego, albo jeśli się podobą tatarskiego. Rzecz się ma podobnie w Turanie, a mianowicie w krainie zostającej pod panowaniem

3. Usbeków, którzy stanowią trzeci bezpośrednio od Ujgurów znad gór Niebieskich pochodzący naród, od których się w końcu XV wieku oderwali: pociągnawszy ku zachodowi przez rzekę Syr i szerząc wszędzie postrach i spustoszenie. Oni stali się panami wszystkich części: Turanu, Buchary, Kokanu, Chiwy-Kuraduz, i innych mniejszych krain, które do gór Bolorskich sięgają, i dlatego te strony Azji wewnętrznej zowią się także Usbekijską Turcją, albo Turkestanem. Usbekowie nie różnią się od Truchmeńców, tak jak ci mówią dżagatajskim dyalektem, i prowadzą także tenże sam sposób życia koczowniczy.

4. Nogajcy przez Rosyan Tatarami nogajskimi zwani, mieszkają na równinach zachodnich od morza Kaspijskiego, na południowej stronie rzeki Kумы niższej, i na północ od morza Czarnego, to jest w kraju Kaukaskim i gubernii tauryckiej, (Tatarzy krymscy, a więc na europejskiej ziemi (Bergh. Tabl. 15). Nazywają się sami Man kat, i twarz ich okazuje znaczny wpływ plemienia mongolskiego, chociaż w języku ich wyrazy mongolskie dosyć rzadko napotyamy.

5. **Bassyanie.** Ich siedziby są w dolinach północnego Kaukazu, na górze Elbrus, i około niej. Elbrus jest najwyższym szczytem gór kaukaskich. Ossetowie zowią ich Karaczaj-Turkami, to jest Czarnowodnemi, a Suanie (ob wyżej pok. 10 Gruzini) zowią ich Alanami (czy nie stąd ułan?). Bassyanie (Basten) byli pierwsiastkowo Finnami, pobratyńcami Madziarów czyli Węgrów, lecz potem przyswoili sobie język turecki. Toż samo uczynili

6. **Baszkiry,** którzy od niepamiętnych czasów południowe strony gór uralskich zajmują, i ztąd nawet ta część ich baszkirskimi się zowie. Poturczenie się tych Finnów później nastąpiło niż Bassyanów, bo jeszcze około środka XIII wieku, kiedy Wilhelm Ruysbroek w czasie swego poselstwa do hana Mongołów w Karakorum przez ich kraj przejeżdżał, mówili Pascatin (tak nazywa Baszkirów) językiem węgierskim. Obacz Szafarz. Słow. staroż. p. str. 267.

7. **Kumyki** są prawdziwym staro-tureckim narodem w północno-wschodnich stronach podgórza Kaukaskiego nad rzekami Sundża, Aksaj, i Koisu żyjącym, (ob Atlas Bergh. Etnograf tabl. 15. Mówią nieukształconym, od innych tureckich dyalektów dosyć odstępującym językiem. Nietrzeba Kumyków mieszać z Kałmukami (Olót), tak nazywanymi zamiast Chalimak (co po turecku familią oznacza, którzy są plemienia mongolskiego, (ob. niżej).

8. **Meszczeraکی.** Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, byli także pierwsiastkowo narodem fińskim czyli czuchoniskim i potem dopiero przyjęli język turecki. Mieszkają jako ruscy poddani w gubernii permskiej i orenburskiej.

9. **Kazańscy,** albo Wolźcy Tatarzy. Niemcy dają im ogólną nazwę Turków. Są to szczątki ludu tureckiego, który w Turkomanach (Truchmeńcach) i Usbekach swoich pobratymców uznaje: i który ze swoich siedzib ze środka Azji przez mongolskie łuszcze pociągnięty, do utworzenia niegdyś potężnej hordy tatarskiej, albo mongolskiej Kapczaku (Kipezak) we wschodniej Europie znacznie się przyłożył. Stanowili też carstwo Kazańskie.

10. **Syberyjscy Tatarzy,** także przez Niemców Turkami zwani: dlatego, że nazwa Tatarów pierwsiastkowo służyć miała tylko Mongołom. Zaludniają całą południowo zachodnią część Syberyi, zdawien dawna tu osiedli i za najdawniejszych też mieszkańców téj strony uważani. Dzielą się na 15 rodzin znanych pod tyłuż nazwiskami.

11. **Teleuty** żyją w górach Altajskich, około jeziora Altyn (złotego), które Rosssyanie Teleckim (od Teleutow) nazywają. W języku ich jest wiele słów mongolskich.

12. **Sojoty, Matory, i Koibały,** także w południowej czyli Altajskiej Syberyi. Byli to pierwsiastkowo Samojedzi (tak podobno od suowac bago nazwani), ale język ojczysty przez wpływ tureckiego zaginął; i teraz mówią po turecku czyli tatarsku, lecz bardzo zepsutym dyalektem.

13. Jakuty zowią się sami Socholar, żyją odrębnie od innych Turków i Tatarów w Syberyi około Jakutska, i ztąd na północ około rzeki Leny. Znakomitszemi od nich na PdZ. są:

14. Kirgizy zajmujący ogromną krainę od rzeki Ural, aż do gór Altajskich, i od Omska i wyższego Irtyżu, aż do jeziora Aralskiego i gór Bolorskich; dzielą się na:

1) Burutow albo Kara-Kirgiz to jest czarnych Kirgizów (kir-gaz znaczy namiot), zajmujących wschodnio i południowo-wschodnią część kraju od wyższego Irtyżu do gór Bolor. Należą częścią do Rossyi, częścią do Chin, i hana Usbeków w Kokand.

2.) Kirgizy albo Kirgiz-Kajsaki: są to liczniejsi od Burutow Kirgizy zachodni. Dzielą się na trzy hordy (dziusy): małą, średnią (urtadius) sięgającą aż do Aksa-gul (Aksakul) od Aral na PnW. i wielką, która leży w stronie wschodniej i zowie się też Koerger albo Brut Erdene. Uznają zwierzchnictwo i doznają opieki państwa rosyjskiego.

15. Kara-kałpaki (po polsku czarne czapki) żyją nad jeziorem Aral, (na PdW.) i w niższych stronach rzeki Syr (Syr-Darja) i Kuwan. Niektórzy z nich zostają pod rosyjską opieką; inni poddani hanowi Usbeków w Chiwie żyją w wielkim ucisku.

16. Osmani, których my pospolicie i prawie wyłącznie Turkami zowiemy, stali się panami cesarstwa wschodniego (greckiego, Bizantyńskiego) Tureckim od nich nazwanego. Ich ogromne posiadłości rozciągają się po Europie, Azji, i Afryce. Lecz w Europie tworzą Osmani tylko oderwane po miastach grupy, z których największe w Carogrodzie (Stambuł, Konstantynopol). Są to urzędnicy, kupcy i rzemieślnicy. Głównem siedliskiem Osmanów (po naszym Turków) jest Azya mniejsza (Anatolia, Natolia) gdzie się i rolnictwem zajmują. Na wschód sięgają aż do Armenii: na południe aż do rzeki Eufratu i Tygru i granic Syryi. W Afrykańskich posiadłościach ich państwa mała jest ich liczba. Po większej części są to tylko urzędnicy. Ktoby chciał poznać obyczaje i zwyczaje Turków osmańskich, czyli drugą część etnografii narodów, niechaj czyta dzieło Berghausa: die Völker des Erdballs, 2 tomy w Lipsku 1845-47 8 maj. Z dawniejszych czasów dzieło Happe l a: Raritäten Schatz-Kammer, fol. z drzewo-rytami, wiele ciekawych szczegółów o Turkach obejmuje. W dziele tem znajduje się i Al-Koran pierwszy raz na język niemiecki przełożony.

Na tem kończy się o Turkach wiadomość Berghausa w jego Grundlinien der Ethnographie. Lecz w atlasie fizycznym części etnograficznej tom 2 str. 228, czytamy nadto między innymi o Turkach co następuje: „Ruski orientalista Berezin, który przez trzy lata (1842-1845) kraje wschodnie pod względem języków objeżdżał, dzieli język turecki na 3 główne dyalektów klasy: 1) na wschodnią w Dżagataj (Turkestan czyli Tartarya wolna), 2) na północną, którą Tatarską zowie i 3) na zachodnią czyli właściwie turecką. Pierwsza składa się z 6, druga z 8, trzecia z 5, wszystkie więc trzy z 19, a z jakulskim, które go p. Berezin nie

obejmuje, z 20 dyalektów. Do klasy 2 tatarskiej liczy Berezin, Kirgizów, Baszkirów, Nogajców, Kumyków, Karaczajów (Bassyanów Basten), Karakalpaków, Meszcheraków i Syberyjskich Tatarów. Najuboższym jest język ujgurski, najbogatszym osmański (ottomański czyli turecki) (5).

Dla tych, którzy są ciekawi jak brzmi język turecki, kładziemy tu Modlitwę Pańską w 7 jego dyalektach, ortografią polską.

I. Po turecku (osmańsku, ob. wyżej 16) z dzieła Henselii *Synopsis Philologiae*. 1754, p. 373:

Bizumatamuz ki gluglerde-sin: 1) Senun adun mukades olsun. 2) Senun melkutun gelsun. 3) Senun iradetun olsun, nitegim gugde dahi jerte. 4) Hergungi bizum et megemuzi ver bize bug jun. 5) Va bizum burgslerumi bize bagiszle nitegim bizdahi bizum burgslulerumuze bagiszlerus. 6) Va bizi tagskribe adchaletma. 7) Lekin szerinden bizinc gsaiteile.

II. Po tatarsku jak mówią w Syberji (ob. nr. 10) podług Szniclera statystyki Rossyi: *Essai* i t. d. Petersburg. 1829. 12mo, p. 427. (Z tegoż dzieła wypisałem i proby następne).

Ja ata-muz ki kiokda sen. 1) Adin senun ari olsun. 2) Padisza linin senun kelsun. 3) Boiruklerin senun olson kiokda kibi dahi jirda. 4) Hergiuongi ekmeki musi vir bise bu giun. 5) Va burgileri musi bise bagiszla niczaki biz dahi burgi lureri musi bagiszleris. 6) Va bizi sinisza giturma. 7) Lakine jaramazdane bisi sali vir.

III. W języku Tatarów kazańskich i permskich (ob. nr. 8 i 9). Busume ata, kaj sui'kuklerdeki sen: 1) Rehen lonsun senun isumun. 2) Kełsun senun szalugun. 3) Olsun ichtyar sentkii kukdai uvi erdai. 4) Besum harkungii nefakamesni bergiul bisèe. 5) Bujavmude gam besium guna laremesni nia czukdur uvai bes kuczemus besum megju blen muszle remesni. 6) Gujam dżesub itmegul itvaga. 7) Emma kutkar besni iblisdin.

(5) Nasz uczonec Franc. Meniński, ten sam co Grammatykę polską napisał, wydał także Grammatykę turecką i Słownik turecko polski, z przydaniem kilku innych języków wschodnich i zachodnich p. t. *Thesaurus linguarum Orientalium*. Viennae Austr. 1680 fol. 3040 str. Dzieła je na 2 lub 4 tomy. Jest teraz bardzo rzadkie i kosztuje od 100 do 150 dukatów. Do tego dzieła jest tegoż autora *Complementum thesauri Ling. Orient. sive Onomasti-con*. Viennae 1687. fol.

Przedruk słownika Menińskiego wyszedł w Wiedniu 1780—1801. w 4 tom. fol. (cena 150 reń sr.) ale nie ma w nim polszczyzny. Grammatyka przedrukowana także p. t. *Institutiones Linguae Turcicae*, naprzód w Wiedniu 1756 II tomu 4to, a potem w Lipsku 1756 fol. Po rusku wydał Grammatykę turecką Reinch. Gablic 1777 w Moskwie in 8-vo Tatarskiego zaś języka Grammatyki, po rusku znanemi są 2. 1) Józefa Giganowa. Petersburg. 1801. 4-to. 2) Aleks. Trojańskiego w Kazanie 1824. 4-to Józef Giganów napisał także Słownik Rossyjsko-Tatarski w Petersburg. 1804. 4-to. Statystyczne podania o tatarskim szczepie i różnych narodach tatarskich (27) zostających pod panow. Ross. znajdziesz w dziele Tad. Bułgarina p. t. *Rossya*. Petersburg. 1837, tom I. str. 301. O literaturze tureckiej ob. Ludw. Wachlera: *Handbuch der Geschichte der Litteratur*, Leipz. 1833. tom III. str. 505.

IV. W języku Tatarów nogajskich na Kaukazie (ob. nr. 4). Ata mes, olan koklerde: 1) Adenumokades olsun. 2) Mameketen itesze sun. 3) Mraden erdu olsun kbi oldugi kokdu. 4) Va ver bisu bukun etmre erkumgi gemsi. 5) Bagiszla bisu mesi boriczlar, dachi bis bageszladugamis misa boriczlalar. 6) Va kulurma bisu snamaga. 7) Amma kurtar bisu jaramasane.

V. W dyalekcie Tatarów krymskich (ob. nr. 4). Bsim peredimis kioklerde: 1) Sanin olan emin mukades smin. 2) melk jotlugun gelsin. 3) kiklorde emin netarsi issu olszekilerde. 4) Omin kiudelak asigumusu vir bisu bukiun. 5. Ve borezlarimis of eglu ve borezlarimisi bis bachi of iderus. 6) Kasa kama suna virmu. 7) Ol maletbe kurtar.

VI. Po baszkirsku (ob. nr. 6). Atabus bsnum sire bardur goklerde: 1) Jaliurar senin atun gam gelur padza lukin senin. 3) Va bulur iriklikine sinin, bessalen guklerda va dzirlerde. 4) Ikmek bisniki nabaka birgendiur bisga asir 5). Va gagul banlerda bireczaklermusi amma bidai dazedalmis bireczak kimsemermisa. 6. Va ziteklemma bisni basbassaga. 7) Amma guchar szaitandane.

VII. Po kirgizku (ob. nr. 14). Atabas besuin, itor barde asmanda: 1) igurtur aton sunun. 2) Kiliril uczmachtna sunun. 3) Bular irsze sunin, kam asmane-ustunde gir-ustunde. 4) Bérir sin bisza kunlada. 5) Kaldorgun bisza usok bisga art kambuma anakamtrabeż burela besnin kildiurmagin. 6) Besne kaigoda saklagane besne altaisztan.

Porównanie.

Ojciec I atamuz, II ata, III *id.*, IV *id.*, V peredimis, VI atabus, VII atabos.

nasz I bizum, II mus, III buzum, IV mes, V bsim, VI bsnum, VII besnim,

który I ki, II *id.*, III kaj suj, IV zamiast któryś jest stoi będący olan, V—VI sire, VII itor.

jestes I sin, II sén, III *id.*, IV ob. który V—VI bardur, VII barde. w niebiesiach I guglerde, II kiokda, III kuklerde, IV koklerde, V kioklerde, VI goklerde, VII asmanda.

święc się I mukades olsun (t. j. święte bądź), II ari olsun, III rehen lonsun, IV jak I, V mukades olan, VI jalturar, VII igurtur. imię I adun, II adyn, III isumun (z arab.), IV aden, V emin (z arab.), VI atun, VII aton.

twoje I senun, II *id.*, III *id.*, IV en połączone z aden (imię), V sanin, VI senin, VII sunun.

przyjdź I gelsun, II kelsun, III *id.*, IV etiszesun (fr. fais le venir), V gelsin, VI gam gelur (fr. fais venir), VII kiliril.

królestwo I melkutun, II padisza ligin (z pers.), III szah lugun (z pers.), IV mam leketen (z arab.), V melk (z arab. cf. hebr. melech, król) VI lukin (z pers.), VII uczmachtna.

- twoje ob. wyżej I senun, II *id.*, III *id.*, IV ten połączone z mamle-
ke (królestwo) V? VI senin, VII sunun.
- hądź I olsun (fr. se fasse=niech się stanie, II *id.*, III *id.*, IV *id.*
V? VI bulur, VII bular.
- wola I iradetun? II bairuklerin, III ichtyar (z arab.), IV mraden
(z arab.), V? VI iriklikin, VII irsze.
- twoja I senum, II id, III seniki, IV en połączone z mradem
(wola) V? VI sinin, VII sunin.
- jako I nitegim, II kibi, III, IV, V? VI bessalen, VII kam, (cf. fr.
comme).
- w niebie (ob. wyżej w niebiesiech). I gugde, II kiokda, III
kukde, IV kokdu, V kioklerde, VI gnklerda, VII asmane-
ustunde.
- tak i I dach i II id, III uvni, IV kbi, V ?, VI va-dzir, VII kam,
(ob. wyżej jako).
- na ziemi I jerde (cf niem. Erde), II jirda, III erde, IV erdu, V ler-
de, VI lorda, VII gir-ustunde (ustunde znaczy pol. na).
- chleba I etmege, II ekmeki, III nefakamesni (żywność) IV gemsj,
V asigumusu, VI ikmek, VII sine (pożywienie).
- naszego I muzi, II musi, III besum, IV etme, V ominenam (ob.
niżej), VI bismiki, biszu, pol. wam ob. niżej.
- powszedniego I hergungi (codzienny), II hergiunagi, III harkungi
(z arab.), IV erkungi, V kiudelak, VI nabaka (potrzebny)
z arb. VII...
- daj I ver, II vir, III bergiul, IV ver, V vir, VI birgendiur, VII ber.r.
nam I bize, II bise, III bisée, IV bisu, V bisu, VI bisga, VII bisza.
dzisiaj I bug-jun (fr. ce jour), II bugiun, III, IV bukun, V bukiun,
VI asir, VII kunljada, pol. codziennie cf. pol. kołęda.
- i I va, cf. pol. a. II id, III ?, IV, V ave, VI va VII
- odpuść I bagiszle, II bagiszla, III bujavmude? IV bagiszla, V bo-
riszlarimis? VI banlerda, VII koldorgun.
- nam ob. wyżej, I bise, II *id.*, III gam? IV bisu, V ve? VI? VII bisza.
- nasze I bisum, II musi, III besium, IV mesi, V bisu, VI musi, VII
bisga.
- winy I burgslerumi, II burgileri, III? IV boriczlar, V borezlarimis,
VI bireczlakler, VII usok (urazy).
- jako ob. wyżej I nitegim, II niczaki, III uve, IV dakhi, V? VI
amma, VII
- i my I biz dahi (my także), II id, III uvebes (jak my), IV dahibis,
(jak my), V bis bahi, VI, bide (my) VII?
- odpuszczamy, I bagiszlerus, II bagiszleris, III? IV bageszladuga-
nismis, V borezlarimis, VI dażedalmis, VII kildiurmagin.
- naszym, I bizum, II musi, III besum, IV misa, V bis bachi? VI
kimsemermisa, VII besnin.
- winowajcom, I burgslulerumuze, II burgiluleri, III? IV boriczular,
V borezlarimis, VI bireczak, VII burisla.
- i, I va, II id, III? IV va, V? VI va, VII—

n'e wódz, I adżaletma, II giturma, III? IV kelurmu V? VI zite-
 klema, VII?
 nas, I bisi, II i d, III? IV bisu V? bismi, VI bismi, VII besne.
 na pokuszenie, I tagskribe, II sinisza, III igvaga (z arb.) IV snamaga,
 V? VI bas bassaga, VII kaigoda?
 ale, I lekin, cf pol. lecz, II lakim, III emma (cf franc. mais, ital. ma)
 IV amma, V ol cf pol. ale, VI amma VII?
 zbaw nas, I gsaiteile bisine? II salavir bisi, III kutkar besni, IV kur-
 tar bisu, V kurtar, VI gukkar, VII suklagane besne.
 ode złego, I szerirden, II jaramazdane, III iblisdin, (od biësa), IV
 jaramazdane, V maledbe, VI szajtandane, od szatana, VII al-
 tajsztane.

Dla lepszego pojęcia rzeczy, mianowicie jakie miejsce zajmu-
 ją Turcy pomiędzy innymi narodami, załączamy tu nadto nazwiska
 pokoleń i niektórych szczepów i narodów bliżej nas olchodzących,
 plemienia mongolskiego.

Do plemienia żółtych czyli mongolskiego liczy Berghaus 20
 pokoleń: 1) Właściwych Mongolów, których szczepy: Mongoły,
 Buryaty i Kalmuki (sami zowiący się Olöt); ci ostatni żyją w ste-
 pach gub. astrachańskiej. 2) Chińczycy przez Roszjan Kitajcami
 zwani. 3) Tybetanie. 4) mieszkańcy Korei. 5) Japońcy. 6) Annam.
 7) Siam. 8) Marama. 9) Mon. (Moan, Man). 10) Komen. (Kam-
 bodżanie. 11) Indochiny. 12) Zaindyjcy (Hinterindier). 13) Tun-
 guzy. 14) Samojedy. 15) Jenisejcy.

16) Finny. Wyraz ten zdaje się tyle znaczyć co Chinny czyli
 Chinczycy, co tegoż samego są plemienia. Roszjanie zowią Fin-
 now Czuchoncami; historia zowie ich Czudami i sądzi, że to jest
 to samo co Scytowie. Tego pokolenia szczepy są:

1. Jötuny, czyli Czuchoncy (Finnowie) zachodni nad morzem
 Bałtyckim żyjący. Tego szczepu narody są: 1) Liwońcy (liw, zn.
 piasek). 2) Estońcy (Someles set, Eesti-ma-mes) dwu dyalektów
 estońskiego i dorpatskiego. Żyją w Estonii i północnych Inflantach
 (Liwonia). 3) Iżorny albo Ingercy od Ingryi czyli Ingermanlandyi
 tak nazwani. 4) Finlandcy (Suomalaj set po est. Somelanne w W.
 księstwie finlandzkim dwu dyalektów: Tawassy (Hamälaj-set,
 i Kwány albo Kajany (Kajnulaj-set). 5) Karelcy (Karjalaj-set). Lecz
 sami zowią się S o m a e m e - j e s. 6) Lapońcy (Samelajteh) inaczéj
 Lapalaj-set, co znaczy Kraincy, na krajnicy (granicy) żyjący.

2. Drugim szczepem pokolenia Czuchonców są Wołżscy albo
 Bułgarscy Finnowie. Są to szczątki dawnéj ludności wielkiéj Buł-
 garyi nad Wołgą i niższą Kamą. Przoćkowie ich przybywszy na
 prawy brzeg niższego Dunaju nadali swoje nazwisko żyjącym tam
 Słowianom, lecz sobie przyswoili język słowiański, wpływawszy
 dosyć znacznie na jego zmianę. Zowie się teraz bułgarskim, lecz
 należy do dyalektów słowiańskich (6).

(6) Dyalekty słowiańskie (plemienia białego, kaukazkiego, pokole-
 nia indyjskiego ob. wyżej) są następujące: 1) Wielkorosyjski przez

Finnowie bułgarscy nad Wolgą żyjący w gub. niżenowogrodzkiej, kazańskiej, simbirskiej i penzańskiej aż do Saratowa i Penzy dzielą się na Cz u w a s z ó w, Czeremisów (Mari) Mordwinów i Teptjarów z Turkami czyli Tatarami pomieszanych.

3. Szczep Permiaków, dzieli się na Wotjaków (Ud-murd) między Wiatką i Kamą żyjących: na Zyrjan (Komi-Murd) i właściwych Permiaków (Komi-Ulir). Szczep ten w ogóle zowie się Suda albo Sudani.

4. Szczep Finnów Ugorskich dzieli się 1) na Wogulów (Wogulicy), Mansi albo Mansi-kum zowiących się, 2) na Ostyaków Obskich nad rzeką Ob, sami zowią się Ass-jach, a Zyrjanie zowią ich Jögra-jas.

Trzecim narodem tego szczepu są Madziary w Węgrzech po niem. Ungern (Ungaren) po słow. Uhry, po pol. także Węgrami zwani.

Język węgierski czyli madziarski najwięcej do ostyackiego przybliżony. Niedawno czytaliśmy w Dzienniku Warsz. artykuł o Literaturze madziarskiej. Lecz wróćmy się do reszty pokoleń żółtych.

17) Siedmnastym pokoleniem żółtych są Kurylcy (Aino)
18) Kamezadale na półwyspie Kamezate. Sami zowią się Italman, co jakoś na Italię i Italców (Italian) zakrawa. 19) Jukagiry. Sami zowią się Ard o e Domni: podobna nazwa do łacińskiego Ardu i Domini. Żyją w Syberji nad rzeką Indigirką i mówią już teraz

Rossyan ruskim zwany. 2) Małorossyjski nie tylko w południowej Rosyji, lecz i w Galicyi wschodniej i Węgrzech wschodnich. 3) Bułgarski w Bułgarii, Tracyi, Macedonii i Bessarabii. 4) Serbski w Serbii, Bośni Zachłumie (Hercegowinie) w Cernogórze, Dalmacyi Sławonii, w południowych Węgrzech i pograniczu wojskowem (Militärgränze) cesarstwa austriackiego. 5) Horwacki (kroacki) w królestwie Kroackiem którego stolicą Zagreb (Agram) i Węgrzech zachodnich około Soprona (Oedenburg) i jeziora Pleso (Lacus Peisonis, po niem. Nausiedler t. j. Nowosielskie, po węg. Fertő) z tąd u Niemców zowią się Wasserkroaten t. j. Wodni Horwaci. 6) Kraiński Słowiańskim pospolicie zwany w królestwie illiryskim (t. j. w Krainie i Karyntyi) w południowej Styryi i Węgrzech zachodnich na pograniczu Styryi. 7) Słowiański w północnych Węgrzech, Słowackim pospolicie zwany. 8) Czeski w Czechach, Morawii, Śląsku Austriackim i miejscami w Węgrzech północnych. 9) Górnołużycki (Oberlausitzisch Wendisch) pospolicie serbskim zwany, w królestwie Saskiem około Budziszyna (Bautzen) i w części górnych Łużyce pruskiej do Śląska przyłączonych, gdzie miasta Wojerecy (Hoyerswerda) i Mużaków (Muskau). 10) Dolnołużycki (Niederlausitzisch wendisch) w Łużycach dolnych około Chociborza (Cottbus) należących teraz do Pruskiego Braniborska (Brandenburg) rejencyi frankfurtskiej. 11) Polski w królestwie Polskiem w W. księstwie Poznańskiem, w Śląsku górnym w Prusach zachodnich i wschodnich (w części południowej), w Galicyi Zachodniej, w Węgrzech na pograniczu północnem i miejscami w Galicyi Wschodniej i Zachodnich gubernijach rosyjskich. 12) Nareszcie dyalekt starosłowiański, cerkiewny albo kościelny, w nabożeństwie prawosławnem u Rossyan, Rusinów, tudzież u Bułgarów i Serbów, i w katolickim kościele u Dalmatów szczepu słowiańskiego używany.

prawie wszyscy po rusku. 20) Korjaki. Do nich należą Czukcze, co sami zowią się Tajnami (Taina) i Olutory (Kongichwalo) nad rzeką tegoż imienia w północno-wschodniej Syberyi.

Pisałem w Warszawie w końcu października 1853 r.

Andrzej Kucharski.

Gawęda o rzeczach muzycznych.

(Dokończenie).

Nie ja jeden zapewne z ciekawością biegłem na owo w teatrze warszawskim przedstawienie Normy, w którym pani Lagrange w głównej roli wystąpić miała. Niecierpliwym byłem dowiedzieć się, jak też w roli tragicznej, w operze serio, wydadzą się wielkie zdolności i wyjątkowe usposobienie téj śpiewaczki; chciałem sobie dopełnić pojęcia o niej. Z rozgłosu po mieście wiedziałem, że nie wszyscy bezwarunkowo zachwyceni byli Adiną w Napoju Miłosnym, słyszałem nawet zdania tak nisko ją stawiające, że im się równie dziwić musiałem jak i zapałowi, którego byłem świadkiem na samém przedstawieniu. Objawy te zdań tak krańcowych nie wyływały widocznie ze znajomości rzeczy, a przynajmniej nie obadwa, a jak mi się zdawało, żadne. Dać się otumanic kilku figlom, nie odgadnąć zasługi pod nimi ukrytej, równym podług mnie jest grzechem, którego się wszędzie ogół publiczności dopuszcza. Dlatego też najmniej mnie dobiegło zdań środek trzymających między dwiema ostatecznościami, zdań chłodnych, umiarkowanych i dlatego sprawiedliwych; zdań opartych na rozumowaniu, wynikających ze systematycznego na całą sztukę poglądu, jak zdanie owego jegomości w pierwszej połowie niniejszej gawędy opowiedziane. Zdanie to może nie najtrafniejsze, bo nieskończone i nieostateczne jeszcze, ale pewnie nie z uprzedzenia, nie z koteryjności wynikające. Człowiek ten jednym więcej był powodem, że właśnie na pierwszym przez panią Lagrange przedstawieniu Normy być pragnąłem. Zimna jego krew, powściągliwe, a jednak śmiałe wyrazy, znajomość techniki muzycznej dosyć rozległa jak się zdawało, znajomość płodów sztuki nie z nazwiska tylko; chwalebne odnośzenie wszystkiego niemal co mówił do nas: to wszystko mocno mnie zainteresowało i tak dalece, że ciągle o nim myślałem i różne sobie układałem względem niego projekta. Do ich spełnienia pomódz mi miała jego łatwość w zawieraniu znajomości i gadatliwość; obiecywałem sobie wyciągnąć go na słówko o tém i owém, postanowiłem go naciskać, rodrażniać nawet zaprzeczeniem: bom mniemałem, że szczęśliwie znalazł obfitą kopalnię artykułów muzycznych, którą tylko zręcznie trzeba było umieć prowadzić.

Gdym przybył na umówioną godzinę i w to samo miejsce, gdzieśmy opery Donizettego słuchali, znalazłem już młodszego z owych dwóch panów na stanowisku przestronném jeszcze, ale zagrożoném liczbą przybywających ciągle. Zasiadliśmy miejsca tyle, by go dla trzech starczyło i odpierali z jaki kwadrans natarczywość mężczyzn, i tęskne kobiet wejrzenie. Aż nakoniec przybył jakiś jegomość bywalec jak widać, twierdząc, że daremnie zatrzymujemy miejsce dla kogoś, bo on przyjsć nie może, i jego z tém doniesieniem umyślnie wysłał, nie chcąc nam robić zawodu.

— Zmieniłem zamiar i przyszedłem—odezwał się jakiś głos z boku.

— Aha! liczyliśmy na to i dzielnieśmy się trzymali. Ten pan.. ale on się rozśmiał i poszedł.

— Dziękuję panom i przepraszam, żem się opóźnił—rzekł sadowiąc się między nami—przykroby mi było nie być razem z panami. Bo ja oprócz gawędki chcę tu jeszcze interes jeden ubić i to z panem—rzekł do mnie.

— Ze mną?—zapytałem zdziwiony—ja się interesami nie trudnię.

— Ale mi pan pośrednikiem być możesz i to w interesie wcale łatwym. Oto chciałbym pan z bratem swoim zapoznać. Widzę już z pańskiej twarzy, że go tu nie ma, to przynajmniej powiedz mi pan jak się nazywa? Może ja go i znam?

Tak z nienacka zagadnięty i nieprzygotowany na odpowiedź, bom nawet zapomniał o tém, żem się za brata jakiegoś muzyka podał. rzekłem na los szczęścia:—Boćkowski, do usług pana Dobrodzieja.

— To chyba nie w Warszawie mieszka, bobym go znał choć z nazwiska jeśli nie z osoby; znam prawie wszystkich muzyków tu-tejszych.

— Może znakomitszych; ale mój brat Jacek Boćkowski mierzny i cichy sobie człowiek; daje lekcye na fortepianie i basta.

— Co u licha! że też tu z panem nie jest?

— Słaby trochę i nie wychodzi; ale odżałować nie mógł, bo i on ciekawy poznać panią Lagrange, której dotąd nie słyszał. Jak też pan Dobr. myśli, czém się nam ona w Normie zdawać będzie? rzekłem dalej chcąc gwałtem go odwieść od mego brata.

— To zobaczymy niedługo; na co nam ryby łowić przed siecią? Ale wracając do pańskiego brata, tak ma uderzające nazwisko, że gdybym je raz tylko posłyszał, to byłbym go nie zapomniał. Gdyby to nie było niedelikatnie, tobym rad wiedział z których stron panowie jesteście i czy pański brat dawno w Warszawie mieszka.

— Ja i mój brat rodziliśmy się w Warszawie i ciągle tu mieszkamy, ale familia nasza pochodzi z Litwy i jak mówią od boćwiny nazwisko swoje bierze. Boćwiną też nazywali uczniowie u Oo. Jezuitów w Pułtusk jednego z mych przodków, który był kalafaktorem. Widać, że się tego sprawiał, jak utrzymywał nieboszczyk mój dziadek, imusiał być słynny na całą Polskę, gdy od jego nazwi-

ska oręż kalafaktora Boćkowskim przezwano. Wspomniony dziad mój zwykł był dodawać, że umiano ocenić zasługi owego przodka naszego, bo mu na jakimś sejmie nadano herb, którym się dotąd szczyć: jestto ptak na wysokich nogach i z długą szyją, a w dziób e żabę trzyma; jedném słowem jestto bocian, który, jak wiadomo, świat czyści. Boćkowski także to samo czyni, i zapewne to podobieństwo było powodem do nadania memu przodkowi takiego herbu.

— Dziękuję panu; ja jestem Bartłomiej Pokrzywiński a właściwie Pokrzywa, syn chłopca z pod Tarczyna—rzekł starszy jegomość. Rodzina moja tyle się pewnie wslawiła, co każda inna rodzina wieśniacza: pracując, modląc się, a na pociechę wygrywając sobie na fujarce jak i dotąd jeszcze moi bracia grywają. Ztąd to podobno moje zamiłowanie do muzyki, od której nas licho jakieś odprowadziło. Chociaż to z chłopem, nie odmówi może brat pański znajomości ze mną.

— Szczyć się nią będzie panie Dobr., ale nie wiem, jak do tego przyjdzie, bo to taki dziki człowiek, że szukać drugiego. Nikomu się nie udziela; koncert, teatr, to jego wizyty; lekcye wiele zabierają mu czasu, a resztę różne szpargały w których ustawicznie grzebie. Towarzystw nie lubi, bo utrzymuje, że one czas kradną, a nadziewają nudami albo co gorzej, goryczą napawają.

— To zależy od towarzystw jakie się wybiera—rzekł młodszy; —ale czyż brat pański nie żyje z artystami swemi braćmi w sztuce?

— Nie panie, a przynajmniej tak mało, że tego nie ma za co liczyć. Probowaliśmy dawniej, ale mu nieszczęśliwie poszło, a teraz utrzymuje, że gonił za wiatrem. On pragnął, jak mówił, od pojedynczych ludzi dowiedzieć się ich pojęć, by swoje rozszerzyć, nauczyć się szczegółów im lepiej znanych, rozgrzać się przy ich ogniu gdy stygnął, może którego także podnieść jeśli by upadał; jedném słowem żyć całkowicie tém co po kochał, co mu chleb daje, a co takie niewyczerpane. Ale jak mówił, zawiódł się najokropniej; zamiast pojęć znalazł ciemnotę, zamiast szczegółów nieokrzeseane ogólniki albo drwinkowanie, zamiast ognia dla sztuki znalazł inny sztuczniejszy, a gdy chciał jako człowiek i kolega podnieść którego, to mu wyrzucano, że razem z nimi nie upada. Więc wyrzekł się stosunków z ludźmi, a jał przeglądać dzieła, których muzyka na wszystkie strony mnóstwo znakomitych posiada; biorąc to, co najlepszego znaleźć może buduje się wielkością nauzyków, gdy żyjąc z temi, których ma wokoło siebie, nie może wybierać, a nie chce przyjąć co jest. Dziwak, jak panowie widzicie, zawsze się też z nim o to kłóć; kiedy inni mogą żyć z sobą, czemużby on nie mógł żyć z niemi?

— To znów zależy od tego, jak kto rozumie to wyrażenie: żyć z kim. Brat pański powiedział czemu nie może, a żyć jakby można, nie chce. Zdaje mi się, że rozumiem jego położenie; i pan także, tylko w bawelnę owijasz. Zapewne nie ma co pokazywać, bo trzeba panu wiedzieć, że ja znam to wszystko, ponieważ jak pa-

nu mówiłem, znam wszystkich niemal muzyków w Warszawie, tych szczególnie, co nie od wczoraj w niej żyją, co nie od onegdaj muzyką się zajmują. I wiem to także dobrze, że i oni z sobą nie żyją, tak jak się to zwykle rozumieć. Gdzie nie ma powodów do częstego widywania się, to się znają z ulicy lub z księgarni, rzadziej z salonu towarzyskiego. A gdzie jest sposobność, konieczność nawet wspólnego działania, tam stosunki że częstsze, nie są dlatego już samego serdeczniejsze, ani miłsze, ani gładsze.

— No, choćby i tak było—wtrącił młodszy—to przecież ja zawsze przy tém obstaję, że bez towarzystwa żyć niepodobna. Przyznam się panom, że jabym się urwał, gdyby mnie kto w domu chciał przywiązać, wieczór szczególnie; i nie rozumiem jeszcze, jak może pan Jacek...

— Ja panu to zaraz objaśnię—rzekł starszy.—Kto jest prawdziwym artystą, ten nie rad nim być przestaje. Zamiłowanie sztuki, jój rozważanie, karmienie się jój płodami podniosłemi, samo już przypuszczać każe w człowieku usposobienie poważne i szlachetne, które się jeszcze ciągle umacnia. Można upaść na chwilę, bo to rzecz ludzka, ale każdy taki upadek ranę w duszy artystycznej po sobie zostawia, i powtarzać się często nie może bez jój skalaniania, bez zguby szlachetnych myśli, bez całkowitego obłąkania duszy, choć nie zmysłów. Różne są stopnie upadku: czas marnie spędzony na czczém zajęciu, jakiemu najlepsze nawet towarzystwa hołdują, także do upadku się liczy; a czas dla artysty takiego jakim zwykle muzyk u nas bywa, droższy jest podobno niż dla wielu ludzi innego zawodu. Dzień oddaje pracy na chleb dla ciała, wieczór znów pracy na chleb dla duszy, której potrzeby także są niemiejsze. A rzadko, bardzo rzadko znajdzie się towarzystwo w którymby człowiek myślący do dzieciństw, do głupstw nawet zstąpić nie musiał, jeśli chce być dobrze widziany; rzadziej znajdzie się takie towarzystwo, któreby zastąpić zdołało artyście to, co przez kilka godzin samotnej myśli zyskać może. Jeśli jeszcze jakie szczególne usposobienie nim rządzi, jeśli pojęcie obowiązków powołania swego albo słodycz życia rodzinnego, poznana czczość gonitw ludzkich, gorycz doznanych zawodów, zamiłowanie pracy i t. d. zatrzymują go w domu: to któż mu się dziwić będzie, kto mu jego odosobnienie za złe weźmie?

— A jednak pan Dobrodziej przyznasz—odezwałem się—że nietylko u siebie człowiek myślący znaleźć może materyał do swoich myśli; i owszem jabym rozumiał, że powinien opuszczać od czasu do czasu domową skorupę, by nie zapomnieć jak świat żyje; wszakże onegdaj sam pan odmalowałeś życie jako niepojętego Sfinxa. A cóż wart artysta, który zetknięcia się z nim obawia i unika? Nie pójdzie ze światem, drobnemi jego sprawami pogardzając, wielkich potem z nich wypadków nie rozumieć, a trudno by w szczupłym kółku domowém spotkał odbicie się wszystkiego. A cóżto za artysta, który patrzy na życie ze stanowiska dawniej zajmowanego, dobrego kiedyś, ale dziś złe pokazującego rzeczy

i ludzi? A cóżto za artysta, który czując w sobie wyższość nad innymi, choćby ona nie była urojoną, mniema, że nic się od nich nie nauczy, że mu się godzi wiadomości i siły swoje zamknąć wyłącznie dla siebie i nie wpływać na innych? Gardzić ludźmi jest to niekiedy nie być ich godnym.

— Piękne to, ale tylko pozornie silne argumenta—rzekł pan Pokrzywa—które kilkoma wyrazami zwalić można, które już tём samém słabną, że się do nikogo zastosować nie dadzą. Nie ma bowiem człowieka, któryby całkiem z towarzystwem zerwał, ani najsurowszej reguły zakonnik, ani pustelnik w lasach żyjący; nie on do ludzi, to ludzie do niego przyjdą. Kto ludzi unika niekoniecznie już nimi gardzi, ale może gardzić ich sprawami drobnymi, którym się zatém już przypatrzył i z których żadnej dla siebie nie wycisnie nauki; ludzie się bowiem zmieniają nie ich sprawy. Wielkie wypadki człowiek z myślą zrozumieć, albo objaśnienie ich znajdzie w stosowniejszém miejscu niż salon najmodniejszy, bo tam właśnie o niczém ważném nie mówią. Co zaś do wpływania na innych swą myślą i światłem, na to jest wiele sposobów daleko skuteczniejszych, niż chętnie udzielanie się towarzystwu. Jakikolwiek jest obręb i natura działania człowieka, nie może się ono odbywać bez wpływu mniej więcej widocznego, choćby na pojedyncze indywidua; wpływ ten nawet tём skuteczniejszy niekiedy, że się na massy nie ogląda, albo je traktuje jak indywiduum, bo ono sobie wybiera co mu przystoi, a nie przywłaszcza sobie sił, które dla tysięcy użyteczne być mogą. Żeby zaś te siły tak przeważnie działać mogły, należy je skupić, uorganizować, czyli zostawać jak najczęściej z własną myślą już myślami innych podkarmioną, a nie rozsiewać ją okruszynami i bez ładu, na rolę najczęściej do przyjęcia ich nieprzygotowaną. Wystawmy sobie muzyka chętnie udzielającego się towarzystwu, czyli mówiący wyraźniej, bywającego w liczniejszych zgromadzeniach; jakaż tam jego rola jako artysty? I gospodarze i goście starają się z niego skorzystać, wziąć w rekwiżycją jego palce lub głowę, jeśli jedno lub drugie coś warto według ich pojęcia. Cóż zrobi pierwszemi?—pomoże zebrany ciężką chwilę nudów skrócić, albo im dostarczy sposobności do tём głośniejszego rozmawiania zupełnie o czém inném; cóż im zagra?—jak można najłżejsze pomysły, bo nieco tylko ważniejszych nie rozumieją, bo one nie są dla salonu. Jakaż ztąd korzyść dla zebranych?—wysilili się na kilka francuzkich wykryczników, na parę komplementów, a potem znów wracają do gawędki równie trywialnej jak dawniej, a biedny muzyk wyciśnięty jak cytryna w kąt poszedł. Szczęście jego jeśli ma głowę, a raczej nieszczęście, bo się znów do niej zabiorą, a to nudniejsze jeszcze niż granie i trudzące tём więcej, że go sobie przerzucają jak studenci piłkę. Dziś muzyka jest w modzie, więc i rozmowa o niej gęsta. I oto przyczepi się do biednego artysty jakiś dyllentant ciemny jak tabaka w rogu, i wdaje się w rozprawę; i żebyś mu się jak wąż wywijał, to on cię jak pijawka nie popuści aż cię zmęczy pytania-

mi, na które odpowiedzi nie jest zdolny zrozumieć, albo nawet wysłuchać jęj nie raczy. Ja nie jestem muzyk z zawodu; wiedzą tylko że muzykę lubię nadewszystko, i jak im się zdaje, znam się na niej. Więc mnie także jako fachowego człowieka traktują, mówię zatem z doświadczenia. Nie ma temu tygodnia, na jednym muzykalnym wieczorze taką np. miałem rozmowę:—Proszę pana, co to jest kompozycja?—Jestto obraz uczucia lub myśli przedstawiony tonami.—Ja wiem, ale chciałbym się dowiedzieć, jak się to robi?—Tak jak się pisze powiastkę, poemat i t. p. są myśli, więc się je notuje, potem poprawia, może przemienia, wykształca, słowem z kompozycją muzyczną dzieje się jak z każdą inną.—Ja wiem, ja to pojmuję, ale nie o to mi chodzi; chciałbym wiedzieć jak można powiedzieć tonami to, co chcę? Malarz naprzykład, mówić chce o koniu, to go narysuje, poeta napisze wyraz: koń, a muzyk co zrobi? chyba rzenie tonami naśladować będzie? ale kiedy koń nie rzy?—Takie jedno pytanie jasno już pokazuje z kim się ma do czynienia. Odpowiedzieć krótko niesposób, bo tam kwestyj kilka trzeba wyróżnić i każdą roztrząsać. Dodajmy do tego, że każda z tych kwestyj na mnóstwo innych naprowadza, które także trzeba by rozbić; to się pokaże, że dla odpowiedzi ile tyle objaśniającej owego biedaka, trzebaby mu cały kurs muzyki wyłożyć, poczynając od elementów i rudimentów; to nie sposób! Zechcesz się poświęcić, i treściwemi orzeczeniami szybko do końca się zbliżyć, to ci nie pozwoli, a tyle nawręca bredni napozór o estetykę i znawstwo portartych, tyle twemu rozumowaniu lub zdaniu stawi wpoprzek zdań i rozumowań wlot gdzieś tam schwyconych a potwornie wyglądających tam gdzie je przyczepia, mącących ci całe wysilenia logiki, że nie bardziej morduującego nad taką o muzyce gawędę. I mów mi pan teraz o udzielaniu swych wiadomości tym, którzy ich nie mają.

—Przyznam się panu Dobrodziejowi—odezwał się młodszy gdy pan Pokrzywa znużony długim bez oddechu prawie wywodem ustał na chwilę—żem chociaż amator, nigdy tak śmiesznego pytania artyście nie zadał. Kto gra trochę na fortepianie, ten rozumie jak się komponuje. Ileżto mamy takich? by nie daleko szukać, to panom wymienię moją siostrę, osobę areymuzykalną choć się już oddawna zaniedbała, bo to przy gospodarstwie, dzieciach, inaczej nie można. Ale jeszcze i dzisiaj umie sobie złożyć niejedno, i do tańca dzieciom grywa swoje tylko kompozycye. Ja sam jak czasem do fortepianu zasiądem, to mi się złoży parę nut, reszta się wypuka, bas się jako tako dobierze i coś się zrobi; tylko napisać nie umiem. Z moją siostrą to samo, choć to damy daleko muzykalniejsze od nas: widać z natury mają więcej daru, co już wielu autorów dowodziło. Powinienbyś się pan Dobr. raczej z damami w gawędę wdawać.

Spoglądając na mnie z pod oka, rzekł pan Pokrzywa:—„Zapewne, od nich czasem pięknych rzeczy nauczyć się można. Wystaw pan sobie—rzekł dalej już wprost do mnie—że jedna z pań

warszawskich chcąc u siebie wykonać nie pomnę już jaki chór na głosy, w kłopotcie z powodu małej liczby śpiewających których miała pod ręką, proponowała na seryo swemu mężowi, jako śpiewającemu czasem, by do sopranów należał i gniewała się naprawdę, gdy jej powiedział, że to być nie może, równie jak i ona tenorem śpiewać nie zdolna; „panowie najczęściej nie chcecie tego zrobić o co żona prosi; żebyś chociaż bym śpiewała tenorem tobym ci pokazała że można” I żadną miarą perswazyom jego uwierzyć nie chciała, aż ja mojem świadectwem go poparłem, które także z niedowierzaniem przyjęła...

Długośmy się jeszcze chęci do śmiechu opędzić nie mogli, aż ja widząc, że czas na niczém upływa, rzekłem: „Tamta pani musiała coś słyszeć o sopranach męzkich dawniej ulubionych, a może i o tym u nas jegomości, co to kiedyś ogłaszając koncert w Płocku, kazał wydrukować na afiszu: Falszywa Catalani, czyli ten i ten, będzie miał zaszczyt odśpiewać sopranem i t. d. Albo może pan pamięta koncert jakiejś damy, tu w Warszawie przed kilkoma laty, w którym odśpiewała arya tenorową do niskiego c idącą. Naśmieliśmy się z tego niepomału, bo głos gruby tak przypada do pojęć naszych o charakterze kobiety młodej zwłaszcza, jak wasy, któremi figlarna natura uposaża niektóre.

— W tym samym stosunku jest do mężczyzny głos kobiecy, a raczej naśladowany uroczy głos kobiet, rzekł pan Pokrzywa. Niektórzy dojrzali nawet mężczyźni z powodu różnic niewiadomych mi w ukształceniu narzędzi głosowych, a może większej ich wilgotności, zdolni są wydawać bardzo wysokie tony. Głos wtenczas inną ma barwę, niż sopran kobiecy i zwie się falszet, albo fistuła; kilka jego tonami posługują się zwykle tenorzyści, którzy już wyższe tony piersiowe stracili, albo ich już z łatwością wydawać nie mogą, a krzyczyć nie chcą. I dziś pan Ciaffei da go nam słyszeć. Rodzaj ten głosu używany z umiarkowaniem i zręcznością nie jest bez niejakiego uroku. z którego korzystają śpiewacy gór niektórych, naprzykład Tyrolczycy. Takie to głosy zastępowały prawdziwe sopranu w gronie śpiewaków papieżkich już w wieku XVI, a byli to po największej części Hiszpanie, i podobali się wówczas powszechnie. Służba muzyczna w kościołach włoskich najświetniejsza wówczas, nie mogła pod zarządem ściśle form pilnującego duchowieństwa wzywać do pomocy kobiet; a że muzyka polegająca głównie wówczas na śpiewie, prawie wyłącznie dla kościoła istniała: mało więc znano urok głosów kobiecych do śpiewu zastosowanych, i śpiewacy hiszpańscy podobać się mogli. Wkrótce jednak musieli ustąpić miejsca protegowanym przez Klemensa VIII sopranom męzkim innego rodzaju, dla których obszerniejsze popisu pole otworzyło się z powstaniem opery. Oddawano im role żeńskie i w kostium kobiecy przebierano. To zapewne było powodem choćby nie jedynym, że kobiety długo jako śpiewaczki sceniczne sławy szukać nie chciały, lubo przykłady przeciwne możnaby przytoczyć. Jakkolwiek śmieszne i niezgrabne być musiało takie

kobiet udawanie, śmieszniejsi podobno i nienaturalniejsi byli bohaterowie historii starożytnej, lub mitologii zwykle w operach ówczesnych przedstawiani, a śpiewający sopranem, lub altem. Niepodobna przypuszczać, by to nie raziło baczniejszych, ale wolano znieść nienaturalność zwyczajem uświęconą, niż pozbawić się rozkoszy słuchania cudownego śpiewu. Ten jeden szczegół dokładnie przedstawia wysokość estetyki, rzekłbym cywilizacji, oświecenia: śpiewaków tych nagradzano pieniędzmi i godnością nawet, ale w ogóle brzydzono się niemi. We Włoszech gdzie główna ich była fabryka, zwano takiego soprana *musicò*; ztąd ten wyraz poszedł w powszechną pogardę i do dziś dnia w niej zostaje, (bo tam podług wszelkiego prawdopodobieństwa i sam powód pogardy jeszcze istnieje, choć w kilku może tylko egzemplarzach). Nie wiedzący o tój wzgardzie wyrazu *Vogler*, znakomity muzyk niemiecki z drugiej połowy XVIII wieku, mocno się musiał zdziwić, gdy myśląc, że się dowcipnie przedstawi w pewnym towarzystwie włoskiem, wyrzekł naśladując *Correggia*: *anch'io son musicò!* i dziwne jakieś oburzenie na wszystkich twarzach wyczytał. Może to ztąd i u nas wyraz ten: *muzyk*, jeszcze nie jest zupełnie ularty, nie zdaje się przynajmniej dosyć szlachetnym. Uważałem bowiem, że ludzie, których zawód oznacza, z trudnością przepychają go przez gardło i daleko chętniej artystami muzycznymi się mianują, choć Bóg widzi, najczęściej niemi nie są.

— Ludzie zawsze radzi zwać się mianem, które ich więcej zaszczyca—rzekłem—a inni schlebiają tój słabości. Sekretarza zwań naczelnikiem, adjunkta komisarzem, kopiistę referentem i t. d., lubo żaden z nich sam się tak nazywać nie śmie. Że zaś muzycy nazywają się sami artystami, to może i dlatego, że to jakoś brzmienniej wygląda, pokrywa ich nicość, a może i od lekceważenia chroni. Bo, że ten wyraz: *muzyk* dla niejednego ucha nie brzmi dosyć wystawnie albo szlachetnie, wątpliwości nie ulega. Jednym z powodów może być i ten, który pan Dobrodziej podajesz. Bywały czasy, że u nas obyczaj włoski bardzo był w modzie, tём więcej co do muzyki i pojęć z nią związanych; bo pod tym względem Włochy całej Europie ton dawały. A że mamy żyłkę do naśladowania i wystawności, więc ledwie opera na południu się zjawiała, pokazała się i u nas niedługo; z operą i operzyści, a więc prawdopodobnie i soprany męzkie zwane *musicci*, choć o tём na pewno nie wiem. Wyraz ten daleko dawniej, bo kilkoma wiekami pierwój był u nas używany, ale w formie łacińskiej *musicus*; jednak nie zdaje się, by przeto wiele zaszczytniej stan przedstawiał. Dziwna rzecz! muzyka powszechnie była ulubioną, po szkołach nauczana, a jednak muzycy nieosobliwego używali poważania, przynajmniej nie więcej jak rzemieślnicy do któregokolwiek cechu zaliczani. Ale prawda! co to ma być dziwném, kiedy muzyka chociaż już oddawna po drodze przez artyzm wskazaną idąca, wlokła się po niej omackiem raczej niż z wiedzą o sobie biegła? Kiedy muzycy zwykle należeli do liczby dworzan pańskich, do liczby sług ko-

ścielnych i na jednej ławie z organistą siadali, razem z nim w dialogach wyśmiewani bywali. Alboż dzisiaj uznano już powszechnie muzykę jako sztukę? Toć nawet poważni autorowie, krytycy, estetycy, choć muzykę i muzyków szanują niby, nie nazwą pierwszszą sztuką, drugich artystami. Mógłbym podobno nie jednego przytoczyć i to z najpopularniejszych autorów; przynajmniej nie pamiętam by u niektórych ten wyraz: sztuka, odnosił się do czego innego jak do malarstwa, rytownictwa, snycerstwa, medalierstwa, budownictwa; by artystą był kto inny jak człowiek jedną ze sztuk wymienionych uprawiający. Że w tém nie ma pogardy, to rozumiem; ale, że to oznacza ich widzenie, pewny jestem. A przecież pisarze ci i sami muzycykalni bywają: często gęsto o muzyce pisują, lubo prawda, że tylko dorywczo i jakby od niechcenia. Wprawdzie używając tego wyrazu artysta dla muzyków, musieliby go zpowiniewać, uczyć nim i chórzystę, który już sam się nazywa artystą chóru, i grajka szynkownego, i organistę każdego. Ale któż uzna za niepodobieństwo, by chórzysta niekiedy nie mógł być artystą, tak dobrze, jak nim nie jeden organista bywa? Wiadomo i to, że wyraz użyty w pewnym zdarzeniu nie obowiązuje do używania go w każdym zdarzeniu do té samej kategorii należącym, bo się ma względ i na indywiduum. Co czynią piszący, to samo czyni rozprawiających mnóstwo. Cóż dopiero mówić o tej klasie ludzi niby wykształconych dlatego, że się ubierają modnie, umieją się ukłonić, albo należą do nazywających się szlachtą, lub obywatelami? Jak im się dziwić, gdy oni w muzyce rozkosz tylko zmysłową widząc pomiatają nią jak każdej podobnej rozkoszy narzędziem, gdy tylko mazur i to nie każdy jest im zrozumiałym? Jak im się dziwić, gdy ludzie istotnie naukowcy, ale w specjalność nauk ścisłych lub moralnych zbyt zapędzeni, nie mają estetycznego zmysłu do muzyki? Dla tych wszystkich muzykus, albo muzykant, jednym jest wyrazem na oznaczenie człowieka muzyce się oddającego, i uczy pojmować, co u nas mniemają o zawodzie i sztuce. Boże uchowaj bym obojgu większą nadawał ważność niż na nią zasługują. Ale mnie boli, gdy szlachetna, najdealniejszą ze sztuk pięknych świat tak mało rozumie, że kucharz, albo żokiej więcej nieraz jest poważany i ceniony, niż człowiek, który myślą za światy sięga, uczucia skarbnice ludziom roztwiera, nieba przychylić im gotów. Ale co tam! lepiej zostawić własnemu losowi nierozumiejących swego dobra.

Nie pamiętam, czy i co jeszcze w tym względzie mówiłem; zdawało mi się, że zimną krew zachowałem, bom przekonany, że nazwisko nie zmienia natury rzeczy, że ten wyraz: muzyk, choć nie polski, bardzo jest stosowny a ludzi których oznacza uszlachetnić go mogą, zrobić zaszczytnym; że pojęcia mass ciemnych więcej na litość niż na oburzenie zasługują. Ale być może, że się cokolwiek uniósł, bo pan Pokrzywa przemówił Wirgiliusza słowy:

— Tantaene animis coelestibus irae? A przypomnijno pan sobie, jakieś niedawno dowodził obowiązku wpływania na bliźnich!

Ale przysłowie polskie niedarmo mówi: uderz w stół, a nożyce się odezwą.

— Jak to pan Dobrodziej rozumiesz?—zapytałem pospiesznie i z przerażeniem, którym chciał ukryć—za kogo mnie pan bierzesz?

— Za człowieka, który gorąco mówi o rzeczach zbliżających się do obchodzących, gorąco broni zawodu swego brata—dodał z flegmą i dobrodusznym uśmiechem właściwym sobie. A gdy mu z niedowierzaniem patrzył w oczy, tak dalej ciągnął:

— Prawdą jest co pan mówiłeś; muzyka u nas bardzo mało jeszcze pojmowaną bywa, artyści mało mają znaczenia, a raczej nie mają położenia należnego sobie. Ale czy pan nie przyznasz, że temu nietylko społeczeństwo winno, ale więcej może okoliczności a nawet i muzycy sami?

— Jakto sami? —wtrącił trzeci nasz kolega — przecieżby oni radzi, by się muzyce jak najlepiej działo i im przy niej!

— Zapewne, że radziby byli, ale czy sobie dobrze radzą, rad-bym panom kilka słów o tém powiedział, ale widzę, że już zaczynają; odłożmy napotém.

I jak to było na Napoju Miłosnym, po wysłuchaniu uwertury o której pan Pokrzywa ledwie miał czas kilka słów rzucić, znaczących, że tam jest barwa ale rozkład niepocieszny i wyrobienie słabe, choć się w pozorną odziało siłę; z podniesieniem się zasłony i myśmy się podnieśli i nie usiedli aż po niespodziewanej przerwie aktu pierwszego. Wiadomo, że on się kończy dopiero ze sceną w której Norma obarcza Severa wyrzutami za zdradę i Adalgisa go odpycha jako świętokradzkiego przeniwiercę. Naturalny to dramatu podział; w tej pierwszej połowie ekspozycja dokonana została całkowicie, w drugiej połowie rozwinięcie treści i zakończenie. Podział na trzy akty szkodził tyle dramatowi, że akt pierwszy skończony na modlitwie Normy i wzywaniu nieprzytomnego kochanka, prawie żadnego z głównej figury nie ciągnie światła na dalszy ciąg dramatu, i bez interesu upływa, bez tego naprężenia ciekawości ze strony słuchaczy, które powodzenie dramatu wspiera i zadanie artystów wykonywających łatwiejszem czyni. Że jednak niezawodnie wszyscy na przedstawieniu pani Lagrange obecni. już operę tę nieraz słyszeli i treść jej doskonale znali, więc nie było na co nastawać.

Taka była treść krótkich spostrzeżeń pana Pokrzywy, z któremi się odezwał niepytany i natychmiast po spadnięciu zasłony. Widocznie był dziś więcej niż kiedykolwiek usposobiony do rozprawiania. By nie ustawał, rzekłem.

— Ciekawy jestem poco ta zmiana? Zdaje mi się że tak nigdy nie bywało?

— I ja nie pamiętam, by w Normie było kiedykolwiek więcej niż dwa akty; dlaczego zaś dzisiaj na trzy ją rozcięto powiedzieć nie umiem, ale wnoszę, że to zgodnie być musi z życzeniem pani Lagrange. Co pan chcesz by śpiewaczka myślała o dobru dramatu albo chęciach kompozytora? ona sama sobie

najeźściej jest celem, i tém więcej resztą pomiała, im za znakomitszą się uważa albo ją uważają. Pewnie pan wiesz jaktò niegdys żelazny Gluck zmuszał śpiewaków, aby mu tańczyli jak im zagra; bo sobie pozwalali już nadużyć, na których zniesienie tylko włoski kompozytor mógł się zgodzić. Ale nauka przezeń dana w las poszła; nie było po nim ludzi, którzyby z równą sprężystością praw swoich bronić umieli, albo śmieli ich bronić w obec wszechwładnej śpiewaczki, od której zależało i zależy jeszcze powodzenie ich pracy, jeśli nawet nie przyjęcie jęj do repertoaru teatralnego. Nie było po Glucku kompozytorów umięjących nagrodzić czém innym to, czego się wyrzec kazali; a wreszcie Gluck właśnie wówczas przestał pisać w rodzaju włoskim, i dla scen włoskich, co znaczy to samo, jak pozbyć się stosunków kapryśnych bardzo łatwych do zerwania wówczas, gdy są najpotrzebniejsze, uwolnić się od warunków, których rozległości nigdy stanowczo wyrozumieć nie można. Dramat francuzki, któremu się z miłością oddał, mniej zdolny był do odmian i przetwarzań; pierwsze dowcipy dbały niezmiernie o jego zacność i byłyby w proch obróciły każdego, ktoby się nań targnąć poważył, a do ich rzędu nie należał. Idąc za takimi przewodnikami niezalującemi pióra i języka gdy o scenę chodziło, publiczność nawykała do pojęć stosownych i samaby odtrąciła z pogardą każde widzimisie aktora czy śpiewaka. Od tego téż czasu datować można przybliżenie się opery do dramatu rzeczywistego, choć z tego przykładu skorzystali najwięcej Francuzi i Niemcy. Włosi bowiem zakochani w swoim Metastazym nie widzieli jego wad jako dramaturga, a cieszyli się jako poetą doskonałej od innych pod muzykę piszącym. To téż u nich dramat muzyczny zawsze jeszcze na obie nogi kuleje, gdy u innych na jedną tylko utoyka. Za tém idzie, że z opery włoskiej łatwiej kaprys zmian cheiwy zadowolnionym być może, niż z innęj, bo w nięj zmiany inprovizowane nowe dodając szczyrby do licznych stalych, najczęścićj dotykają to, co dotkniętém być może, musi nawet, jak to spodziewam się w dalszym ciągu opery panom w zastosowaniu pokazać. Taka mała zmiana jak rozłożenie dramatu na trzy akta w miejsce dwóch, prawie nikomu nie przynosi szkody, a pożądaną być powinna wszystkim, jeśli pani Lagrange jęj pragnęła, bo musi mieć w tém swoje wyrachowanie, widzieć jakąś dogodność. Najprędzj to dlatego, by miała czas wypocząć przed gwałtownemi scenami mającemi nastąpić; bo jak onegdaj mówiłem, głos jęj strudzonym mi się zdaje, a co niezawodna, że czas największj jęj świetności już minął, choćby od bardzo niedawna. Można to było odgadnąć z wykonania wtraconych do Napoju Miłosnego obcych ustępów, któremi świetnieć chciała. Niezupełne powodzenie w miejscach niebezpiecznych, to ustawiczne vibrato trafiające koniecznie i na miejsca mniej do tego stosowne, ostrzegały słuchacza baczno. Dziś w tém co dotąd śpiewała najzupełniejsze znalazło się przynajmniej dla mnie potwierdzenie obaw i wątpliwości, a mianowicie w słynnej owęj arii *casta Diva*, któ-

ra Bellini jakby umyślnie napisał, by była kamieniem probierczym śpiewaczki. Jeśli mam prawdę powiedzieć, to cała opera a raczej główna w niej rola Normy, jest tego rodzaju, że w niej i sztuka śpiewania i usposobienie dramatyczne śpiewaczki ma się gdzie pokazać. Proszę nie zapominać jednak, że to mówię tylko co do opery włoskiej i najnowszej, a do tego tragicznej; bo co do komicznej, to nie ma dotąd jak Cyrulik sewilski Rossiniego. I w operach seryo tego autora ma gdzie śpiewaczka zdolności swoje okazać, ale podobno w żadnej tyle co w roli Normy, jedyniej rzecz można bohaterki dramatu, roli wypieszczonój, i często znakomicie oddanej.

Ustał pan Pokrzywa na chwilę, jakby dla zaczerpnięcia oddechu, a może dla opatrzenia się gdzie zdąża. Ja chcąc go naprowadzić na panią Lagrange już miałem się zapytać o szczegóły w przedstawionym dotąd początku opery, z których tak niekorzystne o śpiewaczce czerpał mniemanie. Miałem bowiem pod tym względem moje widzenie, w rezultacie zgodne z jego zdaniem, ale byłem ciekawy, co on dostrzegł. Otwierałem już więc usta, gdy nasz trzeci towarzysz zepsuł mi pomysł odzywając się pospiesznie: — Bądź pan Dobr. łaskaw objaśnić mnie, jak to rozumieć należy, że Norma jest kamieniem probierczym śpiewaczki i więcej niż inna rola innej opery?

— Z całego sercabym to uczynił, alem dostrzegł, że pan Bockowski coś mówić pragnie i słuszną rzecz, bym się powściągnął i oddał mu pierwszeństwo. Nic pan na jego objaśnieniu nie stracisz; ja także zyskam i przestanę nadużywać cierpliwości panów, bom się już kaducznie rozgadał.

— Złego pan Dobr. wybrałeś we mnie zastępcę; aniby miał sformułować mego zdania, ani je mam rzeczywiście. To, cobym powiedział, byłoby tylko słabem echem opinij mego brata, człowieka nader wymagającego. Jemu podobno Bellini nietyle smakuje co panu, co nam, chcę powiedzieć; a wreszcie nie słyszał pani Lagrange, więc zdanie jakie dotąd żywił o roli Normy nie mogło uleść odcieniom, które prawdopodobnie musiałyby na nie wpływać. Więc bądź pan łaskaw zadowolnić tego pana, a potem może zechcesz pan i mnie oświecić co do szczegółów dotychczasowych opery, z których pan Dobr. wnosisz o pani Lagrange a mianowicie o jej głosie.

— Ha! kiedy się pan wymawiasz, to ja muszę, boby nam gawędka ustała; odpowiem panom obudwom za jednym zamachem. Wprzód winienem jednak sprostować pańską opinię (mówi do mnie) co do mego rozmilowania w operze włoskiej. Nie wiem zkąd się panu wzięło pomówić mnie o to? bo ilem z panami rozmawiał, tom się raczej ujemnie niż dodatnio o niej wyrażał. Nie chcę pana w takim błędzie co do mnie zostawić, boby to było może niezgodne z tém, co mam dalej powiedzieć. Nie jestem ja z liczby tych krzykaczów, jakich w Niemczech pełno, a u nas także się znajdują, którzy utrzymują, że w operze włoskiej nic nie ma, coby

się na coś zdało, dlatego już samego, że Włosi nie nauczyli się jeszcze muzyką dramatu przedstawiać tak, jak niektórzy z Niemców a mianowicie Mozart. Ale to pewna, że w operze włoskiej zbyt jest mało ważnego, bym ją mógł cenić na równi z arcydziełami innych narodów. Dotąd w Normie nic jeszcze nie było takiego, a początek wiele znaczy. Rozumieć to należy w ten sposób, że rysy muzyczne pierwsze nawet z określających figurę dramatu winny być tak odrębne, by tylko do tej figury jak posąg stojącej w myśli kompozytora przydać się mogły; by rysy odznaczające sytuację, li tylko do niej się zdały i zapowiadały niemal z pewnością niezawodną, jakie szczegóły charakteru w określonej figurze się pokażą lub pokazaćby powinny, jakie sytuacje później na nici dramatu się znaleźć mogą. Trudno zaprzeczyć, by w tém nie było słuszności, tém niepodobniej, że są dowody przekonywające że to być może. Już przeszłym razem przytoczyłem panom don Juana Mozarta jako niedościgniony dotąd wzór muzyki dramatycznej; i dzisiaj się jeszcze do tej opery odwołam chcąc przykładem wesprzeć to, co mówię. Pierwsze odezwanie się tam Leporella pokazuje sługusa tak ucharakteryzowanego, że nie można nie widzieć z jego tam gniewu na pana wyglądającej potulnej usłuszności, z jego pychy przyszłej podłości, tchórzostwa z jego determinacji, co wszystko potem na scenie w przybywających sytuacjach się znajduje. A samże don Juan? cały jego charakter, wszystko późniejsze postępowanie widoczne jest z wykrzykników w scenie pierwszej z donną Anną, dopełnione w następującej z kommandorem rozprawie. Więcej jeszcze w tercecie między umierającym ojcem, zatwardziałym zabójcą lekceważącym swój straszny występki i Leporellem, drzącym w swój sposób w ukryciu. Marcello w Hugonotach Meeyrberera, samym swym chorałem cudnie a poprostu prowadzonym, pokazał czém będzie i jest w całym dramacie.

— Ja myślę—rzekł coraz gęściej wtrącający się do rozmowy trzeci nasz towarzysz—że to głównie autora tekstu zasługi pan Dobr. wylicza, skoro on pierwój niż kompozytor pracuje, jak to pan Dobr. mówiles na onegdajszém naszym posiedzeniu. I drugą mam także wątpliwość. Wprawdzie nie znam żadnej z oper przytoczonych, alem nigdy nie myślał, by muzyka tak jak wyraz malować mogła. Sam pan Dobr. opowiadał nam niedawno z pogardą o kimś pytającym, jak muzyk konia tonami odda?

— Koń, panie łaskawy—rzekł niecierpliwie się trochę pan Pokrzywa—jest przedmiot zmysłowy, a muzyka w to się wdawać nie może i nie powinna, chyba bardzo rzadko i wtenczas tylko, gdy za przedmiotem idzie wrażenie dające się muzyką odtworzyć. Wrażenia, uczucia, pojęcia nawet, to właśnie rozległe dla muzyki pole; maluje je tak dokładnie, jak żadna inna sztuka, bo ze wszystkich mi ich odcieniami jak one po sobie następują. Żałuje, że nie mogę w tej chwili więcej panu o tém powiedzieć, bo muszę wrócić do mojego przedmiotu; dodam tyle tylko, że opinia pańska, jakoby kompozytor nie powiedzieć nie mógł, czegoby autor tekstu po-

wiedzieć mu nie kazał, jest opinią wszystkich nieznających muzyki zblizka, ani jój arcydzieł. Na co im się wreszcie zdało proste posłyszenie? Co to panu pomoże, że pan poznasz opery o których mówilem? Wprawdzie niepodobna, by ich mistrzostwo obwijając słuchacza wokoło, nie wpłynęło nań w sposób taki w jaki nie mógłby nań wpłynąć ten sam dramat inną, słabszą muzyką odziany. Dobrem powietrzem inaczej się oddycha, inaczej ono niż złe na zdrowie wpływa, choć to niekoniecznie w chwili oddychania czuć się daje. Ale żeby zrozumieć rzecz dobrze, potrzeba naprzd zdrowych pojęć o rzeczy, a potem nawyknięcia do oglądania jój wynikłości; to różnice między zasługą a zasługą jawne się staną, wtenczas wiedzieć, jestto używać nietylko rozumem, ale i całą istotą. Że zaś w przedstawieniu charakterów już wyrazem opowiedzianych może muzyka swój wpływ na szalę położyć, to pan poznasz rozważając, czy nie możnaby oto tego Severa z Normy, w tych samych sytuacyach, z temi samymi wyrazami, słowem tak jak go Romani utworzył, inaczej muzyką oddać? Nie mógłże Bellini zamiast miękkiego, młodzieńczego, idealnego kochanka zrobić z niego rozpustnego przeniwiercę Normie, nastpnika Adalgisy, skoro muzyka ma po temu środki, jak to don Juan Mozarta pokazał? Nie mógłże zrobić z niego zdecydowanego, pewnego siebie i swój władzy prokonsula, zamiast kazać mu śpiewać jak zagorzałemu studentowi? Nie byłoby to zgodniejsze z jego tytułem, przypuszczalnym wiekiem, godnością dowódcy wojsk zwyciężkich, pana podbitego narodu, nawykłego do zaspokajania swych namiętności, człowieka bez gryzoty sumienia, zrywającego długie z poprzednią kochanką związku, niepamiętnego na dzieci ojca?... Tak jest, można, należało to było zrobić muzyką, i Mozart pewnie tak byłby uczynił. Wówczas nazywałoby się to scharakteryzowaniem zależącym na tém, by nie pierwsze lepsze rysy położyć, ale te, które z prawdą, logiką są zgodne, które z kilku prawdopodobnych są najnaturalniejsze. Tak pojmovany Sewer byłby i stosowniejszy do treści dramatu, a nie zmuszałby mimo to do zmiany wyrazów poety. On bowiem zwykle tak wyrażenia swoje układa, by zostawić kompozytorowi zupełną swobodę do zastosowania muzyki jaka mu się zdawać będzie. Na tém też zależy po części sławiona w Metastazym muzykalność dramatu; na niestosowności zaś muzyki do niego, stoi głośna w Europie małość dramatyczna kompozytorów włoskich. Mówilem o prawdzie sytuacji; toć pan znasz pewnie Łucyą z Lammermooru Donizettego? Przypomnij pan sobie, jak tam w ostatnim akcie, gdy Edgar wyjęczał swoje ostatnie na ziemi wyrazy, odzywa się pogrywka orkiestry? nie brzmiz to jakby się zabierał do tańca z pięknością jaką z przyjacielskiego baliku, słodkie jój prawiąc androny? Oto macie panowie kompozytora włoskiego; a jednak Bellini, Donizetti największe talenta nowój

szkoły włoskiej. Przykładów mógłbym panom więcej wyliczyć, gdyby była potrzeba, gdyby nie było widoczne, że kto raz tego rodzaju dziecinstwa się dopuści, ten się go często dopuści; bo to już w jego widzeniu leży. W operze włoskiej cała baczość kompozytora, cały jego zapał, chwytają jedną chwilę dramatu lub kilka po sobie idących; ztąd się rodzą kawatyny i arie. We Włoszech tak to jest przyjęte że nawet publiczność reszty nie słucha: sami śpiewacy o resztę nie dbają, więc i kompozytorowie. Może pierwsi dlatego rzecz lekkowazą, że ostatni nie uważają jej za godną starania. Gdyby nie pretensya do szumnej nazwy: drama per musica, tragedia in musica ridotta, gdyby nie zwyczaj w całej Europie przyjęty, do którego pierwsi Włosi byli pobudką: to pewnie ich kompozytorowie łatwoby się zgodzili na ograniczeniu się do samych ariy i kawatyn. Bo u nich prawie zawsze po zagranicami tych pojedynczych ustępów, nie ma nic godnego uwagi, nawet w rolach głównych, lubo nie brak zakroju. Recitativa, owe wybuchy uczucia, z których się potem ma wylać strumień jego w ariy, są zwykle bessilne, a dialogi tak blade, jakby to jakie baraguly rozprawiły. Część instrumentalna w przygrywce ma ledwie pozór barwy potrzebnej; ale ta barwa jest natury ile można dyletanckiej i coraz krzykliwsza, że już nie wiadomo jak śpiewakom piersi starczą. Gdy zaś część owa instrumentalna działa symfonicznie, to jest bez części wokalnej, i malować pragnie, to bierze się zwykle do tego grubo, powierzchownie a dobiera sobie farb krzyczących, jakby to był kram ze wstążkami dla naszych dziewczuch. Widząc to wszystko i więcej jeszcze, pytam się pana (rzekł zwracając się do mnie), jak mogę być zwolennikiem opery włoskiej? Jak pan mogłeś mnie o to posądzić, mnie com tak szeroko rozprawił przeszłym razem o ważności muzycznego dramatu, com tak gorąco nastawał na nadużycia śpiewaków? A przecież pan wiesz, że w operze włoskiej nie ma pierwszego, drugich pełno.

— Słyszac pana dziś mówiącego o ariy Casta diwa, a nawet o całej roli Normy, jako o kamieniu probierczym śpiewaczki, na której nietylko sztuka śpiewania, ale i usposobienie jej dramatyczne ma się pokazać, mniemałem, że pan Dobr. rolę tę za arcydzieło dramatyczne uważasz. Myśląc sam inaczej, wnosilem, że kiedy panu tak dalece Norma się podoba, to pan być musisz wielkim opery włoskiej przyjacielem. Lubo przyznam się, zem nie mógł pogodzić opinij, jakie pan z różnych powodów objawiales, opinij silnych i zdrowych, które najzupełniej podzielam, z uwielbieniem dla opery włoskiej, które zdawało mi się nakoniec dostrzegać. Teraz zgaduję dalszy ciąg, rozumiem zespolenie sprzeczności. Pan Dobr. mało cenisz operę włoską wogóle, ale niektóre jej ustępy chwalisz, arie masz za nieporównane.....

— Przepraszam pana! nie nie chwale, toleruję tylko, biorę co mogę dostać, niemogąc dostać czego bym pragnął. Zdaje mi się, że już dosyć jasno powiedział, że dramat muzyczny nie jest tem czem być powinien. Przecież pomiędzy rodzajami takich dramatów jakie dzisiaj mamy, muszą być jedne lepsze od drugich. Ja operę włoską za najsłabszy dramat uważam; nastawałem na jej wady, ale nie myślałem jej całkiem wszystkiego odmawiać, bo by to było nie rozumieć rzeczy: to pana w błąd wprowadziło. Nie mogłem, przytaczając kilka przykładów jakie mi się nawinęły, pokazać do jakiego stopnia operę włoską mało cenię; ale gdyby mi przyszło nawet samą wytknąć Normę i po szczegółach ją tu rozierać, to pewnie nie wiele bym w niej bezwarunkowo pochwalił, albowiem musiał odwołać moje zdanie co do kompozytorów włoskich dzisiejszych, którego szczegóły główne i dowody wymieniłem. Bo proszę pana, co może być jeszcze w operze godnego uwagi, jeśli nie ma prawdy charakterów, wydatnego przedstawienia sytuacji, jeśli nie ma tego mistrzowskiego zarysu, z którego od razu poznać można co i jak będzie? jeśli....

— Za pozwoleniem pana Dobr.! Nie każdy dramat tak jest ułożony, by od razu główne rozaczał rzeczy; osoby wchodzące do pierwszej sceny mogą być podrzędne, więc niezdolne, niegodne dźwigać rysów stanowczych, których pan Dobr. wymagasz niepotrzebnie podobno. Stopniowanie interesu dramatycznego równie niezbędne jest operze, jak każdemu innemu dramatowi; więc lepiej kiedy w pierwszej scenie, w pierwszym może akcie, jeśli ich jest kilka, nie napadnie się obces słuchacza, nie wyczerpnie sił jego, których już potem nie ma czem podtrzymać. Zatem idzie, że bladeść pomysłów pierwszych, brak w nich stanowczości, co wszystko pan Dobr. za wady uważasz, na przykład podobno da się wy kierować, byle po tem istotnie nastąpiły rzeczy ważne. Jeżeli zaś koniecznie panu potrzeba pojęcia o tem czem jest, a raczej będzie dramat, pierwój nim się rozwinął i do końca posunął, to ja panu Dobr. pokażę coś lepszego, co pan oświeca o treści jego dosadniej, niż pojedynczych figur, lub sytuacji zarysy; uwerturę.

— Czy czasem nie Belliniego z Normy?—zapytał pan Pokrzywa.

— Alboż to nie sliczna uwertura?—wtrącił trzeci jegomość.

— Kiedy mowa o uwerturze w ogólności, rzekłem, to może bym Normy przytoczyć nie rad; żebyś pan Dobr. jednak nie powiedział, że się cofam, to panu przypominam w tej uwerturze zrobił Bellini skład materyałów z których potem operę wybudował...

— A jeszcze też nigdy nie słyszał!—przerwał pan Pokrzywa—żeby kto z małej komórki tyle materyału wyniósł, żeby mu na gmach starczyło! Herman tu umiał podobno tyle z jednej nalc butelki....

Teraz ja mu przerwałem: — ile w niej było, nie więcej. Ale pan wiész, że temat ma czarodziejską siłę: rośnie do niesłychanych rozmiarów. Toć Beethoven z kilku nut tyle wydobyć umiał, że cały kwadrans jeśli nie więcej orkiestra miała co zrobić. Temat to jak gąbka mocno nasyciona wodą; pozornie nie w niej nie ma, ale zacząć ją tylko wyciskać, to i strumień pocieknie, i jeszcze gąbka mokra będzie.

— Prawda, prawda; ja hojniejszy nawet będę, i porównam temat do lewara jednym końcem w niewyczerpany ocean zanurzonego; woda nigdy płynąć nie przestanie, bo jej nigdy nie brakuje. Ale cóż temat i Bellini mają z sobą wspólnego? a raczej gdzie mi pan pokażesz w Normie albo uwerturze do niej, temat opracowany tak, by można to o nim powiedzieć? A przecież umiał to Mozart w uwerturze do Fletu czarnoksiężkiego!

Spostrzegłem, że mnie chęć spierania się skompromitować gotowa; alem głowy nie stracił.—To tylko dowodzi, że Bellini nie widział potrzeby takiego opracowania; bo przecież temat nie jest na to, by się koniecznie stał ćwiczeniem ucznia w kontrpunkcie, albo fantazyjnym obrazem jak powołana uwertura Mozarta, do której mi pan nie pokażesz nic podobnego między uwerturami, nie wyłączając nawet owę z kwartetu Mozarta fugi, której Radziwiłł użył za uwerturę do swego Fausta, nie wyłączając nakoniec w tym samym rodzaju lub bardzo zbliżonym uwertur Haendla do jego oper. Temat niekoniecznie też jest przeznaczony stać się lirycznym poematem jak symfonia Beethovena; to się nawet w dramacie zastosować nie da, bo tam coraz nowe naciskają się żywioły, coraz nowe myśli płyną, nowe tryskają temata, by niebawem inne je spędziły. Życie to kalejdoskop, to pańskie podobno zdanie?

— Nie mam potrzeby go się zapierać; ale kalejdoskopu obrazy zawsze z tego samego powstają tematu, a życie jakkolwiek różnie się objawia, zawsze te same poruszają niemi motory: potrzeby i namiejętności.

— Ale pan zważ, jak te motory są różne i liczne! Przyznaj pan, że niezawsze te same pobudki chwilami życia rządzą. Więc i obraz życia, dramat, nie może się jednym tematem posługiwać, ani ograniczoną ich liczbą; zależy ona od różnych dramatu przypadłości, a także i od tego, jak je malarz sobie wyobraża. W gruncie, rzekłem dalej, spieramy się o dwie różne rzeczy, o różne sposoby korzystania z tematu, kiedy nam nic na tém nie zależy; bo tak, czy tak, użyć go można. Wróćmy zatem do uwertury Belliniego. Wszakże w niej autor pomieszczył niektóre ważniejsze myśli, których potem w operze samęj użył; streścił zatem swoje widzenie dramatu całego i przedstawił je przed jego rozpoczęciem. Nie można się więc żalić na brak staranności pod tym

względem; nie brak tego, co by się dało expozycją całego dramatu nazwać, gdyby nie było lepsze jeszcze od właściwej expozycji czyli owój dramatu części, która go od początku aż do punktu przesilenia prowadzi. Jeśli jeszcze każda exponowana sytuacja streszcza się w ary, to nie widzę dlaczego byśmy mieli szukać mistrzostwa aż w dyalogach. Przecież kompozytor nie może wszystkiego muzyką swoją oddać, albo oddać z równą mocą. A cóż pocnie jeśli mu poeta dyalogi popisał, bo mu potrzebne były do związania scen w których główna dramatu spoczywa siła? Dyalog taki, to smutna konieczność w operze; czuli to dawniejsi kompozytorowie zostawiając mowie zwyczajnej ustępy tego rodzaju, a tylko wydatniejsze w muzykę, jak w złoto oprawiając. Tak też zrobił i Mozart ze swoim Don Juanem. Ale gdy późniejsi estetycy znaleźli i słusznie śmieszna i barbarzyńska taką mieszanię mowy i muzyki, więc dzisiejsi kompozytorowie muszą komponować to, co by aktorowi zostawić należało. Nawet dawniejsze opery uleść muszą nowemu widzeniu; gdy wznowiono u nas Don Juana po raz ostatni jeszcze za dyrektorstwa Nideckiego w operze polskiej, to dyalog na muzykę jak na rozen nadziano. Choć to ona podobno samego Mozarta była dziełem, wyglądało to wszędzie dobrze? Zapewne tego pan Dobr. utrzymać nie zechcesz i zwolnisz Belliniego od zarzutu zrobionego mu pod tym względem.

— Ach dziękuję panu—rzekł do mnie z zapalem młodszy z dwóch słuchaczy mojego szermierstwa—stokrotnie panu dziękuję! Ja tak lubię muzykę włoską! ją tylko rozumiem i byłem już w rozpacz, gdy mi pan Dobr. (rzekł wskazując na Pokrzywę) tak dosadnie dowodził, że ona mało warta; jakby mi kto drzazgi za paznogie wbijał! Ale trafiła kosa na kamień! To też mnie się w głowie pomieścić nie mogło, żeby taka Norma nie należała do najpiękniejszych oper na świecie. Już ja widzę, że gdybyś pan zechciał, tobys podobno i panią Lagrange obronił od zarzutów, któremi ją pan Dobr. (znów ku tamtemu głowę na chwilę obrócił) obarczył. Zmiłuj się pan! uczyni to, bym nie myślał, że ci wszyscy tu oto zgromadzeni nie znają się na rzeczy.

— Hola! moi panowie—rzekł nieco głośniej pan Pokrzywa, że aż się na nas obejrzano—chciecie mi odrazu wszystko odebrać; bądź pan cierpliwy, rzekł do młodszego, i na nią kolej przyjdzie, bom winien jeszcze odpowiedź panu Boćkowskiemu na poprzednie o nią pytanie, chyba że mnie z tego zwolni. To niech sam mówi, byle gawędką zapchać co nam zostaje czasu do aktu drugiego. Ale nie ustępuję z pola, i jak pan skończysz, rzekł do mnie, to ja zacznę i przekonam pana, jakkolwiek muszę oddać sprawiedliwość pańskiej dyalektyce, że łatwiej bronić zasad w które się wierzy, niż forytować zdania przekonaniu swemu przeciwne.

Zbyt daleko się zapędziłem w mój obronie opery włoskiej, mając zrazu zamiar podrażnić tylko pana Pokrzywę i naprowadzić go coprędzej na drogę na którejby spotkał więcej szczegółów popierających naszą wspólną opinią. Widząc teraz, że się na spór może nieużyteczny dla mnie zabiera, chciałem załagodzić całą sprawę i zbić go z tropu; więc rzekłem pokornie:

— Czyż moje opinie warte, byś się pan roztrząsaniem ich trudził? Chciój pan Dobr. powiedzieć nam raczej, co o dotychczasowym przedstawieniu Normy przez panią Lagrange mniemasz? Międzyakt się skończy niedługo może....

— Przyjdziemy i do tego, ale pozwól mi pan piérwej odeprzeć to, co swoją opinią nazywasz, a co pańską opinią być nie może i nie jest. Jestto widzenie bardzo dyllentanckie, (nie zapomniałem ukłonić się uniżenie), i dlatego łatwo je zbić przyjdzie.

— To być może, ale zkądże pan Dobr. wnosisz, że to opinia nie moja?

— Z własnych ust pańskich; przecieżeś pan powiedział na chwilę przed naszym niby sporem, że podzielasz moje mniemania, któreś raczył nazwać silne i zdrowe, i dziwiłeś się jeszcze, jak mogłem z niemi być zwolennikiem opery włoskiej; nie prawdaz?

— Prawda—odpowiedziałem skonfundowany.

— Więc te późniejsze zdania, pańskimi nie są; ani pan możesz mieć nadzieję przekonania mnie, żeś mi tylko chciał potakiwać; bo siły, jakieś pan rozwinął w obronie fałszywych opinii pokazują, że znasz czego gdzie potrzeba, i musisz widzieć gdzie czego brakuje. Zapewne pan chciałeś mnie złapać może? zaimponować mi Haendlem, gdym ja o Mozarcie mówił; a Haendel, to mój stary znajomy. I Bellini nienowy, znam go na wyłot; a jak Mozart pisał niegdys ustępy á la Haendel, by pokazać jak oswojony z tym mistrzem, tak ją gotówbym pisać á la Bellini, gdyby mi Pan Bóg dał był tyle talentu ile jemu.

— A więc go pan Dobr. cenisz — rzekł nasz towarzysz — oddycham, ale nie rozumiem. Wzięliście mnie panowie na tortury prawdziwe.

— No! to położymy im koniec niebawem — rzekł uśmiechając się pan Pokrzywa — proszę tylko o chwilę cierpliwości. Bo ja mojego darować nie lubię i muszę odpowiedzieć na pańską (moję) obronę opery włoskiej, dla wyprowadzenia z błędu naszego towarzysza; a choćby tylko dla przekonania panów, że ten przedmiot rozważał.

Prawdą jest, że nie każdy dramat, muzyczny czy nie, od głównych zaczyna się rzeczy, od głównych osób. Jestto wada; poco mamy słuchać rzeczy podrzędnych, patrzeć na figury nie znaczące? to tylko czas zabiera i usypia baczność; jedném słowem nudzi, a to dowód, że na nic się nie zdało. Często drama-

turgowie tego sposobu używają, by niezgrabny plan niezgrabniejszem wykonaniem pokryć. Zdaje im się to konieczne dla ekspozycji dramatu, jakby to była gawędka, która zaczyna od pogody, choć potem na duszy skończyć może. W dramacie muzycznym jeszcze to nudniejsze, bo dłuższe; prędzej się bowiem mówi a nawet pisze, niż śpiewa. Ale zdarzyć się może, że figury niby podrzędne, istotnie znakomite zajmują w dramacie miejsce, należą do sprężyn choćby nie na jawie działających. Muzyka wtenczas odrazu zająć się powinna ich charakterystyką dosadną, która bynajmniej nie przeszkadza stopniowaniu interesu dramatycznego, jeśli on istnieje. Ani to wyczerpnie bacność słuchacza, tylko obudzi ją odrazu i ciągle pobudzać będzie. Bacność ciągła nie trzusi, chyba wtenczas, gdy jest zbyt długo wyciężana albo na jeden przedmiot wyczerpnięty już, skierowana. A przecież parę godzin bacności nikogo nie zabije! Nie po to wreszcie jest dramat, by na nim drzémać lub się bawić, jak się bawimy anegdotą lub facecyą, ale by się bawić szlachetnie: pojęciem i uczuciem. Rozbudzić jedno i drugie jak można najwcześniej, powinno być zadaniem dramaturga każdego, a więc i kompozytora opery, i tém więcej, że ma potemu tak potężne środki, jakich gołe słowo gościem nawet wsparte mieć nie może. Środki te leżą w zespoleniu mowy i muzyki; i dlatego uwertura, ustęp wyłącznie instrumentalny, posiadać ich nie może. Inne też jęj zadanie; jest ona tém dla opery, czém treść dla książki, czasem spis rozdziałów. Jedno i drugie wskazuje metodę raczej niż ducha, jest skróceniem lub spisem z których widoczna rozległość całości, ale nie jęj dążność i zasługa. Książka się bez obojga obejść nieraz może, i opera nieraz właściwej nie ma uwertury, naprzykład Robert Djabeł. Czasem ona jest fantazyjnym obrazem jak pan nazwał uwerturę do Fletu czarnoksiężkiego, (a jabym dołożył: z rzeczywistości wysnutym); tém też bywają najwięcej uwertury. Ale gdyby równe były tamtéj mistrzostwem, to zawsze będą fantazyją, a nam o szczerą rzeczywistość idzie. Uwertury bywają czasem cieniem dramatu jak w Nieměj z Portici i Wolnym Strzelcu, a z cienia nic wnosić nie można o kształcie, który go rzuca; czasem składem rupieci rozmaitych, Bóg wie zkąd pozbieranych i zużytych, jak w tylu operach Rossiniego. Uwertura najlepsza podobna jest rycinie przedstawiającej ustęp powieści; objaśnia wprawdzie, ale i sama objaśnienia potrzebuje i podobnoby nieraz dogodniej było zagrać uwerturę po skończeniu opery, jako reprodukcją całego dramatu, sąd o nim kompozytora; lubo mało która wytrzymałaby taką próbę, a pewnie nie uwertura Belliniego do Normy. Nakładci do niej autor myśli, których potem (trafniej byłoby powiedzieć pierwěj) w operze użył; ale że je zostawił w całej nicości pierwotnego pomysłu, więc je ogłosił ze znaczenia w dramacie tekstem, gościem, deklama-

cyą zyskanego, a nie umiał go im nadać opracowaniem, albo przymieszaniem ustępów stanowczo przemawiających. Co zaś do miejsc streszczających sytuacje exponowane, mianowicie aryj, duetów i wszelkich ustępów zbiorowych... Ale, a'e! to mi przypomniło dyalogi. Coś pan mówił o ich smutnej konieczności prawdą jest na dzisiaj, ale nie będzie nią z czasem, bo to jest jedna z wad tekstów do oper, którą także usunąć trzeba będzie. Nie dlatego jednak, by dyalogi nie były użyteczne; owszem, są koniecznością, ale niech ona smutną być przestanie. Niech dyalogi będą krótsze, treściwsze i tak ułożone, by je muzyk nietylko na podobieństwo recitatiwa mógł ubrać, ale w formę utoczoną muzycznego obrazu mógł urobić, jak to się i teraz zdarza. Swobodna forma recitatiwa istotnego, owego wybuchu uczucia nie dającego się od razu ująć w karby, zyskałaby na świeżości i sile, tak jak każdy wykrzyknik nieużyty. Ale do tego trzeba staranniejszych tekstów, które są trudniejsze do złożenia niż dramat zwyczajny. Że ich dotąd tak mało dobrych, że tyle wad muzycznemu dramatowi przynoszą, pochodzi ztąd, że autorowie poezyi zwykle niemuzycalni bywają. Znow mi tu przychodzi na myśl dramata Metastazego; byłto człowiek wysoko w muzyce ukształcony, jak podobno żaden z piszących dla opery. Gdyby był miał zręczność Scribe'go, gdyby za jego czasów nie uważano jeszcze opery więcej jako cacko niż dramat, to byłby nam zostawił arcydzieła niejednostajną tylko zaletę dogodności dla kompozytora i śpiewaka mające. Sam kompozytor nie ma zazwyczaj zdolności do pisania dramatów, wprawy albo może i czasu. Bo mu się zdaje, że on co lepszego robić może, jak gdyby dobry tekst nie ułatwiał napisania dobrej opery! Objaśnienia, przestrogi jakie gotów dać pocie niekoniecznie z potrzebą jego i fantazyą będą zgodne, a nawet pojęte. Trzeba będzie przerabiać, wyrzucać, dodawać, słowem kręcić tak długo, aż wszystko będzie dobrze na pozór, a istotnie zepsute. A gdzież szukać w pocie takiej uległości zmiennym kompozytora kaprysom, nie dającym się dobrze wyłożyć wymaganiom, jak znalazł Weber u pani Chezy, która mu tekst do jego Euryanty napisała, a raczej tyle razy pisała! Oto są powody, dlaczego teksta do oper tak bywają słabe dramatycznie lub muzycznie. Wróćmy do dyalogu, by przezeń do aryi się zbliżyć.

Słuszna była uwaga pańska, że dawniejsi kompozytorowie czując, że niepodobna nieraz muzyką podpierać dyalogów, zostawiali je mowie zwyczajnej. Ale niesłusznie pan mówiłeś, że dziś inaczej się dzieje, gdyż to i dzisiaj bywa także, bo natura rzeczy się nie zmieniła. I to prawda jednak, że upowszechnia się coraz więcej mniemanie, jakoby niegodziło się jedną część dramatu mową zwyczajną, a drugą część śpiewem i muzyką przedstawiać. Mniemanie to nie jest bez zasady; bo jeśli to ma

być dramat muzyczny, to nie na połowę; inaczej stosunek istotny między częściami przepadnie, a zostanie tylko przybliżony; zniknie jedność konieczna plodom sztuki. Dramat wprawdzie muzyczny, a szczególnie wystawniejszy, jest zlewkiem sztuk kilku; ale je muzyka jednoczy, zapełnia luki jakie między niemi pozostają skutkiem mniejszego powinowactwa. Odjąć muzykę tu i owdzie, jest to zrobić dramat podobny do obrazu, któryby miał jedne osoby malowane, a drugie z gliny ulepione. Ale z drugiej strony, czyż się godzi używać muzykę na fatalaszki? czy warto jej użyć gdy każdy czuje, że ona tam nic nie mówi? Że zaś małą ważność muzyki w dyalogach uznano, dowodem i to, że ją zwykle w wyciągach na fortepian, czyli tak zwanęj partyturze fortepianowej opuszczają. Mniejsza o to; ale opuszczają i wyrazy, które stanowią związek między scenami, i nie można zrozumieć dokładnie położenia osób i rzeczy. To wybornie przemawia na dowód pojmowania dramatu muzycznego! nieprawdaż? Więc baczyć trzeba, by dyalogi tyle tylko użyte były, ile konieczność wymaga. Na co przedłużać nudy, a może i zanieczyszczać bieg dramatu dla słuchacza? Przecież wiadomo wszystkim, że śpiew nie pomaga do wyraźnego wymawiania zgłosek, dzięki niedbalstwu śpiewaków i nieoględności kompozytorów i dyrektorów...

— A cóż oni temu winni? Śpiewacy to jeszcze; czemu ust nie otwierają?—rzekł młody nasz towarzysz, że go tak nazywam nie umiejąc inaczej.

— Jakże wymówić swobodnie otwartemi ustami samogłoski ściśnione, jak i, lub u; a jeszcze jeśli na wysokie padają tony? Prócz tego kompozytor może złą deklamacją, której daje rysunek, utrudzić śpiewakowi wymawianie, a nawet oddychanie któremu miejsce oznacza, a które przecież do dobrego wymawiania jest konieczne. W tém wszystkiem śpiewak sobie radzić może nieco, a nawet zbieg twardych spółgłosek z winy poety, a czasem i z nie jego winy nagromadzonych zwycięża; przecież to także nie pomaga, ale szkodzi. Pod tym względem język włoski szczęśliwszy od naszego.

— Ta ostatnia przeszkoda niby z języka pochodząca, rzekłem, nie jest właściwą przeszkodą, a czasem pomocą; i nigdy nie powiem, by język włoski miał pierwszeństwo nad innymi, a szczególnie nad naszym.

— A to pan widzę zupełnie inaczej mniemasz niż wszyscy? odparł pan Pokrzywa; radbym posłyszeć dowody.

— Dowody odłożmy na inny raz, a wróćmy do wymawiania. Zapomniałeś pan Dobr. między przeszkody dla słuchaczy włączyć przygrywkę instrumentalną, zwykle dyalogom towarzyszącą. Choć się kompozytor stara, by ją w przerwach, między frazesem a frazesem wprowadzać sucho i krótko, jako przegna-

czoną głównie do utrzymania śpiewającego w tonie, do pomoczenia mu w nagłych czasem modulacjach, bywa i tak przecie, że w miejscach które kompozytor chce uwydatnić, przygrywka płynie razem z wyrazami i niewiele potrzeba, by je zanieczyszczyła.

— Prawda, byłbym zapomniał o tém, a to rzecz tém ważniejsza, że w dyalogach zwykle bardzo wiele jest wyrazów i coraz innych, a często spiesznie wymawiać je trzeba. Albo w tak zwaném *parlante* wydziwić się nie mogą śpiewakom, jak oni niekiedy miały językiem! Jak tu żądać od nich, by wyraźnie wymawiali, gdy nieogłędny dyrektor tempa nie miarkuje, albo śpiewacy towarzysze w wygodném *arioso* swoim zatopieni nie myślą, że który ich kolega język połknąć może. Wracając jeszcze do dyalogów, by już raz o nich skończyć, dobrzeby było, aby przygrywka instrumentalna zamiast w kwartecie smyczkowym, na fortepianie tylko się odzywała, lub na harfie. To i zgrabniejby było; bo kilkunastu ludzi mniej zgodnie nagły akkord uderzyć mogą w chwili taktem obliczyć się akuratnie nie dającój, i nie potrzebowaliby się mordować wysiloną bacnością, kiedy to sam dyrektor mógłby zrobić.

Tyle oto niedogodności dyalogu muzyką osnutego przemawia za pozostawieniem go mowie zwyczajnej, i nie wiadomo, co gorzej: czy poświęcić jedność muzyczną, czy narazić się na zarzut o niestosowność i na mnóstwo drobnych usterków. Sama ta niepewność powinaby zwrócić bacniejszą na dyalogi uwagę. Czemu jednako w operze komicznej pozwalają sobie mówić, a w poważnej nie, pojąć dotąd nie mogą.

— Ja myślę, rzekłem, że to dlatego, że w rodzaju lekkim, niestosowności prędzej ująć mogą; tam się każda śmieszność pomieści. Lubo i to prawda, że w operze komicznej mogą być także i bywają istotnie powody do łez, a więc powagi. Ale mniejsza o to, idźmy dalej.

— Tylko słówko moi panowie!—rzekł nagle wtrącając młody—mnie się zdaje, że właśnie powinno bywać przeciwnie: W operze komicznej należałoby więcej śpiewać, a w poważnej więcej mówić. Boć przecie łatwiej człowiekowi wesołemu muzyką się zajmować, niż kiedy smutny. Ja naprzykład, kiedy mam zmartwienie, co się przecież każdemu człowiekowi zdarzy, to ani grać, ani śpiewać mi się nie chce, chyba dla rozerwania się trochę. To samo pewnie z innymi, boć tacy ludzie jak i ja. Gdzież tedy stosowność i prawdopodobieństwo? Norma się gniewa, rozpacza, a śpiewa; chce zamordować dzieci, idzie na stos, a śpiewa! Toć tam płakać zamało!

Spojrzelismy po sobie ja i pan Pokrzywa; jam się rozśmiał półgłosem, ale on z powagą zabrał się do odpowiedzi:—Zaraz to panu objaśnię.

— Protestuję!—zawolałem pospiesznie. A gdym wstrzymał jednego, zwróciłem się do drugiego.—Daruj pan memu wykrzyknikowi i pozwól sobie zrobić uwagę, że to można odłożyć na inny międzyakt, bo się nie dobierzemy dzisiaj do pani Lagrange, a pewnie panbyś chciał posłyszeć zdanie o niej; szczęście, że przerwa jakaś długa, ale korzystajmy, bo się skończy!

— No! to na później — rzekł pan Pokrzywa—tylko mi panowie przypomnijcie, bo za siebie nie ręczę. Już tu oto dwie godziny siedzimy, a jeszcze się pana nie zapytał, do jakiejto muzyki dramatycznej dorobiłeś pan wiersze?

— Już ja sam panu Dobr. przypomnę, ale teraz mówmy o pani Lagrange.

Lękałem się, by mi się gaduła nie wymknął z tém, co mnie najwięcej obchodziło. a natarczywość moja uderzyła go widac, bo rzekł z flegmą i nieco chinurno, choć łagodnie:

— Albożbyś to pan zdania swego nie miał? Ale prawda, może chce się pan pospierać—dodał ze swoim znaczącym uśmiechem—jam na to jak na lato. Muszę jednak tém oględniej mówić i tém zasadniej; dlatego wprzód arya opery włoskiej przejsz winienem, już panom daruję chóry i finały, o których bardzo wiele mówić można. Ale to napotem: niech nam się zbiera!

Otóż z dyalogu, z recitativa (o którego bezsilności włoskiej już mówiłem, bo znam recitativa Bacha, Glucka i Mozarta) przechodzi się do ari; dla pośpiechu nie będę wyróżniał jój rodzajów. Jak w dyalogu słów wiele a treści muzykalnej a często i dramatycznej mało, tak znów w arii słów niewiele a treści muzycznej ile się zmieści, ile z serca i głowy kompozytora wydobyć się zdoła. Wyrazy zwykle się powtarzają, boby ich na długą szczególniej arya nie starczyło; to powtarzanie wyrazów popiera ich zrozumienie przez słuchaczów, jeśli rozumieją język....

— I o tém mieliśmy mówić; to jeszcze z przeszłego posiedzenia — dodał po małej przerwie — to mamy już dwie kwestye języka dotyczące, do roztrząśnienia.

— Będziemy mówić i o tém; już ja nie zapomnę; prosimy dalej.

— W arii dlatego łatwiej język rozumieć można, że się wyrazy powtarzają, więc je przygrywka tu i owdzie odsłania, a same dobitne orzeczenia muzyki uwydatniają. Że arija jest obrazem w pełni płynącego uczucia, uczucia stosownego do sytuacji z której wybiegła, więc musi być bogata w rysy stosowne i tém odrębniejsze, że one mają przedstawiać indywidualność osoby, figury dramatu, czyli charakter tak wydatny, by go z żadnym innym pomieszać nie można, przynajmniej w tej samej operze. Mistrze w dramatyzowaniu, znawcy ludzi, wielcy malarze charakterów i namiętności, nie pozwolą sobie nigdy i tego nawet, by w poemacie taką samą figurę osadzić, jaka już gdziein-

dzień była, choćby w ich własnym dziele; nie potrzebują okradać innych lub samych siebie. Wiedzą, że nie ma dwóch charakterów podobnych sobie chyba pozornie; żeby zaś odtworzyć swą sztuką charakter nowy, oryginalny, trzeba go umieć wymyślić, stworzyć niemal tak jak Bóg Adama stworzył, z niczego, prócz z własnej mocy wspartej bystrym na naturę ludzi ogólną poglądem i umiejętnością wnoszenia o charakterze człowieka ze spraw jego. Utrzymują, że chcąc prawdę powiedzieć należy ją czuć i pojmować, a nie udawać; temu nikt nie zaprzeczy. Ale jeśli to nie będzie jedna z tych wielkich prawd na prawie natury opartych, których tak mało; jeśli to nie będzie choć jedna z tych prawd w całej cywilizacji jakiegokolwiek przyjętych, których także niewiele więcej; lecz jedna z prawd do osoby lub rzeczy przywiązanych, prawd względnych, których takie mnóstwo: to osobiste jej uczucie i pojęcie tylko indywidualnie trafnym być może, wytwornej liryczności wyrażeniem udarować poetę, ale na urozmaicenie dramatyczne wpłynąć nie zdoła. Dramaturg nie powinien zatem tworzyć charakterów podług siebie, ale podług tych, których chce określić; więc musi je brać poza obrębem samego siebie, stworzyć je fantazją jeśli modelować nie woli, swoim rozumem je uorganizować, obdarzyć tém, co mu do zupełnego prawdopodobieństwa jego utworu konieczne się zdaje, a dopiero ten twór martwy jeszcze, wsadzić w samego siebie, albo sam przejść w niego, oddać mu swoje życie i uczucie, by się urobiły wedle nowego organizmu którym wstrząsać mają. Sam zbyć się powinien wszelkiej indywidualności, stać się sługą i wykonawcą woli swych stworzeń przed chwilą, a teraz władców. Wolno mu zatrzymać sobie tylko siłę naśladowczą i zdolność władania środkami swęj sztuki. Im wyższa w człowieku poecie twórczość i siła organizowania, im zupełniejsze zaparcie się samego siebie, tym potężniejszy i udatniejszy wstanie utwór. Nigdy wprawdzie on wyższy od swego twórcy być nie może, ale niższym nie będzie nigdy; a więcej też nie potrzeba. Człowieka Bóg wielkim uczynił, olbrzymem, i on sam tylko na pigmejczyka schodzi własną winą.

Niechże teraz tak obmyślany i utrzymany charakter wrzucony będzie w dramat i do działania znaglony; to choćby sam jeden tylko znalazł się obok innych zużytych, to je odnowi i okrasi; cóż dopiero, gdy kilka takich się znajdzie? Wtenczas sytuacje nie będą bez siły, bo nie będą bez prawdy i powabu nowości.

Com tu powiedział ściągają się w operze równie do poety jak i do kompozytora; do tego drugiego więcej przecież. Poeta, jak już mówiłem, stara się przygotować kompozytorowi swobodne do działania pole; więc choć tworzy figury i charakterem je

odziewa, sznurki maryonetek porusza tylko; kompozytor dopiero ludzi z nich robi. Więc mu należy charaktery określić stanowczo i utrzymać, a jeśli poeta wdarł się w jego prawa i źle z nich korzystając skrzywił i pogmatwał, rzeczą jest kompozytora sprostować i jasno okazać. A jeśli poeta poświęcając się dla kompozytora wyrzekł się szczegółów własnej fantazyi, któremiby w dramacie zwyczajnym nie zaniedbał opatrzyć swych figur, to kompozytor pamiętać powinien o dopełnieniu. Żebym panom to co mówię poparł choć jednym przykładem, to się znów do Mozarta zwrócę; bo gdzież mistrz nad tego mistrza, gdzie dramaturg muzyczny nad niego, gdzie opera nad Don Juana? Więc patrzcie panowie! Elwirę, owę reprezentantkę ofiar zwodziciela licznych, autor tekstu, da Ponte, śmiesznością okrył; bo to był człowiek jak mówią lekkiego charakteru i podobno samego siebie w głównym opery bohaterze przedstawił. Czy tak było istotnie, czy też mu legenda hiszpańska dostarczyła wątką, mniejsza o to; dosyć, że Elwirę zponiewieraną, jeszcze bardziej zponiewierać pragnął. Ale Mozart ją nagroził za tę ostatnią zniewagę; uczynił ją szlachetną ile można było uszlachetnić ją wyrazem gorejącej miłości i łzami cierpienia. A zaręczam panom, że nie ten jedyny raz Mozart odstąpił od tekstu, ale wymieniać więcćj nie chcę; wszak jeden przykład wystarczy! Jeden także dam na pokazanie, jak muzyk pamięta o szczegółach zapomnianych przez poetę, albo takich, że ich nie miał sposobności objawić. W finale drugiego aktu, zanim Don Juan zapadł do piekielnych otchłani, Mozart chcący drobne niyb jego w obliczu płochych ludzi przewinienia, okazać zbrodnią zasługującą na tak srogą karę, może chcąc mu głosem spóźnionego sumienia przypomnieć jego występki, zwołał je wszystkie na scenę ile ich na niej przedstawionych było, odgłosem: zamordowanego kommandora, pozbawionej ojca, tchnącej żalem i żądzą zemsty Anny, skarg Elwiry. Jestże to myśl autora tekstu? Otóż jak się sytuacye malują muzyką.

Gdyby oba przytoczone przezemnie przykłady, narziły Mozarta na zarzut o krzywy pogląd na sytuacyą, o złe pojęcie osoby (a daj Boże każdemu kompozytorowi podobne Mozartowskim błędy), to jeszcze dowodziłyby, że kompozytor może co innego zrobić niż autor tekstu zamierzał. Wszak to i z Severa w Normie było widać.

Ale okrucieństwemby było najlepszego nawet z kompozytorów włoskich, porównywać z takim jak Mozart olbrzymim dramaturgiem, bo porównanie takie każdego z autorów oper albo poniżyłby musiało, albo nabawić kłopotów. Ale dla żadnego z nich nie można spuścić z pojęć o kompozytorze dramatycznym i muzycznym dramacie, z pojęć, których niektóre szczegóły starałem się przywołać panom do pamięci. Przymierzcież do nich

Belliniego i jego Normę, skoroć z jego powodu tu jesteśmy, to pokaże się, jak tu wszystko karłowate, chorowite, niedołężne. Wprawdzie takie rzeczy jak pojęcie, zasada, jak zastosowanie i znaczenie kompozycyi nie dadzą się przemierzać cyrklem od jednego do drugiego przenoszonym, ale rzecz tak nieraz widoczna, że cyrkla nie potrzeba. Na coby się zdał ten język w gębie, te pojęcia na wyrazach z głowy płynące, gdyby niemi takich rzeczy dowieść nie można było? Wprawdziem ja nie orator, ale tu prosty język wystarczy, tém łatwiej, że nie ma potrzeby mówić o wszystkiem. Jużem wspominał, że czém kto jest raz albo kilka razy, tem będzie najczęścięj, bo to mu już we krwi leży.

Już mówiłem panom, że się nie piszę na tak pojmovanego Severa jak go Bellini pojmovwał; na to i Włoch każdy zgodziłby się ze mną podobno. Aleby mi nie przyznał, że i Adalgisa, Norma nawet inne także byćby powinny, nie pojęciem wprawdzie, ale oddaniem; albowy przestał być Włochem, w muzyce swego narodu, w tradycyach jego zakochanym, wierzącym zapamiętałe, że sama zdolność wszystko zrobi, choć nie tak śnać myśleli Spontini Rzymianin, i Cherubini Florentczyk. Tamci ludzie mieli ogień i energią, mieli dar spojrzenia głębokiego w otchłanie serc ludzkich, mieli naukę, i mądrość jej z pomysłami natchnienia splatali. Co to za potężna postać Medei Cherubiniego, jaka dzielność w Spontyniego Westalce! Porównać z niemi także do podniosłości zdolny Normy charakter, jest to zrozumieć jego miękkość, którą daremnie udana siła pokryć pragnie. Ale dla miłości pani Lagrange pominę Severa i Adalgisy postacie, jako mniej ważne, tém bardziej podrzędniejsze jeszcze figury Orowista i Flawiusza z pod mego rozbioru wyzwalam o ile to będzie można, by się Normą tylko zając. Przyznaję z góry: kreacya to sympatyczna bardzo; kapłanka dzierżąca losy narodu i ulubionego w swęj dłoni, kochanka zbrodnicza w obec ołtarza, ojczyzny i ludzi, czuła, a nieszczęśliwa w miłości, matka dzieci bez imienia, zamieniająca się w gwałtowną, bo pogardzoną, tchnącą zemstą i nienawiścią, w zbrodniarkę niemal, a potem w dobrowolną ofiarę; sama jedna popycha całą dramatu machinę, a raczej ją za sobą ciągnie. Machiny téj nie będę dotykał, bo się rozlecieć gotowa, ale to powiem, że cośmy dotąd słyszeli, najślabszą, najnudniejszą jest jej częścią; dopiero Adalgisa wszystko ożywi. Norma dotąd kapłanka i wdychająca za mającym ją odtrącić zdrajcą, nie miała jeszcze czasu pokazać czém będzie w istocie. Cudowny śpiew *casta diva* i kawatina *ah bello!* a me *ritorna* są piękne muzyczne ustępy, ale całkiem liryczne nietylko przez muzykę, ale z samęj natury swojęj. Tutaj elegiczny Belliniego talent w całym jaśnieje blasku, ale téz na tem prawie koniec. Gdy mu w dramatyczność przyjdzie wkroczyć, zobaczycie panowie jaki słaby, jaki zawaze liryczny i nie więcej.

Tam będzie pora przypomnieć sobie co mówiłem o niepodobieństwie dramatyzowania, stworzenia figur oryginalnych, kiedy się je do jednego typu, do samego siebie ciągle przymierza; a taką jest w ogóle muzyka Belliniego, taka i Norma zatem. Indywidualność kompozytora dosyć silną, odrębną była, by go uchronić od naśladowania swych współrodaków, ale niedosyć można, by mu na niego i postać którą określał starczyła. Być może, że nie chciał się sam z sobą rozstać jako zbyt zatopiony w tęsknej muzyce swój duszy, co mu bystrość widzenia osłabić musiało. To też zbyt sam sobie jest podobny, nie formą melodyi, to jój duchem. Zobaczycie panowie, że czy Norma się pieści wspomnieniami przy spowiedzi miłosnej Adalgisy, czy wybucha niepomowanym gniewem dowiedziawszy się o zdradzie Severa, tak się odzywa, że muzykę tam użytą, możnaby tutaj przenieść i odwrotnie, gdyby tylko język podłożonej melodyi na to zezwolił; możnaby ją do innej opery przenieść. Widoczne to udawanie prawdy, a nie prawda szczerza. Dowód tego widzieć będzie można w scenie, w której Norma ubolewa nad sobą i nad Adalgisą; ta przenikniona jest niepewnością wyroku Normy i strapiona miłością swą dla Severa, a on z zimną krwią przekłada Normie, że nie ma się o co gniewać? Sąż ich uczucia, ich pobudki, dążności, charaktery jednakowe, że wszyscy jedno i to samo śpiewają? Ale nie chcę nastawać, żebyście mie panowie nie posądzili, że na małości mojej zdanie opieram; sytuacja to spokojniejsza, uczucia niezupełnie wyprężone. Ale stan rzeczy zmienia się niebawem: Sever pragnie zuchwale uprowadzić Adalgisę w oczach pogardzonej Normy, zelżonej gestem, a przynajmniej wyrazem; Norma gwałtownie mu przypomina przysięgi złamane i honor dzieci, grozi mu i przeklina go; Adalgisa błaga jój o przebaczenie, że się stała niewinna przyczyna jój cierpień, na które patrzy. Rozważcie panowie, czém są te trzy osoby ze swego charakteru i położenia dopiero co opisanego i powiedzcie, ile są sobie podobne? a jednak wszystkie trzy znów śpiewają jedno i to samo! Dowiódłże tu Bellini, że ma choć odrobinę dramatycznego sprytu! Gdyby był przynajmniej w czém w tém melodyą przemienił, a nie to harmonią, a i to nie, to choć rytm, choćby nakoniec formułę przygrywki!... ale nic i nic! Cóż panom powiem więc? To chyba, że Bellini i wszyscy kompozytorowie włoscy, prawie za dostateczne uważają wynaleźć melodyą jakąkolwiek byle muzycznie piękną była, chcę mówić wdzięczna dla ucha, i przystawała miarą do poezyi; wytłumaczenie jój, a raczej nadanie jój znaczenia, stworzenie go, zostawiają śpiewającym. Oni też są najprawdziwszemi dramaturgami opery włoskiej; szkoda, że nie mogą nic więcej zrobić, tylko to co od nich zależy; a to bardzo niewiele, choć także jest ważne. Wysilenia ich przynoszą owoc, którym się napół z kompozytorami dzielić muszą, za to, że im nieraz ledwie połowę melodyi wynaleźli istotnie, a resztę z jakkolwiek urwali i przyczepili

do początku. Taką jest melodya w duecie Normy z pochwyconym w jej moc Severem.

In mia man alfin tu sei!

Pierwszy tam tylko frazes ma siłę istotną i prawdę, a ma ich tyle, że jego zręczne dyalogowanie pokryło słabość dalszego ciągu, wzmocniło namowy i groźby Normy, uporowi Severa dało stałości szlachetną cechę. Co prawda, to przyznać trzeba. Z idących dalej ustępów zwrócę uwagę panów na duet nowy między Normą głoszącą rozkosze ochydnej zemsty nad obojgiem kochanków, i między Severem błagającym ją za Adalgisą. Melodya, jedna z tych które się i w uwerturze znajdują, znów obojgu jest wspólna; to budujące! Ale teraz następują innej wartości miejscą godne tego, cośmy najlepszego dotąd słyszeli, wyższe nawet nad nie. Jestto znomy duet; Norma mówi: qual cor tradisti, Sever odpowiada: ah troppo tardi... Melodya czująca, pełna tęsknego melancholii tchnienia doskonale odpowiada usposobieniu Normy, poświęcającej samą siebie w miejsce rywalki, co właśnie pokazuje Severowi, że nie poznał się na sercu wielkomyślném biegnącej na stos, który i kochanego choć przeniwierzczego Severa ma pochłonać. Już teraz dla nich wszystko się skończyło tu na ziemi prócz miłości na nowo zobopólnie rozżarzonej, jakby dlatego, by nie czuli męczarni ognia ziemskiego, który ich niedługo strawi. Tutaj znów melodya dla obojga wspólna, (więc bez żadnej w niczem odmiany, jak to już zwyczajem jest szkoły włoskiej); ale to właśnie jest stosowne tak dalece, że gdyby każde inaczej przemawiało, autor uchybiłby prawdzie. Bo dla nich obojga już teraz wspólny interes, wspólne uczucie; śmierć blizka ich pogodziła. Sever mówi:

L'estremo accento sarà: ch'io t'amo!

Gdym tyle już na Belliniego nagadał, nie godzi się pominąć nic, co mu zaszczyt przynosi. Ostatni śpiew Normy do najpiękniejszych ustępów opery należy. Wzniosła jest prostota melodyi za pomocą której matka poleca swe dzieci arcykapłanowi, i błaga zagniewanego swego ojca o przebaczenie winy.

Mniej więcej w tym duchu mówił pan Pokrzywa o kompozycyi Belliniego, ale nie skończył tego w pierwszym międzyakcie. Wysłuchawszy drugiego aktu już stojący, napastowany znów przez naszego towarzysza o zdanie co do pani Lagrange, którego się doczekać nie mógł, grzecznie lecz stale zapytania jego odpierał, tłumacząc się, że przecież wpród musi skończyć o jedném, niż zacznie o drugiem. Jam też na niego nie nacierał, pewny, że czasu nam wystarczy, albo, że zejdziemy się na Cyrulika Sewilskiego w którym znów nazajutrz miała pani Lagrange wystąpić. Zapatrzyłem się jednak na pana Pokrzywę; a jak on nie chciał sobie czém inném swego wywodu przerzywać, tak i ja go tu nie przerwałem, lubo strudzony mnogością szczegółów

które cytował, i uwag które z nich wydobywał, nie mogłem spa-
miętać wszystkiego. Czulem, że potrzebowałbym muzykę Belli-
niego mieć w ręku, bym nic nie stracił ze słów opowiadającego; to
wiem przecież, że nic ważniejszego nie pominął. Jużesmy byli
dobrze w połowie drugiego międzyaktu, gdy skończywszy o Bel-
linim, rzekł pan Pokrzywa do owego młodego:

— Widzisz pan, żeśmy nareszcie przebrnęli; nie gniewajże
się pan na mnie że pana dotąd zadowolnić nie mogł. Mówiąc
o śpiewacze w operze trzeba się na operze oprzeć przedewszyst-
kiem, zwłaszcza gdyśmy się już co do czysto wokalnych szczegó-
łów jeszcze na Napoju Miłosnym uprzątne!i. Chciałeś pan się do-
wiedzieć jak to rozumiem, że rola Noriny jest kamieniem probier-
czym śpiewaczki dramatycznej; teraz dopiero panu odpowiedzieć
mogę; choć co do pani Lagrange zatrzymać się przyjdzie może
ze stanowczém zdaniem aż do końca opery, bo tam właśnie są
najpiękniejsze miejsca, jak mówiłem, i więcej śpiewaczkę niż
aktorkę odznaczyć zdolne.

— Tak!—rzekł z żalosem zwątpieniem ów drugi; po skoń-
czeniu aktu trzeciego czas będzie iść do domu, a ja zostanę na
koszu.

— Nie zostaniesz pan, ręczę za to, boś pan przecież nie
panna na wydaniu.

Rozśmieszyło nas to wszystkich, a gdy dobry humor wrócił
na zaszępienie trochę oblicze młodszego, rzekł starszy:

— Po skończeniu aktu zatrzymamy się tu trochę; nim inni
zejdą, to my skończymy. Ale zacząć trzeba.

— Mówiłem, że piękne są melodye Belliniego, słodkie, rozko-
szne nieraz, a nie potrzebuję panom dowodzić, że to niezmierna
zaleta, w ogóle szkole włoskiej właściwa. Nie każda wprawdzie
melodya jest taka, nie każda oryginalna; ale gdy się zdarzy je-
dno i drugie, to urokowi oprzeć się trudno choćby on był tylko
przelotny, jak nim bywa najczęściej jako rzadko głęboością
muzyczną przytrzymany. Sama ta prostota owych melodyj, ich
jasność rzadko kiedy wymagająca do zrozumienia zupełnego
więcej czegoś niż ucha, jest wędką dla publiczności lubiącej łat-
we rozkosze, nieprzygotowanej dostatecznie do innych. Że zaś
w ogóle słyszymy nietylko u nas, ale i w całej Europie, ba!
i w Ameryce i Azji najwięcej melodyj włoskich: więc takeśmy
już przesiąkli tą manierą, że nam się jedyną i najlepszą zdaje.
Śpiewacy znów, rozumieją to zamilowanie publiczności i radzi
z niego korzystają, mając przytém inne własne powody, by się
oper włoskich trzymać. Umieją je najlepiej, bo są najłatwiejsze
i najwięcej ich śpiewają, a od czasów Rossiniego upowszechniło
się mniemanie nie bezzasadne, że nikt tak dobrze jak Włosi do
śpiewu pisać nie umie. Nie dlatego, by inni także dobrze nie pi-
sali, ale włoscy kompozytorowie używają giętkich formuł wokal-

nych choć nie nieznaczących, ale melodye ich w ogóle są płynniejsze, i co najważniejsza pozwalają śpiewakom zmian jako dramaturgom przeważnym. Ztąd też to pochodzi, że śpiewacy tak wielki wywierają wpływ na powodzenie opery. Bo proszę zważyć, jeśli, jak pokazałem to panom w Normie samej i jakieśmy to nawet już dzisiaj nieraz słyszeli, jedna i ta sama melodia różnych charakterów, różnych sytuacji ma nieś wyrażenie, to tam talent deklamatorski śpiewaków, zdolność ich dramatyzowania głosem, giestem, dodatkiem, w największym świetle na jaw wychodzi. Natura melodyj takich zmusza śpiewaka do odmian, jakie mu jego pojęcie o chwili dramatu i o charakterze przedstawianym nasuwa. Że te odmiany zwykle są na jedno kopyto, winą jest małego wykształcenia istotnie muzycznego śpiewaków; jednak nikt na nic nie narzeka, a najmniej kompozytorowie, bo musieliby dać dobry przykład, dać dowód pracy, której taki Bellini nie pojmuje jako wysilenie umysłu, ale jako oczekiwanie na świętą natchnienia chwilę i korzystanie z niego. Oto powody dla których opera włoska również śpiewakom jak publiczności jest miła, a tém miłsza im więcej tych powodów w sobie łączy, im więcej wymaga talentu ze strony śpiewających, im słodsza jest dla ucha, im bardziej wyprężone i okazałe ma sytuacje, im więcej nakoniec ma numerów istotnej choć względnej wartości. A taką właśnie jest Norma, oczywiście nie dla śpiewaka, ale dla śpiewaczki sopranistki, jaką właśnie jest p. Lagrange. Ale co z całej tej opery najwięcej zdolność śpiewaczek próbuje, to niezawodnie *casta diva*, pyszny śpiew o charakterze szlachetnym, rozległy, patetyczny niemal, a spokojny. Jestto śpiew liryczny żadnym dramatyзмом niezmacony; zbyt odrębnego charakteru od zwykłych dramatycznych aryj, by go się poważić przemieniać, zbyt oryginalny i natchniony pokojem o który błąga, by zniósł jakiegokolwiek dodatki. Przecież i tu kompozytor nie mógł się oprzeć pokusie, a może i życzeniom Pasty, dla której Normę napisał. Do ritornelli wokalne z towarzyszeniem chóru, przyczepił arabskie głosowe, zgrabne to prawda, ale zawsze arabskie; pani Lagrange pewnie mu wdzięczna za nie, bo tu mogła po wysileniu na poprzednią prostotę odetchnąć, bo to właśnie rodzaj śpiewu w którym celuje, ale one źle przystają do początku. Bez nich to *casta diva* jest dla artystki próbą stylu wielkiego, szlachetnego, stylu daleko trudniejszego niż tamten zwawy, namiętny, burzliwy. Takie *cantabile*, wymaga wydatnienia każdego ździebła, co już jest rzecz nielada. Że zaś taki śpiew płynie na tonach długich, więc głos musi je wydać czysto, czująco, by martwo nie brzmiały; śpiewak nie mogący zastosować mnóstwa drobiazgów, które ma w zapasie na każdy groźny sobie wypadek, stoi tu odsłonięty jak żołnierz na czystym polu. Otoż panu powiedziałem pokrótce, dlaczego Nor-

ma, a w niej *casta diva* są probierczym kamieniem śpiewaczki. I w sam raz skończyłem, bo już znów podstrajają skrzypce. Ale jeszcze nie grają, to powiedzże nam pan ale szczerze, jak się panu zdaje pani Lagrange?

— Mniej mi się podoba niż w Napoju Miłosnym; tam jakoś więcej było ognia, tu jak dotąd chłodno idzie opera. Wprawdzie w tercecie mnie zachwyciła, ale ja się więcej spodziewałem.

— Teraz ja panu powiem moje zdanie. Najważniejsze chwile dopiero przyjdą, a co do tercetu o którym pan mówisz; to mnie więcej zajęła aktorka niż śpiewaczka; na Normę ma głos zaślaby i niedosyc imponujący kolorytem. Wprawdzie uczucie, pojęcie głos jęj cieniują i pod tym względem nie jęj do zarzucenia nie ma. Zobaczymy dalej. To gorzej, że w cantabile mi się nie spisała. Wiesz pan co—rzekł dalej pan Pokrzywa zwracając mowę do mnie—jam to onegdaj z jęj *vibrato* przewidział, że się jęj *casta diva* nie uda.

I wstał, bo podniesiono zasłonę. Zdziwiłem się niepomału, widząc go kilka razy potężne bijącego bravo i niecierpliwie końca czekałem. Gdy nadszedł, wziął mnie pan Pokrzywa za rękę i zmuszając mnie jako naroznego do zejścia z ławki, pchał pod ścianę a tamtego ciągnął. Co mu się stało u licha? pomyślałem.

Gdyśmy nareszcie stanęli, rzekł wlepiając we mnie oczy: —Niech sobie idą, my zaczekajmy chwilę. No! powiedz mi pan teraz, ale szczerze, co pan o niej myślisz?

— Ja? właśnie pana zapytać się chciałem; pan to doskonale rozumiesz.

— A kiedy ja pana proszę, — rzekł — nalegając znowu; jamtyle mówił o różnych rzeczach, powiedz pan też raz przecie słowo stanowcze. Winienes mi pan odpowiedz na co innego i nieprzypomniałeś, chociażś przyrzekł...

— Nie było kiedy.

— No to ja pana zwalniam, ale mi pan powiedz, co mnie masz o pani Lagrange? Inaczęj pana nie puszcę, choćbyśmy tu nocować mieli.

— Ha! jeślić panu idzie o moje skromne zdanie, to panu powiem: Śpiewaczka dobra, lecz popsuta przez publiczność, ale lepsza jeszcze aktorka, i w niej tonie śpiewaczka jakkolwiek godna uwagi. Ztémwszystkiem nie mieliśmy już dawno takiego połączenia znakomitych przymiotów w jednej osobie.

— Tegom się po panu spodziewał i najzupełnięj z panem się zgadzam. Winienem jęj kilka chwil bardzo miłych; porwała mnie kilka razy, mnie nawykłego do zimnego rozważania. Wprawdzie w scenie z dziećmi przesadziła; kto tak poskoczył jak ona ze sztyletem, ten powinien był powrócić z nim, ale we krwi zbrocznym. Za to wyborna była w duecie z pojmanym Sewerem.

Wściekłość niepohamowana Normy doskonale wybiegła z gry i ze śpiewu; do takich miejsc *vibrato* zastosować, to rozumiem! Ale więcej może zajęła mnie w duecie w którym Norma i Sewer rozpamiętują się wzajemnie w ostatnią chwilę życia. Ale gdzie niewątpliwie była najpotężniejsza, to u nóg ojca, gdy go błaga za sobą i dziećmi. Tam cała we łzy rozplynęła, tam się największą śpiewaczką pokazała, a przynajmniej najwięcej efektowo grało jęj *vibrato* jakby śmiertelnymi podskokami głos targające. Tam i aktorka nic pomódz nie mogła, bo twarz u nóg ojca kłęząca ukryła. Jeśli nie wyjadę, to przyjdę jeszcze raz na Normę. Na Cyrulika się spieszyć nie będę, bom pewien, że się niczego nowego nie dowiem. Jeśli pan będziesz, to zważaj pan pilnie na orkiestrę; jest tam szczególnie jedno miejsce, gdzie pan Quattrini zapomina o niej zupełnie i tak pędzi tempo, że figura skrzypiec w żaden sposób wypłynąć nie może. A jednak mamy wyborych w orkiestrze skrzypków. Dobra noc panom.

Młodszy żwawo ku wyjściu poskoczył spiesząc się jak mógł na resztę jakiegoś muzycznego wieczoru, ale starszy stanął, bom go przytrzymał. Spojrzałem na niego znacząco i rzekłem:

— No! panie Dobrodzieju, porzućmy mistyfikacją; dlaczego pan mnie masz za muzycznego, czemu chciałeś koniecznie wiedzieć moje zdanie o pani Lagrange?

— Bo pana znam. Nie mówiłem panu, że znam wszystkich muzyków tutejszych? Co do mistyfikacji, toś pan sam jęj winien; sameś ją zaczął i podtrzymywał do końca. Jam był szczerzy i powiedziałem prawdziwe moje nazwisko. Co do reszty, pozwól pan sobie zataić ją jeszcze czas jakiś; ale nienadługo, przecież z dzisiejszej i onegdajszej rozmowy wielu pozostało maruderów, których pozierać musimy; będę się starał, by nie poginęli, a pan mi pewnie pomocy nie odmówisz. Ale dzisiaj nie panu więcej nie powiem—dodał podając mi rękę na pożegnanie. —Niech to będzie jedyną moją zemstą. Mniejsza ona przecież od tój nawet, jaką Henryk IV odplacił Mayennowi kłopoty, których mu narobił.

J. Sikorski.

Stobnica czy Stopnica?

W poprzednim zeszycie Biblioteki Warszawskiej zamieścił p. Czarnowski artykuł, w którym powstaje na tych, co zamiast właściwej podług niego nazwy *Stopnica*, piszą *Stobnica*. Na dowód swego twierdzenia przytoczył ustne podanie o rozbójnikach, których ślady *stóp* wyciśnięte na śniegu, wskazały miejsce ich

przebywania w wydrążeniach góry, i że w miejscowości tej założono następnie miasto i nazwano je Stopnica.

Jestto legenda czyli poprostu bajeczka ludowa, która żadną miarą służyć nie może za dowód historyczny i pewnik niezachwiany powstania i nazwy miasta. Tym podobnych powiastek i gadek dałoby się o wielu innych posadach zebrać; lecz czyż za tem idzie, ażeby to, co gmin w swój wyobraźni wyrobił, (choć nie przeczę, że czasem i cząstka jakaś prawdy mieści się w podaniu) miało służyć za fakt pewny i niczem nie zbity?

Ale wróćmy do głównego zadania, jak się ma właściwie pisać starożytne to miasto: oto Kazimierz W. w przywileju swoim 1360 r. zowie je *Stobnyca*, i wzmiankuje o przyległej wsi Stariej Stobnicy. Późniejsze nadania i potwierdzenia praw przez królów, jako też lustracye tutejszego starostwa, mianują zawsze Stobnica. Zajrzyjmy do dziejopisów naszych, a znajdziemy: że Długosz, Bielski, Strykowski i Naruszewicz piszą Stobnica. *Plata wojska i chleb zastużonych 1771 r.*, zawiera urzędowy spis starostw z wyrażeniem, ile które wnosi kwarty do skarbu Rzplitej; następują potem: Taryfa hybernowa, Poglówne żydowskie i Podatek łanowego. Pod temi kategorjami, tak miano starostwa, jak i samo miasto pisane są przez *b*, jakoto: stobnickie, Stobnica. Nakoniec niech stanie w obronie rodzinnego swego gniazda i głośny z nauk professor wszechnicy krakowskiej Jan ze Stobnicy, który żyjąc w XV wieku pisał się *Stobnicensis*.

Czyż przytoczone tu poparcia niedość są dostateczne, ażebyśmy pisać nie mieli Stobnica, jak to już przed wiekami utorowali do tego drogę nasi prawodawcy i dziejopisarze? Że zaś wieśniak okoliczny wymawia po swojemu *Stopnica*, a nawet i w niektórych książkach zeszełgo stulecia znajduje się podobnież mianowana, pochodzi to ztąd, że w potocznej mowie częstokroć głoska *b* przekreconą bywa na *p*, jak tego mamy dowód na wyrazie *leb*. Są bowiem tacy, co mówią, i wbrew zasadom gramatycznym piszą *lep*; toż samo się dzieje i ze Stobnicą.

Przy tej sposobności zwrócę uwagę, jak dla łatwości wymawiania zachodzi przemiana a nawet wyrzutnia głosek w nazwie różnych posad, a ztąd i skaleczenie pierwotnych nazwisk; i tak *Andrzejów* stał się *Jędrzejowem*, *Janpol* Jampolem, *Płoskirów* Proskirowem, *Teofilpol* Tofipolem, *Milanów* Wilanowem, *Włodzisław* Wodzisławem, *Ilkusz* Olkuszem, i t. d. *Koprzywnice* mianują niektórzy *Pokrzywnicą*, a na mappach Galicyi przez Niemców robionych wryty *Błazów* zamiast *Płazów*. Dwie te ostatnie zwichnięte nazwy miast, w błąd niejednego wprowadzić mogą; poprzednio zaś wyliczone dobrze już czas utarł.

Tymoteusz Lipiński.

Doniesienia literackie.

—
WARSZAWA.

Sędziwy nasz nestor literacki Kajetan Koźmian, ogłosił w Gazecie Codziennej: Trybunał lubelski; opis nadzwyczaj zajmujący, i wielkiej wartości dla dziejów naszych. Jestto wyciąg ze wspomnień starca 82-letniego, jak czytamy w nadpisie. Wspomnienia te, biorąc miarę z danego wyjątku, będą nieocenionym nabytkiem do zarysów przeszłości ubiegłej!—Gazeta Warszawska ogłosiła ciekawą dla dziejów teatru polskiego, „Krótki rys dziejów sceny krakowskiej“ w ostatniem stuleciu; Dziennik Warszawski E. Rulikowskiego nowe materiały do życiorysu hetmana Mazepy.—„W Księdze Świata“ J. Sikorski zamieścił ważną treść, a zajmującą obrobieniem obszerną rozprawę swoją p. n. „Spłeczenie muzyki z życiem dawnych Polaków“.

— Znany w świecie muzycznym i literackim, zamieszkały w Petersburgu p. Wiktor Każyński przygotował do druku piosennik p. n. „Przypomnienia starym przyjaciółom“. Jestto zbiór piosenek na temata ludowe polskie i litewskie; tekst wzięty z Kraszewskiego, Syrokomla, i. w. i. Pomiędzy nowemi naszych poetów utworami, pomieścił pan Każyński i owę znaną religijną pieśń Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze.“ Niektóre numera będą ozdobione wnieściami J. Kraszewskiego.

— Wiadomą jest rzadkość drobniejszych pism Marcina Bielskiego, pomiędzy któremi Sprawa rycerska i Sejm niewieści, do białych kruków przez bibliografów naszych są policzone. Donosimy, że oba te pisma w wiernym przedruku wyjdą w „Archiwum Domowem“ obok nieznanych dotąd rękopismów z tajnego archiwum króla Stanisława.

— Dzieje Mazowsza od początków do 1526 r. czyli do przyłączenia do Korony dają obraz wielce rozmaity, zajmujący, i nadzwyczaj ważny. Podjął tę pracę dawniej zmarły Hippolit Kownacki, i ogłosił w Pamiętniku Warszawskim F. Bentkowskiego; od owego czasu przybyły wielkie a nieznanne mu materiały, które nie tylko znakomicie szczegółami rzecz samą zubożyły, ale zupełnie inny dziejom tym dają pogląd i stanowisko. Jeden z literatów naszych od lat wielu opracowywał ten przedmiot, i wkrótce podamy w piśmie naszym wyjątki z dziejów Mazowsza, skreślonych podług nowych źródeł.

— Przejrzeliśmy własnoręczny rękopism kazań Albertrandego znanego historyka: zbiór ich wyniesie dwa spore tomy. Nie ma w nich dni i świąt oznaczonych na które były pisane, na czele są tylko teksta krótkie z pisma św. które w kazaniach swoich rozwija. Jest tu kilkanaście kazań w języku francuzkim przez Albertrandego napisanych i powiedzianych.

— Maurycy Wolff drukuje nieznaną powieść Zygmunta Kaczkowskiego p. n. „Maż szalony“, oraz znane z felietonów gazet naszych „Djabła“ Kraszewskiego; i „Starościca Wołyńskiego“ J. Korzeniowskiego. — Tenże Zygmunt Kaczkowski wykończy powieść p. n. „Wnuczęta“ w której daleko późniejszą pokazuje epokę, wprowadzając na scenę już wnuczęta owych znanych nam tak dobrze Nieczujów.

— W litografii M. Fajansa, z rysunków P. Matuszkiewicza odbijają się ryciny do Igo zeszytu „Opisu cmentarza powązkowskiego pod Warszawą“. Przedstawiają: kościółek powązkowski, katakumby, pomnik Szymanowskich, którzy darowali ziemię na pierwszy zakład tego cmentarza, i grobowiec Jana Majorkiewicza.

— Tomu XXV. N. 1. Roczników Gospodarstwa Krajowego wyszedł z druku i zawiera: Odezwa redakcyi. Niektóre uwagi nad gospodarstwem trzypolowem i przejściem do płodozmiennego wielopolowego;

przez *St. Górskiego*. O drzewie i jego użytkach, przez *B. Alexandrowicza*. Zdanie sprawy Fr. Delessert o oddziałyaniach kassy oszczędności paryskiej za rok 1852. Wiadomość o kongresie statystycznym w Brukseli 1853 r. O nowej statystyce Belgii z lat 10ciu od 1840 do 1850 r. Świeżo założona szkoła handlowa w Antwerpii. Wiadomości handlowe, p. H. T. Przedpłatę roczną w kwocie rs. 3 przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i księgarnie.

— We wsi Dębe pod Kaliszem odkryto grób murowany z kamienia, i przykryty płaskimi kamieniami, w którym były dwie małe urny z czarnej masy, bronzowa czara i miseczka szklana. Czara bronzowa podobna do łyżki wazowej z krótszą nieco rękojeścią, otoczona jest w wierzchu obrączką z deseniem delikatnej roboty, a na rękojeści mały Bachusek spoczywa na winogronach; miseczka jest ze szkła mieszanego kolorowego: urny z delikatnej lekkiej czarnej masy dosyć połyskujące z małym uszkiem, w którym przedziurawienia do drutu, lub sznurka, zawierały spalone kości i popioły. Całe to wykopalisko obecnie jest w Kaliszu w ręku lubownika starożytności krajowych.

— We właściwym czasie donieśliśmy o „Album Kieleskiego”, wydanem w Poznaniu nakładem Żupańskiego. Obecnie ma wyjść zeszyt dodatkowy, który uzupełni prace rytmiczne zmarłego, a pełnego talentu artysty.

— Maurycy Orgelbrand księgarz wileński nadesłał do Warszawy popiersie z gipsu znanego poety Syrokomli (Ludwika Kondratowicza) mające się odznaczać nadzwyczajnem podobieństwem.

— Zapowiedziane przez nas w przeszłym zeszycie dzieło „Lud Ukraini pana Marcinkowskiego wyjdzie pod pseudonymem Antoniego Nowosielskiego nie nakładem Teofila Glücksberga, ale sam autor ogłasza prenumeratę w cenie rs. 5 za trzy tomy, zareczając, że wydanie będzie staranne i duchowi czasu zupełnie odpowiednie.

(Lwów, z listu). „Słownika Lindego druk już się rozpoczął w 2000 egzemplarzach. Wysła tu broszura, ale tylko w stu egzemplarzach drukowana p. n. „Rainold Hajdenstejn i Franciszek Bohomolec pisarze żywota Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana W. koronnego”: z dodaniem kilku ważnych dokumentów. Dlaczego w tak szczipłej odbito liczbie egzemplarzy nie wiemy, bo wydawca żałował chyba na papier, gdy druk opłacił; w tem widząc tylko owę starych bibliomanów naszych słabośćkę, co w naszych czasach tworzą dla przyszłości bibliograficzne rzadkości. — Dokładny słownik francuzko-polski i polsko-francuzki podług najlepszych źródeł przez W. Janusza dwa oddziały w wielkiej 12. — Jako o osobliwości donoszę, że wyszedł tu także w języku rumuńskim kalendarz dla W. X. Bukowińskiego: „Kandariu pentru Dukatul Bukowinu”.

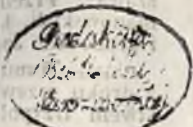
(Poznań). Tom 3ci dzieła: „Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce Dr. L. Gąsiorowskiego wkrótce opuści prasę drukarską, nakładem księgarza Żupańskiego: tom 4 i ostatni już jest przygotowany do druku.

— Znany artysta Rodakowski rozpoczął wielki obraz „Wzięcie Chocima”, który ma być ukończony na przyszły rok. Rysunek zebrany na miejscu, ma zaletę historycznej wartości. Obraz przedstawia chwilę, w której po nieudaniu się ataku od frontu, Jan Sobieski prowadzi atak od strony Dniestru. Scena jest dramatyczną i wspaniałą.

— Tłumacz poematu Chadży-Abrek, którymś umieścili w niniejszym zeszycie, przygotował do druku przekład wierszem tragedji Oelen-schlegera: „Corregio”.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



Lipiec, 1854.

Obserwatorium Astronomiczne w Warszawie

Wzrost słupka termometrycznego jest 501,6 słupkowy i 1000
16 11 13 7 1/2 w roku 1854

Ciepota powietrza	TERMOMETRY		BAROMETRY		Ciepota powietrza
	Wzrost słupka termometrycznego	Wzrost słupka termometrycznego	Wzrost słupka termometrycznego	Wzrost słupka termometrycznego	
1	501,6	501,6	750,0	750,0	1
2	501,6	501,6	750,0	750,0	2
3	501,6	501,6	750,0	750,0	3
4	501,6	501,6	750,0	750,0	4
5	501,6	501,6	750,0	750,0	5
6	501,6	501,6	750,0	750,0	6
7	501,6	501,6	750,0	750,0	7
8	501,6	501,6	750,0	750,0	8
9	501,6	501,6	750,0	750,0	9
10	501,6	501,6	750,0	750,0	10
11	501,6	501,6	750,0	750,0	11
12	501,6	501,6	750,0	750,0	12
13	501,6	501,6	750,0	750,0	13
14	501,6	501,6	750,0	750,0	14
15	501,6	501,6	750,0	750,0	15
16	501,6	501,6	750,0	750,0	16
17	501,6	501,6	750,0	750,0	17
18	501,6	501,6	750,0	750,0	18
19	501,6	501,6	750,0	750,0	19
20	501,6	501,6	750,0	750,0	20
21	501,6	501,6	750,0	750,0	21
22	501,6	501,6	750,0	750,0	22
23	501,6	501,6	750,0	750,0	23
24	501,6	501,6	750,0	750,0	24
25	501,6	501,6	750,0	750,0	25
26	501,6	501,6	750,0	750,0	26
27	501,6	501,6	750,0	750,0	27
28	501,6	501,6	750,0	750,0	28
29	501,6	501,6	750,0	750,0	29
30	501,6	501,6	750,0	750,0	30
31	501,6	501,6	750,0	750,0	31
32	501,6	501,6	750,0	750,0	32
33	501,6	501,6	750,0	750,0	33
34	501,6	501,6	750,0	750,0	34
35	501,6	501,6	750,0	750,0	35
36	501,6	501,6	750,0	750,0	36
37	501,6	501,6	750,0	750,0	37
38	501,6	501,6	750,0	750,0	38
39	501,6	501,6	750,0	750,0	39
40	501,6	501,6	750,0	750,0	40

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Lipiec, 1854.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.042	27	8.047
Najwyżej barometr dochodził d. 23 o g. 10 r.	758.00	28	0.018
Najniżej — — — d. 1 o g. 10 r.	736.65	27	2.554
Średnia zmiana dzienna barometru	2.857		1.266
Największa zmiana dzienna barometru d. 1—2 o g. 10 w.	10.23		4.535
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	0.185		0.082
Średnia temperatura Lipca wynosi:	748.857	27	7.965
i ta jest wyższa o	+ 19° 96	C.	+ 15° 97 R.
od stanu normalnego z 28 lat, poprzedzających	1.27	„	1.02 „
Największe ciepło było d. 25 o g. 4 w.	+ 18.69	„	+ 14.95 „
Najniższa temperatura była d. 29 o g. 6 r.	+ 30.7	„	+ 24.56 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 12.3	„	+ 9.84 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 4 w.	2.315	„	1.852 „
Termometraż wskazał:	10.0	„	8.00 „

Maximum: + 24.8 R. d. 24 po połud.

Minimum: + 8° 1 „ d. 31 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 72.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 12.36 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 większą od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 120.5 mil. czyli 53.42 lin. par.; ilość ta wody jest o 13.70 lin. par. większa od tej jaka średnio w Lipcu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 12, pochmurnych 10.

— deszczu 15 (d. 1, 2, 6, 7, 9, 10, 11, 13, 15, 16, 17, 19, 26, 27, 29).

— mgły 1 (d. 18).

— grzmotów 5 (d. 2, 6, 9, 19, 26).

— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 6, 8, 11, 18, 26).

Wichrów było 3 (2 Z., 1 PnZ.).

Wiatrów mocnych 10 (4 Pn., 3 Z., 2 PnZ., 1 PdZ.).

Wiatr panujący północno-zachodni, częste były także północne.

Lipiec r. b. w ogóle był dosyć pogodny, ciepły, wilgotny, w deszcz obfity, przeszło o jeden stop. R. cieplejszy niż zwykle. W pierwszych sześciu dniach przy niskim stanie barometru, był niepogodny, wilgotny, słotny i dosyć ciepły; w następnych dziesięciu między ostatnią kwadrą a nowym księżycem i przy wysokim stanie barometru pogodny, suchy i bardzo gorący; średnia temperatura tych 10 dni wynosiła 18.75 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 8, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26. Najchłodniejsze d. 1, 2, 29, 30. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż w stanie średnim; albowiem stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest 5.5:13.5:12.0; w r. b. stosunek tychże dni jest 9:12:10. Dzień 1 odznaczał się szczególnym stanem, gdyż od rana do wieczora deszcz obfity padał; ilość wody spadłej z deszczu w tym dniu wynosi 12 lin. par. to jest trzecią część całej ilości miesięcznej wody. Pod względem wiatrów, te były zmienne, najczęstsze były północno-zachodnie; podczas dni gorących, powietrze zwykle było spokojne. Najwilgotniejsze dni były: d. 1, 2, 13, 16, 17; najsuchsze d. 5, 23, 24, 28, 30.

D. 31 ukazała się plama na słońcu.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1854.

Filozofia.

Stron.

Historja i filozofia nauk ścisłych: 1) Whewel, History of the inductive sciences; 2) Philosophy of the inductive sciences. . . 93, 273

Materyały historyczne.

Baltazar Opec. Wiadomośćka o nim podana przez *Ambr. Grabowskiego*..... 189

Strona moralna Jana Karola Chodkiewicza wyczytana z jego listów, przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 393

Stobnica czy Stopnica. Przez *T. Lipińskiego*..... 593

Prawo.

Zastosowanie analogiczne art. 1257 kod cywil. do wypadków w których wierzyciel nie może długu odebrać, przez *Augusta Heylmana*..... 544

Opisy i podróże.

	Stron.
Spiż, przez <i>Ludwika Zejsznera</i>	1, 197
Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie, przez <i>W. D.</i>	27
Wspomnienia z podróży nad Wołgą, przez <i>A. Potujańskiego</i>	407
Etnografia Turków i ich pobratymców, przez <i>Andrzeja Kuchar- skiego</i>	548

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna	46, 289, 527
--	--------------

Powieści.

Dworek i pałac, powieść przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	117, 216
Kłopoty starego komendanta. Panna pułkownikówna. Opowiadanie. .	445

Poezye.

Dwa dwory, powieść przez ***	70, 313
Pan dwóchset wysp. Poemat Walter-Skotta (ciąg dalszy).	353
Chadży Abrek (przekład z Lermontowa)	434

Dramat.

Komedia. Dramat <i>Apollina Korzeniowskiego</i>	507
---	-----

Sztuki piękne.

Myśli i wrażenia z wystawy Cesarskiej Akademii sztuk pięknych w Pe- tersburgu, przez <i>W. Plaksina</i>	176
Gawęda o rzeczach muzycznych, przez <i>J. Sikorskiego</i>	354, 561

Rozbiory.

Skarbniczka naszej archeologii, obejmująca średniowiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszej przeszłości i t. d., przez <i>Ambr. Grabowskiego</i> . Lipsk. 1854. Przez <i>J. Bartosze- wicza</i>	153
Prace Kommissyi Najwyżej zatwierdzonej przy uniwersytecie św. Wło- dzimierza, dla opisanja gubernij kijowskiego Naukowego Okrę- gu. Kijów. 2 tomy. 1853. Przez <i>J. W.</i>	164
Roczniki Orzelskiego. — Policja St. Orzechowskiego	173

	Stron.
Roczników Polski Klimakter IV. Obejmuje dzieje Polski pod panowaniem króla Michała, przez Wespazyana z Kochowa Kochowskiego. Z łacińskiego tłumaczenie polskie. Z portretem. Lipsk. 1853. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	338

Nauki przyrodzone.

Wiadomość o ptakach i niedoperzach znajdujących się w dolinie ojcowskięj, przez <i>W. Taczanowskiego</i>	145
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	382

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>A. Czarnowskiego</i>	380
<i>Kronika bibliograficzna</i>	385
Doniesienia literackie.	191, 386, 595
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.	193
— — czerwiec r. b.	389
— — lipiec r. b.	597

SPROSTOWANIA.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
340	13 od dołu	Ceraz, Pompeusz	Cezar, Pompejusz
341	15 od dołu	ur. 1609	ur. 1669
341	4 — —	mgło	mogło.
342	10 od góry	Potulińskiego	Połubińskiego
346	20 od góry	warszawskim	warmińskim

